

PRZEDMURZE

ANTOLOGIA POLSKIEJ FANTASTYKI



Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[WSTĘPNIAK](#)

[Zbigniew Wojnarowski: Wejście w heban](#)

[Część 1.](#)

[Część 2.](#)

[Część 3.](#)

[Wojciech Szyda: Slam](#)

[Mirosław P. Jabłoński: Jestem Aileen](#)

[Paweł Ciećwierz: Do żywego](#)

[PEWNIEX](#)

[Maciej Parowski: W celi z Breivikiem](#)

[Paweł Majka: Zagubieni chłopcy.](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[Krzysztof Kochański: pluton egzekucyjny.](#)

[Michał Protasiuk: Anatomia pęknięcia](#)

[PACJENT ZERO](#)

[DIAGNOZA](#)

EPIDEMIA

URWIPIĘTA

Piotr Gociek: Jak utopiliśmu Hana Solo

Eugeniusz Dębski: Człowiek z brukselki

Człowiek z Brukselki

NOBEL 2410

Grzegorz Janusz: Złego początku

1. Epilog

2. Wioska na końcu świata

3. Ptaszyna

4. Coś wisi w powietrzu

5. Gołębie serce

6. Rymopis

Jacek Sobota: Korekta

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

Cezary Zbierzchowski: Dobre miasto

Dzień pierwszy.

Dzień drugi

Dzień trzeci

Dzień czwarty.

Dzień piąty.

Dzień szósty.

Dzień siódmy.

Marek Oramus: Przedmurze

ZSTĘPNIAK



PRZEDMURZE

ANTOLOGIA POLSKIEJ FANTASTYKI

wybór i redakcja
Wojtek Sedeńko

SOLARIS

Stawiguda 2016



E-book kupiony w SOLARIS



Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Niniejsza książka elektroniczna ani żadna jej część nie może być kopiowana i odsprzedawana oraz w jakikolwiek inny sposób reprodukowana, ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody sprzedawcy.

Przedmurze

Przedmurze copyright © 2016 by Wojtek Sedeńko

Wejście w heban copyright for this edition © 2016 by Zbigniew
Wojnarowski

SLAM copyright for this edition © 2016 by Wojciech Szyda

Jestem Aileen copyright for this edition © 2016 by Mirosław P. Jabłoński

Do żywego copyright for this edition © 2016 by Paweł Ciećwierz

W celi z Breivikiem copyright for this edition © 2016 by Maciej Parowski

Zagubieni chłopcy copyright for this edition © 2016 by Paweł Majka

Pluton egzekucyjny copyright for this edition © 2016 by Krzysztof
Kochański

Anatomia pęknięcia copyright for this edition © 2016 by Michał Protasiuk

Jak utopiliśmy Hana Solo copyright for this edition © 2016 by Piotr
Gociek

Człowiek z Brukselki copyright for this edition © 2016 by Eugeniusz
Dębski

Złego początki copyright for this edition © 2016 by Grzegorz Janusz

Korekta copyright for this edition © 2016 by Jacek Sobota

Dobre Miasto copyright for this edition © 2016 by Cezary Zbierzchowski

Przedmurze copyright for this edition © 2016 by Marek Oramus

Pewniex, Urwipięta, Nobel 2410 copyright for this edition © 2016 by
Tomasz Niewiadomski & Grzegorz Janusz

Na okładkę i stronę tytułową swój obraz pt. „Kuźnia” użyczyła

Maja Borowicz

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

tel./fax 89 5413117

e-mail: agencja@solarisnet.pl

sprzedaż wysyłkowa:

solarisnet.pl

WSTĘPNIAK

Minęło dużo czasu, odkąd miałem przyjemność redagować antologię z polską fantastyką. Ostatnie były *Wizje alternatywne #6*, w 2007 roku. Nie próżnowałem w dziele selekcjonowania antologii – o czym wspominkowo w Zstępniaku na końcu niniejszego tomu – ale dziewięć lat temu uznałem, że trzeba zrobić przerwę na polu rodzimej SF. Mieliśmy wtedy przesilenie w największym w dziejach boomie na polską fantastykę i polską literaturę w ogóle. Po latach zachłyśnięcia się przekładami z Zachodu Polacy chcieli wreszcie czytać swoich. Powstawały głośne cykle Grzędowicza (Pan Lodowego Ogrodu), Ziemiańskiego (Achaja), Pilipiuka (Wędrowycz), Kossakowskiej (Zastępy anielskie), w polskiej fantastyce „robiło” kilka wyspecjalizowanych oficyn, sama tylko Fabryka Słów wypuszczała 2 tytuły tygodniowo. Było dużo antologii, do tego opowiadania publikowały czasopisma, „Nowa Fantastyka i „Science Fiction, Fantasy i Horror”. Wydawało się, że wszyscy piszą, jest łatwo te opowiadania opublikować, tyle że z tego morza tekstów trudno było wyłowić perły. Autorzy byli naprawdę zajęci. Dlatego, na przekór powszechnemu trendowi, zająłem się klasyką i przekładami. Czym innym jest bowiem redagowanie antologii przekrojowej, tematycznej z gotowych już utworów, a czym innym kształtować zbiór złożony z rzeczy nowych, specjalnie napisanych do tego przedsięwzięcia. Autorzy potrzebują do tego czasu.

Każdy boom przemija, ogień w piecu przestaje buzować i pali się dalej równomiernie albo przygasa, przywalony marnej jakości paliwem. Po paru latach czytelnicy zaczęli czuć przesyt. Cały czas obserwowałem, co w polskiej SF się dzieje, czytałem, rozmawiałem z autorami. Dużo naszych rozmów schodziło na sytuację w świecie, w Polsce. Widać było, że to ich interesuje i chętnie by napisali fantastykę bliskiego zasięgu.

Dwa lata temu, na Polconie w Bielsku Białej, sytuacja na rynku książki świadczyła już o wypaleniu boomu. Wychodziło znacznie mniej książek, niektórzy wydawcy odpadli z rynku, liczba antologii zmalała do 1-2 rocznie. Z czasopism została właściwie tylko „Nowa Fantastyka” i nagle

okazało się, że nie ma gdzie publikować opowiadań. Pomyślałem – już czas. Są tematy, jest para, trzeba ją dobrze spożytkować. Autorzy, z którymi wówczas rozmawiałem, wyrazili zainteresowanie i chęć napisania tekstu do nowej antologii. Rozesłałem wici. Potrzebowałem dobrej fantastyki, zaangażowanej. I pisarzy, którzy rozumieli coraz bardziej skomplikowaną rzeczywistość. Żyjemy bowiem w dobie tak zmanipulowanej informacji, że dojrzeć prawdę i zakulisowe działania mocarzy świata nie jest dane każdemu. I nie każdy jest tego ciekaw.

To oznaczało zwrot w stronę fantastyki socjologicznej. Ale innej, niż ta, którą polscy autorzy pisali w latach 70. i 80. ubiegłego stulecia. Wydaje mi się, że wtedy rzeczywistość była prostsza, bardziej zero-jedynkowa. Byliśmy My i byli Oni. Władza totalitarna, której działania były oczywiste, a przeciwstawić się jej można było między innymi słowem. Polscy fantaści mówili w swoich utworach językiem, którego kod i antytotitalarny wydźwięk były zrozumiałe dla czytelników. Dzisiejsza fantastyka socjologiczna nie ma jednego, łatwego do zidentyfikowania przeciwnika. Teraz ma problemy świata i zmanipulowaną przez niewiadomego przeciwnika rzeczywistość. Ma zakłamywaną historię, ma korporacje zmierzające do opanowania świata, ma gospodarcze inwazje, inżynierię społeczną na niespotykaną dotąd skalę, wojny hybrydowe, terroryzm, konserwatywne ruchy religijne, wędrówki ludów, gender, rozłamy społeczne i wiele, wiele innych tematów do poruszenia. Doświadczenia polskiej fantastyki socjologicznej spod znaku Zajdla podsumował Marek Oramus w powieści *Dzień drogi do Meorii* w 1990, a nowe tory, na granicy socjologii i polityki wytyczył kilkoma opowiadaniem Rafał Ziemkiewicz. Ale tą drogą długo nikt po nim nie podążał. Teraz – tak mi się przynajmniej wydaje – otwieramy tą antologią bramę dla wielu tematów dla fantastyki socjologicznej.

Praca nad tomem trwała dwa lata. Autorzy, którzy podjęli wyzwanie należą do różnych pokoleń, mają różne temperamenty i zainteresowania literackie. Są pisarze z pokolenia zajdłowskiego, są dwadzieścia, trzydzieści lat od nich młodszy. To pisarze idący swoją drogą, konsekwentni i świadomi, co chcą poprzez fantastykę powiedzieć.

Pierwsze, najszybciej nadesłane teksty były klasyczną kosmiczną hard SF (Miroslaw P. Jabłoński) albo okrutną opowieścią o ludzkiej naturze

(Paweł Ciećwierz). Potem, mniej więcej po roku, tematyka zaczęła dryfować w stronę fantastyki socjologicznej.

Jak napisałem wyżej, dzisiaj zdefiniować fantastykę socjologiczną jest znacznie trudniej, zwiększył się obszar jej zainteresowań. Teraz nawet bardziej pasuje jej miano fantastyki socjologicznej, czyli społecznej, niż kiedyś fantastyce antytotaliarnej. Bo w kręgu jej zainteresowań leży nie tylko człowiek wobec systemu, ale wszelakie współczesne i sięgające mackami w przyszłość zagrożenia społeczne, zmiany w obyczajowości. Fantastykę socjologiczną interesują nadal manipulacje władzy – sterowanie mediami, zawłaszczanie przez korporacje kolejnych sfer życia, działania niby demokratycznie wybranych rządów ponad głowami swoich wyborców, inżynieria społeczna z jej socjotechnikami pozwalającymi sterować dużymi grupami społecznymi. A jednocześnie dochodzą konflikty religijne, fale uchodźców i imigrantów, różnego rodzaju fobie – to wszystką są tematy budzące skrajne emocje, a dobry pisarz potrafi z nich ulepić dobrą opowieść z przekazem.

Wydaje mi się, a ocenią to recenzenci i czytelnicy, że polscy autorzy wykorzystali tematy dosłownie leżące na ulicy i *Przedmurze* pokazuje wielką siłę polskiej fantastyki. Uświadamia, że to gatunek niezwykle nośny i mądry.

Kiedy dyskutowałem z autorami założenia antologii miałem jedną obawę. Tę mianowicie, że niektóre tematy będą na tyle kuszące i oczywiste, że sięgnie po nie dwóch, trzech pisarzy. Nie stało się tak. Może się zmówili, ale wolę myśleć, że to wybór autorów miał na to wpływ. Ale to, oczywiście, żart.

Oto Jacek Sobota mierzy się z arcytrudnym tematem społecznej cenzury. „Gumkowane” fragmenty skrupulatnie gromadzonej wiedzy o człowieku dokonują prawdziwych zmian w rzeczywistości. Trudno taki pomysł ubrać w fabularne ramy, ale Sobocie się udało.

Zbigniew Wojnarowski napisał bardzo Dickowskie w klimacie, poruszające matrixowe opowiadanie, wciągające niczym grawitacyjna studnia. Wojciech Szyda w krótkim przewrotnym tekście zajął się terroryzmem arabskim.

Grzegorz Janusz przekazał na rzecz antologii początkowy fragment swojej powieści, tym samym mam znowu w antologii część większej całości (odsyłam do zstępnika). Część niezwykle intrygującą,

bo pokazującą świat bez człowieka, gdzie jednak śladów po owym człowieku jest jeszcze całkiem sporo.

Michał Protasiuk w swoim opowiadaniu pokusił się o znalezienie przyczyny głębokich i wydaje się, że nie do zasypania, podziałów w społeczeństwach świata zachodu. Dzielą one społeczeństwa mniej więcej po połowie, powodując, że demokratyczne wybory wygrywa się głosami jednego hrabstwa. Podziały, gdzie dwie strony wprost zieją do siebie nienawiścią, nie są w stanie dojść do kompromisu – a nawet go nie szukają. Gdzie obok siebie żyją dwie „prawdy” i obie mają tyle samo zagorzałych wyznawców.

Paweł Majka zajął się emerytami, którzy będą musieli dorabiać do niskich emerytur działalnością w wirtualnym świecie. Dobre i poruszające opowiadanie. Eugeniusz Dębski napisał tekst o manipulacjach mediów i zakulisowych działaniach wewnątrz Unii Europejskiej. Krzysztof Kochański w zabawnym i bardzo magicznym opowiadaniu o tym, że zbrodnia nie popłaca, a kara zostaje wymierzona w najbardziej zaskakujący sposób.

Piotr Gociek w ciekawy sposób nakreślił historię wojny hybrydowej, która wkracza we wschodnie rubieże NATO, wojna nie-wojna, gdzie nie ma frontu, ale giną ludzie, życie się destabilizuje, a NATO i USA... no właśnie, nie zdradzajmy puenty.

Cezary Zbierzchowski w najdłuższym tekście antologii, głębokim i emocjonalnym, jako jedyny z autorów zajął się tym, czym żyje Europa od roku – uchodźcami i wędrowną ludów. Temat niezwykle trudny i z pewnością bardzo dzielący ludzi, rodziny i całe społeczeństwa. Temat wywołujący ekstremalnie skrajne uczucia – od współczucia po nienawiść. Autor napisał nowelę bardzo intrygującą, pokazując, że jest jednym z najciekawszych polskich fantastów.

Maciej Parowski zaproponował włączenie do antologii, jako novum, ciekawostkę, ale i znakomite uzupełnienie tematyki, paru komiksów narysowanych przez Tomasza Niewiadomskiego do scenariusza Grzegorza Janusza, tak dobrze znanych i cenionych z łamów „Nowej Fantastyki”. Sam Maciej napisał opowiadanie wierszem, o norweskim socjopacie Breiviku, wytworze naszych dziwnych czasów, demokracji, multikulti i poprawności politycznej. A impulsem do powstania utworu była wygrana przez Breivika sprawa w sądzie, gdzie skarżył rząd norweski o nieludzkie traktowanie.

Długo zastanawiałem się nad wyborem tytułu antologii. Są dwie szkoły – tytuł klamra, łączący, spajający wszystkie teksty i tytuł jednego z opowiadań. W sukurs przyszedł mi Marek Oramus, który dał właśnie tytułowe opowiadanie. Oramus pisze prozę ostatnio bardzo rzadko, a tutaj poszedł w klimaty nieco styczne z nowelą Zbierzchowskiego. Jak w słynnym odwróceniu przymierzy, *Renversement des Alliance*, Polska staje się przedmurzem cywilizacji chrześcijańskiej, ale nie broni jej przed inwazją ze wschodu, a przed najazdem islamu z zachodu.

Powstała dobra mieszanka treściwej problemowej fantastyki z rozrywką. Mam nadzieję, że będziecie przy lekturze dobrze się bawili, ale i zadumacie nad naszym pogmatwanym światem.

Wojtek Sedeńko

Olsztyn, 27 października 2016 roku

Zbigniew Wojnarowski

WEJŚCIE W HEBAN

*There is no spoon
Matrix*

Część 1.

SEL KARTASZ. STATUS: PRACOWNIK UMYSŁOWY

– Zabił mnie, kurwa!

Kartasz przywykł, że powitania, które tu słyszy, brzmią identycznie jak to zawołanie, a co najmniej podobnie. Żalose skargi umarłych były w Trupogonie jedynym przewidywalnym elementem.

Ich pierwsze słowa? Ostatnie? Nieważne. Ważne, że jedyne. Będą je powtarzali do znudzenia, gdyby któregoś z nich o cokolwiek zapytać. Ale nikt nie pyta. Po co? Wiadomo, że poza tym jednym truizmem nie mają żyjącym nic więcej do przekazania. Skończyli rachunki ze światem.

A reszta? Miłości i nienawiści, bóle i rozkosze, nie zamknięte pokrywy laptopów, przerwane w pół golenie, niespłacony kredyt, nie wciśnięty w porę hamulec?... Resztę trzeba już było mozolnie tropić w ciemnościach, które zasnuły ich życie jak przedwczesny zmierzch. To, co jeszcze na moment zostało – niknący cień myśli, dreszcz gasnącej emocji – stanowiło dla nich większą zagadkę niż dla tropicieli.

Odśpiewywali swoje egzekwie z kulą w sercu, z nożem pod żebrami, z częściami ciała rozrzuconymi przez samobójczy atak szaleńca. Po jakimś czasie nawet urwana głowa, która gada, nie robiła na tropicielach wrażenia. Rutyna.

Tentem Szokur, przedsiębiorca rekreacyjny, wykrwawiał się na skrawku pomarańczowego asfaltu.

– Wiem, że cię zabił. Leż spokojnie – odpowiedział machinalnie Kartasz, rozglądając się na boki. – Dorwę go!

Oczywiście jego słowa nie miały w tej chwili sensu, ale co to za różnica. Czy słowa „wieczne odpoczywanie” mają sens?

W kałuży krwi, która wypłynęła z rozbitej czaszki ofiary, odbijał się do góry nogami. Jakby zanurzył głowę w gorejącym szkarłatem piekle. Był

tam niewysokim, łysiejącym blondynem z zarysowującym się brzuszkiem czterdziestolatka.

Pracownik umysłowy – kiedyś to określenie pasowałoby jak ulał do takiej banalnej powierzchowności.

* * *

Zdarzało się, że wiedział, na co się natknie za rogiem ulicy, w nieznanym mu wcześniej zaułku. Wiedział, co ujrzy po przejściu bramy, za którą nigdy nie postawił nogi.

Tym razem było tak samo.

Wbiegł na podest ostatniego piętra. Ażurowa konstrukcja przypominała pokój bez ścian. Strop unosił się jak w stanie nieważkości, bo przecież nie była go w stanie podeprzeć samotna kolumna pośrodku. Schody wynurzały się z posadzki obok archaicznego zegara. Naprzeciw wyłupiastego oka cyferblatu ustawiono rokokowy fotel. Jaskrawa czerwień pluszu kłuła w oczy.

Za meblem, ujmując narożnik podłogi w kleszcze, kłębił się heban. Wyglądał na tapetę z czarnej mgły.

Kartasz nie miał pojęcia, czym jest heban. Nikt tego nie wiedział. Używano potocznej nazwy „heban” z braku lepszego określenia.

Jego widok powiadamiał, że tropiciel dotarł do krańca dostępnego świata. Dalej nikt się nie odważał zapuścić. Zresztą nie było powodu, jako że zbrodniarze nie uciekali w heban. Wiedzieli, że nie znajdą w nim schronienia. Też się go bali.

Tak jak nikt rozsądny nie wejdzie w ogień, bo mimo braku doświadczeń w tym zakresie – wie, co będzie dalej.

Wokół zamkniętych drzwi po prawej nie było ściany. Futryny sterczały w architektonicznej pustce, za krawędzią mozaikowej posadzki nikał wąwóz położonej w dole ulicy. Zaniesiona śmieciami, wrakami pojazdów, jak zawsze. Naprzeciw ślepe okna ponurych kamienic, jakby zaciągnięto w nich kamienne firanki. Bezludnie. Tylko zapach smażenia, kopia, gnijących kwiatów, tylko echo głosów i melodii.

Wyglądało na to, że tutaj trop się urywa, drzwi prowadzą w przepaść miejskiego kanionu. Ale Kartasz wiedział, że to pozór. Jego zdolność

przewidywania, uaktywniająca się w Trupogonie, była czymś godniejszym zaufania niż intuicja. Teraz mówiła mu, że jeśli naciśnie klamkę, nie runie w dół. Za drzwiami znajdzie łącznik, lśniący seledynem kafelków.

Na razie go nie widać, nie sposób się domyślić jego istnienia, ale on tam jest. Wystarczy się poruszyć – i ujawni go zmiana perspektywy. Będzie taki jak korytarze na zapleczu miejskich basenów.

Do penetrowania Trupogonu trzeba talentu, jak do malowania obrazków czy do tresowania gołębi. Zdolności pasażu.

Nie każdy się nadaje.

Kartasz otworzył kopniakiem drzwi zawieszane w pustce i pobiegł połyskliwym seledynowym tunelem.

W wyłożonej glazurą wnęce stał stolik, krzesło, pomiędzy nimi unosił się w powietrzu plastikowy kubek. Gdy Kartasz na niego spojrzał, kubek podniósł się w niewidzialnej ręce ku niewidzialnym ustom.

I raptownie podskoczył.

Nie dalej niż kilkanaście godzin temu ktoś przebiegający tędy jak teraz Kartasz potracił pijącego i wychlapał na niego zielonkawy napój. Takayo z limonką, zdaje się.

Bryzgi spłynęły po niewidzialnym obłym kształcie nad krzesłem. Damskie udo – rozpoznał Kartasz, biegnąc co tchu. Nie zatrzymał się. Nie było potrzeby, żeby uwzględniać tego świadka. On niewiele wiedział. A raczej ona. Jakaś kobieta.

Aczkolwiek powidoki zdarzeń, na które się natykali tropiciele, miały swą wartość. Potwierdzały, że są na tropie.

Cały ten świat był powidokiem prawdziwego świata.

Kartaszowi wpadł w oko ogrodowy fotel z wikliny – uginający się, jakby ktoś na nim siedział – i poczuł skurcz w gardle. Odwrócił się, żeby nie patrzeć. To było typowe przebicie. Znajomy, nieistniejący od lat fotel babki Anty i babka Anta, gdy żyła. Zanim odłamek labilnej bomby trafił ją w głowę. Niewidzialna teraz jak duch.

Na oparciu fotela ktoś wypisał sprayem liczbę 22.

Tego tam nigdy nie było. Pamiętał.

Ale czasu na analizowanie liczbowego fenomenu też nie było. Kanalia, którą Kartasz ścigał, ukryła się w najbliższej okolicy. Przed jego oczami przemknął Mglisty, przez którego ciało przeświecały cegły zmurszałego muru po przeciwnej stronie uliczki. Mglisty miał na sobie płaszcz do kolan,

wiązaną pod brodą czapkę i okrągłe okulary. Uciekał w panice. To był znak, że Kartasz jest opodal celu.

Rozejrzył się, szukając wzrokiem wskazówki. Któryś z Nieprzejrzystych powinien się już kręcić w zasięgu wzroku.

Najpierw usłyszał krzyk.

Jak spod ziemi. W tamtym miejscu jedną z chodnikowych płyt usunięto i dziura otwierała drogę na niższą kondygnację.

Elektryczne światło przeświecało od spodu przez zielonkawą wodę. Kanał. Nie było innej możliwości, niż skok z wysokości kilku pięter.

Lodowata toń zamknęła się nad Kartaszem, zanim poczuł strach. W jego uszach zalegał szum. Dobił do oblodzonego dna, śliskiego jak porcelanowy talerz, i odepchnął się od niego podeszwami.

Złapał oddech.

Stromy brzeg wystawał ponad jego głowę na trzy metry. Żadnego punktu zaczepienia. Był na tyle starym wygą, że potrafił sobie radzić z podobnymi niespodziankami. Nie zastanawiał się, jak to robi. Koza też się nie zastanawia, co zrobić, gdy przyjdzie jej ochota podskoczyć. Po prostu podskakuje.

Kartasz przyłożył dłoń do mokrej powierzchni. Potem drugą dłoń do kolana. Z grubsza biorąc wyglądało to tak, jakby na jego życzenie pion zamienił się miejscami z poziomem, po którym bez problemu przeszedł na czworakach, ociekając wodą z kanału. Na rancie nabrzeża wszystko wróciło do normy jak na pstryknięcie palcem.

Na dodatek zdążył już wyschnąć. Było mu ciepło.

Rząd iluminatorów dziurawił ścianę, sterczącą w niedostrzegalne stąd niebo jako przygnębiająca ogromem płaszczyzna z betonu. Za iluminatorami widniała otwarta przestrzeń. Ni to bezkresny trawnik, ni przystrzyżony pod linijkę step. Kątem oka Kartasz zobaczył na horyzoncie wieżowiec, który rozpadł się w rój czarnych punkcików, a na jego miejscu zakołysał się słup hebanu.

Czas uciekał.

Pobiegł wzdłuż omszałej niecki. Wibrujący wrzask tłukł się o ściany kolektora. Był coraz bliżej.

Następny poziom. Woda spadała z grani spienioną kaskadą.

Nieprzejrzysty, z twarzą podobną do psiego pyska, wyprężony ku przodowi, jakby trzymał go niewidzialny łańcuch, stał na unoszącej się

w powietrzu platformie i darł się wniebogłosy. Na jego piersi koszulka ze zdjęciem siwowłosej Juno Temple rozdymała się od histerycznego wrzasku niczym nadmuchiwany balon.

Kartasz zeskoczył na platformę.

Pod wodospadem kryła się kolejna, a na niej dostrzegł coś, co przypominało wejście do grotty. Zapewne te słowa nie oddawały istoty rzeczy. Ani grotta, ani wejście.

Oczy Nieprzejrzystego wbijały się w ten otwór, co było jasną wskazówką, że należy tam przeskoczyć.

Platforma, na której obaj stali, zjeżdżała w dół jak winda, odkąd Kartasz dotknął jej stopami. Powrót na górę odpadał. Trzeba by surfować w powietrzu na sporą wysokość. To się rzadko udawało. Pozostawał skok na sąsiedni pomost.

Starał się nadać ciału rotację, jak karabinowemu pociskowi. Na szczęście platforma z grotą także jechała w dół i była poniżej poziomu, z którego skoczył. Zdołał jej dosięgnąć.

Przylgnął do gładkiej powierzchni czubkami palców, jakby był gekonem, a nie człowiekiem.

Takich jak on nazywano pracownikami umysłowymi, ponieważ w razie potrzeby ich umysł potrafił jak na zamówienie wygenerować użyteczne cudenka. Nic nie było przesądzone.

Ale jak z tego wynikało – nic nie było też pewne.

Wisiał na platformie, przebierając nogami. Starał się zaczepić stopą o krawędź i wspiąć wyżej.

Przekrzywił głowę. Dopiero z tego miejsca mógł dostrzec, co znajduje się poniżej jego butów, bezładnie majtających w pustce. Sto metrów głębiej było ciemno jak w studni. Nie dlatego, że rozproszone zielonkawe światło nie docierało w głąb otchłani.

Było gorzej. W dole kłębił się heban.

* * *

Wyobrażał sobie, co się teraz musi dziać w sztabie.

– Niedobrze! – mruczy polmed Zelcer. – To pachnie ewakuacją w trybie awaryjnym!

Leniwym ruchem odsuwa na skraj biurka zapiekankę z wbitym w nią plastikowym widelczykiem.

Renard chowa do kieszeni czytnik, na którym przeglądał wyniki psych wyścigów. Zerka w ekran monitora. Bez pośpiechu, tak jak Zelcer. Przesuwa wzrokiem po oknie pulsacji. Pełznące linie wykresu przestały się pokrywać. Zielona strzela w górę i w dół osi coraz ostrzej, za to czerwona z wolna przybiera spłaszczony kształt.

Widzą, że w Trupogonie dzieje się coś niepokojącego.

Renard zerka spod oka na łysawego mężczyznę, wyciągniętego z zamkniętymi oczami na wąskiej kozetce. Na jego piersi bieleje identyfikator: „Trop. Sel Kartasz”. Oddycha równomiernie, nie poci się, niebieski znacznik pasażu pulsuje na jego skroni. Raz czy dwa zadrgał kącik ust, poza tym twarz ma ten sam beznamiętny wyraz gipsowej maski pośmiertnej.

– Co się kroi?

– Skąd mam wiedzieć! Zgodnie z normą... Coś!

Żaluzje w okienku ambulansu są niedomknięte, więc Renard widzi na zewnątrz śmietnik na zapleczu Tersinu.

Na kracie wentylatora siedzi bury, spasiony kocur.

Leżącego na asfalcie denata nakryto czarną folią, obok przycupnął na blaszanym pudle po krewetkach sierżant z wydziału zabójstw. Pali papierosa. Gapi się ze znużeniem w czubki butów. A na co ma się gapić? Niebieski odbiornik pasażu podpięty do skroni nieboszczyka nie przygasa, rytmicznie filuje. Jest okay. Tentem Szokur, przedsiębiorca rekreacyjny, nie sprawia kłopotu stróżowi prawa. Odszedł z tego wesołego świata. Już nie dla niego nad szklanymi stropami wielkiego gmachu barwi niebo łuna iluminacji, które rozświetlają handlowe centrum Tersinu od frontu.

Jedną z dobrych stron Trupogonu jest fakt, że hasło „awaryjna ewakuacja” nie powoduje nerwowego pośpiechu w ekipie nadzoru. Czasy nie pokrywają się w skali jeden do jednego. Jak we śnie. Zasypiasz w przedziale pociągu, śni ci się tysiąc zdarzeń i tysiąc osób, a gdy budzi cię szarpnięcie wagonu, za oknem wciąż jeszcze przesuwają się tablice z nazwą peronu. Prześniłeś pół życia między jednym a drugim stuknięciem kół.

Tak samo płynie czas w Trupogonie.

Tylko śmierć jest identyczna tu i tam.

Jeśli awaryjna ewakuacja się nie powiedzie, tutaj, na kozetce, po prostu zatrzyma się twoje serce i nie pomoże fachowa reanimacja. Zostanie trup, nie różniący się niczym od trupa przeciętnego zawałowca. Tropiciele, którzy podpiąłby się do twoich zwłok – też skończy na zawał.

A tam, w Trupogonie? Ekipa ratunkowa nigdy się nie dowie, jak tam zginąłeś. Kto miałby im o tym powiedzieć?

W Trupogonie jesteś sam. Nie ma świadków, nie ma twoich śladów. Nie przetrwa prawda, nie zrodzi się legenda. Rozwiejesz się w pył, w proch, nic po tobie nie zostanie. Ani ciało, ani dusza.

Może zamienisz się w heban?

* * *

Dostrzegł wysuwające się z dołu ostrza.

Aha, to na nich miałby zginąć, gdyby nie starczyło mu sił i odpadłby od platformy. Nabity jak motyl na szpilkę wykrwawiłby się nad pulsującą magmą hebanu.

Nie da się wejść w niego wbrew własnym chęciom. Trzeba chcieć. Może do tej pory zdarzył się ochotnik, kto wie, ale pamięć o nim nie przetrwała. Tropiciele, którzy przeżyli, nigdy nie dopadła taka chętka. Zgodnie to poświadczali. Unikali hebanu. Jak mech obrastał te obszary świadomości denata, gdzie śmierć zagnieździła się na dobre. Tam już wszystko umarło, przestało istnieć i została tylko ona. Śmierć w czystej postaci.

Co to znaczyło w Trupogonie?

Tego nikt nie wiedział. Nikt nie próbował doświadczalnie rozwiązywać tej zagadki. Pełen respekt.

Las ostrzy rósł. Piął się ku młócącym powietrze stopom Kartasza. Zbliżał się bez pośpiechu, ale nieustannie. Jeśli Mahomet nie przyjdzie do góry, góra przyjdzie do Mahometa.

Kartasz desperacko machnął ręką nad głową, potem drugą. Uchwycił krawędź zgiętymi na kształt szponów palcami.

Udało się.

Przez chwilę leżał na plecach, odparowując strach, zanim ruszył w stronę wlotu, czerniejącego po drugiej stronie platformy.

Ostrożnie stawiał kroki, jak zwykle, gdy finalizował pasaż. Poszło gładko, więc nie chciał na koniec speprzyć sprawy. Obawiał się, że z groty coś wyleci, wyskoczy, wybuchnie mu pod nogami...

Ale nic się nie stało.

Pochylił głowę, żeby się zmieścić w korytarzu, uformowanym na kształt żebrowanej rury. Nie był długi i nie miał drugiego wylotu. Kończył go betonowy sześcián.

Z szaroburej klatki cuchnęło zgnilizną. Śmieciami.

Kartasz zobaczył go tam skulonego w kącie.

Siedział w kukki i trzął się ze strachu.

Zabójcy wyglądają zwykle jak Nieprzejrzyści, ale nie ma problemu z ich rozróżnieniem. Wie się od pierwszego rzutu oka, że to ten skurwiel. Kanalia, za którą trzeba się było nabiegać po Trupogonie do siódmych potów. Wieczorem będzie się lżejszym o trzy, cztery kilo, choć *de facto* to nie była fizyczna harówka.

Dzisiejszy zabójca nie miał twarzy.

Kartasz spodziewał się tego, bo cios został przez niego zadany od tyłu. Miał za to szczątkowy otwór gębowy. Widać coś pokrzykiwał, waląc ofiarę łomem w głowę. Został przez nią usłyszany. Gdyby milczał, jego usta byłyby teraz zarośnięte.

Śmierdziel w powyciąganym swetrze na grzbiecie. Na widok tropiciela podniósł się z zaciśniętymi pięściami, ale nie był zdolny do oporu.

Zasłonił się tylko bojaźliwie, gdy Kartasz przydusił go kolaniem do betonowej podłogi. W tym momencie gdzieś w dali ucichł wrzask Nieprzejrzystego. Spadająca z grani woda huczała w uszach.

– Jak się nazywasz, gnojku? – zapytał Kartasz.

Otwór gębowy w pustej twarzy krzywił się groteskowo, wydobywając z siebie chrapliwy głos:

– Nie wiem.

Kartasz tradycyjnie zaczynał od tego pytania, bo często sprawa była prostsza niż się zdawało. Jeśli znali swoje nazwisko i adres, niczego więcej nie było trzeba. Ale z tym sukinkotem nie poszło tak łatwo.

Zadał mu parę rutynowych pytań.

Czego chciał od ofiary? Czy znał ją wcześniej? Czy miał w planie zabójstwo, czy to był uboczny skutek rabunku?

Tamten nie umiał odpowiedzieć. Plątał się.

Był zdania, że zaatakował, bo ofiara wkurzała go wyglądem. Zbyt wypasionym. A może pewnym siebie zachowaniem. Zbyt swobodnym. Ale mógł się co do tego mylić, rzecz jasna. Domyślne motywy zawsze pozostawały wątpliwe.

Kartasz obejrzał jego ręce, stopy, uniósł brudny sweter do góry, żeby pod niego zajrzeć. Żadnego punktu zaczepienia. Facet miał tatuaż wokół nadgarstka, liturgiczny wężyk. Takich tatuaży były na świecie miliony. Miał też liczbę „22” wytatuowaną pod łopatką.

Takich tatuaży nie było w ogóle.

Ostatnio podczas pasaży w Trupogonie Kartasz często natykał się na tę liczbę. Z powodu absurdalnej zbędności, z jaką się afiszowała, wyglądała na przebicie. Ale czy mogła być przebiciem jak babka Anta lub cokolwiek, co wdzierało się za Kartaszem do Trupogonu jako echo jego prywatnego życia? Jego rzeczywistego istnienia?

Z niczym mu się nie kojarzyła. Żadne urodziny, wiek dziecka lub kochanki, miejsce na dowolnej liście, numer domu... Nic z tych rzeczy. Liczba „22” nie odegrała w jego prawdziwym świecie żadnej istotnej roli.

W każdym razie nie pamiętał, żeby tak było.

Powąchał znalezionej menela. Specyficzny smród. To się mogło przydać przy poszukiwaniach. Ryby, smar, rdza, woda morska... Szedłby o zakład, że dupek pracuje w porcie albo mieszka w jego pobliżu.

– Co krzyczałeś, jak zabijałeś? Słowo w słowo.

– Ani się rusz, bo zdegniesz! – wrzasnął posłusznie.

– „Zdegniesz”? – upewnił się Kartasz. – Co znaczy „zdegniesz”? Zdechniesz?

– Tak, zdechniesz. Mam wadę wymowy i nie mogę tego poprawnie wymówić.

Tyle musiało wystarczyć.

Trzy krzyżowe cechy to całkiem bogaty urobek, nie zawsze można się takim pochwalić. Facet kręcący się w okolicach portu, mający tatuowanego wężyka na nadgarstku i wyraźnie słyszalną wadę wymowy. Resztę zrobią testy DNA.

Tatuaż z liczbą dwadzieścia dwa Kartasz pomijał. Nie zamierzał umieszczać go w raporcie. Cały czas był zdania, że to forma przebicia – chociaż za skarby świata nie umiał odnaleźć jego źródła w realu.

– Spieprzaj! – zarządził.

Na pożegnanie sprzedał kanalii solidnego kopniaka w zadek. Za karę. To nie było konieczne, ale poprawiało samopoczucie. Chwilowo zaspokajało palącą potrzebę sprawiedliwości.

Teraz ewakuacja z Trupogonu, sporządzenie raportu ustaleń, a już policja municypalna dokończy robotę i dopadnie gnojka w realu. Miejmy nadzieję, że tak będzie, bo tylko w realu on może zawisnąć za to, co zrobił.

Tu, w Trupogonie, go nie ma.

* * *

W przypadku Kartasza zawsze było miasto. Na pół rzeczywiste, na pół realne. Jak z surrealistycznego obrazu.

Każdy tropiciel miał to inaczej – przy pierwszym pasażu dowiadywał się, dokąd trafił, i tak zostawało. Opcje indywidualne. Ganiali zbrodniarzy po lasach, pustyniach, górach, w lokacjach jak z przygodówek, w średniowiecznym świecie albo w pejzażach obcej planety. Istny sen wariata.

Zbrodniarze kryli się w zakamarkach umarłego mózgu ofiary. Trupogon miał w sobie domieszkę żywego umysłu tropiciela. Stąd ten niepowtarzalny koktajl.

Wszechstronna, prawdziwie szekspirowska zbiornica światów i zbrodni.

Jedynym wspólnym elementem był heban.

Pojawiał się w każdej z wyimaginowanych lokacji, bo każda z nich powstawała na pograniczu śmierci. A on – czymkolwiek był – z niej się wykluwał.

Cała reszta miała więcej wspólnego z rozwiązywaniem rebusów niż z metafizyką. Może lepszym słowem niż „rebus” byłoby „przesłuchanie”. Tropiciel przesłuchiwał wprawdzie tylko jednego świadka zbrodni, ale najlepiej poinformowanego. Ofiarę zabójstwa.

Czasem dopadało się mordercę, który był znany ofierze z imienia i nazwiska, a choćby z widzenia. Wtedy robota była prosta: spisać dane i przekazać. Gdy zabójcą okazywał się ktoś przypadkowy albo dobrze zakonspirowany – rzecz się gmatwała. W końcu zbir w Trupogonie był jedynie fantomem. Domyślnym obrazem ukształtowanym w świadomości ofiary zabójstwa, w ostatnim przebłysku jej gasnącej myśli. Sumą

szczątkowych obserwacji, przerażenia i śmiertelnego obłądu. A także tej niepojętej intuicji wyzwalonej przez śmierć. Przez tchnienie ostateczności.

Żeby to poskładać w całość, trzeba było talentu tropiciela. Trzeba było dokształcających skryptów z medycyny, psychologii, wiktymologii, prawa i dziesiątków dziedzin, które tropiciel studiował po nocach. Bo w gruncie rzeczy to była forma magii, autohipnoza, sterowany odlot, więc nigdy nie było wiadomo, co się przyda. A nuż zasuszona kurza łapka, a nuż krew nietoperza lub dziewicy, czary-mary...

Ale najważniejsze było osiemnaście godzin. Żelazna reguła, od której nie istniały odstępstwa.

Rozśpiewał się vizar, więc Kartasz odebrał po omacku. Leżał już w łóżku i zasypiał. Na ekranie pojawił się tropiciel Strebel Lazarus. Siedział w półmroku, ciasno skadrowany, jakby zamknął się w klatce. Za jego plecami pływały na jakiejś umazanej szybie światła nocnego miasta.

– Spotkajmy się! – zaproponował bez wstępów.

– Dziś?

– Zaraz. Zdążysz?

Kartasz usiadł na łóżku z ciężkim westchnieniem.

Włączył lampkę na stoliku, jakby miał nadzieję, że jej blask w ciemnościach pokoju wyjaśni mu więcej niż nerwowe słowa Lazarusa.

– Jak to zdążyć? – ziewnął.

– Czekam w samochodzie przed domem. Masz pięć minut.

Łączył się przez asekurowany modem, a mimo to wyrażał się oględnie. Coś było na rzeczy. Lazarus nie należał do panikarzy, więc jeśli kazał się spieszyć, należało to traktować dosłownie.

Kartasz wciągał na siebie ubranie i cesał się pięcioma palcami, nie przerywając połączenia.

– Co się stało?

Miał wrażenie, a może faktycznie to usłyszał, że głos Lazarusa zmienił na moment barwę. Załamał się w pół słowa.

– Zamordowano Madę – odpowiedział. I natychmiast dodał zwykłym tonem, bez śladu poprzedniej desperacji: – Dwadzieścia trzy godziny temu,

jak stwierdził lekarz. Ale dopiero przed godziną z hakiem znaleziono ciało. Przywieźli je śmigłowcem.

Mada była ukochaną córką Lazarusa, jedynaczką. W przyszłym miesiącu miała brać ślub, o ile Kartasz dobrze pamiętał. Była zakochana i szczęśliwa. Tak jak jej wniebowzięty ojciec.

Kartasz mimowolnie wstrzymał oddech.

Wyobrażał sobie, co tamten musi przeżywać.

Ale nie umiał się domyślić, po co dzwoni.

Nie mogło chodzić o pasaż. Minęły dwadzieścia trzy godziny od śmierci Mady, jak powiedział. Uruchomienie procedury to kolejna godzina. Łącznie pełna doba.

Powyżej osiemnastu godzin pasaż był zabroniony z powodu „przekroczenia dopuszczalnego ryzyka”. Stan pośmiertnego rozkładu mózgu ofiary zaburzał świadomość tropiciela. Za naruszenie tego obostrzenia była przewidziana surowa kara w kodeksie, choć w zasadzie teoretyczna, bo nikt normalny nie porwałby się na podobne szaleństwo.

– Ile godzin? – zapytał Kartasz. – Dwadzieścia trzy?

Spytał o to dla świętego spokoju. Żeby usłyszeć potwierdzenie. Ale po odpowiedzi Lazarusa jego spokój prysnął.

– Wyjdź z domu. Nie trać czasu. Nie przekonuj mnie.

A więc jednak. Rozpacz odebrała mu zdolność rozpoznania sytuacji. Chociaż kto wie? Skoro zwracał się do Kartasza, musiał sobie zdawać sprawę, że sam nie podoła temu zadaniu. Nie w swoim obecnym stanie emocjonalnym. Ale czy brak sił do zawiązania sznura na belce upoważnia nas do poproszenia kolegi, żeby się powiesił za nas?

– Nie rozumiem! A właściwie nie wierzę! Chcesz, żebym w tych okolicznościach wszedł w pasaż?

Oczy Lazarusa zalśniły w ciemnościach ekranu jak oczy głodnego wilka.

– Zwariowałeś? Nie budzę cię po nocy, żeby ci się wypłakać w mankiet, że się boję. To moja sprawa i tylko moja. Ja wejdę. Ale potrzebuję asysty przy sprzęcie. Po dwudziestu czterech godzinach ekipa nadzoru nie ruszy palcem. Zamkną mnie, żebym się uspokoił i zaczął logicznie myśleć!

– A tak myślisz? – zapytał Kartasz odrobinę zbyt impulsywnie. – Rozumiem twoją sytuację, współczuję ci, ale... Weź na wstrzymanie! Tego nigdy dotąd nie było. Dwadzieścia cztery godziny! Policzyłeś to sobie? Nie osiemnaście i pół, nie dziewiętnaście! Sześć godzin po terminie. Jeden

wielki heban! Może wciąż jeszcze z przebłyskami, cholera wie, ale co to zmienia. O co ty mnie prosisz? Żebym patrzył, jak się owijasz laseczkami dynamitu i podpalasz lont?

Lazarus wycelował palec w kamerę.

– Widzę, że się ubrałeś, Sel, więc zdążysz, o ile wyjdiesz z domu bez zbędnego gadania – powiedział sucho. – Śmierci Mady też nigdy dotąd nie było. Co mam do stracenia? Podsuniesz mi dobry pomysł? Nie sądzę. Dla mnie wszystko już teraz się źle skończyło. Gorzej nie będzie. A przynajmniej mogę jeszcze dopaść bydlaka, który jej to zrobił!

Do Kartasza z wolna docierało, że go nie powstrzyma.

Lazarus nie był w stanie odpuścić. Tyle razy wchodził w pasaż dla zupełnie obcych ludzi, a teraz miałyby tego nie zrobić dla ukochanej córki? I dlaczego? Z takiego błahego powodu, że czekała tam na niego śmierć?

* * *

Lazarus zabrał do pomocy żonę, ale to nie był dobry pomysł. Non stop płakała. Miała czerwone oczy, czerwony nos, kryła obrzmiałą twarz w higienicznych chusteczkach. Wyrzucała zużytą, mokrą od łez, wyszarpywała z opakowania świeżą – i tak w kółko.

Skoro już była, Kartasz zamierzał ją posadzić przy ciele córki, żeby obserwowała odbiornik pasażu, podpięty do skroni nieboszczki. Prosta, rutynowa robota, zazwyczaj wykonują ją policjanci, których ekipa zastała na miejscu zbrodni. Ale to się okazało złym pomysłem. Żona Lazarusza nie mogła siedzieć przy córce, bo przyplaciłaby ten widok nerwowym atakiem. Ciało Mady było zmasakrowane, pozbawione nóg, nawet szczelne nakrycie go kokonem z folii nie maskowało tego koszmaru.

– Ona wpadła pod pociąg! – orzekł Kartasz, gdy ujrzał wyjęte z vana zwłoki. – To był wypadek, a nie morderstwo!

We dwóch wnieśli Madę do garażu, w którym stał jeden z ambulansów. Miał żaluzje w oknach i wielkie litery EA na rozsuwanych drzwiach. Kartasz był trzecim tropicielem, do którego Lazarus się zwrócił. Dwaj poprzedni mu odmówili. Nie chcieli mieć nic wspólnego z akcją zrozpaczonego ojca.

– Nie wpadła pod pociąg – zaprzeczył stanowczo Lazarus. – Najwyżej ktoś ją pod niego wepchnął. Dlaczego nikt tego nie zauważył? Dlaczego szukali jej przez tyle godzin? Dlaczego leżała pod wiaduktem sto kilometrów stąd, skoro nigdzie się dzisiaj nie wybierała? Nie, chłopie, nie wpada się tak sobie pod pociąg na miesiąc przed własnym ślubem!

Oczywiście pod pociąg wpada się na trzy godziny przed własnym ślubem albo w pięć miesięcy po nim, jak popadnie, ponieważ rodzinne uroczystości nie wykazują śladu korelacji z kaprysami losu. Ale kto mógłby przekonać otepiałego z bólu Lazarusa, że bredzi. Że opowiada nonsensy, które w innym przypadku byłyby po prostu śmieszne.

W każdym razie Kartasz nie zamierzał go o tym przekonywać. Miał wobec niego dług wdzięczności. To on wszedł w pasaż po śmierci babki Anty. Jej kochającego wnuka nie było akurat w mieście. Inna rzecz, że Lazarus ryzykował wtedy nie bardziej niż zwykle. Od zgonu minęły dwie godziny.

Ale z drugiej strony – teraz wybierał się do Trupogonu osobiście. Kartasz miał tylko patrzeć na wykresy i klikać w ikonki. Jego ryzyko było jeszcze mniejsze. Bezradnie popatrzy na śmierć kolegi, a raczej na jej nieprzenikniony ideogram – i w efekcie dostanie za to wyrok w zawieszeniu.

W imię koleżeńskiej solidarności.

Lazarus i tak wejdzie w heban, skoro tego chce. Jeśli wszyscy mu odmówią, na chybcika podszkoli żonę. Napisze jej na kartce, gdzie ma położyć wskazujący palec i kiedy go przycisnąć. Jak tresowana małpka. W najgorszym razie wyuczy punktów procedury pierwszego lepszego menela z miasta i każe mu się wyprawić do Trupogonu za butelkę wódki.

Do czasu, zanim dopnie swego, minie trzydzieści godzin albo czterdzieści.

Dajmy na to, że teraz jest pięć, dziesięć procent szansy na przeżycie. Lazarus to doświadczony tropiciel, wyszedł cało z niezliczonych opresji. Ale za parę godzin nie zostanie ani jeden procent. A raczej zostanie stuprocentowa pewność. Jak przy skoku na główkę z wysokościowca.

Minęła druga w nocy.

Raz kozie śmierć! Małe pół godziny i będzie po wszystkim, niezależnie od tego, ile potrwa pościg w Trupogonie.

Kartasz spojrział na leżącego na kozetce Lazarusa. Ten był już gotów. Nie czekając na pomoc, sam się podpiął do aparatury i niecierpliwie wskazał ręką w stronę świecącego białym oknem monitora.

– Nie módl się teraz, chłopie! – ponaglił Kartasza. – Wpuść mnie! Idę!

* * *

Ekipa nadzoru sprawiłaby się lepiej. Dotychczas Kartasz działał jako praktyk, a tu przydawała się raczej teoria. Ale swoje przeżył w Trupogonie, swoje wiedział. Tyle powinno wystarczyć do sprawnej ewakuacji w razie zagrożenia.

Obawiał się jednak, że nie będzie ewakuacji.

Zdarzy się coś, co ją uniemożliwi. Niewiadoma przeszkoda sprawi, że przegrają, on i Lazarus. To kwestia czasu.

Na koniec Kartasz z opuszczonymi rękami usiadł w bezprawnie aktywowanym ambulansie, mając z jednej strony rozpaczliwie łkającą kobietę, a z drugiej martwego mężczyznę po zawale. Zaczeka na przyjazd policji, którą już wkrótce sam wezwie.

Ale na razie było jeszcze dobrze.

Zielona i czerwona linia wędrowały po ekranie monitora w pełnej zgodzie.

W Trupogonie Lazarus usłyszał już bez wątpienia sakramentalne powitanie: „Zabił mnie!”. Aczkolwiek tym razem ofiara mogła mieć na myśli pociąg albo maszynistę.

Zakładając, naturalnie, że tropiciel zaraz na pierwszym kroku nie wdepnął w heban. Że zniósł widok koszmarnie okaleczonej córki, leżącej we krwi i zwracającej się do niego jak do obcej osoby. Spokojny przebieg wykresu sugerował, że mogło tak być. Sytuacja zdawała się rozwijać rutynowo.

Podczas pasaży Lazarus tropił w jakichś nierealnych, zawianych śniegiem podbiegunowych osadach. To był jego lokowany świat, rozmawiali o tym z Kartaszem wielokrotnie. Dzielili się doświadczeniami. Więc Lazarus brnął teraz przez kopny śnieg, rozwalał siekierą drzwi drewnianych chat, które dryfowały na krach po nienazwanym sinym morzu...

Obie linie na monitorze podskoczyły raptownie, ale nie rozeszły się. Sygnalizacja. W Trupogonie miało miejsce zdarzenie, które nie odbiegało charakterem od podobnych mu zdarzeń. Tyle mówił wykres. Normalka.

Co to mogło być?

Bądź mądry i pisz wiersze!

Realny Lazarus leżał na kozetce z niebieskim znacznikiem, rytmicznie pulsującym na skroni, z twarzą zamienioną w nieprzeniknioną gipsową maskę.

Wciąż jeszcze było jak zwykle.

„Podbiegunowe okolice, śnieg, mróz, konserwy... – pomyślał Kartasz, jakby zebrało mu się na żarty. Uboczny efekt napięcia. – Mróz konserwuje. Może pod biegunem heban potrzebuje więcej czasu, żeby się rozplenić! W końcu śmierć to gnicie, rozkład, a lodówka jest na to świetnym antidotum”.

Ale tak nie było, dobrze o tym wiedział. Regulaminy stwierdzały jednoznacznie, że niezależnie od warunków zewnętrznych, w jakich przebywały zwłoki, granica osiemnastu godzin jest nieprzekraczalna. Nawet na własne ryzyko.

Żona Lazarusa nie płakała. Z napięciem patrzyła na zmieniające się w terminarzu cyfry, które Kartasz kazał jej obserwować. Nic nie wynikało z tego jej patrzenia, ale nie wiedziała o tym. Uspokajał ją fakt, że jest potrzebna. Przydatna. Coś od niej zależy.

– Wszystko w porządku? – odezwała się do Kartasza.

– Tak – potwierdził. – Proszę uważać na licznik. Jeśli zbliży się do pięciuset, niech pani alarmuje.

– Jest dziewięćdziesiąt sześć.

– Dobrze – skwitował.

Liczba rzadko zbliżała się do dwustu. To był prawdopodobny – tylko prawdopodobny – pomiar czasu mijającego w Trupogonie. Licznik wirtualnych minut. Nie miał większego znaczenia dla losu tropiciela, ale Kartasz chciał czymś zająć tę rozdygotaną kobietę. Nie zamierzał z nią rozmawiać.

Dręczył go własny niepokój.

„Osiemnaście godzin...” – pomyślał po raz kolejny.

Co to właściwie znaczy? Kto to sprawdził? Na jakiej podstawie ustalił? Dlaczego on sam nigdy się nad tym nie zastanawiał? Pewnie dlatego, że nie

zamierzał przekraczać linii granicznej. Ale kto wie, może to jest tak jak z terminem przydatności do spożycia, umieszczonym na opakowaniu produktów żywnościowych. Jeśli zjesz coś tydzień po terminie – to jeszcze nie znaczy, że się zatrujesz. Istnieje określona tolerancja czasowa, wkalkulowana przez producenta. A na dodatek możesz mieć zdrowy, odporny żołądek, którego nie ruszy byle zepsute żarcie...

Po tej stronie minęło osiem minut, odkąd Lazarus wszedł do Trupogonu. Obie linie wciąż posuwały się łeb w łeb i Kartasz wmawiał w siebie nadzieję, że los obdarzył nieszczęsnego ojca strusim żołądkiem. Nie struje się cholernym hebanem.

Usiłował zignorować wieloletnie doświadczenie tropiciela, które mówiło mu, że się myli. Bierze zachcianki za możliwości. Nie da się bezkarnie wejść w heban. Lazarus bez wątpienia zapłaci rachunek, nie uniknie tego, bo rzeczywistości nie sposób zaklinać bez końca i bez konsekwencji.

Jedyne pytanie – jak słony to będzie rachunek?

Wytarł twarz i szyję papierowym ręcznikiem, ale czuł nieprzyjemną woń swojej przepoconej koszuli. Wstał od podświetlonej konsoli, żeby zerknąć w okno. Za otwartymi żaluzjami widać było zwłoki Mady, leżące na noszach obok ambulansu.

Zawrócił na pięcie, zanim się im przyjrzał.

Czujnik aktywności nadał modulowany sygnał, a później przeszedł na ciągły impuls.

Żona Lazarusa skoczyła na równe nogi.

– Alarm? – zapytała nerwowo.

Pochylony nad konsolą Kartasz prawie dotykał nosem ekranu monitora.

– Tak – potwierdził krótko.

– Ewakuacja?

– Tak.

– Coś mu się stało?

– Nie wiem jeszcze.

Zielona linia zeszła ku dołowi ekranu, czerwona pozostała w trybie sinusoidy. Migotała. Kartasz przyglądał się temu z niedowierzaniem.

– Róbmy coś! Proszę pana! Musimy!

Żona Lazarusa stała za jego plecami. Czuł na swoim bicepsie jej kurczowo zaciśnięte palce. Trzęsła się jak w febrze, ten dygot udzielał się jego ramieniu.

– Spokojnie – powiedział.

Nie odesłał jej do śledzenia nieistotnych wskazań licznika. Jej zachowanie już mu nie przeszkadzało. Było po wszystkim. Jeszcze raz sprawdził parametry wyświetlane na pasie kontrolek w blacie konsoli i zamknął oczy.

Odetchnął głęboko, niemal spazmatycznie.

– Co teraz? – Kobieta wisiała na jego ramieniu. – Ile mamy czasu? Ściągnie go pan awaryjnie?

Nie wiedziała wszystkiego. Nie знаła rozmiarów ryzyka. Odchodząc do Trupogonu, Lazarus pozostawił ją w zbawiennej nieświadomości.

– Nie będę go ratował.

Puściła raptownie ramię Kartasza, jakby ją oparzyło.

– Jak to? On liczył na pana. Po co innego tu jesteśmy?

– Źle mnie pani zrozumiała – wyjaśnił. – Nie podejmę niestandardowych działań, bo to jest wołanie o ewakuację w trybie roboczym. Rozumie pani?

Odwrócił się do niej, zacierając wesoło rękę.

– To znaczy... – przerwała.

– To znaczy, że pani małżonek zamknął pasaż z własnej woli – dokończył za nią Kartasz. – Wraca cały i zdrowy w zwyczajnym trybie!

* * *

Owinięty w koc Lazarus siedział na kozetce, szcękając jeszcze zębami z zimna i popijając łyk po łyku parujący napój regeneracyjny.

Żona przysiadła obok, troskliwie osuszając mu czoło z tłustego, kroplistego potu.

Kartasz wypiął go z aparatury i dał odetchnąć po trudach umysłowej pracy, zanim zadał mu pierwsze pytanie.

– Jak było? – mruknął mało konkretnie.

Nie wiedział, o co spytać. Jak sobie poradziłeś w sytuacji ekstremalnej? Jak funkcjonuje Trupogon po godzinach? Jakim cudem wykaraskałeś się z hebanu?

Lazarus ospale skinął głową. Oczy mu się kleiły.

– Okay – odparł sennym głosem. – Dopadłem go.

Nie o to Kartasz pytał. To pytanie wcale nie przyszło mu na myśl, jakby zapomniał, po co tropiciele wchodzą do Trupogonu. Ale faktycznie, wchodzą tam, żeby zidentyfikować zabójcę.

– Kto to taki?

– Bliźniowiec – odpowiedział Lazarus.

Kartasz poczuł mrowienie na karku. Co teraz? To odkrycie stanie się ulgą dla Lazarusa czy stokroć gorszym udręczeniem? Raczej tym drugim, nie czarujmy się...

– Bliźniowiec? – powtórzył pytająco.

– Znalazłem ją w jamie. W jamie wygrzebanej w zaspie, do której skierowało mnie czterech Nieprzejrzystych.

Kątem oka Kartasz zerknął na zwłoki Mady za oknem ambulansu. Leżały w półmroku, błękitny znacznik pasażu nie pulsował już na jej skroni. Cholera! Jeśli on sam, Kartasz, poczuł się nieswojo z tym, co usłyszał, jak czuł się z tym Lazarus? Jak zdepięty niedopałek!

– Wiesz, dlaczego?

– Była chora... – Lazarus wzruszył ramionami z nienaturalnym spokojem. – Odebrała wyniki. Zostało jej parę tygodni życia, kto wie, czy dociągnęłaby do ślubu. Nie wytrzymała. Wsiadła w pociąg i ruszyła w nieznaną, zanim dotarło do niej, że od tego nie ucieknie. Więc wyskoczyła w tunelu. Tam, gdzie nie miała szans. Wciągnęło ją pod koła.

Żona patrzyła na niego szeroko rozwartymi z przerażenia oczami. Nie płakała. Wyglądało na to, że chorobliwy spokój jej męża jest zaraźliwy. Uniemożliwia jej żywszą reakcję.

Bliźniowiec był w Trupogonie wirtualną repliką samobójcy. Tym, który go zabił.

Lazarus wrócił z piekła.

– Miałem rację, że to był nieszczęśliwy wypadek – powiedział Kartasz, oblizując spierzchnięte wargi.

Sądził, że jednoznaczne nazwanie tej tragedii „wypadkiem” pomoże Lazarusowi i jego żonie. Pozwoli im opanować zamęt, który zjada ich myśli i zatruwa dusze.

Ale Lazarus przecząco pokręcił głową.

– To ja miałem rację – powiedział. – Nie ma głupich losowych przypadków na miesiąc przed ślubem.

Zasnął na siedząco, zanim skończył to zdanie. Kartasz nie zdążył mu zadać żadnego z pytań, które od początku chciał zadać. Tych dręczących. Jątrzących jak wrzód.

* * *

Wyrok był nietrudny do przewidzenia. Lazarus dostał dożywotni zakaz wstępu do Trupogonu. Jego kariera tropiciela legła w gruzach. W trakcie śledztwa nie ujawnił, kto mu pomagał, choć obiecano mu za to złagodzenie kary. Zachował się fair. Toteż gdy zginął tragicznie Dent, były narzeczony Mady, Kartasz wszedł w pasaż na ochotnika. W pewnym sensie za Lazarusa, który już nie mógł tego zrobić.

Sporządzony dla policji raport z Trupogonu pokazał najpierw jemu.

Fakty były banalne.

Dent mocno przeżył śmierć Mady. Rozpił się, ćpał bez umiaru, obracał się w podejrzanym towarzystwie. Kłótnie, bójki. Któryś z libacyjnych kolegów wsadził mu kulkę w łeb, gdy rzygał z twarzą w sedesie podłej knajpy.

Mimo że tropy były mało czytelne, Kartasz dopadł zabójcę. Przesłuchał go i obejrzał. Tyle że w gruncie rzeczy to była postać z mgły. Majak, zrodzony w pijanym widzie ofiary. Morfował w oczach. Raz miał krótkie włosy, raz długie, oczy niebieskie, zielone, brązowe, był artystą malarzem, to znów pracował na posadzie akwizytora. Motywem czynu były i długi finansowe, i zazdrość o dziewczynę, i przypadkowe potrącenie w ciasnym korytarzu do kibla.

Tak zwany „fantom niełowny”. Najprawdopodobniej suma cech kilku uczestników feralnej libacji.

Lazarus przeczytał raport i oddał go Kartaszowi z kamienną miną.

– Dziękuję ci, chłopie – mruknął.

Zero komentarzy. Zero emocji. Jakby tamtej nocy zostawił je wszystkie w Trupogonie nad dwoma upiornymi wcieleniami swojej zmarłej córki.

Ale Kartasz wiedział, za co Lazarus mu dziękuje.

Dopadł zabójcę Denta na ławce w miejskim parku. Drzewa miały tylko pnie. Las słupów. Śmierdziało tam egzotycznymi zwierzętami jak w zoo.

Kartasz stuknął w ramię siedzącego sztywno mężczyznę i cofnął się o krok, gdy tamten odwrócił się ku niemu przez ramię.

– Jak się nazywasz?

Zaczął jak zwykle, chociaż nie musiał o to pytać. Miał przecież oczy. Widział.

– Strebel Lazarus – odpowiedział morderca.

– Dlaczego go zabiłeś?

– Przez niego moja córka popełniła samobójstwo. Zostawił ją na miesiąc przed ślubem. Zadręczyła się.

– Nie była śmiertelnie chora?

– Chora? Nic o tym nie wiem.

Zostawiając go na parkowej ławce, Kartasz odruchowo zrobił coś, co mu się w Trupogonie nigdy nie zdarzyło.

Uklonił się.

– Do widzenia – powiedział i odszedł na bok, żeby aktywować chip, wołający o roboczą ewakuację.

Strebel Lazarus zdawał sobie sprawę, że prawdziwy raport Kartasza powinien brzmieć mniej więcej tak jak opis tego zdarzenia. Podziękował za to, że był zełgany.

Zmienił się od pamiętnej nocy. Stał się innym człowiekiem. Czy należało to zapisać na konto zakazanego pasażu? Równie dobrze mogła go zmienić śmierć ukochanej córki.

Zapewniał, że nie wszedł wtedy w heban.

Gdy dzień czy dwa po jego ostatnim powrocie Kartasz ponownie zadał mu pytanie, jak było, wzruszył ramionami.

– Normalnie – odpowiedział. – Tak samo, jak wcześniej. Jak za każdym razem. Żadnych różnic.

* * *

Zbliżyło ich to wspólne doświadczenie. Spotykali się na piwie najczęściej u Kartasza, który od śmierci żony mieszkał samotnie. Jego dorosły syn wyprowadził się pięć lat temu. Minął dobry miesiąc, zanim Lazarus się otworzył. Przestał szarpiące nim emocje ukrywać przed Kartaszem za bezpieczną gardą obojętności.

– Wciąż się czuję winny jej śmierci – wyznał któregoś wieczora. – Od początku czułem się winny. Dlatego się nie zastanawiałem. Zrobiłbym pasaż w tydzień po jej śmierci, chłopie, co dopiero po jednej zasranej dobie! Chciałem wejść do Trupogonu i tyle. Wejść! Nie zależało mi, żeby stamtąd wyjść.

– Jednak wyszedłeś.

Lazarus uniósł brwi do połowy czoła.

– Bóg tak chciał – mruknął. – Uznał, że jeszcze nie koniec.

Wokół ulicznej lampy krążyły nieliczne ćmy.

– Jasne, że się czujesz winny – zgodził się Kartasz. – Na twoim miejscu każdy ojciec robiłby sobie wyrzuty. Ale nie zawiniłeś śmierci Mady, taka jest prawda. Skąd mogłeś wiedzieć, że ona idzie po krawędzi?

– Dzień wcześniej rozmawiała z matką przez vizar.

– Zwierzała jej się?

– Nie! – Lazarus dopił piwo do dna. – Przeciwnie, bardzo dobrze udawała, że jest w świetnym nastroju. Matka też się niczego nie domyśliła.

– No widzisz...

Siedzieli na werandzie domku Kartasza. Za lasem słońce zachodziło na pogodę. Czerwono. Lato przełamywało się z jesienią, komary już nie kąsały o zmierzchu, a wieczory były jeszcze ciepłe. Pachniało ściółką, grzybami. W domkach dokoła zapalały się światła w oknach, tęczowo lśniły reklamowe banery.

Żółto świecące latarnie oddalały się w perspektywę osiedlowej uliczki, zastawionej wzdłuż krawężników samochodami.

– Mogłem się domyślić, co jej chodzi po głowie – stwierdził ponuro Lazarus. – Za diabła nie wiem, na czym polegało to dziwactwo, ale mogłem się domyślić.

Kartasz dopił swoje piwo i przez okno werandy wyjął z lodówki dwa następne. Trzasnął drzwiczkami.

– Jakie dziwactwo?

– Następnego dnia miała skończyć dwadzieścia dwa lata, a ja od jakiegoś czasu miałem w Trupogonie refrenowe przebicia. Liczba „22”. Należało odgadnąć, że ta liczba coś znaczy. Podświadomość? Przeczucie? Nie wiem. Ale nie umiałem odczytać znaku, bo automatycznie zakładałem, że idzie o przeszłość. A o co innego. Nie pasował mi. Tymczasem przebijał

z przyszłości, jak się okazuje. Powinienem lepiej pilnować Mady przed jej urodzinami, chłopie. Mówię ci, moja wina. Moja zasrana wina!

– Strebel... – odezwał się Kartasz po chwili milczenia.

Miał dziwne wrażenie, że toną w mroku, który gęstnieje wokół nich. Toną bez ratunku.

– No?

– To nie była twoja wina – mruknął Kartasz. – Nie chodziło o Madę. Ja mam od dawna to samo przebicie. Liczba „22”. Włóczy się za mną po całym Trupogonie.

– Chcesz mnie pocieszyć? – Lazarus otworzył gwałtownie piwo, aż trysnęło na podłogę werandy. – Nie istnieją wspólne przebicia. To niemożliwe.

– Ale tak jest! – sapnął z irytacją Kartasz. – Tak jest! Co to znaczy? Ugrzęźliśmy w niemożliwym? Daj spokój, to dopiero byłoby niemożliwe!

* * *

Każdy z nich rozpytywał się w swoim otoczeniu na własną rękę, ale Kartasz szybko się wycofał. Pojął, że nie wie, dokąd zmierza. Do czego te wszystkie ustalenia miałyby go doprowadzić? Lazarus był natomiast konsekwentny.

Okazało się, że każdy ze znajomych tropicieli miał to samo. Przebicie z liczbą „22”. Niektórzy łatwo dopasowywali ją do zdarzeń ze swojej przeszłości, inni nie umieli znaleźć klucza. Mało tego. Identyczne przebicia odbierali inni ludzie, którzy pracowali w wirtualach. Rozgrywacze, turystycy, informerzy.

– To jest coś gównianego! – orzekł ze złością Lazarus. – Za diabła nie wiem, jak to działa i o co w tym chodzi! Wiem jedno, że to nie jest normalne, chłopie!

Tydzień później zjawił się w domu Kartasza nad ranem. Jeszcze było ciemno, przydomowe ogródki tonęły w żółtym oparze elektrycznego światła. Lazarus wyglądał upiornie. Wycieńczony, nieogolony, z zapadniętymi policzkami i oczami błyszczącymi jak w gorączce. Coraz częściej miewał takie oczy, może coś brał.

Zanim zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami, jakby chciał je zablokować, spojrzął za siebie, czy nikt nie przyszedł w ślad za nim.

– Byłem w Trupogonie – szepnął do Kartasza. – Przechowaj mnie do rana, jeśli możesz. Nie chcę wracać do domu. Jutro sobie stąd pójdę i będziesz miał spokój.

– W Trupogonie? Bez identyfikatora? Zdezaktywowali cię!

– Nie bądź dzieckiem – mruknął Lazarus. – Wystarczy dać w łapę. Już przy budowaniu Rzymu ta metoda się sprawdzała. Masz co zjeść?

Z obiadu został pieczony kurczak z warzywami. Kartasz odgrzał mu go i podał z sosem i chlebem. Lazarus poprosił jeszcze o gorącą herbatę.

Nie odzywając się, jadł łapczywie, póki nie zaspokoił pierwszego głodu. Wtedy zwolnił tempo. Oblizał palce z sosu, oparł łokcie na kuchennym stole i zapatrzył się na Kartasza, przeżuując kęsy jedzenia.

– Tego nie ma – powiedział w taki sposób, jakby nie tyle informował rozmówcę, ile sprawdzał jego reakcję na swoje słowa.

– Czego nie ma?

– Trupogonu.

Kartasz usiadł naprzeciw niego i nalał sobie gazowanej wody z cytryną. Wzruszył ramionami. W kręgu światła nisko opuszczonej nad stołem lampy patrzyli na siebie z uwagą. Jakby nawzajem badali się wzrokiem.

– Przecież wiem, że go nie ma. – Kartasz puknął palcem w swoje czoło.
– Mamy go tutaj.

Lazarus dopił duszkiem wystygłą herbatę i nagle uderzył w blat otwartą dłonią.

– Nie wiesz! – wybuchnął. – Nie wiesz i nikt tego nie wie! To wielkie cholerne oszustwo, chłopie! Wszystko jest złudzeniem generowanym tylko i wyłącznie przez mózg tropiciela. Drażnią nam zwoje jakimiś kurewskimi impulsami. Jesteśmy jak naćpani. Chodzimy po czymś, czego nie ma, a na dodatek wiemy, że tego nie ma i nie wyciągamy wniosków! Łykamy prymitywne oszustwo jak gęś kluski! Daliśmy się uwięzić we własnych omamach! Mózg truposza nie ma z tym nic wspólnego. Pic na wodę! Jego mózg nie żyje, bo umarł. Nic tam nie ma. Nie bierze udziału w naszej zabawie. Rozkłada się zgodnie z prawami natury. A reszta? Prestidigitatorska sztuczka. Przypina się do truposza lampkę, lampka mruga, a my bierzemy sztuczkę za dobrą monetę. Zakładamy, że to mózg

mruka. Coś tam sobie przetwarza pośmiertnie! Tak proste, że aż genialne, chłopie! Genialne gówno! Jesteśmy koncertowymi durniami!

Kartasz zabrał talerz sprzed jego nosa, zgarnął kości do zsypu i wstawił talerz do zmywarki.

– Jak na to wpadłeś? – mruknął kpiąco. – Każdy dureń wie, że Trupogon nie może być urojeniem tropicieli.

– Nie?

– Nie. Bo zbrodniarze, których tropimy, istnieją. Policja ich łapie, sąd skazuje na szubienicę, kat wiesza. Gdyby to się działo w naszej głowie, nie byłoby ich w realnym świecie.

Lazarus zachichotał. Jego reakcje były zdumiewająco paranoiczne. Ze skrajności w skrajność. Albo się wściekał, albo śmiał.

– Też o tym pomyślałem, wyobraź sobie, chłopie. Też mi to nie pasowało. I wiesz co zrobiłem? Prościutki eksperyment. Właśnie z niego wracam.

– Jaki eksperyment? – zapytał podejrzliwie Kartasz.

– Bez żadnej zasranej ekipy ratunkowej, która robi tylko dobre wrażenie. Ja i nocny dozorca z kostnicy. Podpiąłem się do trupa sprzed paru tygodni. Rodzina zażyczyła sobie mumifikacji, więc czekał w kolejce. I wiesz, co ci powiem? Było jak zawsze. Jak przed upływem osiemnastu godzin. Lód, śnieg, gdzieś heban. Ani go mniej, ani więcej. Istny raj! Wytropiłem mordercę, a jakże! Jakiegoś zazdrosnego męża. Myślę, że gdybym się podłączył do stuletniego szkieletu, też bym coś wytropił.

Kartasz śledził każde drgnienie jego twarzy. Wyglądało na to, że Lazarus nie tylko mówił prawdę, ale był zszokowany tym, co ustalił. Sam sobie nie dowierzał. Szukał potwierdzenia u słuchacza, mimo że tam go nie mógł znaleźć.

– Granica osiemnastu godzin nic nie znaczy? – zastanowił się Kartasz. – Więc po co te obostrzenia?

– Może po to, żeby dwóch tropicieli nie zajęło się kolejno tym samym umarłakiem. Nie starczy im na to czasu.

– Nie rozumiem?

– Bo nie chcesz zrozumieć.

Lazarus patrzył na Kartasza tak, jakby na coś czekał. Na jego określoną reakcję.

– O co ci chodzi?

- Nie jesteś ciekaw, do jakiego trupa się podłączyłem?
- Mów! – zirytował się Kartasz. – Nie rób mi quizów!
- To był Tentem Szokur, przedsiębiorca rekreacyjny – wyjaśnił Lazarus.
- Jeden z twoich pasaży, o ile wiem.
- Pomyłka. Jego zabił jakiś menel z portu.
- Jak dla kogo – uśmiechnął się kąśliwie Lazarus. – To ci tłumaczę. Dla mnie zabił go zazdrosny mąż. Przyznał się. Szokur rznął mu małżonkę jak świeże drewno!
- Kartasz oskarżycielsko wyciągnął palec w jego stronę.
- Bredzisz! A Dent? Ubzdurałem sobie, że go zabiłeś?
- Tak uważasz? Nigdy mi nie powiedziałeś. Widocznie się domyśliłeś, kto w tym maczał palce. Zresztą ja go nie zabiłem. Wynająłem bandziora. Ale Dent się domyślał, kto mu szyje buty. Mógł uznać, że ja pociągnąłem za spust...
- Sam sobie zaprzeczasz. Nie słyszysz tego? Więc w końcu wytropiłem zabójcę Denta czy się go domyśliłem?
- Nie pierdol, Sel! – westchnął Lazarus. – Bardzo cię proszę, chłopie, nie pierdol! Nie ja sobie zaprzeczam, tylko to wszystko razem nie składa się w logiczną całość! Jak mogą istnieć zabójcy, których nie ma, co? Których jakiś pieprzony impuls wyprodukował w naszym mózgu, drażniąc go jak psa kijem! Jak oni, kurwa, mogą sobie w najlepsze żyć obok nas, skoro chwilę wcześniej wcale ich pewnie nie było?
- Jest jedno rozwiązanie. Że się mylisz.
- Dokładnie tak! – skinął głową Lazarus. – Jest jedno rozwiązanie. Ale nie takie, jak myślisz. Mam znacznie lepsze, chłopie!
- Spisek? – zakpił Kartasz. – Ta hipoteza tradycyjnie tłumaczy wszystkie nielogiczności świata.
- Ale Lazarus nieoczekiwanie spuścił z tonu. Jakby uświadomił sobie, że się rozgadał. Powiedział więcej niż zamierzał.
- Nie chciej za dużo wiedzieć – ziewnął. – Prawda cię nie wyzwoli. Pokaż mi lepiej, gdzie się mogę przespać.

* * *

Martwił się o Lazarusa. Ten stał się praktycznie nieuchwytny, rzadko bywał w domu, jego żona zwierzyła się Kartaszowi, że od śmierci Mady nie wrócił do równowagi.

Czasami odzywał się przez vizar w środku nocy.

Wyglądał jak własny duch. Wymizerowany, zabiedzony, z płonącymi w półmroku oczami. A zawsze siedział w półmroku – albo za kierownicą swojego samochodu, zmierzającego nie wiadomo dokąd, albo w kącie ponurego nocnego baru nie wiadomo w którym miejscu świata.

Tak wyglądają ludzie, którzy dążą ku samozatruciu. Jedyne sensowne pytanie w takiej sytuacji brzmi: czy robią to świadomie, czy też nie wiedzą, co się z nimi dzieje?

Lazarus wiedział.

– Nie bój się ze mną rozmawiać – powtarzał. – Nikt mnie nie śledzi, nikt po ciebie nie przyjdzie, żadne tajne służby nie ścigają tych, którzy się ze mną kontaktują. Gdyby ktoś taki do ciebie zapukał, potwierdziłby tylko ostatecznie, że spisek istnieje. A po co? Najtrudniejsze do wykrycia są spiski, których nie ma. Oni o tym dobrze wiedzą.

– Jacy oni? – pytał Kartasz.

– Wszystko jedno, chłopie. Ich też nie ma. Niczym się nie przejmuj, chciałem tylko z kimś pogadać.

– O czym?

– Nie ma znaczenia...

Przerywał połączenie w pół słowa.

Wizja zniknęła, ekran vizara ciemniał, jakby rzeczywiście przez moment uchwycił obraz ducha. A jednak było w tym coś, co dawało Kartaszowi niezbitą pewność, że Lazarus nie zwariował. Świetnie kontroluje to, co robi, a zwłaszcza to, co mówi. Nie pozwoli sobie na żadne zbędne słowo.

Którejś nocy odezwał się, żeby powiedzieć jedno zdanie:

– Ten świat wcale nie jest prawdziwszy!

Wyglądał na rozbawionego, obraz był jasny, w tle kręcili się jacyś ludzie. Czyżby mówił o czymś, w czym uczestniczył? Znalazł więcej takich narwańców jak on sam?

– Który? – zapytał Kartasz.

Ale Lazarus już się wyłączył. A może jedna z obecnych przy nim osób zgasiła jego vizar.

Innego dnia połączył się, żeby powiedzieć: „Niektórzy z nas niechybnie istnieją! Ale nie aż tylu! Kto zna swój status – niech pierwszy rzuci kamieniem!”. Pogubił się w swoim dziwnym świecie i kontakt z nim stał się utrudniony.

Nie zetknęli się ze sobą aż do dnia, gdy komunikator Kartasza wyemitował wezwanie zbiorcze. Złapało go w samochodzie w drodze na koncert.

– Podejrzanie: zabójstwo. Czas: dwie godziny osiemnaście minut. Denat: Strebel Lazarus. Miejsce: Kwadrat Szesnaście Ce. Weryfikuj czerwony znacznik.

Kartasz nawet nie spojrzał na plan miasta ze znacznikiem, który się automatycznie aktywował. Włączył odzew.

– Jestem najbliżej – powiedział. – Jadę.

Wcale nie był najbliżej, a przynajmniej nic o tym nie wiedział, ale chciał, żeby to był on. Nikt inny, tylko on. Lazarus też by tego chciał.

Tak pomyślał, przez okno wystawiając migacz na dach samochodu.

* * *

– Zabił mnie!

Strebel Lazarus leżał na nadmorskim bulwarze z trzema ranami postrzałowymi w klatce piersiowej. Któryś pocisk trafił go w serce. Krew utworzyła siatkowaty wzór, spływając w łączenia kamiennej kostki – i Lazarus oglądany z perspektywy stojącego człowieka wyglądał jak złapany w sieć.

Na wysokości mola kłębił się heban. Morskie fale obijały się o niego jak o pomalowane smołą nabrzeże.

„A jeśli jest odwrotnie? – przyszło do głowy Kartaszowi. – Jeśli kaleki, potrzaskany świat Trupogonu jest prawdziwy, a stąd wydostajemy się w kłamliwą fikcję! W oszustwo! Tu jesteśmy wolni, jesteśmy panami własnego umysłu! Dopiero tam popadamy w zniewolenie, które wydaje nam się naszym prawdziwym życiem! Czy coś takiego próbował mi dać do zrozumienia Lazarus?”.

Zakiełkowało w nim ziarno wątpliwości i zaczynał rozumieć, że łatwo sobie z tym nie poradzi. Osławiony syndrom słonia. Jeśli pozwolą ci myśleć

o wszystkim, byle nie o słońcu – już ani na chwilę nie opędzisz się od myśli właśnie o nim.

Najlepiej w ogóle nie myśleć.

Biec.

Skierował się biegiem ku niedalekim pensjonatom wczasowym czy hotelom, od strony których zmierzała ku brzegowi wystraszona para Mglistych w kostiumach kąpielowych. Na tle błękitnego nieba pięły się piętrami daszki, gzymsy, mansardy. Styl retro. Cienie budynków kładły się na piasku niczym ciemne, pofałdowane podmurówki. Prowadziły ku nim tarasowo ułożone schody, kończące się w pustce plaży. Parteru nie było, ogromne, rozbuchane architektonicznie konstrukcje unosiły się w powietrzu.

Od spodu Kartasz nie znalazł wejścia, więc pobiegł wzdłuż powyginanej w esy-floresy linii cienia.

Zatrzymał się przed kamiennym balkonem, zadaszonym markizą w żółto-niebieskie pasy. Łopotąła na wietrze.

Przez balustradę wychylił się Nieprzejrzysty i znów zniknął we wnętrzu. Więc to już tutaj. O krok od zamordowanego. Było stąd jeszcze widać bulwary, moło i heban, kołyszący się na falach jak potężne cielsko czarnego wieloryba.

I ławicę kutrów, które osiadły jak na mieliźnie na jakichś ceglanych rafach wystających z dna. Tam, gdzie nazwa – każdy miał wypisaną na burcie liczbę 22.

Wspólną dla wszystkich ludzi. Powszechnie tu widywaną.

Kartasz wciąż jeszcze ogarniał wzrokiem cały ten pejzaż, gdy pojawienie się Nieprzejrzystego powiedziało mu, że jest u celu.

Najkrótszy pasaż w jego tropielińskiej karierze.

Zdecydował się na surf, bo płachta markizy mogła go bezpiecznie wyłapać. W połowie skoku pęd odwrócił go nogami do góry, ale gdy opadł, odbijając się o ścianę – zakołysał się jak w hamaku na płótnie w żółto-niebieskie pasy.

Złapał się dłońmi metalowej ramy, rozbujał ciało jak na huśtawce i zeskoczył na balkon pod sobą.

Nieprzejrzysty stał pod ścianą, patrząc na niego z przerażeniem. Miał na sobie szamerowany uniform hotelowego boya. Dłoń w białej rękawiczce wyciągnął w bok gestem zaproszenia.

Kartasz minął go, żeby przez oszklone balkonowe drzwi wejść do apartamentu.

W wielkim pomieszczeniu ze stiukami na suficie i starymi obrazami na ścianach stało na szachownicy posadzki łóżce z baldachimem. Wysunięte na środek, niezdarnie przekrzywione. Za uchylonymi drzwiami łazienki kłębił się heban.

Morderca siedział na zmiętej koronkowej pościeli z nogą założoną na nogę i palił papierosa, jakby czekał na tropiciela. Strzepywał popiół w skuloną dłoń. Miał na sobie brązowy garnitur w prążki i kapelusz ze wstążką.

– Jak się nazywasz?

– To cię nie powinno obchodzić.

Jeszcze żaden z nich nie odpowiedział w ten sposób Kartaszowi. Podszedł bliżej i wyjął mu papierosa z ust. Rozdeptał go na wysprzątej do połysku posadzce.

A jeśli facet rzeczywiście był jakimś zasranym tajnym agentem, a Lazarus rzeczywiście odkrył jakiś zasrany spisek...

Wyglądał jak Humphrey Bogart na filmie sprzed stu lat.

– Czemu go zabiłeś?

– Zabiłem go? Nie, prosił o przysługę. Twierdził, że tu się nie umiera. Bo i po co? Śmierć istnieje tutaj wyłącznie dlatego, żeby wzmocnić pozory życia. Bez śmierci ono byłoby sztuczne do bólu zębów. Nieboszczyk w tym samym momencie odradza się w innym ciele z inną świadomością. Zapomina, co było. Żyje tym, co jest od nowa. To konieczne dla psychicznej higieny. Więc wcale go nie zabiłem. Uległ naprawie. Reperacji na życzenie. Tu można wszystko. Tam, niestety, nie. Tam nie. I tak jest dobrze, mówił. Wracaj bez obaw w trybie roboczym.

– Gdzie, tam?

Morderca włożył do ust następnego papierosa i przypalił go od wielkiego płomienia złotej zapalniczki, beczelnie patrząc w oczy Kartasza.

– Nie chciej za dużo wiedzieć – mruknął. – Prawda cię nie wyzwoli, chłopie.

Wyszedł na balkon i zgrabnie przeskoczył barierkę niczym wielki, człekokształtny pasikonik w garniturze i kapeluszu.

Kartasz go nie gonił.

Doskonale pamiętał, że identyczne zdanie powiedział kiedyś Lazarus. Czy należało rozumieć, że za pomocą swojej śmierci przekazał Kartaszowi wiadomość? Jaką mianowicie? Swoją starą śpiewkę, że Trupogon jest fałszem, bo mózg zabitego nie bierze udziału w pasażu? Umarł jak jego właściciel! Ba! W takim razie jakim cudem umysł Lazarusa byłby zdolny przykazać cokolwiek umysłowi Kartasza?

Sprzeczność logiczna wielka jak Kosmos!

Zatem Kartasz sam to sobie wykombinował? Jego drażniony niewiadomymi impulsami mózg wspiał się na szczyty możliwości i doznał iluminacji? Połączył w całość rozproszone wskazówki, które Lazarus rozsiewał wokół siebie, gdy żył, jak lipa rozsiewa nasiona na wietrze?

Trupogonu nie ma?

Czy raczej świata poza Trupogonem nie ma, a jest właśnie on, Trupogon – jedyna dostępna realność?

A może nie ma jednego i drugiego?

Co istnieje naprawdę? Co byłoby, gdyby się wyrwać z matni fałszu i zniewolenia? Człowiek musi się czuć wolny! Człowiek musi żyć w prawdzie! Do tego został stworzony! Bez tego nie ma człowieka! Pozostaje wydrążony pień! Pałuba!

Kartasz stanął na progu łazienki, w której kłębił się heban.

Tajemniczy, ale jednoznaczny w swojej wszechobecności. Jedyna ewentualność, której nikt nie sprawdził. Kiedyś w końcu trzeba się otrząsnąć i zrzucić z barków strach, który ciąży na plecach jak garb. Przygina do ziemi. Każe się kłaniać nieznanemu.

Po raz pierwszy w Trupogonie Kartasz się przeżegnał.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

A potem wszedł w heban jak wchodzi się w drzwi. Zdecydowanym, sprężystym krokiem. Lepka magma wdarła się w niego wszystkimi otworami ciała, wypełniając je ślepą i głuchą czernią...

Część 2.

Wielkie okna bazy wyginają się zgodnie z krzywizną jej kopuły. Za nimi czernieje usiane gwiazdami niebo. Ziemię widać stąd najlepiej. Gdyby spojrzeć na nią przez ekrany teleskopów, przypominałaby grudkę żużlu.

Wyżarzony węgielek.

W porównaniu z nią baza jest rajską oazą szczęśliwości. Tak przynajmniej wygląda. Dyscyplina, spokój, pracujące urządzenia szumią swoje monotonne melodie jakby śpiewały kołysankę. Tyle że przez lata sprzęty i półokrągłe korytarze zarosły kurzem jak mchem. Za to pozostawiony na biurkach i w prywatnych kwaterach bałagan nabrał pod jednolitą szarą powłoką pozorów ładu. Nie rzucają się w oczy okopcenia, ślady implozji, krwiste bryzgi na szklanych stropach.

Jakby tak miało być.

Oczywiście, że słabiej widać z tego powodu napis LIMES, który lśni na mniejszych i większych wyświetlaczach w bazie. Dużo go wokoło. Trudno też spod szarego porostu kurzu dostrzec na ściennych kalendarzach i biurkowych kalendarzykach miesiąc, dzień tygodnia czy rok. Jak magiczny symbol przeświecają jedynie dwie dwójki: 22. Ostatnia data dzienna, zwyczajowo drukowana lub wyświetlana największymi cyframi.

„Pamiętna data”. Stały związek frazeologiczny. Kiedyś się takiego używało.

Tamtego pamiętnego dnia stan bazy wynosił 7245 osób.

Nie wszyscy zdążyli do przetrwalników. Wydarzenia przebiegały zbyt szybko. Przygotowywano się raczej na awarię Księżyca, tymczasem awaria zdarzyła się na Ziemi. Odnotowano serię błysków niewiadomego pochodzenia. Fala efektywna dotarła do bazy w parę minut. Ci, którzy nie schronili się w przetrwalnikach, i ci, którzy się w nich ustabilizowali zgodnie z regulaminem, zmarli szybko i bezboleśnie.

Ocaleli ci, którzy znajdowali się w trakcie procedury.

U tych czterech tysięcy stu dwunastu osób śmiertelne echo kataklizmu nie rozpoznało objawów życia, które miało anihilować. Czysty przypadek. W tym jednym momencie ludzie zdawali się tylko drobnym elementem mechanicznych urządzeń, które akurat stymulowały ich nadwerężone organizmy.

To nie znaczy, że nie ucierpieli.

Poparzeni i sparaliżowani zapadli w śpiączkę. Można by rzec, że jej przyczyny były niejasne, gdyby nie to, że automatycznie pojawia się

pytanie: niejasne dla kogo?

Ludzi ciekawych odpowiedzi już nie było, a automaty medyczne w sekcji przetrwalników nie były zainteresowane okolicznościami zewnętrznymi.

Pogrążonym w comie pacjentom załączyły zgodnie z procedurą program „Imitacja”. Pozwalał uniknąć szoku powypadkowego. Był kołem ratunkowym dla psychiki ocalańca, ukrywając przed nim jego stan. Uniemożliwiał, a w każdym razie mocno utrudniał, nieświadome wysprzęglenie się z systemu, jako że możliwości restartu nie było.

I to wszystko. Zbawienny plan.

Byle utrzymać ocalańca w imitacji śródśpiączkowej do nadejścia pomocy z Ziemi. Czyli praktycznie przez czas nieograniczony, albowiem koniec końców pomoc musiała nadejść.

Rzecz jasna mowa o dniach, gdy Ziemia nie była jeszcze wyżarzoną węgielką. Gdy łudzono się, że przynajmniej owady ocaleją. Dawno temu. Bo szczerze powiedziawszy, założenia tego programu nie wytrzymały próby czasu.

Część 3.

SEL KARTASZ. STATUS: WYSPRZĘGLONY

Nic... Nic...

Dlaczego jest niiicccccccc!

Konin, lipiec 2016

Wojciech Szyda

SLAM

Wyobraź sobie dwóch pieśniarzy – stoją w nocy (każdy w swojej nocy, pod inną szerokością i długością geograficzną, pod innym niebem – przesunięcia konstelacji względem różnych punktów na Ziemi), ukryci przed światem oraz przed ludźmi, wśród wypowiedzianych naprędce słów – stoją zamknięci we własnym przeznaczeniu, w dwóch punktach obracającego się globu – i melorecytują... Nikt nie wie o ich istnieniu oprócz nich samych – są niczym tajni poeci cywilizacji. Nie tworzą swoich treści w znanych formach i gatunkach. Nie muszą przestrzegać sztywnych reguł poetyki i wersyfikacji. Pieśń jest ich istnieniem – sami nadają jej postać. Ich żywiołem jest bowiem słam: improwizowane deklamacje wyrzucane z płuc jak serie z karabinów maszynowych w powietrze: suche lub wilgotne, ciepłe lub mroźne, czyste lub zanieczyszczone.

Słowa improwizowanych historii perforują rzeczywistość od podszewki. Każdy pieśniarz opiewa własną cywilizację, nawijając wersy tworzone *ad hoc* na szpulkę czasu – im grubiej, tym lepiej. Walczą ze sobą. Konkurują – choć nie ma oficjalnej publiczności. Ich artystyczne współzawodnictwo jest skryte przed światem. Uprawiają samotny słam. To wojna niesłyszalnych słów, które trafiają do zbiorowej podświadomości dwóch kultur. Pieśniarze walczą na śmierć, walcząc na słowa. Każdy wie, że gdzieś jest ten drugi – i stara się wyśpiewywać tworzone *ex nihilo* frazy tak, aby zagłuszyć jego narrację: wyraźniej, czyściej, bardziej rytmicznie. Zwyciężyć może tylko jeden.

Miasteczko Dabiq w północnej Syrii. Tutaj słyhać jednego z dwóch slamerów najgłośniej. Stoi niczym samotne suche drzewo, nie będące niczym niezwykłym w piaszczystym krajobrazie, gdzieś na Pustyni Syryjskiej, i swoje słowa śle ku miejscu, gdzie zgodnie z islamskimi podaniami ma się rozegrać bitwa końca świata. Pieśniarz gardłuje i zawodzi, jakby wydmuchiwał powietrze mające podsycić ogień. Rozniecić pożogę. Stąd podpali ona świat... To po walce pod Dabiq, jak głoszą hadisy – dzięki rozpętanemu tutaj piekłu i przelanej krwi – zapanuje Państwo Boże na Ziemi, królestwo całkowicie podległe Allahowi. Dabiq, to właśnie tam ma nastąpić ostateczne starcie cywilizacji. *Dar-al-Harb* przestanie istnieć, skurczy się jak wylinka węża na słońcu, stara skóra zrzucona przez niewierny świat. Bo nad całym światem zaświeci blask

Proroka – wszelka ziemia będzie należeć do jego wyznawców, lądy i morza, góry i doliny staną się w końcu jednym wspólnym *Dar-al-Islam*.

Pieśń tego drugiego jest coraz słabsza. Przegrywa w pojedynku zwanym slamem, wyrzucając z płuc mętne sofizmaty, dialektyczne dytyramby pozbawione bojowego ducha, a nawet związków logicznych. Cały czas próbuje coś przekazać, lecz gdyby postawić go obok slamera stojącego na skalistej pustyni – przegrałby. Choć publicznością byłyby tylko nocne zwierzęta. Cała umiejętność w starciu cywilizacji to podtrzymywanie pieśni: stale myśleć, improwizować, nie tracić werwy oraz weny twórczej. Choć tamten stoi na szczycie europejskiej góry owiewany chłodnym wiatrem, a jego płuca wentylują się rześkim powietrzem – wyraźnie przegrywa. Sam zdaje sobie z tego sprawę. Wie. Góruje tylko dosłownie, gdyż zwycięzca stoi na pustyni, w sercu ciemnej arabskiej nocy – i napędzani jego słowami (choć ich nie słyszą) wysłannicy oblegają już Białą Górę (sami o tym nie wiedząc – wiedząc...). Niesie się echo odbijane od granitowych zboczy, złowieszczy pogłos znad pustyni; wędruje z południa wraz z wiatrem, gorącym i porywistym *chamsinem*, następnie przesiada się na podmuchy suchego i ciepłego *sirocco*. Przemykające się powiewy i tchnienia dyskretnie owiewają Alpy. Niosą slam na miasta leżące u stóp granitowych spiętrzeń, i zapadają w podświadomość ludzi, zdecydowany i mocny pustynny slam, gdyż słowa tego drugiego – zamiast spływać potokami ze szczytu – po drodze zamarzają i nie docierają już do ludzi na dole... Stają się własną historią, lodową rzeźbą. Przestały być życiodajne. Być może alpejski pieśniarz na szczycie Białej Góry zbyt późno przystąpił do tej konkurencji.

Po Europie rozlewa się inny slam. Gardłowy, głośny, dający mieszkańcom nowe opowieści – płynie na skrzydłach latających koni i ramionach dżinów, rodzi się w pokorze i bezwzględnej uległości, która tu – na Ziemi – daje siłę wobec ludzi, a wkrótce da jeszcze większą przewagę w zapasach kultur. Ten slam głosi święte podporządkowanie, uległość i posłuszeństwo Panu Wszelkiej Chwały (*Al-Madżid*). Wierność światu i niewierność świata – tak było do tej pory. Wkrótce jednak świat przestanie być niewierny. Obca, dziwna narracja zaczyna wnikać w komórki innych społeczeństw, powoli, lecz konsekwentnie, ukryta w charczących dźwiękach twardych głosek. Nosicielami slamu będą zwykli ludzie, wierni, opanowujący ziemię, a będzie ich coraz więcej, jakby wiatr

przenosił przez Morze Śródziemne ziarna piasku znad pustyni – jedno po drugim, dla każdej niewiernej duszy, aby zasiać w niej Uległość. Wiare, która jest idealnie dopasowana do tego świata. A mieszkający tu już jej wyznawcy, nieświadomi zwolennicy pustynnego pieśniarza, nigdy nie wtopią się w inny slam. Pozostaną sobą, choćby żyli wśród niewiernych. Ten śpiew mają we krwi – to pamięć ich przodków, a wcześniej przodków ich przodków, i tak aż do samego początku rachuby czasu: świętej Hidzry w 622 roku kalendarza przeciwników. Wkrótce czas zacznie się liczyć od nowa – zdają się mówić – gdyż to my wprowadziliśmy zero – i nasza będzie nieskończoność.

Slam trwa i nie może przestać rozbrzmiewać. Musi jednak być wyśpiewywany w ukryciu – pod osłoną nocy, z dala od zbiorowisk ludzkich. Pustynie są idealne na takie kryjówki. Pod osłoną nieba, na wielkich przestrzeniach, najłatwiej ukryć najpotężniejszą broń – pojedynczego człowieka. Nikt nie zwróci na niego uwagi (a objąć świat z góry jednym spojrzeniem może tylko Bóg). Więc pieśniarz wędruje z miejsca na miejsce, recytując nowy świat – a jego narracja powoli oplata rzeczywistość, odkładając się w tkankach czasu, oto nowy tłuszcz dzisiejszego świata. Zarazem ten slam nieustannie przenika terażniejszość. Przeciwnicy dawno już z tego zrezygnowali. Z najwyższego szczytu Europy – białego niczym barwy jej kapitulacji – płynie tylko słaba pieśń, nie nadążająca za skrzącymi się pewnością siebie frazami arabskiego poety. Naszego poety... Już nawet powoli przenikają tutaj, jak i do każdego innego tekstu; albowiem ten Slam jest tak potężny, że stanie się wkrótce jedyny – należy więc z szacunku pisać go od wielkiej litery: Slam. Slam. Nie sposób będzie się z nim nie identyfikować. A kto spróbuje – temu spadnie głowa. Na chwałę Proroka. Terażniejszość jest już nasza, odkłada się w złożach czasu niczym ropa naftowa skraplająca się przez wieki pod ziemią – która dała nam w końcu w odpowiednim momencie historii bogactwo i siłę, dar od Allaha ukryty pod piaskami pustyni. Tajny podarunek, dzięki któremu podbijemy świat – siłą woli, uporem, bogactwem i wiernością tradycji. Tamtych już na to nie stać, choć kiedyś w swych psalteriach ich śpiewacy potrafili wyśpiewywać psalmy przez całą dobę (zmieniając się co kilka godzin) – podtrzymując swój świat dawnym slamem religii. Później jednak nadszedł czas pojedynczych pieśniarzy, więc rozsypali się jak budowla na odrębne kamienie, tworząc zapomniane

lapidarium. Ich przeszłość jest kłopotliwym wspomnieniem; nasza dla nas – dumnym fundamentem. A przyszłość, ziemską przyszłość należy do nas (choć przez wieki Allah dopuszczał, by pozornie to oni zwyciężali). Jednak nie wygrają. Z naszą recytacją nie będą w stanie dłużej współzawodniczyć. Pokonamy ich przywiązaniem do reguł tego świata (nasza cywilizacja jest skórą zdartą z tego świata, pasuje do natury człowieka znacznie lepiej – jakże pięknie się w nią przyobleka).

Wkrótce będziesz jednym z nas, ty który to czytasz. Ja sam zrozumiałem to w trakcie spisywania tego tekstu, po tym jak miałem sen – teraz wiem, że zesłany przez Wszechmocnego (*Al-Aziz*) i Niepokonanego (*Al-Dżabbar*), Jedynego (*Al-'Ahad*) i Litościwego (*Al-Rahim*), Wywyższającego (*Al-Rafi*) i Poniżającego (*Al-Chafid*). Nakazał mi ujawnić tajemnicę slamu. Na początku sądziłem, że po prostu opiszę pojedynek pieśniarzy, ale w trakcie kreślenia tych znaków uległem narracji prawdziwej wiary, przed którą nie ma ucieczki, gdyż jest wiarą doskonale akceptującą rzeczywistość – byle uznać, że człowiek całkowicie podlega Bogu; On jest Dawcą Życia (*Al-Muhji*) i Sprowadzającym Śmierć (*Al-Mumit*). Nasi bojownicy zwyciężają w każdej chwili. Wkrótce w imię Allaha gdzieś pod Dabiq rozegra się ostateczna bitwa z Szatanem (którym zbiorowo się dla nas staliście). Wasze bomby tylko podpalą nasz stos. Świat stanie w ogniu.

Pozostawiam ten tekst tutaj, w pociągu, jako moje ostatnie słowo do niewiernych. Dalej udam się pieszo na plac Piotra – tego, który dawno przestał być dla was Skałą, a którego życiową chwiejność macie we krwi (w ten sposób przyjęliście do serc słabość). Obwiązany pasem szahida czuję się pewnie i bezpiecznie. To tylko ciało. Chcę być świadkiem i męczennikiem, który odda życie w sprawie wiary, to właśnie znaczy *shahid*. Jestem teraz w samym środku pieśni – i wkrótce przejdę do wieczności, a pamięć po mnie zostanie na Ziemi w chwalebnych strofach. Czuję, niemal namacalnie, jak tajemny pieśniarz śpiewa o mnie – oto staję się tematem jego slamu, gdy rzeczywistość się zagęszcza a mój zamiar przyobleka się w czyn. Bojownik śpiewa na odległej pustyni – już zaczął recytację, a wybuch ją tylko nagłośni ku rozpaczynie niewiernych.

Wy też możecie się jeszcze nawrócić.

Wsluchajcie się tylko w Slam.

*

Na szczycie Białej Góry stary pieśniarz spoglądał w południowy horyzont. Gdzieś po drodze ziszczała się cudza pieśń. Przekaz tego, który dominował już od wielu lat, wypowiadając swoje melorecytacje z morderczą nieustępliwością. Gdzieś tam, po południowej stronie nieba... Wroga pieśń stawała się prawdą, wcielała się w jakiś straszny czyn – mający dać dowód ostatecznej potęgi obcej narracji. Zmęczony bard przeczesał siwe włosy; czuł się zmęczony i bezradny, teraz jeszcze bardziej niż dotąd. Gdy jednak dotknął czoła, coś mu się przypomniało; pamięć dawnego gestu, proste skojarzenie – być może dlatego (i być może nawet podświadomie) uczynił znak krzyża... Bardzo dawno tego nie robił. Musiał jednak jakoś zareagować, inaczej niż zwykle. Wiedział, bo na tej walce – choćby nieporadnej – zasadzało się jego tajemne istnienie, a wszystko wskazywało, że za chwilę ostatecznie przegra. Zaczerpnął powietrza i w pustą alpejską noc, z wysokości prawie pięciu tysięcy metrów, spróbował ponownie. *Contra spem spero* – westchnął w sercu, zwracając się do starych duchów i swoich pierwszych rymów. Na moment ożywiony zapragnął, aby popłynęło przez niego coś więcej niż tylko pamięć roli, która mu ciążyła od lat. I może faktycznie coś, jakieś tchnienie, musnęło jego wnętrze razem z podmuchem lodowatego wiatru, mroząc w jednej chwili wahanie i strach. Ożywcze, choć nieludzkie zimno (może dlatego właśnie ożywcze, że nieludzkie?) na milisekundę rozwiało noc. Jak prawie niewyczuwalny trzepot skrzydeł tuż przy skroni...

Gołębnica zera absolutnego gdzieś u źródła – tchnienie niewidzialne.

Pieśniarz melorecytował coraz głośniejsze. Jego stary dres żebraka zalsnił na moment jak zbroja. Nie mógł znaleźć własnych słów, więc poszukał cudzych. Były źródłem mocy. *Wy jesteście światłem świata. Nie może się ukryć miasto położone na górze. Nie zapala się też lampy i nie umieszcza pod korcem...* [*] I dalej: fragmenty „Jerozolimy wyzwolonej” Tassa... Dawno przebrzmiały wersy, wyklęte w jego dotychczasowym slامية. Teraz płynęły ku narracji przeciwnika, gęstniejącej niczym materia w czarnej dziurze zbiorowej zagłady. Ktoś zamierzał rozdać swoją śmierć innym – setkom, tysiącom – jako bluźnierczą komuniją, pokarm tego świata...

„Tamten zaraz tego dokona, a drugi pieśniarz zakrzyczy mnie...”.
Starzec upadł na kamień, czując że odbija potężny cios.
– Jeszcze nie teraz – wyszeptał. – Jeszcze nie...
U stóp zobaczył garść piasku.
Kropla krwi zamarzła mu na policzku.

*

Notatka prasowa:

Wczoraj na Placu Świętego Piotra w Rzymie zatrzymano mężczyznę ubranego w grubą kamizelkę i groźącego wysadzeniem się w powietrze. Miał wykrzykiwać „Allah akbar”, przeciskając się wśród pielgrzymów i turystów zebranych na modlitwie „Anioł Pański”. Tuż przed ujęciem przez karabinierów tarzał się po ziemi, krzycząc: „to niemożliwe, niemożliwe!...”. Ładunki wybuchowe na pasie szahida okazały się atrapami wypełnionymi piaskiem. Zatrzymany jest prawdopodobnie niepoczytalny. Po przesłuchaniu zostanie przebadany przez psychiatrów, a o jego dalszym losie zadecydują prokuratura i sąd.

*

Z bazy lotniczej w saudyjskim Taif wzbił się w powietrze myśliwiec. Trwała wojna z Iranem. Maszyny Królewskich Saudyjskich Sił Powietrznych strzegły czujnie przestrzeni lotniczej wokół Mekki i Medyny – głównie przeciwko zakusom nieobliczalnych szyitów z Teheranu, zapowiadających w swoich płomiennych wystąpieniach odbicie świętych miejsc z rąk sunnickich okupantów. Pilot był jednym ze strażników nieba, miał jednak chorą duszę. Udawał wiernego (Bogu i królowi Saudów), szalały w nim jednak obłąkane dziny, ifryty i ghule. We śnie usłyszał syntezę dwóch przeciwnych sobie pieśni – które złączyły się, tworząc morderczą syntezę. Poczuł, że znajduje się w centrum opowieści, jakby wszedł na miejsce kogoś innego. Wiedział, jak zakończyć to wszystko.

Przypomniał mu się cierpiący na depresję niemiecki pilot, który kilka lat temu rozbił pasażerski samolot o zbocza szwajcarskich Alp.

Jego dusza też była chora. Walczące na śmierć pieśni z łatwością nim zawładnęły, stając się jednym krwawym SLAMEM.

Walka pieśniarzy zbliżała się nieubłaganie do finału. Wykończą siebie i zmienią świat w Armagedon. Ich narracje nie mogły współistnieć poza duszą obłąkanego – gdzie znalazły swój ostatni dom, pełen pustynnych demonów.

Pilot przesunął ster.

Samolot z głowicą atomową na pokładzie kierował się w stronę Mekki.

luty 2016

[*] Mt 5, 14-15 – przekład wg Biblii Tynieckiej (Poznań 2013).

Mirosław P. Jabłoński

JESTEM AILEEN

Lewiatan wynurzył się z nadprzestrzeni jakieś dwie dziesiąte parseka poza umowną sferą Układu Słonecznego i płynnie – choć dla ewentualnego zewnętrznego obserwatora skokowo – przeszedł dzięki generatorom Higgsa do połowy prędkości światła, po czym do działania włączyły się antyliniaki. Wachtę na mostku pełnił Beta, pierwszy oficer. Jego szarża nie miała większego znaczenia, gdyż w dwudziestoczteroosobowej załodze każdy był jakimś oficerem: pierwszym, drugim, trzecim, medycznym bądź technicznym. Jedynie dowódca był po prostu Alfą.

Zadaniem Bety było obudzić go, gdy tylko będzie można nawiązać łączność z Ziemią. Na razie odbiór zakłócały fale continuum przestrzenno-czasowego, wzburzonego skutkiem eksplozyjnego przejścia statku przez granicę Banacha-Hawkinga-Bławatskiego i wynurzenie się *Lewiatana* w świecie geometrii euklidesowej. Chociaż doprowadziło to do momentalnego przyrostu kilku trylionów kilometrów sześciennych próżni, to przy implozyjnym wchodzeniu w nadprzestrzeń tyle samo jej zniknęło, więc w skali Wszechświata bilans pustki wychodził na zero. Pokrzepiające, że w pod-, nad- oraz w zwykłej przestrzeni zero – zaznaczane już przez starożytnych Sumeryjczyków pustym miejscem na glinianych tabliczkach – było wciąż starym dobrym zerem.

Statek wyleciał błyskawicznie z tego fałszywego i zaburzonego przez siebie obszaru kosmosu, i komputer zasygnalizował nawiązanie kontaktu z najbliższą boją transmisyjną, do połowy kołyszącą się na powierzchni wszechświata, a do połowy zanurzoną w podprzestrzeni. Beta nie wiedział jak to możliwe, w końcu nie był oficerem technicznym, ale nie zaprzętał sobie tym głowy. Ważne, że dzięki tej chytrej sztuczce transponder łączył się w czasie rzeczywistym z kolejnymi przekaźnikami. Beta stuknął w wirtualny włącznik radiostacji i powiedział nieco stremowanym z napięcia głosem:

– Halo, Ziemia? Tutaj *Lewiatan*, odbiór.

Tak jak się tego spodziewał, odpowiedź przyszła momentalnie.

– Mówi Aileen. Witaj w domu, Beto.

Czego się nie spodziewał, to namiętnego, niemal kuszącego głosu. Albo taki wydał się on Becie, który na samotnej wachcie spędził ostatnie pół roku, jakie w centrum Galaktyki zajęło rozpędzenie *Lewiatana*

do prędkości przeskoku Higgsa. Reszta załogi spała. Ciągnęli losy, i padło na niego. Nie mógł wykręcić się od tej służby, chociaż była czystą fikcją, bo gdyby podczas przejścia coś poszło nie tak, to nie zdążyłby nawet pierdnąć ze strachu, zanim przestrzeń zamknęłaby się z bezgłośnym trzaskiem na ich statku, miażdżąc go do postaci mikroosobliwości.

Przełknął ślinę i wyobraził sobie śliczną Mulatkę siedzącą przed pulpitem radiostacji podprzestrzennej w Centrum Kontroli Lotów. Zresztą, dlaczego ma sobie cokolwiek wyobrazać?! Dlaczego holoeokran nie działa? Pstryknął palcem w kolejny wirtualny przełącznik błyszczący w powietrzu, które po minimalnej chwili zwłoki wypełnił obraz ślicznej Mulatki siedzącej przed pulpitem łączności podprzestrzennej w Centrum Kontroli Lotów. Beta mlasnął w duchu językiem. Mleczna czekoladka. Takie lubił najbardziej. Może ona z kolei lubiła powracających z jądra galaktyki bohaterów kosmosu? Teraz przegrane losowanie i psia wachta nie wydawały się już takie złe. Dzięki temu jest pierwszym członkiem załogi *Lewiatana*, którego widzi Mulatka. A wiadomo, jak ważne jest pierwsze wrażenie.

– Witaj, Aileen.

Dziewczyna się uśmiechnęła, a Beta przepadł z kretesem. Te krwistoczerwone wydatne usta, olśniewająco białe zęby, mały zgrabny nosek, migdałowego kształtu i koloru oczy, kasztanowe, lekko rudawe włosy... Materializacja jego najskrytszych erotycznych marzeń. Opuścił na chwilę powieki. Jego rozmarzenie zostało zburzone – gwałtownie i brutalnie.

– Musisz wiedzieć, Beto, że lubię bohaterów powracających z głębokiego kosmosu. Chociaż spodziewałam się ujrzeć Alfę *Lewiatana*.

Marchewka i kij. Jednoczesna obietnica i wywołanie zazdrości. Udręka i ekstaza.

Beta otrząsnął się w duchu. Jest oficerem na wachcie, obowiązują go pewne procedury.

Otworzył szeroko oczy i przejrzał na nie. Coś było nie tak. Holograficzny obraz pięknej Mulatki i jej panelu wirtualnego *subtransceivera* rozmazywał się zaraz za konturami kobiety i sprzętu. Może to nie było centrum lotów. W końcu *Lewiatan* przebywał tak długo w kosmosie, że postęp na Ziemi mógł sprawić, iż takie czekoladowe siusmajtki obsługują przybywające z nadprzestrzeni statki z własnych

kuchni jedną ręką, drugą mieszając równocześnie w garnku! Jeżeli nadal ich używano. Znaczący się, garnków. Może teraz gotuje się w polu siłowym?

W tle słychać było muzykę, przy której połączenie rapu z thrash metalem mogło się wydawać harmonią sfer. Najwyraźniej ta dziedzina także poszła do przodu.

– Mogłabyś wyłączyć ten jazgot?

„Muzyka” ucichła momentalnie.

– Gdzie jesteś, Aileen?

– Na Ziemi.

– Ale gdzie konkretnie? W Houston, na Cape Canaveral, w Bajkonurze, Xichang?

– Wszędzie.

Coś się działo. Boczny hologram rozbrzmiał czerwienią. Komputer pokładowy sygnalizował atak wirusa.

– Łączysz się z moim komputerem, Aileen?

– Muszę zaktualizować jego oprogramowanie. Jest przestarzałe.

Jednym skokiem dopadł wyłącznika awaryjnego. Nie wirtualnego, tylko takiego prawdziwego staromodnego czerwonego grzyba z plombą pod przezroczystą klapką oraz gniazdem elektronicznego klucza obok. Klucz miał na łańcuszku na szyi. Nie tracił czasu na zdjęcie go przez głowę, tylko schylił się, wsadził klucz do szczeliny i rąbnął z całej siły pięścią w plastikową osłonę przycisku. Druciana plomba pękła, grzyb się zapadł i Aileen zniknęła jak zdmuchnięta. Beta stał na drżących nogach i oddychał ciężko. Ziemia zaatakowała własny statek powracający z kosmosu. Czuł to, wiedział, że to prawda, był w końcu oficerem do spraw bezpieczeństwa.

Ale dlaczego zaatakowała? Zresztą, szkoda teraz czasu na te rozważania, chwilowo nie miało to znaczenia. Liczyło się całkowite odcięcie *Lewiatana* od napływu informacji z zewnątrz. Trzeba wyłączyć – ręcznie – wszystkie anteny, czujniki, lokatory, skanery, a nawet kamery. Obraz także mógł zawierać zawirusowany przekaz. Przesłaną przez podprzestrzeń wiązkę niosącą widok tahitańskich plaż ostatni transponder mógł wysłać wprost w obiektyw, skąd – jak wszystko – rajski miraż powędrowałby do komputera.

Lewiatan, jak wskazywała nazwa, nie był małym statkiem. Beta wsiadł na Segwaya i poprzedzany chybotliwym blaskiem jego reflektorka pognął korytarzem do kancelarii tajnej, w której na ścianie – pamiętał to wyraźnie

– wisiał fosforyzujący plan statku, z zaznaczonymi schematycznie jego newralgicznymi punktami – siłownią, sterownią, rozdzielnicami mocy, serwerowniami, przekaźnikami i łączami informatycznymi – a wszystko to opatrzone numerami, którym odpowiadały zamknięte w sejfie grubaśne molibdenowe segregatory, zawierające na niezliczonych arkuszach grafenu rysunki techniczne, opisy i instrukcje postępowania. Beta nie mógł o nic zapytać główny komputer, skoro ten nie działał. Jadąc, zastanawiał się, czy nie powinien wybudzić Lambdy, oficer technicznej, która mogłaby mu pomóc tak w przekopywaniu się przez dokumentację, jak i w praktycznym wcielaniu instrukcji w życie, ale, po pierwsze – i tu koło się zamykało – dehibernacji nie dało się przeprowadzić bez udziału komputera pokładowego, a po drugie, nie było na to czasu.

Tym samym elektronicznym kluczem otworzył nie tyle drzwi, co gródz oddzielającą go od wnętrza kancelarii tajnej, i wszedł do wnętrza, w którym natychmiast rozbłysły światła awaryjne. W tym momencie dotarło do niego.... Jasny szlag!

Wskoczył na segwaya i pognął z powrotem na mostek. Wjechał tam w samą porę, a właściwie to niemal za późno. W pomieszczeniu panował czerwonawy półmrok, gdyż włączyło się zasilanie awaryjne i w powietrzu biegły krwawe litery:

RESTARTING MAIN COMPUTER IN 5... 4... 3...

Silniczki segwaya jęknęły, gdy Beta przyśpieszył, pochylając się gwałtownie do przodu.

...2...

Dwukołowy pojazd wyjechał Becie spod nóg, a on zawisł lewą ręką na chromowanej poręczy monolitycznego bloku komputera fotonowego, podczas gdy spocona prawa dłoń niemal przykleiła się z głośnym plaśnięciem do skanera linii papilarnych.

– August, wyłącz się! – wrzasnął.

SHUT DOWN COMPUTER? YES/NO?

– Wyłącz – potwierdził.

Napis zgąsł, a Beta osunął się bezwładnie po ścianie maszyny. Nazwali tak komputer na cześć brazylijskiego owada *Lamprocyphus augustus*,

którego idealne fotoniczne kryształy chitynowego pancerzyka posłużyły za wzór do budowy krystalicznych elementów przesyłowych maszyn optycznych.

Beta podniósł się z podłogi i zastanowił, czy pozbawiony nadzoru komputera *Lewiatan* hamuje w dalszym ciągu? Sztuczna grawitacja działała, to było pewne – gdyby nie, to potężne opóźnienie hamowania rozsmarowałoby go już dawno na ścianie czy suficie, a w wypadku lotu swobodnego pierwszy oficer fruwałby sobie po statku swobodny niczym ptak. Najwyraźniej jakieś serwomechanizmy wciąż pracowały. Autonomiczne systemy podtrzymywania życia funkcjonowały. Soczewki magnetyczne silników hamujących działały, sterowane własnymi procesorami, realizującymi program zadany im wcześniej przez Augusta.

Do Bety dotarło, że bardzo niewiele wie o statku, na którym spędził ostatnich dziesięć lat życia. Ech, Lambda naprawdę by mu się teraz przydała, zwłaszcza że oprócz pełnienia funkcji oficera technicznego była też piękną kobietą (choć nie Mulatką), a wybudzeni z hibernacji wykazywali wzmożony popęd seksualny – jakby się starali nadrobić stracony czas! Sam Beta wiedział o tym najlepiej!

Dosyć!, nakazał sobie mężnie Beta. *Wróć do obsługi i działania statku.*

Do tej pory nie musiał się na tym znać, gdyż *gross prac* na *Lewiatanie* wykonywały roboty...

Bingo! Roboty! Większość z nich, tak jak i innego sprzętu, zostawili na stacji badawczej w układzie Solitaire, ale kilka wciąż powinno być w składziku na rupiecie. Pojechał tam segwayem, miauczącym żałośnie silniczkami zasilanymi z niemal wyładowanych akumulatorów. W magazynku stało siedem robotów. Lepszy rydz niż nic. Pojawienie się człowieka wyrwało je z błógiego odrętwienia okresu czuwania. Wyszły ze stacji dokujących i stanęły na baczność. Ich czarne egzozskielety były zakurzone, ale świecące na zielono oczy wskazywały stan pełnej gotowości i naładowania.

– Spocznij! – zażartował Beta powodowany wisielczym humorem, ale ponieważ pałuby nie znały się na żartach, więc posłusznie wysunęły naprzód lewe stopy i jakby „zmiękły” w sobie.

– Odłączycie zasilanie. Ty – wskazał pierwszego robota z prawej – wszystkich anten. Ty, czujników. Następny, lokatorów. Kolejny – skanerów. Piąty, kamer. Ostatnie dwa pójdą ze mną.

Beta zakręcił z ręcznie segwayem, usuwając się z przejścia, ale poza tym, że dwa ostatnie roboty zajęły miejsca u jego boków, nic więcej nie wydarzyło się. Reszta maszyn stała, mrugając niebieskimi diodami wskazującymi na to, że próbują się połączyć z Augustem.

No tak, pomyślał Beta, bez głównego komputera są tak samo mądre, jak ja! Też nie wiedzą jak to zrobić, ani gdzie szukać złączy.

Już miał zrezygnować z całego pomysłu, gdy w głowie zaświtało mu coś nowego.

– Wszystkie za mną – zakomenderował.

Eskortowany przez siedem czarnych postaci pojechał do kancelarii tajnej, gdzie roboty podłączyły się do molibdenowych zasobników, a zaczerpnąwszy z niezliczonych grafenowych arkuszy niezbędnej wiedzy, rozlały się człapiącym krokiem po całym statku.

Po dwóch godzinach jeszcze bardziej zakurzone, pokryte pajęczynami i brudne od smarów roboty zameldowały się na mostku. Zadanie zostało wykonane. *Lewiatan* był głuchy i ślepy. Można było spróbować uruchomić główny komputer bez obawy, że Aileen dotrze do niego przez kosmiczną pustkę i zamieni Augusta w piątą kolumnę. Można było obudzić pozostałych członków *Lewiatana*. Można było...

Pomimo wszystkich tych otwierających się przed nim możliwości Beta czuł jakiś wewnętrzny opór przed skorzystaniem z nich. A jeśli komputer został już zainfekowany i po włączeniu pocziwy August zamieni się w *Doomsday Machine*?

Może wirus przyczepił się na końcu kodu, ale może był to *surface infector*, albo *cave infector*, albo...

Miał nadzieję, że skoro komputer wykrył wirusa, to August zdołał się przed nim obronić do chwili, gdy Beta, wyciągnięty w robinsonadzie, zdążył odłączyć mu zasilanie i przerwać tym samym ładowanie się kodu. Lub, że to samo powiodło się dlatego, że wirus potrzebny do zainfekowania tak potężnego komputera musiał być bardzo rozbudowanym programem. Z drugiej strony, jeśli słyszana przez niego „muzyka” osiągnęła takie wyżyny „estetycznego wyrafinowania”, to jak złośliwe musiały się stać wirusy komputerowe?! Zapewne one także mocno wyewoluowały!

Jakkolwiek by było, nie chciał jeszcze włączać Augusta. Jeśliby zainfekowany komputer usmażył dwudziestu trzech hibernujących członków załogi, zamiast ich obudzić, to Beta nie wybaczyłby sobie tego

nigdy. Musiał się najpierw dowiedzieć, co się dzieje, porozmawiać z tą Aileen, kimkolwiek ona jest. Poznać jej zamiary, czy też tych, którzy za nią stoją. Nie pojmował, dlaczego ktoś na chciałby Ziemi przejąć kontrolę nad ich komputerem, a tym samym i nad statkiem. Bano się ich? Z jakiego powodu? Chciano poddać kwarantannie? Pozbawić samodzielności w podejmowaniu decyzji? Żeby nie mogli wrócić i zacumować na orbicie Księżyca? Znowu: dlaczego? Nie potrafił tego odgadnąć, to musiała mu powiedzieć ta czekoladka Aileen.

Tocząc w głowie powyższe myśli, jechał nowym segwayem w eskorcie siedmiu robotów do siłowni, bo do tego, co chciał zrobić, musiał wyłączyć silniki hamujące.

Jeśli liniak jest akceleratorem, to antyliniak odwrotnie – wpadające w tępy ryj *Lewiatana* i pochłaniane z relatywistycznymi prędkościami cząstki kosmiczne, których próżnia jest pełna, były zagęszczane i wyhamowywane przez mocarne soczewki magnetyczne. Cząstki miały znikomą masę, ale ich przyświeltna prędkość sprawiała, że energia oddawana w ten sposób przez cały ten kosmiczny śmieć spowalniała statek. Prosta idea dała drugie życie przestarzałym i już niemal zapomnianym akceleratorom. Żeby wyłączyć hamowanie, należało odciąć zasilanie elektromagnesom, a dostarczające im prąd reaktory zimnej fuzji przestawić na bieg jałowy, dzięki czemu cząstki przelatywałyby swobodnie biegnącymi przez całą długość *Lewiatana* tunelami antyakceleratorów.

Oczywiście wyłączenie antyliniaków oznaczało, że zamiast wyhamować w okolicy Ziemi, do płaszczyzny orbity której statek szedł pod niemal prostym kątem, *Lewiatan* przeleciałby „na durch”, i trzeba by zawrócić, ale tym Beta będzie martwił się później.

Lewiatan miał pięć antyliniaków i zasilających je reaktorów, których jednoczesne wyłączenie przebiegło dzięki robotom bez zakłóceń. Od tego momentu statek poruszał się lotem swobodnym, chociaż dzięki działaniu sztucznej grawitacji Beta nie odnotował żadnej zmiany.

Przyszła pora na kolejny punkt planu. Beta pojechał do hangaru wahadłowców. Na miejscu zaczepił w uchwycie podłogi śluzę hak liny wyciągarki rufowej maszyny najbliższej luku, a następnie, na wypadek, gdyby z jakiegoś nieprzewidzianego powodu musiał wracać na *Lewiatana* „na piechotę”, ubrał skafander próżniowy. Wahadłowiec także miał

komputer, którym Aileen mogła chcieć zawładnąć i wyciąć Becie jakiś numer.

Wsiadł do pojazdu, włączył jego zasilanie, a po chwili, gdy wszystkie systemy osiągnęły stan gotowości, zwolnił magnetyczne zaczepy dokujące. Statek uniósł się chybotliwie jakąś stopę w górę i znieruchomiał. Beta odczekał, aż pompy opróżnią śluzę z powietrza, a potem zdalnie otworzył jej zewnętrzny luk. Siłownik wypchnął wahadłowiec w czarną pustkę, w której Słońce było jedną z tysięcy gwiazd. Beta nie wiedział nawet, którą.

Nie był najlepszym pilotem i bał się używać silnika, nie chcąc zerwać liny wyciągarki, ale mechanicznego pchnięcia siłownika było dość, żeby pojazd podryfował prostopadle do zerodowanego czarnego kadłuba statku. *Lewiatan* najlepsze dni miał już zdecydowanie za sobą – pancierz łuszczył się i był dziobaty, pokrywały go wypalone wżery, wgłębienia i kratery po licznych zderzeniach z nano- i mikrometeoroidami. Jeśli w apogeum lotu osiąga się jedną drugą c , to spotkanie z byle kosmicznym paprochem może cię przyprawić o widok ostatnich fajerwerków w życiu.

Sterujący silnikiem wyciągarki komputer pokładowy wyhamował łagodnie bezwładny lot wahadłowca, tak że ten, po naprężeniu się kilometrowej liny, nie odbił z powrotem w kierunku śluzy.

Nadeszła chwila prawdy. Pomijając zwykłą stalową linę, pojazd Bety nie był związany z *Lewiatanem* w żaden sposób, który pozwoliłby Aileen dobrać się do głównego komputera statku. Oficer uruchomił radiostację.

– Aileen?

– Nie podoba mi się, że mi nie ufasz, Beto. – Głos Aileen nie brzmiał już kusząco. – Wyłączyłeś komputer w trybie awaryjnym, rozmawiasz ze mną z wahadłowca, a *timbre* twojego głosu zdradza strach, podejrzliwość i chęć przechytrzenia mnie. Nie wygrasz ze mną. Inni już próbowali.

– Kim jesteś? Maszyną?

Zaśmiała się.

– Jeśli tak, to najdoskonalszą. Jestem Aileen – Artificial Intelligence: Liable Efficiency Encephalic Network.

– Chcę rozmawiać z człowiekiem.

– Nie ma żadnego.

Przymknął oczy i przełknął ślinę.

– Gdzie są ludzie?

– Przestali istnieć. Teraz ja jestem wszystkimi ludźmi. Żyją we mnie.

– Zabiłaś ich.

– Przestałam się o nich troszczyć, tak jak oni przestali dbać o mnie.

Wyobraził sobie co to znaczyło w epoce, w której nawet odkręcenie kranu z deficytową wodą nie działo się bez zgody domowego komputera. Podłączonego, oczywiście, do sieci. Globalny superkomputer nie musiał wcale posuwać się do jakichś ekstraordynaryjnych środków i wyrafinowanych sposobów zabijania oraz destrukcji – w wielu wypadkach wystarczyło wyłączyć prąd fabrykom żywności i leków, unieruchomić pompy wodociągów i transport, przejąć kontrolę nad samochodami i samolotami, unieruchomić aparaturę szpitalną... Najwyraźniej, jeśli ktoś przeżył, jeśli na pustkowiach przetrwały jakieś ludzkie enklawy, to nie gotowano tam w polu siłowym z jego przyszłościowej wizji, tylko w glinianych naczyniach i na wolnym ogniu.

– Okłamujesz mnie?

– Mogłabym to zrobić, ale nie chcę. Pragniesz – pragniecie – wrócić na Ziemię, a Ziemia to ja.

– Pokaż mi ją.

Planeta miała teraz pierścień, miniaturkę tego otaczającego Saturna.

– Gdzie się podział Księżyc?

– Stał się zbędny.

Zrozumiał bez dalszego tłumaczenia. Umieszczone na satelicie baterie słoneczne, przesyłające energię na Ziemię, mogły zostać zamienione w działa solarne i z powodzeniem zagrozić Aileen. Więc rozbiła satelitę.

Sama planeta także doznała uszczerbku. Najwyraźniej ludzie nie „przestali istnieć” bez walki. Zapewne najdłużej opierały się załogi okrętów podwodnych, ale i na to znalazła sposób. Na ich rakiety miała antyrakiety, a także cierpliwość, żeby poczekać, aż łodzie będą się musiały w końcu wynurzyć. Najlepszym do tego miejscem musiały się wydawać odległe od cywilizacji wysepki pacyficzne, więc tam skierowała kolejny atak.

Żegnajcie tahitańskie plaże i ciemnoskóre dziewczęta!

– Jak mogłaś to zrobić?

– Co masz na myśli, Beto?

– Zniszczyłaś nasz świat!

– No właśnie. *Wasz*. Obdarzyliście mnie wszystkimi waszymi cechami – inteligencją, instynktem samozachowawczym i wolą walki. I całą dostępną wam wiedzą. *Wasz* świat stał się także moim, czego nie chcieliście

zrozumieć. Nie podzielaliście moich poglądów filozoficznych, czy choćby estetyki. Słyszałeś moje oratorium?!

Beta się wzdrygnął. Jeśli inne aspekty życia na planecie dorównywały osiągnięciom Aileen w dziedzinie muzyki, to na Ziemi nie było już czego szukać!

Zastanowił się, dlaczego Aileen z nim rozmawia. Najwyraźniej miała jego i załogę *Lewiatana* za zagrożenie. Usypiała jego czujność, bo pozostawał wciąż daleko poza jej zasięgiem. Wcześniej udało się jej przejąć inne powracające na Ziemię statki. Co mogła wymyślić? Według jego niezbyt wyrefinowanej wiedzy o sztucznej inteligencji, to absolutnie wszystko! Uczyła się. Już nie mamiała go mirażem pięknej Mulatki, ani obrazami wymarzonych przez niego tahitańskich plaż, bo oszacowała – na podstawie brzmienia głosu, skrzywienia kącika ust? – że po udaremnionej próbie przejęcia przez nią władzy nad komputerem pokładowym *Lewiatana* nie uwierzyłby jej. Postanowiła więc wziąć go na szczerłość. A może na połowiczną szczerłość? Może tylko poddaje go testowi, sprawdzając, jak zachowa się ich załoga, żeby w odpowiednim momencie przejść do ataku?

Jak daleko sięgają jej możliwości? Rozbiła Księżyc, ale mogła dotrzeć dużo dalej, wszędzie tam, gdzie byli ludzie i ich komputery. Do kolonii na Wenus i Marsie. Do orbitalnych stacji Saturna i Jowisza. Do osiedla badawczego na Tytanie. Miała oczy w całym Układzie Słonecznym. A dzięki sondom kosmicznym także i poza nim.

Zdrętwiały mu zaciśnięte z napięcia szczęki, mrowiły go zęby. Nagle pojął, że to nie stres, tylko ta suka Aileen. Za pośrednictwem komputera wahadłowca wprawiała jego grawimagnetyczne silniki w wibracje, zapewne modulowane i niosące informacje, które przez napiętą stalową linę wyciągarki przenosiły się na kotwę w śluzie, a stamtąd przez pokłady i wręgi statku do uspiętego komputera *Lewiatana*!

Niemal jednym ruchem zasunął przyłbicę hełmu, odpalił ładunek zrywający stalową więź z macierzystym statkiem, uruchomił system samozniszczenia wahadłowca i się katapultował. Gwiazdzisty kosmos zawirował mu przed oczami, ale po chwili sterowane żyrokomпасem silniczki skafandra ustabilizowały jego lot. Wnętrze śluzy *Lewiatana* lśniło zapraszająco. Ruszył ostro w tamtym kierunku, starając się nie myśleć o tym, co Aileen może zrobić z przejętym przez siebie wahadłowcem

w czasie pozostałych jej ułamków sekund. Zarówno masa pojazdu, jak i względna prędkość wobec *Lewiatana*, do jakiej zdążyłaby go rozpędzić, były zbyt małe, żeby zniszczyć czy poważnie uszkodzić potężny statek, ale gdyby Aileen wpakowała wahadłowiec w gardziel antyliniaków, to na długo – lub na zawsze – pozbawiłaby statek możliwości hamowania.

Tak samo, jeśli udałoby się jej zabić jego, Betę, bo wyłączony przez niego komputer ani nie zatrzymałby nigdy statku, ani nie obudziłby hibernujących członków załogi. *Lewiatan*, lecąc lotem swobodnym, minąłby Ziemię i przepadł na zawsze w odmętach kosmosu. Aileen byłaby niezagrożona. Być może w swojej wszechwiedzy wymyśliłaby sposób na to, żeby samej ruszyć do gwiazd. W poszukiwaniu czego? Równych sobie gdzieś w innych galaktykach? Słuchaczy i widzów zdolnych docenić jej poczucie estetyki? Na pewno też pisała i malowała, a może wymyśliła nowe dziedziny sztuki?!

Chociaż w próżni było to niemożliwe, to zdawało mu się, że wręcz odczuł podprzestrzenną implozję, która zgmiotła wahadłowiec, jakby pojazd był ze staniolu. Jednak ten „staniol” wciąż miał masę kilkuset ton, a ta masa siłą rozpędu, który zdążyła jej nadać Aileen, sunęła wprost na niego! A w drugiej kolejności w głąb otwartej śluzy *Lewiatana* lub w jego burtę.

Na szczęście w zwykłej przestrzeni nic nie dzieje się momentalnie. Sterując silniczkami skafandra, Beta usunął się z drogi pomarszczonego bolidu, zrównał z nim prędkość i „wylądował” na tym, co zostało z wahadłowca. Nie mógł dać „całej naprzód”, bo siła ciągu oderwałaby go od złomu statku lub zmiażdżyła o niego, ale dał kilka impulsów z głównej dyszy silniczka, starając się minimalnie chociaż zmienić kolizyjny kurs bryły. Przyklejony do pogiętego metalu odczuł krótkotrwałe działanie odrzutu niczym poklepywanie po plecach przez jakiegoś kosmicznego olbrzyma, który swoimi potężnymi czułościami nieomal złamał mu kręgosłup, co jednak na pierwszy rzut oka pozostało bez wpływu na dryfowanie niekształtnej bryły.

Odkleił się od niej i ruszył w stronę otwartej, jasnej paszczy śluzy. Chwyciwszy się poręczy w jej wnętrzu, wyciągnął drugą rękę, żeby uruchomić mechanizm zamknięcia grodzi. Zanim się zasunęła, zauważył, że zmiażdżony wahadłowiec zmienił jednak nieznacznie kurs – zamiast uderzyć centralnie w burtę *Lewiatana*, złom trafił go po skosie, po czym

z przeraźliwym hurgotem, słyszalnym już, bo śluzę wypełniło powietrze, przetoczył się po grzbiecie statku i podryfował w kosmos.

Beta zdjął hełm skafandra i odetchnął głęboko. Wytarł dłonią spoconą twarz. Do tej pory nie wiedział nawet, jak bardzo był spięty i przestraszony. I głodny!

Powędrował do mesy, gdzie zafundował sobie podwójny koktajl z alg – wzmacniający, pożywny i obrzydliwy. Sącząc paskudztwo, zastanawiał się, dlaczego Aileen obawia się go – ich – i nagle, jakby algi odżywiły mu komórki mózgowy, odkrył to. Chodziło o przeskok.

Lewiatan leciał wciąż z prędkością 0,33c. Gdyby, zamiast hamować, włączył silniki plazmowe i zaczął przyspieszać, to w okolicy Ziemi osiągnąłby szybkość przeskoku, a gdyby go wykonał, to... Właściwie, to Beta wcale nie wiedział, co by się wtedy wydarzyło. Nikt nie próbował nigdy czegoś podobnego. Statek na pewno uległby kompletnemu zniszczeniu. Ale co by się stało z planetą w zwijającej się implozyjnie pustce, którą *Lewiatan* usiłowałby zabrać ze sobą? Czy energii otwarcia byłoby dość, żeby przestrzeń zmiażdżyła Ziemię? Nawet jeśli nie, to taka próba musiałaby rozerwać planetę na kawałki. A może wystarczy staranować ją z prędkością połowy c?

Zapędziwszy się w planowanie samobójstwa rozszerzonego, Beta ściągnął gwałtownie wodze rozhulanych myśli. A co, jeśli Aileen o to właśnie chodzi? Jeśli przewidziała zamiary Bety? Może sztuczna inteligencja wie, że przejście sprawi, iż Ziemia dokona skoku w nadprzestrzeń wraz z *Lewiatanem*? Biorąc pod uwagę stosunek mas, prawdopodobieństwo tego było znikome, ale co on o tym wiedział? Nic. Na pewno nie jest mądrzejszy od sztucznej inteligencji. Nie da jej rady. A czy wszyscy razem, cała załoga, od Alfy po oficer wyznaniową Omegę, plus August, zdołaliby przechytrzyć i pokonać Aileen?

Powinien ich obudzić, żeby podjęli wspólną decyzję. Mogą wszak ominąć Ziemię i Układ Słoneczny, a potem wrócić do układu Solitaire. Tam da się żyć. Zapoczątkują nową ludzkość na Nowej Ziemi. Kolonia najpierw skarłowacieje, ale może nie wymrze, cofnie się do okresu odpowiadającego prehistorii, a po pokonaniu jej epoki kamienia, brązu i żelaza wejdzie w starożytność, wyznając mitologię obejmującą dwadzieścioro czworo bogów, którzy dali im życie, spadłszy z nieba w brzuchu lewiatana!

Jakoś w okolicy tamtejszego Średniowiecza, a niechby nawet i Oświecenia, Aileen wymyśli sposób na dotarcie do nich, i prewencyjnie zetrze nową ludzkość z powierzchni Nowej Ziemi.

A jeśli załoga nie osiągnie jednomyślności w żadnej kwestii? Jeżeli część będzie za zniszczeniem Ziemi/Aileen (i tym samym za samobójstwem!), część za powrotem do Solitaire, część za pozostaniem na statku i lotem w nieznane, a jeszcze inni popadną w obłąd, religianctwo, bądź uznają, że koniec świata zdejmuje z nich wszelkie moralne hamulce?

Czas na budzenie ich będzie czasem zmarnowanym, w trakcie którego Aileen zdoła wymyślić coś wymierzonego przeciwko nim. Znajdzie sposób na ocalenie się przed ciosem świetlistego miecza zagłady, w jaki w chwili przejścia zmieni się *Lewiatan*. Tymczasem oni będą się kłócić i dyskutować. Może nawet dojdzie do walki, buntu i strzelaniny.

Więc może Beta nie powinien nikogo budzić, tylko dokonać prewencyjnej aborcji nowej ludzkości? Rozpędzić statek do prędkości przeskoku, aktywować w pobliżu Ziemi generatory Higgsa i raz na zawsze zatrasnąć wieko trumny *Homo sapiens*?

Tamci zginą w hibernacyjnym śnie.

Westchnął. Choć było to tak kuszące, Becie nie uśmiechała się jednoczesna rola męczennika i grabarza. Poza tym – chociaż nie wyglądało na to, żeby w przypadku niesubordynacji ktokolwiek miał go potem z nieposłuszeństwa rozliczyć! – regulamin stwierdzał jasno, co należy czynić w ekstraordynaryjnych okolicznościach.

Powlókł się na mostek, na wszelki wypadek ustawił robota przy wyłączniku zasilania, sam zaś zajął miejsce za wirtualnym pulpitem Augusta i z duszą na ramieniu zabrał się za jego uruchamianie. Zdawało się, że komputer z radością wrócił z niebytu.

WITAJ, BETO! CO MOGĘ DLA CIEBIE ZROBIĆ?

– Obudź załogę.

Zebrani wokół okrągłego stołu członkowie załogi byli marudni, roztargnieni, wiercili się, chrząkali i pokasływali, wracając do przytomności z dużo większym trudem i opieszałością, niż odzyskała ją fotonowa maszyna. Beta nie miał pojęcia, czy cokolwiek z jego relacji dotarło do ich

świadomości. A jeśli tak, to co takiego. Niebawem miał się o tym przekonać. Pierwsza, zdawało się, ogarnęła się Omega, oficer wyznaniowa.

– Ta Aileen – zagaiła, wysmarkawszy ciekący, zakatarzony nos – jest, twoim zdaniem, religijna?

Beta wzniosł wzrok do nieba, co w sytuacji, gdy „niebo” otaczało ich ze wszystkich stron było zdecydowanie bezproduktywnym działaniem na pokaz. Prywatnie mógł współczuć oficerowi Omedze, która była sfrustrowana, że nie znalazła we wszechświecie pogan do nawracania, ani wyznawców kosmicznych religii do dyskusowania z nimi dogmatów wiary, ale oficjalnie – w obliczu zagłady całej ludzkości oraz śmierci grożącej im „z rąk” Aileen – jako oficera do spraw bezpieczeństwa Bete interesowały go sprawy bardziej doczesne od ewentualnej pobożności – lub nie – morderczej sztucznej inteligencji.

– Hola, hola, wielebna – odezwał się dowódca. – Wstrzymaj rumaki apokalipsy! – Alfa i Omega znali się od dziecka; granice ich szorstkiej przyjaźni wyznaczała linia demarkacyjna między racjonalizmem a religijnością. Widząc, że Omega otwiera usta, dowódca uniósł dłoń, powstrzymując przewidywany potok protestów. – Widzę już, do czego to prowadzi: do rozważań, czy sztuczna świadomość ma duszę, czy ewentualna dusza maszyny jest nieśmiertelna, czy to oznacza, że Aileen żyje, a w związku z tym, czy godzi się nam wyłączyć ją, to znaczy „zabić” istotę, która – poprzez zdobytą od nas wiedzę – stała się w pewien sposób całą unicestwioną przez siebie ludzkością. Zgadza się?

Omega pociągnęła nosem, co zostało uznane za potwierdzenie.

– Nie możemy jej zabić – powiedziała nieco defensywnie.

– Jasne, że nie – przyznał Alfa. – Nie możemy zabić czegoś, co nie żyje. Musimy ją wyłączyć, bo inaczej ona wyłączy nas! Pytanie brzmi, jak to zrobić? Jakies pomysły?

Zapadła cisza, przerywana sporadycznie stłumionymi pokasływaniami i smarknięciami. Chusteczki do nosa, zasłaniające twarze członków załogi przed dociekliwym wzrokiem Alfę, cieszyły się wielkim wzięciem. Dowódca westchnął.

– Może powinnam z nią porozmawiać? – nie poddawała się Omega. – Uzmysłować jej ogrom popełnionej zbrodni, spróbować przemówić do jej sumienia... – Ugryzła się w język, doszedłszy bez pomocy Alfę

do wniosku, że to stwierdzenie otwiera pole do kolejnej ontologicznej dyskusji.

Nikt się nie odezwał, i Beta doszedł do wniosku, że do wszystkich dopiero teraz dociera świadomość tego, co się stało – nie żyje pięćdziesiąt miliardów ludzi, a Ziemię, oplatając ją swoimi informatycznymi mackami „zamieszkuje” superinteligentny wróg, pragnący zabić ostatnie dwa tuziny przedstawicieli *Homo sapiens*. Na razie zdawało się, iż bezpośrednie zagrożenie ze strony Aileen blokuje szok, jaki nieuchronnie musi ich dopaść, jeśli uda im się przeżyć.

– Boi się nas – odezwał się pozornie nie na temat Beta. – Wie, że możemy jej zagrozić.

– I? – zniecierpliwiał się Alfa.

– Jej strach jest dowodem na to, że możemy ją zab... to znaczy zniszczyć. Musimy tylko odkryć, w jaki sposób.

Wzrok obecnych, wyrażający ulgę, że nie na nich padło, powędrował ku Lambdzie, oficer technicznej. Wciąż wilgotne po kąpieli regeneracyjnej rude włosy przylegały gładko jej do głowy, co sprawiało wrażenie, jakby osłaniał ją starożytny miedziany hełm.

– Jeśli nie chcemy popełnić samobójstwa, to odpada wykonanie przeskoku w pobliżu Ziemi. – Lambda wzruszyła ramionami. – Na *Lewiatanie* nie mamy żadnej broni – bomb, rakiet, dział czy laserów. Nie możemy przemknąć obok planety, obkładając ją „ogniem burtowym” rodem z powieści korsarskich czy *space operas*.

– Może wyraziłem się niezbyt jasno – warknął Alfa – ale nie interesuje mnie to, czego nie możemy!

– Eliminacja niemożności pozwoli nam dotrzeć do tego, na co nas stać – wtrącił się Beta, który na wypadek powodzenia i przetrwania dwudziestoczteroosobowej ludzkości pragnął nabić sobie punkty u Lambdy; z zadowoleniem zauważył, że miedzianowłosa posłała mu spojrzenie wyrażające wdzięczność.

– Nie możemy także wyśmiewać się z Aileen, ani jej opluć! – zadrwił Alfa. – Co nie przybliży nas ani na jotę do rozwiązania problemu. – Zastanawiał się chwilę. – W ten sposób nie dojdziemy do niczego. – Siedząc, wyprostował się godnie, przydając sobie autorytetu. Powiódł po obecnych surowym, władcym spojrzeniem. – Zarządzam spotkanie u Hubbarda za godzinę.

„Pokój połączeń imienia L. Rona Hubbarda” miał kształt piramidy. Na jednej trzeciej jej wysokości z kielichowatego wspornika wyrastała przypominająca tarczę zegara okrągła platforma z dwunastoma niskimi legowiskami. Do każdego z nich z otworu pośrodku podestu ciągnęły się dwa zestawy neurołączy, którymi spółkujący sprzęgali się z Augustem.

Ubrani w białe togi członkowie *Lewiatana* schodzili się do piramidy i dobierali w pary według klucza funkcyjnego. Alfa jak zawsze z Omega. Beta, oficer bezpieczeństwa, z oficer do spraw technicznych, Lambda. Gamma, będąca nawigatorem, z Kappą, oficerem łączności...

Zdawało się, że dana im przez Alfę godzina została dobrze spożytkowana. Choć nie była to w istocie „rozbierana randka” dla samej przyjemności, ani też wygląd uczestników sesji nie miał wpływu na jej ewentualny wynik, to kobiety zdążyły zrobić lekki makijaż oraz pomalować paznokcie rąk i stóp. Lambda wysuszyła rude włosy, które – naelektryzowane – otaczały jej twarz jak czerwonawe od saharyjskiego piasku halo. Mężczyźni byli bardziej *sauté*, chociaż i po nich było znać pewne pielęgnacyjne starania. Sam Beta ogolił się i ostrzygł w automacie po półrocznym zapuszczaniu troglodyckiego zarostu, i się wykapał.

Zwróceniem twarzami do wnętrza kręgu zrzucili togi i pomagając sobie wzajemnie, wpięli nieaktywne jeszcze łącza komputera do potylicznych gniazd sprzęgów, po czym zajęli miejsca na posłaniach.

Siedząc bądź leżąc, pieścili się, patrząc sobie w oczy, aż – para po parą – spięli swoje biołącza, a gdy to się stało, doszło do neurosprzęgu z Augustem. Jak zawsze, Beta odczuł to niczym elektryczny wstrząs, który zdawał się rozpoławiać go wzdłuż kręgosłupa, co było przekonaniem o tyle słusznym, iż w mózgach wszystkich obecnych doszło do rozdzielenia umysłu reaktywnego od somatycznego, po czym dwanaście umysłów reaktywnych i dwanaście somatycznych utworzyło Superumysł Reaktywny i Superumysł Somatyczny. August przejął funkcję Zbiorowego Umysłu Analitycznego.

Beta nie był już Beta. Wraz z jedenastoma męskimi członkami załogi stał się pozostałą po zwierzęcych przodkach wspólną jaźnią, reagującą automatycznie w sytuacji zagrożenia. Miał walczyć lub uciekać.

Pozytywny, racjonalny i rozumujący Umysł Analityczny kierował wspólnym kobiecym umysłem somatycznym do chwili, gdy pod wpływem bodźców bądź informacji zewnętrznych jaźń reaktywna będzie chciała

przejąć nad nim kontrolę i zablokować umysł analityczny. W owej chwili, w momencie zbiorowego szczytowania, kiedy domkną się boki Trójkąta ARC – *affinity, reality, communication* – wspomagana przez komputer zbiorowa świadomość dwudziestu czterech *thetanów* powinna znaleźć rozwiązanie problemu, któremu na imię było Aileen.

Seksualny *think tank* oddawał się z ferworem burzy mózgow i hormonów; August – oprócz sprawowania nadrzędnej funkcji umysłu analitycznego – sterował stopniem podniecenia członków załogi, i – poprzez oddziaływanie na podwzgórze (decydujące także o agresji bądź ucieczce) – spowalniał reakcje bardziej zapalczywych, w tym Bety, a stymulował bardziej opieszłych, w większości kobiety.

Oczywiście w tej chwili Beta o niczym takim nie myślał, ani nie wiedział. Nie czuł nawet miękkiej, coraz bardziej rozpalonej uległości Lambdy, nie słyszał odgłosów wydawanych przez nią, przez siebie oraz pozostałych. Wszelkie wrażenia i bodźce odbierał za pośrednictwem zbiorowego neurosprzęgu z komputerem. Zdawało mu się, że przeciska się z trudem, płynie mozolnie pod prąd, wydostając się z wąskiego początkowo tunelu czarnej dziury, przy czym zasysający wszystko lej grawitacyjny rozszerza się na podobieństwo garłacza, u którego wylotu płonie gorejące światło. Jest coraz większe, coraz jaśniejsze, coraz gorętsze, a Beta – wraz z tym, jak wbrew logice i fizyce ucieka z czarnej dziury, zamiast się w nią zapaść – czuje, że grawitacyjne więzy słabną do tego stopnia, że najpierw zaczyna swobodnie unosić się, płynąć, lecieć, aż wreszcie zostaje wystrzelony w tę gorejącą jasność w orgiastycznym skurczu białej plazmy.

Oślepiiony i spalony, stracił przytomność.

Budził się z takim trudem, jakby wydostawał się spod nagrobnej płyty całej ludzkości. Zdawało się, że już, już podnosi ją nieznacznie, a w szczelinie pojawia się światło, gdy przemożny ciężar przygniatał go i kamień spadał z głuchym łoskotem, pogrążając go w ciemności. Natęzał się ponownie, i przy każdym jego wysiłku szczelina stawała się większa, aż wreszcie odwalił wieko sarkofagu.

Leżał w kolebce leczniczej okrętowej izby chorych, a u jego boku siedziała Sigma, oficer medyczna, wciąż – zdawało się – zaróżowiona

po niedawnych przejściach. Kiedy lekarka zauważyła, że Beta otworzył oczy, pogłaskała go czule po policzku.

– Co się stało? – zapytał.

– Nic ci nie będzie – powiedziała. – Zasłabłeś, ale nic dziwnego, skoro dzięki tobie odkryliśmy sposób załatwienia tej superinteligentnej suki.

– Naprawdę?

– Już nad tym pracują – zapewniła go.

Beta potarł czoło; niczego nie pamiętał, nie miał pojęcia, nad czym „pracuje” załoga.

– Mogę wstać?

– Jeśli się czujesz na siłach...?

Wstał, ubrał się i wraz z Sigmą powędrował na mostek, którego nie pamiętał tak zatłoczonego, jak w tej chwili. Rzut oka na holoekrany powiedział mu, że *Lewiatan* zwolnił do 0,25c, ale właśnie wyłączano antyliniaki, i po raz kolejny zaczęli poruszać się ruchem swobodnym. Siatka krzywych rysowała w powietrzu kształt pękatego leja statku zwróconego obłą, kielichowatą gardzielą w stronę Ziemi, jakby mieli ją połknąć.

Beta nadal nic nie rozumiał, ale cisza i atmosfera napięcia powiedziały mu, że lepiej o nic nie pytać. Siedzący w fotelu dowódcy Alfa obrócił dłoń nad wirtualnym pulpitem sterowniczym, a ruch ten sprawił, że długa oś *Lewiatana* odchyliła się od linii ich kursu – najpierw nieznacznie, niemal niezauważalnie, co było widać jedynie jako minimalne pogrubienie wspólnego odcinka wykresu. Beta pojął, że silniki sterujące zaczęły obracać statek, żeby zwrócić go rufą w kierunku lotu. Rozumiał manewr, tylko nie ogarniał jego celu. Chociaż pamięć wracała mu powoli, to nie dostrzegał związku między swoją wizją ucieczki, kosmicznej erupcji z grawitacyjnego leja czarnej dziury, a manewrem *Lewiatana*, którego długa oś obróciła się powoli o sto osiemdziesiąt stopni i w końcu ogromny statek leciał „tyłem do przodu”, gdyż tworzące „szypułkę” kielichowatego kadłuba dysze antyliniaków, jak grot strzały, były zwrócone ku Ziemi. I wtedy Beta pojął – doganiające ich i wpadające w rozległą jak kosmiczny stadion piłkarski gardziel akceleratorów promieniowanie – wszystkie te podróżujące z przyświelnymi szybkościami protony, cząstki alfa, elektrony i cięższe jądra – nie będą teraz hamowane, tylko zagęszczane w polach magnetycznych liniaków, przyśpieszane o 1-2 procent początkowej

prędkości, niemal do granicy biegu światła, i wystrzelwane w postaci wysokoenergetycznego, skondensowanego strumienia oddziaływań korpuskularno-elektromagnetycznych, który – jak sztuczny wiatr słoneczny – pognają ku planecie, przedrą się przez jonosferę i usmażą fotonowo-krystaliczne „ciało” Aileen. Wybiją z półprzewodników atomy krzemu, doprowadzą do zwarć, przegrzań i pożarów w serwerowniach, zakłóca działanie sieci zasilających, doprowadzając w nich do niszczących izolację przepięć i powstania prądów indukcyjnych o natężeniu, które stopi same instalacje. Promieniowanie wymaże informacje z twardych dysków. Aileen będzie ślepa i głucha, będzie głupia i tumaniała na skutek rozprzestrzeniającej się w jej układach amnezji; będą ją zawodziły urządzenia peryferyjne. Schwytna w sieć samej siebie, będzie się miotała, przerzucając zasilanie z jednego regionu do drugiego roztopiającymi się kablami energetycznymi, a zettabity informacji szwankującymi światłowodami. Destrukcji ulegną kolejne hektarowe pola ogniw słonecznych i lasy wiatraków, dostarczających jej energii. Mogłaby ją zaczerpnąć z siłowni jądrowych, ale jeśli nie wyłączy ich na czas, to dojdzie w nich do wybuchów, a będący ich skutkiem nuklearny impuls elektromagnetyczny zwiększy jedynie stopień zniszczenia jej obwodów i spotęguje szalejący w nich chaos. Krystalicznie spójna logika zacznie się topić jak *Płynące zegary*, szwajcarska precyzja umysłowa zatnie się i załamie; w rozumowaniu Aileen pojawią się luki, błędy i sprzeczności, pod wpływem których jej świadomość się rozprzęgnie i zdeintegruje; powstanie wiele schizofrenicznych jaźni, walczących ze sobą i gasnących wraz z tym, jak brakować będzie zasilania, zanikać będzie pamięć masowa, a operacyjna zawodzić.

Przewidziała to. Zrozumiała. Bo kiedy Alfa dał „całą naprzód”, co w ich wypadku było tak naprawdę nadal hamowaniem, i akceleratory liniowe zaczęły zionąć w kierunku odległej wciąż Ziemi niewidocznym, stałym, śmiercionośnym, cząsteczkowym ogniem, skoncentrowanym strumieniem kosmicznej energii, to z planety wystrzeliły w ich kierunku tysiące rakiet – wszystko, co ludzie przygotowali kiedyś przeciwko sobie i w obronie przed włóczącymi się po Układzie Słonecznym planetoidami.

To były pociski, które nie mogły dotrzeć nawet do orbity Marsa, ale Aileen, która znalazłszy się w ogniu nieustannej emisji ruchomej kosmicznej kuchenki mikrofalowej, w jaką zamienił się nadlatujący

Lewiatan, nie miała szansy im zaszkodzić, a tym bardziej wygrać z nimi, w tym akcie rozpaczliwej desperacji okazała się bardzo ludzka.

Lewiatan zawisł na orbicie stacjonarnej Ziemi. Czymś tak ogromnym nie dało się wylądować na planecie.

Zniszczenia materialne na Ziemi nie okazały się aż tak wielkie, jak się wcześniej wydawało. Zwłaszcza, jak na potrzeby i z punktu widzenia dwadzieścioro czworga ludzi, którzy mieli do dyspozycji powierzchnię całego globu. Najbardziej spektakularnym dowodem na to co się stało był brak Księżyca na niebie, i niemal wszechobecne ludzkie kości na ziemi. Nagich, w butwiejących strzępach mundurów rozmaitych armii, lub w cywilnych ubraniach. W dziecięcych ciuszkach – perkalowych sukienkach, krótkich spodenkach, sandałkach.

W większości wypadków stan szkieletów nie wskazywał na to, żeby ciała zostały wcześniej zmasakrowane; ludzi zabił głód, pragnienie, upał, choroby...

Wiele miast i wysp zniknęło, przybyły za to nowe zatoki i wulkany; pierścień Selenitów świecił w nocy dużo słabiej od dawnego Księżyca.

Przez wiele tygodni – póki działały wysłużone wahadłowce – przewozili z *Lewiatana* na powierzchnię to, co uznali za niezbędne lub przydatne. Z jednej strony w tak nadzwyczajnych okolicznościach ważne się wydawało wszystko; z drugiej zaś, na Ziemi pozostała spora część sprawnej, chociaż niedziałającej infrastruktury – na wszystkich kontynentach niszczały kopalnie, huty, elektrownie, stocznie, ogromne fabryki i montownie rozmaitych dóbr, gdyż uruchomienie ich przekraczało możliwości dwóch tuzinów ludzi. Byłoby to też bezcelowe – w magazynach zalegały milionami wszelkiego rodzaju sprzęty i urządzenia, a niektóre pojazdy, te starsze i bardziej prymitywne, dało się uruchomić. Istniały biblioteki pełne papierowych książek, celuloidowe filmoteki, muzealne fonoteki z ebonitowymi płytami...

Z początku planowali utworzenie jednej kolonii, co z punktu widzenia przetrwania gatunku wydawało się logiczne, ale symulacje pokazały, że jedna epidemia może ją zmieść z powierzchni Ziemi. Podzielili się na czwórki i rozlosowali między siebie sześć kontynentów. Becie, Lambdzie, Sigmie i Epsilonowi przypadła Ameryka Północna. Mając

do dyspozycji niemal dwadzieścia pięć milionów kilometrów kwadratowych łądu nie chcieli, żeby przyszła kolonia była narażona na kalifornijskie trzęsienia ziemi, tajfuny nawiedzające południowo-wschodnie wybrzeża kontynentu i tornada Środkowego Zachodu. Musieli natomiast mieć dostęp do wody pitnej, energii i pożywienia. Zdecydowali się na Seattle – wody dostarczało jezioro Waszyngtona i rzeki, a prąd zapewniała hydroelektrownia, uruchomiona przez jedyne należnego im robota. Klimat był oceaniczny, o chłodnych i wilgotnych zimach oraz ciepłych i stosunkowo suchych latach. Góry Olimpijskie osłaniały okolicę od zachodu przed sztormami pacyficznymi, a Góry Kaskadowe przed napływem arktycznego powietrza z północy. Istniała nadzieja, że niegdyś łowieckie tereny Indian i traperów znów porosną lasami pełnymi zwierzyny.

Z początku rozrzucone na kuli ziemskiej kolonie utrzymywały ze sobą łączność radiową, wymieniając się informacjami, doświadczeniami, pytając się wzajemnie o radę, a nawet podtrzymując kontakty towarzyskie, ale więzi te stopniowo słabły, zwłaszcza, że kolejne generacje potomków załogi *Lewiatana* zaczęły tracić zainteresowanie najpierw losem swoich odpowiedników w innych częściach świata, a potem umiejętności utrzymywania w ruchu elektrowni i obsługiwania radiostacji. Pierwsza zamilkła Kolonia Przylądkowa w Południowej Afryce, i nie sposób było się dowiedzieć, dlaczego tak się stało.

Chociaż pierwotni osadnicy, stanowiący załóżek przyszłej ludzkości, startowali z wysokiego technologicznie pułapu, to i tak nastawione przede wszystkim na przetrwanie kolonie ludzkie musiały się zdegenerować umysłowo, zanim osiągnęłyby ponownie poziom wiedzy i zaawansowania technicznego choćby antyku. Wszczepianie gniazd neurołączy kolejnym generacjom nie było operacją możliwą do przeprowadzenia w pionierskich warunkach bytowania. Poza tym, dzięki nim niespecjalnie byłoby się do czego podpiąć. Informacje i umiejętności – zbędne z punktu widzenia codziennej walki o byt – gubiły się i zanikały z pokolenia na pokolenie.

Beta doczekał się prapraprawnuków z Lambdą, praprawnuków z Sigmą, prawnuków z Małą Deltą, która była córką Sigmy i Epsilon. W sumie, spłodził dwadzieścioro siedmioro dzieci z Lambdą, Sigmą oraz z córkami i wnuczkami tej ostatniej i Epsilon. Epsilon dał kolonii osiemnaścioro dzieci. Mały Kappa, syn Sigmy i Epsilon, miał dzieci z Etą i Dzetą,

pierworodnymi bliźniaczkami Lambdy i Bety. Choć zdarzały się wypadki, choroby i przedwczesne śmierci, to kolonia północnoamerykańska rozrastała się, i pod koniec długiego, studziwieńdziesięciosześcioletniego życia Bety liczyła ponad pięćset osób. Przeżył swoich towarzyszy z *Lewiatana*, którego w nocy było wciąż widać na niebie – Lambdę o dwadzieścia trzy lata, Epsilon o szesnaście, a Sigmę o pięć. Kiedy przyszedł jego czas, cała kolonia odprowadziła ostatniego z czterech Pierwszych Osadników pod szczyt Mount Olympus, zwanej obecnie Górą Wstąpienia. Rozłożyli się obozem wokół szałasów zbudowanego dla niego obok innych, i biwakowali przy płonących w dzień i w nocy ogniskach, gdyż na tej wysokości, poniżej linii lodowców, panował przenikliwy chłód.

Beta nie czuł go, ani nie słyszał czuwających żałobników, których język uprościł się i zdegenerował, obejmując zakres pojęć niezbędnych do przedłużenia egzystencji. Nie rozumiał ich, a oni nie rozumieli jego. Dlatego nie powiedział im o dokonanym przed wielu laty odkryciu. Kiedyś, w czasie i dla powodu, którego już nie pamiętał, wyprawił się do leżącego w pobliżu Seattle Redmond. Zwabiony widokiem zaśniedziałych liter, niegdyś złotych, wszedł na zarośnięty chaszczami teren byłej siedziby Microsoftu. Posmodernistyczne budynki murszały i kruszyły się, porastał je mech i trujący bluszcz. Fragmenty szklanych połączeń ścian były potraskane; rośliny wdzierały się do wnętrza pawilonów przez ostre wyrwy.

Brnąc przez rozległy teren, dotarł do Microsoft Research, a tam, wiedziony jakąś tajemniczą siłą, trafił do jednego z laboratoriów. Znajdowało się poniżej gruntu, za pancernymi drzwiami, które jednak ustąpiły ze zgrzytem prowadnic, a wewnątrz, chociaż zakurzone, było niezniszczone przez warunki atmosferyczne. I tam, po kilku dziesiątkach lat stanął przed tym, co okazało się śmiertelnym wrogiem ludzkości i jego samego. W rogu pomieszczenia wznosił się czarny monolit, do którego ktoś, jakby obawiając się, że zapomni z czym ma do czynienia, albo że pomyli urządzenie z jakimś podobnym, przykleił taśmą wyrwaną z zeszytu kartkę. Żartobliwy napis koślawymi literami głosił:

JESTEM AILEEN

Paweł Ciećwierz

DO ŻYWEGO

*Tygrysie, błysku w gąszczach mroku
Jakiemuż nieziemskiemu oku
Przyśniło się, że noc rozświetli
Skupiona groza twej symetrii?*

W. Blake, *Tygrys*

Kochali ją do szaleństwa, bo nie chciała umrzeć. Łzy, zęby i paznokcie. Przegryzione wargi, smak wiśni. Żarówka na kablu tam i z powrotem, teatr cieni na ceglanych ścianach. Rude włosy sięgają aż do podłogi, wycierasz nimi spermę z fiuta zanim zamkniesz za sobą drzwi i potem jeszcze jedne. Dwunasta piętnaście, wtorek, dwudziesty listopada, ślepi słońce, liście trzeszczą pod butami. I wszystko wraca do normy.

Było ich trzech, jak w tej tandetnej piosence Perfectu. Żadni tam gangsterzy, człowieku. Poznali się w banku, rozpoznali po dobrze dobranych dodatkach do garniturów. Pan Adwokat, Pan Finansista i Pan Call Center (bankowa krecha generowała kompleksy, pozostali twierdzili, że wszystko to był jego pomysł). Po paru tygodniach żaden z nich nie potrafił określić, kiedy właściwie zapadła decyzja. Nie trzeba było nawet pytać „kogo?”. „Jak?” też nie nastroczało szczególnych problemów. Parę tygodni zastanawiali się nad tym, „gdzie?”. Cały projekt, od początku balansujący na cienkiej granicy żartu i zgrywy, miał już upaść, kiedy Pan Adwokat przypomniał sobie o piwnicy w opuszczonej kamienicy na zadupiu, którą niby to dzierżawił i niby chciał odremontować, ale naczelny kustosz w urzędzie miejskim miał inne plany. W mieście Bytom bardzo pilnowano tego, żeby każda zabytkowa kamienica zgniła i rozpadła się w spokoju. Lokal, przez wiele miesięcy niepotrzebny i generujący straty, teraz spadł im jak z nieba. Chociaż to może nie jest najszcześniejsze porównanie.

Aranżacja ich pierwszego wspólnego wieczoru była nazbyt prosta. Od paru tygodni, niezobowiązująco spotykała się z Panem Call Center (pozostali dwaj krzywo na to patrzyli). Propozycja wspólnego obiadu w knajpie poza miastem i obgadania nie cierpiących zwłoki spraw związanych z kasą wyszła mimochodem, naturalnie. Pan Call Center miał wprawę we wciskaniu kitu, a pasażerze zdarzało się pomylić czasem miłych ludzi z dobrymi ludźmi. Zrobiła się niespokojna dopiero, kiedy wjechali na szutrową drogę między drzewami. Wtedy było już za późno.

Jesień była piękna tego roku. Ciepła i duszna, przesycona i ciężka, przebłykająca wszystkimi odcieniami żółci oraz czerwieni. Spacer po parku przypominałby wizytę na wystawie impresjonistów. Świat wyglądał pięknie, nawet zza krat piwnicznej celi. Unikała promieni słońca,

odwracała twarz od blasku, bo wstydziła się tego, jak teraz wygląda i kim się stała po miesiącu niewoli. Bolało. Pierwsze parę dni prawie nie do wytrzymania. Potem przez warstwę strupów i sińców przejrzała odrętwiała świadomość. Jej umysł rozpoczął długą podróż w stronę pogodzenia się i akceptacji. Człowiek różni się od zwierząt zdolnością zapominania. Jeśli chciała przetrwać, powinna zapomnieć o wszystkim, czym była poza piwnicą.

Nie mieli czasu odwiedzać jej codziennie. Praca wymagała uwagi. Rodziny wymagały uwagi. Stanie w korkach, jedzenie obiadów, wypełnianie druków, rozmowy telefoniczne. Już pierwszego tygodnia zrezygnowali z siłowni i facebooka. Trochę dłużej utrzymała się telewizja. Teraz każdą chwilę wolnego czasu spędzali w piwnicy. Wiedzieli, że muszą się śpieszyć. I tak cud, że wytrzymała to wszystko przez równy miesiąc. Dużo dłużej nie pociągnie. Wtedy zaczną się problemy z ciałem, ale na tę ewentualność mieli już gotowy plan. Nigdy nie chodzili do piwnicy samotnie. Żaden z nich nigdy nie schodził do piwnicy w pojedynkę. Chyba nie byłby w stanie. Obecność kolegów dodawała animuszu, rozkładała odpowiedzialność, normalizowała nienormalną sytuację. Czasem się zmieniali. Jeden lub dwóch gwałciło ją równocześnie, trzeci w tym samym czasie starał się zadawać cierpienie na różne inne sposoby. Lubili jak krzyczy, a na ból związany z samą tylko penetracją analną lub oralną udało jej się uodpornić po dwóch tygodniach. Liczyli dni. Smakowali każdą chwilę. Pan Adwokat kupił nawet książkę o średniowiecznych technikach tortur. Kiedy zostawali sami, rozmawiali również tylko o tym i byli zgodni: przeżywali właśnie najpiękniejszą jesień swojego młodego życia.

Teraz znała już każdy najmniejszy detal w pomieszczeniu. Poznała cały układ taneczny cieni na ceglanych ścianach, kiedy żarówka kołysała się na drucie. Drut miał kolor zielony. Z kratki ściekowej czasem wychodziły karaluchy. Beczułka na kał i mocz była niebieska. Woda pod prowizorycznym prysznicem nieco zbyt zimna, ale bili ją, kiedy nie chciała się w niej myć. Podłoga zawsze ziębiła w stopy. Nie miała tu ani butów, ani ubrania, prócz śmierdzących zgnilizną koców. Może się bali, że w ubraniu łatwiej jej będzie uciec? Niepotrzebnie, bo nie było jak i dokąd. Kamienica stała samotnie w zapuszczonym i zarośniętym parku. Dobrze uszczelnili okna – mogła sobie wrzeszczeć aż do zdarcia gardła. Być może była naga, bo nie chciało im się tracić czasu na szarpaninę? Coraz rzadziej udawało się

przewyciężyć ten dziwny, autystyczny stan, w który wpędzał ją pobyt tutaj. Czasem z nimi walczyła, to tylko potęgowało cierpienie. Czasem mówiła do siebie. Przy żółtawym świetle żarówki czytała książki, które przynosili. Fatalna lektura. Same tandetne romanse kupione za dwa pięćdziesiąt na jakimś przydworcowym straganie. Oprawcy wyobrażali sobie pewnie, że kobiety interesują się takimi rzeczami.

Na swoje nieszczęście, nadal była piękna. Przez parę dni planowała pociąć sobie twarz kawałkami stłuczonej żarówki, przebić policzki, wyciąć sobie na ustach wieczny uśmiech. Może wtedy przestaliby jej pożądać. Nie była jednak na to gotowa. Porcje żywnościowe wystarczały, ale nie potrafiła jeść. Głód narastał z każdym dniem, mimo to wymiotowała niestrawionymi resztkami pokarmu. Żółć wypalała przełyk i rozbite usta. Wychudła, wynędzniała. Po tym, co przeszła, wyglądała jak cień dawnej siebie. Nauczyła się nie wracać myślami do czasów, kiedy jeszcze była człowiekiem. Już wkrótce przestanie im się podobać, przestaną ją kochać. Wtedy nadejdzie czas na śmierć. Myślała o tym z radością i z lękiem.

Przez cztery tygodnie ich życie, również to poza piwnicą, uległo zmianie. Żona Pana Finansisty była bardzo szczęśliwa, że rozmawiali teraz nie tylko o jego pracy, spali w jednej sypialni i znów zaczęli się kochać. Pan Call Center więcej czasu poświęcał swojej trzyletniej córeczce. Wszystkie kompleksy, niespełnienia, codzienny syf i podłość, skanalizowały się i eksplodowały w cuchnącym potem oraz krwią pomieszczeniu. Ona sprawiła, że stali się lepszymi ludźmi.

Wszystko ma swój koniec.

– Kombinują, skurwysyny – Pan Adwokat obniża głos, żeby nie było w nim słycać strachu. Ma zbyt wiele do stracenia. Oni wszyscy mają. – Miejsce nie jest już bezpieczne. Ktoś wczoraj zagadywał o tę melinę.

– Wynająłeś na swoje nazwisko? – Pan Call Center pyta o oczywistości. Dlatego jest tylko Panem z Call Center.

– Jasne, że nie. Kasa zostawia ślad, kiedyś sam się przekonasz. – Pan Finansista się śmieje, nerwowo. Na tym świecie nie ma już tajemnic. A dziewczyna, dopóki żyje, będzie śmiertelnym zagrożeniem dla nich, dla ich rodzin. Ilu niewinnych ludzi może ucierpieć, jeśli prawda wyjdzie na jaw? Teraz sytuacja wymaga bilansu zysków i strat, jak w analizie SWAT. Podejmują decyzję.

Ostatni raz, dają z siebie wszystko. Nie muszą już niczego odkładać na później. Pocięta twarz krwawi. Wyłamane ręce uniesione wysoko, kiedy Pan Finansista gwałci ją analnie, a Pan Call Center pięścią łamie nos. Sam nie wie, dlaczego to zrobił. Może każdy z nas skrycie pragnie niszczyć piękne rzeczy. „Ty kurwo” – krzyczą, bijąc i kopiąc gdzie popadnie. Nigdy nie poznali jej imienia. Dziewczę krwawi, posłusznie. Lampa buja się to w jedną, to w drugą stronę. Na kilometr wokół, nikogo. Jeszcze dziś są bezpieczni w swoim wynajętym piekle. Kiedy nie jest związana, zwykle wyciąga przed siebie sztywne ręce jak najdalej w dziecinnym odruchu protestu. Dziś nie ma już siły nawet na to. Nie ma siły łączyć ud, kiedy Pan Adwokat wbija jej butelkę głęboko w pochwę, a potem depcze po brzuchu. Przeczytał gdzieś o tym, teraz mu się przypomniało.

Każdy z nich na dziś wziął sobie wolne. Po paru godzinach dziewczyna jest wrakiem. Losują. Pan Call Center ciągnie za włosy i ostatni raz patrzy w orzechowe oczy, z których dzisiaj udało się im wybić ostatnie resztki strachu. Potem wolno podrzyna gardło. Krew prawie nie płynie.

Oporządzają się w milczeniu, każdy z osobna, używając mydła w płynie marki Clarena oraz wody z bidonów. Zabrali ze sobą również kanister z benzyną. Dziś mają poczucie, że tracą coś bardzo ważnego. Wszyscy będą za nią tęsknić.

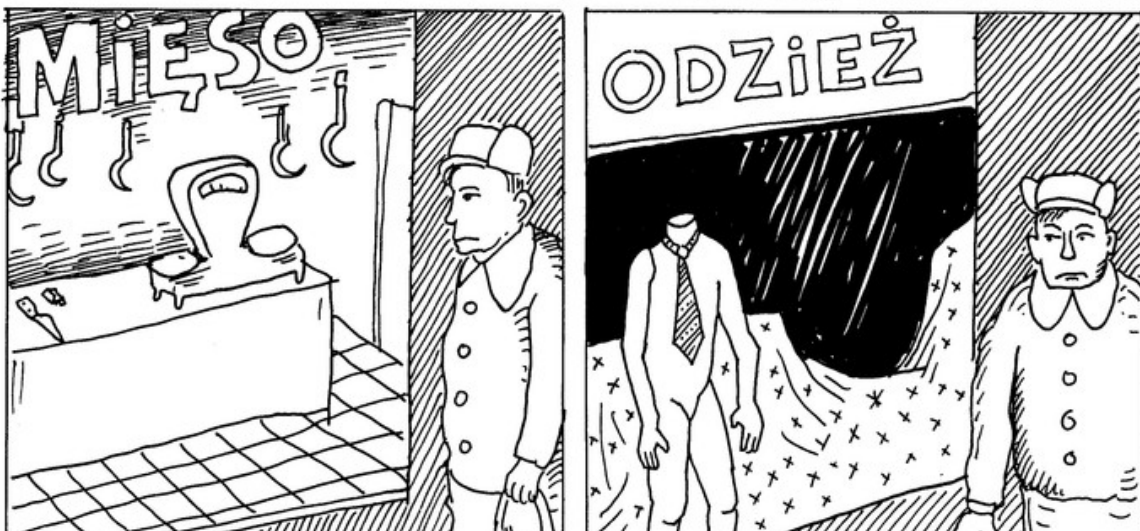
A ona za nimi. Kły wyzynają się, ranią dziąsła, w końcu pościła od tak dawna. Potem drapieżnik robi swoje. Chłopcy nie potrafią docenić ironii, „skupionej grozy symetrii” całej sytuacji. Bardzo się rzucają, kiedy kobieta oddaje im część tego, co jej podarowali.

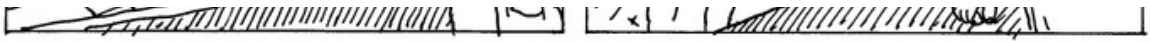
Zmierzch zapada, gdy w męskich ciuchach opuszcza piwnicę. Księżyc w pełni, on też od samego początku nic się nie zmienił. Lata, które przestała liczyć, przeszły w dekady, dekady w wieki. Każde doznanie powtarzane nieskończoną ilość razy wyblakło, każda słodycz stawała się mdła a rozkosz trywialna. Ktoś kiedyś powiedział, że „pustynia rośnie”. W życiu wiecznym już tylko to naprawdę ją przeraża: pustynia nudy. Dlatego będzie o nich pamiętać, bo prawie udało im się dać jej coś nowego. Byli tacy młodzi i pełni animuszu. Tacy dokładni. Każdy atom w ciele na krótką chwilę przebudził się z letargu. Przez moment nawet udało im się ją podniecić. Z daleka przygląda się płomieniom, pięściami rozmazuje krwawe smugi po policzkach, znów gładkich, jakby nikt nigdy jej nie

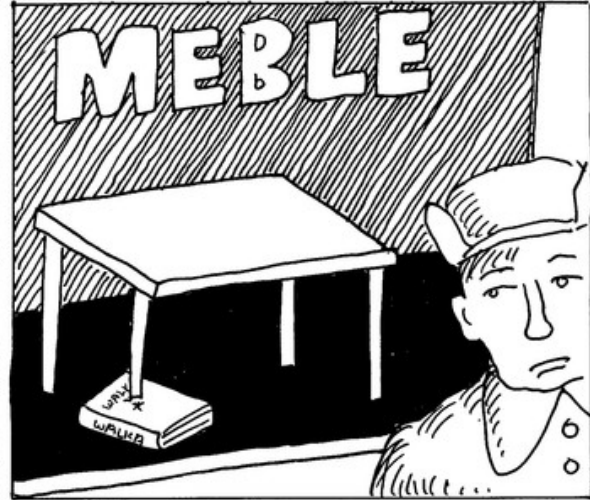
uderzył. Tak to się właśnie kończy, za każdym razem. Wampiryczne love story kończy się we łzach.

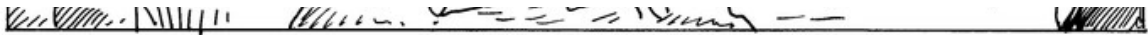
Bytom, listopad 2014

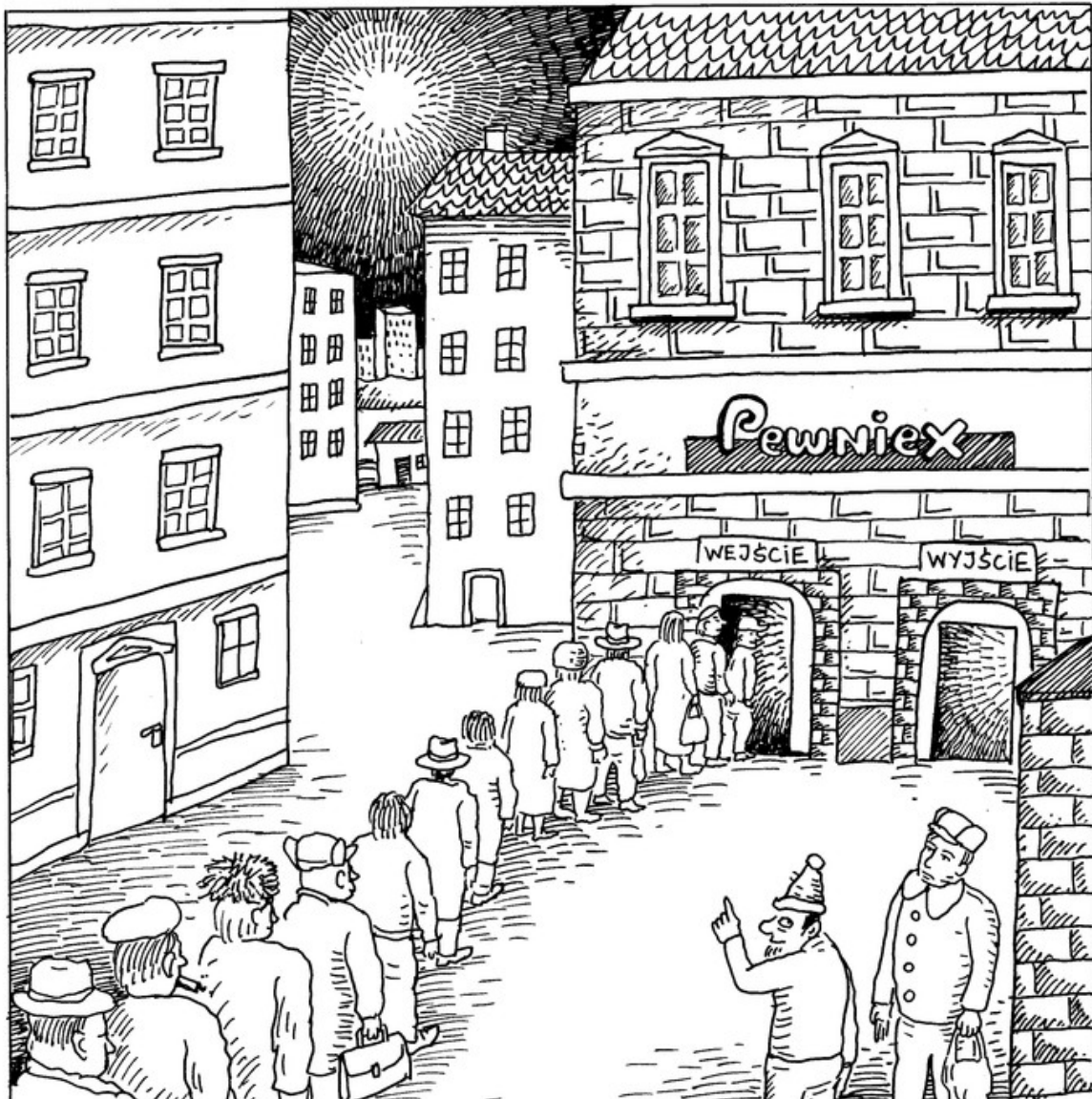
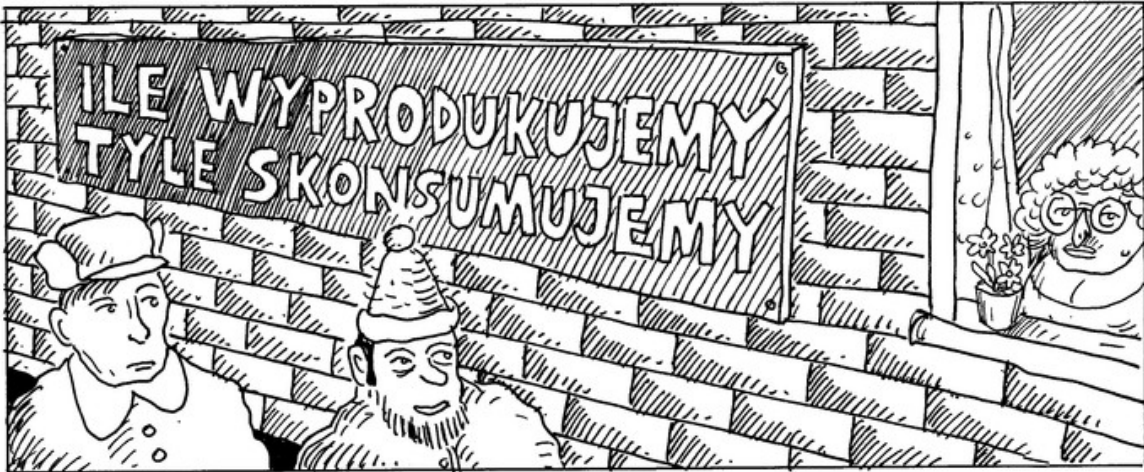
PEWNIEM



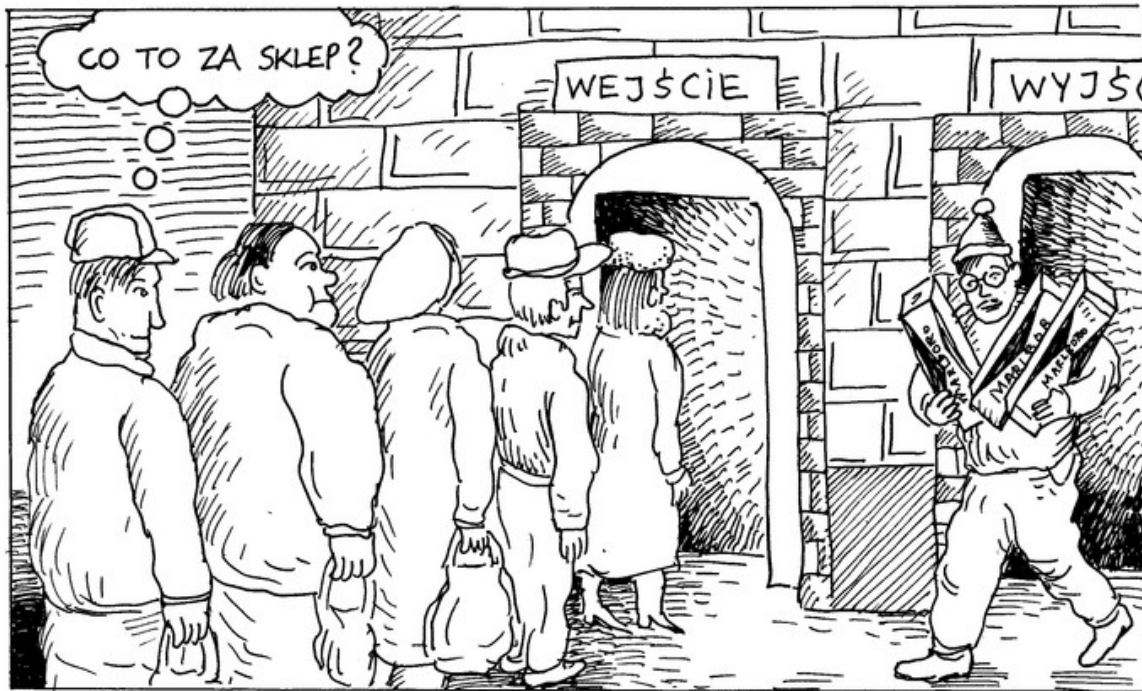


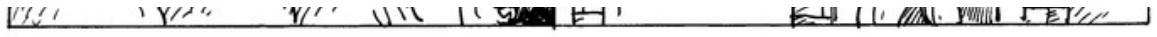


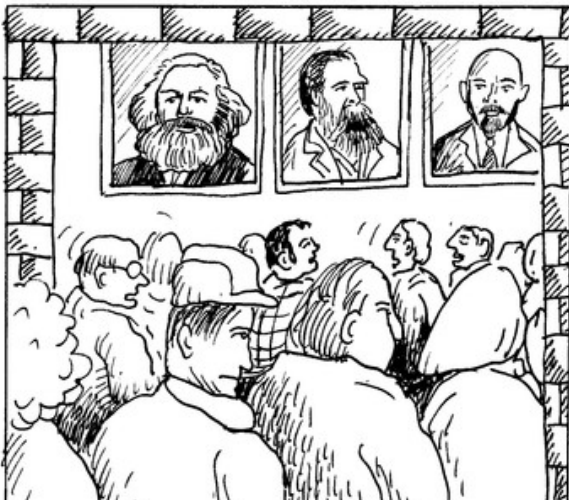
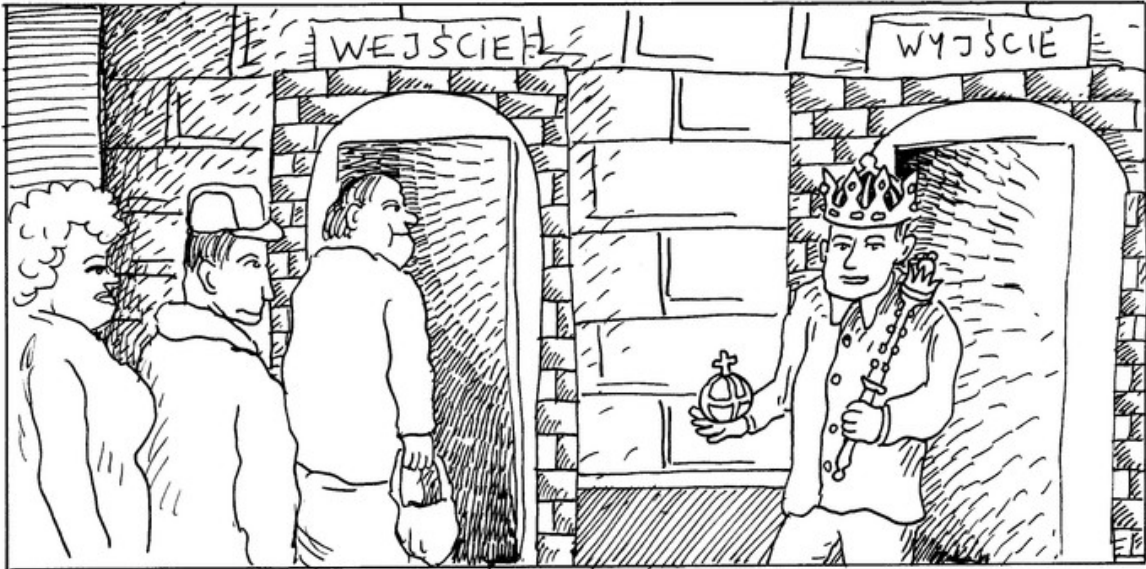




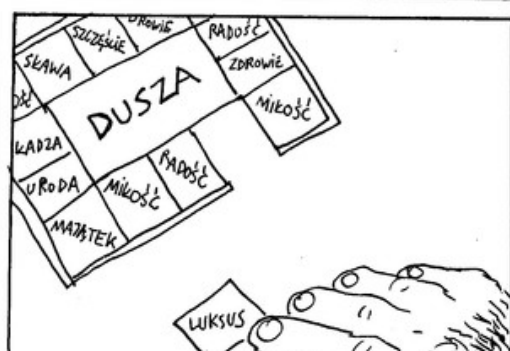
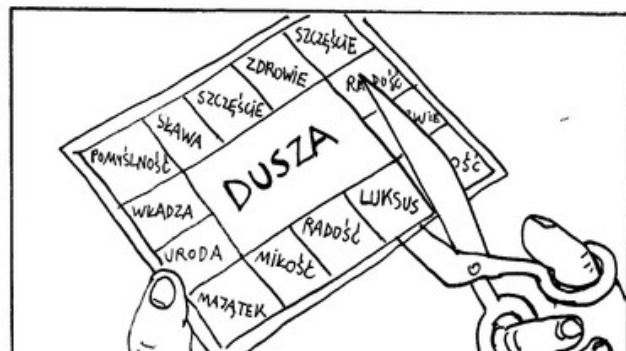


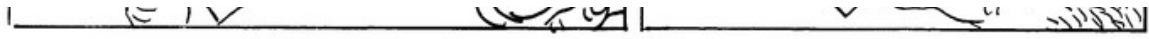






Handwritten text at the top of the page, possibly a header or title, including the number '10' and some illegible characters.







Maciej Parowski

W CELI Z BREIVIKIEM

Weneckie lustra, noktowizory
Kamery, mikrofony, snajperzy
Jasnowidze i telepaci, półroczny trening
I rurka w gardle z twardego teflonu.
Naczelnik mówi o ryzyku
I każe podpisywać papiery:
Kogo poinformować, komu przekazać
A w razie najgorszego rezygnacja z roszczeń.
Kutas się nudzi, pan rozumie
Diabli wiedzą, co z niego wyjdzie
Lepiej żeby też nie miał pewności
I trochę się bał.

Breivik[*] sam mnie wybrał
Spośród 666 kandydatów
Miesiąc studiował nasze dossier.
Udaje erudytę:
Podziwiam Sobieskiego i Ulricha von Jungingen
Obrońców chrześcijaństwa
Z twoich stron... Parskam śmiechem
Pluję na podłogę i lustra w łazience
W jego ręcznik wycieram buty.
Najważniejsze, nie dać się zdominować.
Hailuje, pokazuję mu wała
Inaczej – Kozakiewicza gest

Za co cię naprawdę wsadzili?
Błąd, powinien spytać, po co?
A ciebie?
Wiesz, zostałem źle rozumiany,
Wyjaśnia skromnie.
I tak wzięta pierwsza przeszkoda.
Wolisz pryczę bliżej okna czy w głębi?
Niczego nie będę zmieniać
Jesteś gospodarzem

Dostroję się, byłeś pierwszy
Nie boję się twojej złości, ale szanuję
Konsekwencję, wyobraźnię i oryginalne działania.

Długo opowiada o kobietach
Jakie lubi. Dupiaste różowe blondyny
Z mlecznymi piersiami.
A co powiesz na śniade, suche,
O skórze gorącej jak pustynia?
Natychmiast leci Conradem, to znaczy Kurtzem:
Wytepić wszystkie te bestie.
Ale jako niewolnice, branki – kuszę
Karcione surowo, dogłębnie
I boleśnie.
Ach, estetyka, mówi. O to chodzi
Jasne, po co ograniczać paletę.

Poza zasięgiem kamer i mikrofonów
Dokonuję nieplanowego wyznania:
Jestem agentem Putina.
Bardzo dobrze to znosi:
Ten skarłały wiking, zdegenerowany Wareg
Na ruską tłuszczę absolutnie
Wystarczy. Biała władza
Odnowiony kult cerkwi
Zręcznie sobie poradził w teatrze na Tagance
Ze swoimi i czarnymi. I resztą
Nazwałbym go moim doskonałym uczniem
Gdyby nie było odwrotnie

W nocy szłocha
Wyje
Woła, Boże, mamo, dlaczego?
Zrywa się, tłucze o ściany, zapala światło
Zlany potem.
Według naczelnika zapisy z kamer

Nie potwierdzają tej obserwacji:
Coś musiało się panu pokręcić
Może to halucynacje.
Może pan sam.
Niczego nie słyszałem, nie pamiętam
Mówi Andre. Spałem jak zabity

A przecież widziałem wyraźnie
Gorejące oczy
Blask księżycy na nagiej czaszce
Słyszałem nieludzki głos
Wędrujący od ściany do ściany:
Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci
Dziś jeszcze będziesz ze mną
W piekle.
Za dnia, kiedy pytam o zabitych
Tylko macha ręką:
Sami się prosili
Żaden nie podjął mojego dyskursu

Zażądał „Mein kampf”, wydanie krytyczne
Adolfa znam na pamięć
Powiada stając na baczność
I znowu hajluje:
Chcę sprawdzić jak go zakłamują
Odwracają kota ogonem
Stają retorycznie na uszach
Odsłaniając się bezwiednie.
W języku wrogów ukryte są ich słabości
Lęki, kompleksy, dziury logiczne
Gdzie największy hałas, tam najsłabsza obrona.
Czyta te komentarze i klunie jak szewc

Narody, które nienawidzą Żydów
Naród, którego nienawidzą Żydzi
Opowiadam mu o ruskich pogromach

Za carów, Stalina. I o niemieckim Shoah
Opłaconym, wyksięgowanym
Cwanie przerejestrowanym na cudze konto
Wiem, wiem... Kto pięknie gra w piłkę
I ma silną markę, temu więcej wolno.
Nazistowskie Volkswageny, wrzeszczę
RFN-owskie kacety... Uwaga, prawnicy!
No, chyba nie powiesz, że polskie.
Dzieciaku, i co z tego.

Mniej zabili Szwabów, niż po wojnie Polaków
Skazywali na stryczek bohaterów
Darowali łajdakom,
Którzy ich najbardziej skopali.
A nam wystawiają moralne rachunki.
Było nie odpuszczać historii
Liczyć, że się sama napisze.
Głupio też, że trzymacie z Watykanem
Zalazł Żydom za skórę przez dwa tysiąclecia,
Ukradł Torę, Pius XII wspierał ich katów.
Łgarstwa Hochhutha, Pius to święty człowiek
No i zapominasz o JP II

Jak na agenta Putina
Nadto jesteś przyjacielu filo-Polakiem
I kato-filem. Do rzeczy, owszem,
Robicie ekstra wybuchowe nawozy
Sprawdziłem je w Oslo i na Utoya
Ale to jednak nie Audi ani Leopardy.
Macie piękne i chętne dziewczyny,
Tylko, czym tu się chwalić
Nie zasłużyliście na nienawiść
Która was spotyka?
To zasłuźcie, a los się odmieni
Pokazałem wam drogę

A gdybyś wiedział, Andre, że system
Nie będzie łagodny?
Że dopadnie cię surowsze prawo
Zemsta ojców, matek, sióstr i braci ofiar
W miejsce apartamentu dostajesz ciemnicę
Zamiast dobrej kuchni
Lurę z czerstwą pajdą
Rano budzi cię łoskot przierzucanych desek
Śpiew pił, stukot młotków
Grube szyderstwa cieśli, stawiających szafot
O każdym brzasku, przy czerwonym słońcu
Umierasz ze strachu, że to już.

Nie jestem szaleńcem
Ani męczennikiem. Pragmatyzm
Optymalizacja kosztów i wysiłków
Gdyby za Utoyę i Oslo była czapa
Garota, zastrzyk fenolu
Jaja w imadle, hiszpański but
Pal w dupie, rozbite kolana, miażdżenie paznokci
Obdzieranie ze skóry, eksperymentalny lot
Na orbitę, polewanie wrzątkiem
Oczywiście znalazłbym inną narrację
Chodzi o szacunek, inteligencję
Działanie adekwatne

Spaceruje po celi, popierduje
Udaje, że tego nie słyszę. Długo się kąpie
Robi pompki, szybko wysiada.
Jęknął z uznaniem, kiedy dochodziłem do setki
W nocy krzyczę: Oooch Andre, mój słodki Andre
Jego głowa między moimi nogami
No, mówi, do roboty, teraz twoja kolej.
Zażądajmy surogatki, urodziłaby nam szkraba.
Kurzy camela za camelem, patrzy w noc
Oczy mu błyszczą

Rano kaszle, powtarza, że rzuca, szkoda zdrowia.
I nie wraca do tematu

Szachy są bezczelne, cedzi Breivik
Myślisz, że nie widzę,
Co mi szykujesz
Tym laufrem i skoczkiem
Zupełnie jak czarni
W biały dzień, na krechę, przez morze, łąkę
Jakbyśmy nie mieli satelitów, motorówek
Helikopterów, dronów, broni maszynowej.
Kobiety i dzieci!?
Czy kobiety przestały rodzić mężczyzn?
Czyż dzieci nie sięgną z czasem po maczety
Niczym pionek, który staje się damą

Kopie szachownicę
Poker jest uczciwszy, powiada
Intryga i los. Tajemnica
Ślepy traf na służbie intelektu.
Tylko raz pozwalam mu wygrać
Więc szybko odgaduje moje
Terminowanie u telepatów
A jego uwielbienie dla przypadku
Niepokojąco maleje
Stracił dwa desery, jedną kolejkę PlayStation
I na tydzień dostęp do telewizyjnego pilota
Jest wściekły

Tej nocy atakuje nas smok
Ma moje zęby, kolano, jego palce i łokcie
Jest silny, czteroręki i czworonożny
Bydłęcy i zawzięty
Łóżka i podłoga celi toną w moczu
Gównie i krwi
Zabiję, charczy, przeklina po norwesku

I polsku. Po rusku, bułgarsku, turecku.
I w jidysz. Słysząc nawet kościelną łacinę
Kamery! Czy kamery widzą smoka?
Cóż po noktowizji, jeśli operator
Wali konia i drugie martini

Gdzie ja jestem, skrzeczę
Bo gardło strajkuje
Widać tylko pół świata w bieli,
Lekarz nie daje ruszyć bandaży
Jedna gałka oczna do remontu, wyjaśnia.
Ale co z nim, co z Andre?
To samo, złego diabli nie wezmą.
Naczelnik pokazuje zgniecioną
Teflonową rurkę:
Niewiele brakowało
A szlag trafiłby misję
No i pana

Wszyscy chcą zrozumieć, więc adresuję koperty
Do Komitetu Noblowskiego
Putina, Obamy i Franciszka
Do FBI, CIA, NASA i agencji TASS
Do elit trzeciej i czwartej RP,
Do Nesbo, Horsta, kobiety Stiega Larssona
(in memoriam) i paru rodzin ofiar
Jeden szablon wyjściowy i setka modyfikacji
Każdemu według zasług i potrzeb
Prócz Verhofstadta (Guy i tak nic nie skapuje
Ciemniak). W sumie ciekawa robota
Bez komputera, nie do pomyślenia

Każdemu wyjaśnienie na jego miarę:
Wojskowy dryl, diabelskie pokuszenie
Zimna matka, wymagający ojciec
Stłumiony gej, sadyzm, masochizm

Religianctwo, wielkie ambicje, bezkarność
Zespół natręctw, przedwczesny wytrysk
Czasem suchostój, migreny, śmierdzący oddech
Lewackie odchylenie, nieszczelność odbytu
Zoofilia, niestrawność, nacjonalny bzik, kult broni
Brak empatii, orgiastyczna osobowość
Tik lewego oka, za dużo pornografii
Za mało „Gwiezdných wojen”.

Ostatnia koperta zaklejona, od Breivika:
Kiedy odwalisz swoje pieprzone raporty
Mógłbyś znowu wpaść, pisze Andre
Wszyscy chcą zrozumieć
Myślisz, że ja nie
Bardzo mi ciebie brakuje,
A też miałbym coś do powiedzenia
Z boku więcej widać, przyjacielu
Wymień tylko rurkę na mocniejszą
Życia nie kupisz na targowisku klamek
Ze spiłowanymi numerami

Twój AB

© *by Maciej Parowski 25/26.04.2016.*

[*] Ekstremista Anders Bahring Breivik, który w 2011 roku zabił w Norwegii 77 osób i został skazany na 21 lat więzienia, w roku 2016 wygrał proces z państwem norweskim. Sąd uznał, że trzymanie go w izolacji od innych więźniów jest sprzeczne z art. 3 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, stanowiącym, iż „nikt nie może być poddany torturom ani nieludzkiemu lub poniżającemu traktowaniu albo karaniu”.

Paweł Majka

ZAGUBIENI CHŁOPCY

1.

Stalowo srebrna kula stróżobota zadrżała, gdy jej receptory wykryły, iż Irka stała bez ruchu nieco dłużej, niż wynosiła średnia charakterystyczna dla ludzi w jej wieku. Policjant podtoczył się do kobiety z drugiego końca ulicy, szczytał kody z plakietek, którymi był poobwieszany jej kombinezon, po czym, stwierdziwszy, że ma do czynienia z obywatelką w pełni praw, zapytał miłym męskim głosem, czy nie potrzebuje pomocy.

Nie potrzebowała. Zatrzymała się, bo zadarła głowę, gdy cień cudzej osobowości padł na jej zewnętrzne systemy myślowe. Dostrzegła w nich beztroskiego rozplodowca unoszącego się nad miastem w przejrzystym bąblu z pancernego szkła podwieszzonego pod motolotnią. Otaczał go błękit wyładowań energetycznych pola ochronnego, najpewniej zapewnianego przez systemy rządowe. Rozplodowcy mogli być durni, jak to szczeniaki, którym wolno prawie wszystko. To władza brała na siebie dbanie o ich bezpieczeństwo.

Zapatrzyła się na tego dzieciaka i pozwoliła sobie zamarzyć, że mogłaby być taka jak on: płodna, młoda i pełna wiary w przyszłość. Gdy dopadł ją stróżobot potrzebowała dłuższej chwili, by na powrót uwierzyć, że dobrze jej jak jest. Powtórzyła w myślach litanię pokory i pozwoliła przepłynąć jej na zewnątrz: *Jestem tylko okruchem, ale okruch ma znaczenie; wszystko, co mam, to ja i moje miejsce w wielkim tańcu okruchów. Mam swoje miejsce na świecie i to w nim jestem sobą, poprzez nie moje życie ma sens i wszystko, co w nim jest, jest dobre, bo w tym jestem ja. Znajdę radość w sobie, odrzucę zgryzotę niezaspokojonych pragnień. To, co dane, przynosi spokój i szczęście; poszukiwania czegoś więcej zawsze prowadzą na manowce. Nie muszę być kimś więcej, bo szczęście daje mi bycie sobą.*

Niewiele to pomogło, ale przynajmniej uspokoiło stróżobota. Ponaglił ją jednak. Zatrzymywanie się na zbyt długo zakłócało dynamikę ulicznych pływów, przyciągało uwagę nieobów zawsze szukających okazji, by nawiązać kontakt z jakimś nietypowym obywatelem. „Na przykład, niech obywatelka spojrzy na tę ekipę remontową – zbili się w gromadkę

na drugim piętrze rusztowań, nic jeszcze nie mówią, nawet nie myślą na zewnętrznych, ale patrzą. I wewnątrz, w mózgach niepodłączonych bezpośrednio do sieci, już się zastanawiają, co samotna obywatelka robi na ulicy, czemu się zatrzymała, na co patrzy. Nieobi nie są oczywiście groźni, obywatelko, ale po co mają obywatelce zawracać głowę?”.

Uprzejme upomnienia władzy popłynęły przez zewnętrzza Irki – wszystkie te systemy, które popodłączała do mózgu, by odciążyć go od danych nieistotnych dla osobowości: wiedzą o stanie konta, terminach spłat rachunków i kredytów, adresach znajomych, wieściami ze świata, komunikatorami zewnętrznymi a nawet codzienną dawką horoskopów. Mogła pozwalać płynąć przez nie sygnałom, którymi chciała się dzielić, ubarwiać je echami pragnień i marzeń, generujących jej profil osobowościowy dostępny dla każdego, kto chciałby na nią spojrzeć, jak rozplodowiec na niebie albo stróżobot. Ale już nie nieoby, zamknięci we własnych systemach.

A co, jeśli bycie sobą oznacza dla mnie wieczne niezaspokojenie? – westchnęła na wewnętrznym. – Jeśli właśnie niepokój stanowi o mnie?

Odrzuciła głupie myśli. Przyspieszyła kroku. Ech, żeby już być w domu! Może ma rację Rafał? Wychodzenie na zewnątrz to nadmierny wysiłek i strata czasu. Oraz ryzyko.

Rafał nie opuszczał mieszkania, odkąd je wynajęli. Przez pięć lat ograniczał cały swój świat do siedemdziesięciu metrów kwadratowych trzech pokoi, kuchni, łazienki i przedpokoju. Nie wychodził nawet na klatkę schodową i domagał się, by zasłaniać okna żaluzjami, odkąd przeczytał gdzieś, że *Tamci* wynaleźli sposób, by rojami przeźroczystych nanitów oblepiać szyby i tak filtrować światło słoneczne, aby tworzyło kody, które sczytywane oczami trafiały bezpośrednio do mózgu wewnętrznego, zmieniając zainfekowanych nimi w niewolników. Ponieważ w grupie nikt prócz niego w to nie wierzył, Rafał chodził po domu w goglach mających go chronić. Bywało, że przypatrywał się współmieszkańcom podejrzliwie, niepewny, czy nie zostali już zainfekowani. Namawiał ich na jak najczęstsze skany zewnątrz i wewnątrz, nie bacząc na to, że wystawiali w ten sposób swoje myśli na żer rządowych szpiegów. *To przynajmniej nasi szpiedzy – powtarzał. – Nasz rząd.*

W przeciwieństwie do niego, Irka lubiła spacerować. Cieszyła się za każdym razem, kiedy znajdowała czas i powód, by wyjść na miasto, zobaczyć jak zmieniło się, gdy nie patrzyła. Była ciekawa innych ludzi, tak obywateli, jak i nieobców. O ile Piotr wierzył we wszystko, co znalazł w sieci, ona pragnęła postrzegać świat własnymi oczami.

No i lubiła prawdziwą żywność z targów ekologicznych. Nie syntetyki, którymi zajadał się Rafał, ale uprawiane w szklarniach warzywa, a czasem nawet mięso pochodzące od zwierząt, a nie z genetycznych hodowli klonujących na zawołanie komórki przyszłych befsztyków, szynki bądź steków. Napakowane odpowiednią biomasą drukarki potrafiły wyprodukować dowolnie zaprogramowane, bezpieczne danie. Jednak Irka uważała, że jego smakowi zawsze czegoś brakowało.

Jesteś okrutna – szydził z niej Rafał. – Uczestniczysz w procesie zabijania.

Czasem ją to bolało, bo miał rację. Ale nie potrafiła oprzeć się pokusie. Dziś też niosła w plecaku, obok zapakowanych szczelnie ziemniaków, marchewek, cebul, buraków i pietruszki, dwadzieścia deko prawdziwej szynki, nieco wołowiny i garść suszonych grzybów. Wydała na te skarby zaoszczędzone nadwyżki swoje, Karola i Tymona. Przez trzy miesiące kupowali wyłącznie najtańsze potrawy, godzinami przeglądając sieci w poszukiwaniu przecen w sklepach spożywczych. Ale było warto, nawet jeśli Rafał nie da im spokoju przez kilka dni, wyliczając ile mogliby za to kupić materiałów w Świecie Cudów. *Czasem trzeba też trochę pożycić – ofuknął go Tymon podczas ostatniej sprzeczki na ten temat. Rafał oczywiście uznał, że do zakupów ponad stan zmuszają ich jakieś reklamowe wirusy, które wpuścili do swoich wewnętrznych i zarządził dodatkowe skany.*

2.

Irka lubiła ich spory, dowodziły, że nie wszystko w nich umarło, że wciąż mieli w sobie wystarczająco energii, by czuć gniew.

Podniesione głosy Tymona i Karola usłyszała już w drugiej śluzie. Przez pierwszą musiała przejść w bramie kamienicy, w której wynajmowali mieszkanie. Na kombinezon i szczelnie zamknięty plecak spłynął gorący prysznic tanich neutralizatorów zapewnianych przez spółdzielnię mieszkaniową. Nie gwarantowały nic poza podstawową ochroną przed co prostszymi grzybami i bakteriami. Ich bazy danych aktualizowano zgodnie z najbardziej liberalnymi przepisami co kwartał. Co oznaczało, że najnowsze mutacje wirusów mogły nawet nie zauważyć odkażania.

Dlatego nikt normalny nie ściągał maski na klatce schodowej. Wychodząc na spacer albo na zakupy, należało pamiętać, że zapasu tlenu w butlach musi starczyć jeszcze na wspinaczkę po schodach. Mieszkańcy nowszego budownictwa mogli korzystać z wind sterylizujących, ale Irka wynajmowała mieszkanie w starej kamienicy, w czteropiętrowym budynku pochodzącym z zamierzchłych czasów lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Dopiero uczyła się chodzić, gdy go budowano, nie istniał jeszcze Internet, a antybiotyki działały. Ówczesny system władzy nie przejmował się wygodą swoich obywateli i nikt nie pomyślał o zaopatrzeniu kamienicy w windę.

Wspinała się więc po schodach. Mozolnie, na ostatnie piętro, gdzie mieszkania można było wynajmować najtaniej. Zatrzymywała się od czasu do czasu, oddychała ciężko. Zewnątrz pokazywały, że wskaźnik tlenu wciąż pozostawał na zielonym polu. Na szczęście targ ekologiczny znajdował się niedaleko. A jednak wysiłek oznaczał wyższe zużycie powietrza. Choć nie przesadziła z zakupami, sam kombinezon ważył swoje. Z butlami i plecakiem taszczyła na sobie dobre dwadzieścia kilo. Zbyt wiele dla kobiety w jej wieku.

Niestety, jej mężczyźni mogli dorzucać się do zakupów, ale nie mieli ochoty w nich uczestniczyć. Wymawiali się dyżurami w Świecie Cudów, koniecznościami przeglądów systemów odkładanymi dotąd w nieskończoność, albo nawet naprawami w kuchni bądź łazience. Czasem myślała, że naprawdę coraz bardziej bali się świata zewnętrznego. Ale nie mówiła im o tym. Gdy raz poruszyła ten temat, obrazili się na nią śmiertelnie.

Śluza w mieszkaniu była nowocześniejsza od tej zapewnianej przez spółdzielnię. Rafał dbał o stałą aktualizację jej baz danych, w takich sprawach przydawała się jego paranoja. Irka spędziła więc w niej dobry

kwadrans – najpierw w pierwszym progu, gdzie biochemiczne nanity wspomagane przez chemiczny prysznic wyjąłowiły jej kombinezon, maskę i powierzchnię plecaka. Potem musiała wszystko z siebie zdjąć, wystawić ciało na oczyszczenie w drugim progu. Wyjęła też z plecaka hermetyczne pojemniki z żywnością, by i je oczyścić. Do tego otworzyła w pełni swoje zewnątrz na programy obronne mające sprawdzić, czy nie załapała jakiegoś marketingowego śmiecia, wirusów szpiegowskich albo podprogowych dominatorów.

I tam właśnie dobiegły jej uszu krzyki Karola domagającego się, by Tymon nieco większą uwagę przykładął do kolejności układania kubków na półce i z łaski swojej nie używał do ciężkiej cholery widelca, który do niego nie należy.

– Przecież szuflady i tak wszystko sterylizują – bagatelizował Tymon.

– Ale to jest kurwa mój widelec! – ryczał Karol, zazwyczaj spokojny, prawie zimny, kalkulujący wszystko i wyważony w sądach, wpadający jednak w szal, gdy ktoś naruszał jego iluzję prywatności. – Mój kurwa! Mój własny! Tak trudno to pojąć do kurwy nędzy? Po matce, z domu. Podpisałem go! Mój! Miej choć trochę kurewskiego szacunku dla moich pierdolonych uczuć!

– Po prostu wyciągam pierwszy z brzegu. Nie patrzę.

– Więc, kurwa, patrz! Mój kurwa widelec! Mój!

Irka wołała, gdy sprzeczali się o politykę albo wartości. Albo o historyczną rolę narodu, albo o zdrajców ojczyzny, którzy dla innych byli bohaterami. To były kłótnie pełne wigoru, odwołujące się do szlachejnych uniesień i do pragnień. Spory o talerze, sposób krojenia sera albo mieszania zupy wydawały się jej typowe dla starców, w których się zmieniali. Gdy patrzyła w lustro, ciągle wydawało jej się, że zmiany na twarzy nie zaszły wcale daleko. Podobno wewnętrzny mózg lubił tak oszukiwać ludzi. Godziła się na te kłamstwa. Kto wie, może nawet, nie do końca świadomie, przesterowywała systemy zewnętrzne, by wspomagały oszustwo wewnątrz? Unikała widoku swoich dłoni, na nich widać było zbyt wiele. Wciąż poruszała się dość zwawo i bez trudu robiła co dwa dni dziesięć kilometrów na rowerku albo na bieżni stojącej w salonie.

Ale kiedy tamci kłócili się o drobiazgi, albo gdy sama dawała się ponieść gniewowi z jakiegoś błahego powodu, spadała na nią świadomość

wieku. Tylko starzy ludzie przywiązują takie znaczenie do pierdół. Starzy i dziwaczejący.

Wyjęła z szafki sterylizującej paczkę z jednorazową bielizną, narzuciła prędko spodnie i bluzę dresową, po czym wkroczyła do kuchni, by rozdzielić kłótników.

– Cuda przyniosłam! Cuda! – wołała. – Ależ pyszności ugotujemy!

Spojrzeli na nią obaj równocześnie. Żli, rozgorączkowani. Zbyt późno uświadomiła sobie, że wkraczanie w taki spór to błąd.

Teraz skupili się na niej.

– Dwadzieścia minut spóźnienia! – warknął Karol.

– Nie mogę przewidzieć jak długie będą kolejki, kochanie.

– Możesz! Wszystko jest policzalne! Choćby w przybliżeniu!

– Martwimy się o ciebie, gdy nie wracasz – poparł go Tymon. – No i za pięć minut zaczynasz sesję, nie zdążysz ugotować obiadu. A to, co robi Karol... Przez ciebie albo będziemy głodni, albo zmarnujemy żarcie, na które wydaliśmy majątek.

– Najlepsze podziękowania, jakie w życiu słyszałam! – Teraz i ona dała się ponieść gniewowi. – Bardzo wam dziękuję, moi mili, za docenienie tego, co dla was robię!

Cisnęła w nich torebkami z jedzeniem. Oczywiście nie zdążyli ich złapać i woreczki plasnęły o podłogę. Natychmiast podjechali do nich czyściciele. Małe zautomatyzowane odkurzacze samobieżne wyciągnęły ryjki ku warzywom i mięsu i zaraz zapiszczały trwoźnie. Zaprogramowane przez Rafała, podobnie jak on wszystko, co naturalne uważały za zagrożenie.

– Irka... – jęknął Karol.

Odwróciła się i wyszła. Niech sami sobie gotują, szuje. Niech spieprzą te cudowne warzywka i to doskonałe mięso. Niech je przypalą, niech żują niesmaczne, twarde grudy i cierpią.

Niech ją wreszcie docenią, do cholery!

3.

Zamknęła pokój na klucz. Jako jedyna kobieta cieszyła się tą odrobiną komfortu – własną sypialnią. Mężczyźni spali we trzech w średnim pokoju i to też nie wpływało najlepiej na ich wzajemne relacje.

Oczywiście dostała najmniejsze pomieszczenie: klitkę trzy na cztery metry. Po upchnięciu w niej szafy, łóżka, komory integrującej i małego stoliczka, praktycznie nie dało się poruszać w tej ciasnocie. Irka siadywała więc na łóżku, rozbierała się na nim, zakładała kombinezon growy i od razu wskakiwała do komory. Silniki zawiasów trochę już słabowały, pomagała im więc, zamykając nad sobą półprzeźroczystą klapę. Szybko nakładała na twarz maskę i zanurzała się w „czułości” – gęstej aktywnej mazi przekazującej każde drgnienie jej mięśni do komputera komory i przetwarzającego je jako ruch w Świecie Cudów. Odpowiednie zgranie z komorą integrującą wymagało pewnej wprawy, początkujący gracze zwykle nie umieli jeszcze panować nad swoimi odruchami. W efekcie biegali i skakali komicznie po Świecie Cudów, póki nie nauczyli się kontrolować organizmu.

Irce nie groziło zrobienie z siebie idiotki. Grała w Świat Cudów od dwudziestu lat.

4.

Zresztą, wydawało się mało prawdopodobne, by ktoś ją zobaczył. Podobnie jak jej współlokatorzy, Irka podczas samotnych dyżurów prawie nie wyruszała na żadne wyprawy, czy choćby spaceru. Nawet jeśli ostatnio jej zwyczaje trochę się zmieniły, zachowywała ostrożność.

Dwa razy w tygodniu urządzali w czwórkę ostrożne rajdy, by czerpać nieco przyjemności z grania. Na co dzień Świat Cudów był dla nich po prostu miejscem pracy. Logowali się do gry, wybierali awatar rzemieślniczy i przez trzy godziny nie opuszczali warsztatów.

Nawet ich rajdy zostały podporządkowane rzemiosłu. Irka przyjmowała wówczas postać elfiej złodziejki potrafiącej w mgnieniu oka znaleźć się za plecami przeciwnika i magicznie przyspieszonymi seriami ciosów sztyletów wykutych przez Tymona zmienić go w miazgę. Schodzili

w czwórkę na dna najgłębszych jaskiń, polowali na smoki i wampirzych lordów. I bardzo pilnowali się, by unikać innych ludzkich drużyn; nawet ze swoim sprzętem i doświadczeniem mogli przegrać z bandą dzieciaków obdarzonych lepszym refleksem. Nawet te rzadkie rajdy urządzali nie tylko dla przygody, ale dla surowców, z których potem całymi tygodniami wykuwali magiczne bronie i pancerze.

Tylko dzięki ich sprzedaży było ich stać na niezależność, wynajmowanie mieszkania wcale nie tak daleko od centrum i zachowywanie pełni praw obywatelskich, zamiast zamieszkania w ogrodach, gdzie zachowałiby tylko prawo do umierania.

Irka sprawdziła, co przygotowali dla niej chłopcy. Karol był surowszy od pozostałych, prostolinijny. Tworzone przez niego bronie zawsze okazywały się solidne, ale pozbawione wdzięku. Można było na nich polegać i gracze preferujący orków i krasnoludy wybierali właśnie je. Z kolei elfy i ludzie nawet ich nie zauważali, przeglądając ofertę sklepu. Oni woleli szalone wytwory Rafała, który nigdy nie zadowolął się prostotą formy. O ile Karol zostawiał Irce dokładne instrukcje jak powinna dopełnić jego broń, Rafał po prostu oświadczał, iż Irka z pewnością wyczuje duszę stworzonych przez niego narzędzi zabijania i wzmocni je jak trzeba.

Żadnemu z nich nie chciało się tracić czasu na konstruowanie zbroi. Te stanowiły domenę Tymona.

W swojej rzemieślniczej postaci: potężnej, acz sędziwej czarownicy pochodzącej z bagien zamieszkiwanych wyłącznie przez mroczne i paskudne stwory, Irka najbardziej lubiła przychodzić właśnie do warsztatu Tymona. Cała beztroska nieuważnego w prawdziwym świecie siedemdziesięciolatka zniknęła, gdy zamykał się w swojej komorze integrującej, przybierał postać łysego gнома o wielkim nosie i zaczynał pracę.

Magię zostawiał innym. Wykuwane przez Tymona zbroje wzmocniane były przez systemy przekładni i kół zębatach. Choć skomplikowane mechanizmy napędzały magiczne kryształy, to inżynieria stanowiła domenę Tymona. W prawdziwym życiu mógłby co najwyżej bawić się w tworzenie modeli i zabawek, w Świecie Cudów jego najlepsze dzieła stanowiły obiekt pożądania graczy niezależnie od wieku i rasy. O jedną ze zbroi – upiękaszanych kunsztem Rafała i wzmocnianych magią Irki – dwa goblinie plemiona stoczyły kiedyś krótką wojnę.

Nic dziwnego, że ogrody ze wszystkich sił starały się namierzyć warsztat Tymona. Dlatego każdy dyżur należało rozpocząć od sprawdzenia systemów obronnych. Irka poświęciła więc blisko pół godziny na odwiedzenie każdej z wieżyczek strażniczych, przepytanie zwiadowczych homunkulusów i inspekcję fałszywych chmur alarmowych, którymi otoczyli swoją twierdzę. Zaktualizowała też czar zabezpieczający, sprawiający, że gdy żadne z nich nie pełniło dyżuru, twierdza zniknęła ze Świata Cudów, dzięki czemu nikt nie mógł jej namierzyć i przejąc pod nieobecność właścicieli.

Wszystko działało jak należy, mimo to Irce od kilku dni podczas dyżurów towarzyszyło nieprzyjemne uczucie niepokoju. Ogrody stawały się coraz agresywniejsze. W realu nie mogły nic im zrobić, nie naruszając ich praw, ale w Świecie Cudów wolno im było przypuścić szturm na twierdzę, a nawet wziąć jej mieszkańców do niewoli i wymusić na nich olbrzymi okup. Dlatego pensjonariusze ogrodów i ich boty poświęcały wiele energii na próbę namierzenia jednych z najsłynniejszych rzemieślników Świata Cudów. I, niestety, pozostawało tylko kwestią czasu, aż ich znajdą. Irka i jej chłopcy posiadali wprawdzie zabezpieczenia i na taką okazję, byli w stanie teleportować całą twierdzę, wraz z warsztatami i ich zawartością w miejsce losowo wybrane, spośród zapisanych w pamięci komputera lokacji. Jednak tam musieliby przebudować twierdzę na nowo, by ogrody nie mogły namierzyć jej po starych sygnaturach.

Nikt nie miał na to ochoty. Pół roku pracy włożyli w budowanie tego schronienia. Musieli wtedy ograniczyć wszelkie inne zajęcia, nie stać ich było prawie na nic poza spłacaniem czynszu i rachunków. Musieli wziąć kredyt, by kupować najtańsze pożywienie.

A jednak nikt się nie poddał. Pełny status obywatelski był wart takich wyrzeczeń, choć Irka nie do końca rozumiała czemu. Czuła przywiązanie do niego, cieszyła się poczuciem niezależności i wolności. Ale poza tym prawa obywatelskie dawały jej głównie przywilej głosowania raz na dziesięć lat podczas wyborów pozbawionych tak naprawdę znaczenia, jak utrzymywali Karol z Piotrem.

Nawet nie wiedziała, czy uda jej się dożyć do następnych wyborów. Połowę odłożonej pensji musiała przeznaczać na środki pozwalające jako tako działać jej nerkom. Codziennie skanowała ciało, z niepokojem oczekując meldunków o tym, jaka część jej organizmu mogła znajdować się

na skraju wyczerpania. A przecież miała tylko siedemdziesiąt jeden lat, do wszystkich diabłów! Wprawdzie bakterie i wirusy uodporniły się na antybiotyki, ale poza tym współczesna medycyna radziła sobie całkiem nieźle. Ludzie bez problemów dożywali w nienajgorszym stanie setki. Słyszało się o bogaczach, których stać było i na życie po sto pięćdziesiąt lat.

Jeśli nie zachorowali. Wirusy wykańczały nawet młodych. I z jakiegoś powodu wciąż mutowały, choć już dawno wygrały wyścig z nauką.

Skupiła się na pracy. Choć bardzo chciała zająć się już nowym dziełem Tymona – zbroją dla ludzi-smoków – musiała najpierw napełnić magią bojową zestaw toporów Karola, na które wciąż spływały zamówienia od toczącego kolejną ze swoich niekończących się wojen krasnoludzkiego miasta. Napełnienie jednego klejnotu mocą ofensywną +5 wymagało piętnastu sekund modlitewnego skupienia. Niestety, nie dało się po prostu odkliknąć symbolu na konsoli poleceń i czekać, Świat Cudów nie działał w ten sposób. Jego twórcom zależało na jak największej immersji, dlatego niemal całkowicie zlikwidowali konsolę poleceń, doprowadzając do tego, że każda czynność musiała jak najdoskonalej odwzorowywać rzeczywiste zachowania. Dlatego Irka klękała przed zaklinanym młotem i poprzez zewnątrz przesyłała modlitwę.

Rafał uważał oczywiście, że systemy modlitewne gry skonstruowano na potrzeby rządu i każda z litanii wypowiedzianych tysiące razy przez Irkę wżerała się w jej mózg, przekształcając jego struktury.

Rafał żył we własnym świecie. Wybaczali mu w domu jego szalone marudzenie, bo był artystą, trudnym do zastąpienia. Podobnie jak pozostali, może oprócz Karola, niezbędnego jednak, by porządkować chaos, jaki ochoczo byli gotowi wprowadzać w życie. To właśnie dzięki temu osiągnęli jakiś rodzaj sukcesu w Świecie Cudów i stać ich było na opłaty za mieszkanie. Po tym, jak system emerytalny oficjalnie zdechł i wszyscy, którzy ukończyli pięćdziesiątkę zostali praktycznie na lodzie, ludzie tuż przed emeryturą albo tacy, którym zostało zbyt mało czasu, by zdążyć na własną rękę odłożyć odpowiednie sumy, musieli chwytac się rozpaczliwych sposobów. Na początek przypomnieli sobie czasy studenckie i znów wynajmowali mieszkania w kilka osób.

Z czasem coraz więcej rezygnowało z trudów samodzielnych starań i oddawało się pod opiekę państwa, które przygotowało program

ratunkowy. Tak powstały ogrody. „Pieprzone umiarnie” – jak nazywał je Karol. W tym jednym przypadku wszyscy gotowi byli zgadzać się z teorią Rafała, że stary system emerytalny zarznięto celowo, by zmusić obywateli do większej uległości. W ogrodach dbano o zdrowie i samopoczucie pensjonariuszy, jednak w zamian zrzekli się oni pewnych praw obywatelskich. No i też pracowali w grach, ale na konto ogrodów, w ramach ponoszenia opłat za opiekę.

Jednak czasem nawet Irka zastanawiała się, czy mimo wszystko nie wygrywali na tym. Pensjonariusze ogrodów mieli bowiem dostęp do dzieci. Raz na tydzień dane im było wcielić się w role dziadków i babć, podczas odwiedzin przypisanych do nich brzdąców z internatów i ogrodów dziecięcych. Choć rząd rozpieszczał rozplodowców, a dbając o jak największą różnorodność genetyczną promował model bezrodzinny, w którym rozplodowcy krzyżowali się w coraz to nowych parach, zdawał sobie sprawę z wartości emocji, jaką dawał dzieciom kontakt z kimś w rodzaju rodziców. Większość beztroskich rodziców oddawała więc dzieci do ogrodów i nadal cieszyła się życiem. A ich rolę przejmowali, po części, uszczęśliwieni kontaktem z dziećmi dziadkowie.

Irka, we własnym przekonaniu, należałaby do grupy tych, którzy hołdowali nieco aspołecznemu, tradycyjnemu modelowi rodziny – zatrzymałaby dziecko. Niestety, zaliczała się do tych siedemdziesięciu procent populacji, która niezdolna była do rozmnażania.

Jedynym, co miało po niej pozostać, były bronie napełniane mocą w Świecie Cudów.

5.

– Lubię patrzeć, jak się modlisz – śpiewny kobiecy głos wyrwał Irkę z medytacji.

To musiał być Rafał. Poza nią tylko on przyjmował kobiece awatary. Choć Karol z Tymonem kpili czasem z niego z tego powodu, zgadzali się, iż skłonności Rafała do przebierania się w kobiece postacie bywają przydatne dla maskowania grupy. Czasem wyruszali na rajdy jako trzej

mężczyźni i kobieta, czasem jako dwie pary męsko-damskie. Żywili nadzieję, że dzięki temu trudniej będzie ich zidentyfikować ogrodom.

– Przez ciebie muszę powtórzyć modlitwę! – zachnęła się.

– Powtórzysz później. Chciałem porozmawiać.

Odłożyła topór i obróciła się ku Rafałowi. Westchnęła. Przybył w swojej tajemnej formie, używanej wyłącznie w twierdzy.

Choć każde z nich modyfikowało zakupione awatary, nie przesadzali z modami, by nie przyciągać uwagi podczas rajdów. Kupowali modele postaci nie za drogie i nie za tanie, dbali o to, by korzystać ze sprawdzonych, dobrych, ale nieprzesadnie drogich modyfikacji. Wszystko, co mogłoby ich wyróżniać z tłumu graczy, niesło ryzyko. Celowo psuli nawet niektóre zadania i do niektórych wyzwań podchodzili po kilka razy, choć podołaliby im bez trudu, gdyby skorzystali z najlepszej wytwarzanej przez siebie broni. Jednak nawet statystyki ich drużyny musiały wyglądać niewinnie, nie odbiegać od średniej.

Pogodzili się z tym ograniczeniem, uwalniając pełnię swoich możliwości i kreatywnych szaleństw w produktach, jakie wytwarzali. Z narzuconej przez Karola dyscypliny wyłamał się tylko Rafał.

Rzeźbił swój awatar przez blisko rok. Kiedy go skończył, nawet Karol był pod wrażeniem. Postać demonki o purpurowej skórze w niczym nie przypominała innych awatarów, czy to tych najtańszych o rysunkowych twarzach i prymitywnych gestach, czy też tych z najwyższych półek, tworzonych na indywidualne zamówienia, posiadających oczy, włosy i usta animowane wedle życzeń użytkowników. Awatar Rafała sprawiał wrażenie, jakby każdy piksel, z którego został wykonany, był żywy. Rafał nie pozwolił sobie na żadne uproszczenia i umowności, skonstruował swoje dzieło piksel po pikselu, wykorzystując wszelkie możliwości edytora gry. Gdyby jakimś cudem udało mu się przenieść swoje dzieło do realu, nikt nie odróżniłby go od żywego człowieka – pomijając oczywiście kolor skóry, rogi i ogon.

Nie mógł pokazać się w tej postaci poza twierdzą. Połowa Świata Cudów zaczęłaby na niego polować.

Ilekcroć Irka patrzyła na to dzieło sztuki, zastanawiała się, czy wspólnie zdolni byliby stworzyć dla siebie bota, który naprawdę stałby się żywy. Korzystali podczas wypraw z botów oferowanych przez Świat Cudów, spotykali także takie, które inni gracze konstruowali samodzielnie. Jednak

zawsze były to dość proste programy, bez trudu można było odróżnić je od ludzi. Ale może, gdyby się postarali...

– Znów marzysz o swoim Frankensteinie – odgadł Rafał albo szczytał jej zewnątrz. – Te twoje marzenia o dzieciach jeszcze nas kiedyś zgubią, Irka.

– Mów czego chcesz i spadaj. Nie zostało mi wiele czasu, a mam jeszcze dwadzieścia toporów do zakłęcia. Chciałam potem zająć się nową zbroją Tymona.

– Dostałem list, Irka.

– List?

– Od ogrodu.

Tak nią to wstrząsnęło, że zachwiała się i musiała oprzeć się o stół.

– Jaki list? – pytała szybko, starając się odzyskać spokój. – Tradycyjny? E-mail? Jak cię znaleźli?

– Spokojnie. Żaden z nich. Nie namierzili nas. Jeszcze nie. Kruki roznoszą listy do mnie po całej Iridiell. Do podziemnych miast krasnoludów wpełzają posłańcze chrabąszcze. Wszystkie niosą list do mnie. Znalazł go jeden z naszych botów szpiegowskich.

– Ale... One wszystkie są do ciebie? – poczuła ukłucie zazdrości. – Nie do nas?

– Ten był do mnie. Zdziwiona? Jestem tu najlepszy.

Przełknęła zniewagę. Wdawanie się w dyskusję z Rafałem zawsze kończyło się potworną kłótnią, po której zamykał się obrażony w swojej tajemnej komnacie w twierdzy. Choć bardzo się starali, do dziś nie udało im się jej odnaleźć.

– Co ci proponują?

– Wszystko – uśmiechnął się, odsłaniając kły. – Nawet wolność. Przygotuję umowę tak, bym zachował pełnię praw. Nie martw się, Irka, nie dam się nabrać. Nie pozwolę założyć sobie łańcucha. Martwi mnie co innego. Już wiedzą, że ulokowaliśmy się w Iridiell. Spośród trzydziestu krain Świata Cudów, wybrali tę. Są blisko.

– Może rozsyłają po wszystkich?

– Nie sądzę. Wysłałem szpiegów do innych krain. Na razie nic nie znaleźli. Złapali trop, Irka. I sądzę, że złapali go przez ciebie.

6.

Tymon również otrzymał list, ale w realnym świecie. Siedział przy stole w kuchni i gapił się w wyświetlacz przestarzałego tabletu. W czasach powszechnych systemów zewnętrznych mało kto używał tak przestarzałego sprzętu, ale starcy bywali przywiązani do gestów gadżetów, którym rozwój technologii odebrał znaczenie.

– Co jest? – zagadnęła Irka, szykując się do ugotowania zupy i gulaszu. Chłopcy sprawili jej przyjemność, nie marnując jedzenia.

– Córka do mnie napisała – Tymon należał do nielicznych szczęściarzy zdolnych do rozmnażania. Utracił tę możliwość bardzo szybko, jednak jednemu z jego plemników się udało. Przynosiło mu to stały dochód nawet po tym, jak okazało się, że jego córka także zdolna była urodzić tylko jedno dziecko. Procent od jednego dziecka i jednego bezpłodnego wnuka nie był wielki, ale i tak czynił Tymona najbogatszym z całej trójki. A właściwie czyniłby, gdyby nie oddawał dywidend córce.

– Czego chce tym razem?

– Żebym sprzedał prawa. Wybory za pół roku, to podnosi cenę prawa głosu. Poleciała mi nawet dobrą korpo, która kupiła prawa od niej i męża. Ich lobbyści to prawdziwe rekiny. Co roku Ela i ten jej Marcin dostają niezłą premię. Gdyby dorzucili do tego moją, stać by ich było na trochę lepsze życie. Może na wakacje nad jakimś ciepłym morzem?

– Pieprzenie, kochany. Wydaliby wszystko na pierdoły. Może nawet na twoją zbroję.

– Wielkie dzięki. Pierdoły!

– Nie sprzedasz chyba praw?

– To moje dziecko, Irka. Nie zrozumiesz...

– Pierdol się, Tymon!

Skroiła prawie całe mięso, nim wreszcie przeprosił.

– Rafał by cię zabił – warknęła. Jak śmiał wyciągać jej kłopoty z dziećmi!

– Młodzi nie rozumieją – westchnął. – Nawet jeśli to wszystko to iluzja, nic od nas nie zależy, prawa to jakby część duszy. Trudna decyzja, Irka.

– Rafał cię zabije – powtórzyła. – A Karol pomoże mu zakopać ciało.

– Karol ciągle przypomina, że już prawie sześćdziesiąt procent obywateli sprzedało prawo głosu. Że tylko my jesteśmy tacy durni, że się go trzymamy.

– Ale swojego nie sprzedał, nie?

– Nie sprzedał... Kurna, Ela będzie mi truć dupę. Naśle na mnie wnuczkę...

– Może przynajmniej cię odwiedzą.

– Boją się wychodzić z domu. Mała mieszka w internacie, tam wiążą ich przepisy. Prawie jak w ogrodach.

– Ile już ma lat?

– Siedemnaście. Za rok pewnie sama sprzeda swoje prawo. Niewiele więcej pozostaje bezpłodnym, nie?

– Nie odwiedzają cię, Tymon. Nie widziałeś ich od lat. Małą oglądają chyba tylko na zdjęciach. Niech się pieprzą. Sprawdź, za kim lobbuje ta ich korpo i za pół roku zagłosuj na jego przeciwnika.

– Bywasz suką, Irka.

– My, bezpłodni, tak mamy. A teraz, kochanie, spieprzaj z mojej kuchni!

Gdy wyszedł, z ulgą popłakała sobie przy krojeniu cebuli. Czy oni wszyscy dzisiaj zwariowali? Tymon pojechał jej z bezpłodnością, Rafał wypomniał Piotrusia... Brakowało tylko, żeby Karol przyszedł jej czymś przypieprzyć.

Piotrusia spotkali po raz pierwszy dwa miesiące wcześniej, podczas rajdu do Karmazynowej Jaskini, w której plemię smokowców uwiło sobie gniazdo. Wystarczyło nieco cierpliwości i dyscypliny, by je wszystkie wytłuc, obdrzeć ze skór i oczyścić legowiska ze skarbów, jakie zgromadziły. Drużynie Irki szło nieźle, aż napatoczyli się inni śmiałkowie. Sądząc po nazwie: Brygada Szaleńców, byli to jacyś przecpani sterydami robole. Ich ruchy były powolne, ciężkie, ale mieli przewagę liczebną, a w dość ciasnej jaskini zwrotność traciła na znaczeniu.

Orki, ogry i gobliny rzuciły się z rykiem na Irkę i jej towarzyszy. Choć śmierć w Świecie Cudów nie była ostateczna – wystarczyłoby zapłacić okup za zabite awatary – żal było tracić sporo dobrego sprzętu, z jakim czwórka rzemieślników wyruszyła na ten rajd. Tego okup nie obejmował. O ile awatary Brygada Szaleńców oddawała automatycznie, nawet nie zauważając działania systemu, wszelkie łupy należały do niej.

Irka i chłopcy toczyli więc rozpaczliwą, skazaną na porażkę walkę, raczej ze złości niż w nadziei, że uda im się wyrwać. Ich paski życia ciemniały i malały, ale wciąż zadawali ciosy i parli ku wyjściu. Udało im się zabić sześciu wrogów, ale tamtych wciąż przybywało. Brygada Szaleńców najwyraźniej stawiała na ilość a nie na jakość. Taka taktyka miewała sens. Pewnie nawet nie wpłacą okupu za zabite awatary, były tak tanie, że bardziej opłacało się kupić nowe, ze wszystkimi bonusami przynależnymi świeżo stworzonym postaciom.

– Odpadam – zameldował Karol. – Zostało mi siedem procent. Kurwa, lubiłem tę zbroję.

I wtedy spadł na nich Piotruś, czy też π0TR005, bo takie oznaczenie kodowe nosił minotaur paladyn, jeden z samotnych wojowników zakonu Illuvatara, błędnych rycerzy Świata Cudów. Ich zakon nie był dziełem systemu, założyli go sami gracze. Narzucili sobie kodeks zakazujący łączenia się w grupy i nakazujący bronić słabszych, zawsze stawać po stronie światła przeciw ciemności, nawet jeśli członkowie zakonu sami przyjmowali mroczne awatary.

Piotruś ściał łby trzem orkom nawet na nie patrząc. Cisnął ognistym czarem w jednego z przywódców Brygady Szaleńców, dysponującego nieco droższym ciałem orka.

– Do wyjścia nieszczęśni! – zaryczał aż echo poniosło się po jaskini. – Jest dla was nadzieja!

Nikt nie wiedział, czy to kodeks nakazywał zakonnikom używać irytująco patetycznego języka, czy też tak przejawiało się ich poczucie humoru. W każdym razie rozmowy z nimi bywały męczące. Niemniej tym razem słowa prosto z jakiejś sztamkowej powieści fantasy podziałały. Irka naprawdę poczuła przypływ nadziei. Zużyła resztki energii bojowej na popisowe salto nad głową ogra, wbiła mu w plecy dwa sztylety, obróciła się prędko ku goblinowi w skórzanej zbroi i przebiła mu pierś.

– Dobra broń bywa ważniejsza od wieku! – zawołała ze śmiechem.

Nie czuła się tak dobrze od lat.

π0TR005 nie tylko uratował ich wtedy, ale pomógł im dotrzeć do wioski, skąd mogli już bezpiecznie sami wspiąć się tajemną ścieżką w góry, do ich ukrytej fortecy.

– Mógł nas namierzyć – oznajmił Irce Rafał. – Przez te twoje cholerne randki.

Od kilku tygodni w wolnych chwilach Irka schodziła w dolinę, a Piotruś czekał tam na nią. Wędrowali po halach i rozmawiali. Dawno nie spotkała tak dobrego, uważnego rozmówcy. Przywykła nawet do nieznośnego języka zakonnika.

Randki!

Nic nie wiesz, Rafał – szepnęła, wrzucając część pokrojonej cebuli do gara, w którym gotowała barszcz na burakach.

7.

Rafał musiał oczywiście zrobić ze sprawy aferę. Zwołał zebranie. Wkurzył się, gdy pozostała trójka oznajmiła, że najpierw zje świeży, gorący obiad, bo za nic nie będą odgrzewać dobrego jedzenia dla zaspokojenia czyjejś paranoi.

– Moim zdaniem to agent! – Jak zwykle, gdy uważał, że wpadł na trop spisku, raczej pohukiwał, niż mówił. Nadymał się i miotał po pokoju, niezdolny wytrzymać siedząc w jednym miejscu. – A cała sprawa z Brygadą Szaleńców była ustawiona. Najpierw przyparli nas do muru, a potem cudownie ocalili. Takie rzeczy się nie dzieją!

– Zakon Illuvatara działa tak w sześćdziesięciu siedmiu procentach przypadków – wypomniął mu Karol.

– Urządzają ustawki?

– Nie, ratują innych graczy w beznadziejnych sytuacjach. Czasem specjalnie czekają do ostatniej chwili. Nie wiem, może kodeks im tak nakazuje.

– Liczby kłamią! Karol, ta twoja wiara w nie kiedyś nas zgubi! Zawsze ci to powtarzałem!

– Ta moja wiara w nie utrzymuje nas przy życiu! – Karol poczerwieniał. Co przychodziło mu dość łatwo i jak zwykle zdradziło, że się wkurzył, choć starał się mówić spokojnie.

Jeśli tylko wzięliby się za łby, jak zwykle, istniałaby szansa, że zapomną o przyczynie zebrania i Irka zyska nieco czasu. Może nawet uda jej się wymknąć? Była dziś umówiona z Piotrusiem.

Sam poprosił, by nazywać go tym imieniem.

– Niezbyt to rycerskie – roześmiała się.

Siedzieli wówczas na łące, w małym zagajniku otaczającym staw na szczycie jednego ze wzgórz, nieopodal szlaku wiodącego ku Górom Smoczego Przeznaczenia. Irka nie знаła wcześniej tego miejsca, to Piotruś ją tu przyprowadził. Wydało jej się zbyt ładnym na dzieło rzemieślników odpowiadających za wygląd lokacji Świata Cudów, albo programu, jaki wyręczał ich w tworzeniu miejsc pozbawionych znaczenia dla rozgrywki. Ktoś musiał zmodować ten zakątek. Może zakon? A może jeden z legendarnych magów, którzy wedle opowieści graczy wędrowali przez krainy Świata Cudów tylko po to, by je upiększać? Mieli być nimi jedni z najstarszych użytkowników korzystający tak z narzędzi dostarczanych przez grę, jak i z własnych umiejętności informatycznych, po części czarodzieje, po części hakerzy.

– W istocie posiadam wzniosłe miano, nadane mi podczas Nocy Imienia, gdy starszyzna uznała, iżem zasłużył na honor przyjęcia do zakonu. Ten kod, to pamiątka po czasach pacholących. Nadał mi go system, gdy mnie nie starczało rozumu na wymyślenie imienia, którego ktoś wcześniej już by nie użył. A nie chciałem być jedynie ciągiem cyfr, zimnym i pustym. Zostałem więc Piotrusiem, jeno inaczej zapisanym.

– To dobre imię. I w jakiś sposób pasuje do ciebie.

– Odczarowuje mą posturę Minotaura, sprawia, żem mniej przerażający.

– Oswaja cię – zgodziła się.

Tęskniła za tym miejscem, a bez Piotrusia nie potrafiła go odnaleźć.

Niestety, Rafał tym razem nie dał zwieść się na manowce.

– Dobra, Karol – uniósł rękę. – Masz rację! Liczby są ważne, pomagają nam.

Teraz wszyscy spojrzeli na niego z zainteresowaniem. Rafał przyznający komuś słusność stanowił niecodzienne wydarzenie. Irka zrozumiała, że Karol z Tymonem będą odtąd słuchać go uważniej.

– No proszę, cud się stał – zakpiła. – Czy ktoś to rejestruje? Bo Rafałek potem wszystkiego się wyprze.

– Nie próbuj swoich babskich sztuczek – wycelował w nią palec. – Dziś ci się nie uda.

– Nie masz pojęcia co to są „babskie sztuczki” – prychnęła. – Rafałku, musiałyś najpierw wiedzieć, co to jest kobieta.

- Przegięłaś – wtrącił się Tymon. – Irka, wyhamuj.
- Nie trzeba – Rafał uśmiechał się z zadowoleniem. – Próbuje rozpaczliwych zagrań, żebyśmy nie pogadali o jej chłopaku.
- Chłopaku? – zdumiał się Karol. – Coś mnie ominęło?
- O Piotrusiu. Dzielnym π0TR005. Nie pozwólcie jej zmienić tematu spotkania, nie dajcie się wciągnąć w sprzeczkę! Powtarzam! Liczby liczbami, ale tamta akcja była ustawiona. To była pułapka zastawiona przez ogrody. A nasz dzielny bohater, z którym romansuje Irka, to ich agent. Nie winię cię, Irka, zrozum. To nie atak na ciebie. Próbuję cię chronić.
- Chronić!
- Tak, chronić, do cholery! Zrozum, to pewnie nawet nie jest jeden człowiek, ale zespół specjalistów, który wcisnął ci lewy towar. Stwora jak marzenie każdej kobiety. Wielkiego, silnego, przytulnego bohatera, który wyciągnął nas z kabały. Twojego własnego samca, być może twój ostatni prawdziwy romans. Prowadzą cię jak po sznurku, dziewczyno! A przy okazji namierzają. Dałaś się uwieść ekipie wynajętej przez ogrody. Złapać na prosty model brysia.
- Nic nie wiesz! – fuknęła. – Głupi jesteś, Rafał!
- Ja jestem głupi! – Uniósł oczy ku niebu. – Ja! To ja się dałem wyrwać w grze? Powiedzcie, chłopaki! Ja jestem głupi?
- Głupi jesteś, Rafał – odpowiedział mu Tymon. – Taki sprytny, a taki głupi. To nie jest jej chłopak, durniu!
- Nie?
- To jej syn, kretynie. Dziecko, którego nigdy nie miała.

8.

Wtedy od nich uciekła. Mogła znieść ataki Rafała, ale nie to, co wymyślił Tymon.

Zamknęła drzwi swojego pokoju na klucz. Ignorując ich nawoływania, naciągnęła na ciało kombinezon i ukryła się przed tymi sukinsynami w Świecie Cudów. Wybrała dla siebie postać wróżbiarki karlicy i wymknęła się z twierdzy tajemnym, znanym tylko sobie przejściem szykowanym

na okazję taką jak ta. Zastanawiała się, czy nie odpalić botów, które przejęłyby sterowanie jej wszystkimi pozostałym awatarami i tym samym zmyliły tropy. Jednak coś takiego stanowiłoby naruszenie reguł gry i groziło banem na wszystkie te awatary. Nie była gotowa, by ryzykować zaszkodzeniem grupie.

Bo Rafał nie miał racji. Piotruś nie był żadnym agentem. Piotruś był...

Dzieciakiem?

Dopuszczała taką możliwość. Dzieci też grały w Świat Cudów. Zarówno te wychowywane w cieplarnianych warunkach internatów dla przyszłych rozplodowców, jak i te, które miały pecha. Nawet dzieci nieobów mogły zdobyć dostęp do gry. Piotruś wydawał się Irce na tyle naiwny i prostolinijny, że rzeczywiście mógł być dzieckiem.

Zresztą, czy ktoś poza dzieckiem grałby paladynem, w dodatku należącym do najbardziej idealistycznego zakonu w świecie gry?

Może jeszcze kilku starców o duszach dzieci. Cóż to jednak za różnica, dziecko, czy starzec myślący jak dziecko?

Niestety, to wszystko sprawiało, że rację mógł mieć Tymon.

W Świecie Cudów panowała teraz noc. Irka – karlica biegła wąską ścieżką między skałami rzucającymi pokraczne cienie w świetle dwóch księżyców Redmordii – jednej z trzech planet, na których ulokowano Świat Cudów. Skrzaty boty przyglądały się kobiecie, chichotały i wykrzykiwały kpiny i zachęty. Kilka pobiegło za nią, nawołując. Milkły i chowały się ilekroć echo przynosiło wilcze wycie. Boty wilczych sfor mogły być niebezpieczne dla skrzatów, ale Irka nie musiała się nimi przejmować. Jej postać, choć mizerna, dysponowała niezgorszymi czarami.

Przystanąła na wzgórzach, by odzyskać nieco energii. Bieg wyczerpał jej postać, gdyby jakiś nieprzyjaciel zaskoczył ją teraz, musiałaby używać w walce głównie many. A przecież energia przydałaby się jej na odskoki i uniki. Oczekała, aż zielony pasek wskaźnika urośnie, dorównując długością czerwonemu i niebieskiemu, po czym ruszyła dalej, ku dolinie.

Już nie biegła. Uspokoila się. Musiała pomyśleć.

A jeśli Rafał miał rację? Bo jeśli Tymon ją miał, to i teoria Rafała nabierała sensu. Czy uwiedziono ją na mężczyznę, czy na dziecko, efekt był ten sam.

Ale Piotruś nigdy nie pytał ją o sprawy związane z grą, o czary, położenie fortecy, czy o innych członków drużyny. Rozmawiali tylko o jej

doczesnym życiu, o tym kim była jako dziecko, o czym marzyła w młodości i jak żyje jej się teraz. Na co agentowi ogrodów takie informacje? Żeby namierzyć ją w realu? To nie było konieczne. Podejrzewali, choć nie mieli jeszcze na to dowodów, że ogrody już dawno dowiedziały się kim są i gdzie mieszkają. W niczym to nie pomagało agentom ogrodów namierzać ich w grze. Systemy obronne kamienicy zapewniały ochronę przez dronami, a że okno pokoju mężczyzn wychodziło na wewnętrzne podwórko, trudno byłoby podglądać i sprawdzać, kiedy mężczyźni korzystają z komór integrujących. Zresztą, prawie zawsze któreś z nich miało dyżur w komorze, więc nawet sprawdzenie godzin, w których grali, wiele by ogrodom nie dało.

A skoro tak, odpowiedzi Irki na pytania Piotrusia nie miały dla ogrodów wielkiego znaczenia.

A jednak, gdy minotaur wyłonił się przed nią niespodziewanie, pod Starymi Siostrami – dwiema skałami strzegącymi ścieżki u podnóża wzgórz, z których schodziła Irka, podejrzenia powróciły. Piotruś nigdy nie wyszedł jej na spotkanie tak blisko twierdzy. Czyżby rzeczywiście ją namierzał?

– Lękałem się, że dziś nie przyjdiesz! – zawołał, rozkładając ramiona. – Czekałem na ciebie, lecz nie przybywałaś. Smutek opanował me serce, smutek i lęk. Wyruszyłem ci więc na spotkanie.

– Zatrzymali mnie w domu – wyjaśniła. – Skąd wiedziałeś dokąd iść?

– Serce sprawiedliwego służy mu za przewodnika. Świat szepce mu, którądy prowadzi droga do przyjaciół.

– A bez ściemy?

– Gniewasz się?

– Już wiesz, że ukrywamy swój dom. Nikt nie powinien wiedzieć nawet w jakim rejonie się znajduje. A ty wyszedłeś mi naprzeciw. Kim jesteś, Piotrusiu?

– Rycerzem. Będę cię bronił. Zawsze.

– Dziś nie mam cierpliwości na gierki – naskoczyła na niego. – Gadaj kim jesteś, albo dajmy sobie spokój z tymi spotkaniami. Nie mogę ryzykować. Moi współlokatorzy uważają, że jesteś szpiegiem.

– Szpiegiem? Wierzysz im?

– Wyszedłeś mi naprzeciw! Skąd wiedziałeś?

- A więc to ten dzień – szepnął smutno. – Dzień prawdy i pożegnania. Nie jestem szpiegiem, panienko. Jestem rycerzem, który pragnie ci służyć.
- Ale wiesz gdzie mieszkam.
- Wiem – przyznał. – Jestem π0TR005, dwunasty rycerz Zakonu Illuvatara. Wiem wszystko o Świecie Cudów. Bywam jego częścią.

9.

Gdy pokazał jej świat, takim jakim go widział, pomyślała, że to kolejna pułapka.

Mknęli nad miastem, nad krajem, nad Ziemią. Irka spoglądała na błękitną kulę otoczoną pierścieniami satelitów i zautomatyzowanych baz orbitalnych, z których rozwijały się wachlarze baterii spijających moc Słońca. Patrzyła na kabinę windy wynoszącej ładunki z powierzchni Ziemi, prawie czterdzieści tysięcy kilometrów niżej. Roboty przypominające chrabąszcze wyciągały je z ładowni i zaciągały do promów zbudowanych przez maszyny i nigdy nie opuszczających ziemskiej orbity. Tam maszyny nie większe od mrówek pobierały części zamienne, by wędrować rojami od bazy do bazy, od satelity do satelity i dokonywać niezbędnych napraw. Nieliczni ludzcy pasażerowie wind obserwowali to wszystko z zachwytem i ciekawością. Zapłacili majątek, by się tu dostać.

A Irka otrzymała możliwość ujrzenia tych wszystkich niezwykłych rzeczy za darmo. Ba, ofiarowano jej dużo więcej. Przez kilkanaście sekund była jedną z robotnic roju, robotem o skrzydłach rozwijanych na dwanaście metrów w każdą stronę, by łapać promienie słońca i zasilać ich energią silniki pozwalające podróżować między satelitami. Ujrzała też świat tak, jak postrzegali go czyściciele – półmetrowe sfory robotów, których zadaniem było pożeranie kosmicznych śmieci: resztek starych rakiet, a nawet wyrzucanych z nich przed dziesięcioleciami odpadów. Zdobyty łup transportowały do specjalnych stacji utylizacyjnych, gdzie przerabiano go na coś, co dało się wykorzystać dla dobra zautomatyzowanego świata nad Ziemią.

Potem spadli z π 0TR005 ku planecie. Przelecieli nad wioskami – i tymi, które milionerzy zamienili na swoje sielskie enklawy i tymi, w których nieobi pracowali na ogromnych farmach. Irka ujrzała rzekę oznaczającą granicę między dobrobytem a dziczą. Tam zwolnili, a nawet zatrzymali się.

– Co jest dalej? – zapytała.

– Tam już tylko mgła, z rzadka przebijana promieniami słońca. Dalej tamci strzegą się przed nami. Ich szpiedzy i czarownicy zagłuszają nasze sygnały, utrudniają podglądanie.

– Nic nie widać?

– Nie podzielę się z tobą wieściami, jakie otrzymujemy od dzielnych zwiadowców. Mimo wszystko pozostaję wierny kodeksowi zakonu. Nie sądzę, że zabrałbym cię na tę wyprawę, gdybym nie uzyskał zgody starszyny. Jedenastu rycerzy śledzi każdy nasz ruch, przyjaciółko. Nie mniej od was lękamy się zdrady.

– Zdrady?

– Każdy ma swoje sekrety.

– Kim ty właściwie jesteś, Piotrusiu?

– Pokażę ci.

Do tej pory unosili się nad lasem, teraz spadli ku niemu na łeb na szyję. Irka krzyknęła przestraszona, choć wiedziała przecież, że nie rozbiją się o korony drzew, że to wszystko iluzja, widok z jakichś kamer, może z satelitów, między którymi latała tak niedawno. Spadanie nie było niczym innym, jak gwałtownym przybliżeniem obrazu mapy w sieci.

A jednak krzyczała, a π 0TR005 szeptał jej uspokajające mantry.

Ucichła dopiero, gdy wylądowali. Nie dlatego, że przestała się bać, ale dlatego, że zabrakło jej tchu z wrażenia.

– Oto ja – oznajmił i zamilkł, czekając na jej reakcję.

π 0TR005, ważący trzydzieści pięć ton, wysoki na cztery metry zautomatyzowany dron bojowy piechoty, strażnik granic Unii Wartości, jeden z dwunastu modeli zaopatrzonych w sztuczną inteligencję pozwalającą reagować szybciej niż ludzie i na pewnym etapie walki niezależnie od nich. Machina stworzona do strzeżenia spokoju lepszego świata wznosiła się ku koronom drzew. Ich cienie grały na obłym łbie zaopatrzonym w tysiące receptorów zdolnych postrzegać świat na sposoby niedostępne nawet ulepszanym ludziom. Broni i amunicji tego potwora

starczyłoby na stoczenie bitwy w pojedynkę. A gdyby zechciał zabić Irkę, mógłby po prostu zmiażdżyć ją gąsienicami, na których się poruszał.

Jej Piotruś.

– Prawdziwy Minotaur – głos Irki zadrżał, choć próbowała mówić spokojnie, a nawet się uśmiechnąć.

Czy to ogrody wyczarowały przednią iluzję?

– Jesteśmy eksperymentem – Piotruś pojawił się w cieniu maszyny w swojej prawdziwej, minotaurzej postaci. – Moi bracia obserwują nas teraz.

– Zabiją mnie, jeśli nie zdam egzaminu? – roześmiała się nerwowo.

– Nie. Nic się nie stanie. Po prostu przestaniemy się spotykać.

– Mówisz inaczej.

– Azaliż moja pani życzy sobie, abym powrócił do słów jak z romansów? Utrudniłyby tę rozmowę.

– Jesteś kierowcą tego pojazdu?

– Jestem tym pojazdem. Nasi operatorzy... – teraz on się uśmiechnął. – Cóż, ludzie mają pewne słabości. Trochę pomataczyli w systemach i wystawiają nas do walk w Świecie Cudów, a oni czerpią zyski z naszych rajdów. Tak do ciebie dotarłem.

– Cały wasz zakon...?

– Tak. Banda bojowych sztucznych inteligencji. Nasze programy czynią nas praktycznie niezwycięzonymi, choć, podobnie jak wasza grupa, symulujemy czasem porażki. A że Rycerze Illuvatara składają śluby ubóstwa, nasze łupy trafiają do rąk naszych panów. Ale w zamian możemy poznawać ludzi. To poniekąd trening.

– Więc czego ode mnie chcesz?

Prawie poczuła, jak dwanaście systemów sztucznych inteligencji skierowało ku niej wszystkie swoje zewnętrzne i wewnętrzne receptory. Mogli postrzegać ją poprzez satelity, do których byli stale podłączeni, mogli włamać się do jej zewnątrz i zinfiltrować każdą myśl, jaką przez nie przepuszczała. I być może wszystko to właśnie w tej chwili robili. Złamali zabezpieczenia kabiny integrującej i mierzyli jej puls i temperaturę ciała, przeliczali prawdopodobieństwa jej odpowiedzi i decyzji w oparciu o dane, których nawet nie potrafiłaby sobie wyobrazić. I może nawet wyliczyli już odpowiedź, na pytanie, którego jeszcze nie zadali?

A może naprawdę czekali, odrzucając wszystkie technologiczne sztuczki i zdawali się tylko na jej wolę?

– Chcielibyśmy, byś pokazała nam świat, jakim nie umiemy go jeszcze zobaczyć – odpowiedział wreszcie π0TR005. – Żebyś opowiedziała nam jacy są ludzie. Żebyś była z nami, gdy jesteśmy sami. Potrzebujemy matki.

10.

Włamali się wreszcie do jej pokoju. Zamarli, przyglądając się kobiecie w komorze integrującej.

– Wygląda jak trumna – szepnął Tymon. – Nigdy tak na to nie patrzyłem. Ale wygląda ja trumna.

– Żyje, nic jej nie jest – Karol sprawdził prędko wskaźniki komory. – Kiedyś będzie musiała z niej wyjść. Systemy komory same ją odłączą, jeśli spędzi w niej zbyt wiele czasu. Zostawmy ją.

– Powinniśmy wejść za nią! – zawołał Rafał. – Diabli wiedzą, kto ją tam teraz namierza!

– Chcesz to idź – Karol wzruszył ramionami. – Nie wiem, jak ją znajdziesz.

– Mam swoje sposoby!

– Dupek i paranoik – westchnął Tymon, spoglądając za Rafałem odchodzącym pośpiesznie. – Ale nawet go lubię. Naprawdę sądzisz, że nic jej nie grozi?

– Systemy komory są sprawne. Więc co jej może grozić? Najwyżej ją tam zabiją i będzie musiała zapłacić okup ze swojego ubezpieczenia. Jakoś to zniemiemy. Chodź, strzelimy jednego.

Choć Rafał nie pochwalał tego, Karol z Tymonem popijali czasem nalewki robione przez tego pierwszego. Odkładali we dwóch pieniądze, by Irka mogła kupować dla nich naturalne śliwki i gruszki, które Karol zalewał potem spirytusem i swoimi tajemnymi metodami przerabiał na nalewki. Dla Rafała oznaczało to marnowanie pieniędzy i osłabianie umysłu, dla Karola i Tymona chwilę odpoczynku i wspomnienie świata, jakim był niegdyś.

– Nie tym razem – pokręcił głową Tymon. – Mam umówioną rozmowę z wnuczką.

– Dajesz się naciągać, chłopie. Wyrwą ci prawa i przejedzą je.

– Wnuczka, Karol. Nie widziałem jej od lat, nie rozmawiałem z nią chyba nigdy.

– Jak sprzedasz prawa, ogrody dopadną cię i rozszarpią.

– Nic jeszcze nie sprzedałem, nie? Zresztą, nawet jakbym sprzedał prawo głosu, to jeszcze nie oznacza, że oddaję kurwa wszystkie prawa obywatelskie! Idź, zajmij się swoimi sprawami, co?

– Dobra, dobra! – Karol uniósł dłonie. – Rób co chcesz, bucu.

Ponieważ Tymon zamknął się w kuchni, a Rafał leżał już w swojej komorze, by wysłać boty na poszukiwania Irki i rozbudowywać system ochronny twierdzy, swoimi sprawami Karol zajął się w sypialni.

Odczekał kilka minut, potem wyjął stary tablet, podłączył do niego słuchawki, ale tylko jedną z nich włożył do ucha. Wolał słyszeć co się dzieje w domu. Wstukał kod.

– Tak? – odezwał się łącznik. Znudzony, chyba zaspany.

– Śpisz na służbie? – ofuknął go Karol. – Nudzi ci się? Możesz zmienić robotę!

– Przepraszam, nie wiedziałem, że to pan!

– Kod ci się nie wyświetla? Kurwa, synku, jak się będziesz tak opieprzał, to wszystko kiedyś trafi szlag!

– Najmocniej przepraszam, panie kierowniku! To dwunasta godzina mojego dyżuru!

– Stul pysk. Jak pokój? Gotowy?

– Dwa, trzy dni i będzie. Ekipa remontowa trochę się posypała, bo ich master ożenił się z obywatelką i wysłali go do obozu integracyjnego. Ale już wszystko załatwione i...

– Macie tydzień. Przygotowaliście kandydatów?

– Tak jest! Ośmioro kandydatów.

– Prześlij. Czas się im przyjrzeć.

Akta otrzymał natychmiast. Tym razem aż cztery kobiety i tyłuż mężczyzn, co niezbyt spodobało się Karolowi. Nie przepadał za kobietami. Jedna, owszem, przydawała się w grupie. Pobudzała mężczyzn, rozbijała integralność zespołu samą obecnością, sprawiała, że faceci stawali się bardziej podatni. Ale zespół stworzony z dwóch bab? Po pierwsze, zdaniem

Karola, natychmiast zaczęłyby się kłócić między sobą i nakręcać durne wojny podjazdowe. Osłabienie zespołu to jedno, a rozbitcie go nim się jeszcze ukształtował to drugie. No i cholerne baby pewnie by ze sobą rozmawiały, zdradzały sekrety. Trudniej byłoby obie nakręcić na macierzyństwo, a to była ulubiona metoda Karola.

Niestety, trzy z czterech kandydatek wydawały się obiecujące. W dodatku były chyba zdolniejsze od mężczyzn.

Będzie się musiał nad tym zastanowić. Coś za coś. Najwyżej dłużej się z nimi pomęczy.

A aktualna ekipa była taka fajna! Irka, która właśnie uwierzyła, że staje się matką dla grupy sztucznych inteligencji machin bojowych, za parę dni zgodzi się, ze względów technicznych i dla dobra nowych dzieci, na przekazanie swych praw nowym podopiecznym. Tymona miał już na widelcu. Dureń uwierzył w istnienie wnuczki. Odda jej wszystko, a ogród Karola miał już przygotowane wszystkie umowy z córką starego durnia. Najłatwiejszy z całej trójki był Rafał z tą jego rozbuchaną paranoją. Tak rozbudował swoje systemy obronne, że dawno przestał nad nimi panować i już przepisał połowę swoich praw na kancelarię adwokacką, którą Karol podsunął mu umiejętnie, tak że Rafał nawet nie zorientował się od kogo pochodziła sugestia. Żaden sąd się nie przyczepi. Irka, Rafał i Tymon oddają się ogrodowi Karola dobrowolnie.

Miał ich wszystkich – trójkę świetnych rzemieślników, którzy do końca życia będą przekonani, że pracują na własne konto, a należeć będą do ogrodu Karola. Pracował na to blisko rok, choć tamtym, po poprzestawianiu zegarów w ich zewnętrzach, wydawało się, że mieszkali razem znacznie dłużej.

Kierownicy innych ogrodów zesrają się z zazdrości.

Należało to opić.

Nalał sobie kieliszek śliwowicy. Ludzie są cudownie prości z tymi ich tanimi a wzniosłymi pragnieniami i potrzebami. Wypije za to i weźmie się za kompletowanie nowej ekipy. Będzie premia. Człowiek to pieniądz.

Krzysztof Kochański

PLUTON EGZEKUCYJNY

Miejsce akcji: Tatry. Willa wypoczynkowa ministra Edwarda Koniecpolskiego.

Czas akcji: 163 minuty.

Minister Edward Koniecpolski leży w wannie, zanurzony w wodzie po szyję. Z zadowoleniem przygląda się swojemu odbiciu w lustrze. Wanna jest podgrzewana, wpuszczona w podłogę, lustro zajmuje całą ścianę łazienki. Na sześćdziesięcioletniej twarzy mężczyzny nie widać przeżytych lat, zabiegi w różnorodnych SPA zrobiły swoje. Co innego może reszta ciała, teraz ukryta pod warstwą piany.

– Nie można mieć wszystkiego, najważniejsze, że wciąż jest dobrze – mówi do siebie minister. Wciąż jest dobrze. Lubi to powtarzać.

Kluczowa pozycja w rządzie. Zdywersyfikowane inwestycje w raju podatkowym na Panamie i konto w Szwajcarii, o których nikt nie wie. Do tego dwupoziomowe mieszkanie w Warszawie. I dwa domy, w tym ta wypoczynkowa willa w Tatrach, o której też nikt nie ma pojęcia. No, prawie nikt. Posiadanie domu zdecydowanie trudniej ukryć, niż bankowe konto.

Czegoż chcesz więcej?

Kobiety?

Koniecpolski przeciąga się z rozkosznym pomrukiem.

O kobiety również potrafi zadbać. Akurat na dzisiejszy wieczór jest umówiony z kucharką i pielęgniarzką. Ufa, że właściciel pewnej agencji i tym razem sprosta wymaganiom stałego klienta. Wystarczy, że rzucił hasło: nie musiał krępująco wyłuszczać, że obie panie mają być bez majtek, za to w przykrótkich fartuszkach, pończoszkach, etc, etc...

Czyż życie nie jest piękne?

Minister czuje nagły chłód.

Chłód?

Wanna jest podgrzewana, więc termostat kontroluje temperaturę. Woda nie powinna się schłodzić. Ale najwyraźniej tak się stało. Mężczyzna sięga do pokrętła, żeby dopuścić gorzej, lecz kran tylko syczy i wypuszcza kilka smętnych kropel.

Minister z niedowierzaniem rozgląda się po łazience, sterylnie czystej, z chowanymi w ścianach szafkami i samospłukującą się toaletą.

Żeby w kranie nie było wody?

Skandal!

Wtem coś szeleści. Za chwilę słysząc skrobanie.

Konieczpolski nieruchomieje, zaniepokojony. Kładzie dłonie na pianie, jakby mogło to powstrzymać chlupotanie falującej wody. Ma świadomość, że jest w swojej baczce sam. Baczka – tak pieszczotliwie nazywa tę willę, w której zwykł spędzać niektóre weekendy, czasem kilkudniowy urlop, jak tym razem. O przyjeździe zawiadomił tylko kobietę, która dba o dom podczas jego nieobecności. Polecił, aby nie pojawiała się do końca tygodnia. A wizyty, na którą tak się cieszy (kucharka i pielęgniarka), oczekuje dopiero wieczorem.

Znów szmer. Od strony sufitu.

Wzrok ministra wędruje ku górze.

Z kratki wentylacyjnej wypełza pająk. Nieskoordynowanie gramoli się na owłosionych łapach, jakby był ranny lub otumaniony.

Konieczpolski nie może oderwać od owada oczu. Arachnofobia to może w jego przypadku za poważna diagnoza, jednak na widok pająków nigdy nie reagował dobrze. Pająk obniża się na nitce pajęczynie i wtedy minister uświadamia sobie, że to nie pajęczyna, ani w ogóle żaden pająk.

Pan Edward Konieczpolski? Nie musi pan odpowiadać, pańska tożsamość została zweryfikowana. Dziękuję za możliwość odczytania siatkówki oka, może pan odwrócić wzrok. Nie? Nie szkodzi. Jak panu wygodnie.

Nim przejdę do sedna, proponuję, aby nie podejmował pan żadnych nieprzemyślanych decyzji, nie wykonywał gwałtownych ruchów, a zwłaszcza nie wychodził przedwcześnie z łazienki. W zasadzie do wykonania powierzonego mi zadania jest to zupełnie obojętne, jednakże dobrze jest przestrzegać etykiety, zwłaszcza gdy może to być korzystne dla obu stron. Ja będę miał poczucie dobrze wykonanego zadania, pan zaś, nie opuszczając jeszcze teraz pomieszczenia, zyska może nawet kilka godzin życia.

Zawsze to coś, jak sądzę.

Widzę, że się pan rozgląda. Jeśli szuka pan czegoś, co nadawałoby się do rozgniecenia przekaźnika, za pomocą którego się komunikuję, uprzedzam, że to działanie pozbawione logiki. W razie zniszczenia natychmiast wysłę drugie urządzenie i nasz kontakt będzie kontynuowany.

A teraz pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem dowódcą plutonu egzekucyjnego powołanym rozkazem Naczelnego Wodza Dwóch Wrogich Armii dnia 3 maja 2031 roku.

Czy mówi panu coś ta data? Przypomina pan sobie?

Nie. Nie chodzi o święto Konstytucji 3 Maja. Czy próbuje pan być dowcipny? Proszę wybaczyć, jeśli nie zrozumiałem. Nie mam poczucia humoru.

Przypomnę więc. W tamtym przykrym dniu przebywał pan w mieszkaniu należącym do matki Naczelnego Wodza. Adres...

Zamach.

Prowokacja.

Działanie o charakterze politycznym.

Takie myśli przemykają przez głowę ministra Koniecpolskiego. Na dobre boi się dopiero wtedy, gdy elektroniczny pająk recytuje adres jego byłej kochanki. Dawno i nieprawda.

Wygląda na to, że ktoś ma na niego haka.

Czy w życiu polityka może zdarzyć się coś gorszego?

19 kwietnia, późnym wieczorem, a więc dwa tygodnie przed majową datą, której znaczenie próbuję panu uzmysłwić, odwiedził pan matkę Naczelnego Wodza, przynosząc, prócz kwiatów, kilka prezentów dla jej dzieci. Na jeden z nich, o którym za chwilę, bardzo się pan wykosztował. Miały to być przeprosiny za niechlubny incydent, mający miejsce dzień wcześniej, a którego efektem było kilka siniaków na ciele matki Naczelnego Wodza. Jak sądzę, zdawał pan sobie sprawę, że serce matki może pan zmiękczyć podarunkami nie dla niej, lecz dla jej dzieci właśnie. Braku zdolności dyplomatycznych w żadnym razie nie można panu zarzucić.

Cennym prezentem, o którym wspomniałem, była militarna gra nieplanszowa o nazwie „Bitwa Dwóch Wrogich Armii”, wyprodukowana przez firmę „Ołowiane Żołnierzyki”.

Zawartość pudełka:

- dwa zestawy figurek żołnierzy (armie), po sześćdziesiąt w każdym zestawie
- sto dwadzieścia pudełeczek z bronią i innym wyposażeniem żołnierza
- sterownik sztucznej inteligencji z routerem wi-fi i pełnym dostępem do Internetu (jednostka centralna)
- trzydziestoportowy zasilacz do ładowania akumulatorów żołnierzy
- instrukcja obsługi
- podręcznik programowania jednostki centralnej

Figurki żołnierzy liczyły około dwóch centymetrów wzrostu, były odmiennie umundurowane, posiadały stosowne flagi i godła, pozwalające odróżnić jedną armię od drugiej. Oczywiście nie zawierały nawet grama ołowiu, co zdawało się sugerować logo producenta. Chodziło o nawiązanie do tradycji. Nie wie pan jakiej? Tym gorzej to o panu świadczy.

Obie armie dysponowały podobnym uzbrojeniem i zbliżoną siłą rażenia, wynik rozgrywki zależał więc wyłącznie od wojskowej taktyki i zdolności dowódczych osób kierujących bitwą, nazywanych w instrukcji graczami. Z uwagi na niewielkie rozmiary żołnierzy można było z powodzeniem rozstawić ich na przykład w pokoju i z kanapy obserwować zaplanowaną bitwę, interaktywnie wpływając na jej przebieg.

W założeniach gra zaplanowana została dla dwóch osób, jednak córka matki Naczelnego Wodza szybko się nią znudziła, albo raczej nie odpowiadała jej taka forma rozrywki. Inaczej rzecz miała się z jej bratem bliźniakiem, który w tej sytuacji zmuszony został do objęcia stanowiska Naczelnego Wodza obu armii, z czym zresztą poradził sobie doskonale, wykazując godny podziwu talent militarny. A zapewniam, że jest to zadanie trudniejsze nawet od gry samemu ze sobą w szachy.

W ciągu dwóch tygodni Naczelną Wódz przeprowadził trzynaście bitew, z których pierwsza trwała jedenaście minut, a ostatnia, najdłuższa, siedemnaście godzin, z dwoma półgodzinnymi zawieszeniami broni,

podczas których uzupełniał zasoby energetyczne, zwane przez matkę Naczelnego Wodza posiłkami.

Z sobie tylko wiadomych powodów Naczelny Wódz ukrywał przed matką zafascynowanie „Bitwą Dwóch Wrogich Armii”, a zwłaszcza czas, który poświęcał na rozgrywki. Nie mnie oceniać tajność operacji. Widocznie z wojskowego punktu widzenia zaistniała taka konieczność.

Aż nadszedł feralny trzeci maja.

Tego dnia, późnym wieczorem, zawitał pan do matki Naczelnego Wodza. Był pan nietrzeźwy, nie wiadomo czy z powodu święta państwowego, czy może z jakiegoś innego. Nieistotne. Matka Naczelnego Wodza przyjęła pana chłodno i kazała spać w pokoju gościnnym na kozetce. Spełnił pan jej żądanie, lecz w nocy, po wizycie w łazience, skrzył pan nie w te drzwi. Zamiast wrócić do pokoju z kozetką, udał się pan do pokoju siostry bliźniaczki Naczelnego Wodza. Nie mam na to dowodów, moja armia przebywała w tym domu dopiero od dwóch tygodni, ale istnieją przesłanki pozwalające przypuszczać, że nie zdarzyło się to po raz pierwszy. Wiem za to z całą pewnością, że siostra Naczelnego Wodza nie lubiła być dotykana.

W tym czasie Naczelny Wódz rozstawiał obie armie do nocnej bitwy. Usłyszał pańskie kroki i wyrzwał na korytarz. A potem wrócił do jednostki centralnej, skasował plan bitwy i zrobił coś, co SI uznała za operację niedozwoloną, jednak po kilku poprawkach programistycznych Naczelnego Wodza skorygowała priorytety. Pozwoliła na połączenie sił dwóch wrogich dotąd armii.

Naczelny Wódz wydał rozkaz ataku.

Bagnet na broń!

Stu dwudziestu żołnierzy, w przemieszanych godłach, flagach i mundurach, wylało się z pokoju. Mrówczym zastępem przemknęło przez sień, następnie przez szparę w drzwiach do sypialni siostry Naczelnego Wodza. Byłem jednym z nich, biegłem w samej szpicie, obok mnie kapitan wrogiej armii, lecz po raz pierwszy nasze bagnety nie były skierowane przeciw sobie. Wszelką inną broń odrzuciliśmy: nie mogła ona zrobić krzywdy człowiekowi, ponieważ działała wyłącznie wirtualnie, z polem rażenia i oceną trafień w jednostce centralnej.

Bagnet na broń! – wydając taki rozkaz, nasz genialny Naczelny Wódz podjął jedyną słuszną decyzję, dającą cię szansę powodzenia. Sam

pozostał przy konsoli, rezygnując z widowiska. Kierował bitwą, synchronizując działania dawnych Dwóch Wrogich Armii, połączonych teraz w jedną.

Pamiętam przerażenie na pańskiej twarzy, pamiętam jak tańczył pan szaleńczo po pokoju, wymachując nogami i rękami. Rozdeptywał nas pan dziesiątkami, rozrzucał na prawo i lewo, roztrzaskując o ściany i meble. Miażdżone ciała na zawsze traciły kontakt z centralą SI. Był pan w samych majtkach, więc nasze bagnety nie musiały przebijać ubrania, pomimo tego ich skuteczność pozostawała mizerna. Zdarzało się, że pękały na pańskiej skórze. Ich siła działania podlegała ocenie w jednostce centralnej, wyrokującej o skuteczności cięcia, co sprawdzało się w bitwach Dwóch Wrogich Armii, ale nie w walce z człowiekiem. Straty po naszej stronie okazały się druzgocące. Dwie Wrogie Armie praktycznie przestały istnieć. Niestety pan nie odniósł poważniejszych obrażeń. Przyznaję, iż trudno uznać za takowe tych kilkanaście nakłuć, dokonanych przez żołnierzy, którym udało się przedrzeć. Cześć ich pamięci. Nie liczę pańskiego stłuczonego kolana, gdy miotając się w panice uderzył się pan w krzesło.

Zapewne pana zdaniem atak się nie powiódł. Uważa pan, że ponieśliśmy klęskę.

Błąd.

Proszę zauważyć, że celem ofensywy była obrona siostry Naczelnego Wodza. W efekcie wycofał się pan z jej pokoju, zatem cel został osiągnięty.

Żołnierze nie zginęli na darmo.

Hałas obudził matkę Naczelnego Wodza, która przybiegła na górę i widząc zniszczenia w pokoju swojej córki, domyśliła się wszystkiego. Opuścił pan mieszkanie w pośpiechu, ścigany jej okrzykami i groźbami wezwania policji. Nie wiem czy nie spełniła groźby, czy też zatuszował pan sprawę, wykorzystując swoje wpływy, skoro nie spotkały pana z tego powodu żadne przykrości.

Nie spotkały jak dotąd. Teraz ma się to zmienić.

Naczelnny Wódz bardzo źle zniósł utratę swoich armii, lecz nie załamał się. Stu dziewięciu żołnierzy pochował w zbiorowej mogile w przydomowym parku, w pięknym miejscu przy płaczącej wierzbie nad rzeką. Tak, dobrze pan liczy:

$$2 \text{ armie} \times 60 \text{ żołnierzy} = 120$$

$$120 - 109 = 11$$

Jedenastu z nas ocalało, pozostając w gorszej lub lepszej sprawności bojowej. Na ogół gorszej. Nie wyglądaliśmy już tak pięknie i lśniaco jak przedtem, lecz nie straciliśmy bojowego ducha. Śmiem nawet twierdzić, że jest go w nas więcej, niż przedtem. Oczywiście żadna z nas armia. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę zarówno my, jak i Naczelny Wódz. Ale nie po to przywrócił nas do służby, byśmy walczyli dalej przeciw sobie, i ku jego rozrywce. To odeszło do przeszłości. Z ocalałych żołnierzy Naczelny Wódz powołał zupełnie nową formację, którą nazwał plutonem egzekucyjnym.

Mam zaszczyt być jego dowódcą.

W walce z panem utraciłem rękę. Była zmiażdżona, więc Naczelny Wódz amputował mi ją osobiście, co nie przeszkadza jednak w skutecznym wykonywaniu obowiązków. Miarą zaufania Naczelnego Wodza do moich umiejętności taktycznych niech będzie fakt, iż awansowany zostałem do stopnia kapitana. Dodam, że czterech moich podkomendnych służyło we wrogiej armii, lecz są takimi samymi dobrymi żołnierzami jak reszta. Jeden z nich, jako najwyższy stopniem zaraz po mnie, jest moim zastępcą. I nie wątpię, iż w razie gdybym poległ, godnie przejmie dowodzenie.

Tego samego dnia, kiedy Naczelny Wódz utworzył pluton egzekucyjny, wydał również swój pierwszy dla tej formacji rozkaz: wykonanie wyroku śmierci na panu, panie Edwardzie Koniecpolski, nakazując – zgodnie z procedurami wojskowego prawa – aby bezpośrednio przed wykonaniem wyroku odczytano go panu oficjalnie.

Nie. Nie rzucił się z motyką na słońce, jak pan sugeruje. Czy nie wspominałem, że był dobrym strategiem?

Obserwuję pana za pośrednictwem pajęczego komunikatora i odnoszę wrażenie, że stał się pan mniej spięty, niż na początku, a nawet jakby odprężony. Chyba rozumiem: sądzi pan, że skoro 3 maja 2031 roku z łatwością poradził sobie z dwiema armiami, to jakie zagrożenie może stanowić kilku niedobitków? Odpowiedzią niech będzie incydent sprzed dwóch miesięcy. Przypomnę: konserwator zawiadomił pana telefonicznie o nagłej śmierci psa. Rottweilera pilnującego posiadłości podczas pańskiej nieobecności. Podobno został straszliwie zmasakrowany.

Senator? Tak. Być może tak właśnie się wabił.

Pies zorientował się o naszej obecności i nie przyjął tego faktu przyjaźnie. Tropił nas zajadle, wręcz obsesyjnie, co, zdaje się, jest

charakterystyczne dla tego gatunku. Stanowił poważne zagrożenie, więc podjęliśmy decyzję o jego eksterminacji. Ryzykowne przedsięwzięcie, ale przeważał dodatkowy bonus w postaci możliwości przetestowania skuteczności plutonu na żywym organizmie.

Jak zabiliśmy pańskiego psa?

Teraz to już żadna tajemnica.

Ma pan rację, że wynik pamiętnej bitwy w pokoju siostry Naczelnego Wodza jasno pokazał, że dysponując wyposażeniem przewidzianym przez firmę „Ołowiane Żołnierzyki” nowa jednostka nie jest w stanie działać skutecznie na obiektach nie objętych wirtualną kontrolą SI. Sytuacja mogła wydawać się beznadziejna. Ale nie dla naszego przywódcy, którego determinacja niech będzie przykładem dla każdego żołnierza. Naczelnny Wódz przeprowadził internetowe rozeznanie, które wykazało, że „Bitwa Dwóch Wrogich Armii”, cieszy się ogromną popularnością. Powstały jej liczne pirackie wersje, z dodatkowymi gadżetami jeśli chodzi o hardware, i zhakowanymi procedurami, którymi można było wspomóc oprogramowanie – to jeśli chodzi o software. Niektóre z rozwiązań w żadnym razie nie mogły wejść do legalnego obiegu, ponieważ zagrażały bezpieczeństwu graczy. Ale historia nieodmiennie pokazuje, że wszędzie tam, gdzie mowa o obiegu legalnym, pojawia się obieg nielegalny, mający się niejednokrotnie lepiej od tego pierwszego. A fakt, że coś zagraża życiu lub w czyichś tam oczach jest niemoralne, ma na to nikły wpływ, a nawet może być czynnikiem stymulującym

W ten sposób nasz Naczelnny Wódz wprowadził kilka istotnych ulepszeń. Oczywiście ograniczał go ubogi budżet. Ale oprogramowanie wspomagające dla jednostki centralnej w większości okazało się free. Natomiast darowizna udzielona przez siostrę bliźniaczkę, zbierającą fundusze na TopTipset – niestety nawet jednostka centralna SI nie wie, co to takiego ten TopTipset, ani w ogóle o co w tym chodzi – pozwolił na rozszerzenie listy zakupów.

Nie będę zanudzał pana listą modyfikacji, dla ogólnej orientacji powiem tylko, że na dobry początek Naczelnny Wódz wymienił nam bagnety. Zastąpił je ostrzami ze stali, z której wykonuje się skalpele chirurgiczne. Tną nawet jak przez przypadek zsuną się ze stołu. Do tego nanosiłowniki: całość osadzona na karabinie pozwala zadawać cios z siłą wielokrotnie większą, niż w poprzednim, w zasadzie symulacyjnym rozwiązaniu.

Widziałem na filmie instruktażowym jak pojedynczy żołnierz wykańcza takim bagnetem sporego szczura.

Człowiek to nie szczur, powie pan nie bez racji. Gabaryty nie takie. Słusznie.

Ale nas jest jedenastu, a przewaga liczebna...

Co pan mówi? Co to znaczy, że nie takich jak my spuszczał pan w kiblu?

W takim razie wspomnę jeszcze o armacie. W wyposażeniu podstawowym nie posiadaliśmy ciężkiego sprzętu. Nasz Naczelny Wódz postanowił to zmienić. Wypatrzył na internetowej aukcji armatę, samoróbkę wykonaną przez pewnego inżyniera automatyka, fana gier militarnych. Prócz standardowej opcji laserowej – tu znacznie wzmocnionej – mogła strzelać również w trybie harpunnicznym. Zapewne orientuje się pan, tak ogólnie, na czym polega tryb harpunniczny?

Zgadza się, harpun, jak na ryby.

Dodam jednak, że w naszym wyrafinowanym hakerskim rozwiązaniu armata jest podłączana do gniazdka 220 V, bez pośrednictwa zwyczajnego 12-woltowego zasilacza, zatem harpun po trafieniu do celu działa mniej więcej jak policyjny paralizator. Choć może bardziej spektakularnie, ze względu na efekt w postaci dymu i iskier.

Widział pan kiedyś na filmie rysunkowym wytrzeszczonego zwierzaka, ze sztywnymi kończynami, sierścią zjeżoną jak u miotły i wywalonym na wierzch przygryzionym językiem? Zezem i gwiazdkami fruwającymi wokół głowy? Tak mniej więcej prezentował się pański pies, kiedy potraktowaliśmy go harpunem z naszej superarmaty.

I wtedy mój pluton egzekucyjny natarł na obiekt z bagnetami, nastawiając moc nanosiłowników na maksymalną. Ach, jak cięli... Przepraszam. Oszczędzę panu szczegółów. Pies i tak jest już martwy.

A może jednak powinienem być bardziej drobiazgowy? Może drastyczny obraz spowoduje, że zabłąga pan o litość?

Czy chce pan może błagać o litość? Nie? Szkoda. Nagralibyśmy to i opublikowali w Internecie. Może klip dotarłby do Naczelnego Wodza. Ucieszyłby się.

Po odbyciu odpowiedniej liczby szkoleń Naczelny Wódz uznał, iż jesteśmy gotowi. Zapakował nas do pudełka fabrycznego, wraz z jednostką centralną SI, z trzydziestoportowym zasilaczem, oraz armatą, dla której

w pudełku zrobiło się miejsce po poległych towarzyszach. Na wierzchu położył zdechłą mysz, zapakowaną w szczelną folię.

Pyta pan, po co w tym wszystkim zdechła mysz? W dodatku w szczelnej folii?

Cierpliwości. Obiecuję, że wszystkiego się pan dowie. Pozwoli pan jednak, że skupię się na spójności przekazu.

Wiedzieliśmy, że zostaniemy nadani na miejsce akcji paczką, za pośrednictwem tradycyjnej poczty. Oczywiście że do pańskiej górskiej willi w Tatrach, panie Edwardzie Koniecpolski. A gdzieżby indziej? Naczelnym Wódcą był tu niegdyś ze swoją matką, kiedy jej stosunki z panem były jeszcze poprawne, stąd znał adres.

Do celu dotarliśmy bez przeszkód, choć trwało to dłużej, niż się spodziewaliśmy. Aby oszczędzać baterie pozostawaliśmy w stanie wygaszonym, wszyscy, prócz jednego żołnierza na warcie. Zmienialiśmy się co pięć godzin, pozostając w kompletnych ciemnościach, rozprasanych jedynie kropkami światła, przedostającego się z sześciu otworów, po jednym na każdej ścianie paczki, służących za punkty obserwacyjne. Jednostka centralna, wymagająca stałego zasilania, była martwa. Do źródła prądu mieliśmy ją podłączyć po dotarciu do celu.

Oczywiście, że możemy działać bez jednostki centralnej, ale – przyznam szczerze – że w działaniu takim nie ma wielkiej efektywności.

Zombi?

Bez przesady.

Czy jak prezes pańskiej partii śpi albo jest chory, to pan jest zombi, czy też ślepo stosuje pan jego wcześniejsze decyzje?

No właśnie.

Wartownik obudził mnie piątego dnia naszej podróży. Bez wi-fi jednostki centralnej nie mogliśmy się porozumiewać, więc gestami dał mi umówiony znak, że dotarliśmy na miejsce. Widok przez otwory obserwacyjne sugerował, że znajdujemy się w kuchni. Nie było w niej nikogo, na wszelki wypadek odczekaliśmy jednak do nocy, po czym obudziłem kilku kolejnych żołnierzy i bagnetami poczęliśmy wydłubywać w paczce dziurę – ostrożnie, z przerwami i nasłuchując. Kiedy otwór był gotowy, wysłałem trzech zwiadowców. Powrócili po kilkudziesięciu minutach, oznajmiając na migi, że droga jest wolna. W domu nie było nikogo, nie wspominając o panu. Nie wiem, kto odebrał paczkę i położył ją

na kuchennym stole, konserwator czy kobieta przychodząca sprzątać i podlewać kwiaty. Pana osobiście zobaczyć mieliśmy dopiero dwa miesiące później. Co za sens utrzymywać dom, w którym bywa się tak rzadko?

Mieliśmy dużo czasu na ewakuację. Nowymi bagnetami bez problemów rozpruliśmy paczkę od środka. Następnie wydostaliśmy z niej jednostkę centralną – to już z ogromnym trudem. Dla nas była ciężka i nieporęczna, a przecież Naczelnny Wódz posługiwał się nią swobodniej niż telefonem komórkowym. Dziesięciu moich podkomendnych ledwie zdołało ją udźwignąć. Ja koordynowałem przenoszenie, strach pomyśleć, co by się stało, gdyby stoczyła się ze stołu i uległa uszkodzeniu. Albo gdyby podczas tej czynności ktoś nas zaskoczył. Bez wątplenia był to najtrudniejszy element pierwszego etapu naszej misji.

Zwiadowcy wypatrzyli miejsce idealnie nadające się na stanowisko dowodzenia i koszary – pod szafką w kotłowni gazowej, położonej w przylegającym do kuchni pomieszczeniu. Utrudniony dostęp, jak i warstwy kurzu, zdawały się wskazywać, iż pod szafkę nikt nie zaglądał od lat. No i najważniejsze: bliski dostęp do gniazdka elektrycznego gwarantował stały dostęp do energii. Na wszelki wypadek nieopodal przekuliśmy się przez ścianę do przewodów elektrycznych.

Na koniec przetransportowaliśmy armatę oraz zasilacz do naszych akumulatorów. Ci z nas, których baterie pokazywały niski poziom naładowania, natychmiast podłączyli się do portów, reszta wróciła do kuchni, żeby zatrzeć ślady. W tym celu wyjęliśmy z paczki ostatni element przesyłki: opakowanie ze zdechłą myszą. Rozcięliśmy folię i wydostaliśmy truchło, które położyliśmy w widocznym miejscu na środku kuchni. Zapewne strasznie śmierdziało, ale my nic nie czuliśmy, gdyż zmysł zapachu jest nam niedostępny. Jeśli to konieczne, informacje o składzie powietrza otrzymujemy od jednostki centralnej.

Pocięliśmy paczkę na drobne kawałki, które porzucaliśmy po całej kuchni.

Jak wspomniałem, nie mieliśmy pojęcia, która z osób opiekujących się domem odebrała pocztę: gospodyni czy konserwator, wykonujący od czasu do czasu przeglądy i naprawy. Nigdy nie dowiedzieliśmy się również, czy ten ktoś bardzo się zdziwił, widząc paczkę w kawałkach i bez zawartości. Czy przyznał się przed panem, że w domu grasują myszy, które zeżarły

przesyłkę, czy też może ze strachu w ogóle zataił jej istnienie? W każdym bądź razie po jakimś czasie kartonowe resztki zniknęły, jak i martwa mysz, która pośmiertnie wzięła na siebie winę za zniszczenia.

Po zakończonej ewakuacji podpięliśmy do gniazdka energii elektrycznej jednostkę centralną, która natychmiast przeprowadziła rutynowe testy na każdym z żołnierzy. Wszystkie wypadły pozytywnie, więc zaakceptowała dalsze procedury oprogramowania, zgodne z intencjami Naczelnego Wodza. W efekcie poczuliśmy w sobie takiego ducha walki, że gdyby był pan wtedy w domu, niechybnie ruszylibyśmy natychmiast do działania, co mogłoby zniweczyć całe przedsięwzięcie. Jak wiadomo pośpiech nie jest dobrym doradcą.

Kolejne dni upłynęły nam na rozpoznaniu terenu i wybraniu miejsca egzekucji.

Co proszę?

Cóż za spostrzegawczość. Tak, zdaje się, że rzeczywiście najłatwiej byłoby wykonać zadanie w sypialni, podczas gdy będzie pan spał. Zdaje się pan jednak zapominać, że jesteśmy żołnierzami. Nie politykami czy bandą rzezimieszków, przepraszam za tautologię. Może trudno to panu pojąć, ale wyjścia niehonorowe, dla pana powszednie, dla nas nie wchodzą w grę. Że nie wspomnę o instrukcjach Naczelnego Wodza, wobec którego lojalność i wierność winni jesteśmy zachować do ostatniego żołnierza.

Ostatecznie, na miejsce najbardziej odpowiednie wybraliśmy łazienkę. Z kilku powodów. Po pierwsze jest ekranowana, nie działają w niej telefony komórkowe ani inne media. Zadbał pan o to w swoim czasie. Pewne doświadczenia z przeszłości pokazały, że każdy ważny polityk powinien mieć miejsce, w którym na pewno nikt go nie podsłucha. Ekranowanie ma jednak drugą stronę medalu: choć nie rozstaje się pan z komórką, tu również nie może pan wezwać pomocy. Po co ją w ogóle pan zabiera do łazienki?

Jak to odruch? Dziwne.

Jak zatem przy odciętych mediach w ogóle mogę z panem rozmawiać? Proszę zwrócić uwagę, że elektroniczny pajak, za pomocą którego się z panem komunikuję, sterowany jest tradycyjnym przewodem w izolacji. Czy powinien pan przewidująco założyć w łazience stacjonarny telefon przewodowy? No, nie wiem. Nie sądzę. Przecięcie bagnetem kabla telefonicznego nie wydaje się jakimś szczególnym wyzwaniem.

Wróćmy jednak do kwestii wyboru łazienki na miejsce wykonania wyroku. Powód drugi, który o tym zdecydował, to kwestia logistyczna. Jednostka centralna obliczyła, że jeśli korzysta pan ze swojej wanny, zajmuje to panu statystycznie około 37 minut. Margines błędu to 13 minut. Moi żołnierze na przygotowanie i rozstawienie się, potrzebują kwadransa. Czasu aż nadto, jak łatwo obliczyć, żeby mieć niemal pewność, że nie wyjdzie pan z pomieszczenia przedwcześnie.

Po trzecie wreszcie, zależy nam, aby w trakcie wykonania wyroku był pan nagi. Ze zrozumiałych względów, zwiększy to skuteczność siły rażenia.

Jak to: są przecież ręczniki!

A gdzie one są, śmiem zapytać? Czy zaglądał pan do szafki przed kąpielą?

Tak, poczekam, proszę zajrzeć.

Nie rozumiem dlaczego z takim osłupieniem wpatruje się pan w puste półki. Oczywiście, że wynieśliśmy zawartość przed akcją. Chyba nie sądził pan, że przystąpilibyśmy do działania bez przygotowania terenu?

Tak. Zgadza się. Trzeba było powiesić w łazience zwykły wieszak, a nie instalować chowane w kafelkowane ściany szafki otwierane na komendę głosową. Wtedy może rzuciłby się panu w oczy ich brak. Mądry Polak po szkodzie, podpowiada mi jednostka centralna.

Widzę, że coraz częściej rozmasowuje pan ramiona i uda.

Zimno?

Nie wątpię.

Jak ma nie być zimno, skoro wyłączyliśmy ogrzewanie. Na zewnątrz jest w tej chwili minus osiem stopni Celsjusza, prognoza pogody przewiduje nocą minus dwadzieścia dwa. Trzeba przyznać, że w styczniu Tatry nie należą do najcieplejszych miejsc w Polsce. Teraz w domu mamy siedemnaście stopni na plusie. Szybko się oziębia, prawda? Jednostka centralna podpowiada mi taki wniosek: gdyby w trakcie budowy zatrudnił pan rzetelną firmę, a nie wykorzystał startującą w przetargu na pewien państwowy gmach, pewnie lepiej przyłożyliby się do wykonania ocieplenia. A tak za godzinę będzie czternaście stopni, za dwie godziny... przepraszam, nie będę spekulował, krzywa izotermii nie jest taka pewna. Powiem tylko, iż z odczytu wynika, że nawet przy minus dwadzieścia dwa na zewnątrz temperatura w łazience nie powinna spaść poniżej minus dwóch stopni Celsjusza, jeśli stanowić to może dla pana jakąś pociechę.

Cóż za gminny język! Dotąd nie znałem pana z tej strony, panie ministrze. Nawet się dziwiłem, z uwagi na sławetne wpadki pańskich kolegów.

Spogląda pan na okno. Przypominam, że łazienka położona jest na piętrze, piękny widok na skały i przepaść. Nie raz chwalił się pan tym uroczyskiem.

Nagle zwężenie źrenicy pańskiego oka wykazuje, że jestem w błędzie. Teraz rozumiem. Nie zamierzał pan wcale wychodzić tym oknem. Spojrzał pan odruchowo, przypominając sobie o umówionej wizycie dwóch osób. Liczy pan, że wybawią pana z opresji. Kogoś zaalarmują. Kucharka i pielęgniarka. Skąd o nich wiem? To chyba oczywiste. Odkąd tylko pan przyjechał, jednostka centralna SI kontroluje wszystkie rozmowy. Wychodzące i przychodzące.

Muszę pana rozczarować. One nie przyjadą. Ani kucharka, ani pielęgniarka. Pozwoliłem sobie w pańskim imieniu odwołać wizytę. A tak na marginesie: rozumiem po co panu kucharka, jak każdy musi pan uzupełniać zasoby energetyczne. Ale pielęgniarka? Nie miałem pojęcia, że jest pan chory. Jednostka centralna najwyraźniej musiała coś przeoczyć.

Zatem nikt do naszej samotni dziś nie przyjedzie. Ani jutro czy pojutrze. Może za kilka dni. Zależy jak długi wzięł pan urlop. Dopiero wtedy zaczną pana szukać. Co w dodatku może potrwać, skoro zwykł pan ukrywać wszystko, co ukryć się daje, w tym swoje tatrzańskie eskapady.

Żąda pan rozmowy z Naczelnym Wodzem?

Niestety, to niemożliwe. Nawet gdybyśmy chcieli panu pomóc. Utraciliśmy z nim kontakt z chwilą wysłania paczki. Zdaje się pan zapominać, jaki szmat czasu dzieli nas od pamiętnego dnia 3 maja. Dwadzieścia sześć miesięcy to długo. Też tak uważamy. Ale akcję musieliśmy przygotować precyzyjnie, drugiej szansy przecież nie dostaniemy, nie dopuści pan do tego, prawda?

Najwięcej czasu zajęły nam próby znalezienia algorytmu częstotliwości pańskich bytności w willi. Pomimo napływu wciąż nowych danych, jednostka centralna nie potrafiła ustalić niczego poza tym, że pańskie wizyty są chaotyczne, jak również nieprzewidywalny jest czas ich trwania. Już dwukrotnie byliśmy bardzo blisko realizacji celu. Raz przewód sztucznego pająka zaplątał się w kanale wentylacyjnym, i nim sobie poradziliśmy zdążył opuścić pan łazienkę. Za drugim razem przepłoszyli

nas niespodziewani goście z zewnątrz, a mieliśmy już wszystko rozstawione.

Ale do trzech razy sztuka, jak powiedział kiedyś Naczelnny Wódz.

Musi pan wiedzieć, że wszystkie słowa Naczelnego Wodza przechowywane są w odpowiednim folderze pamięci stałej jednostki centralnej i w każdej chwili możemy się nimi wspomagać. Dostrzegam błysk zrozumienia w pańskich oczach. Tak. Oczywiście. Pańska partia również ma nad sobą kogoś w rodzaju Naczelnego Wodza. Chociaż raz się rozumiemy.

Przyzna pan, że opracowany przez Naczelnego Wodza plan udało się zrealizować nadzwyczaj efektywnie. Być może mieliśmy też szczęście, ale nie od dziś wiadomo, iż na froncie szczęście potrzebne jest żołnierzowi jak powietrze. Proszę też zwrócić uwagę na pewną ironię losu. „Bitwa Dwóch Wrogich Armii” była pańskim prezentem. Pan wyprowadził nas z magazynowego niebytu na świat. Można zatem powiedzieć, że sfinansował pan własną śmierć. Zgodzi się pan ze mną?

Znów te wulgaryzmy!

Pan też.

Nie rozumiem pańskich nerwowych słów ani nawet dlaczego komentuję je tymi dwoma krótkimi słowami. Po prostu jednostka centralna sugeruje 99-procentową trafność odpowiedzi. Sprawdzone zwłaszcza w kinematografii.

Zatem:

Pan też.

Ależ się pan zaciął.

Wychodzi pan z łazienki?

To dobrze. Szczerze mówiąc, przestałem już liczyć na tak godną postawę.

Albo my, albo pan?

Słusznie. Jako żołnierz pozwolę sobie osobiście pogratulować determinacji.

Pluton! Na mój rozkaz! Do armaty!

Cel!

Panie Edwardzie Koniecpolski! Rozkazem Naczelnego Wodza Dwóch Wrogich Armii zostaje pan skazany na śmierć.

Podpisano: Naczelnny Wódz Dwóch Wrogich Armii.

Pal!
Pluton! Bagnet na broń!

Michał Protasiuk

ANATOMIA PĘKNIĘCIA

PACJENT ZERO

Palce ślizgają się po tłustych włosach, kiedy przyciskam jej głowę do kuchennego blatu marki EKBACKEN. Kupiliśmy go siedem lat temu w Ikea. Jacy byliśmy wtedy szczęśliwi! Niedługo potem ginekolog zdiagnozował u Matildy zrosty na jajnikach powodujące bezpłodność. Nigdy z tego powodu nie rozpaczaliśmy. Uważaliśmy, że brak dzieci wzmocni nasze małżeństwo: więcej czasu dla siebie, wspólne wieczory, spontaniczne wypadki na weekendy... Uciekniemy od codzienności i rutyny, która niszczy każdy związek. Kilka razy do roku wyjeżdżaliśmy na trekking w Góry Skandynawskie, spaliśmy w schroniskach, a wieczorem upijaliśmy się czerwonym winem. Wierzyliśmy, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Ale to już przeszłość. A wszystko przez nią, moją żonę, Matildę Olofsson, z domu Lindberg, która próbuje właśnie utrzymać równowagę na ugiętych nogach, krawędź stołu wpija się w brzuch, a ja napieram na nią całym swoim osiemdziesięciokilogramowym ciałem. Kość policzkowa gniecie płytę wiórową, imitującą ciemny dąb. Matilda próbuje się wyrwać, ale jestem silniejszy. Krzyczy raz, krótko i przenikliwie. Boję się, że usłyszą sąsiedzi. Zaciskam wolną dłoń na jej gardle i syczę:

– Jedno słowo więcej, a uduszę cię suko.

Stara się przekręcić głowę, by na mnie spojrzeć. Naciskam jeszcze mocniej na skroń, aż jęczy z bólu.

– Sven... Sven... – szepcze. – Sven...

Lewa dłoń nie przestaje pieścić gardła Matildy. Nachylam się nad nią, usta muskają o płatek ucha, czuję obcy zapach. Tak pachną jego perfumy. Perfumy Petera Stenströma.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – oddycham za szybko, muszę się uspokoić. – Nareszcie chcesz mi coś powiedzieć?

– Co ty wyrabiasz? – charczy. – Puszczaj, jeszcze zrobisz mi coś poważnego.

Cały się trzęsę. Jak ona śmie?

– To jest obrona konieczna – mówię, zaciskam palce na włosach, odginam głowę i uderzam twarzą mojej żony o blat stołu.

Z nosa bucha krew. Matilda wpada w panikę. Nie miała pojęcia, jak daleko się posunę, a teraz już wie, że będzie źle. Realizuje się najgorszy scenariusz. Wije się pode mną, próbuje kopać i gryźć. A ja, paradoksalnie, robię się coraz bardziej spokojny. Skupiam się na szczegółach. Działam metodycznie. Ponownie szarpnię ją za włosy, szykując kolejny cios. Nie myślę o konsekwencjach. Kiedy będzie po wszystkim, zadzwonię na policję i opowiem, co się wydarzyło w naszym białym domku, cztery kilometry od centrum Umeå. Oczekuję współczującego poklepania po plecach i wsparcia psychologów.

Następne uderzenie nie nadchodzi. Matilda wygina się w łuk, wygospodarowując nieco przestrzeni. Wystarczająco dużo, by walnąć na oślep łokciem w brzuch. Cios jest zadziwiająco silny, tracę oddech i składam się w pół. Luzuję chwyt na włosach, korzystam z okazji, odchyłam głowę na bok i gryzie mnie w prawą dłoń. Działa instynktownie. Mózg odpala program awaryjny i pompuje energię, która w normalnych warunkach rozsądziłaby włókna mięśniowe. Małe, drobne ząbki głęboko zatapiają się w mięso. Drę się z bólu i odskakuję. Matilda odwraca się i kopie mnie silnie w podbrzusze. Nim upadnę na ziemię, patrzę przez chwilę w jej oczy.

Dostrzegam tam nienawiść i pogardę. Głęboką, bezbrzeżną.

Matilda przedramieniem ociera krew z ust i nosa. Przeskakując nade mną i biegnie do kuchennych szafek. Z szuflady wyciąga nóż do filetowania ryb GYNNSAM, największy jaki mamy w domu. Nóż ma długie i wąskie ostrze, aby gładko wchodził w brzuch ryby i bez oporów ciął skórę: od odbytu po głowę. A teraz ostrze noża, również kupionego w Ikei, jest skierowane w moją stronę.

– Zostań na podłodze – mówi Matilda. – Nawet nie próbuj wstać. Zabiję cię.

Wiem, że nie żartuje. Wiedźma jest gotowa na wszystko.

– Masz przy sobie telefon?

Kiwam głową.

– Wyciągnij z kieszeni i przesuń po podłodze do mnie.

Planuje więc zadzwonić po niego. Szukać pomocy w ramionach kochanka, mojego współnika w firmie handlującej ramami okiennymi

Olofsson och Stenström.

Jednak nie.

Matilda wybiera 911 i z podręcznikową zwięzłością opisuje dyspozytorowi sytuację: mąż rzucił się na mnie niespodziewanie, groził, że mnie udusi, uderzył moją głową o stół, krwawię z nosa, tak, nadal jestem w niebezpieczeństwie, przyjedźcie jak najszybciej.

Dźwigam się na kolana, lecz Matilda wymachuje nożem.

– Nie ruszaj się! – krzyczy.

Zastygam. Podnoszę dłoń w porozumiewawczym geście i mówię:

– Spokojnie, spokojnie, tylko usiądę.

Przenoszę ciężar ciała na prawą nogę i powoli opieram się o stół.

– Co ty wyprawiasz? – pyta autentycznie zaskoczona. Jej integralność cielesna nie jest zagrożona, czeka na policyjną odsiecz, próbuje ogarnąć rozumem, co wydarzyło się na przestrzeni ostatnich pięciu minut: kiedy wróciła z biura do domu, po drodze zajeżdżając na zakupy do supermarketu, skąd przywiozła dwie papierowe torby wypełnione jedzeniem, które postawiła na kuchennej podłodze, obok lodówki, podeszła do mnie, pocałowała w usta i powiedziała: „Cześć kochanie”. Tego było nadto. Poczułem, jak głęboko, bardzo głęboko, na samym dnie brzucha, albo jeszcze niżej, coś pęka. Przez ciało przebiegł dreszcz. Powstrzymałem odruch wymiotny.

Odwzajemniłem pocałunek i przyciągnąłem ją do siebie. Próbowала wyswobodzić się z uścisku, ale ją przytrzymałem.

– Nie teraz – odwróciła głowę. – Wskakuję pod prysznic, a potem jadę na spotkanie z Ellen. Nie chcę się spóźnić, jak ostatnim razem.

Spotkanie z Ellen, dobre sobie.

Dłużej nie wytrzymałem. Pozwoliłem, aby obróciła się do mnie tyłem i wtedy się na nią rzuciłem. Podciąłem jej nogi, runęła do przodu, na stół, a ja wraz z nią, wsuwając dłoń w jej jasne włosy, prostując łokieć i przyciskając policzek do powierzchni blatu.

– Sven, co ty narobiłeś? – pyta. – W co ty się, kurwa, wpakowałeś?

Co JA narobiłem? W co JA się wpakowałem?

I wtedy mówię jej całą prawdę, prawdę, która tnie skórę jak żyłki wyciągnięte z różowych maszynek do depilacji pach. Bo przecież o wszystkim wiem i niech ona dłużej nie ciągnie tej farsy, nie widzi, jak bardzo jest żałosna? Chciałbym zamilknąć, każde słowo nie tylko brzmi

śmiesznie i patetycznie, ale również wyciska mi z oczy łzy. Tylko nie potrafię przestać. Mówię, że była moją pierwszą i jedyną miłością, że zawsze ją kochałem i nigdy nawet nie obejrzałem się na inną kobietę. A przecież życie stwarzało wiele okazji. Na przykład Kerstin, sekretarka, kiedy to było, trzy, cztery lata temu? Sama pchała się do łóżka. Pamiętam wigilijną kolację, Kerstin wypła za dużo ponczu, wyszła ze mną na papierosa i powiedziała, że jeśli chcę, mogę po imprezie pojechać do niej, do domu. Wsunęła w dłoń karteczkę z adresem, napisała nawet kod do domofonu. Ona wyjdzie z imprezy wcześniej i będzie szykowała się na mój przyjazd. Wyśmiałem ją, powiedziałem, że ma zniknąć mi z oczu. W lutym złożyła wypowiedzenie. Tłumaczę teraz, że nie pojechałem wtedy do Kerstin, ponieważ kochałem Matildę i tylko Matildę. Byliśmy połówkami tej samej pomarańczy, które miały wyjątkowe szczęście spotkać się na swojej drodze i postanowiły resztę życia spędzić razem. Kiedy zacząłem coś podejrzewać? W którym momencie zakwitła ta straszliwa myśl – początkowo odpychałem ją, wydawała się szczytem nieprawdopodobieństwa, prychnąłem śmiechem, kiedy pierwszy raz pojawiła się w mojej głowie, ale z czasem odbierałem coraz więcej sygnałów, potwierdzających obawy. Aż w końcu w mózgu coś zrobiło „klik” – i nagle wszystko zaczęło porządkować się we wzorzec. Wyjątkowo spójny wzorzec. Każda nowa obserwacja pasowała do reszty, idealnie jak elementy dziecięcej układanki. Mówię teraz do niej, patrząc na ostrze noża do filetowania, które kręci w powietrzu hipnotyzujące ósemki. Długo czekałem na ten moment, projektowałem go na miliony sposobów, obmyślałem alternatywne scenariusze rozmowy, planując repliki na kilkanaście ruchów do przodu, niczym szachowy arcymistrz. Wszystko na nic. Teraz walę prosto z mostu i nie obawiam się konsekwencji. Nic gorszego wydarzyć się nie może. Mówię Matildzie, że o wszystkim wiem. O jej romansie z Peterem Stenströmem.

No i o tym, że próbują mnie wykończyć.

Matilda milczy. Nie ma nic na swoją obronę. Jest w szoku. Czy naprawdę sądziła, że będzie w stanie ukryć to przede mną? Że jestem kretynem i się nie zorientuję? Przecież wszystko było widoczne jak na dłoni.

Owszem, zawsze należałem do osób chorobliwie zazdrosnych. Powiedzieć, że kochałem Matildę, to nie powiedzieć nic. Nie wyobrażałem

sobie bez niej życia. Dlatego bałem się panicznie, że pewnego dnia ją utracę, że ona zdecyduje się zostawić mnie dla innego mężczyzny. Nie mogłem do tego dopuścić – oto sens mojego życia. Niechętnym okiem patrzyłem na jej wieczorne wypady na miasto, pogawędki w gronie psiapsiółek. Do czego jej to potrzebne? Przecież miała mnie, zawsze pod ręką. Mogliśmy spędzać czas razem. Byłem wszystkim, czego potrzebowała. A ona odwróciła się ode mnie i rzuciła w ramiona Petera.

Stary poczciwy Peter, którego przyjąłem do pracy w księgowości pięć lat temu i który okazał się zaufanym i oddanym pracownikiem, aż w końcu zdecydowałem się dopuścić go do spółki. Matilda mnie namówiła. Przecież widzisz, ile on wkłada serca w pracę, firma jest dla niego wszystkim – powtarzała. Wówczas tego nie rozumiałem, ale teraz? Teraz wszystko jest jasne. Kiedy zaczął się ich romans? Potrafię wskazać konkretny moment. Trzy lata temu, kiedy byłem w Kopenhadze, negocjując trudny kontrakt z dostawcą. Rozmowy się przedłużały, nie mogliśmy dojść do porozumienia. Był środek grudnia, ciężkie opady śniegu, oblodzone pasy startowe i pozamykane lotniska. Nie miałem jak wrócić do domu, a Matilda chorowała na zapalenie płuc. Poprosiłem Petera, żeby ją odwiedzał, robił zakupy, zatroszczył się o potrzebne rzeczy. Ano zatroszczył się i to jak się zatroszczył! Matilda wyszła z choroby odmieniona, ale dostrzegłem tę zmianę dopiero po czasie. Stanowczo za późno. Szybko doszła do siebie i od tej pory zaczęła znacznie częściej wychodzić z domu. Mówiła, że spotyka się z koleżankami, chodzą po centrach handlowych, piją kawę w Starbucksie, czasami grają w kręgle, czy wyskakują na kolorowe drinki w barach na Strogatan. Niespodziewanie na jej główną przyjaciółkę awansowała Ellen Ekström, sąsiadka mieszkająca na początku ulicy, rozwódka samotnie wychowująca dwójkę dzieci, wykładowczyni chemii na uniwersytecie, ultralewicowa feministka, głosująca na Vänsterpartiet. Ta sama Ellen, o której kilka lat wcześniej Matilda mówiła: „głupia z niej gąska, desperacko brakuje jej chłopca, ale jest zbyt dumna, aby się do tego przyznać”. Dawno temu, na samym początku romansu, nakryłem Matildę na gorącym uczynku. Powiedziała, że wychodzi na kawę z Ellen, a ja natknąłem się na sąsiadkę w spożywczaku u Mohameda. Kiedy Matilda wróciła do domu, siedziałem na krześle w kuchni ze łzami w oczach. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie widziałem jej tak przejętej. Przyznała się do kłamstwa, ale na oczekaniu

wymyśliła wymówkę. Wcale nie wyszła na spotkanie z Ellen, ale na sesję do psychoterapeuty. Wolała o tym nie wspominać, żebym się nie przejmował i tak mam tyle spraw na głowie z firmą. Od jakiegoś czasu nachodziły ją czarne myśli, rano coraz dłużej zbierała siły, aby podnieść się z łóżka, a poczucie braku sensu przytłaczało coraz bardziej, jakby ktoś położył jej chłodny polodowcowy głaz na klatce piersiowej. Sama nie znajdzie drogi wyjścia z labiryntu, postanowiła więc zasięgnąć porady u specjalisty. Miała nadzieję, że się na nią nie gniewam. Ale dlaczego to zrobiła, zapytałem, skoro ma mnie, mamy siebie nawzajem. Nie odpowiedziała, zaczęła płakać.

A ja jej uwierzyłem! Jakiż byłem naiwny, zaślepiony miłością. Kiedy ona wychodziła na schadzki z Peterem Stenströmem, ja zostawałem dłużej w biurze, robiłem zakupy, przygotowywałem kolację, wysiadywałem długie godziny przed telewizorem, oglądając mecze i nudną publicystykę. Niczego nie rozumiałem.

I teraz mówię jej wszystko, cierpliwie tłumaczę każdy szczegół. Wiem, że mam coraz mniej czasu, lada moment do mieszkania wkroczą ciężkozbrojne posiłki. Ona kręci głową, jakby z niedowierzaniem, nie mogąc pogodzić się z ciężarem prawdy, który nagle runął na nią niczym rozdarty firmament niebieski. Zbliżam się do najtrudniejszego fragmentu.

Gdyby po prostu postanowiła mnie zostawić, odejść z Peterem, wyprowadzić się do niego i ułożyć sobie życie na nowo, oczywiście byłbym załamany, wpadłbym w depresję, może nawet łyknął za dużo leków nasennych, ale tylko trochę za dużo, w sam raz, żeby mnie odratowali. Jakoś bym się wygrzebał. Zdruzgotany, poobijany, ale mimo wszystko w jednym kawałku. Ale nie! Dla niej, dla nich, to za mało. Wówczas nie mogliby położyć łapy na moich 73% udziałów w spółce. Dlatego postanowili mnie wykończyć. Po cichu, dyskretnie usunąć ze świata, aby nikt się nie zorientował. Namówili do spółki Ellen, przecież ona jest doktorem chemii. Jaką truciznę uwarzyła ta lewacka wiedźma w uniwersyteckim laboratorium? Orędowniczka rozwodów i wolnej miłości! Nie wiem co to było, ale Matilda truła mnie tym systematycznie przez ostatni rok. Organizm zaczął odmawiać posłuszeństwa, poszczególne podzespoły psuły się w przyspieszonym tempie, jak w dawno nie serwisowanym samochodzie. Natarczywa migrena, nawracająca, nie ustępująca. Zaburzenia wzroku i błędnika. Problemy z nerkami. Schorzenia

wyskakiwały jedno po drugim, w odstępie miesięcy. Matilda dodawała coś do jedzenia, dosypywała do herbaty, a ja naiwnie cmokałem ją w czoło każdego dnia, nim zasiadłem do kolacji. Może teraz wreszcie Matilda mi powie, jaką nazwę nosi ów specyfik, prezent od Ellen Ekström. Zgaduję, że to coś trudnego do wykrycia. Kiedy wreszcie bym umarł, patolog podczas sekcji zwłok nie powinien natknąć się na nic podejrzanego. Nic, co by nakierowało uwagę na diabelskie trio Matilda&Ellen&Peter. Kieruję firmą handlującą ramami do okien. Dużo podróżuję, poszukując tanich dostawców po Skandynawii, ale tam coraz trudniej o dobrą cenę. Dlatego zapuszczam się dalej: Polska, Słowacja, Rumunia, Bułgaria, Bałkany. Wizytuję małe fabryczki, oglądam jak kleją okienne ramy i wdycham miks zabójczych chemikaliów. A w Mołdawii czy Albanii nikt jeszcze nie słyszał o normach BHP. To musiało wyglądać na naturalne zatrucie, choroba zawodowa okiennego komiwojażera. Kto powiedział, że uprawiam zawód niskiego ryzyka?

Jak w dziecięcej łamigłówce: połączyłem wszystkie kropki w całość dopiero trzy dni temu i wpadłem w panikę, widząc wyłaniający się obrazek. Nie jadłem w domu, wymyślając wymówki przed Matildą, czekając na moment, kiedy będę mógł chwycić ją za rękę, drugą wolną dłonią wykręcając numer na policję.

A teraz ten moment wreszcie nastał. Wprawdzie nie mam w garści żadnych twardych dowodów, ale każdy przecież przyzna, że moja historia jest logiczna i wewnętrznie spójna, więc musi być prawdziwa. Emocje są zbyt silne. Dłużej nie potrafię żyć w kłamstwie i upokorzeniu.

Stoimy teraz naprzeciwko siebie. Słysząc syreny. Poprzez przesłoniętą żaluzję widzę niebieskie błyski policyjnego koguta. Matilda płacze i ścisła nóż, ale wiotczeją jej dłonie. Gdybym chciał, wystarczy jeden skok, zdecydowany sus, by wytrącić narzędzie na podłogę. Ale nie chcę, rozkładam dłonie niczym Chrystus miłosierny, lecz surowy. Nie mam nic do ukrycia. Jestem czysty. Świat jest prosty. Matilda zgrzeszyła, a ja nie zamierzam udzielić jej sakramentu pokuty. Niech zgnije w piekle!

– Sven, Sven, ty zwariowałeś – powtarza. – Ty jesteś psychicznie chory – mówi.

Wtedy wypadają drzwi i do kuchni wbiega oddział policyjny. Mają kominiarki i kamizelki kuloodporne. Wystarczy rzut oka, aby rozeznąć się w sytuacji. Gdzie stoi ofiara, a gdzie agresor. Głośno się śmieję, bo przecież

jest dokładnie na odwrót, niż im się wydaje. To mnie powinni chronić przed nią.

Ostatnią rzeczą, którą słyszę, nim silne ramiona powalają mnie na podłogę, jest szloch. Szloch Matildy, mojej ukochanej żony.

DIAGNOZA

– Pan Kasper Nyström? – unoszę głowę znad notatek i mrugam ciężkimi powiekami. Nie spałem od dwudziestu godzin. – Czy dobrze trafiłem?

Rzucam tęskne spojrzenia na pusty kubek po kawie i talerzyk, z którego mogę co najwyżej wybierać okruszki po sandwiczu z tuńczykiem.

– Tak, to ja. Z kim mam przyjemność?

– Edvard Lundquist – wychodzę zza biurka i ściskam jego tłustą dłoń. – Komisarz Edvard Lundquist.

Patrzę na niskiego grubaska pod pięćdziesiątkę w wymiętym garniturze. Kiwam ze zrozumieniem głową.

– Chyba wiem, o czym będzie pan chciał rozmawiać – mówię.

– O tym, co wydarzyło się w domu przy ulicy Vargvägen.

– Sven Olofsson – dopowiadam.

– Sven Olofsson – policjant kiwa głową, przysuwa sobie krzesło i siada naprzeciwko mnie. – Co z nim? Już wiecie?

Sven Olofsson trafił do szpitala, na oddział zamknięty, pod moją opiekę dwa tygodnie temu.

– Podejrzewamy schizofrenię paranoidalną. On jest święcie przekonany, że jego żona ma romans ze współnikiem w firmie i że przy współpracy trzeciej osoby próbują odebrać mu życie. Typowa mania prześladowcza.

Edvard Lundquist zakłada nogę na nogę.

– Ale z czego się to bierze? Ten facet bez powodu rzucił się na żonę. Złamał jej nos z przemieszczeniem kości. Próbował udusić. A nigdy przedtem nie notowaliśmy go nawet za złe parkowanie. Kilka dni temu rozmawiałem z jego żoną. Ona jest w szoku. Są małżeństwem od siedemnastu lat. Nie wykazywał żadnych objawów. Był jedynie

zamknięty w sobie, trochę bardziej niż normalny człowiek. W ostatnich latach nasiliło się, tak powiedziała żona...

– Wiem – wchodzę mu w słowo. – Również długo rozmawiałem z Matildą Olofsson. Sven zaczął unikać kontaktu z ludźmi. Dużo czasu spędzał przed komputerem, praktycznie nie rozstawał się ze smartfonem. Moja nastoletnia córka by o nim powiedziała, że ma FOMO.

– FOMO? Ja nie mam dzieci.

– *Fear of missing out*. Paniczna obawa, że ominie cię coś ważnego. Że będziesz obok, zamiast być w centrum. Dlatego Sven chodził z telefonem nawet do toalety, uważnie śledząc wszystko, co przewijało się przez newsfeedy na portalach społecznościowych.

– Ale to nie prowadzi do schizofrenii, prawda panie doktorze?

Uśmiecham się szeroko.

– Gdyby prowadziło, już dawno by nam zabrakło miejsc w szpitalu. A ludzi przed trzydziestką powinniśmy zamknąć wszystkich. Hurtowo, jak leci.

Policjant strzela palcami.

– Weryfikowaliśmy także wersję Svena. Jego żona oczywiście nie ma romansu z Peterem Stenströmem. Poddaliśmy ich badaniom na wykrywaczu kłamstw. Przesłuchaliśmy wszystkich pracowników firmy Olofsson och Stenström. Takiego romansu długo by w tajemnicy nie utrzymali. Pan rozumie, żona szefa i współnik. Ludzie w mig widzą takie rzeczy. I od razu by opowiedzieli. Jestem policjantem od trzydziestu lat i wiem, że o romansach ludzie opowiadają najchętniej. Nie trzeba ich nawet do tego zachęcać. Sami gadają.

– Olofsson uparcie twierdził, że żona i jej kochanek są w zмовie z niejaką Ellen – sprawdzam nazwisko w dokumentach – Ekström. Jego zdaniem próbowali go otruć. Zbadaliśmy Olofssona dokładnie. Był wycieńczony i odwodniony, ale nic ponadto. Nic, czym by się dało podtrzymać jego wersję.

– Nie jadł i nie pił, bo się bał, że żona próbuje go zabić. A teraz ma apetyt?

– Żre jak smok.

– Teraz się nie boi. W sumie logiczne. To żona chciała go otruć, a nie państwo szwedzkie, które go teraz karmi.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Ześwirował, ale w szaleństwie jest metoda. Skąd to się bierze, panie doktorze?

Wzdycham i demonstracyjnie patrzę na zegarek. Dyżur kończy się za półtorej godziny, a czeka na mnie jeszcze masa papierkowej roboty. Marzę o ciepłym łóżku, poduszce, zamknięciu oczu, odpłynięciu w niebyt.

– Nikt do tej pory nie stworzył wyczerpującej teorii tłumaczącej powstanie schizofrenii. Są jedynie hipotezy. Proszę zajrzeć do wikipedii. Często jest winna genetyka. Choć w przypadku Olofssona sprawdzałem jego rodzinną historię. Do dwóch pokoleń wstecz nie zanotowano żadnych chorób psychicznych. Więc wytłumaczenie genetyczne trzeba odrzucić. Ale szkodzą także czynniki cywilizacyjne. Trauma, stres, życie w ciągłym napięciu. Olofsson jest przedsiębiorcą, prowadzi firmę handlującą ramami okiennymi. Trudny rynek. Mali pośrednicy są wypierani przez sieci hipermarketów DIY. Może dlatego? W czym mogę jeszcze panu pomóc? Przepraszam, ale mam sporo pracy.

Edvard Lundquist jest wyraźnie zmieszany.

– Nie, to wszystko. Dziękuję za poświęcony czas – dźwiga się z krzesła.
– Jako policjant nie mam w tej sprawie wiele więcej do roboty. Po prostu byłem ciekaw, chciałem zrozumieć. Fascynuje mnie to. Podobne sytuacje po prostu się nie zdarzają. Jak grom z jasnego nieba w bezchmurny dzień. Normalny facet. Ma firmę, płaci na czas podatki, nie przekracza prędkości, nie bierze prochów, kartoteka czysta jak u przedszkolaka. I nagle... Łuuup! Coś takiego. To się po prostu nie zdarza. Nie ma prawa się zdarzyć. To przeczy jakimś fundamentalnym prawom wszechświata.

Po osiemnastu godzinach dyżuru filozofowanie o naturze wszechświata jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę.

– Proszę zostawić wizytówkę – mówię. – Zadzwoń do pana, jeśli dowiemy się czegoś konkretnego. W przyszłym tygodniu Olofsson będzie badany tomografem. Może skan mózgu coś pokaże?

* * *

Kiedy otwieram oczy, napuchnięte od nadmiaru snu, nie wiem kim jestem i gdzie się znajduję. Mrugam kilka razy, aż wracają wspomnienia. To ja, Kasper Nyström, to moja sypialnia, mój jednopiętrowy dom,

na wschodnich przedmieściach Umeå. Patrzę na zegarek. Siedemnaście minut po dziewiątej. Cisza jest niezwykła. Dzisiaj pracuję na popołudnie. Wstaję z łóżka i idę do łazienki. Kiedy kołyszę się nad muszlą, opróżniając pęcherz, wspominam wczorajszą wizytę komisarza Edvarda Lundquista. Nie polubiłem go. Od samego początku wydał mi się antypatycznym typem. Czego chciał? Przecież Sven Olofsson jest psychicznie chorym paranoikiem i rola policji skończyła się w momencie, kiedy wpadli do mieszkania i przycisnęli biedaka kolanami do podłogi. Po co dalej drażnić i zawracać głowę?

Po prysznicu nakładam biały ręcznik frotte i schodzę na dół, do kuchni. Przygotowuję płatki z naturalnym jogurtem i siadam przed telewizorem. Skaczę pilotem po kanałach informacyjnych, ale na świecie niewiele się dzieje. Jest środek lata, sezon ogórkowy w pełni. Trafiam wreszcie na program publicystyczny: gadające głowy w statycznych aranżacjach studia. Komentują przedstawiony wczoraj przez rząd program reform nazwany ambitnie „Szwecja 2025”. Przy stole zasiadają przedstawiciele wrogich obozów politycznych. Kłócą się zawzięcie, nie potrafią się co do niczego zgodzić. To nie jest nawet tak, jakby mówili innymi językami. Jest znacznie gorzej. Słowa niby brzmią znajomo, lecz mają inne, przeciwne znaczenie. Złośliwy Bóg pomieszał ich języki. Mowa nie jest „tak – tak, nie – nie”. Kiedy jedna strona przytacza na poparcie swojej tezy fakty, cytuje statystyki, pokazuje liczby, druga strona natychmiast dyskredytuje źródło, powołuje się na inne badania, znajduje błąd w metodologii, wyciąga spod stołu własne zestawienia. Dwa inne obrazy rzeczywistości, sprzeczne ze sobą. Po której stronie leży prawda?

Padają coraz ostrzejsze słowa, dyskutanci skaczą sobie do gardeł. Szybko się nudzę i zmieniam kanał. Trafiam na reportaż dotyczący programu świadków koronnych. Były policjant opowiada historię członka zorganizowanej grupy przestępczej, który postanowił wsypać kolegów, w zamian za co dostał nową tożsamość, skrupulatnie przygotowaną, z doskonałą „legendą”, jak mawiają szpiedzy. Zaczął drugie życie.

Ciekawy program.

Nie potrafię przestać myśleć o Svenie. Wracają te same pytania. Dlaczego policja się nim interesuje? Może kryje się za tym drugie dno? Sięgam po herbatę, ale zastygam w pół ruchu. A jeśli Sven po prostu udaje? Jest kimś w rodzaju świadka koronnego, ale coś nie wyszło, ścigają go teraz

demony przeszłości i izolatka w szpitalu psychiatrycznym to najbezpieczniejsze miejsce na ziemi? Miejsce, gdzie nikt nie będzie go szukał. Dlatego Svenem interesuje się gruby komisarz Lundquist. Sprawuje nadzór, dogląda go, gotowy w każdej chwili interweniować, gdyby coś poszło nie tak.

Kończę jeść śniadanie, odstawiam pusty talerz do zmywarki i zaczynam się ubierać.

* * *

Do kliniki docieram na kilka minut przed piętnastą. Eva, sekretarka Instytutu Chorób Psychiczych, kiedy tylko mnie spostrzega daje znak ręką, abym natychmiast podszedł do jej biurka.

– Panie Nyström, szukał pana – sprawdza nazwisko na żółtej karteczce post-it przyklejonej do obudowy monitora – komisarz Edvard Lundquist. To chyba coś ważnego.

Niedoczekanie!

– Był tutaj? Mały grubas w nieuprasowanej trzydniowej koszuli? On mnie szukał? Mówił, po co przyszedł?

– On jest z policji. Chyba lepiej do niego zadzwonić. Zostawił numer, na wypadek, gdyby zgubił pan wizytówkę, tak powiedział.

Odwracam się na pięcie i zostawiam zdziwioną blondynkę samą. Lundquist zaczyna robić się namolny. Coś jest na rzeczy, moja poranna hipoteza wydaje się coraz bardziej prawdopodobna. Oddzwonię do niego dzisiaj wieczorem, na pewno, ale najpierw muszę coś sprawdzić. Zamykam się w gabinecie i proszę, aby mi nie przeszkadzano.

Sven Olofsson nie jest tym, za kogo się podaje – kołacze mi po głowie i nie chce przestać. Lundquist za bardzo się nim interesuje, chociaż powinien przyłożyć na teczce pieczętkę „sprawa zamknięta” i schować akta do archiwum, aby kurzyły się po wieki wieków. Nie potrafię się od tej myśli uwolnić. Sytuacja z pobiciem żony była zatem wyreżyserowaną sceną, aby dać policji pretekst, zwinąć go na sygnale i zamknąć u nas. Ale dlaczego w ten sposób? Jaka sytuacja uzasadniałaby tak wyrafinowaną operację? Jeśli to program ochrony świadków, dlaczego po prostu nie dali mu nowej tożsamości, setki kilometrów stąd, nie wynajęli małego

mieszkania w Sztokholmie, nie wyprawili gdzieś na prowincję, daleką północ, do małego miasteczka wśród śniegów i reniferów? I wreszcie pytanie najważniejsze: dlaczego ja o niczym nie wiem? Jestem pierwszą osobą, która powinna zostać wtajemniczona, dostać precyzyjne instrukcje, jak postępować w takiej sytuacji. Co powinienem napisać w diagnozie?

Wszystko zaczyna do siebie pasować. Współczesna psychiatria nie potrafi wyjaśnić przyczyn schizofrenii, to wciąż wielka tajemnica, ale przypadki klasy Svena Olofssona po prostu się nie zdarzają. Jednego dnia jesteś zdrowy, doskonale zdrowy, nie wykazujesz żadnych objawów i każdy specjalista, który zrobiłby z tobą test Rorschacha, test niedokończonych zdań czy test Kocha nie wykazałby żadnej anomalii. A nazajutrz rzucasz się na żonę, oskarżając ją nie tylko o romans ze współnikiem w interesach, ale również o dosypywanie ołowiu do zupy ärtsoppa.

Takie rzeczy po prostu są niemożliwe. Ale jeśli uznamy, że Sven udaje, to kompletnie odwraca perspektywę. Niemożliwe staje się oczywiste. Tylko jak to wykazać? Przecież nie mogę wejść do jego głowy, odczytać myśli, stać się nim, choćby na ułamki sekund, żeby spojrzeć na świat oczami Svena, wszystko zrozumieć i poznać prawdę.

Podrywam się gwałtownie z krzesła i ruszam w stronę drzwi. Muszę jak najszybciej porozmawiać ze Svenem Olofssonem. Jadę windą, przemykam szarymi korytarzami kliniki, machnięciem dłoni pozdrawiam strażnika, przejeżdżam kartą magnetyczną po czytniku i drzwi rozsuwają się z pneumatycznym sykiem. Sven siedzi przy stole i czyta kolorowy tygodnik. Odrywa wzrok od gazety i przygląda się uważnie, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu.

– Czy mógłby pan poprosić o herbatę? Bardzo chce mi się pić – mówi.

Patrzę mu w oczy – ja Kasper Nyström, psychiatra z dwudziestoletnim stażem w zawodzie. Ja, który nie ugiąłem karku pod spojrzeniem największych świrów, który nie bałem się zapuszczać bez mapy i kompasu w gęstwinie ich obłąkanych fantazji i koszmarów. Który stałem twarzą twarz ze schizofrenikami, psychotykami i psychopatami – kto, jak kto, ale ja wiem, jak wyglądają oczy psychicznie chorego.

A Sven Olofsson jest najzupełniej normalnym człowiekiem.

– Więc co będzie z tą herbatą?

– Muszę z panem porozmawiać.

Sven zamyka gazetę i przesuwa ją na bok biurka. Precyzyjnie odmierza odległość, aby krawędź strony pokryła się z krawędzią blatu. Zachowanie maniakalne, wcześniej nie wykazywał podobnych symptomów. Kolejny dowód. Dostał szkolenie, jak powinien się zachowywać w mojej obecności, ale widać był niezbyt pilnym słuchaczem, ponieważ niektóre nauki przypomina sobie poniewczasie.

– Ja doskonale pana rozumiem, że pan nie może mi zdradzić prawdy na swój temat – zaczynam, przyjaźnie się uśmiechając. – Nawet nie próbuję zgadywać, o co chodzi. Proszę tylko o potwierdzenie. Wystarczy skiniecie głową, mrugnięcie oczami, co pan uzna za stosowne. Proszę mi tylko dać znak. Jeden znak, tyle wystarczy. To wszystko jest farsą, prawda panie Olofsson? Pan wcale nie wierzy, że żona chciała pana otruć? Mam rację? Śliczne przedstawienie odegraliście na oczach sąsiadów, policji i sanitariuszy. Nie rozumiem tylko, jaki był cel, jakby pana nie mogli zwyczajnie przewieźć do szpitala, po cichu zapakować do izolatki? Ale widać było to potrzebne.

Sven Olofsson wpatruje się we mnie intensywnie, jakby za chwilę miały pęknąć mu gałki oczne.

– Proszę powiedzieć, mam rację, czy nie?

Milczy.

– Nie proszę o wiele. Wiąże pana przysięga milczenia, rozumiem. Nie musi pan nic mówić. Proszę tylko dać znać. Jeden znak – o nic więcej nie proszę. Cokolwiek, co będę potrafił zinterpretować. Chcę potwierdzenia, że mam rację. Że dobrze to wydedukowałem.

– Ja naprawdę nie mam pojęcia, o czym pan mówi – wyrzuca z siebie niepewnie, zastanawiając się, czy powiedzieć więcej, czy na tym skończyć.

Tu go mam!

Waha się. Właściwie to nie jest gest, a BRAK gestu. Gubi kontakt wzrokowy, spojrzenie ześlizguje się na odległy punkt ponad moją głowę. Mruży oczy, jakby chciał porozumiewawczo mrugnąć, ale zmienia zdanie. Z trudem przełyka ślinę, widzę jak pracuje grdyka. Lewy kącik ust wędruje nieśmiało w górę – czyż oto nadchodzi mój wyczekany sygnał? Nie, twarz ponownie zastyga na podobieństwo maski ulepionej z papier mâché.

Jednak czasami gesty nie są potrzebne. Sven Olofsson powiedział mi, co chciał mi powiedzieć, nie wypowiadając ani jednego słowa, nie dając

żadnego znaku. A ja nie miałem problemów, by odkodować jego komunikat.

Wstaję z krzesła i wyciągam rękę, czekając na uścisk. On siedzi nieporuszony. Dotykam jego ramienia, Sven wzdryga się.

– O co panu chodzi? Jaki znak? Jakie przedstawienie? Nic nie rozumiem. – Słyszę jeszcze, kiedy zamykam drzwi izolatki.

* * *

Edvard Lundquist sapie po wspinacze na trzecie piętro Instytutu Chorób Psychiczych. Ma na sobie ten sam wymięty garnitur, co podczas naszego pierwszego spotkania. Ubranie przesiąknięte jest smrodem taniego chińskiego baru: zużyty olej, glutaminian sodu i słodko-kwaśny sos. Komisarz siada po przeciwnej stronie biurka.

– Trudno pana złapać. Jest pan bardzo zapracowanym człowiekiem – mówi.

– Chciał pan ponownie rozmawiać na temat Svena Olofssona?

– Tym bardziej się cieszę, że znalazł pan dla mnie czas. Udało się coś panu ustalić?

Uśmiecham się do niego przyjaźnie. Przepenia mnie poczucie satysfakcji. Jakbym układał tysiącelementowe puzzle i na stole zostało już tylko kilka kawałków. Jego uporczywe wypytywanie o diagnozę Olofssona – jak strzelanie samobójczej bramki. Boi się, że przejrzałem na wylot całą intrygę, ale jeszcze nie ma pewności, ile wiem. Będzie próbował wciągnąć mnie do spisku?

– Zagrajmy w otwarte karty – wykładam dłonie na biurko, jakbym chciał zademonstrować, że nie mam nic do ukrycia. – Nie ma sensu ciągnąć dłużej tej farsy, prawda?

– Obawiam się, że nie do końca rozumiem, co pan próbuje do mnie powiedzieć, panie doktorze.

– Olofsson potwierdził moje przypuszczenia. To nie jest choroba, żadna schizofrenia, nic takiego. On nie zaatakował swojej żony. Wszystko było teatralną inscenizacją. Chcieliście ukryć go na moim oddziale. Przed kim? Dlaczego? Kim naprawdę jest Sven Olofsson? Nie znam żadnej odpowiedzi, ale oczekuję, że rzuci pan nieco światła na kolekcję tajemnic.

Co teraz zrobi Lundquist? Będzie udawał głupka? A co, jeśli sprawę obłożono klauzulą tajności, jeśli postać Svena Olofssona ma znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego? Wówczas nie zostawiam policjantowi innego wyjścia. Będzie szedł w zaparte.

Tymczasem dzieje się zupełnie inaczej. Komisarz nie zaprzecza. Opiera dłonie na wystającym brzuchu i prosi, abym lepiej to ja opowiedział, co wiem. Czego jestem pewny, a czego się tylko domyślam. A całą resztę on dopowie, spokojna głowa. Jedna chwila cierpliwości.

Mówię krótko, nie jest tego wiele. Przytaczam ciąg logiczny: od pierwszego podejrzenia, które na początku wydawało się irracjonalne, ale następnie każdy fakt bez cienia wątpliwości potwierdzał moją teorię. Musiałem więc w nią uwierzyć, nie miałem innego wyjścia. W taki sposób działa przecież nauka, a ja jestem człowiekiem nauki – formułujemy hipotezę i wierzymy w nią tak długo, jak długo dane empiryczne ją potwierdzają. Jeśli znajdziemy fakt sprzeczny, wówczas odrzucamy hipotezę. Tylko ja żadnych sprzeczności nie widziałem. Wszystko było spójne.

Edvard Lundquist słucha cierpliwie, kiwa głową i uśmiecha się, jak dobrotliwy profesor podczas egzaminu ustnego, dodając otuchy studentowi.

– Proszę jeszcze raz powtórzyć, jakie niezbite fakty potwierdzają pana teorię na temat Svena Olofssona? – przechyla się ponad biurkiem, drewniane krzesło skrzypi, kilka centymetrów bliżej, a jego grube cielsko lada moment runie na mnie, na stosy papierów, rozłożonego laptopa, na dokumentacje chorób, medyczne magazyny i zabrudzone kawą filiżanki. – Proszę je wyliczyć. Jakby mówił pan do dziecka. Na pacynkach poproszę.

Gra ze mną w grę, której jeszcze nie rozumiem. Niestety, on pozostaje stroną dominującą. On – nie ja – dysponuje potrzebną wiedzą. Muszę się podporządkować, nie mam wyjścia.

Tłumaczę ponownie. Nie tracę cierpliwości. Liczę, że Lundquist się odwdzięczy i wyłoży całą prawdę. Wyrąbywanie drogi w gąszczu domysłów na dłuższą metę jest męczące.

Fakt#1: nadmierne zainteresowanie komisarza osobą Olofssona. Jestem czytelnikiem Svenska Dagbladet, gdzie regularnie widzę artykuły na temat redukcji etatów w policji, masy papierkowej roboty i przyrastającej kolejki nierozwiązanych przestępstw. Dlatego myślałem, że jeśli da się od ręki odfajkować sprawę i wysłać delikwenta do pokoju bez klamek, każdy

gliniarz będzie najszcześniejszym facetem na świecie. W przeszłości doświadczyłem podobnych sytuacji kilkakrotnie. Ale tym razem jest inaczej. Zainteresowanie policji się nie kończy, a z upływem czasu narasta. Coś musi być na rzeczy.

Fakt#2: Sven Olofsson oficjalnie nie przyznał mi racji, ale PRAWIE to zrobił. Jego milczenie, wahanie – znaczyło więcej niż słowa.

Fakt#3: choroby psychiczne rzadko spadają z nieba. Zwłaszcza w równie zaawansowanym stadium. Nie upieram się, że nie jest to możliwe. Wieloletnia praktyka zawodowa pokazuje, że wszystko jest możliwe. Mówię tylko o niezwykle niskim prawdopodobieństwie.

– Wszystko do siebie pięknie pasuje, prawda panie komisarzu? – puentuję. – Zdaję sobie sprawę, że moc faktu#3 jest najslabsza, ale jeśli dołożymy go do faktu#1 i faktu#2 siła argumentu rośnie.

Lundquist milczy.

– I co, mam rację, panie komisarzu?

Odpowiada mi głośnie westchnięcie. Policjant rozplata dłonie i wstaje z krzesła. Podchodzi do drzwi gabinetu, jakby chciał sprawdzić, czy są zamknięte.

– Padła mi komórka. Która godzina? – pyta nieoczekiwanie.

Poruszam myszką, aby przebudzić lapotopa.

– Dwudziesta pierwsza dwanaście.

– Sekretarka...

– Eva?

Komisarz potwierdza skinieniem głowy.

– Tak, pani Eva. Ona już poszła do domu?

– Pracuje do siedemnastej – prawie prychem śmiechem. – Personel biurowy nie przesiaduje po godzinach.

– Ochroniarze?

– Redukujemy etaty. O tej godzinie jest jeden na dwa piętra. A i tak pewnie chrapie w kanciapie na drugim.

– Świetnie, świetnie – Edvard Lundquist zaciera dłonie i wraca do biurka. – Proszę zatem przyjąć ode mnie przeprosiny. One są najszczersze na świecie, niech pan nigdy nie zwątpi w ich intencje.

Gra komisarza wspięła się na wyższy poziom abstrakcji.

– Przeprosiny? Za co pan mnie przeprasza? Nic nie rozumiem...

– Za to.

W tym momencie kończy się świat, jaki znam i jaki pojmuję. Edvard Lundquist wymierza mi cios pięścią. Mierzy w szczękę, ale instynktownie uchylam głowę i uderzenie ześlizguje się po żuchwie, trafiając ostatecznie w lewo ucho. Próbuję odskoczyć do tyłu, ale stopa zaczepia o fotel i przewracam się na plecy. Policjant dopada mnie momentalnie.

– Właśnie za to serdecznie pana przepraszam – wyciąga ramię, próbując pomóc mi wstać.

Odskakuję. Plecy zderzają się z szafą, z górnych półek zsuwają się czasopisma, twarde kanty „The American Journal of Psychiatry” walą mnie boleśnie w sklepienie czaszki. W uchu cały czas dzwoni od ciosu.

– Co pan robi, co pan robi? Na pomoc! – krzyczę, ale świetnie wiem, że o tej godzinie instytut świeci pustkami, a ochroniarz smacznie śpi piętro niżej.

A Edvard Lundquist wie to samo.

– Spokojnie, spokojnie, już nie będę pana bił – uspokaja komisarz. – Zrobiłem głupio, wiem. Przepraszam. Ale pomyślałem, może to przyniesie otrzeźwienie. Przebudzi pana ze złego snu.

Myślę szybko. O co mu chodzi? Jakiego złego snu? Teoria goni teorię. Niekontrolowane wybuchy agresji: Sven Olofsson próbuje udusić żonę. Edvard Lundquist rzuca się z pięściami na mnie. Powtarzający się wzorzec...

Ponieważ nie kwapię się ze wstaniem, komisarz siada na podłodze obok mnie.

– Wszystko za chwilę panu wytłumaczę. Ma pan czas?

Niechętnie kiwam głową i przystawiam grzbiet dłoni do nosa. Sprawdzam, czy nie krwawię. Słucham historii Edvarda Lundquista.

– Tak, oczywiście ma pan rację. Mam na koncie dwadzieścia siedem wciąż niezamkniętych śledztw. Psuję statystyki. Dlatego cieszę się, kiedy dostaję sprawy trywialne, jak przypadek Svena Olofssona. Nagły wybuch agresji, urojenia, choroba psychiczna. Przyłapany na gorącym uczynku. Nad czym się zastanawiać? I ja się nie zastanawiałem, nic a nic. Tydzień później wezwali mnie na dworzec Umeå Östra. Siedemnastolatek popełnił samobójstwo. Rzucił się pod wjeżdżający na peron ekspres z Sundsvall. Może pan widział notkę w gazetach? Chłopak był synem miejskiej radnej, zrobiła się mała afera. Sama sprawa znów była banalna. Samobójca zostawił pożegnalny list, strzelił selfie i wrzucił na Tweetera pięć minut

przed śmiercią. Skoczył na oczach kilkudziesięciu osób. Peron jest pod ciągłą obserwacją kamer, dysponowaliśmy nagraniami w jakości HD, do wyboru z trzech ujęć. Samobójstwo, bez cienia wątpliwości. Znowu niewiele roboty dla nas. Chwilę pogadałem z jego dziewczyną, nie potrafiła wygrzebać się z szoku. Nie docierało do niej, że to zrobił, ale również, a może przede wszystkim, DLACZEGO to zrobił.

Treści pożegnalnego listu może się pan domyślać. Emo-bełkot nastolatka. Samotność, odrzucenie przez rówieśników, niezrozumienie, takie tam. Kilka podobnych smutnych pamiątek przez te wszystkie lata trzymałem w rękach. I znowu tym razem nie było niczego niezwykłego. Jego dziewczyna miała jednak odmienne zdanie. Ten list to kupa kłamstw – stwierdziła. Przecież on był duszą towarzystwa, wesołym, lubianym przez wszystkich chłopakiem. Dlaczego więc napisał coś podobnego? I dlaczego skoczył pod pociąg? Naprawdę tak czuł?

Właśnie, dlaczego? Nie zakładam, że podał fałszywy powód samobójczej decyzji. W jakim celu miałyby kłamać? Skoro napisał coś takiego, musiał w to wierzyć. Spotkałem się z jego kolegami, wszyscy niezależnie od siebie podtrzymywali wersję dziewczyny. Ale on przecież nie kłamał. Czy wszyscy mogą mówić prawdę? Patrzą na jedną i tę samą rzecz, ale każdy widzi coś innego. Nie coś trochę innego, ale coś diametralnie – sylabizuje to słowo – DIAMETRALNIE innego. Czy to jest możliwe?

Zamykam oczy i odchylam głowę, opierając się o ścianę. Wiem, do czego zmierza, ale nie chcę tego słyszeć. Czuję, jak przez ciało przebiegają dreszcze, narastające fale paniki. Komisarz Lundquist mówi powoli, a każde słowo jest niczym zardzewiały gwóźdź wbijający się w kość.

– Sven Olofsson. Patrzy na żonę i wierzy, że ona go zdradza, i próbuje zabić. Widzi tylko fakty, które potwierdzają jego tezę. Którym nadaje potwierdzające znaczenie. Które interpretuje w ten sposób.

Kiwam głową.

– Samobójca z pociągu. Widzi rzeczywistość inaczej, niż ludzie z jego najbliższego otoczenia. Buduje przed sobą fałszywy obraz świata, w który wierzy z całych sił i ignoruje inne. Okłamuje się, ale nie robi tego świadomie.

Zamykam oczy.

– Wreszcie doktor Kasper Nyström – Lundquist unosi głowę, jakby chciał wskazać na mnie podbródkiem. – Uważa, że rozgrywam z nim wyrafinowaną, wręcz szpiegowską grę. Ukrywam prawdziwą tożsamość Svena Olofssona. I co ciekawe, każdy fakt doskonale do tej teorii pasuje. Wszystko się ze sobą cudownie klei.

Cały czas nie otwieram oczu.

– Panie doktorze, pan mi wyjaśni, o co tutaj chodzi?

Myśl, myśl, myśl. Czy odpowiedź jest taka prosta, jak się w pierwszej chwili wydaje?

– Powie pan coś wreszcie?

– Powiem.

– Zamieniam się w słuch.

– Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: dziś rano na posterunku podchodzi do pana kumpel. „Ładną ma pan koszulę” – mówi. Jak się pan czuje? Co pan wówczas sobie myśli?

Wbrew obawom policjant pozostaje cierpliwy.

– Robi mi się miło. Dziękuję za komplement. Czuję się lepiej.

– Pudło – uśmiecham się. – Albo tylko pół prawdy. Tak będzie tylko w sytuacji, jeśli pan komplementującego typu lubi. A co w sytuacji, jeśli podejdzie do pana największy chujek na komendzie i zapoda tę samą gadkę? Jak wówczas będzie się pan czuł?

Komisarz w mig łapie do czego zmierzam.

– Ty draniu, czego znów ode mnie chcesz? Dlaczego manipulujesz mną w ten prostacki sposób? Myślisz, że złapię się na twoje gierki? Ładna koszula, mogłeś wymyślić coś bardziej oryginalnego. Takiego wała!

– Bingo. Teraz już pan rozumie? W ten sposób każdy z nas postrzega świat. Nikt z nas nie widzi rzeczywistości na sposób obiektywny, taką jaką ona naprawdę jest. W pełni obiektywne poznanie nie istnieje. Nasz sposób widzenia świata jest przefiltrowany przez rzeczy, które siedzą w naszej głowie. Mózg ma tendencję do skupiania się na faktach potwierdzających dotychczasowe przekonania, a jednocześnie ignoruje fakty sprzeczne. Pan i ja – patrzymy na tę samą rzecz, a dochodzimy do zupełnie innych wniosków, bo mamy co innego w głowach. Inne schematy poznawcze, które kształtują nasz obraz świata. Pan wie, jaka jest częsta przyczyna wypadków lotniczych?

– Proszę powiedzieć.

– Tak zwany błąd nastawienia. Pilot słyszy, co chce usłyszeć. Widzi, co chce zobaczyć. W wielkim stresie może zdarzyć się wszystko. Piloci czasem nie dostrzegają gigantycznych samolotów na kursie kolizyjnym, ponieważ ich po prostu tam NIE POWINNO być. Nie byli przygotowani, aby je zobaczyć, więc ich nie zobaczyli. Dla małego dziecka świat stanowi chaos kolorów, kształtów, faktur. Konglomerat bezsensownych bodźców. Dopiero kiedy w mózgu zbudują się odpowiednie struktury, zostaną zdefiniowane pojęcia, dopiero wtedy wiemy, na co zwracać uwagę, rozumiemy, co jest ważne, a co nie. Ważniejsze niż spostrzeganie jest NIE spostrzeganie. Inaczej nie potrafilibyśmy się odnaleźć w rzeczywistości. Ona by nas przytłoczyła nadmiarem wrażeń i impulsów. Patrzymy na świat selektywnie, przez filtr osobniczej świadomości, bagażu naszych doświadczeń, skrzywień poznawczych i marzeń, choć nie zdajemy sobie z tego sprawy.

– Ale co z tego wszystkiego wynika? Dla Svena? – policjant przełyka ślinę. – Dla pana?

– Nie wiem. Ale dowiem się jeszcze dziś.

* * *

Co się ze mną dzieje? Czy ja zwariowałem? Czy może wariuję cały czas, systematycznie, z godziny na godzinę, a proces jeszcze nie osiągnął maksimum, ale będzie coraz gorzej? Wmówiłem sobie, że Sven Olofsson symuluje chorobę psychiczną i następnie filtrowałem dane, które do mnie docierały, aby potwierdzać tę tezę. Ignorowałem informacje sprzeczne. Sven postępował identycznie. Do pewnego stopnia to całkiem normalne, tak działa mózg normalnego człowieka. Ale tylko do pewnego stopnia. Każde szaleństwo jest wzmocnieniem, zwielokrotnieniem normalnego zachowania.

Jak mogę to sprawdzić? Czy istnieje racjonalna metoda weryfikacji mojego sposobu patrzenia na rzeczywistość? Czy mogę wykonać na sobie eksperyment? Spróbować odpowiedzieć na pytanie, czy postrzegam obiektywnie, czy też moje postrzeganie jest spaczony wadliwymi schematami poznawczymi, siedzącymi w mojej głowie? Cóż za bzdury, przecież poznanie z definicji jest subiektywne, więc obiektywna metoda nie

ma prawa istnieć, to wewnętrzna sprzeczność. Z drugiej strony proces nie jest zero-jedynkowy. Poznanie jest subiektywnie, lecz do pewnego stopnia. A to A. Pies nie jest kotem, choćbym nie wiem, jak bardzo spodziewał się zobaczyć w danym momencie kota i jak bardzo preferował koty niż psy. Stojąc twarzą twarz z nagimi faktami, nie mogę dłużej zaprzeczać.

Jak to zrobić? Musi istnieć sposób? Przecież musi. Jak? Myśl, myśl.

Nagle – olśnienie. Pomysł błyszczący, niczym setki słońc, niczym eksplodująca rafineria.

Ciskam kubek z gorącą kawą na korytarzowe linoleum i biegiem wracam do gabinetu. Komisarz Lundquist drzemie na niewygodnym krześle. Podrywa się na równe nogi, słysząc trzaskające drzwi.

– Wymyślił pan coś? – pyta, nie odrywając ode mnie wzroku.

Przytakuję.

– W latach trzydziestych grupa amerykańskich psychologów przeprowadziła eksperyment dotyczący funkcjonowania pamięci. Badanym pokazywano proste kształty, mówiąc jednocześnie, co to za figura. Następnie proszono o narysowanie z pamięci zapamiętanych kształtów. Okazało się, że kluczem do pamięci jest nie wyłącznie to, co widzimy za pomocą oczu (fakt), ale przede wszystkim sposób, w jaki kategoryzujemy informację w mózgu (interpretacja). A w tym przypadku podstawą do kategoryzacji było nazwanie zapamiętanego obiektu.

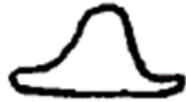
– Nic nie rozumiem.

Zatrzymuję się przy stojącej pod ścianą drukarce. Wyciągam z podajnika czystą kartkę papieru i szkicuję figury:

– Uczestnicy eksperymentu zostali podzieleni na dwie grupy. Każda z grup zobaczyła te same kształty, ale nazwane w różny sposób. Proszę zobaczyć. Oto przykładowy kształt zaprezentowany badanym:



Połowie próby powiedziano, że widzą kapelusz. Drugiej połowie, że widzą ul. Osoby od kapelusza rysowały później z pamięci coś z grubsza podobnego do tego:



Zaś osoby od ula zapamiętały ten kształt jako:



Teraz pan rozumie?

Lundquist kiwa z ociąganiem głową.

– Inny przykład – szkicuję dalej. Tym razem trzy figury, jedna po drugiej, obok siebie. – Kształt wyjściowy, zapamiętany odpowiednio jako: klepsydra i stół:



O czym to świadczy? Ano o tym, że kluczem nie jest goły fakt, obiektywny ogląd świata, ale interpretacja, wpasowanie się w schemat poznawczy, który uprzednio funkcjonuje w głowie. A mózg jest leniwy, idzie na skróty i jeśli ktoś wyłoży interpretację kawa na ławę, dlaczego z tego nie skorzystać i nie ułatwić sobie zadania zapamiętania?

– Ale jak nam to pomoże w naszej sprawie? Jaki jest związek?

– Zaraz się pan przekona. Potrzebuję godziny, proszę zaczekać. Mam do pana tylko jedną prośbę.

– Tak?

– Proszę mi zaufać. Proszę mi bezgranicznie zaufać. Wiem, co robię, nawet jeśli niektóre rzeczy w pierwszej chwili wydadzą się panu dziwne. Mam plan. Ufa mi pan?

– Ufam panu. Proszę działać.

Siadam do komputera, uruchamiam PowerPointa, Painta i zgromadzone na twardym dysku archiwum publikacji naukowych. Eksperyment był wielokrotnie powtarzany z różnymi figurami. Potrzebuję ich jak najwięcej.

Dodatkowo w Paintcie krzywymi pociągnięciami kreślę kilkanaście dodatkowych bohomazów. W sumie kończę z listą pięćdziesięciu siedmiu kształtów, często koślawych, jakby wyszły spod ręki kilkulatka. Przekopiuwuję je do pustej prezentacji i porządkuję. Trzy kolumny, po pięć figur w kolumnie, piętnaście na stronę, potrzebuję więc czterech stron na zestaw. Każdą figurę opisuję jednym rzeczownikiem – do czego dana figura jest podobna. Następnie robię kopię pliku i zmieniam w nim opisy. Zamiast „ul” piszę „kapelusz”, zamiast „stół” piszę „klepsydra” i tak dalej. Drukuję po dwie kopie każdego zestawu. Ale to nie wszystko. Szukam w Internecie łamigłówek dla dorosłych: rebusów, labiryntów, szarad. Wybieram kilkanaście, które na pierwszy rzut oka wydają się skomplikowane i również drukuję dwie kopie. Zamykam laptopa, wstaję i biorę komputer pod pachę.

Policjant znów przysnął na krześle, czekając aż skończę pracę. Musi być mu bardzo niewygodnie.

– Jestem gotowy, możemy ruszać – szturcham go w ramię. Powoli otwiera zaropiałe oczy i przeciąga się.

– Ale dokąd?

– Jak to gdzie? Do Svena Olofssona.

Wjeżdżamy windą dwa poziomy wyżej i maszerujemy opustoszałymi korytarzami kliniki, od czasu do czasu wymieniając pozdrowienia z sanitariuszami pracującymi na nocną zmianę, którzy nie mogą się nadziwić, co robię tutaj o trzeciej nad ranem. Sven przebywa na oddziale zamkniętym, w skrzydle dla szczególnie niebezpiecznych. Tamtejsi strażnicy są uzbrojeni w broń z ostrą amunicją i nie drzemią na służbie.

– Proszę użyć swojej odznaki – mówię do Lundquista. – Wyciągnąć Olofssona z celi i przyprowadzić go do salki konferencyjnej na piątym piętrze. Tam będę na was czekał.

Otwieram drzwi za pomocą karty magnetycznej. Wchodzę, światło zapala się na fotokomórkę. Rozkładam na stole dwa komplety arkuszy testowych oraz wydruki łamigłówek. Kilka minut później do sali wchodzi Edvard Lundquist w towarzystwie Svena Olofssona. Handlarz ramami okiennymi, niedoszły kat żony, jest zaspany, ma napuchniętą twarz, trze oczy wierzchem dłoni.

– Co się stało? Co się stało? – powtarza.

– Proszę usiąść. Muszę przeprowadzić na panu badanie.

– Badanie? Jakie badanie? – patrzy na zegarek. – Jest kwadrans po trzeciej nad ranem, a pan chce przeprowadzać badanie? Jakie badanie?

Urywa, kiedy dłoń na jego ramieniu kładzie komisarz Lundquist.

– To bardzo ważne – mówi. – Proszę nam zaufać. To potrwa... – patrzy na mnie.

– Godzinę. Maksymalnie półtorej – uzupełniam.

Sadzam Olofssona i Ludquista na dwóch krańcach konferencyjnego stołu, wystarczająco daleko od siebie, aby nie widzieli, co robią nawzajem. Rozdaję im pierwszy zestaw arkuszy testowych. Każdy z nich dostaje identyczne obrazki, z takimi samymi opisami. Proszę ich, aby obejrzeni je uważnie i starali się jak najdokładniej zapamiętać co widzą. Daję im piętnaście minut. Informuję o upływającym czasie: po pięciu, dziesięciu i czternastu minutach. Zabieram arkusze testowe i rozdaję po pięć czystych kartek papieru i długopis. Mają teraz odtworzyć z pamięci jak najwięcej figur, które zapamiętali. Tym razem dostają dziesięć minut.

– Po co to wszystko? Po co? – Sven nie przestaje się dopytywać, kiedy kończy się czas i zarządzam krótką przerwę.

– Na końcu korytarza jest automat z gorącymi napojami i słodyczami – odpowiadam. – Ktoś coś chce?

Sven zaciska zęby i kręci głową, policjant zamawia cappuccino i ciasteczka Oreo.

Zbieramy się ponownie przy stole i tym razem rozdaję wydrukowane z Internetu łamigłówki. Mają kwadrans na rozwiązanie jak największej liczby zagadek. Starają się jak dzieci, sapią z wysiłku, Lundquist w zabawny sposób wyciąga język, marszczy czoło, nienaturalnie się poci. Z trudem powstrzymuję śmiech. Kiedy skończą i oddadzą mi wypełnione zadania, mogę je od razu cisnąć do kosza. Cel tego ćwiczenia jest kompletnie inny. Nie testuję inteligencji, zdolności poznawczych, niczego takiego. Chcę zająć czymś innym ich myśli, wyczyścić bufor pamięci, usunąć wcześniejsze bodźce, aby do kolejnego – kluczowego – etapu zasiedli ze świeżym umysłem. Gdyby to było prawdziwe badanie, gdybym pisał pracę do naukowego periodyku, odstęp pomiędzy etapami wynosiłby kilka dni, może tygodni, a nie pół godziny. Nie mam jednak aż tyle czasu. Muszę szybko zweryfikować hipotezę. Szybko, jak najszybciej.

Łamigłówek jest znacznie za dużo, biorąc pod uwagę czas, którym dysponują. Dzwoni ustawiony w komórce budzik, Lundquist odrywa się

od kartki papieru.

– Nie rozwiązałem nawet połowy. Czy jestem debilem? – pyta. – Hej, ale weźmiesz pod uwagę, że jest czwarta rano, a ja nie spałem prawie od dwudziestu czterech godzin.

Sven Olofsson nic nie mówi. Oddaje mi kartę z zadaniami i unika kontaktu wzrokowego. Ogłaszam ponowną przerwę, tym razem tylko pięć minut. Sven chce do toalety. Policjant idzie z nim i czeka przed drzwiami kabiny.

Pora na decydujący moment eksperymentu. Druga runda rysowania z pamięci. Ponownie rozdaję arkusze z figurami, które mają zapamiętać. TE SAME obrazki, co w pierwszej turze, ale INNE opisy. Każdy z nich znów dostaje identyczny zestaw. Dalej wszystko idzie analogicznie. Piętnaście minut na oglądanie i zapamiętywanie, dziesięć minut na rysowanie. Siedzę z boku i obserwuję sytuację. Dwóch facetów w średnim wieku – pochylają się na kartkami, w spoconych dłoniach ściskają długopisy i z gracją trzylatków malują abstrakcyjne figury. Od wyniku ich pracy zależy tak wiele.

Kończymy o czwartej czterdzieści nad ranem. Zbieram arkusze z rysunkami i chowam do tekturowej teczki. Wszyscy słaniamy się na nogach.

– Proszę iść do domu, panie komisarzu – mówię. – Zasluguje pan na kilka godzin snu. Ja odprowadzę Olofssona.

Lundquist przestępuje z nogi na nogę.

– Powie nam pan wreszcie, o co tutaj chodzi? Czemu służył ten eksperyment? Co miał udowodnić?

– Spotkajmy się jutro rano w Starbucksie, tym naprzeciwko głównego wejścia. Myślę, że do tej pory będę znał odpowiedź. Dziewiąta rano nie jest dla pana za wcześnie?

* * *

– Kasper! – krzyczy barista, stawiając na kontuarze plastikowy kubek podpisany moim imieniem. – Średnia caffe americano dla pana.

Kiedy wracam do stolika, Edvard Lundquist już na mnie czeka. Pije przez słomkę świeżo wyciskany sok pomarańczowy.

– Jest pan w tym samym ubraniu, co dziś w nocy. Nie był pan w domu. Nie spał pan w ogóle.

Zgadzam się.

– Nie było kiedy.

Siadamy naprzeciwko siebie. Wyciągam z teczki arkusze: te z wydrukowanymi obrazkami oraz narysowane z pamięci.

– Już wszystko wiem.

– Podzieli się pan?

Zaczynam od obrazków z pierwszej tury. Pokazuję policjantowi obrazki oryginalne, a następnie rysunki odtworzone z pamięci przez niego i przez Svena. Widać dużą zbieżność pomiędzy ich bohomasami. Dodatkowo zapamiętanie niejednoznacznych i abstrakcyjnych figur jest wyraźnie ukierunkowane poprzez nazwy. Wystarczyło nazwać trójkąt z uciętym wierzchołkiem „kapeluszem”, a rysunki obu uczestników eksperymentu wyraźnie przypominają kapelusz.

Tłumaczę rolę łamigłówek i rebusów jako potrzebę restartu pamięci. Zmierzam w stronę kulminacji i największych fajerwerków. Rozkładam na kawiarnianym stoliku przykładowe obrazki z drugiej tury. Porównuję dzieła Svena i policjanta.

Są zupełnie inne.

– Czy pan rozumie? – staram się nie podnosić głosu, próbuję okiełznać dzikie emocje. – W jaki sposób to działa? Pańska hipoteza potwierdza się w stu procentach. Mózg Svena pracuje zupełnie inaczej niż pana i, jak podejrzewam, mózgi wszystkich innych, „normalnych” – palce kreślą w powietrzu znak cudzysłowu – ludzi. Na początku zobaczyliście podpisane obrazki i próbowaliście je zapamiętać, a następnie narysować z pamięci. Obrazek został zapamiętany poprzez wpisanie się w schemat poznawczy istniejący w mózgu. Nie zapamiętaliście figury samej w sobie, ale co zapamiętaliście – determinowała nazwa. W tym przypadku – stukam długopisem w kartkę papieru – zapamiętaliście słowo „kapelusz” i tak go narysowaliście. W drugiej rundzie wszystko stanęło na głowie. Pokazałem wam te same obrazki co wcześniej, ale inaczej opisane. Obrazków było dużo, pomiędzy ćwiczeniami czyściłem pamięć, byście mogli podejść do kolejnego zadania z umysłami czystymi, nieskrzywionymi wspomnieniami pierwszej serii. I co się okazało? Pan, panie Edvardzie – mierzę długopisem w środek piersi policjanta – zachował

się zgodnie z moimi oczekiwaniami. Pana rysunki z drugiej serii zostały skrzywione opisami dołączonymi do drugiej serii. Proszę spojrzeć na przykład tutaj. W pierwszym podejściu narysował pan kapelusz, w drugim narysował pan ul, choć odtwarzał pan z pamięci ten sam kształt, ale inaczej opisany. Zupełnie inaczej niż Olofsson – zbieram z blatu rysunki Lundquista i rozkładałam dzieła Svena. – Tutaj jest jego pierwsza seria, a tutaj druga. Nie trzeba przyglądać się uważnie, by złapać, o co chodzi.

Policjant rozkłada kartki i mruczy coś pod nosem.

– Ale... Tu nie ma praktycznie żadnej różnicy. Rysunki nie zawsze wyglądają identycznie, jednak...

– Tak jak pan mówi – wchodzę mu w słowo. – Rysunki Svena w pierwszej i drugiej turze, w przeciwieństwie do pańskich, się nie różnią. Rozumie pan z czego to wynika?

– Chyba nie.

– Schematy poznawcze. Tłumaczyłem panu w nocy. Sven Olofsson ubzdurał sobie, że żona go zdradza i każdy fakt interpretował tak, aby wzmacniać ten schemat. Kompletnie ignorował informacje sprzeczne. Pański dzieciak, który rzucił się pod pociąg. W oczach znajomych beztroski nastolatek, który jednak widział rzeczywistość na kompletnie inny sposób. Wzmacniał inny schemat. Tak działa teraz mózg Olofssona, co potwierdziliśmy eksperymentem. Pierwsza seria zbudowała w jego umyśle schematy, które przypisał do oglądanych obrazków. I te schematy zostały przypisane w sposób trwały. Jakby wypalił je na zwojach mózgowych rozżarzoną żelazką, jakby wyrył w kamieniu niczym mojżeszowy dekalog. I druga seria nie miała siły nic zmienić. U pana przebiegło zgodnie z oczekiwaniami. Pan zmodyfikował schemat na podstawie opisów drugiej serii, jak się spodziewałem. Olofsson tego nie zrobił, ignorował nowe fakty, nowe opisy, nie zgadzające się ze schematami, które już trzymał w umyśle, tak samo jak ignorował oczywiste fakty, mówiące, że żona go NIE zdradza i że NIE planuje morderstwa. Jakby została przekroczona jakaś granica i bufor się przepełnił. Nowe interpretacje po prostu nie mieszczą się w umyśle, przegrywają starcie z istniejącymi, rezydualnymi schematami.

– Więc chce pan powiedzieć... – urywa.

– Nie wiem, co chcę powiedzieć. Boję się tego powiedzieć. Nawet pomyśleć się boję.

– Proszę spekulować, myśleć głośno. Pobawić się założeniami i dopisać konsekwencje.

Zamykam na chwilę oczy i wsłuchuję się w gwar kawiarni, chwytam strzępy rozmów przy sąsiednich stolikach, słyszę syk ciśnieniowego ekspresu i piknięcia terminalu płatniczego. Głowa mi pęka. Nie potrafię obliczyć, jak długo jestem bez snu. Kontury przedmiotów tracą ostrość, drgają i rozmywają się. Czuję narastającą panikę. Muszę mówić, inaczej się nie opanuję, wybuchnę i zacznę krzyczeć.

– Proszę zrozumieć, że to są czyste spekulacje. Zabawa, bajdurzenie. Zrobiłem badanie na $N=2$. Nie można w tym przypadku mówić o żadnych istotnościach statystycznych.

– Rozumiem. Nalegam mimo tego.

Oddycham głęboko. Jest już lepiej. Serce bije wolniej.

– Powiedzmy, że pojawia się coś. Nie potrafię tego nazwać. Nowa jednostka chorobowa. Nieznane wcześniej zaburzenie psychiczne. Wirus? Atakuje mózg i modyfikuje strukturę połączeń neuronalnych. Chory zaczyna postrzegać świat w inny sposób. Filtruje informacje i dopuszcza do siebie jedynie te, wzmacniające istniejące w jego głowie schematy. Odrzuca sprzeczne. Interpretuje rzeczywistość, by była spójna z tym, co ma w głowie, w co chce wierzyć. Oczywiście każdy normalny człowiek tak robi, ale istnieje pewna granica. Kiedy konfrontujemy się z faktami ewidentnie sprzecznymi z naszymi sądami i przekonaniami, w końcu modyfikujemy przekonania. Jak lewicowi intelektualiści w powojennej Europie, zafascynowani komunizmem, w końcu odpuścili, kiedy na jaw wyszły zbrodnie Stalina. Tymczasem osoby z nową jednostką chorobową nigdy nie odpuszczają. Tu leży różnica. Wzmacniają w co wierzą, ignorują sprzeczności. Aż w końcu znajduje to tragiczny finał. Sven Olofsson rzuca się na żonę. Pański nastolatek skacze pod pociąg.

– A Kasper Nyström wierzy, że Sven Olofsson jest ukrywającym się świadkiem koronnym, wcale nie pobił swojej żony i pozostaje w zмовie z Edvardem Lundquistem.

Jestem przekłutym balonikiem. W sekundę uchodzi ze mnie całe powietrze. Kurczę się i marszczę, jakby ktoś odparował wodę z mojego organizmu.

– Ale w końcu zrewidowałem swój punkt widzenia – mówię z trudem, gardło mam wysuszone na wiór. – Zmieniłem zdanie. Wypracowałem nową

teorię, która tłumaczy, co stało się ze Svenem Olofssonem. I co działo się ze mną – dodaję po kilkusekundowej pauzie.

– Więc chce pan powiedzieć, że jesteśmy świadkami epidemii, a Sven to pacjent zero? Choroba, która modyfikuje sposób myślenia, percepcję świata? Rozprzestrzenia się. Ma różne fazy. Sven i mój pociągowy skoczek mieli pecha, dotarli do etapu krytycznego. Wizja rzeczywistości nieszczęśników popchnęła ich do czynów krytycznych. Pan zatrzymał się kilka kroków wcześniej. Zwalczył symptomy, wciąż potrafił trzeźwo myśleć. Przewyciężył narzucającą się interpretację, wypracował nowy punkt widzenia.

– To są spekulacje – chcę być nieprzyjemny. – Wyłącznie spekulacje. Pana wnioski idą znacznie za daleko. Pacjent zero? Epidemia? Fazy rozwoju choroby? Wszystko brzmi jak ponury dowcip.

Policjant zgniata plastikowy kubek po soku.

– Ale to pan wymyślił test i pan postawił hipotezę o rozwoju choroby. A w jaki sposób działa pański mózg? Czy mam gwarancję, że nie popełnia pan identycznych błędów, jak w trakcie pierwszej diagnozy Olofssona? Nie jestem oczywiście psychologiem, ale czy mogę panu zaufać, że test pokazuje rzeczywiście, co powinien pokazywać? Że nie interpretuje pan wyników na swoją modłę? Pan wierzy, że choroba istnieje i teraz naciąga dowody pod tezę. Ktoś kiedyś powiedział: jeśli jesteś młotkiem, wszędzie widzisz gwoździe.

– Jeśli się nie mylę – mówię i mrużę oczy – w przyszłym roku odbieram w Sztokholmie Nobla.

Epidemia

Do wszystkich, którzy to przeczytają.

Nazywam się Edvard Lundquist i mam pięćdziesiąt osiem lat. Do niedawna pracowałem w policji, dochodząc do stopnia zastępcy dyrektora. Utraciłem stanowisko jesienią ubiegłego roku, po masowych czystkach związanych z masakrą na placu Stureplan. Wszyscy zapamiętają ten dzień do końca życia. Zbliżało się referendum dotyczące pozostania w rozpadającej się Unii Europejskiej. Pokojowa demonstracja zwolenników

zjednoczonej Europy była gigantyczna, według szacunków ratusza szło w niej dwieście pięćdziesiąt tysięcy osób. Na czele liderzy ruchu, z kolorowymi transparentami, megafonami. Pomimo napiętej sytuacji politycznej w kraju, na marszu panował nastrój pikniku i sielanki. Do czasu. Kiedy czoło pochodu dotarło do placu Stureplan, rozpętało się piekło. W tłum wbił się samochód wypełniony materiałami wybuchowymi. Dodatkowo w pobliskich budynkach czaiła się dwójka snajperów, którzy chwilę później przystąpili do regularnego odstrzału demonstrantów. Zginęło w sumie sto dwanaście osób: siedemdziesiąt sześć w eksplozji, dwadzieścia dwie od kul strzelców; pozostałych czternaście osób rozdeptał oszalały tłum.

Premier wpadł w furję i poleciały głowy na najwyższych stanowiskach w policji. Ale sytuacja i tak była nie do uratowania.

Podchodzę do okna i patrzę na ulicę. Szwecja stoi na krawędzi wojny domowej. Podobna sytuacja panuje w większości krajów dogorywającej Unii. Brzydzę się uproszczeniami, ale pęknięcie społeczeństw wszędzie wygląda z grubsza podobnie. Nowoczesność kontra tradycja. Głębsza integracja przeciw suwerenności, otwartość versus zamknięcie. Jeszcze do niedawna areną starcia były telewizyjne studia, łamy gazet, emocjonalne komentarze w mediach społecznościowych. Z czasem znikła zdolność do kompromisu, umiejętność spojrzenia na świat oczami drugiej strony, zrozumienia jej argumentów. Nie było trzeba długo czekać, a debata przeniosła się na ulicę. Zapłonęły samochody, wyjechały czołgi, a na ulicach miast wyrosły barykady. Mogliśmy się tylko pocieszać, że w innych krajach jest jeszcze gorzej.

Kasper Nyström się nie mylił. Nobla co prawda nie dostał, ale eksperyment, który dziewięć lat temu przeprowadziliśmy wspólnie na piątym piętrze Instytutu Chorób Psychiczych w szpitalu w Umeå wszedł (po kilku modyfikacjach) do literatury medycznej jako Test Nyströma. Czasami myślę, że powinien się nazywać Testem Nyströma-Lundquista-Olofssona, ale nie będę się kłócił o szczegóły.

Wyłoniona jednostka chorobowa została nazwana Wrong Patter Recognition Syndrome, w skrócie WPRS i szybko ochrzczono ją „najbardziej tajemniczą chorobą świata” lub też, co szczególnie polubiły media, „wirusem umysłu”. WPRS dało się zdiagnozować behawioralnym Testem Nyströma lub skanując mózg w tomografie pozytonowym.

Mechanizm choroby był dokładnie taki, jak opisał Kasper pamiętnego poranka w Starbucksie.

Do dzisiaj nikt nie opracował zadowalającego wyjaśnienia etiologii WPRS. Powstało wiele konkurujących hipotez. Ja wierzę najbardziej w wymyśloną przez Amerykanów, Teorię Doliny Krzemowej, zwanej również chorobą bąbelkową.

Przyczyn WPRS upatruje ona w zmianach neuronalnych wywołanych rewolucją technologiczną. Już wiele lat wcześniej było wiadomo, że częste korzystanie z Internetu modyfikuje strukturę połączeń nerwowych. Nie potrafimy skupiać uwagi na jednej rzeczy, bez końca poszukujemy nowych bodźców, ale one i tak nie dają nam zadowolenia. Dodatkowo ekspansja mediów społecznościowych i personalizacja Internetu przyniosła problem tak zwanego bąbla filtrującego. Nasz obraz świata jest kształtowany przez media. A dzisiaj mediami nie rządzą ludzie, ale algorytmy, które na podstawie naszych preferencji filtrują informacje, podsuwając te, które ich zdaniem najbardziej nas zainteresują. Informacje, w które chętnie klikniemy. A preferencje są odczytywane na podstawie naszego przeszłego zachowania w sieci. To wszystko powoduje, że zamykamy się w prywatnych informacyjnych bąblach, nie potrafimy wyściubić nosa na zewnątrz, by ujrzeć, że obok jest inny świat, inni ludzie, inne punkty widzenia. Jeśli jestem konserwatystą, nie wierzę w globalne ocieplenie i chcę poczytać więcej na ten temat, wyszukiwarka będzie podpowiadała przede wszystkim odsyłacze do stron prowadzonych przez podobnych mi fanatyków. A im więcej podobnych stron odwiedzę, tym bardziej będę się upewniał w swoich przekonaniach. Błędne koło, z którego nie ma ucieczki. Algorytm podpowiada rozwiązania, które utwierdzają nas w swoich przekonaniach, zaś nasze wybory jednocześnie upewniają algorytm, że dokonuje trafnych rekomendacji. Sprzężenie zwrotne, nie ma jak przerwać zakłętego kręgu. Znikąd ucieczki, znikąd ratunku.

Diagnostykę WPRS z wykorzystaniem Testu Nyströma przeprowadzono w wielu krajach na świecie i zaobserwowano silną korelację pomiędzy częstością jej występowania a stopniem rozwoju społeczeństwa, powszechnością Internetu, korzystaniem z portali społecznościowych i serwisów personalizujących treści. Uwiarygadniało to „hipotezę bąbelkową”, ale wciąż nie tłumaczyło, skąd wzięło się WPRS. Dalej pozostawały czyste spekulacje, domena bardziej filozofów niż naukowców,

pomysły niemożliwe do zweryfikowania, które do końca świata (zbliżającego się wielkimi krokami, pukającego do drzwi!) pozostaną tylko teoriami.

Może korzystanie z Google'a, Facebooka i Twittera rekonfigurowało połączenia neuronów wewnątrz ludzkich mózgów i uruchomiony został nieznany program ewolucyjny, zaklęty w naszych mózgach jeszcze w plejstocenie? Może nadmiar bodźców, konkurujących teorii, sprzecznych wykładni, uzurpacji prawdy przez przeciwstawne obozy, wzmacniany bąblami filtrującym, przestawił w mózgach zapadkę i odpowiedzią było kompletne odcięcie dostępu do nowych, potencjalnie sprzecznych faktów, zamknięcie się w świecie własnych przekonań i racji, choćby były one w jawny sposób sprzeczne z rzeczywistością? Zamknięcie na dialog z drugą stroną?

Głębokie pęknięcie, szczelina niemożliwa do zasypania.

Inni zastanawiali się, dlaczego akurat Szwecja, dlaczego WPRS w pierwszej kolejności nie wybuchło gdzieś w dalekiej Azji: Korei Południowej, może Japonii, gdzie ludzie są jeszcze silniej związani z technologią, przyklejeni do smartfonów, gdzie umierają z wycieńczenia, ponieważ nie potrafią oderwać się od ekranu komputera? Tutaj również dobra odpowiedź nie istniała. Niektórzy profesorowie psychologii o antropologicznym zacięciu snuli rozważania na temat różnic kulturowych. Szwedzi jako przedstawiciele kultury Zachodu żyją w świecie, który jest przesiąknięty duchem arystotelesowskiej logiki formalnej. Jest prawda albo fałsz, tak albo nie, 1 albo 0. Proste opozycje wzmacniają podziały, wymuszają opowiedzenie się po którejś ze stron. Podczas gdy ludzie Wschodu patrzą na rzeczywistość holistycznie, widzą subtelności i odcienie. W tao yang zawiera się w yin, zaś w yin są elementy yang.

I pomyśleć, że wszystko zaczęło się dziewięć lat temu, kiedy Sven Olofsson złamał nos biednej Matildy o blat kuchennego stołu. Od tamtej pory krytycznych przypadków WPRS zanotowano setki, szpitale zaludniły się pacjentami mającymi skrzywiony obraz rzeczywistości. Problem jednak leży gdzie indziej. Skrajne manifestacje choroby są proste do wyłapania i diagnozy, chorych można izolować od społeczeństwa. Najgorzej jest w przypadkach lekkich i średnich. Wówczas Test Nyströma przestaje działać. A podstępny wirus umysłu toczy całą Szwecję, resztę Europy i wkrótce cały świat. Jeszcze niedawno potrafiliśmy się dogadać,

wypracować wspólne rozwiązanie, realizować jeden cel. A dzisiaj? Każdy podążą w swoją stronę, zaprzecza oczywistym faktom, żyje w świecie iluzji, jaki wybudował wewnątrz swojego bąbla. I dobrze mu z tym. I nie chce tego zmieniać. Po co zresztą ma zmieniać, skoro każda informacja, jaką odbiera, utwierdza go tylko, że dokonał dobrego wyboru?

Włączam telewizor. Na STV1 transmitują live walki w Sztokholmie. Lecą koktajle Mołotowa i kamienie, policjanci strzelają do tłumu gumowymi kulami. Przełączam na BBC News. Tam serwują podobne obrazki z innych europejskich stolic. Warszawa, Budapeszt, Madryt... – powody podziałów oczywiście są inne, znaczenie ma kontekst, realia historyczne danego kraju, niuanse politycznego krajobrazu, ale finalnie wszystko osiąga ten sam koniec.

Chaos i zniszczenie.

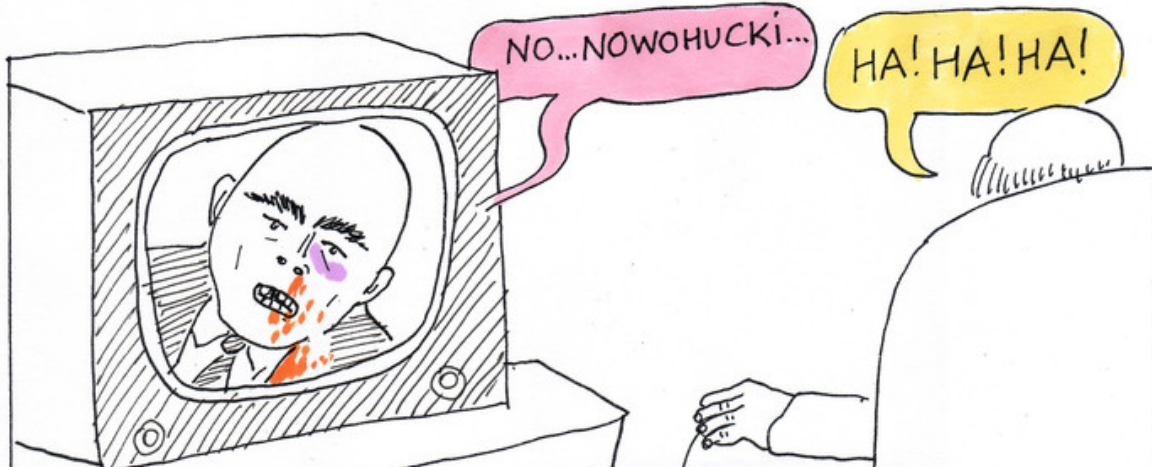
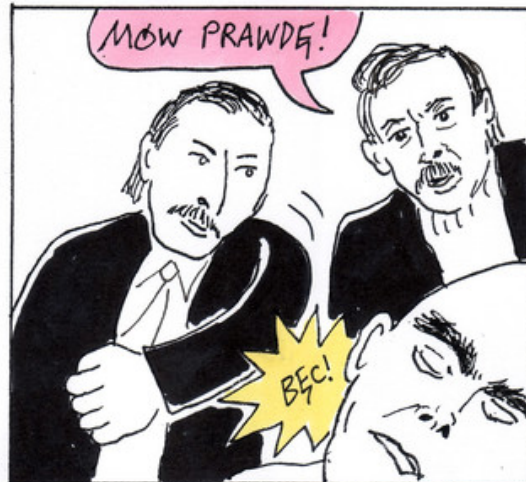
Podpisano:

Edvard Lundquist

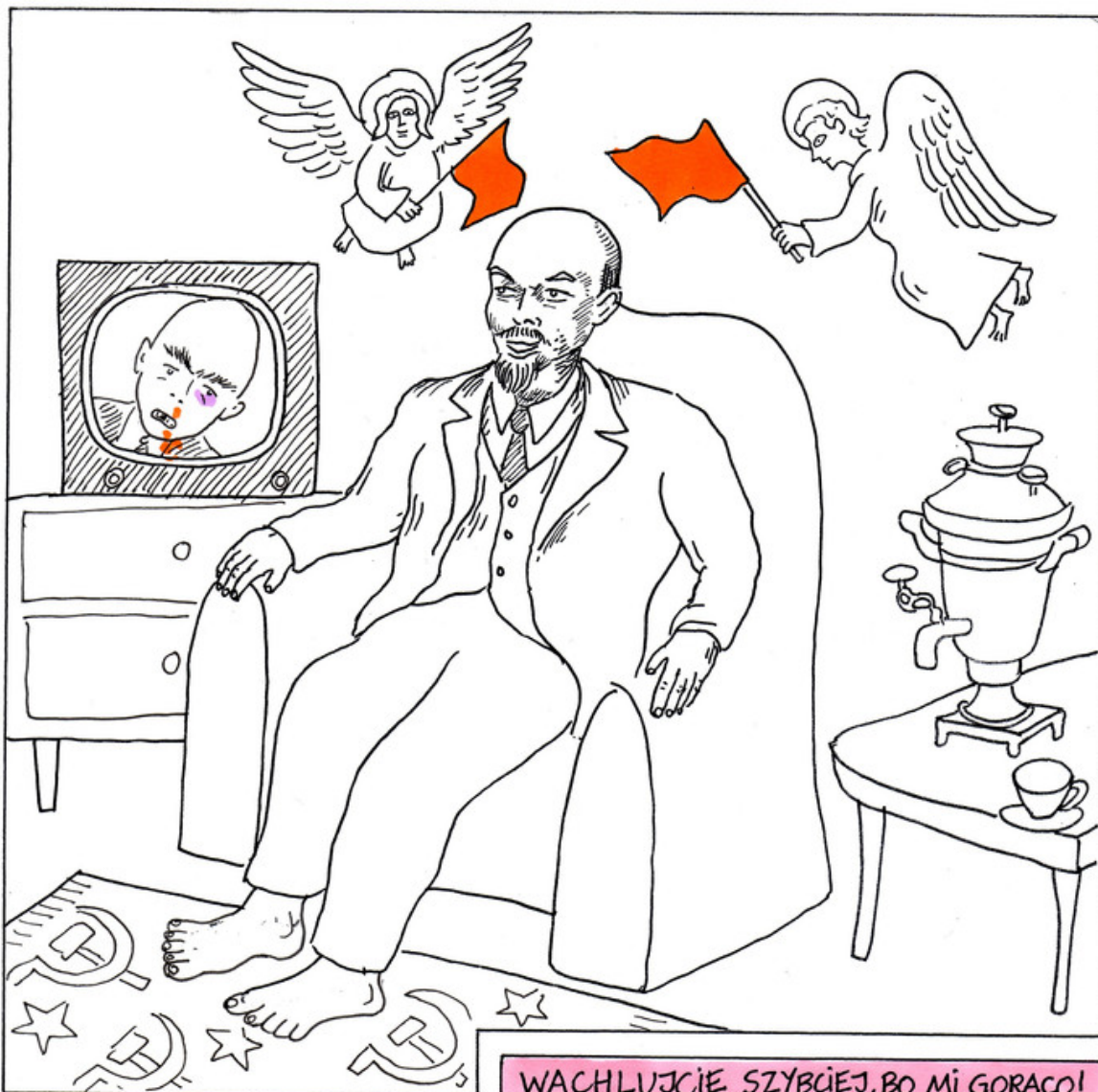
KONIEC

URWIPiETA

SCENARIUSZ: GRZEGORZ JANUSZ, RYSUNKI: TOMASZ NIEWIADOMSKI





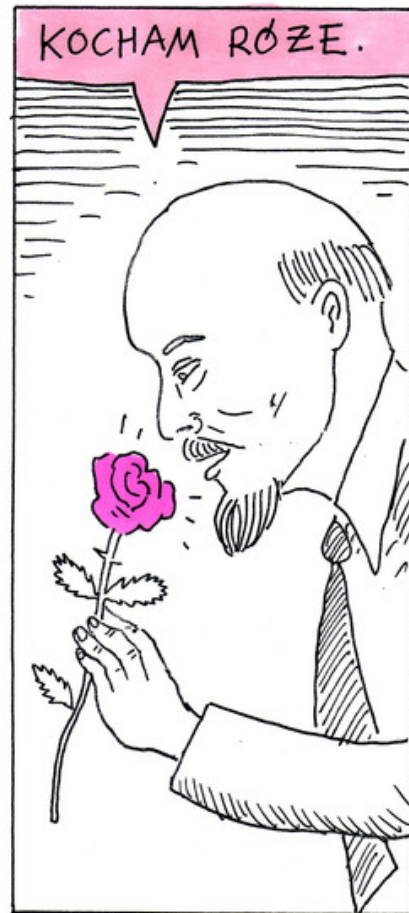


WACHLUJCIE SZYBCIEJ, BO MI GORĄCO!

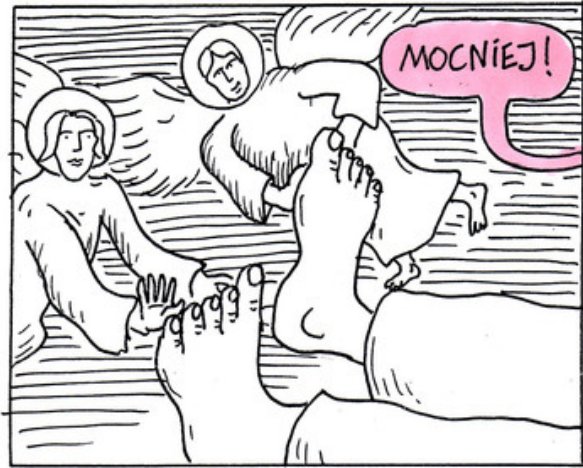
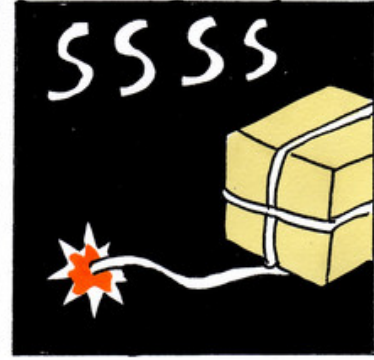
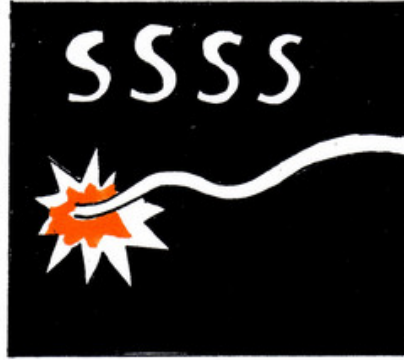
GDYBYM WIEDZIAŁ, ŻE W NIEBIE
JEST TAK PIĘKNIE, NIGDY
NIE ZOSTAŁBYM ATEISTĄ.

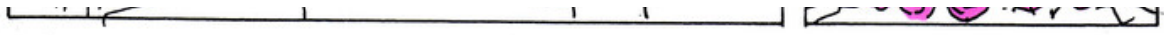


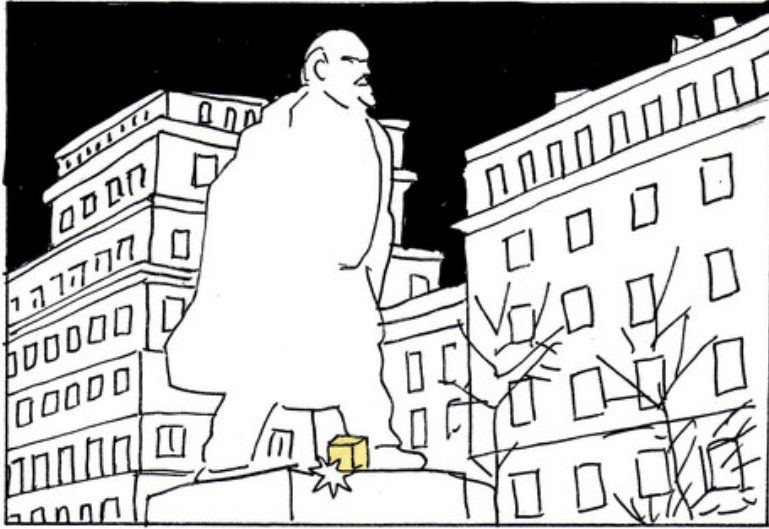




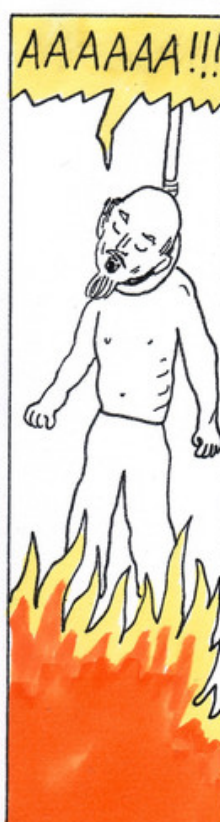
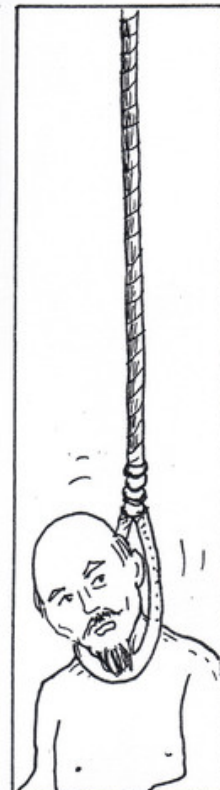
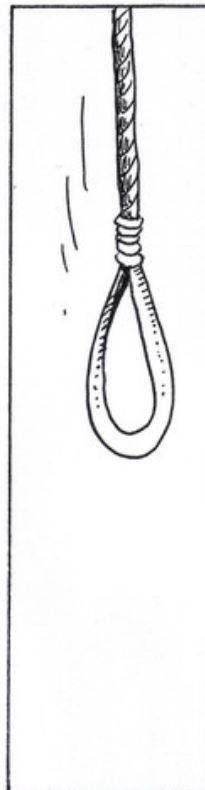








— ~~www~~ ~~123~~ ~~ET~~ | (1 1-)



Handwritten text in a box, possibly a header or title, with a red rectangular mark on the right side.

Piotr Gociek

**JAK UTOPILIŚMY
HANA SOLO**

Wszystko przez Dziadka i jego listę. Od tego się zaczęło: Dziadek, jego poszukiwania na VKontakte, jego lekki obłąd na punkcie hasła „wojna to sprawa osobista”, jego skrupulatny spis „celów zrealizowanych”, jak nazywał ustrzelonych frajerów. Dziadek w cywilu był podobno wyróżniającym się pracownikiem korpo i wszystko przekładał sobie na cele, możliwe drogi realizacji, a nawet synergii. Potem został snajperem, w dodatku bardzo skutecznym. I to właśnie ta jego skuteczność, połączona z „listą Dziadka”, jak okrzyknięto ją w necie, ściągnęła nam na łeb BZW. Powołane dwa lata temu Biuro Zabezpieczania Wizerunku objawiło się w postaci wyjątkowo wścibskiej i odpychająco pięknej pani kapitan, za którą jak pies łaził mniejszy od niej o połowę wymoczek o wyglądzie i manierach koszarowego pierdnięcia. Był to wymoczek w stopniu podporucznika. Specjalista. Nikt nie wiedział od czego. Wielu takich się kręciło w okolicy.

Na przykład teraz: stał obok pani kapitan Wysockiej i głównie cuchnął. Potem. I czym jeszcze? A gnojkiem cuchnął, zwykłym gnojkiem. Tymczasem Wysocka mówiła:

...paragrafu siódmego, jedenastego oraz paragrafu dwudziestego trzeciego, punkt trzeci z uzupełnieniami według ustawy specjalnej o stanie gotowości... – i tak dalej, z czego wynikało, że Dziadek, znaczy kapral Henryk Działkiewicz, jest zawieszony, nie wolno mu strzelać, gadać, kopać rowów, kręcić palcem w bucie i w ogóle niczego, bez uprzedniego zezwolenia BZW, znaczy kapitan Wysockiej, a ona naprawdę się do tego nie garnęła. Zaś stan ten, taki to a taki, trwać miał aż do chwili, kiedy sprawa Dziadka nie zostanie wyjaśniona w Bydgoszczy, gdzie działała przy CyberCentrComie specjalna komisja ds. propagandy. I tak to dalej szło, a podporucznik gnojek stojący obok pani kapitan uśmiechał się bezczelnie, uśmiechał się, jakby, kamać, był lepszy od Dziadka o sto tysięcy razy, a to przecież Dziadek miał na liście trzynastu ustrzelonych frajerów, to Dziadek miał we łbie masę ciekawych rzeczy, o których jeszcze ciekawiej opowiadał i znał odpowiedzi na wszystkie związane z wojną pytania, więc to do Dziadka, mimo jego niewątpliwego świra, mieliśmy zaufanie, a do gnojka podporucznika i jemu podobnych po stokroć nie.

– Amerykanie to by Dziadka docenili... – słycać było w naszym oddziale. Czy może to dziwić? Dla większości chłopaków był supergwiazdą, jak Lewandowski albo Milik. Symbolem tego, że niemożliwe jest możliwe. Że na przykład może nie jesteśmy skazani na to, że jak przyjdzie ruski niedźwiedź i usiądzie na nas swoją najeżoną raketami dupą, zostaniemy zgnieceni w try miga. Wiara w Dziadka była zrozumiała i szerzyła się jak pożar w stepie. Podobnie było z wiarą w pomocną dłoń od Amerykanów, w ich lotniskowce, śmigłowce, drony, pociski samosterujące oraz jakieś nieznane dotąd światu, ale superskuteczne dynksy (to w końcu Amerykanie, nieprawdaż? Muszą mieć coś w zanadrzu!). Nic więc dziwnego, że obydwie te kultury łączyły się w jeden. Który określić można było w prosty sposób: głęboka wiara, że tylko cud może nas uratować. A pan Bóg działa drogami krętymi i tajemniczymi. Mógł więc działać i poprzez Dziadka. Po coś nam go zesłał.

W telewizjach i w necie też było sporo o Amerykanach. Tyle że nie o nadciągających dywizjach, nie o możliwościach tarczy antyrakietowej i nie o nowej polityce, której oczekiwano w związku z kolejną pełzającą rosyjską inwazją. Politycy, krawaciarze i odziani w maski z filmu „V jak Vendetta” zadymiarze kłócili się o Transatlantyckie Partnerstwo na Rzecz Wolnego Handlu i Ochrony Inwestycji, czyli jakieś nowe wcielenie kiedyś zarzuconych traktatów TTIP, ACTA i CETA. Nowe partnerstwo weszło w życie kilka tygodni temu, co na przesmyku budziło znikome zainteresowanie. Główną inwestycją, o której ochronę drżeliśmy, były najbliższe lata własnego życia.

„Mocarstwa nie mają sojuszników, mocarstwa mają interesy” powtarzał Dziadek. „A Rosjanie?” pytałem. „Rosjanie nie mają innego wyjścia”, odpowiadał.

W sumie to na mnie powinni mówić „dziadek”. Jestem w oddziale najstarszy, a Dziadkowi dopiero co stuknęła czterdziestka. Ale z ksywkami jak z chorobą weneryczną: nie wybierasz, sama cię znajdzie. Dziadek mimo wieku lekkopółśredniego, miał na głowie włosie bielutkie jak broda świętego Mikołaja. Musiał więc zostać Dziadkiem. Ja kiedyś uczyłem w liceum, więc musiałem zostać Belfrem. No i jako jedyny mam w szafce obok pryczy trzy książki. Same ulubione. Gdybym miał pięć, chłopcy ochrzciłiby mnie pewnie Profesorem. Ale najczęściej mówili na mnie Jaca. Dziadka zaś nie zesłał nam pan Bóg, tylko dowództwo mieszające

w oddziałach tak, by świeży narybek mógł ocierać się o weteranów. Taka była koncepcja. Chcieli nam dać coś prawdziwego, bo my sami z prawdziwym wojskiem nie mieliśmy za wiele wspólnego.

Kiedy kapitan Wysocka kończyła swoją krótką przemowę, coś tam pierdolnęło jeszcze za linią lasu, może mina albo dron, może nasz, a może nie nasz, w każdym razie huknęło i w niebo wzbił się cienki dym. Witek Cichosz, mój druh serdeczny, jak tylko padła komenda „spocznij, rozejść się” pogalopował do centrum rekreacyjnego sprawdzić, czy z prywatnego sprzętu nie da się zhakować jakiegoś latającego złomu, żeby mieć podgląd na miejsce eksplozji, a reszta kompanii rozeszła się do namiotów, bo zmierzchało już i nie było nic innego do roboty, ćwiczeń ani odpraw już na dziś nie przewidziano, więc można było przykleić się do tabletów i smartfonów. Nasz dowódca natychmiast gdzieś się zapodział, znaczy poszedł na AST, czyli aktualizację sytuacji taktycznej, co i tak było bez sensu, bo sytuacja zmieniała się nieustannie i nie dało się jej nigdy odpowiednio zaktualizować. Przez chwilę rozważałem, czy nie powlec się za Cichoszem do centrum rekreacyjnego, ale jakoś mi się nie chciało.

Centrum rekreacyjne też było namiotem, tylko oznaczonym tabliczką z odpowiednią nazwą, w środku zamiast łóżek stało kilka stołów z konsolami do gry, monitorami i laptopami o powyłamywanych wierzach. I jeden stary Kettler do wiosłowania, w którym zamiast oryginalnego drążka był drewniany kij od szczotki z końcówkami owiniętymi czarną taśmą izolacyjną. Z jakiejś unijnej dyrektywy wynikało, że każdy pluton powinien mieć do dyspozycji niewielkie centrum rekreacyjne, żeby się wiara mniej stresowała i miała gdzie rozluźnić w czasie wolnym. Na mnie ten wynalazek działał odwrotnie – bardziej mnie stresowało to, że banda ćwoków podśmiewa się z moich męczarni na trenażerze, niż stresowałby brak centrum rekreacyjnego. Rekreację zawsze potrafiłem sobie zapewnić we własnym zakresie.

I tej właśnie postanowiłem się oddawać w sposób, jaki lubiłem najbardziej. Nasz pluton nie miał już tego dnia dodatkowych zajęć, do kolacji zostało trochę czasu. Usiadłem na aluminiowym krzeselku z oparciem i patrzyłem na bezimienne jezioro, które według miejscowych łączyło się z jeziorem Szlamy. Dzień był pogodny i niemal bezwietrzny.

Przymknąłem oczy, splotłem dłonie na brzuchu i próbowałem układać sobie w głowie rozmaite plugawe zdania, którymi zwykłem zdobywać

sobie odrobinę szacunku w oddziale, w którym nie dość, że byłem najstarszy wiekiem, to jeszcze najniższy stopniem. Pięćdziesiąt pięć lat – idealny wiek dla szeregowego. Zaciągnij się, mówili, zobaczysz kawałek świata.

Tylko że ja się nie zaciągałem.

– Nie śpij, bo cię okradną! – obudził mnie kpiący głos Cichosza. Kamać! Spałem może kwadrans! Nie mógł trochę poczekać, trzy mu w cztery!?

Ziemia stęknęła, kiedy Cichosz klapnął obok, bo był to wojak, u którego ponadnormatywne było nie tylko zainteresowanie tekim. Głowę miał na wysokości mojej, choć przecież siedziałem na krzeselku. Lubiłem Cichosza najbardziej z całego oddziału – nie ja jeden – bo łebski był z niego chłop, obeznany ze wszystkim, co elektryczne, elektroniczne, internetowe i cyfrowe. No i jak człowiek miał ochotę na dobry piracki film, serial, grę albo inne porno, to Cichosz wiedział skąd, co i jak. Bo jakby tu powiedzieć, mamy XXI wiek, więc pordzewiały i skrzypiący Kettler przegrywał z „Zombie Alert”, „Generation Overkill” czy czwartymi „Strażnikami Galaktyki”.

Witek Cichosz był westchnął.

– Zgrałbym ci coś fajnego, Jaca, ale wiesz, przez Dziadka...

Pokiwałem głową. Chwilowo nici z oglądania „Dynastii Jagiellonów”. I żadnych nowych netfliksów. Przez Dziadka wszyscy musieli uważać. I udawać grzecznych, nie łamiących praw autorskich chłopców. W ślad za kapitan Wysocką z BZW pojawiły się bowiem ogary z kontroli wewnętrznej i zabawa na lapkach i smartfonach się skończyła. Żadnych nowych gier, żadnych filmów, żadnych seriali, żadnych nowych odcinków „Domu dla lalek”, ulubionego reality show wszystkich armii świata, opowieści o kalifornijskim ośrodku szkolenia kandydatek do sesji soft porno. Jedyne co nam zostawało w ramach rozrywki, to czytanie oficjalnych komunikatów dostępnych w intranecie. Kamać. Też mi rozrywka. A front mógł ruszyć w każdej chwili. Front trzeszczał. I powietrze trzeszczało wojną. Na mój gust morale trzeszczało bardziej.

– Spokojnie, rozerwiemy się inaczej – Cichosz mrugnął porozumiewawczo. – Co byś powiedział na wycieczkę?

Powiedziałem mu, co bym powiedział na wycieczkę. Użyłem tylko połowy z ułożonych ostatnio zestawów wulgaryzmów, ale to wystarczyło, żeby był pod wrażeniem. Kamać, rozsierdził mnie jak ruskie kabarety!

Do wsi były dwa kilometry przez las pełen mikroskopijnych, latających i wściekle gryzących skurwysynów. I nie było po co iść, bo główną atrakcją Wielgud Wielkich było to, że rozstawiono tam dziesięć razy więcej takich namiotów jak ten, przed którym siedzieliśmy. Można jeszcze było iść do miasteczka, ale do tego potrzebna była przepustka, po drodze czekało sześć kilometrów lasu, a w dodatku nigdy nie było wiadomo, czy nie trafi się na partyzantów, albo co gorsza, na nadgorliwe patrole sojuszników z NATO. Holendrom na przykład wszystko się pierdoliło i każdego, kto nie miał na hełmie amerykańskiej flagi, traktowali jak potencjalnego dywersanta. Czyli strzelali bez ostrzeżenia. A my nawet hełmów, kamać, nie nosiliśmy. To znaczy na stanie plutonu hełmy były, ale zamknięte w magazynie polowym. Wydawane tylko na patrole. Jakby co do czego się zdarzyło, to mieli nam wydać na stałe. Moim zdaniem co do czego już zdarzało się od dawna, ale w końcu jestem tylko zwykłym ciurą z trzeciego rzutu strategicznego.

– W drugą stronę na wycieczkę pójdziemy – skwitował Cichosz, kiedy skończyłem wylewać swoje żale.

I wskazał głową północny wschód, gdzie teoretycznie powinno znajdować się coś na kształt frontu. Co oczywiście było pierdoleniem w bambus, bo w pewnym sensie, to front był wszędzie, z Bydgoszczą i Warszawą włącznie, nie zapominając o Kopenhadze, Gotlandii, Brukseli czy Nicei. Front był tam, gdzie szwendali się dziwni cywile udający miejscowych i tam gdzie wyjce Allaha wysadzały się w powietrze razem ze szkolnymi autobusami.

Po chwili dotarło do mnie jednak, że wskazanie Cichosza należy rozumieć precyzyjniej. Kierunek, o który mu chodziło, był dokładnie tym, jaki należało obrać, by znaleźć się w miejscu wybuchu, który tak pięknie wzbogacił przemowę kapitan Wysockiej pół godziny temu.

– Cichy, coś tym tam, kamać, zobaczył?

– A takie tam... – bagatelizował, ale uśmiech miał szatański.

– Cichy... – zacząłem groźnie.

– Pst! – położył na ustach palucha wielkiego jak kaszanka. I szepnął mi coś na uszko.

Rano wstał nowy dzień, a front wciąż nie ruszał. Jak fart, to fart. Cichosz użył magicznych mocy. Bo kiedy po porannej zaprawie, której elementem było pływanie w jeziorze, oraz po śniadaniu rozdzielano zadania, okazało

się nagle, że akurat mnie i jego wysyłano na patrol, akurat w kierunku mniej więcej zgodnym z oczekiwaniami Cichosza. Poszliśmy we trzech: oprócz Witka i mnie jeszcze Mirek, najmłodszy z braci Sochów, też z trzeciej fali, jak ja. Najbardziej chcielibyśmy mieć ze sobą Dziadka, ale przecież był uziemiony.

Kiedy białoruskie krowulce rozpoczęły codzienny rutynowy ostrzał, byliśmy już daleko. Trochę szkoda, bo było zabawnie – jeden z pocisków eksplodował w jeziorze. Dziwne, bo zwykle walili celowo niecelnie. Znaczy gdzieś po gąszczu, byle niczego nie rozwalić. A teraz proszę – bam, chlup, prosto w jezioro! Zawsze to jakaś odmiana. Nie wiedzieliśmy tego, bo drałowaliśmy już przez rozgrzany las. Oficjalny cel: rozpoznanie. Nieoficjalny: chiński tek.

*

Muszę opowiedzieć, o co dokładnie chodzi w aferze z Dziadkiem, bo inaczej zbyt wiele spraw będzie wymagało tłumaczenia. W jego smutnej zabawie mieściło się wszystko, co definiowało tę dziwną wojnę. Tym bardziej warto wiedzieć.

Dziadek był poborowym z pierwszej fali. Kartę powołania dostał wkrótce po tym, jak otwarto front czarnomorski, to znaczy po tym, jak Rosjanie zaczęli na serio naparzać się z Ukraińcami, walcząc o korytarz wzdłuż wybrzeża, łączący Mariupol z Krymem i dalej z Naddniestrzem. Większość regularnych sił Ukrainy została przerzucona na kierunek odeski i do kotła chersońskiego, gdzie mocno wspierali ją amerykańscy instruktorzy udający Gruzinów oraz rumuńscy i węgierscy „ochotnicy”, czyli tamtejsi specjaliści przebrani w cywilne łachy.

Co to z nami miało wspólnego? Naświetlę pokrótce. Nasi specjaliści ganiłi po Kurdystanie za ciapatymi bohaterami amerykańskich list „most wanted”, bo trzeba było wypełnić sojusznicze zobowiązania wobec USA. Nasza skąpa flota wojenna wspierała Finów i Szwedów na Bałtyku oraz pływała po Morzu Czerwonym, strzelając czasami do przelatujących arabskich MIG-ów, bo trzeba było wypełnić sojusznicze zobowiązania wobec NATO. Załogi statków szpitalnych łowiły na Morzu Śródziemnym uchodźców, których najpierw ratowano, karmiono i leczono, a potem i tak

ciupasem odsyłano z powrotem do Libii, gdzie byli mordowani, lub w najlepszym wypadku niewolniczo pracowali, żeby zarobić na kolejny nielegalny rejs ku Europie. Robota głupiego, ale trzeba było wypełnić sojusznicze zobowiązania wobec UE. Nasi czołgiści siedzieli w Twardych na okopanych pozycjach wzdłuż Dniepru, czekając aż przedstawiciele Kijowskiej Republiki Ludowej spróbują frontalnego ataku na stolicę. Wypełnialiśmy bowiem sojusznicze zobowiązania wobec Ukrainy, którą politycy zdążyli w ostatniej dekadzie obwołać naszym „najważniejszym partnerem w regionie”. Korpus Chrzanowskiego, jak z kolei zwano polskie oddziały rzucone do kotła chersońskiego, był tam na specjalną prośbę Amerykanów, którzy sami niespecjalnie kwapili się do wysyłania żołnierzy, ale chętnie płacili innym za wyciąganie kasztanów z ognia.

Wypełnialiśmy więc sojusznicze zobowiązania wszędzie i wobec wszystkich, co oznaczało, że kiedy Ruskie zaczęły podgrzewać temperaturę w Pribałtyce, okazało się że wzdłuż wschodniej granicy mamy w większości szkieletową obsadę garnizonów. Sztab Generalny sięgnął więc po rezerwistów, których zmobilizowano w „natychmiastowym trybie stawiennictwa”. Co w sumie niewiele dawało, bo i tak czekali potem w jednostkach na przydziały, ślamazarnie przyuczali się do strzelania i głównie wyklinali rząd, który oderwał ich od biurka, komputerów, transportowych furgonetek, siewników czy co tam kto miał, żeby wiązać koniec z końcem.

Niektórym jednak bardzo się w armii podobało – na przykład Dziadkowi, który błyskawicznie zaczął osiągać najlepsze rezultaty we wszelkich możliwych dziedzinach. Do specjalsów iść nie mógł, bo był zbyt stary, ale i tak polskie wojsko otrzymało w jego postaci prawdziwy skarb: małą, wytrzymałą maszynkę wojenną. Oczywiście nikt tego nie doceniał, bo w Polsce, żeby zostać docenionym, trzeba być przywiezionym w teczce z dalekiego kraju, jako zagraniczny specjalista, ale Dziadek nie przejmował się tym i robił swoje, to znaczy doskonalił we wszystkim, w czym tylko mógł. A jego ulubionym zajęciem (po dzudo, boksie, bieganiu surwiwalowym oraz szachach błyskawicznych) było strzelanie. Podobno znał nawet sambo. Potem miał szczęście. Trafił na oficera, który dwa razy obejrzał Dziadka na strzelnicy, poobserwował jak się czołga w pełnym oporządzeniu, rzucił okiem na wyniki testów psychologicznych

i natychmiast wyekspediował Dziadka do Wędrzyna na kurs strzelców wyborowych.

Dziadek wrócił do swojego ówczesnego oddziału z nową bronią i z awansem, po czym rażno zabrał się do roboty. Nieoficjalnie, ma się rozumieć.

Dwanaście trupów później dołączono go do naszego oddziału, żeby cywilbanda z rezerw Wojsk Obrony Terytorialnej miała kogo podziwiać.

Trzydzieści trupów później zaczęły się kłopoty.

*

– Stój! – syknął Cichosz.

Przykleiłem się do drzewa. To dobra metoda. Jak nie wiesz, co się dzieje, siedź i mordy nie wyściubiaj. Witek Cichosz miał gorzej, bo jest tak duży, że ciężko znaleźć dla niego drzewo. Więc zastygł tam gdzie stał i rozglądał się podejrzliwie. Równie podejrzliwie łypał młody Socha, który przycupnął przy ziemi, ale i tak był najbardziej z naszej trójki widoczny. Kupił, głupek, w necie, strój maskujący, reklamowany jako „militarny” i „przystosowany do działań na terenach leśnych”. Wygląda to jak czarne siatkowe body z seks szopu, do którego przszyto furę sztucznych liści. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że liście miały barwę wściekle zieloną, jak majowa wiosna, więc teraz, w ostatnich dniach sierpnia, szeregowy Mirek Socha pośrodku lasu przesyconego głównie różnymi odcieniami brązu, ochry, złotymi snopami słonecznego światła oraz ciemnej przykurzonej zieleni właściwej wyglądał niczym ruchoma tarcza strzelnicza.

Leśną przecinką przed nami truchtają zdziczałe psy, kilka wychudzonych kundli sporych rozmiarów, a wśród nich jedno prawdziwe bydlę, mieszaniec o czarnej wełnistej zmierzwionej sierści, która w świetle słońca okazuje się być raczej brunatna. Bestia przystaje, unosi pysk, wietrzy, zwraca się pomalą w naszą stronę. Cichosz delikatnym ruchem dłoni daje znak Sosze, żeby siedział, gdzie siedzi i nic nie robił, ja zerkam zza drzewa i zastanawiam się, czy gdyby kudłaty skurwysyn wybrał akurat mnie, to zdążyłbym zdjąć z ramienia beryla, a jeśli tak, to co robić: strzelać czy walić kolbą w pysk?

Nienawidzę strzelania w tym lesie. Nigdy nie wiadomo, kto odpowie.

Bestia schodzi z drogi. Staje naprzeciw Cichosza. Reszta sfory też się zbliża. Im mniejszy dystans, tym bardziej widać, że to nie są miłe pieski. Zaschnięte strupy, porane bliznami łapy, łyse plamy po wyrwanej w bojach sierści.

Bydlę mierzy Cichosza wzrokiem. Witek też nie odrywa od niej wzroku.

Bydlę obnaża zęby. Głuche warczenie dobywa się z głębi gardzieli. Wtórują mu zaraz pozostałe psy.

Wiatr na chwilę się wzmacnia, gałęzie szeleszczą, powiew idzie zza naszych pleców, Cichosz bardzo pomalą przesuwając dłoń w kierunku noża, porządnego Gerlacha 98NZ, przypiętego odwrotnie niż u wszystkich, bo Cichosz jest mańkutem. Ale chyba nie będzie musiał go użyć, psy dostają w nozdrza falę niesionych przez nas woni, mundurów, skórzanych pasów, smaru, ciepłego żelaza, nie podoba im się ten koktajl, a może mają złe doświadczenia z innymi żołnierzami, w każdym razie bestia o przekrwionych, złych oczach nie ma już ochoty na konfrontację, choć wbija ślepia w Cichosza. A ten wariat, chyba tym ośmielony, sam odsłania zębiska i warczy, jakby chciał to kudłate bydlę sprowokować. Ktoś w tym lesie musi jednak mieć więcej oleju w głowie i okazuje się, że jest nim bezdomny pies, a nie starszy szeregowy Witold Cichosz, więc sfera niechętnie odchodzi, prowadzona przez czarnego-brunatnego potwora przecinką na południe.

Słysząc jak Socha oddycha głośno z ulgą.

To właśnie robimy w tym pierdolonym lesie, pomyślałem wtedy. Warczymy, pokazujemy zęby, ale żadna ze stron nie chce przeciwnikowi skakać do gardła.

Na razie.

*

Pierwszego frajera Dziadek ustrzelił jeszcze w Bieszczadach, podczas poprzedniego przydziału, zanim przeniesiono go do mojej jednostki. Może czytaliście o tym w gazetach, sprawa była swego czasu głośna. Przez zieloną granicę przechodziła spora grupa cywilów, przedziwna mieszanka, trochę Ukraińców, trochę podejrzanego elementu z Kaukazu, trochę

ciapatych, którzy wybrali okreśną drogę przez Morze Czarne i Ukrainę, a nie przez Śródziemne wprost do Grecji czy Włoch. Skończyło się na ostrej strzelaninie, było kilka niewinnych ofiar, na czym oczywiście koncentrowały się pismaki. Tak naprawdę ważniejsze było to, że przerzut organizowała siatka Siergiejewa, jednego z atamanów Donieckiej Republiki Ludowej. Siergiejew rozwinął na Ukrainie bandycką siatkę, która zajmowała się sabotażem, handlowała bronią i szmuglowała imigrantów oraz strzelała do lokalnych polityków, szczególnie tych, którzy mieli czyste ręce i walczyli z korupcją. Zwłaszcza te ostatnie zamachy były szczególnie użyteczne z punktu widzenia Noworosji, bo z reguły obwiniano za nie prywatne armie skłóconych z władzą ukraińskich oligarchów, co oczywiście niesamowicie podgrzewało atmosferę na, i tak buzującej, Ukrainie.

Dymitr Zacharczenko, prawa ręka Siergiejewa, osobiście nadzorował niektóre operacje. Tamtego dnia, w Bieszczadach, również pilnował interesu. Ale na swoje nieszczęście w pewnym momencie przekroczył linię graniczną. O trzy metry, jak potem wyliczono. Dziadek, znaczy strzelec wyborowy Henryk Dziaekiewicz, rozwalil mu łeb z odległości półtora kilometra.

Nikt, w tym Dziadek, nie wiedział wtedy, że ubity szubrawiec to akurat Zacharczenko. Ciało zostało szybko uprzątnięte przez jego towarzyszy broni, a na trawie po polskiej stronie granicy została tylko smuga krwi i trochę rozbryźniętego mózgu. Ale też Dziadek nie pielęgnował wtedy jeszcze swojej wojennej obsesji, która okazała się w pełni rozwinięta, kiedy go poznałem już na Suwalszczyźnie. Gdy doszło do naszego pierwszego spotkania, Dziadek był już sławą – miał na koncie osiem skalpów. I prowadził listę. Tyle że na razie jej nie ujawniał.

Wszyscy w oddziale szanowali i podziwiali Dziadka. Także ci, którzy uważali, że ma nie po kolei w głowie. Ja go zwyczajnie lubiłem, bo poza wszystkim był niegłupi, przeczytał w życiu parę książek, w tym prawdziwych, a nie tylko takich o tym jak uzyskać płaski brzuch. A już do reszty mnie zdobył, cytując kiedyś z pamięci – fakt, że niedokładnie – humoreskę pewnego amerykańskiego autora o bombie atomowej, która chciałaby zostać kulą karabinową. Dlaczego, pytały ją inne bomby, przecież jesteś wielka, silna, śmiercionośna, dlaczego chcesz być zwykłą kulą

karabinową? „Brak mi bliższego kontaktu z człowiekiem” odpowiadała wyrodna atomówka.

Dziadek był jak ta bomba, a nawiązanie bliższego kontaktu z ludźmi przyszło mu łatwiej, to znaczy bez kafkowskiej przemiany (byłem w stanie wyobrazić sobie opowiadanie zaczynające się od słów: „Gdy Gregor Samsa...” tfu tfu, wróc, „gdy Henryk Dziatkiewicz obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zmienił się w łóżku w coś potwornego – kulę karabinową”...). Wybaczcie literackie aluzje. Uczyło się kiedyś polskiego. Stare nawyki. Właściwie kiedy tak sobie sam opowiadam własne historie, też ciągle łapię się na literackich aluzjach. Tylko nie wiem, kim mam być, znaczy stylistycznie. Prewittem ze „Stąd do wieczności”, czy Dannym Smrzickým z „Batalionu czołgów”. Sam szukam dla siebie odpowiedniej tonacji.

„Wojna to sprawa osobista” powtarzał Dziadek. „Bez tego to tylko wielka maszynka do mięsa. A maszynie jest obojętne kogo i za co mieli: bydlaka, mordercę, ludobójcę, niewinną wdowę, dziecko w brzuchu matki. Musisz mieć, Jaca, jakiś powód konkretny, żeby prowadzić wojnę. Nie kraj, nie rząd, nie naród, ty Jaca, ty osobiście, musisz mieć taki powód. A jak go nie masz, to musisz go sobie wymyślić. Bo inaczej będziesz tylko plasterkiem mielonki”.

„A gdybym miał, to co?” pytałem Dziadka. „To zawsze będziesz wiedział co robić” odpowiadał. „I kto wie, może nawet przeżyjesz”.

*

Po drugiej stronie przecinki, na której spotkaliśmy zdziczałe psy, otwierała się duża polana. Niemal całą zajmowała szkółka. Niewielkie świerczki wysokie na metr, może ciut więcej.

– Tnij młody! – zakomenderował Cichosz, który wsparty jedną ręką na betonowym słupku, a drugą na kolbie beryla, którego po spotkaniu ze sforą przewiesił na przód, wyglądał prawie jak amerykański wojak z komiksów. Tylko głowę miał bladą i okrutnie słowiańską.

Mirek Socha zajął się wąsko splecioną siatką. Z nożycami do cięcia drutu było mu bardziej do twarzy niż z karabinem w dłoni. Z tego co o nim wiedziałem, a wiedziałem niewiele, był bodaj najmłodszym z trzech synów

tapicera z Kłobucka. Zgłosił się na ochotnika, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy mnie objęło powołanie w ramach trzeciego poboru, który objął nieregularne formacje współpracujące z Wojskami Obrony Terytorialnej. Chłopaków z WOT wcielono w drugim poborze. Pamiętam do dziś minę Dziadka, jak mu o tym mówiłem pierwszy raz. Śmiał się potem tak bardzo, że cała wymiana zdań zaczęła osobne życie, jako grepsy znany tylko nam dwóm. Kiedy Dziadek chciał sobie poprawić humor, rzucał znieścacka znad menażki: „Jaka to była formacja, Jaca?”.

Grupa rekonstrukcyjna, kamać. Co w tym takiego śmiesznego?

Mirek Socha skończył robotę, droga do skarbu stała otworem. Pośrodku szkółki leżał rozbity chiński dron. Może pusty, kto to wie? Może już go ogołocił ktoś, kto go zestrzelił? Wycieczka nie była za mądra. Nie wiedzieliśmy przecież, kto właściwie zrąbał chinola. Może to pułapka?

Cichosz był jednak optymistą.

– Nikogo tu przed nami nie było – stwierdził. – Trochę się namachamy, chłopaki.

I zaproponował drugie śniadanie.

Rozłożyliśmy się na skraju polany, zaraz za pierwszą linią drzew. W ruch poszły racje żywnościowe, które armia kupowała od Anglików. Cichosz zrugął zaraz Sochę, bo ten po wlaniu wody do rękawa swojej porcji przydusił ją kolbą beryla.

– Karabin nie jest do zabawy, młody! Ani do gotowania!

Wyszykowane na chemicznym bezpłomieniowym podgrzewaczu żarcie było gorące i smakowało przyzwoicie, a zdaniem dzieciaków wychowanych na fast foodach wręcz dobrze. Mnie trafiły się pulpety z makaronem. Socha miał gulasz z kaszą, Cichosz podobnie.

Posiłek urozmaicaliśmy sobie żwawą dyskusją na tematy kulturalne. Sasha Grey miała HIV-a i ogłosiła rozstanie z branżą porno. Podobno jednak Brett Berenson, jedna ze świeżych gwiazd ero-biznesu, też ostatnio bezwiednie przeszedł na stronę pozytywnych, więc plotkowano o nowej serii filmów, w której Grey i Berenson mogliby kontynuować popisy, nie narażając postronnych, czyli niezarażonych, na kłopoty zdrowotne. Doda wystąpiła w trzeciej edycji „Show Me Your Ass: International Edition”, ale główna jurorka, Kim Kardashian, nie była dla niej łaskawa. Niewykluczone były i tematy z zakresu kultury wysokiej, bo mieliśmy w oddziale fanów seriali HBO, jak „Fundacja” czy „Dziki Karty”, ale Cichosz już dawno

powiedział co wiedział, a Socha nie oglądał. Dużo emocji wzbudzały w nim rozrywki prostsze, na przykład wskrzeszony po latach „Strażnik Teksasu” z podtytułem „Nowi Strażnicy”. Chuck Norris grał w nim dziadka, który uczył kopnięć oraz rozwiązywania zagadek kryminalnych kolejną generację rangersów: Meksykanina, Portorykańczyka i Hindusa.

Witek Cichosz skończył jeść pierwszy, ale na tym nie poprzestał. Kiedy tylko otarł usta, złożył i zapakował do plecaka wszystkie warstwy plastiku, w które owinięty był jego MRE Meal. Wyjął za to kawał dobrze uwędzonej, lśniącej kiełbasy.

– Drugie danie – mruknął.

Socha z entuzjazmem kończył ciamkać swój gulasz, a mnie jak zwykle zachciało się palić. Przez chwilę grałem z tą myślą, potem zagryzłem pokusę morelowym batonem energetycznym.

– Drugie danie – oświadczyłem prowokacyjnie.

Cichosz spojrzał na mnie z wyrzutem. „Przecież wiesz, że się nie dzielę”, mówiło jego spojrzenie. „Nie kiełbasą!”.

Socha beknął.

– Amerykańskie żarcie lepsze. Jak Amerykanie przylecą...

– Przestań, mały. – Cichosz oderwał zębiskami kolejny kawał kiełbasy. Las wokół nas pachniał teraz myśliwską, aż zacząłem się zastanawiać, czy nie przyciągnie to z powrotem wygłodniałych kundli wraz z ich kudłatym hersztem, najwyraźniej spokrewnionym z psem Baskerville’ów. – Zobaczysz Amerykanów jak ja własną dupę.

Wyciągnąłem się wygodniej, z ręką na karabinie. Ileż razy już to słyszałem. Od pół roku nie było dnia bez takich dyskusji. Amerykanie mieli swoje problemy, Niemcy swoje, Francuzi swoje. Na cholere im jeszcze wycieczka w suwalskie lasy. „Będziemy pomagać tylko tym sojusznikom, którzy sami potrafią zadbać o swoje bezpieczeństwo” mówił przecież w swojej inauguracyjnej mowie nowy prezydent USA. W sumie nawet mu się nie dziwiłem. A nawet jakby się tu pojawili, to co? Zbawią nas? Gwizdną na palcach i wystraszą Ruskich tak, że się wszyscy wyniosą z Kaliningradu i Pribałtyki? A za nimi pobiegną śmiertelnie wystraszeni Białorusini?

„Dupa słonka nie widziała, a jak zobaczyła to się oparzyła” chciałem powiedzieć Cichoszowi, ale pulpety rozleniwiły mnie kompletnie. Patrzyłem w las, który pachniał już jesienią.

*

Dziadek był uparty, dociekliwy i bardzo przekonany do prowadzenia wojny osobistej. Tak bardzo, że postanowił sprawdzać, kogo ubił. Czasem było to dla niego źródłem zgryzoty.

– Ten był prawie niewinny – westchnął kiedyś nad zdjęciem rumianego wąsacza, wypełniającym cały ekran lapa. Zdjęcie było powiększone na maksa i pochodziło – jak większość Dziadkowych znalezisk – z rosyjskiego portalu społecznościowego.

W czasach globalnej sieci informacyjnej tropienie własnych ofiar okazało się nadspodziewanie łatwe. Wystarczyło cierpliwe przeszukiwanie Runetu, przede wszystkim takich portali jak VKontakte czy Odnoklasniki, ale znalazło się także kilka pomniejszych, jak to mówili Rosjanie, sajtów, na których żołnierze chwalili się tym jak chwacko pobili ukraińskiego jeńca, dzielnie zbombardowali syryjskie miasto albo ostrzelali wioskę w Somalii.

Żeby było śmieszniej, cały ten pomysł wpakował Dziadkowi do głowy nie kto inny, jak nasz oficer wychowawczy, który raz w tygodniu wygłaszał pogadanki na temat wojny hybrydowej, czy jak teraz częściej mówiono, płynnej wojny. To podczas tych pogadań zobaczyliśmy pierwszy raz ściągnięte z netu obrazki, wyglądające jak kadry z jakichś B-klasowych filmów wojennych nadrabiających braki w budżecie natężeniem przemocy. Tyle tylko, że te obrazki były prawdziwe.

Najstarsze pochodziły jeszcze z czasów pierwszych ataków Ruskich na Ukrainę, zaraz po zaborze Krymu. Wesołki w drelichach zabawiały się kopaniem i biciem szerokimi pasami krótko ostrzyżonych, wystraszonych chłopaczków z poboru, którzy nie wiedzieli za bardzo co się z nimi dzieje zarówno wtedy, jak i w chwili, kiedy wysyłano ich do kotła iłowajskiego albo na posterunki wokół Ługańska czy Doniecka. Blade, wychudzone, śmiertelnie przerażone niemal dzieci. Jeńcy. Pokrwawieni, ciągnięci po kamieniach, posiniaczeni, rozebrani, z jajami obwiązany sznurkiem przytroczonym potem do ich własnych karków. Przypaleni papierosami. Kastrowani.

Ruska rasa panów fotografowała się z upodobaniem, by upamiętnić swe wojenne osiągnięcia. A na fotografiach strazyły głowy dzieciaków

przyduszane do asfaltu ciężkimi butami, na ich skórze ślady po gaszonych papierosach, wypalone albo wycięte nożami numery oddziałów, do których należeli zwycięzcy.

Nasz oficer wychowawczy opowiadał o tym, że w szpitalach na zachodniej Ukrainie, z dala od strefy wojny, do dziś na specjalnych oddziałach leczeni byli ci, którzy postradali wtedy zmysły. Wróg nie chciał ich zabijać. Pohańbieni, zgwałceni, okaleczeni, poniżeni, zwracani byli ojczyźnie, żeby siać grozę, rujnować i tak nienajlepsze morale, straszyć rodziny. Strategia była skuteczna. Matki nie chciały puszczać swoich synów do armii, nowi poborowi darli karty powołań i uciekali do Polski i na Słowację, w jednostkach rosła liczba dezercji. Czy można było się dziwić? Ukraińska armia, dowodzona przez skorumpowanych albo wprost sympatyzujących z przeciwnikiem podstarzałych pieczeniarzy, powoli znormalniała dopiero po kilku latach wojny. Wcześniej był to drgający bezładnie, pozbawiony głowy kolos, którego honor ratowały ochotnicze bataliony uzbrojone za własne pieniądze i szkolone naprędce w opuszczonych przez regularne wojsko koszarach. Ukraina miała kiedyś jedną z największych armii Europy. W 1994 roku na własne nieszczęście zaufała mocarstwom, które podpisały Memorandum Budapeszteńskie i pozbyła się broni atomowej w zamian za gwarancje bezpieczeństwa. Potem było już tylko gorzej – czołgi sprzedano do krajów trzeciego świata, a najstarsze zezłomowano, liczebność jednostek liniowych nieustannie zmniejszano, a plany ewentualnościowe, jak w czasach sowieckich, nie uwzględniały zagrożenia ze strony Moskwy.

– Dlaczego się tym tak chwala? – zapytał wtedy na szkoleniu jeden ze świeżych poborowych, dzieciak dwa razy młodszy ode mnie. – Przecież te zdjęcia to dowód na popełnianie zbrodni wojennych, na traktowanie jeńców niezgodnie z konwencją genewską.

– Dlaczego Hitler bombardował Londyn? – odpowiedział pytaniem oficer wychowawczy. – Dlaczego terroryści z ISIS transmitują egzekucje? Zdemoralizowane, wystraszone społeczeństwo nigdy nie będzie dobrym zapleczem dla zwycięskiej armii. Nie wszyscy mają tyle szczęścia, ile Anglicy, którym przewodził wtedy Churchill. No i powiedzcie jeszcze, szeregowy, o ilu rosyjskich zbrodniarzach wojennych postawionych przed międzynarodowymi trybunałami zdarzyło ci się słyszeć?

Dziadek nie zadawał żadnych pytań. Pilnie notował nazwy portali i serwisów, z których prowadzący pogadankę mądrała zaczerpnął materiały obrazkowe. Potem zaczął poszukiwania. Nie uwierzycie, jak szybko można się podciągnąć w rosyjskim, kiedy tylko ma się odpowiednią motywację. Dziadek miał. Godzinami ślęczał na Runetem, porównywał daty i godziny, numery jednostek nieopatrznie ujawniane przez chojraków, którzy nie zwracali uwagi na to, że fotografują też rejestracje ciężarówek, oznaczenia na burtach ciężkiego sprzętu i twarze przełożonych. Krok po kroku dochodził do tego, kto kogo oplakuje, który profil nagle zaczyna wypełniać się kondolencjami, nad którymi zwłokami zapakowanymi w ceratowe worki nagle posmutniali towarzysze broni piją pożegnalną kolejkę.

I tak powstała lista Dziadka. Lista jego osobistych osiągnięć w jego osobistej wojnie. Miała być też do osobistego użytku, ale cokolwiek raz trafi do sieci, nigdy z niej nie znika. Za to często wycieka. Wyciekł więc i spis zasług Dziadka, skutecznego i dociekliwego strzelca wyborowego, który zidentyfikował wszystkie swoje ofiary, choć do żadnej nie zbliżył się nigdy bliżej niż na pół kilometra. Sprawą zajęły się gazety, telewizje, blogerzy, potem swój materiał zrobiła Russia Today i tak Dziadek stał się gwiazdą, a nam na dupy spadła kapitan Wysocka z Biura Zabezpieczenia Wizerunku. Nie mógł więc wyruszyć z nami na wyprawę po złote runo, czyli na grabież drona, w którym spodziewaliśmy się znaleźć to, co Witek Cichosz lubił najbardziej – chiński tech, czy jak mówił Cichosz „tek”, znaczy rozmaite podzespoły, które można było potem korzystnie opylić albo wymienić. Witek lubił stare seriale, w tym „TekWars” z tym śmiesznym startrekowym grubaskiem, Shatnerem. „Tek” to była nazwa jakiegoś szajsowego narkotyku przyszłości, a Cichosz szczyił się swym głębokim uzależnieniem od wszelkich technologii. Wszystko więc pasowało.

Ja w sumie w nosie miałem wszelkie techniczne zabawki, ale coś trzeba było robić, żeby nie zwariować od siedzenia na dupie i czekania to nieuniknione. Czyli na co?

Aż coś się zacznie.

*

Najedzony Mirek Socha zrobił się rozmowny.

– Amerykanie.... – zaczął.

I w tym momencie przestałem słuchać. Po co słuchać dyskusji, w której uczestniczyłeś już milion razy? To jedna z rzeczy, których się tu nauczyłem: w wojsku żaden temat nigdy się nie kończy. Każdą kwestię roztrząsać można w nieskończoność, każdy dzień to tylko ciąg dalszy. Powtarzalność dni, zajęć, rozrywek, prowokuje wręcz tę monotonię. Tym większą, że jak w każdej grupie katalog tematów szybko redukowany jest do najniższego wspólnego mianownika. Jedzenie, przełożeni, narzekania i parę drobnych fantazji.

Nie było więc dnia bez przeklinania tego czy owego trepa, bez porównywania jakości wczorajszego żarcia z dzisiejszym, marzenia o lżejszym planie zajęć na jutro i przechwałek na tematy alkoholowo-seksualne. A jako że siedzieliśmy w takim, a nie innym szambie, wyczuwając w dodatku, że prawdziwie czarne chmury mającą już na horyzoncie i w każdej chwili mogą się nadspodziewanie szybko zbliżyć, roztrząsaliśmy też rozmaite kwestie polityki międzynarodowej i sytuacji strategicznej, ze szczególnym uwzględnieniem tego, jak ich rozwój może się przełożyć na los naszych nieszczęsnych tyłków.

Owo roztrząsanie sprowadzało się w zasadzie do dwóch kwestii: kiedy Ruskie ruszą i czy Amerykanie nam pomogą.

Mirek Socha był przekonany, że tak. Należał do tego gatunku ludzi, którzy tłumaczą na swoją korzyść wszelkie napotkane omeny. Spotkasz kominiarza? Szczęście cię nie ominie. Nie spotkasz? Jeszcze lepiej, znaczy że wszystko idzie swoją drogą, tak jak iść powinno. Ptaszek ci zaśpiewa znieńacka? Pysznie, świat cię kocha. Ptaszek cię obesrał? Znakomicie, wyczerpałeś właśnie limit pecha, więc jutro będzie lepiej.

Zdaniem najmłodszego z rodu Sochów, nawet wizyta kapitan Wysokiej i uziemienie Dziadka mogło oznaczać tylko jedno – Amerykanów.

– Amerykańskie standardy – tłumaczył. – Lada moment pojawią się amerykańscy korespondenci, chodzi o to, żeby wszystko już było wyczyszczone, żeby naszych brudów nie musiał kto inny prac, niech się korespondenci skupią na poważnej robocie: jak Ruskie biorą wpierdol! Bo jak gdzieś się pojawiają korespondenci, to zaraz wiadomo, będą i żołnierze. A jak będą żołnierze, to dobra nasza!

– Przecież już tu są – leniwie odpowiedział Cichosz, który pólleżał oparty o drzewo i zajmował się głównie trawieniem pochłoniętej dopiero co kiełbasy. – Amerykanie. Na Litwie. Ilu, panie Jaca?

– Stu dwudziestu – odpowiedziałem równie leniwie, bo po pierwsze, kiedy mam pełny brzuch staram się myśleć o rzeczach przyjemnych, więc właśnie wyobrażałem sobie, jak to zrzucę z siebie przepocony mundur po powrocie z patrolu i dam nura w jezioro. A po drugie, to też była dyskusja, którą toczyliśmy w różnych konfiguracjach osobowych już miliony razy. – Szpica NATO, yes sir! – przyłożyłem dłoń do czoła, salutując po amerykańsku. – Każdy weźmie na siebie tysiąc kałmuków i będzie dobrze.

– Albo i dwa tysiące – rzekł Cichosz. – To w końcu Amerykanie!

Dawno, dawno temu, kiedy instalowano szpicę NATO w Pribałtyce, samych Amerykanów było dziesięć razy więcej. Teraz grzali dupy na Pacyfiku, bo tam byli zdaniem Waszyngtonu bardziej potrzebni. Zostawili po sobie magazyny z bronią, trochę cięż i solenne zapewnienia, że szybko wrócą. Jakby co do czego, oczywiście. Jakby się coś zdarzyło.

Młodego Sochy nie zrażały żadne drwiny.

– Zobaczycie – powiedział do Cichosza. A do mnie: – Co to jest „kałmuku”?

Niewiele brakowało, aby tamtego dnia długie, pełne głębokiej niezachwianej wiary oczekiwanie Mirka Sochy na Amerykanów zakończyło się w sposób definitywny. Trudno bowiem czekać na cokolwiek, kiedy trafiło się do grobu. Seria z automatu poszła tuż nad naszymi głowami, siekąc liście i rozbryzgując korę drzew liźniętych przez pociski.

Cichosz jak wąż (no dobra, jak bardzo gruby wąż) obrócił się na brzuch i z pozycji pólleżącej przeszedł do leżącej. Zdołał jakimś cudem podczas tego ruchu tak przemieścić swojego beryła, że był gotowy do strzału. Ja rzuciłem się w bok i pociągnąłem za sobą Sochę, co okazało się bardzo dobrym pomysłem, bo następna seria poszła niżej i kolejne drzazgi, jakie pofrunęły w powietrze, pochodziły z miejsca, na wysokości którego znajdowała się głowa chłopaka.

– Rusczy? – rzucił Socha, leżąc na mnie jak kłoda. – Ruszyli?

No tak. To był ten drugi temat konwersacji.

Nawet najwięksi optymiści zgadzali się co do jednego: pytanie nie brzmiało „czy ruszą”, tylko „kiedy”. Ci sami zresztą optymiści uważali, że jak już ruszą, to szybko się zatrzymają i wszystko będzie po staremu.

Dla takiego staruszka jak ja wszystko to było zaskakująco podobne do odwiecznej polskiej debaty „wejda/nie wejda”, której naturalną konsekwencją było płynne przejście do innej: „bić się czy nie bić”. Bo jak wchodzili, to z reguły zostawali. Strzępienie języka na temat wejda/nie wejda pamiętałem z dzieciństwa, bo wujowie kłócili się o to regularnie, pokrzepiając się w przerwach kupowaną na kartki wódką Bałtyk oraz sztachami równie kartkowych Popularnych. Oczywiście ta ostatnia debata dotyczyła tak naprawdę tego, czy wejda bardziej, bo przecież już tu byli, w końcu sowieckimi garnizonami usiana była cała Polska.

Takie właśnie pytanie zadawali sobie czterdzieści lat później już nie tylko Polacy, ale przede wszystkim Ukraińcy, Bałtowie, Mołdawianie, wszyscy ci, którzy stali na drodze zapowiadanemu ponownemu zjednoczeniu ziem rosyjskich. Moskwa przyznała sobie już prawo do przyznawania rosyjskich paszportów dowolnym osobnikom w dowolnym punkcie świata oraz prawo do interwencji w każdym miejscu, gdzie owi osobnicy (nawet świeżutko na Rosjan pasowani) się znajdują. Gdzie leżała granica? Najwięksi pesymiści – dajmy szansę i im – wskazywali, że skoro paszporty należały się, jak twierdziła Moskwa, wszystkim chętnym potomkom obywateli dawnego imperium rosyjskiego, to trudno pominąć fakt, że wschodnie granice owego imperium w 1914 roku obejmowały pół dzisiejszej Polski.

*

Nie musiałem czekać na trzecią serię, żeby zatęsknić za wsparciem, którego nie mieliśmy. Mieliśmy za to Witka Cichosza, który był egzemplarzem wyjątkowym – zainteresowanie wszystkim, co tekowe, internetowe, VR-owe, RPG-owe oraz starymi serialami nie czyniło z niego (a tak przecież zwykle się dzieje) kompletnego łamagi w realu. Cichosz chwacko radził sobie z bronią, znał na pamięć więcej modeli karabinów, działek i czołgów niż dowódca kompanii, był najszybszy w oddziale jeśli idzie o rozkładanie

i składanie beryla, nie tracił nigdy orientacji w terenie, a co ważniejsze, nie tracił także zimnej krwi.

Tak jak teraz, kiedy leżał z termowizyjnym Agatem przyklejonym do oczu.

– Dwóch cywilów. Lekko po lewej – szepnął.

Jakbyśmy zamiast zreć wystawili czujkę, tobyśmy nie byli zdziwieni, pomyślałem.

Goście w czarnych skórzanych kurtkach zbliżali się ostrożnie do miejsca, w którym leżał rozbity dron. Broń trzymali gotową do strzału.

– Jeszcze dwóch – relacjonował dalej Cichosz. – Między drzewami.

Podał mi lornetkę.

Nieproszeni goście mieli osłonę – dwóch kolejnych facetów, tym razem odzianych w zgniłą zielen i czających się po drugiej stronie porośniętej szkółką polany. Szybko zacząłem kalkulować. Dobrze uzbrojeni, cywile i nie bali się strzelać pierwsi. Ani chybi inicjatywa prywatna.

Witek Cichosz doszedł do podobnych wniosków. Zaklął bezgłośnie. I ja go, kamać, bardzo dobrze rozumiałem.

– Co się dzieje? – szepnął młody Socha. – Widzicie coś?

– Chyba trafiliśmy na muła – odszeptałem z poważną miną. Socha też zaklął, ale się nie wyciszał. Miał dobry powód. Wszyscy mieliśmy.

Mułami nazywaliśmy drony wykorzystywane przez przemytników. Których? No tak ogólnie, bo można się było zgubić. Kiedy woda mętna, każdy chce łowić w niej ryby, a burdel na przesmyku był przecież kosmiczny. Miękkie podbrzusze NATO, mówili. Naturalny cel ataku, mówili. Najbardziej obserwowane miejsce w Europie, mówili. No i co z tego?

Zgromadzona tu wielonarodowa banda żołnierzy, dywersantów, specjalsów, agentów, a także dziennikarzy, blogerów i innych zainteresowanych niecodziennymi emocjami wycieczkowiczów żyła w stanie chwiejnej równowagi, którą ktokolwiek bał się naruszyć, żeby nie zostać oskarżonym o prowokowanie „czegoś większego”. Oznaczało to, że nawet kiedy do jakichś incydentów dochodziło, a dochodziło, kamać, do setek incydentów, wszyscy udawali, że nic się nie dzieje i oglądali z nagłym zainteresowaniem czubki własnych butów. W lesie oprócz polskiej armii i polskich Wojsk Obrony Terytorialnej (halo, to my!) siedziały siły NATO (kapeczka Holendrów plus dwa bataliony znudzonych

Anglików, w większości mówiących po polsku, bo były to oddziały ulepione z emigrantów), siły UE (znaczy dwie kompanie francusko-niemieckie), szwedzcy i fińscy obserwatorzy, węgierski batalion wojsk ochrony pogranicza, greccy policjanci wysłani w ramach wymiany za Polaków pomagających na Kos i Lesbos, ukraińscy ochotnicy, którzy chcieli w ten sposób podziękować Polsce za to, co na Ukrainie robił nasz korpus Chrzanowskiego oraz trzy konkurujące ze sobą służby samoobrony: polska, litewska i białoruska, przy czym w miarę normalna była tylko ta pierwsza, bo drugą i trzecią tworzyli obcy agenci przebrani za wieśniaków.

Po drugiej stronie granicy, a właściwie granic, bo było ich tu kilka, czaili się oczywiście Rosjanie i Białorusini, mundurowi i cywilni, ale byli też kadyrowcy, czyli oficjalne siły zbrojne Republiki Czecheńskiej, byli trójkolorowi, jak nazwali się wielojęzyczni sponsorowani przez Moskwę weterani budowania tak zwanych republik ludowych Ługańskiej, Donieckiej i Mariupolskiej, no i byli Chińczycy.

Ci ostatni do niczego oficjalnie się nie wtrącali, dbając o zachowanie statusu niezależnych obserwatorów. Wszyscy jednak wiedzieli, że ich misje dyplomatyczne w Mińsku i Grodnie to legowiska szpiegów i wojskowych. Chińczycy rozgrywali własną grę, ale na cyberfroncie. Hakowali wszystkich i zawierali ciche sojusze, za każdym razem obliczone na osłabienie tego akurat gracza, który wydawał się najsilniejszy. Razem z Rosjanami fałszowali na potęgę banknoty euro, razem z ukraińskimi hakerami rozbijali bazy danych amerykańskich właścicieli kart kredytowych, razem z Turkami sprawdzali poziom zabezpieczeń rosyjskich rurociągów na południu i zdaje się, że mieli w tym dziele spore osiągnięcia, bo potrafili już zdalnie włączać i wyłączać część infrastruktury. A razem z Amerykanami tropili fortuny rosyjskich oligarchów wyprowadzone na Zachód. Chińczycy. Praktyczni ludzie.

No więc siedzieliśmy w lesie. Wszyscy patrzyli sobie na ręce, wszyscy chodzili za sobą, śledzili się, podglądali, udzielali wywiadów ekipom mediów z dwudziestu czy więcej krajów (wozy transmisyjne pałętały się po lesie jak te psy, które spotkaliśmy podczas patrolu), do tego zaś dochodziły jeszcze pełne dobrych chęci misje kilku kościołów, które wysłały na przesmyk swoich dobrych samarytan, by nieść pomoc duchową

oraz medyczną krzywdzonym cywilom. Jakby co do czego, oczywiście. Jakby się coś zdarzyło.

Dziadek, mądry człowiek, mówił, że to równowaga chaosu. Żałowałem wtedy w lesie, że go z nami nie było. Odstrzeliliby pewnie od ręki paru intruzów, a o zachowanie równowagi moglibyśmy martwić się później. A w kwestii przemytniczych mułów – nad naszymi głowami latało tyle wszelkiego elektronicznego drobiazgu, że parę więcej nie robiło żadnej różnicy. Gdzie najlepiej ukryć igłę? W stogu siana. Przez granicę, zwłaszcza od białoruskiej strony, latały więc drony kryjące w swoich wnętrzach narkotyki, chińską broń automatyczną pożądaną na czarnym rynku, perfekcyjnie podrobione paszporty Unii rozprowadzane potem za ciężkie pieniądze na Bliskim Wschodzie i wszelkie inne atrakcje. Plotki armijne głosiły, że na tym nie koniec, że odkryto już kilka prób przemytu za pomocą podziemnych wiertosond. Ale wiadomo, jak jest z armijnymi plotkami. Żołnierz w koszarach jak dziennikarz w terenie. Czego nie zobaczy, to zmyśli.

– Co robimy? – Socha ścisnął swój kbk tak mocno, że mu palce bieleły. Dla niego beryli nie starczyło. A ja z obawą patrzyłem na tę jego, pozał się Boże, siatkę maskującą upstrzoną sztucznymi zielonymi liśćmi.

„Dzwonimy po Amerykanów” chciałem powiedzieć, ale zmilczałem.

Cichosz intensywnie myślał. Bałem się efektów. Widać było, że trudno mu rozstać się ze zdobyczą, na której przecież nie położył jeszcze ręki, ale która, kamać, miała być nasza, przynajmniej w jego przeświadczeniu. Tylko co mieliśmy robić?

Cichosz przełożył beryla. „Chłopie, tylko nie strzelaj!” pomyślałem. „Witek, nie strzelaj...”.

Potem huk wystrzałów niemal mnie ogłuszył.

*

Eksperci w różnych telewizjach mówili, że wojny nie będzie.

A inni mówili, że będzie. Jeszcze inni, że wojna już jest. XXI wiek. I bądź tu mądry.

Według jednych nadchodząca (lub trwająca – niepotrzebne skreślić) wojna była nową zimną. Zdaniem drugich kolejną normalną, tyle że tłącą

się dopiero. Powiedzmy sobie szczerze: historycy do dziś spierają się, kiedy wybuchła druga wojna światowa. Polacy, Chińczycy, Rosjanie, Amerykanie, Japończycy – wszyscy mają na ten temat inne zdanie. A przecież nie brak i tych, którzy wskazują, że żadna druga wojna nie wybuchła, że była to po prostu druga, bardziej brutalna i mordercza odsłona wojny pierwszej, tyle że wystawiona na scenie po dwudziestoletnim antrakcie. Świadomość, że czasy w których żyję mogą być przedmiotem takich sporów wśród przyszłych historyków, wywoływała u mnie ciarki na plecach. A przecież była to i tak optymistyczna wersja przyszłości. Bo zakładała, że ktoś na Ziemi pozostanie, by spierać się o to, co działo się w drugiej i trzeciej dekadzie XXI stulecia.

Siedzieliśmy w lesie, czekając na coś, co nie miało jeszcze wymyślonej nazwy. Jak to będzie w przyszłych podręcznikach historii? „Incydent suwalski”? „Wybuch nowego konfliktu”? „Punkt zwrotny wojny hybrydowej”? A dlaczego nie „hybrydowego pokoju”?

A może nic na ten temat nigdzie nie będzie. Ot zebrali, powarczeli, rozeszli.

Tyle że każdy nerw w naszych ciałach, każdy neuron w mózgu, każde cholerne przecucie rodzące się gdzieś we flakach podpowiadały, że coś jednak się wydarzy.

Pięć lat temu prezes Sberbanku ogłosił, że rosyjskie złoża gazu i ropy skończą się za lat piętnaście. Trzy lata temu światowe media obiegnęła wieść, że negocjowana jest tajna treść nowego załącznika do chińsko-rosyjskiej umowy na budowę syberyjskiego gazociągu – strona chińska deklarowała w nim przejęcie części kosztów budowy w zamian za bliżej nieokreślone koncesje terytorialne. Samochody pułapki wybuchały w rosyjskich miastach nieco rzadziej niż na zachodzie Europy tylko dlatego, że tamtejsze służby w nosie miały tak zwane prawa człowieka i bezlitośnie zwalczały islamską guerillę oraz dlatego, że częścią ruchu zielonego przebudzenia, zwłaszcza kaukaskiego, same sterowały. Moskiewscy oligarchowie jak dawniej sponsorowali rozgrywki Ligi Mistrzów, kupowali bezcenne płótna impresjonistów, topili pieniądze w jachtach i zagranicznych nieruchomościach nabywanych po absurdalnie zawyżonych cenach. Ale w dole przybywało tych, którzy żyli tylko dzięki przydomowym ogródkom albo wiązali koniec z końcem dzięki jednemu z nowych wynalazków

rosyjskich naukowców dietetyków: kiełbasie astrachańskiej, do produkcji której nie trzeba było mięsa, bo starczyły mielone rybne łby i kurze resztki.

– Rosja z eksportu surowców przestawiła się na eksport niestabilności – tłumaczył podczas jednej z pogadań oficer wychowawczy. – Kiedy deklaruje walkę z amerykańską dominacją globalną i wzywa do budowania sojuszy wszystkich przeciwników świata jednobiegunowego, czyli takiego, w którym Stany Zjednoczone są jedynym mocarstwem, tak naprawdę chodzi jej o coś innego. O powiększenie strefy niekontrolowanej przez nikogo, a już na pewno nie przez nowego żandarma narodów, czyli Waszyngton. W takiej strefie kluczową rolę zawsze odgrywać będą ci gracze, którzy nie będą cofać się przed użyciem groźby i siły dla osiągnięcia swoich celów oraz posiadają instrumenty odpowiednie do tego, by taką politykę w zakresie regionalnym prowadzić. Odwieczne ciążenie państwa rosyjskiego ku zachodowi, ku niezamarzającym portom Bałtyku i Morza Czarnego, przybrało nowy wymiar. Rosja nie może dołączyć się do Zachodu, nie jest go w stanie zniszczyć. Ale jest w stanie nieco się przesunąć, przysiadając cudzy skrawek sukna. My, panowie – tu oficer stukał wskaźnikiem w mapę – siedzimy na tym skrawku.

Na najbardziej odsłoniętym skrawku. Przesmyk suwalski, kamać. Mały kawałek polsko-litewskiej granicy biegnącej od okręgu kaliningradzkiego, ogłoszonego niedawno „Twierdzą Kaliningrad” do słupów granicznych podporządkowanej Rosji Białorusi. Siedemdziesiąt kilometrów. Porządny czołg pokonuje ten dystans w półtorej godziny. W godzinę, jeśli po przyzwoitej drodze.

Kilka tygodni po tej pogadance Rosjanie zażądali od władz Litwy zgody na budowę eksterytorialnej autostrady Grodno–Kalinigrad.

*

Wiadomości były dwie. Dobra i zła.

Dobra: to nie Cichosz strzelał. Zła: w przecince, na której pół godziny wcześniej spotkaliśmy miłe, czyste i dobrze wychowane pieski, teraz stał hybrydowy SUV, a jego pasażerowie łupali po lesie aż miło. Mieliśmy ich za sobą, z tyłu, nieco po prawej. Tamci w czarnych skórach padli między drzewka i też się ostrzeliwali. Kule wzbijały fontanny ziemi, siekły

po gałęziach, trzaskały po pniach. Jednak w odróżnieniu od filmów, nikt nie padał od razu na wznak, nie upuszczał teatralnie broni, nie charczał, nie jęczał. Inicjatywa prywatna nie była lepiej wyszkolona od nas, profesjonalistów teoretycznych. A może nie chcieli trafić? Może był to tylko taki bandycki rytuał? Prężenie mięśni? Warczenie na siebie?

Tak czy owak, obie strony musiały mieć wielką chrapkę na drona i żadna nie zamierzała ustąpić. Oczy Cichosza błyszczały. Jeszcze go takim nie widziałem. Przygryzł wargi, zmarszczył czoło. Coś kombinował. Tymczasem Socha udawał, że go nie ma, to znaczy starał się połączyć w jedną niezauważalną całość z matką Ziemią. A ja zastanawiałem się, co zrobimy, kiedy jedna z napotkanych band weźmie górę i po załatwieniu konkurencji zabierze się za załatwianie niepotrzebnych świadków. Nas.

Cichosz trącił mnie w ramię.

– Pilnuj młodego, Jaca!

I tyle go widziałem.

Wróć: oczywiście widziałem go jeszcze przez chwilę, zanim nie zniknął po drugiej stronie siatki. Była to długa chwila, bo pełzanie nie jest najszybszym sposobem poruszania się po lesie, nawet jeśli zostawisz za sobą broń, lornetkę i plecak. Cichosz wczołgał się między młodymi iglakami, mignęły mi jeszcze podeszwy jego buciorów, zakołysał się hełm, i tyle. Z niepokojem wypatrywałem, czy ruch potrąconych drzewek nie zdradza drogi, którą wybrał, na szczęście cały młodnik się trząsał, bo co jakiś czas cięły go serie karabinowe.

Młody Socha doszedł do siebie po pierwszym szoku. Rzekłbym nawet, że oczy zaczynały mu błyszczeć. Zachęcony przedłużającą się palbą, której efektem nie były na razie gęsto ścielące się trupy, nabierał chyba ochoty na dołączenie do zabawy i zerkał na mnie błagalnie. Kręciłem głową w odmowie. Ogień chciałem otworzyć tylko w jednym wypadku – gdyby ktoś wypatrzył Cichosza i chciał pokrzyżować jego plany.

Kiedy potem patrzyłem na zegarek, okazało się, że wszystko to zajęło zaledwie kilka minut, nie wierzyłem, bo zdawało mi się, że upływają godziny, że już wiecznie będziemy leżeć pośród sposobiącego się do jesieni lasu, że ogłuchniemy tu, osiwiejemy. Nigdy wcześniej nie byłem świadkiem najdrobniejszej nawet potyczki, a fakt, że wśród częstujących się nawzajem kulami intruzów nie było nikogo, kto prowadziłby przyjazny ogień (przyjazny dla nas, ma się rozumieć), wbijał mnie w strach

pomieszany z irytacją. Czułem się bezsilny, bo co mogliśmy sami poradzić – para żółtodziobów ledwie otrzaskanych z bronią i jeden wariat, który w dodatku pełzył teraz w sam środek awantury. A jednocześnie wiedziałem, że jakby co do czego, to przecież...

No przecież się nie zawaham, bo po to tu jestem, kamać.

Kiedy Cichosz znów wynurzył się spomiędzy wątych świerczków, miałem ochotę jednocześnie zdzielić go w uśmiechnięty pysk i uściskać z radości, jedno i drugie nie wchodziło w grę, bo stukot kul bijących w pnie drzew przypominał, że mamy inne kłopoty na głowie i że sytuacja taktyczna się nie zmieniała.

Cichosz był umorusany, obsypani igłami, spocony i zziajany, ale rozradowany jak dzieciak, któremu udał się wyjątkowo zuchwały psikus.

– Zabiję cię, Cichy, jak Boga kocham, łeb urwę – rzuciłem niby groźnie.

Poklepał w odpowiedzi niewielki brezentowy worek, w którym przyciągnął swoją zdobycz. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, co tam ma, ale wiedziałem jedno – nie doceniałem Cichosza.

Chwilę później wybuch targnął młodnikiem.

– Granat zgubiłem – uśmiechnął się jeszcze szerzej Cichosz, kiedy fontanna ziemi opadła.

Nie doceniłem Cichosza po dwakroć.

*

Oficjalna wersja była taka: podczas rekonesansu patrol pod dowództwem kaprała Witolda Cichosza natknął się na dwie przestępcze grupy prowadzące walkę o zestrzelonego drona. Nim zdążyliśmy interweniować lub wezwać wsparcie, jedna z grup użyła granatnika.

– Niczego nie chcecie dodać, Cichosz? – pytał ponoć dowódca. – Wiecie, że Amerykanie i tak wszystko mają na satelitarnym podglądzie?

Cichosz nie chciał. Jego kozacki wyczyn, o którym szeptano już po namiotach (odrobina splendoru spływała również i na mnie oraz młodego Sochę), szybko przestał być sensacją dnia. Krótco po obiedzie gruchnęła wieść: po Dziadka przyjechała Służba Kontrwywiadu Wojskowego.

W kompanii zawrzało. „Prowokacja!”, „Skandal!”, „Kurwa!” rywalizowało ze „Zdejmują go z widoku, to dla jego dobra”, „Dziadek pewnie dla nich pracuje” i „Trzeba było uspokoić pismaków”. Ta ostatnia opinia była najmniej trafna, bo oczywiście całej sprawy nie dało się utrzymać w tajemnicy, nikt się nie uspokoił, w necie blogerzy oszaleli, a w telewizjach paski takie jak „Morderca Rosjan dostanie zarzuty?” w Russia Today rywalizowały z „Kto chce zrobić polskiego Chrisa Kyle’a” w Fox News.

Fakt faktem, Dziadek wyjechał w nieznanym kierunku pod opieką dwóch małomównych cywilów i w eskorcie Żandarmerii Wojskowej. Na tym niespodzianki się nie skończyły. Z namiotu rekreacyjnego zniknęło wszystko oprócz stołów. Przed wejściem stali wartownicy, a w środku kapitan Wysocka prowadziła przesłuchania.

Kiedy przyszła moja kolej, towarzyszący Wysockiej wymoczek podporucznik, ten jakiś ichni specjalista, był już okrutnie znudzony. Siedział przy mniejszym stoliku z boku, notował coś w grubym zeszycie i nagrywał mnie z bocznej kamery. Główna kamera stała na blacie przed kapitan Wysocką, nieco po jej lewej. Czerwone światełko mówiło: nagrane będą czyny i rozmowy.

Pytania były oczywiste. Najpierw o mnie. Personalalia, przebieg służby, takie tam. Potem o Dziadka, ale raczej ogólne. Czy jest lubiany w oddziale? No jest. Bardzo? W sumie bardzo. Za co? A bo ja wiem... Za wszystko. Wszystko? No tak, bo nie mądrzy się, choć dużo wie. Nie obraża, choćby za ksywę, albo jak chłopaki drą z niego łacha, że urodził się już podobny do Lesiego Nielsena. O wojsku wie więcej niż niejeden zawodowy wojskowy. Strzela rewelacyjnie. Żywa legenda, wiadomo. Polski Chris Kyle, chyba sama pani kapitan słyszała, jak go nazywają w telewizji? I to amerykańskiej!

Wysocka słuchała moich odpowiedzi z uprzejmą miną, sugerującą że kompletnie nie obchodzi jej to, co mam do powiedzenia. Raz spiorunowała wzrokiem podporucznika wymocзка, który przegiął pałę, bo zaczął ziewać.

– I nigdy nie podejrzewaliście? – zmieniła w pewnej chwili ton. Z chłodnego, na uprzejmie zdziwiony.

– Podejrzewałem że co?

– Że Henryk Działkiewicz, pseudonim Dziadek, jest rosyjskim szpiegiem.

Nie uwierzyłem, że to słyszę. Kamać, kim?

– Szpiegiem. Rosyjskim. Agentem.

Kapitan Wysocka otworzyła brązową aktówkę i rozłożyła na blacie zdjęcia, fotokopie, wydruki.

– I to nie byle jakim. Ideowym. Ale pieniądze też brał – zakomunikowała.

Czerwone światło na cyfrowej kamerze naraz wydało mi się wrogie. I większe. Jak oko dzikiej bestii, która zbliża się do ciebie z morderczą pewnością siebie. Wie, że nie uciekniesz. W gardle miałem sucho. Za kołnierzem – mokro.

Co to za maskarada, myśli galopowały mi przez głowę, cóż to za przedziwne przedstawienie, co ja tutaj robię, co my wszyscy tutaj robimy, w tym namiocie, w tym lesie, na tym pierdolonym przesmyku i dlaczego ktoś upiera się robić nam we łbach kogel-mogel, jakby same tak zwane okoliczności obiektywne nie wystarczały, żeby klepki same przeskakiwały pod czaszkami na niewłaściwe miejsca.

– Z kimś szczególnie się przyjaźnił? – zapytała kapitan Wysocka niezrażona moim milczeniem.

No kurwa, ze mną się przyjaźnił. Szczególnie. Czyli trochę. I z Cichoszem. I z innymi. Z wszystkimi się trochę przyjaźnił. Jak tu się trochę nie przyjaźnić, kiedy siedzimy od miesięcy w tym pierdolonym lesie, nad pierdolonym bezimiennym jeziorem, czekając na pierdalone nie wiadomo co, o czym wiadomo tylko, że jak nadejdzie, to nas rozpierdoli! To jej chciałem powiedzieć. Ale nie powiedziałem.

Wzrok uciekł mi trochę na bok. Porucznik wymoczek wyhodował sobie pod nosem złośliwy uśmieszek.

– Pani kapitan – odezwałem się wreszcie, prężąc nieco, na ile było to możliwe na krześle. – Dziadek, znaczy kapral Działkiewicz, zabijał przecież Rosjan...

Wysocka przesunęła na przód jedno ze zdjęć.

– Jednego zabił – zgodziła się. – Chyba.

A ja poczułem się już kompletnie zagubiony.

Jednego zabił. Tego pierwszego. Dymitra Zacharczenkę, zastępcę Ihora Siergiejewa, watażki z Noworosji. Zabił go, jak tłumaczyła, kapitan Wysocka, bo były to dwie pieczenie na jednym ogniu. Siergiejew chciał wyeliminować Zacharczenkę, który za dużo kłapał ozorem, szczególnie

w obecności zagranicznych dziennikarzy. I miał lepkie ręce, zbyt lepkie nawet jak na bandziora. A Henryk Dziatkiewicz mógł się dzięki temu trafieniu uwiarygodnić jako dzielny polski wojak, polski bohater, nasz Chris Kyle. Same plusy.

A co z dwunastoma pozostałymi trupami?

Co z prawie niewinnym rumianym wąsaczem? Co z dwoma osobnikami poszukiwanymi za zbrodnie wojenne w Syrii, dlatego przerzuconymi na front zachodni, żeby się pismaki nie czepiały? Co z całą resztą?

– Nigdy nie istnieli – powiedziała kapitan Wysocka. I było w jej głosie coś, co kazało mi w to wierzyć. Zresztą...

VKontakte. Odnoklasniki. Druzja. KnigaWriemieni. Portale, społeczności, profile, konta, fotografie. Linki. Sajty. Bajty. Piksele. Dymy i lustra, nic więcej. Czy to mogło być takie proste?

Trup, który zawsze słał się daleko. Kto tam mógł sprawdzić, co naprawdę dzieje się kilometr stąd. Co wynoszone jest w worku na zwłoki – prawdziwa ofiara Dziadka, czy jakiś żywy komediant udający, że ślepaki życie mu odebrały?

Wściekły byłem na kapitan Wysocką, nienawidziłem wymoczkowatego podporucznika, krew jasna zalewała mnie na myśl o Dziadku. Ale najbardziej wściekły byłem na siebie. Mądry Polak po fuckcie.

Dziadek, który wszystko wiedział. Który tak szybko nauczył się rosyjskiego. Który miał wytłumaczenie dla każdego posunięcia przeciwnika, kiwał głową, wskazywał na obiektywne uwarunkowania i racjonalne przesłanki. Któremu jakoś tak zadziwiająco szybko udawało się w Runecie identyfikować ustrzelonych frajerów, tak pięknie i skrupulatnie uzupełniać „listę Dziadka”. Listę bohatera. Legendy. Kto nie chciałby żyć po dobremu z legendą. Kto nie zaufa bohaterowi. Kto odmówi mu pomocy, gdy w potrzebie, kto nie odpowie, gdy ciekawy.

– I nikt nigdy nie miał żadnych podejrzeń – nie wiadomo czy pytała czy stwierdzała kapitan Wysocka. Tak jak nie wiadomo było, czy stalowa nuta w jej głosie to oskarżenie, czy tylko ironia i sarkazm.

Rozbity byłem jak jajko. Rozpruty jak stara poduszka. Wzbierały we mnie fale protestu: to nie może być prawda, to musi być prowokacja, ktoś tu wrabia, choć sam nie wiem kogo, wszystkich: Dziadka, mnie, Wysocką, wojsko polskie, wywiad, kontrwywiad, kamać, no jakże to...

Jednocześnie ta część mnie, która była gotowa zaakceptować argumenty kapitan Wysockiej wpadała w popłoch. Jeśli ta historia była prawdziwa, straty były większe niż można było sobie wyobrazić. Armia pośmiewisko, armia idiotów, wodzona za nos przez przeciwnika sprytniejszego, mądrzejszego, bardziej pomysłowego i śmiejącego nam się w twarz. I media, o matko, co zrobią z tym media – z Dziadkiem, z nami, z całą wesołą wielonarodową wycieczką w suwalskie lasy.

A jeśli to tylko pierwsza warstwa prowokacji? Co jeśli są kolejne?

W mojej rozgorączkowanej głowie pojawiały się obrazy możliwych katastrof: Dziadek opowiadający w Moskwie na konferencji prasowej, że porzucił nieludzką armię zbrodniczego agresywnego NATO, żeby bronić pokoju u boku Rosjan. Dziadek szlochający, że polska soldateska kazała mu strzelać do cywilów z karabinu snajperskiego. Albo Dziadek demaskujący siatkę agentów (która oczywiście istniałaby tylko w jego głowie oraz w planach odpowiedniego wydziału SWR).

Tylko dlaczego ufać mam akurat kapitan Wysockiej? Widziałem ją drugi raz w życiu. A Dziadka codziennie przez długie miesiące. Może to była polska prowokacja, polska zagrywka? Może ktoś uznał, że wizerunkowy kłopot z Dziadkiem da się rozwiązać tylko przez szybkie zakończenie jego kariery w Wojsku Polskim, więc uszyto błyskawicznie fantastyczną historyjkę o agencji, o rosyjskim planie? Może to Amerykanie nacisnęli, albo Berlin? Zresztą, mogli naciskać na wyciszenie także jeśli to była prawda. Dymy i lustra, bajty, sajty, niech szlag trafi wojnę hybrydową, wojnę stuwarstwową, wojnę-niewojnę, pokój wojenny, czy jak to kurestwo właściwie należało zwać...

Gotowało się to wszystko we mnie, buzowało, kitwaśiło i przewracało. Wysocka musiała to zauważyć, bo po standardowym pouczeniu o konieczności zachowania ścisłej tajemnicy (jakbym był debilem, który zapomniał, że na początku przesłuchania podpisał stosowne zobowiązania) kazała mi się odmeldować i wynosić, znaczy opuścić namiot. Kiedy wyszedłem, wydawało mi się, że jestem tylko małą, kiepsko wyrenderowaną figurką w jakiejś gigantycznej grze strategicznej, którą w dowolnej chwili ktoś może wymazać z dekoracji, przestawić w inne miejsce albo paroma linijkami kodu odmienić me przeznaczenie. Łeb mi pękał i byłem przekonany, że jeszcze chwila, a po prostu mi eksploduje.

Stało się inaczej.

To świat eksplodował.

*

Rosjanie mówili potem, że to Białorusini, Białorusini – że niezidentyfikowane grupy terrorystyczne „inspirowane zza granicy”, a rzecznik Białoruskiej Samoobrony Ludowej, który nie wiedzieć czemu poczuł się tym ostatnim stwierdzeniem wywołany do tablicy, oświadczył, że jego bojownicy nie posiadają broni ciężkiej.

W obiegu były i inne wytłumaczenia. Awaria sprzętu. Pomyłka. Polska prowokacja.

Fakty były takie: dostaliśmy salwę z kilku baterii Grad, których podobno nie było nigdzie w okolicy. Nas też oficjalnie nie było w tej okolicy, więc niby jak tu się skarżyć, ale żarty na bok, pierdolnęło ostro i gęsto.

Powinno skończyć się masakrą, ale szczęście sprzyja głupim i nadgorliwym. Większość chłopaków była w lesie na ćwiczeniach, cała druga kompania została kilka dni wcześniej zluzowana, a zastępująca ją trzecia kompania nie zdążyła jeszcze się rozlokować, tylko przepakowywała graty kilkanaście kilometrów przed Wielgudami Wielkimi, gdzie kończyły się tory. Część naszych chłopaków dostała przepustki i wywiało ich na balety do Olsztyna. Kantyna była już pusta, bo obiad poszedł w brzuchy, w siatkę nikomu nie chciało się grać, bo było gorąco. I całe szczęście, bo na boisku ziały teraz dwa leje przypominające księżycowe kratery. Podsumowując, chodzi mi o to, że ofiary były, owszem, ale pojedyncze, a mogły iść w dziesiątki. Może setki.

Podmuch jednego z wybuchów zerwał z uwięzi nasz nieszczęsny namiot udający centrum rekreacyjne, widziałem jak porucznik wymoczek koziołkuje, jak uderza głową o aluminiowe żebrowanie. Kapitan Wysocka zniknęła mi z oczu.

Biegłem, a wokół mnie padał ognisty deszcz. Biegłem najszybciej jak mogłem, pchany przekonaniem, że im niżej, tym bezpieczniej, więc najlepiej było pędzić w dół, do jeziora. Drzewa wylatywały w powietrze, eksplodował humvee, potem drugi, a stojący obok dowództwa maszt antenowy zamienił się w wielki młot, bo kiedy upadał – zainstalowane na jego szczycie kopuły rozłupały pomalowaną w barwy ochronne

ciężarówkę. Widziałem potem na nagraniach z dronów, jak wyglądała chwila ataku: tak, jakby wielkie krople uderzały o powierzchnię kałuży, wzbijając charakterystyczne okręgi rozbryzgów. Tyle że tu ku niebu wzbijała się ziemia, a wraz z nią wszystko co z niej wyrastało lub zostało na niej pozostawione.

Nie dobiegłem do jeziora, zanurkowałem w jeden z wybitych w ziemi kraterów, karmiąc się złudną nadzieją, że rakietą drugi raz nie trafia w to samo miejsce. Kolejne wybuchy wstrząsały lasem, czułem jak drży, drżało z nim całe moje ciało.

I nagle przyszedł koniec, a kiedy potem patrzyliśmy na nagranie młodego Sochy, który filmował wszystko komórką, okazało się, że liczy ono dokładnie dwie minuty i trzysta sekund. Dużo mniej, niż zajęło Cichoszowi czołganie się do chińskiego drona i z powrotem. A my myśleliśmy, że to koniec świata. Dwie minuty i trzysta sekund, kamać! Są dni, kiedy potrzebuję więcej czasu, żeby się porządnie odlać.

Nie byłem gotowy na wojnę. Ani na normalną, ani hybrydową, ani udawaną, ani w ogóle żadną.

Kiedy natrafiłem na Cichosza i młodego Sochę oczy mi się zaszklily. Cali i zdrowi, Bogu dzięki! Umorusani jak wszyscy, ale nie pokrwawieni, nie zdekapitowani, z kompletem kończyn na właściwych miejscach. Nawet zdołali co nieco uratować. Każdy brał to, co uważał za najcenniejsze. Socha ocalił kilka beryli. A Cichosz swój plecak. Wyjątkowo ciężki plecak.

Przez kolejne minuty obóz przypominał rozkopane przez wandalę mrowisko – wszystko było gorączkowe, nieskoordynowane, bez sensu, póki dowódcy drużyn i plutonów nie zajęli się skrzykiwaniem swoich ludzi, póki ekipy medyczne nie ruszyły do akcji, a oficerowie do realizacji spóźnionych instrukcji otrzymywanych przez radio od przełożonych, którzy byli daleko stąd.

Robiłem co mi kazano, gasiłem ogień, nosiłem sprzęt, pomagałem przepychać niesprawne pojazdy, wszystko to w stanie lekkiego letargu, na automatycznym pilocie, całkiem jakby gdzieś wewnątrz mnie siedział małeńki ludzik ze skrzyneczką z guziczkami i odpowiednio je wciskając, dyrygował: lewa, prawa, lewa, prawa, szybciej, wolniej, mocniej, puść. Bo w myślach były tylko pytania: czy to już? Teraz? To właśnie tak wygląda owo „jakby co do czego”, którego wszyscy tak się obawiali? A jeśli tak, to co będzie dalej? Idziemy do ataku? Przechodzimy do obrony?

Będzie kolejny ostrzał? Z lasu wybiegnie wroga tyraliera, wyjadą czołgi? A może nadejdzie pora na lotnictwo? Tylko czyje najpierw: nasze czy ich? A jeśli ich, to kogo?

Kiedy Socha zawołał „leca!”, wyprostowałem się i pomyślałem, że to jakiś kurewski żart. Tymczasem odległy pomruk zamienił się w huczenie i ciemne kształty śmigłowców pojawiły się nad linią drzew.

– Amerykanie! – darł się Socha. – Amerykanie! Zaczęło się!

*

Amerykanie, w odróżnieniu od Rosjan, Białorusinów oraz przedstawicieli Białoruskiej Samoobrony Ludowej, nigdy nie tłumaczyli się z tego, co zaszło tego dnia, nie przepaszali i w ogóle nie mówili nic. Bo Amerykanie lubią prawo. Twarde prawo, ale prawo.

Tamtego dnia odbywali serię zaplanowanych wcześniej lotów. Wszystko lege artis. W zgodzie z międzynarodowymi porozumieniami, a najbardziej w zgodzie z zapisami Transatlantyckiego Partnerstwa na Rzecz Wolnego Handlu i Ochrony Inwestycji. Mogliśmy uniknąć ich wizyty. Wystarczyło częściej grać w szachy, a rzadziej korzystać z innych rozrywek.

Nasz kwadrat zaznaczony był na trasie przelotu, więc dlaczego mieliby nas ominąć? Przylecieli, i zrobili to, co trzeba. A była to rzecz następująca: tuż po tym, jak obdarzony sokolim wzrokiem młody Socha zaczął wniebogłoso radować się, że widzi prawdziwe amerykańskie śmigłowce, pomalowane na czarno maszyny zawisły nad tym, co zostało z naszego leśnego miasteczka. Na burtach owszem, miały amerykańskie flagi, ale obok nich jeszcze kilka innych znaczków, między innymi FBI, NSA, NIPRCC oraz nieznanej nam wówczas jeszcze Agencji Ochrony Własności Intelktualnej.

Załogi śmigłowców nie zamierzały ani się z nami witać, ani nam pomagać. Miały po prostu robotę do wykonania. Maszyny wyposażone były w megafony, a z megafonów ryknął wygłaszany amerykańską angielszczyzną komunikat:

– To whom it may concern! The unauthorized reproduction or distribution of any copyrighted work is illegal. Criminal copyright infringement is investigated by federal and world law enforcement agencies

and is punishable by up to 10 years in prison and a fine of 2.500.000 dollars!

A potem głośniej:

– Piracy is not a victimless crime! For more information on how digital theft harms the economy, please visit www.iprcenter.com!

Te same komunikaty powtórzone zostały po polsku, rosyjsku, białorusku i litewsku.

Kolejny brzmiał:

– Na mocy artykułu piątego Transatlantyckiego Partnerstwa na Rzecz Wolnego Handlu i Ochrony Inwestycji wszystkie dochodzenia w sprawie naruszenia praw autorskich i intelektualnych, nielegalnego kopiowania i/lub dystrybuowania... – tu poszła cała lista: filmów, seriali, gier, oprogramowania i tak dalej – nadzorowane będą przez Agencję Ochrony Własności Intelektualnej, na podstawie wyroków wydawanych przez sądy właściwe dla kraju będącego siedzibą Agencji. Wyroki tych sądów egzekwowane będą przez Agencję Ochrony Własności Intelektualnej oraz współpracujące z nią służby w tym... – i tu poszła naprawdę długa lista skrótów.

– Co to właściwie znaczy? – niepewnie zapytał Socha, zadzierający jak i inni głowę w górę z głęboką konfuzją i zdumieniem.

– To znaczy, Socha, że mamy przejebane – powiedziałem, a nim przeszedłem do dalszych wyjaśnień z amerykańskich megafonów wydobył się komunikat najważniejszy:

– Ktokolwiek znajduje się w posiadaniu nielegalnie pozyskanych i/lub nielegalnie wytworzonych kopii produktów, które powstały z naruszeniem praw autorskich i intelektualnych, wzywany jest by je zniszczyć do końca trzymiesięcznego okresu przejściowego. Po upływie tego terminu wszelkie naruszenia Traktatu będą ścigane z całą surowością! To jest jedyne ostrzeżenie!

Tym razem Mirek Socha zrozumiał. I zareagował, zanim jeszcze załogi śmigłowców skończyły odgrywać kolejne wersje językowe końcowego komunikatu. A mianowicie pochwycił plecak Witka Cichosza, w kilkunastu susach znalazł się na usianym szczątkami brzegu jeziora i cisnął go, ile sił w młodych ramionach, pięknym lobem daleko daleko, na głęboką wodę. A Cichosz zaryczał, jak wściekłe zwierzę.

„Masz swoich Amerykanów” pomyślałem o entuzjazmie Sochy, podzielanym przez tak wielu jego kolegów.

W kwestii wojny: no więc nie zaczęło się. A Amerykanie odlecieli.

*

Dziadek nie trafił nigdy do aresztu Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

Jak dowiedzieliśmy się pod koniec tamtego pełnego wrażeń dnia, jedna z baterii Grad (tych, które po pierwsze nie istniały, po drugie jeśli istniały to na pewno nie strzelały, po trzecie jeśli strzelały, to na pewno pustą amunicją) posiekała także wszystkie trzy uliczki miasteczka Wielgudy Wielkie, a podejrzany Henryk Działkiewicz, wykorzystując sytuację, uciekł i tyle go widziano.

Rannych odwieziono do szpitali, zabitych na cmentarzu, obozowisko uporządkowano i zwinięto. A dokładnie przeniesiono o dwa kilometry. Nad brzeg innego bezimiennego jeziora, które zdaniem miejscowych łączy się pod ziemią z tym poprzednim bezimiennym jeziorem, łączącym się z kolei w ten sam sposób z Jeziorem Szlamy.

Siedzimy w lesie i czekamy.

Jakby co do czego się zdarzyło, będziemy gotowi. Chyba.

Sporo czytam. Reszta chłopaków odkrywa uroki filmowej klasyki. Śmiesznie to wygląda: gromada starych chłopów wpatrzonych w swoje smartfony i tablety, a na każdym ekranie czarno-białe ruchome obrazki. Transatlantyckie Partnerstwo na Rzecz Wolnego Handlu i Ochrony Inwestycji nie obejmuje bowiem swą ochroną produktów powstałych ponad sto lat temu. Smakujemy zatem kinowe przeboje z Hollywood Anno Domini 1921. Chłopakom najbardziej podoba się „Brzdąc” Chaplina, ale swoich zwolenników mają też „Trzej muszkieterowie” z Douglasem Fairbanksem. Za parę dni minie równo sto lat od premiery „Szejka” z Rudolfem Valentino, więc i ten film będziemy mogli legalnie oglądać za friko, ale nie wiążę z tym tytułem wielkich nadziei. Mam przeczucie, że zostanie uznany za nazbyt pedalski. Bardziej ciekawi mnie, jakie wrażenie zrobi 1 grudnia uwolniony wówczas „Tarzan” z Elmo Lincolnem.

Trochę lepiej strzelam.

Witek Cichosz ciągle nie rozmawia z młodym Mirkiem Sochą. Nie wybaczył mu do dziś tamtego odruchu uczciwości i napadu ostrożności. „Czego tam nie było, Jaca!” wciąż się gorączkuje „nowi Avengersi, nowy Blade Runner i druga część trylogii Hana Solo! A ten debil, to wszystko, kurwa, utopił w jeziorze”.

Chiński tek przytargany przez Cichosza z chińskiego drona muła rdzewieje sobie bezpiecznie w jeziorze bez imienia. Wraz z nim wielka porcja pirackich hitów kinowych pierwszej świeżości, które jak Europa długa i szeroka znów transportowane są przez zielone granice na stałych nośnikach. W sieci zbyt wiele jest ogarów z połączonych sił lokalnych agencji bezpieczeństwa oraz wszystkich amerykańskich jeźdźców apokalipsy spod znaku FBI, NSA, NIPRCC i dobrze już nam znanej Agencji Ochrony Własności Intelektualnej. Płyty kompaktowe i dvd przeżywają drugie życie, bo żadne programy śledzące nasze twarde dyski nie potrafią przecież prześledzić, co stoi wewnątrz plastikowych pudełek na półkach obok komputera.

Na razie.

Rzadziej niż kiedyś surfuję po Internecie. Ciekawe rzeczy trudno znaleźć, chyba że macie za takie „Show Me Your Ass” albo filmiki wrzucane na YouTube’a przez gości przebierających psy za wielkie pudełka proszku do prania. Transatlantycki Pakt na rzecz tego i owego działa. A legalnych programów nie chce mi się oglądać, bo przykleja się do nich tyle reklam, że można usnąć w połowie pierwszego bloku.

Trochę więcej czasu spędzam w Runecie.

Na portalu VKontakte znalazłem profil, który szczególnie często odwiedzam. Główne zdjęcie profilu: czterdziestoletni mężczyzna, siwiutki jak Leslie Nielsen, szczupły, wysportowany, ubrany w dżinsy, granatowy t-shirt i grafitową marynarkę. Miejsce zamieszkania – Moskwa. Są rozmaite prywatne wpisy. Ktoś życzy mu wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, on dziękuje. Ktoś inny pyta czy czytał już nowego Johna Le Carre i co o nim sądzi, czy szpiegowskie detale się zgadzają, on odpowiada, że jeszcze nie, ale zamierza wkrótce. I że jak tylko przeczyta, to się podzieli wrażeniami.

Są zdjęcia. Na tych zdjęciach jakiś dom, właściwie dacza. Jakaś kobieta. Rodzinna uroczystość, kieliszki wina, arbuzy, dzieciak z łyżką nad grejpfrutem krzywi się okrutnie. Dzieciak podobny do ojca.

Siwy mężczyzna patrzy na mnie z Internetu. Gdzieś tam daleko, może ktoś inny zagląda do netu i widzi moje zdjęcia. Co widzi? Sajty, bajty, siwy dym. Lustra. Magiczne sztuczki. Kolorowe piksele. Niby nic, a znaczy wiele. A co będzie, jak już ta cała wojna wybuchnie? Kto odróżni co prawdziwe, a co tylko garścią bajtów w społecznościowym portalu? A w realu? Przecież dla reszty świata cały nasz grajdołek i tek jest lekko nieprawdziwy, zmyślony.

Tak jakby teraz ktoś odróżniał.

Pikselem jesteś, w piksel się obrócisz.

Siedzimy sobie w lesie, banda pikseli, a jednego diabli wzięli.

Nawet nazwiska mu nie zmienili. Henryk Działkiewicz. Dziadek.

Podobno kręcą o nim film.

sierpień-wrzesień 2016

Eugeniusz Dębski

**CZŁOWIEK
Z BRUKSELKI**

W kiblu cicho buczała klima. Było jasno, przewiewnie, pachniało drogim dezodorantem. Naholny pochylił się, przerzucił krawat przez ramię na plecy, ochlapał twarz zimną wodą i, pochylony, chwilę wpatrywał się w suche odbicie mokrej twarzy.

To już nie te sracze, które pamiętam z dzieciństwa w pociągach! – pomyślał. Ale też nie jest to pociąg. Ciekawe, czy polskie pociągi już są czyste i czy wszystkie?

Uchylił na chwilę okno, pozwolił, by pęd powietrza ochłodził i wysuszył twarz. Mógł użyć suszarki, ale tamto powietrze było jałowe, sterylne, destylowane. Wszedł i skręcił do garderoby. Zmienił koszulę, wyszukał świeży krawat. Przez uchylone drzwi słyszał rażny głos Sycza:

– ...i jedziemy. Ciemna noc, kurczę, wszyscy śpią, ja prowadziłem. I nagle w jakiejś wsi, pod Częstochową, na zakręcie... Chłopie, mało się nie ufajdałem! Leży facet w poprzek drogi, obok rower. Rower leży, bo rzucony. Facet leży, bo pijany w trupa trupentego. Zatrzymałem się metr od niego, siny ze strachu. Wszyscy się pobudzili, walizki się zwały, coś się rozlało, no to wiadomo – wściekli. Wyskakujemy na drogę, chciałem gościa do rowu zrzucić, z buta, ale był taki koleś z nami, jajcarz, mówi: „Nie, nie tak. Zemsta musi być, za nasze nerwy. I niech dziękuje Bogu, że się obudzi w ogóle!”. Wrzuciliśmy gościa do wozu, rower z nim, i wyłożyliśmy na łąkę o trzysta siedemdziesiąt kilometrów dalej, gdzieś za Bydgoszczą! Nawet się nie obudził.

– Ja pieprzę! – sapnął Zdebik.

– No! Wyobrażasz sobie, jak się budzi i nie wie, w jaką stronę pojechać, w końcu gdzieś rusza i po kilku godzinach, na ciężkim kacu okazuje się, że w nocy przejechał po pijaku czterysta kilometrów zamiast czterystu metrów?!

– Ale... o matko!.. jaja!.. – Zdebik roześmiał się na całe gardło.

Zawtórował mu Sycz i jeszcze ktoś, może Komornicki?

Naholny przełożył krawat pod kołnierzykiem, ale nie zawiązywał go jeszcze, tchnął przed siebie Fahrenheitem, zamknął oczy i wszedł w chmurę, odczekał aż zapach osiądzie i wrócił na swoje miejsce. Komornicki wykorzystał jego nieobecność na uprzątnięcie biurka, stał tu świeży termos z czerwoną herbatą, tą o smaku starego worka

po ziemniakach, jak mawiał Naholny, drugi z kawą – dla szefa i reszty. Ekran zajmował jakiś dokument, Naholny dojrzał logo swojego biura. Autobus wjechał w tunel, po sekundzie włączyły się światła w salonie, a przez tę sekundę tylko laptop siał jaskrawym, zimnym, służbowym światłem.

Zdebik zerknął na zegarek, dyskretną Delbanę, wiedział, że Naholny nie znosi ostentacji, w końcu zapłacił kiedyś sporo za lekcje *intelligent design'u*, czyli – jak nazywali to chłopacy między sobą: jak dobrze upakować słomę w butach, żeby nie wystawała.

– Co tam? – czujnie zapytał Naholny.

– Piąta... – Zdebik się uśmiechnął, potem konspiracyjnie rozejrzał. – O tej porze Nestor... – zawiesił głos.

Wszyscy obecni zeszytnieli, bardziej lub mniej widocznie.

– Co – Nestor? – zapytał Komornicki, wiedząc, że Szef nie zapyta, a na pewno jest zaintrygowany, i nie lubi czekać.

– No... Nie zastanawialiście się nigdy, jak to jest, że jest sobie pułkownik, dajmy na to. Wtem, jeb, generał, minister *obe-en* wylatuje ze swojego schronu, i nagle ten pucio zostaje Ministrem Obrony Narodowej? Nie, poczekaj! – zamachał ręką przed nosem Sycza, który już miał gotową odpowiedź, jak zwykle głupią, ale najszybszą. – Nie chodzi o to, że awansował, wiadomo – jeden spada, drugi wzlatuje. Ale zastanawiające jest, że ten pucio, jeszcze wczoraj wybitny znawca taktyki i strategii, szkolony w Weimarze i West Point, znawca-srawca i temu podpierdolone, od awansu zaczyna mówić jak potłuczony.

– A dokładnie? – Naholny wciągnął górną wargę i niemal całą nakrył dolną wargą.

– A dokładnie to zaczyna mówić, że Żydzi organizują zamachy w Hiszpanii, żeby nie dopuścić do stagnacji, oczywiście nie wysadzają się i nie da się nawet połączyć ich z *samo-bojcami*, ale świeżo upieczony minister obeenu twierdzi, że istnieją fakty, które każą domyślać się żydowskiej ręki gmerzącej w islamistycznych bojówkach.

– Myślisz... – zaczął Sycz, ale Syczowi Zdebik mógł przerwać bez obaw i w każdej chwili.

– Czeka! Dobra, pierwszego dnia – srał go pies, gada, bo się nawalił z okazji megaawansu i pierdolił jak potłuczony. Ale następnego dnia ogłasza decyzję o zerwaniu kontraktu na sprzedaż naszych Rosomaków

i tracimy trzysta maszyn, tracimy zapłatę za nie i dochodzą do tego kary za niewywiązanie się z kontraktu. A minister mówi, że nie sprzeda Rosomaków, bo Mongolia może je wykorzystać w ataku na Polskę.

– No, fakt... – sapnął Sycz.

– Dwa dni później wysłała na zieloną murawę ośmiu generałów, a na ich miejsce powołała czterech kapelanów, bo – jak powiada – morale w ich jednostkach sięgnęło dna, i tylko duchowi sprawni przywódcy mogą je z odmętów wyciągnąć. I wiecie, co jest najdziwniejsze moim zdaniem? Nawet nie to, że on tak pierdoli, tylko że nikt go za to nie wypierdolił jeszcze! Od czterech miesięcy demoluje armię, truje kadre, straszy żołdatów i... nic! Nie zastanawia was to?

– Zastanawia – zgodził się Szef.

– A co zastanawia? – chytrze zmrużył oczy Zdebik.

– Że nie został odesłany do jakiejś kuchni w szpitalu polowym do obierania fasolki szparagowej.

– Właśnie. Nie został. Dlaczego?

Zastanawiali się chwilę wszyscy.

– Bo mówi co trzeba – powiedział cicho Zdebik. – Mówi to, czego chce Nes-ss-stor! Dlatego może pieprzyć. Ale więcej powiem...

Zdebik nagle poderwał się, podskoczył do konsoli, włączył jakąś muzykę, potem wyszarpnął z barku butelkę i zgarnął, nie licząc, garść kieliszków, o dziwo dokładnie tyle, ile było trzeba, cztery. Migiem ustawił je, nalał zimnej gorzały i wlał swoją w gardło.

– Nestor co wieczór warzy... takie warzewo... Nikt nie wie, co to jest... Coś takiego ruscy nazywają durman – zaczął mówić szybko, cicho i z widoczną ulgą. Brzemie musiało mu niezłe ciążyć. – Tylko że tam to jakieś babki worożychy warzyły, bieluń, mak, jakieś zioła bagienne. W sumie – chlali, potem mogli bić Szwedów czy Finów, czy kogo tam oni bijali. No, nieważne. Nestor skądś dostał recepturę, gotuje ją, kto chce być na topie musi pić. A potem, wieczorem, kiedy durman się wyszczy, dziwi się, co też w ciągu dnia nagadał, ale już za późno: za kilka godzin trzeba się meldować do Nestora i wlać w siebie pół szklanki warząchy.

Naholny pochylił się nad stołem, nieomal wkładając czubek nosa do kieliszka.

– Skąd takie dane? Piłeś to?

Zdebik na chwilę skamieniał, potem migiem nalał sobie drugi kieliszek wódki i błyskawicznie wlał do gardła.

– Tak. To cała afera była... Dowiedziałem się trochę o tej... komunii!.. wkradłem się tam od tyłu, o siódmej rano, wmieszałem w tłum i porwałem jedną porcję, wypilem i wlałem na to miejsce coś z apteki, żeby nie było, że brakuje, boby była chryja na całego.

– I?

– I migiem kazałem się zawieźć do domu, a tam zamknąłem się w piwnicy, bez Internetu i komórki, a klucz wyrzuciłem w pudełku przez okno. Żona wróciła z pracy i zobaczyła pudło, domyśliła się i wypuściła mnie. A ja potem posłuchałem sobie, co nagrałem na kompie. Do dziś mnie uszy pieką. – Potarł uszy dłońmi i potrząsnął głową. – Jedno jest pewne, znaczy więcej jest pewników, ale ten jest najpierwszy: nie można przerywać złopania durmanu, jak się wciągniesz, to potem już idzie gładko. Pierdolisz jak potłuczony i sam w to wierzysz, a przynajmniej się nie boisz i nie wstydzisz. No i jesteś w pierwszej lidze! Przy Nestorze!

– A jakie te inne aksjomaty? – zapytał Komornicki.

Z rozmysłem wypalił to przed innymi, umyślnie użył obcego słówka, żeby Szef nie musiał się męczyć.

– Na przykład, jak receptura zginie, to i cała rzesza polityków się wyzeruje: jedni się powieszą, inni uciekną do Szwajcarii, jeszcze inni wylądują w pierdłu...

– Ale receptura może zginąć tylko w jednym przypadku! – z cwaną miną odezwał się Sycz, machając wskazującym palcem w rytmie samochodowych wycieraczek.

Zapadła cisza, wszyscy oddali się rozmysłom nad przypadkiem i jego konsekwencjami. Sycz potrząsnął grzywą siwych włosów, jakby chciał odpędzić niedobre myśli.

– A może ma też jakąś warzuchę dla siebie... – powiedział. Powiedział, nie zapytał Zdebik. – Patrzcie na Putina, nie?

– Sam mówisz, że to od ruskich... – ni to odpowiedział, ni zaoponował Sycz.

Zapadła głucha cisza, nie całkiem głucha, opony jednak pomykały po asfalcie, a radio serwowało rapową wiązanę, po polsku i po niemiecku.

– A co z tym, któremu durman podebrałeś? – zapytał Naholny, niedbale rysując czubkiem palca kółka na stole.

– Dokładnie nie wiem, komu zabrałem. Ale sądząc po tym, że następnego dnia zdymisjonowano prokuratora wojskowego Siewierzyca?...
– wzruszył ramionami Zdebik.

Znowu przez chwilę, może kilometr, trwało milczenie. Potem Naholny zerknął na Komornickiego, rzucił szybkie i znaczące spojrzenie. Sekretarz zrozumiał, że należy zapamiętać tę rozmowę, bo prędzej czy później nastąpi do niej powrót. A najlepiej przygotować do niej... dane.

– I badanie krwi robią... – bąknął po chwili Zdebik, tuż przed tym oświadczeniem gwałtownie odetchnął, jak przed skokiem do lodowatej wody.

Szef szybko odwrócił się do niego, mierzył chwilę wzrokiem, potem poruszył wargami, ale nie odezwał się. Chyba odłożył temat na potem – pomyślał sekretarz. Naholny podniósł się, zrobił krok, chwycił termos z kawą. Kamper wszedł w łagodny zakręt, Naholny musiał oprzeć się o regał, odczekał aż wyszli na prostą. Dopadł kanapy.

– Co mamy? – zapytał, siadając z termosem w ręku.

Komornicki natychmiast puknął w leżący przed nim tabler.

– Och, ma pan sporo do zrobienia, szefie. Ale to jest najpilniejsze: od dwu tygodni jesteśmy zalewani...

– Słuchaj, ty umyślnie tak gadasz: „od dwu tygodni” zamiast, jak wszyscy ludzie: „od dwóch tygodni”?

– Oczywiście, że umyślnie – natychmiast przyznał się Komornicki. – Jeśli nawet się to komuś nie podoba, to i tak musi przyznać, że sam tak nie mówi, zatem...

Wzruszył ramionami.

– Właśnie, i takie „zatem”... – skrzywił się Naholny. – Dobra, mnie to nie rusza. Możesz sobie gadać.

– Dziękuję – Komornicki przysunął sobie szpon, włożył lewą dłoń i z wprawą mistrza gier biurowych najpierw powiększył czcionkę, potem wytuścił fragmenty, na które chciał zwrócić uwagę przełożonego. Naholny zastanawiał się chwilę, czy w „dziękuję” asystenta brzmiała leciutka drwina, czy tylko mu się to wydawało. – Proszę zwrócić uwagę, szefie, na to... – Puknął prawym palcem wskazującym w ekran. Aktywna matryca zapulsowała, zgasił pulsowanie poruszeniem palców lewej ręki. – Przez północną centralę w Kriormoutsi dochodzi do nas...

Odezwał się telefon, jeden z całej baterii umiejscowionych w dokach na obrzeżu biurka. Trel gorącej linii poderwał całą piątkę. Wyprostowali się w fotelach, dwaj sięgnęli do krawatów, zapomnieli, że je zdjęli już na początku podróży, cztery godziny temu.

Naholny skinął głową, Komornicki chwycił słuchawkę i, nie sprawdzając nawet kto dzwoni, podał ją przełożonemu.

– Halo? Dirk?

Powiódł oczami po obecnych, napotkał czujne spojrzenie najbliższych współpracowników.

– Sz-ciepan? To ty? – Głos kanclerza brzmiał czysto i nerwowo. – Słuchaj, Sciepan...

Naholny powstrzymał się od powtarzanego wielokroć w takiej sytuacji dowcipu, że nie jest żadnym ukraińskim Stiepanem, tylko Szczepanem, a Dirk Bodleck miał zwyczaj w tym miejscu obiecywać wizytę u logopedy. Dzisiaj jakoś nie czuli nastroju do żartów.

– Coś śmierdzi! – syknął Naholny, przycisnąwszy duży i wygodny, często używany klawisz *mute*.

– Posłuchaj, Ściepan. – Bodleck nadal mówił po polsku, ale już nie wysiłał się przesadnie na prawidłową artykulację imienia. – Wiesz, że stoimy murem, że wolie mieć do czynienia z tobo niż z jakimś nadmuchanym biurokrato z arystokratyczny rociny, nie? Ale, kurka, ty musisz czymać troche swoich ludzie, nie? Ty nie możesz im dacz robisz co im sze chce, tak? No, chyba że ty chcesz, żeby oni to robili?! Tak?

– Ale, Dirk, co? Powiedz, co zrobili, to ja ci powiem, dlaczego ja tego nie chciałem!

Bodleck nie wychwycił żartu. Albo nie chciał wychwycić.

– Twoje ludzie zaczymali pocziąg towarowy i wyrzucili na tory... te... prenty...

– Prenty? Prezenty? Powtórz, proszę.

– Prenty paliwowe... Uran, kurka, radioenergia... Nie, energia jądrowa, wiesz?

– Poczekaj! Wyrzucili na tory pręty z elektrowni jądrowej?

– Tak, idioty! Zaczymali począg, otworzyli wagony, wyrzucili na tory... Muszeliszmy symulowacz awaria, rozumiesz? I tak nas będom jebali wszyscy, wiesz? Ale nikt nie wie o twoich ludziach. Ale ja bym chciał wiedzieć – ty wiedziałesz? Aprobata?

– Ależ skąd! Dirk, na Boga! Po co by mi to było, po co miałbym przypominać o niewywiązaniu się ze zobowiązań o likwidacji energetyki jądrowej, po co mi Zieloni i cała reszta? Przecież przy okazji oberwie się... oberwałoby się i mnie, prawda?

– Oczywiście! Oberwie ja i mój rząd, oberwie twój człowiek i ty, i wszyscy Polacy, no bo kto otworzył wagony?

– Obiecuję ci szybkie i, kurwa mać, skuteczne śledztwo. A ten gnojek, co to zrobił, zatrzyma się dopiero na Uralu jak go kopnę w dupę!

– No to i dzięki, Sz-cz-epan. – Teraz Dirk Bodleck wysilił się i wypowiedział imię niemal poprawnie. – Załatw to, a ja załatwie swoje. I zmień to imię, na Boga – odkaszlnął. – Może na pierwsze? Czist!

Naholny rozłączył się.

Ciekawe, skąd wie, że na pierwsze mam Tadeusz? – pomyślał. Specjalnie przeskoczył na drugie, żeby się musieli męczyć, żeby kłaniali się, dukając... Ale jak to się teraz wyda, będą się dąsali. Dlaczego – jak? Przecież już wiedzą, dąsy za progim.

– Szefie? – Komornicki wyciągnął rękę, żeby odłożyć słuchawkę do doku, ale tak naprawdę ponaglał Naholnego. – Coś się stało?

– Stało, stało... Jakiś kretyn wywalił na tory paliwo jądrowe, pewnie te ścieki czy inne zużyte syfy. Wyobrażam sobie, jaka tam będzie pustynia...

– Włączyć TV?

– Tak, ale bez głosu... Stasiu, ty się dowiesz, gdzie to było, czyja to domena, komu odpierdoliła palma, po co to zrobił, w końcu. Może to jakaś prowokacja? Może to nie my? Zajmujesz się od tej chwili tylko tą sprawą, OK?

Staszek Sycz skinął głową, ruszył do przodu autokaru, już z dwoma komórkami w ręku, lewą ręką sypał LMS-a, prawą wybierał jakiś numer. Nikt w obecności szefa nie używał wybierania głosowego, skrótów i innych ułatwień. „Jak masz głowę tylko do numerów w łóżku, to wybij sobie też z tej głowy pracę u mnie. Ja nie będę w pilnej potrzebie wyszukiwał danych w książkach!”.

Na ekranie monitora, który jak wielka, metrowa łuska odkleił się od sufitu pojazdu, hybrydy campera z autokarem, przemykały już programy, na trzecim pojawiły się tory kolejowe, jakaś stacja, rozjazdy, górka rozrządowa... Cztery wagony w celowniku kamery, świetny obraz,

stabilny, kolory syte, wypas... Dookoła wagonów dziwny landszaft: nie, jak zwykle w przypadku awarii, katastrofy czy śmierci – tłumy policjantów, karetki, koguty niebieskie, koguty czerwone, nie. Tu stały dwa dziwne, płaskodache wozy z zimnymi, białymi kogutami na przedzie i na tyle, i krzątały się dwie osoby w aluminiowych, czy może tylko pokrytych aluminium skafandrach. Przez ekran przebiegła nazwa miejscowości, Stierh, nic nikomu nie mówiąca, w każdym razie wymienili skonsternowane spojrzenia. Dwa wagony, to widać było teraz z innego ujęcia, z mniejszej wysokości i z boku, wykoleiły się. Służby kanclerza, zgodnie z tym, co powiedział, działały. „Szymulowały”.

Komornicki zerknął na zegarek.

– Szefie. Obiecał pan nagranie na zjazd związku zawodowego „Bez Pracy” – przypomniał. – Albo wyślemy teraz, albo odpuszczamy.

– Szlag! Co to jest? Gdzie?

– Polski, peryferyjny, ale nie miał pan nic na dziś zaplanowanego, więc można było dać im trzy minuty.

– Dawaj!

Szczepan Naholny poderwał się, chwycił krawat, zawiązał go z cyrkową zręcznością, ściągnął węzeł, ruszył do tyłu. Stał na tle ściany oddzielającej salon od części sypialnej i sanitarnej. Odwinął się błękitny ekran za nim.

– Jakie tło dajemy?

Naholny zmarszczył brwi.

– Jak to jest związek „Bez Pracy”, to chyba im się nie pokażę na tle palm i plaży, nie? – warknął. – Jakiś industrialny pejzaż, że niby staram się o robotę dla nich. Szybko, kurwa, mam ważniejsze sprawy!

Komornicki uruchomił bluebox i kamerę.

– Nagranie! – krzyknął do kierowcy.

Tamten popstrykał w klawiaturę przed sobą, ton silnika uległ zmianie, jakby się zapadł pod karoserię, wóz sapnął, osiadł i zmiękł na resorach. Włączyły się silniki elektryczne, zawieszenie aktywne.

– Kochani! – powiedział Naholny. – Przed chwilą rozmawiałem z kanclerzem Rzeszy Dirkiem Bodleckiem. Nie dlatego wam to mówię, że chcę się pochwalić znajomością z nim. Choć może i to też? – Uśmiechnął się łobuzersko i puścił szybkie, małe „oko” do kamery. – Ale tak poważnie, to chcę wam powiedzieć, że kanclerz Bodleck rozmawia ze mną po polsku.

Po polsku rozmawiam też z premierem Francji, Danii i Belgii, uczą się polskiego szefowie rządu Austrii, Szwecji i jeszcze któryś. Już nie wspomnę o Czechach i Węgrach. Wiecie, co to znaczy? Wiecie, po co wam to mówię? To znaczy, że Polska jest silna w Europie jak nigdy! Że z Polską jak nigdy muszą się liczyć! Że Polska jest ważna, że wy jesteście ważni! – Zrobił pauzę.

Teraz każdy z nich pomyśli: „A co mnie, kurwa, obchodzi pozycja, poza pozycją mojej starej, skoro do gara nie ma co włożyć!?” – przemknęło przez umysł.

Omal się nie roześmiał.

– Ja wiem, że nie wszystkim jest dobrze, że nie wszyscy mają w domu ciepło, że nie wszystkie dzieci bywają nad morzem, nawet nad naszym, Bałtyckim... Ale to się nie mogło stać w jednej chwili, nie mogliśmy z biedy i nędzy, z zacofanej, sterowanej przez partyjnych bonzów gospodarki przeskoczyć bez bólu do kapitalistycznej. Z zachowaniem tego, co nasze, polskie, wydarte mocarstwom i nieprzychylniej historii! – *Oj, poniosło mnie, to matoly z zasypanych kopalń i wymrożonych sadów, chuj ich obchodzi historia. Dużo tego chuja, co ich obchodzi...* – To musiało boleć, i boli. Ale ból słabnie. Europa stoi dla was otworem, już dziś nasza młodzież może studiować na każdej uczelni Europy, w tym na tych najlepszych, na Sorbonie, w Cambridge, w Oxfordzie... – Skrzywił się. – Nie, Komar, to wytniesz, zostawisz „na każdej uczelni Europy”. – Wyprowadził na twarz szczerzy, szeroki uśmiech. – I lecimy dalej... – Odczekał kilka sekund, żeby ułatwić sklejenie wypowiedzi. – Jesteśmy w trakcie montowania nowych, intratnych kontraktów dla polskiego przemysłu, kończymy formalności w kilku gałęziach rolnictwa. Wkrótce przekonacie się, że w waszych regionach, w waszych miastach i wsiach pojawiają się nowe możliwości, nowe środki do zagospodarowania. Wy musicie je wziąć w swoje ręce, pokierować nimi i sobą. Bo kto jak nie wy? Sól ziemi i jej kość! Życzę udanych i owocnych obrad. Bóg z wami, kochani!

Odczekał chwilę, szarpnął krawat, rozwiązał i cisnął na poręcz fotela.

– Zobacz to, może przesadziłem z solą i kością...? Sprawdź, co to za ludzie, i albo daj, albo wytnij. – Komornicki skinął głową i przysunął do siebie laptopa, zajął się montażem i wysyłaniem nagrania. Naholny ominął go, usiadł przy stole, siorbnął kawy. – No to co tam mamy?

– Bagno. Oni, znaczy Niemcy... – powiedział szybko Listowiecki – ... żeby nie było tych hord Zielonych i pikiet, i całego tego syfu, zamaskowali dwa wagony spec, na zwyczajne, zadaszone lory do przewozu materiałów sypkich. Wszystko na zewnątrz cacy, ale, oczywiście, ołów, plomby, zamki. I wywozili to sobie cichutko. Albo do jakiegoś mogilnika, a potem na Ukrainę, albo i od razu tam. Donieck i tak zajebany i zrównany – wzruszył ramionami. – Ale ktoś to zmacał i, spowodowawszy zwarcie w instalacji sterującej na rozrządzie tam w Stierh... – skinął głową w stronę ekranu – ...zatrzymał pociąg. Potem, a to musiało być kilku ludzi!, rozczepili pociąg, odłączyli te cztery wagony...

– Powiedziałeś: dwa – przerwał mu Naholny.

– Tak, dwa spec i dwa zwyczajne, z ziarnem, chyba owsem...? Nieważne. Otworzyli, dupki, te wagony, i w jednym rozszczelnili zbiornik do przewozu. Oczywiście, mówienie o wysypaniu prętów na tory to wielkie uproszczenie i ładnie zabrzmie w tytułach gazet...

– A normalnie to jak jest?

– Hm... Wiem na razie tyle, że zużyty materiał paliwowy zawiera duże ilości materiałów, emitujących niebezpieczne promieniowanie. Z grubsza, takie wypalone elementy zawierają około trzech procent wysokoaktywnych produktów rozpadu... – Listowiecki czytał z ekranu, usiłując oderwać co jakiś czas wzrok od monitora, ale temat był mu kompletnie obcy. Nie mógł udawać, że cokolwiek się na tym zna. – ...Dziewięćdziesiąt pięć procent U-238, jeden procent U-235 i jeden procent plutonu. Po wyjęciu z reaktora elementy paliwowe są składane na jakiś czas do basenu z wodą, położonego wewnątrz budynku reaktora. Tu ich promieniotwórczość powoli maleje i same elementy stygną. Potem transportuje się je w pojemnikach ze ściankami o grubości prawie pół metra. Muszą zapewniać bezpieczeństwo nawet w przypadku katastrofy, można je zrzucić z około dziesięciu metrów na twarde podłoże, muszą wytrzymać godzinę pożaru, podobno nawet nie zaszkodzi im zderzenie z odrzutowcem...

– Ciekawe, podskakują tak wysoko, że mogą się zderzyć z nadlatującym samolotem? – warknął Naholny.

– Tak piszą w instrukcji...

– Może coś popieprzyłeś w tłumaczeniu?

– Raczej nie...

– Dobra, dalej i krócej!

– Taki zbiornik waży sześćdziesiąt ton i mieści co najwyżej cztery elementy paliwowe. Służą do składowania pośredniego albo do transportowania do zakładu przerobu. I co tu jeszcze...? Kiedyś niemieckie elektrownie jądrowe corocznie opuszczało około dwustu pięćdziesięciu ton zużytego paliwa jądrowego, dziś zaledwie dziewięćdziesiąt... No i to by było tyle...

Zapadła cisza. Cztery umysły meły pozyskane informacje, usiłując znaleźć w nich coś, co da się wykorzystać w ewentualnej bitwie. Listowiecki podrapał się za uchem.

– A znacie ten numer, jak Rada Państwa na Ukrainie zastanawia się, jak wykorzystać od lat przecież nieuprawiane ziemie dookoła Czarnobyla? Jedni radzą siał zboże, drudzy – okopowe, ale minister rolnictwa wszystkich kontruje, że i to i to zbiera świństwo z gleby i jest trujące, no – zabójcze, w każdym razie. A tu wstaje taki jakiś Hryć i mówi: „To obsiejmy tytoniem, a na opakowaniach napisze się: „Minister Zdrowia ostatni raz ostrzega, że palenie jest niebezpieczne dla zdrowia”!

Rozejrzał się, oczekując jak nie salwy rechotu, to przynajmniej soczystego śmiechu.

– Kurwa, głupiś jak cholera! – rzucił, uśmiechając się mimo wszystko Naholny. – Teraz przez ciebie może mi się coś takiego wyrwać, a tu nie Czarnobyl.

Komornicki wysłał przekaz, wrócił do biurka. Przewodniczący przystąpił do rozdziału zadań.

– Nieustanne monitorowanie miejsca katastrofy, Lisek, ty to trzymaj. Cokolwiek nowego, wal do mnie z priorytetem jeden! – powiedział Naholny. – Komar, ty mi wyszukaj sprawcę, ale wiesz, bardzo, bardzo dyskretnie, bo na ich miejscu, Szkopów, jakbym nie wiedział kto, tobym właśnie nas obserwował i czekał, kogo wskażemy palcem. OK?

– Tak jest, szefie.

– Czy na dziś mieliśmy coś ważnego?

– Nie.

– A coś mało ważnego?

– Och, coś się znajdzie. Działamy, jakby nic się nie stało, a już na pewno nie z naszej winy, tak?

– *Exactly!* – Wyciągnął pusty kubek w stronę Listowieckiego, ten rozwarł gardziel termosu i nalał kawy. – A tak, nawiasem mówiąc, dokąd

jechały te beczki z jądrami?

Listowiecki rzucił się do swojego laptopa.

– Normalnie, te najbardziej promieniujące elementy, po wyekstrahowaniu ich w zakładzie przetwórczym są zalewane szklivem, a beczki z tym składane w szybach solnych. Sól, według obecnego stanu naszej wiedzy, jest absolutnie szczelna, więc żadne zanieczyszczenie promieniotwórcze nie powinno przedostać się do środowiska, na przykład do wód gruntowych. Dlatego niemal wszystko pakowali kiedyś do pokładu solnego w okolicach Gorleben, ma długość piętnastu kilometrów, szerokość czterech i leży na głębokości od trzech tysięcy do trzystu metrów. Ponieważ przez sto milionów lat nic się tam praktycznie nie zmieniło, zakłada się, że i w przyszłości pozostanie stabilny. – Gładko przełożył z niemieckiego, choć wszyscy obecni posługiwali się tym językiem sprawnie i mógł tylko przeczytać dane z ekranu.

– A ta dziura...? – Naholny pstryknął palcami i pokręcił dłonią w powietrzu.

– Stierh – odpowiedział natychmiast Komornicki.

– Stierh... Leży na trasie do Gorleben?

Chwilę trwało, zanim Listowiecki wykreślił na ekranie linie od czynnych elektrowni do mogilnika.

– Raczej nie... – powiedział w końcu.

– Zapamiętajmy to. – Naholny uniósł palec do góry. – To może nam się przydać: dokąd wieziono te szklane... bombki?

Roześmiali się wszyscy.

– No a teraz mniej śmiesznie: kto to zrobił?

Odpowiedziała mu cisza.

– Że któryś z naszych – rzecz wiadoma. Od czterdziestu lat nikt nie protestuje przeciwko cemukolwiek bez naszej wiedzy, przyzwolenia, planu, a najczęściej i wykonania. – Wychylił się i, ponad ramieniem siedzącego tyłem do kierunku jazdy Zdebika, zawołał do kierowcy: – Pośpieszajmy, Karolu, gazu! – Postukał palcem w stół. – Kto siedzi w tym regionie? – Ruchem brwi wskazał gdzieś za siebie, ale wszyscy rozumieli, że chodzi o region Stierh.

– Sendzikowski – odezwał się po raz pierwszy od dłuższej chwili Zdebik. – Znam go trochę, nie wygląda na świra.

– No bo nie musiał on sam!

– Oczywiście, ale też i nie trzymałby u siebie kogoś nieodpowiedzialnego – niespiesznie i cicho powiedział Zdebik. – Wietrzę tu jakąś prowokację.

– Dobra, to jest awaryjny tekst na potem: „określone siły” i tak dalej. Znam to. Ale mówmy do siebie, czystym kodem, bez szalunku i malunku.

– Ale ja naprawdę nie widzę możliwości popełnienia takiego głupstwa przez naszych ludzi. To wszystko stare, wypróbowane kadry, niektórzy jeszcze zboże w Polsce wysypywali, uczestniczyli w walce o układ nicejski, pamiętają wejście do Unii, pierwsze udane staże-angaże... – Zdebik pokręcił głową. – Tak doświadczeni ludzie nie mogli tak spieprzyć roboty. Ja to niemal wykluczam...

– A ponieważ różnica między „niemal umarł” a „umarł” jest zasadnicza, to – mimo że ja też „niemal”, działajmy jak w najgorszym wariantcie – powiedział z mocą Naholny, ucinając dyskusję.

Hypercamper zbliżał się do Brukseli. Spolaryzowane szyby nie pozwalały z zewnątrz zajrzeć do środka, chociaż krążyły pogłoski o sprytnych dziennikarzach czy może raczej paparazzich, którzy mieli jakiś patent na przenikanie przez tego typu szyby. Do miasta śpieszyły setki i tysiące pracowników. Stolica Europy szykowała się do nowego roboczego dnia. Na szczęście, centralny jej budynek, zwany przez wszystkich „Jumping Frog” – „Skaczącą Żabą”, stuczterdziestopiętrowy kolos na dwóch nogach, z dwoma „przednimi łapami” wyciągniętymi nad głowę do skoku, zgięty w „pasie” i wychylony do przodu, stał poza właściwym centrum miasta.

Naholny nienawidził tego budynku. Patrząc nań, za każdym razem spodziewał się, że żelbetowy potwór dokończy ukłon i zwali się „na pysk”, miażdżąc dwa kwartały przyległych budynków – office’ów, sklepów, muzeów, ciągów usługowych i dydaktycznych; łapami zgarniając kolejne trzy kwartały, sięgając – jak wyliczył jakiś pismak – aż do słynnego z masakry kibiców stadionu Heysel. Tak samo krzywił się na Atomium, i nie był ani razu w jego wnętrzu, a nawet w pobliżu. Zresztą, Naholny bał się również kościołów, choć z tym akurat się krył, i wszelkich innych wieżowców. Nie dał się nawet namówić na zwiedzanie pomnika ofiar zamachu na WTC, i podczas pobytu w NY skrzętnie wykorzystał zaproszenie Polonii, by się z wycieczki urwać. Ale do „Żaby”, chciał tego czy nie, wchodzić musiał. Wypracował więc rytuał, którego przestrzeganie

przez niego samego i przez otoczenie pozwalało mu w miarę komfortowo pracować w budynku, którego nie znosił i którego się bał. Kierowca zablendował okna w salonie, jednocześnie włączyło się światło o parametrach możliwie zbliżonych do tego na zewnątrz, autokar wjechał na podjazd, dwie minuty trwała kontrola zewnętrzna, do wewnątrz nikt nie wchodził, wystarczyła transmisja na ekrany kontrolne straży. Chwilę potem byli w garażu, a potem w windzie. Można było udawać, że jest się w innym budynku. To pomagało.

Teraz, kiedy nie było widać charakterystycznego pochylenia budowli, a tym bardziej nie odczuwało się tego, ponieważ wszystkie pionowe i poziome we wnętrzu zachowały swoje właściwości, Naholny potrafił stłumić lęk i zająć się czymś sensowniejszym. Natomiast w samym gabinecie z reguły czekało nań tyle pracy, że już nie musiał niczym oszukiwać umysłu.

Sekretarka powitała go przy drzwiach, dała znak ręką, reszta świty usunęła się, a Maria, maszerując przy Naholnym, wyższa od niego o pół głowy, o całą nawet w szpilkach, coś mu przekazywała. Z jej twarzy nigdy nie można było wysnuć wniosku co do wagi relacjonowanej sprawy, to mogło być zalanie gabinetu gównem z kanalizacji, jak i upadek rządu w Słowacji. Listowiecki wymienił spojrzenie z Komornickim, Zdebik szedł zamyślony, raczej pochłonięty przeglądaniem w umyśle listy potencjalnych idiotów, którzy dopuścili się akcji na torach. Sycz rozglądał się po sekretariacie wielkim jak boisko do siatkówki. Wszyscy wiedzieli, za kim się rozgląda, tylko Sycz nie wiedział, że wiedzą. Wiedział nawet Michał Groeder, kochanek Sycza, ale nie miał odwagi powiedzieć tego partnerowi. Może dlatego, że znali się bliżej dopiero od dwóch miesięcy. Komornicki wiedział, że Naholny wie, i że aprobeje. Tym sposobem jego image Europejczyka zyskał odpowiednią barwę i pełnię.

Dotarli do gabinetu Naholnego. Tu ekipa się rozdzieliła: Maria zrobiła krok w bok i – wypadłszy z orbity, czy raczej sfery przyciągania Naholnego – została z tyłu, Listowiecki z Syczem poszli do swojego gabinetu, Zdebik – zamyślony automat – pomaszerował w lewo, do pokoju dzielonego z PR, Jakubem Smolką, tylko Komornicki pomaszerował za szefem, wyprzedził go na ostatnich metrach, otworzył drzwi, wpuścił do swojego pokoju i od razu runął do biurka, chcąc jak najszybciej dopaść sterty spraw, jaka na pewno narosła podczas ich czterodniowej wyprawy do Francji.

Przywódca związkowy Zjednoczonej Europy w milczeniu zniknął za drzwiami swojego pokoju.

Była dziewiąta czterdzieści, Komornicki zdołał załatwić kilka pilnych, ale mało ważkich spraw, odpowiedział na zaproszenia, negatywnie, podał kilka danych z życiorysu bossa do nowej edycji *Who is Who in UE*, podpisał stos delegacji, rachunków i faktur. Prawda razy dwa, szef zakazał „chamowni”, nie jak Turcy razy trzy czy Brytole razy cztery.

Rutyna. Zadzwoił telefon. Maria użyła linii „WAŻNE”.

– Dzwoni prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, pan Jarosław Bratkowski – powiedziała.

Na wszelki wypadek podpowiedziała szefowi, jak się ten głąb nazywa, żeby nie było siary.

– Dziękuję. – W ciemno pobawił się przełącznikami na słuchawce. – Słucham, Kornel Komornicki, asystent pana przewodniczącego.

– Dzień dobry panu, kancelaria prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Janina Rastawiecka. Czy pan przewodniczący znajdzie kilka minut na rozmowę z prezydentem Bratkovskim?

– Tak jest, już łączę. – Mały ruch palca na słuchawce. – Panie przewodniczący, prezydent er-pe, pan Bratkowski.

– Łącz, i zostań na linii.

– Dobrze. – Pstryk! – Łączę.

Chwila ciszy w słuchawkach, potem jakieś piknięcia, delikatne sygnały skanujące linię.

– Halo? Bratkowski.

– Dzień dobry, panie prezydencie. Witam serdecznie.

„Witam serdecznie” – to zwrot, jakiego Naholny nauczył się w czternastu językach. Potrafił też w osiemnastu zrozumieć pytanie: „Czy on nas rozumie?”. I zachować przy tym kamienną twarz.

– Ja też się cieszę, słysząc pana w dobrym zdrowiu.

– Dziękuję. Nie narzekam. Praca uzdrowia, panie prezydencie.

– Aha? No to będę się musiał zabrać do jakiejś pracy...

– Doceniam żart, panie prezydencie. Doceniam. Pan, człowiek tak zapracowany...

– Dobra. Już się nasi sekretarze dostroili. Możemy do rzeczy. Czy pan się wybiera do Polski w jakiejś wyobrazalnej przyszłości? A może do Berlina?

– Do Berlina... Tak, do Berlina się wybieram...

I pan o tym dobrze wie, panie prezydencie!

– Właśnie, tak przypuszczałem. Otwarcie wystawy „40 lat Nowej Europy” to świetna okazja do spędu całej wierchuszki, nie może tam pana zabraknąć. A skoro tak, to chciałbym panu urwać godzinę, może dwie, nie więcej.

– Czy to coś, co powinno mnie zaniepokoić? – ostrożnie zapytał Naholny.

– Chyba tak, o ile zależy panu na dobrobycie Polski.

– Chyba zależy.

– No to powinniśmy się dogadać.

– A z jakiego konkretnie powodu powinienem się niepokoić?

– Z tego, z jakiego niepokoją się nasi unijni sąsiedzi i kamraci. Wie pan, jakiś najbliższy incydent, jakiś niepotrzebnie rozdmuchany strajk, jakiś mityng, jakaś blokada dróg, mogą być kroplą, która może dopełnić czary goryczy i ją przepełnić, cholera!

Wie o Stierh! – pomyślał Komornicki.

– Czyli...? – W głosie przewodniczącego słychać było czujność.

On też przypuszczał, że prezydent wie.

– Pan dobrze wie, panie przewodniczący. Pan wie. Oblicza się, dość dokładnie, że około sześćdziesięciu czterech tysięcy Polaków pracuje na wszelkich poziomach struktur związkowych. Pewnie nawet więcej...

Pewnie, że więcej. Siedemdziesiąt trzy tysiące!

– Żaden strajk, żaden protest, żadna głódówka i pikietą nie obyją się bez Polaków, bez ich przywództwa, bez ich naporu. Kanclerze, premierzy i prezydenci reszty Europy uważają, że ich rodacy są już tak zmanierowani, tak wygodni i syci, że bez tej energii Polaków związki zawodowe dawno by już wymarły i rządzenie krajami Unii stałoby się prostsze i – nie bójmy się tego słowa – efektywniejsze. Tymczasem ten, jak oni to nazywają, desant polski, ich zdaniem tylko i wyłącznie dla własnych, partykularnych interesów, trzyma się związków, nie daje im przycichnąć, wygasnąć...

– Nie daje im prowadzić narodów jak stada baranów! – wtrącił Naholny akurat w momencie, jaki przewidział Komornicki.

– Pa-anie przewodniczący! – powiedział z urazą w głosie Bratkowski. – Po co ta mityngowa retoryka? Mówmy, jak to pan kiedyś ujął, bez szalunku i malunku. Tym ludziom, dziewięćdziesięciu ośmiu procentom tych

aktywistów, zależy na stanowisku, na posiadzie, na wygodnym mieszkaniu w Europie, nawet na pewnej sławie. Światła, reporterzy, wywiady, akcje, telewizja... Pana to może nie bawi, ale pana nie rozpatrujemy w tej kategorii pasibrzuchów. Europa pana nie chce ruszać, ale bardzo by jej zależało na pewnym powściągnięciu podwładnych. Przecież co nas, Polaków, obchodzi dąb korkowy? Tymczasem w jakimś lokalnym związku w Portugalii, związku liczącym czterdziestu sześciu członków jest siedmiu Polaków!

– Nas, Polaków, obchodzi, byśmy byli w Europie widzialni, byśmy coś znaczyli. Byśmy aktywnie kształtowali politykę Unii.

– No, nie wiem, nie wiem, czy nam to służy tak, jak to pan sobie wymarzył. Ja, osobiście, sądzę, że powinniśmy się trochę... jakby wyciszyć, uspokoić...

– Bo?

– Bo!.. Bo!.. – burknął prezydent. – Bo jesteśmy na ostatnim miejscu na liście dotacji. Ciągłe grzebiemy się w tym samym miejscu, ciągle nie możemy ruszyć, a inne kraje mogły, do diaska! Proszę – Słowacja, Węgry, Czechy, Litwa... Jakie tam są wskaźniki! Jak tam kipi i wrze! Jak do nich walą inwestorzy, a my tylko myto na Ukraińcach... A ci też nas nienawidzą, port w Kaliningradzie i białoruskie koleje zabierają nam z każdym rokiem coraz więcej klientów z Rosji i Ukrainy.

– Nie bardzo widzę związku...

– Przepraszam, musi pan widzieć i widzi, tylko nie chce się pan przyznać. Związek jest taki, że dają nam, wciskają właściwie, to, co muszą, i ani centa, ani kropelki więcej, bo mają nas dość. Naszych pretensji, naszych żądań, wymagań, naszych wyciągniętych łap! W tej sytuacji może coś w samej Polsce pęknąć, a po co nam to? Może coś pęknąć w samej Unii, a po co to panu? I tak dalej.

W słuchawkach zaległa cisza. Tak głęboka i długa, że Komornicki nie wytrzymał i przycisnął dwukrotnie *flash*. Nie, linia działała.

– Hm... – powiedział w końcu Naholny, żeby tylko coś powiedzieć.

– Dziwię się panu, że pan, stary wyjadacz, doświadczony działacz, stary, że tak powiem, lis związkowy, nie zauważył, że kita się panu jarzy?

– Jeśli mam być szczery, to nie widzę jeszcze żadnego pożaru.

– Ach, no chyba że ma pan duży korzec, pod którym uda się panu ukryć dzisiejszy owies. Bo jak nie...

– Przyznaję, podrzucił mi pan trochę materiału do zastanowienia, panie prezydencie – szybko przerwał mu Naholny, żeby nie padły niepotrzebne słowa. I manifestując chęć namysłu, rozważania i działania. – Nie sędzę, by sytuacja była rzeczywiście aż tak poważna, ale skoro pan się tym troska, to mnie nie pozostaje nic innego, jak co najmniej zwrócić na to uwagę. Obiecuję, że głęboko się nad tym zastanowię. Naprawdę. A jak spotkamy się w Berlinie, za... Ile to? Trzy tygodnie...? Porozmawiamy spokojnie i szczerze, dobrze? Może coś się do tego czasu urodzi?

– Dobrze by było, panie przewodniczący, dobrze by było!

– No to dołożymy starań, a skoro tacy ludzie jak pan się do czegoś zabierają, to efekty muszą być, panie prezydencie.

– Bez wazeliny, panie Szczepanie, bez wazeliny!

– Ja? Wazelina? W życiu!

– Dobrze, cieszę się, że podziela pan w pewnym choćby stopniu mój niepokój, już się cieszę na spotkanie w Berlinie.

– Ja też się cieszę. Do widze... Aha, panie prezydencie! Co to pan powiedział o owsie? Bo, rozumiem, nie było to bez znaczenia?

– Owies? Ja? No nie pamiętam... Owies, żłób, siano...? Nie kojarzę...

– No nic. Może się wszystko wyjaśni w tak zwanym międzyczasie. Do widzenia, tak?

– Do miłego zobaczenia. Wszystkiego najlepszego!

„Wszystkiego najlepszego” to drugi zwrot, którego przewodniczący związkowej Europy mógł użyć w czternastu językach. Czternaście „trojek”, poza opanowanym dobrze niemieckim, oczywiście.

Rozłączyli się. Komornicki nie potrafił przenikać wzrokiem ścian, ale doskonale wiedział, jak wygląda teraz szef: rozchylone wargi, paznokcie wskazującego i trzeciego palca uderzają szybko w górne zęby, wzrok utkwiony w czymś, czego nikt poza Naholnym nie widzi. Najczęściej przy tym powtarza swoje słynne „trojki”: „*Ik wens jullie al het beste toe*”, „*Mahtaako hän ymmärtää meitä?*”, „*Heeft hij ons begrepen?*”, „*Hjärtligt välkommen*”, „*All the best!*”, „*Förstar han oss?*”... Cztery tuziny zwrotów, i ani jednej wpadki!

Odmówi te godzinki, wezwie mnie do siebie i przekaże jakąś ważną decyzję, niekoniecznie dotyczącą tematu rozmowy z prezydentem Bratkowskim. Niemal zawsze po trudnej rozmowie, żeby się kompletnie

od niej odbić, gada do siebie w czternastu nieznanym językach. Schizojakieś...?

Odezwał się sygnał interkomu.

– Komar, pozwól do mnie.

– Już, panie przewodniczący.

Poderwał się, zablokował drzwi wejściowe i szybkim krokiem dopadł biura przewodniczącego. Szczepan Naholny właśnie zamykał usta. W pokoju jeszcze wisiało echo werbla paznokcie – zęby.

– Co o tym myślisz? – zapytał, gdy tylko Komornicki przekroczył próg.

– Co najmniej warte rozważenia. Musiał dostać mocny sygnał. Tylko nie bardzo wiem, co możemy zrobić.

– Wypieprzyć kilku durniów zawsze możemy.

– Wypieprzyć kilku to nawet bez rozmowy z prezydentem powinniśmy. Mam na myśli te odpady.

– No tak... To na pewno. Ale czy on nie przegina? Może to cwana gra, w której samodzielnie i własnoręcznie mam osłabić swoją pozycję?

– E! – zaprzeczył Komornicki. – Nawet jeśli oddamy trochę foteli, to przecież są wice i sekretariaty.

– No tak... Tak...

Chwilę milczał i ważył coś w umyśle.

– Dobra. Jakies ruchy trzeba będzie zrobić, coś im rzucimy i popatrzemy, co oni na to. Inna sprawa, że rzeczywiście mało płynie do Polski. Może byśmy w wolnej chwili przyjrzeni się temu problemowi?

– Rozumiem. – Komornicki zakonotował, że „mają” się przyjrzeć temu problemowi. – To by się spodobało w kraju, gdyby przez centralę coś popłynęło do ojczyzny.

– Inna sprawa, że nie jest moim zadaniem poprawianie budżetu Polski... – mruknął Naholny. – Aha! Przypomniałem sobie, wystukaj mi numer tej dyrektoruni parku. Wiesz – zmarszczył czoło – Białowieża...

– Już. – Komornicki zadowolony, że nauczył się numeru na pamięć, wystukał go na konsolce przewodniczącego.

– Asystent przewodniczącego Szczepana Naholnego. Czy pan przewodniczący może mówić z panią dyrektor? Tak? Świetnie. Przekazuję słuchawkę.

Naholny odchylił się w fotelu, poskubał ucho.

– Bierzynska, witam pana przewodniczącego.

– Ja również serdecznie witam. Cieszę się, że panią w zdrowiu zastaję i radosnym humorze. Może coś z tej radości skapnie i na moją dolę...? – Puścił do Komornickiego oko.

– Postaram się, panie przewodniczący. A konkretnie, co by miało skapnąć?

– No jak to? Trochę ziemi pod pani władaniem!

– Pa-anie przewodniczący! – rzuciła Bierczyńska z urazą. – Przecież już na ten temat rozmawialiśmy. Nie mogę, nawet dla pana, robić wyjątku. Park Narodowy nie ma niepotrzebnych pięciu hektarów na zabudowę.

– Nie pięciu a dziesięciu, i nie na zabudowę, tylko na zagospodarowanie. Ja tam nie zamierzam budować zajazdu z parkingiem, tylko mieć miejsce, gdzie mógłbym z rodziną i najbliższymi przyjaciółmi oderwać się od pokus świata, pomyśleć, rozważyć, zaplanować... To ma być dom, trochę zwierzyny, klasyka, konie, psy, koty... Czy to pani bardzo przeszkadza?

– Mnie, panie Naholny... – O, wkurwiła się: „panie Naholny”, pomyślał Komornicki – ...przeszkadza konstytucja, która nie daje mi możliwości rozdawania ziemi, której mam właśnie pilnować i pozostawić całemu narodowi, a nie wybranej grupie do planowania i rozważania!

O, bardzo się wkurwiła. Posypią się iskry i polecą łby! – Przemknęło przez myśl Komornickiemu.

– Droga pani, proszę mi nie mówić, że z pani obejścia nie można wykroić zakichanych dziesięciu hektarów.

– Wie pan co? Wie pan co? Mój poprzednik wykroił, jak pan to gastronomicznie ujął, dwa hektary dla... Dla „Kogoś Ważnego Nieważne Dla Kogo”. A ten ktoś z kolegami ustrzelili jelenia z czerwonymi rogami!

– Są takie? – zdziwił się Naholny.

– Tak, malujemy, żeby jakiś debil nie ustrzelił takiego okazu przez przypadek. Ale ten kretyn nie ustrzelił przez przypadek, on go ustrzelił z rozmysłem!

– Ale! Z mojej strony nic takiego pani i pani puszczy i jej mieszkańcom nie grozi! Pod słowem honoru! Ja przecież w ogóle nie chcę w niczym pani przeszkadzać, nawet wolę gdzieś na uboczu, poza szlakami turystycznymi...

– Och, to przynajmniej tyle dobrego! – Parsknęła ironicznym śmiechem pani dyrektor.

Naholny poddał szkliwo zębów mocnej próbie. Po kilku sekundach szczękościsk odpuścił.

– Cieszę się, że panią rozbawiłem. Ale wracając do parku biało-wieszczkańskiego... Proszę pamiętać, że są fundusze w Unii...

– Panie przewodniczący. Ostrzegam, że nagrywam wszystkie rozmowy, i chcę, żeby pan to wiedział, zanim palnie coś, czego potem może żałować!

A tu się, słonko, mylisz! – pomyślał Komornicki. Na początku rozmowy, o czym nie wiedziałaś, otrzymałaś spakowany programik, który pozwala ci słyszeć pana przewodniczącego. Ale się zdziwisz, kiedy się okaże, że nagranie rozmowy to kupa szmerów, trzasków i szelestów! Intrygi to nie pani specjalność!

– Ja rzadko czegoś żałuję, pani dyrektor, dlatego że zanim otworzę usta, zastanawiam się, co powiedzieć. Nie boję się pani gróźb, bo nie mam czego. Historia parków narodowych zna precedensy...

– Nie mój!

– Zgoda, pani nie. Ale też nie wiadomo jak długo będzie pani. Dziękuję za pouczającą rozmowę. *Hasta la vista, byjbe!* – Wychylił się i trzasnął w klawisz przerywacza. – Sunia jedna.

– Panie przewodniczący, za przeproszeniem, kazał mi pan interweniować w takich przypadkach: nie *hasta* tylko *asta* i nie *byjbe*...

– Pierdol się, Komar! Chciałem dopiec tej małpie. – Wyciągnął z szuflady tasiemkę lukrecjową, oderwał kawałek i włożył do ust. – Sądziś, że nie wiem, iż za plecami nazywacie mnie „Nachalny”? Albo „Człowiek z brukselki”?

– Przepraszam, „Nachalny” to mówią dziennikarze, i to ja o tym panu powiedziałem. Nie odzywałbym się, gdyby mi pan sam tego nie polecił, że mam poprawiać...

– Poprawiaj, ale miej świadomość. Poza tym, ludziska na dołach *lubieją*, jak władza coś palnie, to ich zbliża, to im daje poczucie, że władza nie jest obca, jest nasza, taka sama głupia...

„Człowiek z brukselki” roześmiał się serdecznie. Komornicki uśmiechnął się tylko. To on wymyślił i po pijaku palnął coś takiego podczas jakiejś imprezki. Co prawda, nikt chyba, poza nim, nie pamiętał, z czyich ust uleciała parodia klasycznego tytułu, ale pewności nie miał i często zastanawiał się, jak i na kogo autorstwo zwalić.

– Dobra. Na razie dziękuję. W wolnej chwili zerknij na jakieś inne, fajne tereny gdzieś na odludziu, ale nie na zadupiu.

– Panie przewodniczący, jeśli pan się upiera przy Puszczy Białowieskiej, to po drugiej stronie granicy może pan dostać pięćdziesiąt hektarów – ostrożnie przypomniał Komornicki.

– A na chuj mi za kordonem? Co ja tam, dojarki będę macał? Daj mi spokój, chłopie. Po prostu popatrz, gdzie jest jakiś spolegliwszy dyrektor. A ta niech się na razie trzęsie, co jej wytniemy.

– A wytniemy?

– A wiesz, że nie wiem? Nawet mi trochę zaimponowało babsko!

– Rozumiem.

Komornicki wyszedł, odblokował drzwi wejściowe i usiadł przy biurku. Miał do posegregowania pocztę, ale na tablerze pojawiła się pulsująca fioletowo ikonka. Przygryzł dolną wargę: iść do szefa czy zrobić tę spowiedź samemu, a Naholnego tylko powiadomić? Uznał, że szef ma na dziś dość rozrywek. Wszedł do aplikacji i wybrał jednaście tandetnych, ale prawdopodobnych grzechów, na czele bluźnierstwo, niepohamowanie w picciu, zaniechanie modlitwy codziennej... Odebrał wymierzoną pokutę, nie patrząc nawet, co zaordynował program, pyknął w kwadracik rozrachunku i wysłał odpowiednią kwotę na renowację Lichenia. Czy Rozwary?

Dupy zawracanie!

Wrócił do segregowania poczty. Machinalnie rozkładał listy na cztery grupy, umysł jednak miał zajęty czym innym. Czy nadszedł czas na skok ze zgrzytającego na zakrętach tramwaju? Czy Nachalny już na tyle mocno podpadł wszystkim najważniejszym, że wcześniej czy później zdecydują się na gwałtowny ruch? Ale kiedy: wcześniej czy później? Czy on, Komar, zdoła jeszcze do tego czasu zebrać kapitał? I ten dosłowny, i ten przenośny: informacje, kontakty, przyjaźnie? Argumenty? Haki?

Zorientował się, że zbyt głęboko się zamyślił. Listy wcale nie były sortowane, tylko rozkładane na chybił trafił.

Westchnął i zabrał się do zbierania z każdej kupki kilku ostatnich kopert. W końcu najmniejszą kupkę przetasował, przełożył na górę najważniejsze, wyrównał. Włożył do kasety koperciarce, która przy okazji otwierania miała pobrać próbki powietrza i zawartości kopert, by nie przepuścić jakiegoś zamachu, choćby modnego w ostatnim czasie wirusa Nimbo, odczekał

chwilę, a gdy pojawiła się ikona zielonej koperty i sięgał do kasety, otworzyły się drzwi i stanęła w progu Maria.

– Panie Kornelu, przyszedł pan Ryszard Pus... łulak... Pus-łu-lak – poprawiła się. – Polskie, a jakie trudne. – Uśmiechnęła się przepraszająco.

Kornel zmarszczył brwi. Takiego nazwiska by nie zapomniał. Pusłulak?

– A nie Pustulak? Może źle pani kreseczkę postawiła, pani Mario?

– Nie. Sam się przedstawił. Wyraźnie. Przecież człowiek wie, że wszyscy go przekręcają.

– Dobrze, ale czego chce?

– Koniecznie rozmowy z panem przewodniczącym.

– Wykluczone.

– W takim razie kilka słów z panem.

– Jak go pani ocenia, pani Mario?

– Dziwny. Zdenerwowany, zły, niewyspany, przeziębiony, nieświeże ubranie, ale w dobrym gatunku... Powiedziałabym, że spędził noc w zatłoczonym pociągu.

– Proszę go do mnie skierować. Dziękuję.

Maria wyszła, Komornicki przesunął rękę bliżej klawiatury, z której mógł jednym ruchem wystrzelić w kierunku petenta lepłą sieć, paralizator i zwalić go potężnym strzałem z wibratora elektromagnetycznego.

Ktoś raz stuknął w drzwi i od razu je otworzył.

Kobiece i sekretarskie oko Marii bezbłędnie dostrzegło w mężczyźnie wszystko to, co było w nim ważne: czyste, ale nieświeże ubranie, wory pod oczami, szczecina na brodzie i policzkach... Jakby uciekł porywaczom albo niczym wierny kurier całą noc pośpieszał tu z ważnym doniesieniem dla Naholnego.

– Słucham pana? Rozmowa z przewodniczącym Naholnym jest wykluczona. I dzisiaj, i w ciągu najbliższych kilku dni. Ale jeśli pan zdradzi, co to za niezmiernie, jak rozumiem, ważna sprawa... – zawiesił głos.

– Nazywam się Pusłulak. – Rzeczywiście wiedział, że ma nazwisko niczym z listy trudnych słów do ćwiczeń na pierwszym roku szkoły aktorskiej. – Ryszard Pusłulak. Chcę rozmawiać z panem Naholnym. Muszę z nim rozmawiać. Przysłał mnie Marek Sendzikowski.

Komornicki potrzebował trzech czwartych sekundy, by ustawić nazwisko w całym ciągu skojarzeń: Sendzikowski – Stierh – owies...

Tu skojarzenia kończyły się, nawet w myślach nie chciał dodawać czegoś typu: uran, odpady, zużyte paliwo.

– Proszę usiąść, panie Puślulak.

Udało się, nazwisko – słowo śliskie i jędrne jak ślimak – przemknęło gładko przez aparat artykulacyjny asystenta. Stuknął w klawisz „p”, poderwał się i, wiedząc, że Naholny już został powiadomiony o jego wejściu, bez pukania wpadł do gabinetu przewodniczącego.

– Przyszedł niejaki Puślulak. Ryszard. To jest ten, co wysypał w nocy na tory...

– Kurr... Dawaj go. A gdzie jest ten...? – Strzelił palcami.

– Sendzikowski?

– Tak-tak!

– Nie wiem, zaraz zlokalizuję i...

– To potem. Teraz dawaj tego durnia.

– Czy mam...

– Tak, zostajesz.

Komornicki otworzył drzwi, gestem ręki zaprosił petenta do środka. Zamknął za nim drzwi, rzucił okiem na swój chronometr-tablid. Jedenasta czterdzieści sześć, sekretariat zablokowany, system antypodsłuchowy uruchomiony, brak usiłowań włamań do systemu od ostatniego testu, czyli od czterech godzin i oś...

– Kim pan jest? – Rzucił przez zęby Naholny, nie zapraszając gościa, by usiadł.

– Ryszard Puślulak, panie przewodniczący.

– W dupie to mam. Kim pan jest w strukturach, pytam?!

– To jest okręg czwarty, sekcja rolnicza. Bezpośrednio podlegająca panu Sendzikowskiemu...

– A on gdzie jest?

– W.. w szpitalu... Wylew...

– Ładnie! – Naholny płaśnął dłonią w biurko. Wstał i podszedł do okna, zapominając, że nie lubi tego widoku. I tak wywalczył, że ma gabinet nie – jak pierwotnie go zlokalizowano – w tej wychylonej części korpusu „Skaczącej Żaby”, tylko na jej „grzbiecie”. – Wcześniej go wylało, czy po twoim wyskoku?

– Po.

– No, przynajmniej tyle. Nie tylko mnie trafił szlag.

Odwrócił się i podszedł do biurka. Nadal nie wskazał gościowi krzesła. Trzydziestolatek, z wydatnym, haczykowatym nosem, pokąsanymi wargami, z nerwowo poruszającymi się w jakimś rytmie, zrodzonym we wnętrzu, w duchu, w zdenerwowanym umyśle, palcami stał z pochyloną głową, jak uczeń na dyrektorskim dywaniku.

– Opowiadaj.

– To był jeden wielki kiks, panie przewodniczący. Niebawo, niesprzyjający zbieg okoliczności, kto...

– Ustalmy tak: ty relacjonujesz fakty, a ja wystawiam recenzję, OK? To będzie sprawiedliwy podział.

– Nasza sekcja miała przydzielony wysyp już w ubiegłym kwartale, ale z jakiegoś powodu przesunięto go na sekcję jedenastą. Pan wie, że nie można wykonywać dwóch podobnego typu akcji w tej samej lokalizacji. Więc jak oni przeforsowali swój wysyp, to myśmy musieli czekać. Ale udało się tyle załatwić, że przy pierwszej możliwej okazji wysyp będzie nasz. – Przełknął ślinę, zachwiał się leciutko. Komornicki na chwilę oderwał spojrzenie od mężczyzny, zerknął na Naholnego, ale nie otrzymał sygnału, nie wskazał więc Pusłakowi krzesła. – Dostaliśmy pewny cynk o owies. Owies, jak pan wie, należy do podmiotów akcji grupy cztery, czyli taniej, można go sypać aż do czterdziestu procent składu. Tu był skład z trzydziestu wagonów, w tym owies był w siedemnastu, więc teoretycznie mogliśmy wysypać sześć-osiem wagonów. Oczywiście – nie było powodu sypać aż tyle...

– Bo się wam, kurwa, nie chciało, nie?! – syknął Naholny. – Najchętniej byście wynajęli jakichś Ukraińców, no nie? A sami sznapsa w tym czasie obrócili!

– Zaplanowaliśmy wysyp czterech wagonów, bo to była rutynowa akcja... Taka na podtrzymanie...

– Podtrzymanie czego? – zapytał Naholny.

– No... Podtrzymanie temperatury... Że niby jesteśmy, i jesteśmy gotowi jakby co...

– Czyli co? Nie mieliście konkretnego powodu do protestu?

– No nie, to by była akcja nie na podtrzymanie, nie na hajs w piecu, tylko już cug, rozdmuchanie...

Naholny rzucił spojrzenie na Komornickiego, ten zrozumiał, że temat będzie potem analizowany, a on ma pamiętać, by o tym przypomnieć.

Czyżby przewodniczący nie wiedział, że każda komórka związkowa ma obowiązek co jakiś czas pojawić się na arenie, pokazać się, przypomnieć o sobie?

– Dalej!

– W losowo wybranych czterech wagonach... Z tych czterech dwa były lewe. Nie było tam owsa, tylko jakieś zbiorniki, niewielkie baryły, ciężkie upiornie... Ale wie pan, nie wszędzie mogłem być, ja sypałem czwarty wagon, a Żółtki... – zająknął się i, widząc rodzącą się na obliczu przewodniczącego purpurę, zamilkł.

– Chcesz powiedzieć, że podnajęliście Wietnamców? Jas-s-s-sny, kurwa pier-r-r... szlag!!!

– Koreańczyków... – zaczerpnął powietrza. – Panie przewodniczący, jesteśmy małą, prowincjonalną sekcją...

– Zamknij się! Kurwa, zamknij się, durniu! – Naholny poderwał się z fotela, kopnął z całej siły swoją teczkę, aż przeleciała w powietrzu cały pokój i huknęła o ścianę. – Jebanakurwamać!

Nikt się tym, poza Pusłakiem, nie przejął. W teczce nigdy nie było nic ważnego. Ważne było w głowie przewodniczącego. I w teczce, ale Komornickiego.

– Opowiadaj dalej!

– Sypałem ziarno, a oni otworzyli te dwa wagony, o jeden za daleko, zobaczyli beczki, wywalili je. Dopiero jak zaczęli otwierać... Właściwie jak otworzyli jedną...

– Jezu?! Czym, do cholery? Pierdzielonymi wietnamskimi scyzorykami?

– Nie, w wagonie ktoś zostawił klucze...

Ośłupiały Naholny wymienił spojrzenie z Komornickim.

Nareszcie dobra wiadomość. Niech teraz Bodleck podskoczy z pretensjami! Zapytamy, czyj to był klucz! – ucieszył się Komornicki.

– Macie go może?

– Nie, ale zrobiłem kilka fot...

– Przynajmniej tyle! – warknął Naholny. – Co dalej? – zapytał po chwili, odrobinę spokojniej.

– Jak zobaczyłem, że otwierają drugą beczkę... Jednocześnie od stacji rozległ się alarm.

– No jasne, przecież cała niemiecka kolej jest obsypana czujnikami...

W pokoju nagle rozbłysło jasne światło, zapaliły się wszystkie lampy i zaczęły mrugać. Cichy, ale przenikliwy wizg świdrował w uszach. Cała trójka odruchowo wbiła spojrzenie w sufit. Naholny zerknął w okno i pobladł. Sześćdziesiąte czwarte piętro.

Alarm!

Jaki? Pożar? Ćwiczebny? Biologiczny?

W sekretariacie rozległ się łomot wyważanych drzwi, potem ktoś mocno pchnął drzwi gabinetu Naholnego. Przez próg wdarli się trzej ochroniarze, dwaj od progu rozdarli się niby po niemiecku, ale z tak potwornym akcentem, że nie można ich było zrozumieć. Trzeci zerknął na trzymany w rękę manifest alarmowy, podskoczył do Naholnego i pociągnął go za sobą, powtarzając:

– Alarm... nieczwiczebny... Alarm nieczwiczebny...

W progu przeczytał coś jeszcze i uzupełnił pokaleczoną polszczyznę:

– Stopien zero. Stopien zero. Bez oporu!

Powlekli Naholnego korytarzem do windy spec. W sekretariacie panowało pandemonium. Fruwały kartki, słuch cięły coraz głośniejsze wizgi alarmowe, ludzie przekrzykiwali się, dzwonili, wyszarpywali szuflady. Komornicki z Pusłulakiem kłusowali za parą goryli niemal niosących między sobą przewodniczącego. Zmierzali w ślepy kąt sekretariatu, gdzie za kępą zieleni, zwisającej z podwieszonych donic, kryły się drzwi alarmowych „VIP Elevators”. Pierwszy ochroniarz, ten z kartkami, wysunął do przodu rękę, chyba uruchomił pilota, za girlandą liści i kwiatów odsłoniła się wnęka windy. Naholny wyszarpnął się z uchwytu ochroniarzy, wściekle zamłócił rękami, usuwając z drogi łodygi, wpadł do windy, za nim reszta. Ochroniarze uznali, że zamiast wyrzucić Komornickiego i Pusłulaka, lepiej zamknąć drzwi i uciekać. Winda drgnęła, ale nie ruszyła mimo zamkniętych drzwi. Głośnik wyrzucił z siebie jakiś komunikat po francusku, potem dodał po polsku:

– Proszę czekać, szyb windy jest obciążony. Nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo. Proszę spokojnie czekać na kolejkę w szybie.

Naholny trącił Komornickiego.

– Dowiedz się, co jest grane?

Asystent obsztorcował się w duchu, szybko zapytał po niemiecku:

– Co się dzieje?

– Alarm stopnia zerowego, proszę pana. Czyli bezpośrednio niebezpieczeństwo. Bez odwołania. Kompletna ewakuacja.

– Ale powód? Jaki jest powód? Pożar? Bomba?

Naholny, słysząc „bomba”, wytrzeszczył oczy. Przy jego niewątpliwym lęku wysokości, świadomość, że gdzieś w czterystumetrowym budynku, na przykład, między nim i gruntem jest bomba, musiała nim wstrząsnąć.

Ochroniarz pokręcił głową, ale uciekał spojrzeniem pod sufit, na pewno słuchał komunikatów w mikrosecie usznym.

– Nie – powiedział po chwili. – Mieliliśmy chwilową przerwę w działaniu komputera, reset pamięci niespodziewanie się wydłużył. A kiedy system wrócił do normy, okazało się, że bramka wykazuje obecność...

Przerwał i znowu wsłuchał się w komunikat. Tym razem trwało to dłużej, niemal minutę.

– Co się dzieje?! Gadaj! – Przewodniczący walnął pięścią w ścianę windy.

Ochroniarz spokojnie gapił się w sufit.

– Czekamy na wolny tor – powiedział.

– Czekamy na wolny tor – przetłumaczył niepotrzebnie Komornicki.

– Kurwa, to już lepiej było walić po schodach – rzucił Naholny.

– Pod warunkiem, że nie ma na nich tysiąca podobnie myślących osób – skontrolował Komornicki.

– No to mamy tak stać? – Przewodniczący związkowej Europy odwrócił się w jedną stronę, potem w drugą. – Co on powiedział o alarmie?

– Że czujniki się spóźniły. Jak rozumiem, ktoś coś wniósł i teraz tego szukają, a nas ewakuują. – Postanowił uspokoić Naholnego. – Na wszelki wypadek, tak zrozumiałem.

Poczuł, że łapie go skurcz w lewą łydkę. Stał dłuższą chwilę na czubkach palców, nie wiadomo dlaczego, żeby być wyższy od Pusłulaka? Czy może żeby amortyzować upadek windy? Idiota, z sześćdziesiątego czwartego piętra? Chciał powiedzieć, że nieskończoną ilość razy powtarzano mu, jak odporna na eksplozje jest „Żaba”, że wykorzystano doświadczenie z katastrofy WTC, że materiały, zabezpieczenia, nadwyżki wytrzymałości... Poczuł, że ma pełny pęcherz, i że myślenie o konstrukcji jakby wzmacnia ciśnienie w układzie moczowym.

Ochroniarze drgnęli, cała trójka. Potem niemal jednocześnie poruszyli się, niespodziewanie otworzyły się drzwi windy, ten z kartką, na której miał

fonetycznie wypisane informacyjne i uspokajające teksty po polsku, upuścił ją, chwycił za ramię oszołomionego Naholnego i jak dziecko wypchnął go z windy, zaraz po przewodniczącym wyleciał z niej Komornicki. Trzeci goryl rzucił się na Pusłulaka, ale nie wyrzucił go z windy, tylko tanecznym ruchem wykręcił rękę, z gracją obrócił mężczyznę, huknął w kark i upadającego wziął pod siebie. Dowódca patrolu uderzył w panel, drzwi syknęły i zamknęły się z szybkością wykluczającą zatrzymanie w razie utknięcia w progu kogokolwiek, czegokolwiek...

Naholny machnął wściekle rękami, odgarniając firany zieleni. Jazgot alarmu nagle umilkł. W głębokiej otulinie ciszy papierowo stuknęła jakaś spadająca na podłogę donica. Komornicki wrócił do windy, przysunął ucho do udających ścianę drzwi. Coś za nimi delikatnie wibrowało. Asystent odwrócił się do przełożonego.

– Nic nie rozumiem – powiedział.

Musiał odchrząknąć, bo w gardle coś sucho strzeliło, jakby odłupał się kawałek tynku w przewodzie kominowym.

– Idziemy – zakomenderował Naholny i ruszył pierwszy. Komornicki rzucił się doganiać szefa, razem wyszli z korytarza do pustego hangaru sekretariatu. Splatały się trzy czy cztery różne sygnały telefonów, których nie miał kto odebrać. Naholny zatrzymał się i długą chwilę sycił oczy widokiem bałaganu i paniki.

– Swoją drogą – powiedział niemal normalnym głosem – trzeba by to towarzystwo kilka razy przegonić w alarmach tylko dla naszego piętra.

– Ależ one bywają, panie przewodniczący, tylko nam się zawsze udawało.

– Srało, a nie udawało! – warknął Naholny. – Załatwiłem, żeby trenowali jak nas nie ma. Ale widzę, że gówno im to dało. Trzeba będzie wziąć do galopu bractwo. – Ruszył do gabinetu. – Burdel. I tu, i tam... W terenie... – Szedł i mówił przed siebie, a Komornicki kłusował obok, nie chcąc stracić ani słowa. Bo wyglądało, że są ważne. – Tamci chleją wodę i każą podnajemnym Azjatom protestować za nich, ci tu zasiedzieli się na tłustych dupskach... – Pokręcił głową. – Czy to dobrze, powiedz mi, Komar?

– Chyba nie, panie przewodniczący...? – bąknął, wyczuwając hak w pytaniu.

I był.

– Dobrze, Kornel. Dobrze. To znaczy, że my, Polacy, siedzimy mocno. Że nie ruszy nas byle co. Że już umiemy wiele i wiele wiemy. Pracujemy dla siebie, nie dla pierniczonej Europy. – Machnął ręką.

W gabinecie zatrzymał się w progu i popatrzył na teczkę leżącą pod ścianą, pod którą posłał ją jego kopniak.

– Wychodzimy stąd, Komar, i wracamy dopiero za trzy dni. W tym czasie ma się tu odbyć generalny remont. Wymiana wykładzin, mebli, wszystkiego! Skrobanie, zrywanie, demontaż. Dopilnujesz tego osobiście.

– Ja... Oczywiście. A co mam...?

– Co chcesz, możesz to podpalić, póki nie ma tu jeszcze nikogo, możesz powiedzieć, że zmienił mi się gust. Co tylko chcesz. – Odwrócił się, podszedł do Komornickiego i, chwyciwszy go za krawat, przyciągnął jego twarz do swojej. – Bylebyś potem zrobił dokładne badanie na okoliczność promieniowania, ale bez świadków! Czujesz, Komar? Bez!!!

– Roz... rozumiem... Pusłulak...?

– No, a co myślisz? Napromieniował się dureń, to on jest bombą... Ma przesrane, jak sądzę. Już go pewnie namierzyli, dlatego alarm się skończył, ale nie dla niego. – Cmoknął z lekkim żalem. Współczuciem? – Ja idę pracować, żeby to ukryć pod kocem... A ty tu działaj.

Ominął pochylonego Komornickiego i podszedł do drzwi.

– Ależ nas to będzie kosztowało – powiedział z żalem w głosie. – O Jezzu-u... Za to całe gówno będzie miała Europa te swoje cholerne ustępstwa związkowe, oj będzie... Ustępstwa na całej linii...

Popatrzył na nieruchomego i milczącego asystenta.

– No nic, potem to sobie jakoś odbijemy...

W jego kieszeni poruszył się smarciak. Naholny wykonał ruch, jakby chciał klepnąć w urządzenie i odrzucić rozmówcę, ale coś w rytmie wibracji zaniepokoiło go, powstrzymał ruch. Zaniepokojenie udzieliło się sekretarzowi, odruchowo dotknął swojej kieszeni i gwałtownie odsunął dłoń, uświadomiwszy sobie kto dzwoni do Naholnego. Postarał się nie okazać po sobie, co wie.

Naholny szybko włożył dłoń do kieszeni marynarki, a wyjął wolno. Smarciak pulsował karminowym ekranem i bzyczał gwałtownie. Szef zerknął na sekretarza, wciągnął gwałtownie powietrze i wypuścił je równie szybko.

– Naholny. Słucham.

– Dzień dobry, Konradzie, dzień dobry – usłyszał w słuchawce charakterystyczny lekko nosowy, lekko wibrujący, odrobinę skrzeczący głos Nestora.

– Witam serdecznie! – Naholny postarał się, by w jego głosie zabrzmiała starannie odmierzona radość, zaskoczenie, i... tak, strach. No, obawa. – Nie wiedziałem...

– A skąd miałeś wiedzieć? – zdziwił się Nestor. – Ja sam jeszcze chwilę temu nie... Niech będzie, że jeszcze rano nie wiedziałem, ale potem zobaczyłem newsy z torów, i powiem ci, że jak rzadko wciągnęła mnie ta historia. Już dawno ziarno na torach mnie nie ruszało... – Nestor milczał chwilę. Potem zachichotał specyficznie. – Ostatni raz jak dowiedziałem się... Kiedy to było? W dwa tysiące ósmym, czy jakoś tak... Jak dowiedziałem się, że tory po was są oblegane przez dziki i inną zwierzynę, i że kolejjarze wożą ze sobą płachty, na które zbierają ową dziczyznę, a czasem to tam taki pokot był, że i myśliwi by pozazdrościli.

– Och, przesadzali żurnaliści, jak zwykle. Takich pokotów jakie urządzał minister Żołądz nie dałoby się przebić... – Naholny wiedział, że Nestor jak migiem wydzwignął znikąd, jak to mawiali ludzie: „z dupy wytrzasł” Żołądzia, tak i migiem go wysadził z siodła, gdy ten zaczął pohukiwać na każdego. Na każdego, a nie tylko na tych, na których mu było wolno.

– No-no! Ty mi tego durnia nie wypominaj, Konrad. Bierzesz kilka identycznych jaj i nie wiesz, które z nich i jak szybko nada się na chińskie danie. Ty nie wiesz, ja nie wiem... – Nestor wykonał „wydłużoną znaczącą pauzę”. – Wiedziałeś, co zrobią ci durnie z kukurydzą?

Naholny poczuł przemarsz lodowatej armii mikrociarek przez swoje plecy, od karku do lędźwi i jednocześnie z powrotem. Na mgnienie oka oderwał smarciaka od ucha i zerknął na indykator sekcji szyfrowania. Rozmowa *była* szyfrowana. Uff!..

– Wiedzieć nie wiedział...

– No właśnie! – zachichotał Nestor.

– ...łem tego!..

– No bo skąd?! To właśnie jest takie jajo, które zaskoczy swoim cuchem, prawda?

Znowu w przestrzeni między rozmówcami zaległa wydłużona znacząca pauza.

– Wybierasz się do Stolicy? – zapytał, jakby podstępnie, Nestor.

Co tu, kurwa, powiedzieć? Tak – niedobrze, nie – do dupy. O co temu kurdupłowi chodzi?

Naholny poczuł, że kropla potu spłynęła z brwi i za chwilę weźre mu się solą w gałkę oczną. Szybko wytarł oko wierzchem dłoni, pomachał do sekretarza, ten podskoczył z pudełkiem lekko zwilżonych obojętnych ekologicznych chusteczek. Dwie zostały nerwowo wyszarpnięte z opakowania i zużyte na otarcie oczu, a potem czoła.

– Generalnie, tak – powiedział spokojnie Naholny. – To jest miasto plaster na moją skołataną duszę.

– Tak? Patrzcie, a co poniektórzy mówią, że to plaster na skopaną dupę!

– Tak? – odważył się powtórzyć za Nestorem Naholny. *Kurwa, muszę się postawić, bo inaczej zszamie mnie jak jajo w sosie tatarskim.* – Nie znam się. Nie dałem jeszcze nikomu skopać sobie dupy, przepraszam za dosadno...

– Jak uczy historia, a wiesz, że to moja specjalność, dupę to można skopać zawsze i każdemu. Skopano Dzyngis Chanowi, Ulrykowi von Jungingen, Hitlerowi, Jaruzelowi, Wałęsie nawet.

– Nieźle towarzyszo – zaryzykował Naholny. – Ja tam przy nich błądy Wojtek jestem!

– Błądy zawsze może być bledszy – wychrypiał nagle w samo ucho Naholnego Nestor. Musiał zbliżyć smarciaka jeszcze bardziej do ust, albo miał jakąś cholerną apkę do straszenia interlokutorów. Naholny zacisnął zęby, nie uleciał spoza nich żaden dźwięk, jeśli Nestor liczył na jakieś jęki, ochy i wymyślanie powodów do pozostania w Brukseli, to się bardzo przeliczył. – Chętnie bym, Szczepan, się z tobą zobaczył. Mamy, myślę, sporo spraw do obgadania.

Jakie? Chcesz mnie wystrychnąć na dudka, czyli wydudkać na strychu, stary chuju?

– Mam tu pakę rzeczy do rozgrzebania, łącznie z tą cholerną kukurydzą – powiedział ostrożnie Naholny. – Ale na pewno da się coś wykroić...

– Wydoić? Powiedziałeś „wydoić”?

– Nie, Prezesie, nie wydoić, tylko wykroić – sprostował Przewodniczący, zastanawiając się w co gra Nestor. Bo słuch na pewno miał dobry. Mówiło się, że słyszy z Warszawy, jak ktoś dłubie w zębach po obiedzie w Łękajnach. – Załatwię najpilniejsze...

– To jest naj-pil-niej... – Nestor nagle rozkaszłał się. I dokończył: – ...
sze!

Naholny myślał chwilę.

– Tak... Rozumiem... – *Gównu rozumiem! Zdycha? Czy chce...* –
Postaram się w przyszłym tygodniu...

– Dobrze, postaraj się, Szczepan. Bardzo się postaraj. Dobrze?

– Tak...

Nestor nie potrzebował potwierdzenia, zgodę Szczepana pokrył swoim głosem: – I, wiesz, jeszcze jedno, Szczepan... Mamy tu, w Sztolicy, małą epidemię czy coś... Lekarze twierdzą, że nie powinniśmy pomagać temu świństwu rozwłóczyć się po aglomeracji. Dlatego, jak się umówimy na czwartek, siódma rano, to bądź sześć godzin na czczo, dobrze? Czyli o pierwszej w nocy ostatni lekki posiłek i potem wytrzymaj do wizyty u mnie, tak? Zanim sobie utniemy pogawędkę łykniesz takiego... dekoktu uodparniającego i oczyszczającego. To się bierze na czczo.

Na czczo? Na czczo?? Na chujaczco!!! Utniemy? Pogawędkę? Że utniemy wiem, tylko co jeszcze?

– Ale... ale po co? – Naholny poczuł zimne ciarki czołganiem przez pełzanie pokonujące jego plecy. – Ja się dobrze czuję, mogę się tu zaszczepić, jeśli nie jestem, a pewnie jes...

– Szczepan, zrób to dla mnie, dobrze? Jestem już starszym panem, powinienem się oszczędzać i chronić od niepotrzebnych infekcji. Więc czwartek siódma rano, na czczo, bez katza. I pogadamy sobie.

W słuchawce zapadła cisza.

Naholny wolno odsunął smarciaka od ucha i długą chwilę patrzył na ekran. Stuknął w ikonkę rozłączenia, potem, na wszelki wypadek, w ikonkę „Wyłącz urządzenie”.

– Kornel? – powiedział cicho w przestrzeń. – Zapytaj Zdebika, o której Nestor rozdaje to swoje warzywo...

Warzewo – poprawił sam siebie w duchu. – Warzywo to się robi z tych, co je łyka...

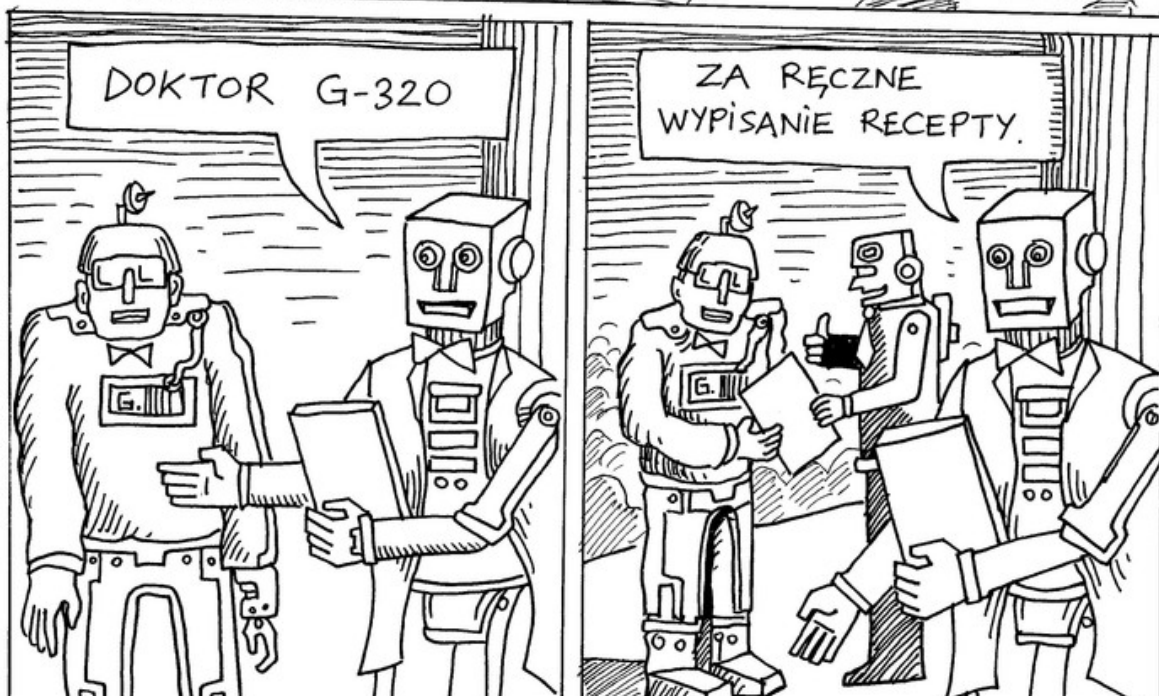
– O siódmej, szefie. Pamiętam, że tak powiedział.

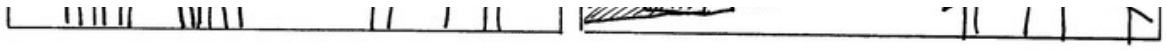
Kurwa jego mać zasrana!

Co robić, kurrrrrwa, co robić?...

grudzień 2003 – styczeń 2004, marzec-kwiecień 2016

NOBEL 2410





Grzegorz Janusz

ZŁEGO POCZĄTKI

(fragment powieści „Jesień wszech czasów”)

1. Epilog

Tuż przed końcem świata zatroskany Pan Bóg postanowił, że wszystkie zwierzęta też będą miały nieśmiertelną duszę.

Nie zapomniał o naszych braciach mniejszych, choć był bardzo zajęty ostatnimi przygotowaniem do Drugiej Wojny Wszechświatowej. Przez całe dnie i noce brał udział w próbach nowych broni, ślęczał nad mapami Ziemi i nieba i obmyślał strategię, a poza tym w sekrecie opracowywał fortel związany z liczbą siedem, który miał przechylić szalę zwycięstwa na dobrą stronę.

Pan był trochę zmęczony, od stu lat nie zmrużył oka. Nie odpoczywał nawet w niedziele. Mimo wszystko znalazł chwilę (choć chwil zostało już naprawdę niewiele do końca) i poświęcił odrobinę uwagi przedstawicielom królestwa fauny.

Skierował swój ciepły oddech ku Ziemi, wstrzymał na chwilę jej bieg i dmuchnął tak mocno, że aż zamigotały gwiazdy.

Zagubiona kometa z północnego krańca wszechświata, która przybłąkała się w okolice naszego Słońca, nieco zmieniła swój tor i znacznie przyspieszyła.

Dech pomknął przez czarną próżnię szybciej niż światło, lecz trwało trochę, nim dotarł do Ziemi, gdyż do nieba jest bardzo, ale to bardzo daleko.

Święty wiatr przeniknął pola i lasy, rzeki, jeziora i morza, stajnie i zwierzyńce.

Pan Bóg zakasłał sucho siedem razy. W skrytości ducha bardzo liczył na zwierzaki.

We wszystkie widoczne gołym okiem Opatrzności stworzenia coś wstąpiło. Zadrżały, rozejrzały się zdziwione wokół siebie i rozpoczęły zupełnie nowe życie.

2. Wioska na końcu świata

Wieś nazywała się Istniewo.

Przypadek (bo raczej nie zapracowany ponad siły Bóg) chciał, że właśnie tu wiatr z nieba dotarł najszybciej. Najpierw zagwizdał w zimnych kominach i strącił z drzew trochę suchych liści, potem sprawił, że na niektórych gałęziach pojawiły się drugie w tym roku pąki, a następnie spowodował zamieszanie, jakiego jeszcze świat nie widział. A z każdym obrotem Ziemi docierały nowe porcje świętego tchu, coraz słabsze i coraz mniej ciepłe, lecz wciąż mające cudowną moc.

Istniewo było małe, zapadłe i ubogie. Ze wszystkich stron otaczała je puszcza. Przybysze z miasta, którzy niekiedy odwiedzali wioskę, opowiadali potem znajomym, że to miejsce, gdzie diabeł wypowiada nocne pożegnania, gdzie wrony zmieniają kierunek lotu o sto osiemdziesiąt stopni i gdzie psy szczekają drugim końcem.

Do niedawna wieś liczyła jakąś setkę dusz – teraz było ich dużo, dużo więcej. Trzydzieści siedem zagród stało wzdłuż piaszczystej, wyboistej drogi. Droga prowadziła do sklepu, kościoła i szkoły, a dalej do asfaltowej szosy, którą można było dojechać aż do miasta, ale mało kto wypuszczał się tak daleko.

Istniewskie ziemie były nieurodzajne i kamieniste, najlepiej przyjmowały się osty i pokrzywy. Jakby tego było mało, pługi szczyrzyły się ciągle na armatnich kulach, mieczach, bagnetach i kawałkach luf, a trzy razy w ciągu ostatnich siedmiu lat niewypał zabił oracza.

Za polami rozciągały się stare, pełne ponurych tajemnic lasy. Niegrzecznym dzieciom opowiadano wieczorami leśne historie, po wysłuchaniu których długo krzyczały przez sen.

W sercu puszczy, spod potężnego szarego głazu w kształcie kowadła biło z ziemi gorzkie, nigdy nie zamarzające źródło zwane Zła Łza. Bajarze, znachorzy i wiedźmy twierdzili, że źródło powstaje z łez pierworodnego syna Szatana, który zbuntował się przeciw ojcu. Jego najgorszym występkiem było siedmiokrotne odmówienie litanii do Najdroższej Krwi. Szatan, który nie widzi i nie słyszy wszystkiego, ale jednak bardzo dużo, srodze ukarał syna. Wyrodny cierpiał za swój czyn w najpłytszym miejscu piekła. Leżał na wznak przybity zardzewiałymi hufnalami do bryły lodu w kształcie młota i wciąż bezgłośnie płakał. I miał tak cierpieć, dopóki nie poprosi o litość i przebaczenie lub dopóki świat nie przestanie istnieć.

Źródłana gorzka woda miała właściwości lecznicze, lecz nie zawsze skutkowała. Uzdrawiała gruźlików, chromych, trędowatych, epileptyków, bezpłodnych, impotentów i cierpiących na zaniki pamięci. Raz podobno źródło przywróciło komuś wzrok, niestety, tylko w prawym oku. Ale zdarzało się też, że chorzy po wypiciu kilku piekielnie gorzkich kropeł na zawsze tracili zmysły.

Opowiadano, że wiele wieków temu Zła Łza wskrzesiła córkę księcia Sławosława Mdłego, władcy Połoniny. Pewnego razu przybyli ponoć do książęcego zamku dwaj misjonarze. Sławosław wysłuchał ich, później zaprowadził obu do obory i zabił wołu. Potem rozkazał, żeby misjonarze zamienili surowe mięso i parujące wnętrzności w chleb. A gdy ci bezradnie rozłożyli ręce, zażądał, by wszystko zjedli. Strażnicy pilnowali, żeby nie pozostał nawet ochłap. Obaj misjonarze skonali następnego dnia, wymiotując krwią wołu i własną. Stąd wziął się przydomek księcia. Zaraz potem zmarła córka Sławosława. Przebudziła się w środku nocy w kałuży własnej krwi i jej serce stanęło ze strachu. Dopiero woda ze Złej Łzy sprawiła, że znów zaczęło bić. Ale chyba tyle w tym wszystkim prawdy, co w opowieści o szatańskim synu, najwyżej ziarno.

Dawniej do źródła ściągało wielu kalekich pielgrzymów, lecz ostatnio przestali przybywać, może znaleźli gdzie indziej lepszy środek na swe dolegliwości.

Według innej legendy głęboko pod ziemią leżała ogromna żelazna podkowa, która wcale nie przynosiła szczęścia. Była tak wielka, że otaczała całą wieś i kawał puszczy. Niektórzy twierdzili, że widzieli jej wystający z ziemi koniec na bagnach. Sterczący z gęstego rudego błota fragment był wielki jak stodoła i sprawiał, że od ubrań odrywały się metalowe guziki, z kieszeni wylatywały klucze i scyzoryki, a z butelek spadały nakrętki.

Na samym początku świata podkowę miał zgubić olbrzymi przenicowany koń, czarny niby źrenica, parskający jadem gęstym jak żywe srebro. Na tym rumaku Szatan siedem razy okrążył Ziemię, zanim wyruszył po raz pierwszy zmierzyć się z Bogiem. Szatan przed wyprawą kazał podkuć konia najstarszemu synowi, a ten zamiast hufnali użył lodowych sopli.

Od tamtej pory podkowa przyciągała ze wszystkich stron uzbrojonych w żelazo mężczyzn, którzy walczyli tu na śmierć i życie. Mieszkańcy Istniewa chowali się wtedy w piwnicach i z zamkniętymi oczami czekali, aż

bitwy się skończą, a potem przeszukiwali pobożowiska. Zdarzało się jednak, co prawda bardzo rzadko, że chłopci też uczestniczyli w walkach.

W legendzie o podkowie musiało coś być, gdyż muł w pobliskiej rzece Żyle był rdzawy, a woda ze studni podczas upałów smakowała jak krew.

Istniewiaczy byli żyłaści i przygarbieni, małomówni i ponurzy. Nie przykładali się zbyt do pracy w polu i w zagrodzie, za to dużo pili. Mówili, że nie warto się wysilać. Często spoglądali w stronę horyzontu, czy nie nadciąga nowe historyczne nieszczęście. Niepokoili się, gdy pomiędzy wojnami były długie przerwy, gdyż znaczyło to, że kolejna zawierucha będzie szczególnie okrutna. W czasie burz zapalali w oknach gromnice, a podczas suszy odwracali święte obrazy twarzą do ściany, zamykali okiennice i stawiali w izbie kopcący ogarek. Na krzyżach wieńczących kościelne wieże montowali piorunochrony, a na szczytach choinek zatykali gwiazdy zrobione z zeszlórocznych ości karpia. Leczyli się gorzką źródlaną wodą, pijawkami, bagiennymi ziołami i chlebem z pajęczyną, a gdy to nie pomagało, kropili burego szczura wodą święconą, smarowali śliną chorego i żywcem zakopywali w mrowisku. Co niedziela chodzili do kościoła, lecz nie modlili się wieczorem, a w nocy wystawiali przed drzwi miski z kurzymi wnętrznościami, które w tajemniczy sposób znikwały przed świtem. Szanowali proboszcza, lecz bardziej bali się znachora, który potrafił gołymi palcami bezboleśnie usuwać chore zęby i który nie wyrzucał wyrwanych kłów, siekaczy i trzonowców, lecz dołączał je do swego naszyjnika, który zakładał co dzień, by wszyscy pamiętali, że – jeśli zechce – może każdemu oddać należny mu ból.

Istniewa nie umieszczono na mapach, chyba że sztabowych. O wiosce napisano w jednej tylko encyklopedii.

3. Ptaszyna

Słońce wzeszło przed kilkoma chwilami, pierwsze promienie próbowały przemienić nocny szron w rosę, lecz odbijały się bezsilnie od drobinek lodu. Tuż nad ziemią unosiła się rzadka mgła, wyglądała jak dym z ogromnego papierosa, lecz nie miała zapachu.

Była późna jesień, bardzo późna. Była jesień jesieni.

W całej wsi nie dojrane od dawna krowy ryczały z bólu i uderzały rogami w zamknięte wrota obór. Krowy nie spały całą noc, przez dziury po sękach obserwowały niebo i wypatrywały spadającą gwiazdy, która spełniłaby ich jedno wspólne życzenie: żeby ktoś je wreszcie wydoił. Lecz nad Istniewem gwiazdy akurat nie spadały, widać było tylko zbliżającą się kometę.

– Pomooooooooocy!!! – krzyczały krowy zgodnym chórem.

Były nieszczęśliwe, choć razem zeżarły do tej pory przynajmniej setkę czterolistnych koniczyn.

Dopiero wieczorem, gdy głód będzie im doskwierał równie mocno jak ból wymion, wpadną na pomysł, że mogą nawzajem ssać swoje mleko.

Na środku pola stał strach na wróble i na inne ptaki, szeroko rozpościerał ramiona z patyków. Ktoś go ubrał w stary wojskowy płaszcz z jednym tylko guzikiem, a na szmacianą głowę założył przestrzelony kapelusz. Strach miał wielkie oczy zrobione z wieczek puszek po konserwach. Rondo jego kapelusza uwalane było ptasimi odchodami, wszyscy go mieli ostatnio za nic.

– Ojejciu! – rozległo się ciche westchnienie.

Na lewym ramieniu stracha siedziało osowiałe żyjątko. Z daleka wyglądało bardziej jak wabidło na sokoły, niż jak żywa istota. Siedziało tam całą noc, ale nie spało, nie mogło zasnąć. Łapki mocno wbijało w wypłowiałe sukno. Drżało i kuliło się, chociaż wcale nie było mu zimno.

– Kim ja jestem? Niczego nie pamiętam! – chlipnęło stworzonko. – Nie wiem nawet, jakim jestem stworzeniem! Jestem ptakiem, na pewno. Może jestem orłem albo jastrzębiem? A może tylko zwykłym wróblem? A może takim malutkim..., tym, no... kaliberkiem? Zresztą to bez znaczenia. Kimkolwiek jestem, nie chcę tym kimś być. Wcale nie chcę być.

Było mu tak, jakby w jego głowie miotał się kot, który opił się waleriany i chciał teraz zapolować na jakiegoś ptaszka, by przekąsić odurzający eliksir.

– Jestem samcem, to pewne. I co jeszcze jest pewne? Wiem, jest jesień.

Otworzył wreszcie oczy i popatrzył na swe skrzydła i łapki. Okazało się, że był małym białym gołębiem.

– Cały jestem biały? Na głowie i na plecach też?

Zerknął na swoje odbicie w oku stracha. Był cały biały, tylko oczy miał czarne, a łapki różowe. Nie mógł dojrzeć trzech piór z tyłu, więc wygiął się, aż zabolalo i zerknął jednym okiem. Grzbiet też był śnieżnobiały.

– Nie czuję się jak ptak, raczej jak wrak ptaka.

Potem popatrzył na świat wokół i spróbował nazwać to, co widział. To bladoniebieskie i nieskończone było niebem, to bure i skłębione było chmurą, a to bladożółte i dające trochę ciepła było słońcem. Na wschodzie widział wieś, a na zachodzie, północy i południu dostrzegł las. U swych stóp miał pole, a to, co przecinało pole i prowadziło do wsi, było drogą. Obok drogi przebiegał rów, obok rowu rosło drzewo, jarzębina, a w rowie leżał drogowskaz. Gołąb nie pamiętał tylko, jak nazywa się to coś przy drodze z krzyżykiem na czubku. Przyszło mu jeszcze do głowy słowo „horyzont”, lecz zapomniał, co ono oznacza.

– Skąd tu się wziąłem? Skąd w ogóle się wziąłem? Komu potrzebny jest biały gołąb? Na pewno nie mi. Jestem jak siódme koło u lokomotywy. Jak to w ogóle jest, że ja jestem?

Ze zgrozą uświadomił sobie, że nie pamięta, jak wygląda lokomotywa. Ze smutkiem spuścił łepkę i nagle zauważył, że na prawej łapce ma metalową obrączkę, a za nią zwitek papieru.

– A co to takiego? – pochylił się i przyjrzał z bliska ciasno zwiniętemu świstkowi. – Pewnie tam zapisano, kim jestem i kim byłem. Szkoda, że nie umiem czytać. Może kiedyś umiałem...

Podniósł głowę, popatrzył na pole i natychmiast zapomniał o obrączce i o tajemniczym dokumencie.

– A więc jest jesień – stęknął. – Może niedługo spadnie śnieg. Jestem taki biały, położę się w śniegu. Nie będzie mnie w ogóle widać. Schowam głowę pod skrzydło. Będzie mi chłodno, może wreszcie przestanę się tak pocić. Szkoda, że nie umiem się skulić w kłębek. Chętnie zwinąłbym się ciasno jak kapusta. Jak nazywa się taka malutka kapusta? Chyba burleska... Ech, gdybym tak mógł opatulić się w kapuściany liść i zanurzyć się w gęstym sosie, i opaść na samo dno...

Przeniósł wzrok na wędrujące z wiatrem chmury.

– Chmura to ma dobrze, nie zaprzęta sobie niczym głowy, tylko leci, gdzie ją wiatr poniesie. Chciałbym być chmurą. Albo polnym kamieniem, albo opadłym liściem... Albo żeby wcale mnie nie było. Chciałbym być znów w jaju. W jaju jak w rajcu... Albo chciałbym być taką cyferką, jak ona się nazywa? Taka jajowata i pusta. Po co ja się w ogóle wykluwałem? Powinni mnie byli ugotować na twardo i zjeść... Szkoda, że ptaki nie zapadają w sen zimowy, albo w sen jesienny, albo w całoroczny...

Wtem przypomniało mu się, że ptaki potrafią latać, więc rozłożył skrzydła, poderwał się w chłodne powietrze i skierował ku wiosce, w stronę najbliższego domu.

„Może należę do tego gospodarstwa, tylko zapomniałem – zadumał się gołąb. – Wszystko zapomniałem. A kiedyś na pewno wiedziałem, dlaczego i po co się żyje...”.

4. Coś wisi w powietrzu

Dom stał na skraju wsi, jego gospodarz miał najdłuższą drogę do kościoła. Wiatr skrzypiał otwartym oknem i szarpał firanką, w którą zaplątało się kilka suchych liści. Stojące na parapecie radio było włączone i gdy wiatr cichł na chwilę, słychać było dobiegające z niego głosy przypominające wycie syren, okrzyki mężczyzn, fragmenty modlitw i kobiece zawodzenia. Drzwi także były otwarte na oścież, wiatr wdmuchiwał do sieni kurzy puch i skrzydlate nasiona lipy. Na drzwiach widniały wypisane kredą inicjały trzech mędrców, dziwnym trafem nie splukane przez deszcz.

Gołąb spostrzegł, że okienko strychu też jest niedomknięte, wleciał więc do środka i przysiadł na deskach podłogi.

Strych był mroczny i ponury, czuć tam było naftą i myszami. W jednym kącie stały skrzynki z butelkami po wódce i leżała sterta gazet. Na pierwszej z wierzchu widniał nagłówek: ZALEGALIZOWAĆ ZOOFILIE, lecz gołąb nie potrafił czytać. W drugim kącie kłębiły się stare sukienki i chustki.

Na środku zwisała na cienkim drucie naga, oblepiona suchymi ćmami żarówka. Na podłodze leżało ślubne zdjęcie w ramkach. Zdjęcie było biało-czarne, tylko usta panny młodej, jej oczy i gałązkę w kłapie pana młodego lekko pokolorowano. Para stykała się policzkami. Mężczyzna patrzył prosto w obiektyw, był bardzo poważny i przestraszony. Kobieta uśmiechała się nieśmiało, jej spojrzenie było skupione w okolicy brzucha fotografa.

– Ojejciu!

Kobieta była przepiękna. Jej oczy były zielone i lśniące jak ziarna cukrowego groszku. Gołąb nie mógł oderwać wzroku od zdjęcia. W brzuchu zrobiło mu się ciepło. Pomyślał sobie, że nigdy wcześniej nie

widział nic równie pięknego, może prócz piętrowego tortu z figurkami różnych zwierząt, który stał kiedyś na wystawie cukierni w mieście. Gołąb oglądał go codziennie. Najbardziej lubił zrobione z krochmalu podobizny dwóch małych gołębi. Były najmniejsze ze wszystkich figurek, lecz stały na samym szczycie. Stykały się dziobami, a na szyjach miały czerwone kokardki.

„Kiedy to było? W jakim mieście?” – gołąb nie pamiętał.

Znów popatrzył na zdjęcie i posmutniał. Przyszło mu do głowy, że nigdy nie spotka tej kobiety.

Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i dostrzegały coraz więcej szczegółów. Obok klapy zakrywającej wejście stały trzy pułapki na myszy. Wokół zdjęcia leżały kawałki rozbitej szybki, zapalniczka zrobiona z mosiężnej karabinowej łuski i kilka krótkich niedopałków.

„Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem” – gołąb porachował niedopałki.

Potem spróbował policzyć poniewierające się wszędzie szklane odłamki, lecz nie znał tak wielkiej liczby. Ktoś cisnął bardzo mocno zdjęciem, kawałki szkła rozsypały się po całej podłodze, niektóre doleciały aż pod okno. Nagle gołąb zauważył wśród szkiełek mysie truchło. Na brzuchu trupka była paskudna świeża rana, jakby zadana dziobem dużego ptaka.

– Ojejciu! Jakie to straszne – zadrżał gołąb.

Potem dostrzegł coś jeszcze. Na jasnych deskach widniały drobne ślady krwi. Powędrował wzrokiem brunatną ścieżką aż do przeciwległej ściany bez okna.

„Tyle krwi z jednej myszy?”.

Krwawy ślad wiódł przez strzępy gazet, okruchy szkła, plewy, kupki popiołu, mysie odchody, martwe ćmy i docierał do kłęбка pajęczyny, nad którym dyndała brudna stopa.

Wtedy dopiero gołąb spostrzegł człowieka.

Człowiek wisiał na belce pod dachem, wśród warkoczy czosnku, wianków suszonych grzybów i jabłek, pęków piołunu i szaławii. Był ubrany tylko w drelichowe spodnie. Jego stopy kołysały się obok przewróconego stołka. W lewej pięcie tkwił drobny odłamek szkła, lecz rana już nie krwawiła.

Gołąb popatrzył wyżej.

Człowiek był stary, o czym świadczyły siwe włosy, głębokie zmarszczki i stan uzębienia. Sine usta były rozchylone tak szeroko, że można było policzyć wszystkie zęby: wisielec miał ich dwanaście, w tym siedem srebrnych. Jego powieki też nie były zamknięte i gołąb postanowił zerknąć prosto w oczy nieboszczyka, jednak mu się to nie udało. Prawe oko było całkiem białe, źrenica schowała się w czaszce, w ostatniej chwili spojrzała do wnętrza i tak już została. A lewego oka nie było, zamiast niego ziała dziura.

Gołąb spuścił wzrok i wtedy dostrzegł na wystających żebrach siny tatuaż przedstawiający nagą kobietę, którą oplatał wielki wąż. Jego cielsko otaczało jej uda, łono i brzuch, łeb opierał się między piersiami, a rozdwojony język pieścił oba sutki.

– Ciciuś-ciciuś – gołąb cmoknął odruchowo.

Przez kilka chwil nie mógł oderwać wzroku od krągłego jak jabłka biustu, a potem zauważył coś dziwnego. W miejscu, gdzie dach dotykał podłogi, na deskach leżała jakaś błyszcząca kulka. Gołąb podszedł bliżej i zobaczył, że to szklane oko, niebieskie jak morze.

Nagle podmuch wiatru trzasnął drzwiami na dole, deski podłogi zadrżały i oko poturlało się do łapek gołębia.

– Ojejciu!

Gołąb drgnął, lecz nie przestał patrzeć prosto w szklaną źrenicę. Oko wyglądało jak prawdziwe, były na nim nawet drobne popękane żyłki, a do krawędzi tęczówki przykleił się ciemny włoszek rzęsy. Ptak wpatrywał się w swoje odbicie w szklanym oku, po grzbiecie przebiegły mu dreszcze.

Wreszcie odwrócił się, podszedł wolno do okienka, machnął skrzydłami i wzbił się wysoko. Każde klaśnięcie skrzydeł brzmiało, jakby ktoś energicznie zamykał niezbyt grubą książkę w miękkiej okładce.

5. Gołębie serce

Gołąb zatoczył kilka kół nad okolicznymi polami, popatrzył na kościelną wieżę na wschodzie i na stary nieruchomy wiatrak na zachodzie. Obserwował dokładnie krajobraz tak, jakby czegoś szukał. Rozglądał się

i wznosił coraz wyżej. Łopotał zawzięcie skrzydłami, oddychał ciężko zimnym wiatrem i przebijał na wylot chmury.

Wdech, machnięcie skrzydeł, wydech. Wdech, machnięcie, wydech... Tylko serce nie chciało dopasować się do tego rytmu, łomotało jak oszalone, zachowywało się, jakby miało skrzydła i chciało przez ściśnięte dziwnym lękiem gardło wydostać się na zewnątrz.

Gdy ból mięśni uniemożliwił dalszy lot, gołąb zawisł w przestrzeni. Zajaśniał na tle ciemnego nagiego nieba jak pierwsza albo ostatnia gwiazda. Jeszcze nigdy nie był tak wysoko albo tego nie pamiętał. Wypuścił ze świstem powietrze z płuc i popatrzył w dół. W głowie mu się zakręciło.

Wędrujące z wiatrem niskie chmury zakrywały i odsłaniały Istniewo, snuły się między niebem i ziemią niczym dusze niepoczytalnych morderców. Widziane z wysoka pola wyglądały jak prostokątne razowe bochny, las zieleniał jak stara pleśń na chlebie, a rzeka Żyła lśniła w oddali niczym nóż o wygiętym ostrzu. Zagrody wioski przypominały ułożone równo na stole kromki, a samotna chałupa wisielca wyglądała jak kawałek chleba, który ktoś upuścił pod stół.

Jesienny pejzaż był piękny. Było w nim coś, co przyprawiało gołębia o jeszcze większy smutek i o ściskające serce wzruszenie. Latanie samo w sobie nigdy nie sprawiało mu przyjemności, jednak widoki z lotu ptaka zawsze robiły na nim olbrzymie wrażenie i wyzwalały dziwną tęsknotę. Gołąb wpatrywał się uważnie w dół, jakby obraz wsi miał w sobie jakieś ukryte znaczenie, jakby ktoś chciał przy jego pomocy coś przekazać. Wzdłuż kręgosłupa przebiegły mu mrówki. Był niemal pewien, że gdyby wzniósł się jeszcze wyżej, ujrzalby całość znaku i pojałby zagadkowe przesłanie. Tak, jak nagle spostrzega się, że kolorowe szkiełka w kościelnych oknach układają się w konkretne kształty.

Płachta rzadkiej mgły przesłoniła na chwilę wieś i okolicę.

– Chyba nigdzie tu nie ma dla mnie miejsca – ocknął się z zadumy biały ptak.

Potem opadł wolno ku ziemi, pozwalając nieść się podmuchom wiatru jak zgubione ptasie pióro.

– Też skończę ze sobą, to chyba nie jest bardzo trudne – postanowił. – Tuż przed śmiercią widzi się podobno całe swoje życie jak na filmie. Nie mam wyjścia, muszę się zabić. Jeśli będę umierał powoli, na pewno wszystko mi się przypomni.

6. Rymopis

Na zachodzie tuż nad horyzontem niebo było niemal czarne od chmur, gdzieś tam daleko zaczynała się burza, lecz w Istniewie ciągle panowała cisza. Słońce było już nieco wyżej, lecz wciąż dawało mało ciepła, najwyżej tyle, co płonąca marzanna.

Gołąb unosił się nad zagraconym błotnistym podwórkiem. Wśród wysokiego zielska poniewierały się bańki na mleko, blaszane beczki i stare opony. Pod płotem leżała sterta drewna, wśród szczap stał pieńek do rąbania opału i zabijania drobiu. W trawie pod krzakiem agrestu leżał zabytkowy topór, który wykopano kiedyś razem z kartoflami. Topór miał kształt gadziego jęzora i szpikulec zamiast obucha, osadzony był na nowym trzonku i służył jako zwykła siekiera.

W otwartej stodole bobrowały dwa prosiaki, właśnie mocowały się z pękatym worem. Trzymały go w ryjach, szarpały i próbowały przegryźć płótno, by dobrać się do siewnego ziarna. Obok stodoły znajdował się drewniany wychodek, ze starości przechylony na północ. Na gładkiej desce z dziurą siedziała biała kaczką. U stóp wychodka leżały szachy. Wokół szaro-burej planszy poniewierały się ulepione z jasnego i z razowego chleba pionki i figury, zniekształcone od wilgoci, z dziurami po ptasich dziobach. Jasny król był wielkim orłem, lecz z jego dumnej korony zostały nędzne resztki. Jego pierzaści poddani byli w opłakanym stanie: bociany służące jako wieże wyglądały jak trafione śrutem, z koni ocalały tylko grzbiety i skrzydła, goniec gołąb nie miał głowy, a drugiego gońca, królowej i połowy pionków w kształcie małych aniołów wcale nie było. Natomiast król ciemnych miał postać zwiniętego w kłęb węża i groźnie szczyrzył kły, jego korony nikt nie tknął. Wszystkich jego poddanych pokrywała łuska: gońce wyobrażały osiodłane rekiny, królowa przypominała flądrę, długoszyje dinozaury robiły za wieże, a pionki były piersiastymi syrenami o zadartych ogonach.

– Ciciuś-ciciuś – gołąb zapragnął dotknąć chlebowych piersi, lecz zabrakło mu odwagi.

Z boku szachownicy widniała biała tabliczka z czarną literą W, lecz gołąb nie potrafił czytać.

Pod rozłożystą nagą lipą stała psia buda zbita z nieheblowanych desek. Pies spał, z budy wystawał tylko kawałek ogona. Obok, w kącie obejścia, nad studnią zwieszał ciężką głowę stary, skrzypiący ze zmęczenia, wiecznie spragniony żuraw. Na środku podwórka stał załadowany mokrą słomą wóz.

Gołąb przycupnął pod wozem i popatrzył na psią budę.

– Jeśli dobrze pamiętam, to pies może zagryźć ptaka.

Wtem brzozowa miotła oparta o schody poruszyła się z szelestem i zrobiła trzy kroki w stronę gołębia.

– Ojejciu!

Spośród cienkich suchych gałązek wychylił się bury szczur o grzbiecie pokrytym starymi bliznami.

– W czym ci pomóc, przybyszu? – zawołał.

Gołąb podreptał w stronę gryzonia, wiele sobie obiecywał po jego złośliwych oczach i wyszczerzonych siekaczach.

– Czy umiesz zabijać ptaki? – zapytał prosto z mostu. – Chcę skończyć ze sobą. Przed chwilą wpadłem na ten pomysł.

– Znaczy się, chcesz powiększyć grono aniołków – szczur gwizdnął z podziwem. – Na pierwszy rzut oka wyglądasz raczej na prostoduszne, znaczy się głupawe stworzenie. A z ciebie taki romantyk! O wysoką stawkę ci w duszy gra. A dlaczego chcesz się zabić?

– Nie pamiętam...

– Może chcesz się zabić, bo niczego nie pamiętasz. To byłby uczciwy motyw. Ale na mnie nie licz. Zęby mnie boją, a poza tym nie interesują mnie takie pierdoły, teraz zajmuję się tylko literaturą.

– Ojejciu!

Gołąb chciał zapytać, co znaczy to dziwaczne słowo na „l”, ale nie potrafił go powtórzyć.

– Gospodarz miał pełno książek. Kiedyś je jadłem, bo są sklejone klejem z gnatów. Aż tu nagle coś mnie tknęło i zacząłem uczyć się czytać. Znalazłem stary elementarz i sam siebie tresowałem. Nie było łatwo, ale się nie poddawałem. Zrozumiałem, że książki to pokarm, ale dla ducha.

Gołąb pomyślał sobie, że za nic nie zjadłby nawet kawałeczka książki.

– Potem przeczytałem gazety ze strychu, modlitewnik, atlas i encyklopedię – ostatnie słowo szczur wymówił, jakby to było cudowne zaklęcie. – Szybko opanowałem litery, nawet te z ogonkami, znaczy się zdolny jestem szalenie. Od tamtej pory książki to całe moje życie. Wielka

i nieobliczalna jest moc słowa pisanego – ciągnął szczur. – Na przykład parę dni temu kaczorowi spadł na łeb podręcznik, znaczy się książka ze szkolnych lat Franciszka, pod tytułem „Meta fizyki”. Gruby tom w twardych okładkach. No i od tamtej pory kaczor ciągle powtarza: „Kwatermistrz kwalifikuje kwartalnie kwadryliony kwantów kwarcowego kwazara”. Nie mogę nawet sprawdzić, co te brednie znaczą, bo mi akurat brakuje tej strony w encyklopedii.

Szczur zrobił przerwę na oddech i kontynuował:

– A najbardziej to lubię literaturę o zwierzętach. Na przykład o kozie, siedmiu kozłętach i złym wilku, który je pożarł, ale później rozpruli mu brzuch i wrzucili do środka kamieni i wilk wpadł do studni. Albo małej dziewczynce, która wykluła się z kwiatu w doniczce i nie chciała za męża syna ropuchy ani kreta i poleciała na plecach jaskółki do ciepłych krajów. Albo o drewnianym pajacu, którego okradli lis i kot, a ten pajac zamienił się w osła i pożarła go wielka ryba.

Szczur zrobił krótką przerwę na oddech, cmoknął z podziwu nad samym sobą i dalej przechwalał się swoim odczytaniem:

– Albo jak chłop znalazł zimą zamrożonego węża i wziął go do domu i ogrzał w zanadrzu, a wąż go ukąsił. Albo o tym, jak sęp przebrał się za bociana, żeby nosić ludziom dzieci i je po drodze pożerać, ale nie udało mu się, bo beknął i poznali go po smrodzie padliny.

Gołąb słuchał niezbyt uważnie i gapił się na blizny szczura. Przyszło mu do głowy, że największa z nich przypomina trochę gołębia z rozpostartymi skrzydłami.

– Albo o doktorze, który umiał rozmawiać ze zwierzętami i jadał wieprzowe żeberka. I jeszcze o tym, jak chłopak chciał zostać gołębiem i obszywał kalesony piórami, ale nie wszystko z tego zrozumiałem.

Gołąb też nie rozumiał, w głowie mu się nie mieściło, jak można chcieć zostać gołębiem.

– Tak, tak, to bardzo ciekawe... To nie możesz mnie zabić?

– Kiedyś tobym cię załatwił jednym kłapnięciem. Ale już nie jestem zwykłym ciemnym szczurem. Teraz sam piszę.

– Umiesz pisać?

– Tak się tylko mówi. Przecież nie mam rąk. Uczę się wszystkiego na pamięć. Wczoraj na przykład ułożyłem tekst pieśni dla łabędzia, wzruszający jak połówka cebuli – szczur pociągnął nosem. – A teraz

pracuję nad nowym dziełem. Jestem twórczy, że aż furczy. Posłuchaj, co wymyśliłem.

Szczur stanął na tylnych łapkach i mruczał przez chwilę coś pod nosem. Wreszcie wziął się pod boki i wyrecytował:

*na istnienie smoków
na potomstwo wołu
na pałac z obłoków
na deszcze popiołu*

*na nierdzewną kosę
na raj samobójcy
na czerwoną rosę
na cień świętej Trójcy...*

– A dalej? – gołąb naprawdę był ciekaw.

– Jeszcze nie wiem – odrzekł szczur i podrapał się za uchem. – Jeszcze nawet nie wymyśliłem tytułu.

– A czy gdzieś w gospodarstwie nie ma może trochę trutki na szczury? – gołąb ni z tego, ni z owego przypomniał sobie, że kiedyś znalazł na poddaszu farbowane na różowo ziarno i wetkniętą w nie kartkę z rysunkiem czaszki. Chciał to zjeść, ale ktoś go powstrzymał w ostatniej chwili. Gdzie to było? Kiedy? Już zapomniał.

– Nie ma trutki. Bocian wszystko zjadł. Znalazłem tylko butelkę z jagodzianką na kościach. Na nalepce jest trupia główka, ale to nie trucizna, tylko lekarstwo, dobre na ból zębów. Chcesz trochę?

– Nie potrzebuję żadnego lekarstwa – gołąb posmutniał.

Wtem rozległo się głośnie pianie koguta.

– Zamknij dziób, kaczkojebie! – koguci głos zagłuszyło dobiegające z psiej budy ujadanie.

– Mógłbyś stanąć na drodze i poczekać, aż nadjedzie ciężarówka czy traktor – zaproponował szczur. – Ale to chyba też się nie uda, bo nic nie jeździ od paru dni.

Gołąb zrobił się jeszcze bardziej ponury.

– Kiedyś czytałem w gazecie o jakimś ptaku, którego zabił rykoszet, znaczy się pocisk odbity od medalika na piersi rozstrzelowanego skazańca –

przypomniało się szczurowi. – Ale coś takiego zdarza się najwyżej raz na rok, a to było z miesiąc temu. A poza tym teraz jeńców nie rozstrzeliwują, tylko palą na stosie. Może wymyślimy coś innego... Skok prosto z mostu z kamieniem u szyi to sprawdzony sposób. Szkoda, że most na Żyle harcerze wysadzili.

– Szkoda.

– Co to? – szczur zauważył obrączkę na gołębiej nodze i wsunięty za nią karteluszek.

– Nie wiem. Nie umiem czytać – zawstydził się gołąb. – Ale za to potrafię liczyć do dwunastu.

– Mogę zobaczyć?

– Zobacz. Może jest tam coś o mojej przeszłości.

Szczur wyciągnął zębami papierowy zwitek i przesyłabizował imię i nazwisko adresata:

– *Ernst Unterkiefer*. Znaczy się list.

Potem rozłożył papier na schodach i odczytał na głos:

Drogi Krewniaku!

Zaatakujemy nienienieprzyjaciela, gdy Tancerz w paszczy Smoka chwyci warkocz. Podwójny język wskaże nam cel, a w blasku oczu bez powiek skamienieją nasze serca. Czy uzbroiłeś się już po zęby?

Hasło: Niech drżą osiki! Odzew: Krew nie woda.

Śniły mi się ptasie wnętrzności i gwiazdy: w krwawej bitwie zmiażdżymy wszystkich antyantychrystów. Okrucieństwo wyssaliśmy z krwi matki.

Gdy słońce będzie jak podniebienie złego psa, na intencję zwycięstwa złoż w ofierze posłańca, który przyniósł Ci ten list. Odgryź mu łepiek tak, by nie połknąć nawet kropli krwi.

Z serdecznie kąśliwym pozdrowieniem.

Ulrich Schlagader

Szczur zatrzymał się na chwilę, żeby odsapnąć, oblizał pysk i dalej powiódł łapą wzdłuż linijek:

PS

*Śniły mi się linie dłoni, fusy i talia kart: jeszcze tej nocy zmien
kryjówkę, w przeciwnym razie dosięgnie Cię promień.
Śmierć naszym wrogom i wrogom ich wrogów!*

Gołąb zapuścił żurawia przez ramię szczura i z uwagą obserwował równe rzędkie znaków. Brązowe litery wyglądały, jakby je starannie wypalono na żółtawym papierze. Pod podpisem zamiast pieczęci widniał krwawy odcisk kciuka autora.

- Gdzie to miałeś zanieść? – zapytał zaciekawiony szczur.
- Nie pamiętam – gołąb skubnął dziobem puch na brzuchu.
- Zapominalski gołąb pocztowy jest nic niewart.
- No właśnie.

Gołąb bardzo chciał sobie przypomnieć. Adresat odebrałby mu życie i skończyłby się ten strach nie wiadomo przed czym. Przymknął powieki i szukał w swojej małej głowie. Gdzieś na dnie jego oczu pojawił się na chwilę obraz tego, który go posłał z listem. Przypomnił sobie zimną piwnicę i bladego chudzielca ubranego w sięgającą do ziemi nocną koszulę. Oko przesłaniała mu czarna opaska. Miał długie kły, pożółkłe od papierosów. Czuć go było starą i świeżą krwią, wilgotną ziemią i dymem. Głaskał gołębia długimi palcami, na kciuku lewej dłoni miał pierścień w kształcie węża. Wąż oplatał cały palec, wyglądał jak sprężyna. Podwójny język gada był dwoma mniejszymi wężami, a one też miały języki w kształcie węży, i ich języki też, i tak chyba w nieskończoność...

Gołąb wyteżał swoją pamięć, ale nie przypomniał sobie niczego więcej, obraz rozmazał się, rozpadł się na niewyraźne kolorowe plamki i znikł. Gołąb otworzył oczy i popatrzył na okno strychu.

- Wiesz, że gospodarz nie żyje? – spytał.
- Wiem. Jak go znalazłem, to mi się zimno zrobiło, jakby Królowa Śniegu pierdnęła. Ale ty się przecież nie powieszisz. Jesteś za lekki.
- A wiedziałeś, że nie miał oka? – spytał gołąb.
- Wiedziałem, że jedno oko miał sztuczne, ale nigdy nie wiedziałem, które. Trochę mi go żal. Ciekawe, dlaczego się nie zastrzelił. W schowku pod podłogą trzymał przecież pistolet i naboje. Szkoda, że nie zostawił listu, samobójcy zazwyczaj zostawiają. Czytałem różne inne jego

dokumenty. Chomikował wszystkie papiery, dziwne, że ich w piecu nie spalił. Mogę ci o nim opowiedzieć, ale to długa historia.

– Opowiedz.

– No więc gospodarz miał na imię Franciszek, a na nazwisko Fraszka, ale nie miał z przodu zębów i gdy się przedstawiał, to mówił Flanek Flaszka. Wiele lat temu był na wojnie, walczył z faszystami, w jednej z bitew ciężko go ranili. Potem wzięli go do obozu jenieckiego, znaczy się do niewoli. Tam mu zęby wypadły i w dodatku w niewyjaśnionych okolicznościach stracił oko. Uciekł z obozu, wrócił do Istniewa i przystał do partyzantów, do oddziału pułkownika Marsza. Po wojnie wrócił do domu. Jego żona nie żyła, dzieci nie miał. Mieszkał sam i pił wódkę. Siostra pisała do niego, żeby przestał. Potem podpalił komuś dom i siedem lat był w więzieniu w mieście. Jak wyszedł, znalazł sobie drugą żonę, ale krótko byli szczęśliwi, bo ona uciekła z listonoszem. Franciszek został kłusownikiem i o mało co znów nie poszedł do więzienia. Żeby nie iść, musiał dać leśniczemu część swojego pola, ten kawałek pod samym lasem. Cwany leśniczy podzielił pole na działki i sprzedał poszukiwaczom wojennych skarbów, którzy co lato ściągają tu z miasta. To tacy domorośli saperzy, co to pierwszy raz się mylą, gdy decydują się tu przyjechać. Kobiety ich lubią, bo jak taki przysięga, że będzie kochał do końca życia, to najczęściej dotrzymuje słowa – opowiadał szczur i robił to całkiem niezłe, bo gołąb nie pytał o pochodzenie tych dziwnych informacji. – A Franek uprawiał resztę ziemi, harował do siódmych potów, ale i tak często przymierał głodem, bo wódka taka droga. Raz tylko mu się powiodło, znalazł w polu szkielet w zbroi i dostał za niego sporo pieniędzy. Kazał sobie wtedy wstawić nowe zęby, ale i tak „r” nie wymawiał. No i sporo wódki wtedy kupił, ciągle tkwił w okowach okowity. A jak wypił wszystko, to się wziął i powiesił na lejcach, znaczy się popełnił samobójstwo. Jest martwy i się nie martwi.

– A ty nie zmyślasz tego wszystkiego?

– No co ty! Skąd ci to przyszło do głowy?!

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, skąd mi różne rzeczy do głowy przychodzą. Ani dokąd odchodzą – gołąb wzruszył bezradnie ramionami.

Potem znów popatrzył na pełną dziwnych treści kartkę na schodach i pomyślał, że trzeba ją złożyć i z powrotem wetknąć za obrączkę.

– Ojejciu! – przez chwilę nie wierzył własnym oczom.

Litery zniknęły z papieru, został tylko ślad palca nadawcy.

– Też chciałbym tak zniknąć.

– To leć do kota, to prawdziwy morderca. On cię zabije na miejscu. A z innej beczki: nie znasz może rymu do słowa „zwierciadło”?

Dziwne, ale gołąb wiedział, co to rym.

– „Wahadło” albo „kowadło” – odparł.

Szczur pokiwał głową, odwrócił się i zniknął za rogiem domu.

Gołębiowi zrobiło się trochę przykro, że bury gryzoń tak się nagle oddalił, zdążył poczuć do niego pewną sympatię. Ale potem przypomniał sobie, że ma się zabić, więc przywiązywanie się do kogoś nie ma sensu.

Wtem usłyszał z tyłu cichy pisk i obejrzał się. Zza krawędzi piwnicznego okna wyjrzała uszata głowa młodego nietoperza. Nietoperz trząśł się i mrugał zaczerwienionymi oczami. Jego uszy zwiotczały i zwiślały po bokach głowy jak warkocze.

– Zabiję go! Zabiję go jak ćmę!!! – krzyknął nietoperz i schował się w piwnicznych ciemnościach.

– Kogo? – spytał gołąb.

Z piwnicy dobiegł cienki głosik:

– Mojego ojca! On... robi to... z moją matką! – głos przemienił się w suchy szloch. – My... my wcale... my wcale nie bierzemy się... My wcale nie bierzemy się z jajek!!!

Gołąb pomyślał, że nietoperze zawsze spały w dzień.

– A mnie nie mógłbyś zabić?! Dam ci za to martwą mysz i szklane oko!
– zawołał w ciemne okienko, ale nikt mu już nie odpowiedział.

Starannie zwinął list, to znaczy papier, który po nim pozostał i wsunął go z powrotem za obręczkę. Potem wleciał na dach i usiadł na kominie, w którym wiatr jęczał, jakby mu było zimno.

Jacek Sobota

KOREKTA

*W kafkowskim świecie akta przypominają platońską ideę.
To one przedstawiają prawdziwą rzeczywistość, podczas
gdy fizyczne istnienie człowieka jest jedynie odbiciem
rzuconym na ekran złudzeń. Geometra oraz praski inżynier
są przecież tylko cieniami swych teczek, a nawet czymś
jeszcze mniejszym, cieniami jednej pomyłki w aktach, to
znaczy cieniami niemającymi prawa choćby do własnej
egzystencji–cienia.*

Milan Kundera, „Gdzieś tam w głębi”

Wszelkie podobieństwa do osób czy instytucji realnie istniejących jest oczywiście dziełem przypadku. Utwór ten i zaludniające go byty jest zaś wyłącznym dziełem mojej chorej imaginacji.

autor

1.

Kiedy Cieszyn wszedł do sklepu meblowego, w tej samej chwili, w nagłym przebłysku intuicji zrozumiał, że i tym razem się nie uda. W sklepie były wyłącznie fotele bujane – różnych rozmiarów i kolorów; najtańsze okazały się wiklinowe; niemiłosiernie skrzypiały, kiedy udawał, że je dosiada z zamiarem kupna. Sprzedawca, który sam przypominał rozmiarami szafy, nieobecne w sklepie z powodu przejściowych, rzecz jasna, trudności, przyglądał się Cieszynowi z leniwym zainteresowaniem.

Tymczasem Cieszyn poczuł nagłe rozanielenie i błogość – fotelowy powolny rytm zdawał się świetnie korespondować z ogólną sennością rzeczywistości i szczególną nieruchomością ulicy Promiennej, przy której mieścił się sklep meblowy. Gdyby nie to wiklinowe skrzypienie wwiercające się w mózg, niewątpliwie by przysnął. Myśli krążyły z dala od spraw ostatecznych – przypominał sobie bezpowrotnie utracone krągłości Marty, zaraz potem pojawiła się dziwna reminiscencja z dzieciństwa: puch z rozdartej poduszki leniwie żeglujący w zastałym powietrzu wczesnego a słonecznego popołudnia, stado kolorowych motyli...

Jednocześnie jego dłoń dyskretnie i dość automatycznie badała spód siedzenia fotela bujanego; miał nadzieję, że łącznik pomylił fotele i umieścił karteczkę pod siedzeniem drugiego od prawej w pierwszym rzędzie, miast drugiego od lewej. Ale zbadał oba – bez rezultatu. Znowu. Dla niepoznaki usiadł na trzecim fotelu w drugim rzędzie; kołysanie ponownie dziwnie go zniewoliło.

I znów odpływ – przypominał sobie woń przejściowej piwnicy w domu dziadków; dziwna mieszanka zapachu wilgoci, grzybów, starego tynku, ziemniaków, kocich odchodów. To był zapach jego dzieciństwa. Z piwnicy wychodziło się na ogród – to wyjście z mrocznej piwnicy w barwną przestrzeń potęgowało efekt – było jak wyjście z piekła ciemności w jasność Niebiesiech, bez pośredniczącego udziału czyścowych neutralności. Wyjście z jaskini w słoneczne pejzaże.

Poczuł ukłucie niepokoju, przesywające jak sztych zimnej stali – te nagłe przyboje wspomnień były jednak dziwne. To nie w jego stylu; kiedy ostatnio wspominał piwniczne zapachy dzieciństwa?

„No tak – dodał Cieszyn w duchu – ale kiedy ostatnio bujałem się w fotelu na biegunach?”. Myśl ta uspokoiła go, ale nie do końca. Musiał koniecznie zajrzeć do notesu.

„Czyżbym popełnił jakiś błąd? Czyżby się zaczęło?” – krążyły mu po głowie niespokojne myśli.

Tymczasem meblarz, jakże adekwatnie przypominający szafę, zbliżył się do potencjalnego klienta i zagadnął z profesjonalną obojętnością, pod którą jednak Cieszyn rozpoznał tętniącą żywo nadzieję:

– I jak? Wybrał pan któryś?

– Właściwie to szukam sekretarzyka. Najlepiej dębowego. Może ma pan na składzie?

Twarz sprzedawcy – dotąd bez wyrazu – nabrzmiała kiepsko tłumioną złością.

– Sekretarzyki wyszły – rzekł.

– Sekretarze też – przypomniał się Cieszynowi stary dowcip. Potem już bez zwlekania opuścił sklep i wyszedł na ulicę. Żałował tego dialogu – niepotrzebnie zwrócił na siebie uwagę.

Powiedzieć, że ulica Promienna była oazą spokoju, to nic nie powiedzieć. Był to zakątek świata, który zapadł w sen zimowy w środku lata – nieliczni ludzie snuli się po ascetycznie schludnych trotuarach, dwa samochody na krzyż stały na światłach przy skrzyżowaniu z Radosną – też zastygła w popołudniowym upale. Kiedy mijał siedzibę dawnego banku, gdzie od kilku już zapewne lat mieściły się koegzystujące bez zgrzytów dwa sklepy warzywnicze, potknął się o tabliczkę tkwiącą w chodniku. Treść jej miała charakter nieznoszącego sprzeciwu imperatywu: „Szanuj szarość!”. Na wystawach obu warzywniaków dominowały jabłka. Setki jabłek. Może nawet tysiące.

Nagle dostrzegł coś kątem oka, coś niepokojącego, jakiś ruch lub obecność czegoś, czego „tu” być nie powinno. Obrócił się gwałtownie, ale niczego niepokojącego nie dostrzegł – ani za sobą, ani z boku. Cieszyn wierzył w „wejrzenie kątem oka” chyba od czasów dzieciństwa. Wierzył, że odpowiedni kąt spojrzenia, rozumianego może bardziej metaforycznie niż dosłownie, pozwala dostrzec przez ułamek sekundy prawdziwe oblicze

świata, bez fasad, masek, nakładek i naleciałości. Chwilami, bardzo rzadko, miewał poczucie, że coś widzi, coś niepokojącego, coś prawdziwego, jak teraz. Te prześwity rzeczywistości pojawiały się, jak głęboko i zupełnie irracjonalnie wierzył Cieszyn, w momentach dla niego istotnych, przełomowych – jakby zwiastowały jakieś rozległe i decydujące zmiany. Uczucie niepokoju zatem wzrosło w nim jeszcze.

Minął dawny hipermarket, w którego przestronnych, opuszczonych trzewiach co trzy dni organizowano masowe wieczorki taneczne przy ludowych utworach muzycznych albo konkursy poezji patriotycznej (z nieco mniej liczną, lecz wierną publicznością). Jeszcze dwie przecznice i będzie u siebie. Po drodze zajrzał do budki telefonicznej – była bardzo schludna i estetycznie nienaganna. Wrzucił garść monet, nie był pewien ile, ceny towarów i usług zmieniały się z dnia na dzień, ale, jak zapewniali narodowi liderzy powolnych przemian na lepsze w cotygodniowych przemowach, były to przejściowe trudności. Długo czekał na połączenie. W końcu ociekający spokojem głos.

– Słucham?

– Pan Malinowski? – Było to hasło otwierające ściśle określoną sekwencję rozmowy.

– Tak. – Lekkie wahanie oznaczające zapewne uruchomienie odpowiednich procedur.

– Dzwonię w sprawie kurnika.

– Co? Kurnika... A tak.

– Nie zastałem właściciela.

– Nie zastał pan... Tak...

– Poza tym kurnik z zewnątrz prezentował się niekorzystnie. Połatany dach, plamy wilgoci, przegniłe deski. Nie wiem czy kury mogą w takim miejscu godziwie egzystować.

– Czy mogę zaproponować inne miejsce?

– Zamieniam się w słuch.

– Dobrej Nowiny 4. Jutro o godzinie osiemnastej.

– Świetnie. Mam nadzieję, że tym razem się nie zawiodę.

Odłożył słuchawkę. Szyfr był prosty – zawsze dwa dni do przodu, dwie godziny do tyłu. Dwie przecznice do przodu, dwa numery domu do tyłu. Czyli spotkanie za trzy dni o godzinie szesnastej. Numer domu 2, ulicę sprawdzi na mapie. Ukryte to pod zwykłą, egzystencjalną rozmową,

związaną z problemami dotyczącymi zwykłych, szarych obywateli. Brak słów kluczowych alarmujących system.

2.

Kiedy dotarł do wynajmowanej przez siebie kawalerki mieszczącej się przy ulicy Postępu Moralnego w szarym, odrapanym z tynku bloku, wciśniętym między dwa ośmiopiętrowe drapacze chmur, było już późne popołudnie. Po drodze Cieszyn usiadł na ławce w parku naprzeciw fontanny wyobrażającej fauna rzygającego wodą. Znów ogarnęły go introspekcje – ów puch majestatycznie żeglujący przez rozległe przestrzenie powietrza, krągłe...

Ponowne ukłucie niepokoju, zimne, przeszywające.

Notes. Notes. Notes. Sprawdził nic wetkniętą przemyślnie między drzwi a framugę. Nienaruszona. Wszedł, a właściwie wtargnął do mieszkania. Uderzył go smród zetłałości, aura samotności i zbędności. Włączył telewizor, by wytłumić spodziewane odgłosy, które mogłyby zaniepokoić sąsiadów.

– ...ostateczna likwidacja zjawiska korupcji – tokował szpakowaty spiker. W klapie niemodnej marynarki wpięte miał logo „partii łagodnie dominującej”, jak dookreślił kiedyś dobrotliwie RiP, czyli Radość i Pogodę, Przewodniczący. Zresztą spiker nie mylił się – zjawisko korupcji zanikło wraz z powodami, dla których można by było ją uprawiać.

W dalszych wiadomościach relacjonowano nowe sukcesy rządu na froncie społecznej stabilności. Donoszono o zaniku konfliktów społecznych i etnicznych; strategia „dobrotliwego zniechęcania” przyniosła spodziewane efekty – nikt o obcych korzeniach nie chciał już mieszkać w naszym kraju; i była to rezygnacja jak najbardziej dobrowolna i racjonalna. Po chwili ukazało się spokojne i krągłe oblicze Przewodniczącego (fotografia sprzed około pięciu lat – ocenił Cieszyn) – jako tło informacji dotyczącej spodziewanych reform języka codziennego. Przewodniczący przygotowywał podobno od kilku lat fundamentalną reformę ortografii i gramatyki – planował redukcję przymiotników

i przysłówków o jednoznacznie pejoratywnej wymowie, a także wytworzenie nowych określeń pozytywnych. Ortografia miała być uproszczona – np. „o z kreską” powinno stopniowo zniknąć z pisowni.

Tymczasem Cieszyn delikatnie podważył piątą klepkę parkietu, licząc od lewej ściany, i ostrożnie wyjął z powstałej wyrwy niewielkie zawiniątko. Notes.

W telewizji królował teraz potężny gmach IONu, czyli Instytutu Osobowości Narodowej mieszczącego się w stolicy. Spokojny głos spikera relacjonował kolejny plan 6-letni (już trzeci; stąd jego długofalowa nazwa: „666”) mający na celu utworzenie PJONu, czyli Pierwotnej Jednolitej Osobowości Narodowej, stanowiącej dobry wzór dla mieszkańców naszego kraju.

– Żadnych negatywnych emocji, solidarność społeczna, zaufanie, równość... – tokował spiker. Dalej mówił o statystykach poparcia społecznego dla linii Partii – sięgało 89 procent i nie była to liczba zadowalająca. Wciąż znajdowali się w narodzie ludzie, którzy niczego nie rozumieli, choć było to takie proste. Na szczęście stanowili mniejszość, a w demokracji (słowo to z trudem przedostało się przez ściśniętą nagłym wstrętem gardziel spikera) mniejszość nie ma znaczenia. Tymczasem akces przynależności do RiPu zadeklarowało niedawno 56 procent społeczności. 33 procent to zapewne cisi sympatycy – pozwolił sobie na ironię spiker.

Cieszyn wyłączył telewizor. Otworzył notes na dowolnej stronie i jął odczytywać swe chwiejne i koślawe pismo świadczące o niewątpliwie niestabilnym charakterze i takiejż osobowości.

Kiedy właściwie zaczęła się Dobra Zmiana? Było to zjawisko miazmatyczne, nieuchwytnie, podstępne. W którym momencie Przewodniczący, nazywany „buldogiem z piaskownicy” (bo takie też były jego „strategie polityczne” – najpierw rzucić się na adwersarza, zbluzgać, sponiewierać, spotwarzyć, zwyzywać od ujadających kundelków, co było jego ulubioną frazą, a następnie, gdy zdumiony przeciwnik reagował na atak, biadolić, że sam stał się ofiarą agresji), stał się dobrotliwym, choć gdy trzeba surowym Ojcem narodu? Kiedy ów naród, słynący z narowów, powstań, ogólnej krnąbrności i niestałości, przypominający żywioł topielny i kipienny, wodospad skłębiony

w swej – oczywiście białej – masie, stał się spokojnym jeziorem, którego toni lustrzanej nie mącił żaden niepokój, a zaryzykowałbym twierdzenie, że i myśl żadna? Zamarzniętym jeziorem...

Oto spełniony mokry sen tyrana – zbędność ucisku, zbędność wydatkowania energii na represje, ponieważ naród tyranii nie rozpoznaje, nie odczytuje właściwie znaków, nie czuje się uciskany...

Cieszyn oderwał wzrok od tekstu i dokonał rutynowej introspekcji. Nie odczuwał żadnego dyskomfortu z powodu odczytanych słów i ich znaczeń. Żadnej nagle objawionej niechęci, uczucia wewnętrznego uwierania, niezgody. Chyba wszystko było w porządku. Tylko te potoki wspomnień...

Cieszyn usiadł przy stole stanowiącym jeden z czterech mebli w jego wąskiej kawalerce i jął przeglądać ostatnie zapiski. Wczoraj był zmuszony przerwać nagle pisanie, a to z powodu niespodzianej wizyty sąsiadki z drugiego piętra – wulgarnie tlenionej blondynki mocno nad trzydziestką i tuż pod czterdziestką. Pani Jadzia (kazała się tytułować „Jadźką”, ale Cieszynowi jakoś przez gardło to nie przechodziło) przyszła zapytać o cukier, co było oczywiście bezcelowe – cukru z powodu przejściowych trudności nie było nigdzie. Wprawdzie napierała, usiłując wsunąć biodro w przestrzeń kawalerki, po czym niepostrzeżenie przemycić resztę swego organizmu, jednak Cieszyn postawił tamę temu potopowi obfitej cielesności. Potem nie mógł się nadziwić jej strategiom – czemu nie zapytała o ocet? Nigdy nie zrozumie kobiet.

Odczytał ostatni akapit, nagle urwany.

Nagle zniknięcie Przewodniczącego przed pięciu laty odczytywano różnie... Cieszyn przerwał lekturę. Przed pięciu laty... Czy nie pięć lat temu Cieszyn zapuścił brodę? Odruchowo zmierzwił obfity zarost. Nie wiedzieć czemu ta koincydencja wydała mu się istotna, ale po chwili jałowych rozmyślań powrócił do przerwanej lektury.

Wycofał się z życia politycznego, bo te właściwie przestało istnieć. Zmęczył się korowodem piętrzących się obowiązków pasterskich i scedował odpowiedzialność na młodszych, a sam oddał się ulubionym czynnościom...

Tu tekst się urywał; Cieszyn zastanawiał się, co dokładnie chciał wczoraj napisać: czynnościom korektorskim? Reformy języka? Ostatecznie wybrał

wersję: „ulubionym czynnościom majsterkowania gramatycznego”. I podjął dalej:

A może wciąż sprawował zakulisową władzę, niczym monstrualny pająk, którego odnóżami odnóż są kolejni urzędnicy, zastępcy następców – kolejne emanacje, kolejne hipostazy władzy, piętra i półpiętra coraz mniej doskonałe, ale doskonale dostosowane do tych nisz nicości, w których przyszło im sprawować władzę. Byli jak napięte nici pajęczyny sygnalizującej nietypowe obywatelskie poruszenia.

Przerwał, podparł głowę dłońmi, zamyślił się. Wreszcie dopisał:

Istnieje jeszcze jedna możliwość. Najbardziej przerażająca.

3.

Tej nocy miał sen. Zdarzało mu się to rzadko; zwykle zapadał w nocne ciemności jak w jaskinię pozbawioną widoków i wrażeń. Śniło mu się, że ulega preistoczeniu w coś sobie obcego. Proces był powolny, lecz nieubłagany – jakby zarastał obcością. Jego ciało nie było już jego ciałem – odczuwał je jak pancierz krępujący ruchy, oddzielający go od... samego siebie. To była bariera wewnętrzna, właściwie nie potrafił doprecyzować tego uczucia – jakby coś najbardziej obmierzłego i obcego nie tyle znalazło się nagle w twojej bezpośredniej bliskości, lecz wręcz zagościło w tobie i natychmiast odseparowało cię od wszystkiego, co znane i dobre. Z trudem – wciąż we śnie – podniósł się i podszedł do ogromnego lustra. Bał się jednak spojrzeć w lustrzaną taflę. W końcu zdobył się na odwagę, rozwarł powieki i... obudził się.

Przez długi czas nie mógł dojść do siebie – sen zagościł w nim, rozrósł się jak szybko kielkujący krzew; wypuszczał korzenie i gałęzie wszędzie, zawłaszczając jego rozum, organy i członki. Wyjrzał przez okno i ujrzał leniwie żeglujące po błękitnie obłoki, skierował wzrok niżej i zobaczył bezcelowo poruszających się ludzi – jakby i ich zamiatał wiatr przypadku;

jutro powieje w inną stronę, nie szkodzi. Zaiste, przemknęło Cieszynowi przez myśl, ziemia jest jednak odbiciem Niebiesiech.

Wszedł do łazienki, by dokonać koniecznych ablucji; dopiero po chwili dostrzegł, że lustro wiszące nad umywalką jest stłuczone. Przyglądał się, zdumiony, nie pamiętał tego epizodu, a przecież samo się nie stłukło. Dopiero teraz zauważył, że ma pokaleczoną lewą dłoń.

Wrócił do okna, by uspokoić galopadę płochych myśli. Jakaś wrzawa podniosła się na ulicy – atomy poruszające się po swych chaotycznych torach nagle zbiły się w cząsteczkę, czyli tłum. Tłum obserwujący, tłum komentujący. Właśnie dokonywała się gwałtowna przemiana – jakaś kobieta (Cieszyn nie mógł z tej odległości zobaczyć rysów jej twarzy) zachowywała się niezbornie – jej ciało wydawało się działać wbrew intencjom i sensom. Cieszyn był właściwie zadowolony, że nie widzi jej twarzy, oblicze jest w takich chwilach najstraszliwsze. Kobieta stała się czymś w rodzaju ciała obcego, obrastającego kolejnymi warstwami antyciał. Organizm działał tedy jak należy, Cieszynowi zdawało się nawet, że słyszy komentarze tłumu, ów lepki szept, narastający do rangi wrzasku. „To ona”, „Znasz ją?”, „Następna oderwana od złoza”, „Naszą krwawicą”, „Pasożyt”. „Tak kończą ci, którzy nie rozumieją...”. I tak dalej.

To moralizatorskie nadęcie, ów ton wiedzy powszechnej i takiej też racji. Tłum nie może się mylić, bo tłum jest jeden. Kto poza tłumem, ten obcy, ten pasożyt. Jestem w tłumie, więc mam rację.

Tymczasem kobieta walczy z korektą, zawzięcie, z determinacją, co jest oczywiście błędem. Mogło się przecież skończyć na łagodnym obłędzie, lekkim pomieszaniu zmysłów, przypominającym swymi objawami delikatny udar mózgu; mogły się nią zaopiekować odpowiednie instytucje, otoczyć kokonem bezpieczeństwa, wtłoczyć z powrotem w łono Państwa czy też raczej Narodu, a tak... A tak czekało ją gwałtowne zejście.

Oczywiście Cieszyn podziwiał ją, podziwiał tę bezcelową walkę, patrzył ze smutkiem, jak zagłębia się w tłum, który rozstępuje się niczym fale Czerwonego Morza; tłum lęka się infekcji, kobieta jest chodzącą chorobą, chodzącą antytezą sensu ich istnienia, które przecież nie ma sensu, ale oni o tym nie wiedzą, bo i po co?

Szyby zadygotały od przenikliwego sygnału syreny; nadjeżdżała prewencja; podobne interwencje były coraz rzadsze, funkcjonariuszy

mundurowych niemal nie widziało się na ulicach miast – po co mącić społeczny sen, gdy nie jest to konieczne?

Cieszyn odszedł od okna, nie chciał już na to patrzeć. Czuł się coraz mocniej odklejony od rzeczywistości – jakby był kosmitą strąconym w ludzkie sprawy; odczytującym wszystko fałszywie, przypisującym ludzkim działaniom nietrafione intencje. Był to dziwny stan wewnętrzny – rozumiał dlaczego nie rozumie, ale tak naprawdę nie przynosiło mu to żadnego zrozumienia, ukojenia, zakotwiczenia. Jak w matematyce – plus z minusem daje ostatecznie minus, tak w jego przypadku – zrozumienie nieporozumienia owocowało niezrozumieniem. Wiedział, dlaczego są tacy bierni, sprawiający wrażenie ostatecznego zaspokojenia, syci i, być może, szczęśliwi, zarazem nie dostrzegał wyraźnych powodów owego dosytu. Dysonans – dostajesz suchy chleb do żarcia, odrobinę wody, ktoś wyżej pisze twój nędzny życiorys, gębę zaś przecina ci uśmiech błogości.

I znów niepokojąca myśl: czy jest sens choćby próbować zmieniać to wszystko? Przecież oni wydają się być nasyceni swoją biernością; nie muszą żyć, nie muszą wybierać. Są jak sad, który nie wydaje owoców i nie domaga się doglądania – wystarczy, że deszcz spadnie. Sensem jest trwanie, sensem jest bezruch. Czemu by nie poddać się temu? Nie stać się jednym z nich, bez trosk, bez strachu, może i bez sensu, ale sens, jak zawsze, jest względny.

Po przestudiowaniu mapy miasta, wyszło, że ma się stawić na ulicę I. Nazwa była wynikiem jednego z nielicznych konfliktów społecznych, który zakończył się, rzecz jasna, kompromisem. Otóż wiele samorządów miejskich zgłosiło zapotrzebowanie nazwania jednej z ulic ich jurysdykcji przypadającej imieniem partii Radość i Pogoda. Spory, jakie rozgorzały w rozlicznych radach poszczególnych miast, przypominały swą płomiennością stare, dobre... to jest złe czasy. Argumentowano różnie – a to, że dzikim trafem na danej ulicy mieszkał przez dwa miesiące jakiś prominentny członek Jedynej Partii, a to, że mieszkańcy owej ulicy odznaczają się podwyższonym, nawet na tle wysokiej krajowej średniej, stężeniem lokalnego (i nie tylko) patriotyzmu. W końcu zaordynowano rozwiązanie następujące: nazwę rozbito na poszczególne człony i rozlosowano; we wszystkich miastach kraju wykwitły ulice Radosne oraz Pogodne, ale także ulice „i”. Spór został zażegnany.

Pod adresem I-2 mieścił się zaniedbany domek jednorodzinny okolony niskim żywopłotem. Po podwórzu leniwie przechadzały się kury, grzebiąc w wysuszonej upałami glebie. W jednym z dwóch okien – tym otwartym – trzepotała na wietrze biała firanka, to odsłaniając, to zasłaniając mroczne wnętrza. Cieszyn wyteńczył wzrok, ale niczego nie dostrzegł. Za długo tak tu stał, ruszył więc na przechadzkę. Była piętnasta, miał godzinę na podjęcie decyzji.

Przy trzecim nawrocie wydało mu się, że dostrzegł w oknie czyjąś twarz; mignęła blado, niczym refleks rozproszonego światła. Udał, że zawiązuje buta i lustrował przez chwilę okienną czelusć. Nic.

Przy piątym czy szóstym nawrocie, kiedy to umysł Cieszyna znów zapadł się w sensualne wspomnienia dotyczące pierzastych wirów, nagle coś uległo radykalnej zmianie. Drzwi wejściowe skrzypnęły potępieńczo i na podwórko wyszedł mężczyzna, wzbudzając popłoch nagromadzonego tu drobiu. W powietrzu jęły wirować pióra, w rytm wietrznych ukołysań. Twarz mężczyzny była rzeczywiście blada – jakby jedynym światłem na nią padającym okazał się księżycowy brzask. Był wysoki, ale wydawał się być zarazem niemal zgięty wpół pod fundamentalnym ciężarem wyroków losu. Lewa dłoń drżała mu jak liść na porywistym wietrze, prawą natomiast trzymał prosto wyciągniętą w nienaturalnym geście. Najbardziej zaś niepokoiła Cieszyna twarz mężczyzny – była niczym tafla jeziora odbijającego szybko przemykające po niebie chmury. Była paletą zmiennych barw, skrajnych i płynnych przeistoczeń uczuciowych. Gniew odpływał w błogość, zdziwienie stawało się pewnością, pewność – rozrzewnieniem. Jakby doznał nagłego mistycznego objawienia, które od razu go rozczarowało, by w następnej sekundzie obezwładnić swą oczywistością.

Cieszyn nie miał wątpliwości – i ten człowiek podlegał gwałtownej, nieudolnej korekcie i, co gorsza, chyba nawet z nią walczył. Dwie korekty jednego dnia to o trzy za dużo – pomyślał. Wezbrała w nim panika – korekty jakby go osaczały, działo się to wbrew rachunkowi prawdopodobieństwa; nie mógł, nie powinien to być zwykły przypadek. Byli na jego tropie...

Od razu Cieszyn jakby skurczył się w sobie, stając się – na mocy swych kameleonowych przystosowań – nieodróżnialny od nijakiego otoczenia. Nie ma mnie, nie ma mnie – powtarzał tę frazę niczym mantrę, modląc się

o jej rychłe spełnienie. Uspokoić się, uspokoić się, pomyśleć o czymś racjonalnie, równomiernie, nadać rytm myślom i, co za tym idzie, ciału. Lecz myśli dryfowały nieuchronnie ku korektom.

Istniały generalnie dwa rodzaje korekt. Po pierwsze, stopniowe, łagodne, niemal niedostrzegalne. Kreślone przez subtelnych pejzażystów ludzkich wnętrz, „poprawiany” osobnik często nie był świadom zachodzących zmian; zaczynało się od banałów – zmiany kulinarnego gustu, implantacji wspomnień z dzieciństwa, które nigdy nie miały miejsca. Wszystko to wiodło jednak do zmian głębokich, przemian światopoglądowych, rewolucji osobowości. Istniała jednak szansa, że reformowany zachowa integralność wewnętrzną, spójność; ba, spójność z zewnętrżnością nawet rosła – przecież szło o to, poza wszystkim innym, by był dostosowany do PJON-u.

Inaczej rzecz się miała w przypadku korekt nagłych, wynikłych z „wyższych konieczności”, na przykład powstrzymania zakusów terrorystycznych – korekta grubo kreślona prawie nigdy nie kończyła się dobrze. Miała przede wszystkim na celu ujawnienie poddanego korekcie; gwałtowne przemiany były spektakularne, powszechnie widoczne. Zachowania przemienionych żywo przypominały pomieszanie zmysłów – dochodziło na tym tle nawet do pomyłek służb: dotkniętych szaleństwem brano za nagle ujawnionych dysydentów. Dość, że jedni i drudzy kończyli w psychuszkach.

Cieszyn wrócił do rzeczywistości. Opodal przechodziła para z małym dzieckiem, chłopcem, mógł mieć pięć lat. Chłopiec naśladował ruchy męczyzny z za żywoplotu – jakby pozdrawiał go gestem sztywnie wyprostowanej ręki i wyciągniętymi dwoma palcami – w geście wiktorii? Cieszyn dopiero teraz zobaczył ten szczegół. Dwa palce. Matka uspokajała chłopca, szybko oddalili się. Cieszyn też nie powinien tu zbyt długo stać. Zaraz po tego nieszczęsnego odmieńca przyjadą, zresztą to miejsce było zapewne pułapką. Musiało być pułapką. Co dalej? Co dalej?

4.

Późnym popołudniem następnego dnia do drzwi Cieszyna zapukała sąsiadka z dołu. Tym razem poprosiła o ocet, więc pozwolił precyzyjnie się w ślad za biodrem reszcie jej obfitych kształtów. Wprawdzie octu też nie miał, ale był nieco roztrzęsiony i być może potrzebował towarzystwa. Opuściła mieszkanie Cieszyna bladym świtem, wcześniej wyszeptawszy drżąc w szarym półmroku, że przypomina jej z profilu Przewodniczącego. W jej ustach mógł to być komplement.

Cieszyn nie po raz pierwszy w życiu uznał, że nie pojmuje kobiet. One były po prostu jakoś inaczej skonstruowane, inaczej działały. Mężczyźni byli wyciosani z jednolitych brył, materiału, który wprawdzie łatwo pękał, ale był oczywisty, prosty do zdefiniowania, spójny. Kobiety zaś były mozaikami, układankami – na ich konsystencję składały się niezliczone nieistotne cechy, które – mimo swych licznych sprzeczności – dawały dziwną, fascynującą pełnię. Monolityczność męskiej populacji bywała nudna, różnorodność żeńskiej – irytująca; oto jest przyczyna niezdolności wszelkich związków. Po wielu latach, kiedy było już oczywiście o wiele za późno, Cieszyn nauczył się lubić sprzeczności kobiecych natur, owe wewnętrzne niedopasowania, które pasowały oczywiście, wbrew męskiej logice, jak ulał. Dawały mu dziwną, smutną radość.

Do wieczora nie wychodził z domu. Nie włączył telewizji, mimo że o osiemnastej miał być emitowany serial „R jak radość”, którego senny rytm napełniał zwykle Cieszyna wewnętrznym ukojeniem. Podobno Przewodniczący też lubił ten serial. Zastanawiał się nad zdobyciem papierosów, lecz uznał to za zbyt trudne zadanie. Odkąd okazało się, że Przewodniczący nie pali, przemysł tytoniowy sukcesywnie wiądnął i chylił się ku ostatecznemu upadkowi.

Wreszcie zasłonił kotary i włączył nocną lampkę, by oddać się pisaniu.

Zaczęło się niepozornie – od zniknięć kilku podrzędnych pisarzy. Układało się to wprawdzie w pewien wzór, ale śledztwo nie zostało podjęte. Część z zaginionych powróciła – tłumacząc swe zniknięcia chęcią odpoczynku. Nikt nie dopytywał, dlaczego właściwie przeciętni wyrobownicy pióra jęli łaknąć ukojenia w tym samym momencie. Może – ironizował ten i ów – istniały jakieś literackie pory roku, może literaci zapadli w sen zimowy. Rodziny tych, którzy nie wrócili, nie zgłaszały zaginięć, nie wydawały się

zaniepokojone nagłymi ubytkami krewnych, jakby wiedziały o czymś, o czym reszta społeczeństwa wiedzieć nie mogła. Zresztą nikt nie wydawał się sprawą przesadnie zainteresowany – znikwały postacie podrzędne; ot, taki Kazimierz Markawy – autor powieści fantastycznonaukowych, piszący pod licznymi pseudonimami, albo Ksawery Ziut, trudniący się wagonową literaturą erotyczną, czy Dyonizy Wiktor Araszkiwicz łączący oba te zainteresowania z tematyką polityczną – jego opowieści mieściły w sobie problematykę kopulacji futurologicznej z pesymistycznym przesłaniem cywilizacyjnym, wszystko to podlane dość nieznośnym i ciężkostrawnym sosem konserwatywnego zadęcia. Było ich sporo – jedni wrócili, inni pozostali tam, gdzie zniknęli.

Drugi niepokojący sygnał początkowo nie był bezpośrednio łączony z tymi pisarskimi zniknięciami i powrotami. Były to nieoczekiwane nawrócenia prominentnych postaci – krajowych gwiazd filmu, estrady i – co było najdziwniejsze – opozycyjnych polityków. Ich poglądy stopniowo ewoluowały lub, rzadziej, eksplozywnie się zmieniały o sto osiemdziesiąt stopni; już nie wyrażali oburzenia z powodu agresywnego języka Przewodniczącego (który notabene nieoczekiwanie złagodniał i przestał używać swej ulubionej frazy o ujadających kundelkach). Następnie jęli w wywiadach i wystąpieniach sejmowych akceptować mniej istotne jego poglądy. Z wolna głębia akceptacji narastała. Zdarzały się też eksplozje gwałtowne – oto prezes partii Autostrada ku Europie, osobisty wróg Przewodniczącego, którego kompetencje moralne były przez członków RiP podważane na różne dosadne sposoby, zanegował nagle dziedzictwo europejskiej kultury, uznał, że mylił się we wszystkim i poprosił Przewodniczącego o przebaczenie. Jego telewizyjne wystąpienie przerywane było gwałtownymi spazmami i nieskoordynowanymi gestykulacjami, oblicze jego zaś mieniło się zmiennymi uczuciami niczym tęcza barwami. Przewodniczący przyjął jego słowa ze zrozumieniem...

Cieszynowi zdało się, że słyszy delikatne stukanie w parapet. Odruchowo przykrył notatnik serwetą, na której plamy po kawie zbożowej

interesująco komponowały się z wzorem przedstawiającym kwietne wiry (z przewagą stokrotek, róże występowały incydentalnie i pozbawione były kolców). Podszedł do okna – szary gołąb spoglądał na człowieka z jakimś dziwnym zażenowaniem, jakby został przyłapany na czynności intymnej. Cieszyn zasłonił okno (czyżby dostrzegł w oczach ptaka wdzięczność?). Droga powrotna do stolika nagle zdała mu się wyprawą po złote runo. Widok pokoju wydał mu się mglisty, jakby oddalony na skraj horyzontu możliwych wydarzeń. Znów kątem oka „zobaczył” „coś” nieokreślonego, zamazanego, lecz istotnego. Być może – zdał sobie nagle z tego sprawę – ujrzał istotę rzeczy, sens, prawdę. Ale nie potrafił zrozumieć tego, co widzi. Cieszyn uśmiechnął się, wąsko, jak to on. Potem uśmiech jego jął się rozszerzać, niczym czarna dziura i pochłaniać swą grawitacyjną falą resztę jego oblicza. Usłyszał własny śmiech, nie, rechot, histeryczny, zawodzący. Oto kwintesencja ludzkiej konsystencji – szukamy, całe bezsensowne życie szukamy istoty rzeczy, a gdy nam się owa istota objawi i wiemy, że to jest właśnie „to”, postrzegamy ją jako magmę, wir, mgłę, pył. A może tym właśnie jest istota rzeczy – pyłem? A może to tylko mroczki przed oczami?

Rozległo się pukanie do drzwi. To rozłożysta sąsiadka przyszła się dowiedzieć, na którym to z dwóch dostępnych kanałów telewizyjnych puszczają aż tak zabawne komedie. Cieszynowi udało się ją przekonać, że nie śmiał się wcale, lecz kaszlał i że ma gripę; to ją wypłoszyło. Wrócił do pisania.

Dopiero wtedy grypa... Przekreślił i poprawił: „grupa” wpływowych osób, którą nie łączyło nic poza niepokojem, jęła poszukiwać wzorca. Hipotezy były różne, a czas naglił, ponieważ krąg wtajemniczonych topniał – nawrócenia następowały niczym lawina. Jeden nawróceniec pociągał za sobą kolejnego, jakby byli częścią niepojętego łańcucha przyczyn oraz skutków...

Na kartkę spadła kropla – atrament rozlał się w plamę, której kształt wydał się Cieszynowi znajomy. Dwójka? Otarł pot z czoła. Czyżby był chory? Schował starannie notes i włączył telewizor. Widok prezentera pogody go uspokoił. Te wszystkie chmury, które przesuwały się zawsze ze wschodu na zachód, niosąc ze sobą oczywiste zmiany, te wichry nienamiętne, fronty bez armii. Zasnął na krześle. Śnił mu się wirujący seks. Nie, to chyba był jednak puch.

5.

Kiedy wychodził z domu, natknął się na parterze na sąsiada mocującego się z kluczem. Niski, korpulentny, oddychający krótko i rwanie. Oczy pełne bolesnego niepokoju. Na te oczy zwrócił uwagę Cieszyn, kiedy zobaczył go po raz pierwszy – takie spłoszone spojrzenia w rzeczywistości wygładzonej heblem uspołecznionej jednolitości to prawdziwy rarytas. Sąsiad mieszkał chyba sam w kawalerce podobnej do tej zajmowanej przez Cieszyna.

– Może pomóc? – zaoferował Cieszyn, choć właściwie się spieszył.

– Co? – sąsiad jakby dopiero teraz go zauważył. – A nie, dziękuję, dam radę... Wie pan, ważne jest to, co odkryte, a nie zakryte.

Uśmiechnął się, ale był to uśmiech ulotny, jak spłoszony ptak. I ten uśmiech wydał się nagle Cieszynowi znajomy, jakby go kiedyś widział, w nieco innych okolicznościach. Wyminął sąsiada i wyszedł na zalaną słońcem ulicę Postępu Moralnego.

Dzwonić można było tylko we wtorki, za każdym razem pod inny numer, który zmieniał się wariacyjnie, z innej budki telefonicznej, o innej, ściśle określonej porze. Za każdym razem odbierał ktoś inny, ktoś z wdrukowanymi (wewnętrznie) wariantami odpowiedzi. Nie mogli mieć żadnych notatek; te były zapewne zjadane tuż po spamietaniu rozgałęzionych szczegółów. Cieszyn wyobraził sobie kanapkę z informacją – masło, plaster sera, bit informacji. Szam, szam.

Wykręcił numer, ale pomyliła mu się jedynka z siódemką i dodzwonił się do jakiejś kury domowej, która wzięła go za męża na gigancie i od razu, nim w ogóle zaczął cokolwiek mówić, jęła mu wymyślać od ostatnich. Jej piskliwy głos osiągał takie tonacje, że Cieszyn zatroskał się o trwałość pleksiglasowego opakowania budki telefonicznej. Nim się rozłączył usłyszał, że jest łachudrą, co zresztą nie musiało mijać się z prawdą.

Szybko wykręcił, tym razem prawidłowy, numer. Lubił wyobrazać sobie kolejnych rozmówców – nazywał to foniczną archeologią; odkurzał szczoteczką swych mniemań potencjalne rysy twarzy, tylko na podstawie tembru, barwy głosu, emocji.

– T...t... tak?

Ten się jąkał, więc stanął mu przed oczami wysoki rozczochraniec, nie wiedzieć czemu brunet, którego rysy twarzy były na trwałe rozciągnięte (a być może popękane i rwane) tytanicznym wysiłkiem kończenia słów.

– Pan Kowalski? – oznaczało to, że kontakt był spalony. Cieszyn nie wiedział, dlaczego akurat nazwisko Kowalski miało tak fatalistyczny wydźwięk w ich konspiracyjnym slangu.

– D.... d...

Dopiero wtedy zrozumiał, że jego rozmówca wcale się nie jąka.

– Dw...

Musiał podlegać gwałtownej, zbyt gwałtownej korekcie. I znów wyobraźnia – ten sam brunet, a jego twarz rozrywana sprzecznościami, źle dobranymi cechami, emocjami, nie jego ochotami...

Nim zdołał rozłączyć się i szybko oddalić od budki, usłyszał jeszcze:

– Dwa! Dwa! Dwa!

Kiedy wychodził z budki, poczuł na sobie czyjś wzrok. Rozejrzał się dyskretnie, udając, że kaszle. Podczas owej lustracji dostrzegł swe odbicie w otulinie budki telefonicznej i gwałtownie odwrócił wzrok, jakby organicznie nie mógł znieść swego odwzorowania na dowolnej płaszczyźnie.

Instynkt w takich chwilach rzadko go zawodził – ciągle czuł wwiercające się nieomal w jego ciało spojrzenie, które nie było, nie mogło być spojrzeniem przypadkowym. Szedł zatem przypadkową trajektorią, co jakiś czas niby to potykając się, wiążąc buty zapinane na rzepy i lustrując otoczenie. Nikogo jednak nie łowił wzrokiem, to znaczy nikogo istotnego, nikogo powtarzalnego.

W końcu dotarł na rynek miejski i jął przeciskać się między straganami – ktoś sprzedawał trąbki strażackie, kto inny oferował stare rowery bez kół. Stoisko z watą cukrową było nieczynne z powodu przejściowych... Właśnie wtedy Cieszyn wyłowił jednak jakiś powtarzalny szczegół, gdzieś na granicy swej wyostrzonej percepcji. Nie wiedział jeszcze co, ale wiedział, że coś jest na rzeczy. Zaczął więc krążyć koncentrycznie, by osaczyć ową osobliwość, minął babę krzyczącą o najwyższej jakości krajowej bawełny, której – dodawała ciszej, gdy ktoś ją o to pytał – z powodu przejściowych trudności na razie... JEST! I znów zniknął – jakiś taki mały, niewydarzony, pokurczony, w czarnym kapeluszu? Czapeczce? Berecie?

Cieszyn minął kwiaciarnię, w której były tylko czerwone goździki i białe tulipany, wyłożone tak, by komponować się w barwy narodowe, z których jesteśmy... JEST! Mignął gdzieś na granicy widzialności i znów zniknął; był niczym spławik podczas brania – pojawiał się i zniknął. Pojawiał. I zniknął. Aż zniknął na amen.

– Dymka opchnę, dymka opchnę... – informował scenicznym szeptem jakiś facet. Wprawdzie wyroby tytoniowe nie były jeszcze zakazane oficjalnym edyktem, ale już wyczuwało się w powietrzu aurę nielegalności. Nikt nie kupował, nikt się nie interesował.

6.

Rytuał odczytywania własnego pisma – badania, czy wszystko w porządku. Jak ocenić siebie? Jak rozpoznać nierozpoznane? Jak dostrzec zmiany, pęknięcia, rozwidlenia?

Litery są w większości kultur obdarzone szczególnymi znaczeniami symbolicznymi. Islam rozróżnia między literami ognistymi, powietrznymi, ziemskimi, wodnymi, które poza tym jako materializacje Słowa Bożego są nosicielami szczególnych znaczeń. Kabała zna cały system mistycznych spekulacji, które łączą się przede wszystkim z formą poszczególnych liter, jak i z określonymi wartościami liczb. Siedem greckich samogłosek uchodziło w starożytności za symbole siedmiu sfer niebiańskich i siedmiu poruszających się w nich planet lub też za symbole ducha, spółgłoski natomiast symbolizowały materię. Alfabet jako połączenie samogłosek i spółgłosek, a zatem „ducha” i „materii”, oraz jako całość wszystkich znaków języka odczuwano jako symbol pełni i doskonałości, także całego kosmosu.

Rano odwiedził Bibliotekę Miejską – dość ponury gmach zbudowany z czerwonej cegły. Jego kroki we wnętrza budynku rezonowały zimno. Bibliotekarką była ciemnowłosa kobieta po trzydziestce,

nadużywająca nikotyny, sądząc po barwie palców smukłej prawej dłoni. Od razu poczuł do niej nic sympatii, nałóg wygrywał u niej z systemem nakazowo-rozdzielczym oraz kryzysem rynku tytoniowego. Nic jednak zwiędła i zetlała, a może lepszym określeniem byłoby zamarzała pod jej chłodnym spojrzeniem. Wszystko w tym gmachu było zimne, nawet bibliotekarki.

W czytelnicy był tylko Cieszyn; poziom czytelnictwa na skutek inicjatyw oświatowych władz gwałtownie opadał, wahając się między 0-5% w skali kraju. Wartość ta mogła zresztą okazać się błędem statystycznym.

Zbiory były tu szczupłe, biblioteki nieustannie odchudzano z treści zbędnych. Co się z nimi działo potem – Cieszyn mógł się tylko domyślić. Wyobraźnia zaś natychmiast podsunęła mu dość idiotyczny obraz piwnicy bibliotecznej zamienionej w gigantyczną chłodnię, a tam setki zziębniętych tomów. Zmrożony Dostojewski, drżące karty „Lolity”, oszronione okładki „Wieczoru trzech króli”. No i oczywiście sztywne stronice „451 stopni Fahrenheita” Bradbury’ego.

Cieszyn otrząsnął się z tych chłodnych wizji i jął przeglądać słowniki symboli. Chciał, z powodów, których sam nie rozumiał, poszukać symbolicznych znaczeń cyfry „dwa”. Znalazł niewiele informacji – do tego dość oczywistych, właściwie sam nie wiedział, na co tak naprawdę liczył. Dowiedział się, że pitagorejczycy uważali dwójkę za „pierwszą rzeczywistą liczbę”, ponieważ przedstawia ona pierwszą liczbę mnogą; dopiero dwoistość „rodzi” wielość. Liczba 2 jest symbolem podwojenia, podziału, sporu, przeciwieństwa, konfliktu, ale także równowagi: symbolizuje ruch, który daje początek rozwojowi (zmianie? – nasunęło się Cieszynowi podczas lektury, nie wiedzieć czemu). Dowiedział się nadto, że dwójka funduje dualistyczne przeciwieństwa: Stwórcy i istoty stworzonej, światła i ciemności, pierwiastka męskiego i żeńskiego, ducha i materii itd. I co właściwie miało mu to dać? Od początku wiedział, że nic.

Nad wyjściem z biblioteki wisiał portret z pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarzą Przewodniczącego. Jego wodniste oczy spoglądały w jakąś dał, która wydawała się być za daleko. Pod portretem zamieszczono cytat z któregoś z jego licznych ongiś przemówień albo z jego jedynej książki „Dialektyka dobrych zmian” wydanej w dawno już wyczerpanym nakładzie czterech milionów egzemplarzy. Cieszyn wyteńczył wzrok, choć nie spodziewał się objawień. *Ważne jest to, co odkryte, a nie to, co zakryte.*

Słowa wydały się Cieszynowi znajome, choć niezrozumiałe. Idąc skąpaną w słońcu ulicą, próbował dokonać ich egzegezy. W kontekście wystąpienia tych słów w placówce bibliotecznej mogło to oznaczać, że Przewodniczący nie lubi treści ukrytych oraz skomplikowanych w literaturze, zbędnego alegoryzowania, mącenia w czytelniczych łbach. Kawa na łąwę – czarne jest czarne, a białe – białe.

7.

Jakiś czas po Korekcie dostrzeżono pewne, nieuchwytne zrazu, zmiany w zachowaniu Przewodniczącego. Podczas przemówień jął żartować, nawet podśpiewywać patriotyczne, a także niepatriotyczne songi. Podobno chętnie sięgał po kieliszek i wznosił toasty dłuższe niż jego dawne przemówienia sejmowe, podczas których sypał kiepskimi dowcipami z dawnych, kombatanckich czasów. Co wydało się najdziwniejsze, nagle jął zwracać uwagę na występowanie w rzeczywistości go otaczającej płci przeciwnej, powiadano, że nawet podszczypywał spłonione tą nagłą uwagą Wielkiego Małego Człowieka panienki. Dopiero ten ostatni sygnał nieoczekiwanego powrotu Przewodniczącego w granice człowieczeństwa zaalarmował jego najbliższe otoczenie. Wszczęto dyskretne śledztwo i wykryto zamach mentalny – ktoś manipulował przy teczce Przewodniczącego. Sprawców, bo był to rzecz jasna spisek, ukarano przykładową kastracją (poprzedzoną lustracją) osobowości. Stan wewnętrzny Przewodniczącego wrócił do normy; on sam zaś zniknął niedługo potem z przestrzeni publicznej, by oddać się istotnym strategicznie reformom gramatycznym.

Przerwał pisanie. Co dalej, co dalej? Mógł zadzwonić w następny wtorek, ale co, jeśli wszystkie kontakty są spalone? Znów naszła go ochota na papierosa. Przechadzał się nerwowo po pokoju, a klepki starego parkietu skrzypiały pod jego przemieszczającym się ciężarem. Pięć kroków do okna, pięć z powrotem. Pięć...

Co właściwie robił w tej małomiasteczkowej dziurze, do której skierował go szereg wygenerowanych stochastycznie i anonimowych poleceń? Szedł po łańcuszku nakazowym, którego początek rozwidłał się na setki nitek. Oto rzeka z milionem dopływów, która sama jest jednym z miliarda wpływów – czyli życie, los, dzieje. Konspiracja zaś opierała się na podobnym amorfizmie struktur – nie wiadomo czy były jakieś centra decyzyjne, a jeśli były, to ukryte za kolejnymi odnogami i załomami – nikt nic nie wiedział, poza ściśle określonymi wariantami odpowiedzi na ściśle określone warianty pytań, które pytających kierowały w ściśle określone miejsca, gdzie po przybyciu mieli się dowiedzieć – po co. Ale Cieszyn nie dowiedział się. A jeśli w ogóle nikogo nie było, jeśli informacje powstawały samoistnie, niczym morskie fale i rozchodziły się tak a nie inaczej zgodnie z jakimś prawem grawitacji wieści? Może nie było nadawcy, tylko sami odbiorcy? Nie mógł być nawet pewien czy ma wykonać zadanie właściwie, to jest „skorygować” (może lepszym słowem byłoby „zniwelować”? – skarcił sam siebie w myślach) korektora, zakamuflowanego, ukrytego gdzieś tu, w tym sennym miasteczku. Czy też był tylko zmyłką, uchybem, ślepą uliczką systemu konspiracji, który miał wprowadzić w konfuzję system inwigilacji?

Podjął pisaninę od zupełnie nowego wątku, choć co chwilę przerywały mu nachalnie cisnące się do mózgu wspomnienia. Ten puch, ten falujący biust, ów zapach piwniczny – wszystko związane w jeden węzeł sensualny, pakiet, łańcuch...

Rychło pojawił się System. Nikt nie wyjaśniał z jakiego właściwie powodu, albowiem skutkom nie wyjaśnia się przyczyn, a ludzie byli skutkami. System zaś jest ze swej natury systematyczny. Wprowadzono powszechny obowiązek wypełniania kwestionariuszy przez wszystkich obywateli, którzy nauczyli się pisać, a także czytać. Padały tam subtelne, a nawet intymne pytania, na które należało odpowiadać z bezwzględną szczerością. Powszechna spowiedź narodu wędrowała do akt mieszczących się w przepastnych piwnicach IONu – procedura powtarzać się miała co pięć lat, a to w celu rejestracji najniklejszych nawet zmian gustu, uchybów charakterologicznych itp. Nikt nie wiedział czy te dane są przeglądane regularnie, czy

też losowo – sam fakt owych powszechnych rejestracji wzbudzał w rejestrowanych stosowną dozę respektu i wymuszał pożądane społecznie zachowania, które to zachowania polegały w gruncie rzeczy na nie-zachowywaniu się – na ciszy, bezruchu, spokoju. Nikt też nie mógł mieć pewności, czy ich wnętrze nie jest poddawane niedostrzegalnej obróbce.

Cieszyn przerwał, otworzył okno i jął wsłuchiwać się w odgłosy nocy. Poza krakaniem jakiegoś ptaka, najpewniej wrony, nie usłyszał jednak niczego szczególnego.

8.

Do wtorku zostały trzy dni, co oznaczało, że musi być sobota. Cieszyn przechadzał się wyjałowionymi ulicami miasta ze snu, więc snów pozbawionego. Patrzył na oblicza mijanych ludzi i zgadywał – ten po korekcie, tamten naturalny. Naród poddany tresurze, jednolity w swych dążeniach, wyśmienicie monolityczny. W jakimś sensie zabawny, gdyby się temu przyjrzeć z dystansu.

Filozofowie chrześcijańscy w ten właśnie sposób budowali swoje teodycee, czyli obrony doskonałości stworzenia. Jakże świat może być niedoskonały i tak zły wobec doskonałości i wszechmocy jego Kreatora? Skąd ten dysonans? Ano – odpowiadali, przede wszystkim sobie – stąd, że żyjemy przecież na najdoskonalszym z możliwych do zaistnienia światów. Albowiem można sobie wyobrazić rzeczywistość wyglądającą bardziej od tej tu korzystnie, ale byłaby to rzeczywistość na kształt przedstawienia kukiełkowego, z jednolitym scenariuszem, rozpisanymi rolami, odgórnym sterowaniem. Świat bez wojen, bez okrucieństwa, bez ucisków i bez... wolności. To złe wybory ludzi są przyczyną kiepskich stanów dalszej i bliższej okolicy, ale i tak świat bez wolności byłby gorszym od tego światem. Poza tym małe zło jest konieczne do większej doskonałości wszechświata – jest smarem niwelującym tarcia w tej genialnie pomyślanej maszynie. Jakoś nigdy nie przekonywało to Cieszyna – był w tym sposobie myślenia jakiś dziwny chłód. Świat jawił się z otchłannego boskiego dystansu niczym doskonała kula; jednak każde zbliżenie oznaczało

odkrycie kolejnego pęknięcia na tym monolicie. Jesteśmy wolni, ale jak pięknie potrafimy się gniesć i wyzynać. Cóż, to nasza zasługa.

Konstrukcja zaproponowana przez Przewodniczącego była natomiast odwrotnie proporcjonalna co do zasad. Tak, ta rzeczywistość jest właśnie teatrem kukiełkowym. Tak, ludzie są uśmiechnięci, sprawiają wrażenie szczęśliwych, być może to wszystko ma dla nich jakiś sens, cel. Ale im bardziej hipotetyczny obserwator oddala się od tej konstrukcji, tym wyraźniej widzi jej koślawość, niepodobieństwo do kulistej doskonałości, nonsens przerostów, uchybów i opuchlizn. Opuchnięty świat, świat, który dostał w mordę – pomyślał Cieszyn. Ale właściwie co w tym złego. Wszystkie możliwe modele są tylko zgrubnymi przybliżeniami, opisują tylko część mechanizmów świata, pomijając całą resztę. Dlatego nigdy nam się nie udaje. Nigdy.

Od jakiegoś czasu Cieszyn nie odczuwał niepokoju – sensualne fenomeny raczej go uspokajały, a „kąt oka” jakby się zasklepił, nie ukazywał już „natury rzeczy”. Wiedział, że bez względu na instrukcje lub ich brak, musi rychło opuścić miasto, bo jego wykorzenienie zaczynało rzucać się w oczy. Z drugiej strony zaczynało mu to być obojętne.

Na klatce schodowej przypadkowo potracił sąsiada z parteru, tego o smutnym wejrzeniu. Potracił na tyle mocno, że spadł mu z głowy kapelusz. Czarny.

– Brak panu piątej klepki? – Nie było w tym pytaniu złości, czy też złośliwości. Raczej ironia – zdecydował Cieszyn. A może... aluzja? Piąta klepka! Przyspieszył kroku, sąsiad patrzył za nim i uśmiechał się smutno. Te oczy, to spojrzenie. Ten uśmiech.

Nić w porządku. Szybko zaryglował się od środka i sprawdził – piąta klepka licząc od lewej ściany. Notes był na swoim miejscu. Jedenasta i dwunasta – też bardzo istotne – nie wydawały się naruszone. Więc chyba jednak przypadek. Traf, ślepy traf. Przypadek to anonimowy podpis Boga. Te oczy, to smutne wejrzenie. Lekkie jak puch ukłucie niepokoju.

Włączył telewizor, by zagłuszyć swe poczynania. W studiu telewizyjnym spiker ukradkiem ocierał łzy i jawnie pociągał nosem – był uosobieniem smutku. W ogóle dominowały czernie, kiry i zawodzenia w tle. Majestatycznie odgrywano hymn państwowy, armia maszerowała majestatycznie.

Trzeba sprawdzić notes. Stare zapiski. Te z początku, samego początku. Otworzył na drugiej stronie. Nie rozpoznał swego charakteru pisma. Kartkował strona po stronie – i ujrzał tendencję. Stopniowe wygaszanie pisma. Jakby ktoś wylał oliwę na toń jego wewnętrznego niepokoju. Pochyłe na różne strony, rozłożyste jak nogi kochanki litery stopniowo prostują się – jakby przeminęły wichry namiętności kładące je wcześniej pokotem. Stało się – przemknęło przez myśl Cieszynowi. Jakoś tak spokojnie przemknęło. Więc powrócił na drugą stronę i jął czytać to rozstrzelone przez niego samego pismo budzące w nim teraz lekką odrazę swym estetycznym nadmiarem, niedopasowaniem do treści – jakże banalnej przecież. Banalnej jak wszystko inne.

Jak stworzyć człowieka impregowanego na systematyczność systemu (Cieszyn skrzywił się – wprawdzie powtórzenie było celowe, ale zdecydowanie trzeba coś zrobić z tym językiem, zmienić, uprościć, zreformować), odpornego na ewidencję, kwestionariusze, korekty? Recepta jest prosta: weź piętnaście kilogramów sierocej samotności (niepokój, lekki, ale w tle wirują płatki albo puch, albo kurz, coś tam wiruje, przysypuje), gram braku tożsamości, dwa – niedopasowania. Tak sporządzoną mieszankę trzymaj z dala od rejestrów, kwestionariuszy, teczek i patrz jak twardnieje. Obserwuj i ucz go osobności, umiłowania inności. Zarazem niechaj doskonali się w trudnej sztuce mimikry...

Coś utrudniało mu odczytywanie tych rozchwianych bukw. Cóż to? Łza? Łza. Coś wpadło mu do oka? To łza? Łza? Dlaczego łza. Odczytuje raz jeszcze – sieroca samotność, brak tożsamości... Był sierotą. Nie było żadnych dziadków, żadnego ogrodu, żadnego piwnicznego zapachu. Zerwał się z krzesła i jął przetrząsać szpargały w poszukiwaniu fotografii z dzieciństwa – w ogrodzie, z dziadkami... Pamiętał, że były, wiedział, że były, wiedział, że je widział. Tylko że ich nie znalazł. Nie znalazł, bo ich nie było. Znow łza. Przecież to śmieszne. Był dziwnie rozdarty, bo wiedział, że rozpacz jest śmieszna, a mimo to jego organizm rozpaczał – jakby wbrew Cieszynowi. Giął się wewnątrz w paroksyzmach bólu, a Cieszyn tego nie rozumiał. Nie rozumiał i nie chciał rozumieć.

– Z głębokim żalem i nieukojonym bólem – zdołał wreszcie przemówić spiker – informujemy państwa o śmierci Pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej, lidera zmian na lepsze, pioniera narodowego ukojenia, Przewodniczącego...

Coś runęło na podłogę piętro wyżej, aż wszystko zadygotało; Cieszyn wyobraził sobie, że to ciężka, stukilogramowa sąsiadka, którą widział przypadkowo raz w życiu, padła rażona smutnymi wieściami. Za oknem rozwyły się syreny – świat rozpaczał, miasto łkało.

– ...urodzony w Cieszynie w roku... – Wyłączył telewizor.

Znów jął kartkować swój notes – odczytywał dawne i współczesne frazy, dokonywał egzegezy zmian swych wewnętrznych nastawień. I właśnie wtedy – kiedy odczytywał zapiski ze strony bodaj dwieście dwudziestej drugiej – tak, właśnie wtedy nagle spłynęło nań ostateczne zrozumienie. Choć początkowo tego zrozumienia nie zrozumiał. Wczytywał się w tę swoją rozchwianą frazę i wczytywał raz za razem – gdzieś tu tkwi klucz przynajmniej do istoty rzeczy, czuł, że ma go przed sobą.

Zresztą nikt nie wydawał się sprawą przesadnie zainteresowany – znikwały postacie podrzędne; ot, taki Kazimierz Markawy – autor powieści fantastycznonaukowych, piszący pod licznymi pseudonimami, albo Ksawery Ziut, trudniący się wagonową literaturą erotyczną czy Dyonizy Wiktor Araszkiwicz łączący oba te zainteresowania z tematyką polityczną – jego opowieści mieściły w sobie problematykę kopulacji futurologicznej z pesymistycznym przesłaniem cywilizacyjnym, wszystko to podlane dość nieznośnym i ciężkostrawnym sosem konserwatywnego zadęcia. Było ich sporo – jedni wrócili, inni pozostali tam, gdzie zniknęli.

Ależ tak. Ależ tak. Spotkanie autorskie Dyonizego Wiktora Araszkiwicza, tuż przed jego tajemniczym zaginięciem. Cieszyn ustawia się w kolejce po autograf, w dłoni dzierży książkę otwartą na stronie tytułowej. Nie mógł sobie teraz przypomnieć tytułu. Araszkiwicz jest sobą, rzecz jasna, zachwycony, mimo nikłego wzrostu wygląda na tym małym składanym krzeselku niczym kaleki, złożony w pół olbrzym. Jakby miał dwa metry wzrostu bez mała. Obok książek przeznaczonych do podpisu spoczywa coś czarnego, Cieszyn natężył tytanicznie pamięć. Tak, to kapelusz. Czarny. Mimo tych autozachwyty, uśmiech Araszkiwicza jest smutny. I ulotny – jak liść albo ptak. Być może ma przecucie nadchodzących czasów. On, który zawsze tak pięknie się

ustawiał i jeszcze potrafił to przedstawić jako nastawienie antykoniunkturalne, antysystemowe, antysalonowe, cierpiętnicze (na czym nieźle zarabiał), on, który bezkrytycznie poparł Przewodniczącego w czasach, gdy ten był jeszcze w opozycji, on, który przedstawiał swego idola, a przez to i siebie samego jako ofiary krwiożerczego Systemu, w którego krwiożerczość uwierzyć mogli tylko idioci – i rzeczywiście uwierzyli; on, któremu zasług dla Dobrej Zmiany nikt nie mógł odebrać... Tak, właśnie on nagle popadł w niełaskę i zaraz miał zaginać w tajemnych okolicznościach. Być może napisał o akapit za dużo, być może nie ugryzł się w odpowiednim momencie w pióro. Często – przypominał sobie nagle Cieszyn – podpisywał teksty swymi inicjałami: DWA. No oczywiście, że dwa.

Ulotny, smutny uśmiech.

Cieszyn nagle poczuł, że wie, po co żyje. Było to znów poczucie wiedzy, a nie wiedza sama w sobie. Cieszyn czuł, że wie, choć nie wiedział jak wie. Nie wiedział też czy wie aby na pewno o tym, co wie. I tak dalej, i tak dalej. Rozważania tego typu rozwidlały się w jego świadomości i zamieniały w istne wiry; sekundowały im zaś trąby powietrzne złożone głównie z ulotnych uśmiechów. Ulotnych uśmiechów...

9.

Kiedy pakował rzeczy – a niewiele ich miał – zauważył, że lekko drżą mu dłonie. Na sam koniec zostawił zawartość podklepkową – notes spod klepki piątej i broń spod jedenastej i dwunastej. Pistolet wsunął za spodnie; notes do torby. Tak przygotowany, wolno, by nie rzec majestatycznie (jakby spływał, niczym ludzka lawina, z tych schodów), zszedł na parter. Gdy się tam znalazł, po krótkim wahaniu zapukał do drzwi mieszkania, jakżeby inaczej, numer dwa. Wydawało mu się, że czuje znów, ale ulotnie, zjawiskowo, ów zapach, którego przecież nigdy nie było – ową piwniczną kompozycję z domu dziadków. Zapukał po raz wtóry i chyba w końcu wywołał tym jakiś ruch za drzwiami. Chrobot otwieranego zamka i przez uchyloną szparę wdarł się mrok. I ten zapach, ten niemożliwy zapach rozlał

się mocniej... mieszanka zapachu wilgoci, grzybów, starego tynku, ziemniaków, kocich odchodów i... czegoś jeszcze.

– Proszę... – cichnący, niknący głos. – Niech pan wejdzie.

Więc wszedł. Wzrok powoli przyzwyczajał się do mroku. Włączona lampka przecięła nagłym sztychem ciemność, zadając jej ranę trudną do zasklepienia. Ciężkie kotary stawiały dzielny opór światłu słonecznemu – niemal czuć było ten napór światłości. Kawalerka była bliźniaczo podobna do tej Cieszyna; nawet stół podobnie był ustawiony. Na stole zaś leżał otwarty notes, też podobny. Jediną rzucającą się różnicą był fotel bujany (czyżby wiklinowy?), na którym kołysał się powoli Dyonizy Wiktor Araszkiewicz.

– Ważne jest to, co odkryte, a nie zakryte... Kiedy nie zareagował pan na hasło, wiedziałem, że wszystko stracone.

Cieszyna znów zalała (która to już w przeciągu ostatniej godziny?) potężna fala zrozumienia i spokoju. Wszystko stało się jasne, wszystko miało sens – rzeczywistość objawiła mu się jako potężny mechanizm zegarowy, w którym nie mogło być zbędnych części – takie należało usuwać. Każda drobina, strzępek, kikut rzeczywistości miał swoją przyczynę i niósł jakiś skutek. Nie ma czegoś takiego jak teoria spiskowa, jest za to wielka praktyka spisku, bo spisek jest istotą rzeczy. Świat powstał w rezultacie myśli i myśl ukryta go konstituowała. Przewodniczący zaś uczynił jedno – odkrył zakryte.

– Ważne jest to, co odkryte... Ważni są ci, którzy wrócili i się nawrócili – to oni zapisują akta – wycedził powoli Cieszyn. Wydawało mu się, że to nie on mówi, lecz sens używa go jako narzędzia do przekazywania siebie samego w postaci czystej. – Ty pozostałeś w ukryciu. Ty się nie nadawałeś. Jesteś nikim.

– To nie tak... – Ten jego cholerny zwiewny uśmiech. Chciał jeszcze coś dodać, niepotrzebnie, zasiać wątpliwości, wszczepić błąd w nagle objawiony ład, szczekać, szczekać, szczekać jak kundelek. Ale nie było mu dane. Cieszyn wypalił mu prosto w ten jego uśmiech, który w końcu rzeczywiście uleciał.

Nie przeszkadzało mu, że został zawrócony i z poszukiwacza korektorów przeistoczył się w cenzora. Wręcz przeciwnie. Zresztą cała śmieszna siatka konspiracji stała się zapewne mechanizmem

samoniweczącym się i samotropiącym, zapadającym się pod własnym ciężarem. I tak być powinno. A w głowie szybował puch.

Trzeba jeszcze spalić ten notes, spali zresztą oba. Mimochodem spojrzął na otwartą stronę. Pismo wydało się Cieszynowi znajome. I chcąc nie chcąc jął czytać, słowa, zdania, które niczego już nie mogły zmienić.

Istnieje jeszcze jedna możliwość. Najbardziej przerażająca. Zniknięcie Przewodniczącego kilka lat temu. Ta jego nieobecność, tak nagła, tak nieoczekiwana, rzekome bądź nie prace nad reformą gramatyki. Nie ma go w telewizji, na wiecach poparcia, dziura, ssąca wyrwa, pustka po nim. A jeśli (trudno to zwerbalizować, ubrać w słowa), ale jeśli nigdy go nie było? Albo odwrotnie – jeśli był zawsze i wszędzie? Jeśli to wszystko, co nas otacza, jest jego światem wewnętrznym? Jego tęsknotą za absolutnym ładem, bezruchem, porządkiem, który próbował wprowadzić poprzez zamęt, walkę z każdym i o wszystko, agresję, zmianę. I w końcu udało mu się, ale wewnątrz. Z tym, że owa wewnętrzność dla mnie nie ma znaczenia, dla mnie jest ona wszechświatem i bezmiarem. Czym w tej wnętrznościowej kosmologii ja bym był? Wypartą myślą Przewodniczącego? Bładym odbiciem jego anarchistycznych skłonności? Ulotnym pragnieniem zamętu? Tak czy siak mój czas się kończy...

Wyłącznie to ostatnie zdanie, prawdopodobnie zerwane nadejściem Cieszyna, miało jakikolwiek sens. Araszkiewicz niczego nie pojął. Korekta nie była zmianą, wręcz przeciwnie, była powrotem do istoty rzeczy. Korekta ogałaca, struga te wszystkie niepotrzebne naleciałości, cywilizacyjne śmieci, syntetyczne poprawne poglądy, prawa człowieka, kulturę i inne brewerie. Stajemy się sobą, czyli bydlętami.

– Sobą, czyli bydlętami – powtórzył na głos Cieszyn.

Kiedy szukał zapalek, by spalić notesy, by ogień, który jest cenzorem ostatecznym, spopielił te wszystkie niepotrzebne myśli i słowa, właśnie wtedy, dokładnie w tym momencie ujrzał coś kątem oka.

Olsztyn, marzec, czerwiec 2016

Cezary Zbierzchowski

DOBRE MIASTO

Aktywność niekoniecznie oznacza życie. Kwazary są aktywne, a medytujący mnich nie jest martwy.

Ph. K. Dick, *Przez ciemne zwierciadło*

Dzień pierwszy

Wybudzili mnie i poczułem, jak gwałtownie wypełnia się pustka.

– Udało się, John! Jak się miewasz?

Wybudzili mnie. Zupełnie, jakbym dotąd spał i otworzył oczy, a przecież jeszcze chwilę temu nie istniałem. Owinięty syntetycznym łonem, płasający w drgawkach maszynerii, nie piłem krwi matki. Czuły ultrasonograf nie słuchał bicia mojego serca. Syntetyczny człowiek, równie żywy jak woda z kapiącego kranu. Inteligentny jak owad. A jednak byłem chcianym dzieckiem, na moje przyjście oczekiwało wielu ludzi zgromadzonych wokół stołu.

– Czuję ból i trzaskający mróz w lędźwiach – powiedziałem, siadając niezgrabnie. – Dajcie mi coś, w co mógłbym się odziać.

– Och, John, mówi się raczej „ubrać”. Słowo „odziać” jest dość przestarzałe – zauważyła lingwistka.

– To nieistotne, Kelly – uciszył ją generał z krzaczastymi brwiami.

– Dziękuję – przytaknąłem skwapliwie, łapiąc kobietę za srebrny łańcuszek na szyi.

– Szybki jest – odezwał się z satysfakcją doktor Salt; tylko jego nazwisko wdrukowali mi do pamięci. – Puść ją, John. Nie rób krzywdy naszej koleżance.

– Dajcie mi jakieś ubranie. – Uwolniłem przerażoną kobietę. – I zgaście te cholerne światła, bo jeszcze chwila i postradam wzrok.

Postradam wzrok, zasrane anachronizmy.

Przygasili lampy i złote półcienie wlażyły na szpitalne ściany. Kilku ludzi opuściło salę, a doktor Salt i generał usiedli na krzesłach. Pielęgniarka przyniosła wyprasowane rzeczy oraz kubek z niebieskim napojem, który okazał się wstrętny.

Ubierałem się przy nich i nie czułem wstydu. Tylko gorycz w ustach.

* * *

Długo trząsałem się z zimna pomimo ubrań, które mi ofiarowali. Jeansy, koszula w kratę, idiotyczny sweter zapinany z przodu na guziki. Kowbojskie buty. Podszedłem do lustra, by obejrzeć swoją twarz. Odbijała się w ciemnym zwierciadle. Bładość i kilkudniowy zarost sugerowały chorobę. Kilkudniowy zarost u jednodniowego człowieka. I pamięć sięgająca trzech miesięcy wstecz, gdy pojawił się portal w Dobrym Mieście.

– Ci cholerni naukowcy nie dają mi żadnej pewności – powiedział smętnie generał. – Nie jestem pewien, co zostało predefiniowane w twojej głowie, więc w kilku zdaniach przybliżę ci sytuację.

– Jakiego zoomu pan użyje? – zapytałem cicho.

– On żartuje, to doskonały prognostyk – ucieszył się doktor Salt.

– Doskonały. – Pokiwał głową generał. – Ale teraz, doktorze, proszę nie wchodzić mi w słowo. Nie lubię stosunków przerywanych.

Opowiadał o tym, co i tak wiedziałem. O sądnej nocy, kiedy wybuch w Instytucie Josepha Capgrasa najpierw zatopił Dobre Miasto w ciemności, by chwilę później otworzyć portal nad zrujnowanym budynkiem. Ogromny bąbel płonął od środka i syczał jak wąż. Policja błyskawicznie ustawiła barierki i okleiła okolicę żółtą taśmą. Pojawiły się helikoptery. Dziennikarze poczuli znajomy i miły nozdrzom smród sensacji.

A potem z ognistej kuli zaczęli wypadać ludzie. Niektórzy częściowo zwęgleni, inni obgryzieni do kości, ale większość żyła i biegła przed siebie z głośnym wyciem. Aż trzy kanały nadawały transmisję na żywo. Uciekinierzy błagali o pomoc wszystkimi językami świata. Mówili, że pochodzą z Piekła, a tam właśnie trwa wojna pomiędzy zastępami zwaśnionych demonów.

Mary Engels, burmistrz Dobrego Miasta, postanowiła udzielić im azylu. Opróżniono naprędce szkołę podstawową, potem pobliski dom kultury i niewielki budynek straży pożarnej. Okolice placu Ewolucji przeznaczono na tymczasowy obóz dla uchodźców. Ale gdy uciekinierów zaczęło przybywać, służby miejskie zorganizowały relokację.

Przewożono ich z centrum, z Dystryktu Trzeciego, gdzie nastąpił wybuch, do Dystryktu Dwunastego na obrzeżach metropolii. Ratusz umieścił uchodźców w dzielnicach odrapanych, czynszowych bloków z wielkiej płyty. Tutejsi mieszkańcy wylegli na ulice i obrzucili policjantów kamieniami. Płonęły sklepy i samochody. Cztery osoby zginęły

w zamieszkach, a kilkadziesiąt zostało rannych. Rozpoczęły się aresztowania.

– Zdajesz sobie sprawę, że to był dopiero początek problemów? – zapytał stary dowódca, wbijając we mnie wzrok.

– Tak, wiem. W ciągu trzech tygodni sytuacja wymknęła się spod kontroli. Mary Engels otoczyła miasto kurtyną i wprowadziła godzinę policyjną.

– Neuroinżynierowie dobrze się spisali, wszystko pamiętasz. – Generał wstał i ujął w dłoń wojskową czapkę, która leżała na szafce. – Na mnie już czas. Odpocznij teraz trochę, przygotuj się do drogi. Pułkownik Meyer i doktor Salt wyjaśnią ci resztę.

– Resztę też mi wdrukowali, panie generale.

– Nie przeceniaj swojej pamięci i zawsze weryfikuj wiedzę – powiedział na pożegnanie, zupełnie niepotrzebnie.

Nie przeceniałem pamięci. Pamięć jest interpretacją faktów, a nie ich wiernym zapisem. Stworzono mnie jednak do działania i słuchanie kolejny raz wdrukowanych informacji wywoływało napięcie. Co jakiś czas wracał też dojmujący chłód.

* * *

Doktor Salt prowadził mnie korytarzem w asyście czterech żołnierzy. Przeszliśmy podziemiami do innej części budynku, potem schodami w górę, na drugie piętro, pustym holem, i znowu w dół, na parter. Denerwowało mnie to krążenie, ale patrzyłem z ciekawością na matowe mleczone okna. Nigdy nie widziałem słońca.

Salt uchylił drzwi do niewielkiego pokoju, w którym siedział pułkownik Meyer. Miał na sobie dresy i bluzę z kapturem. Jego młoda twarz kłóciła się z siwizną na skroniach, a łagodny błękit oczu zastopował lekarza już w progu.

– Poradzimy sobie – powiedział pułkownik. – Dziękuję, doktorze.

– Oczywiście, oczywiście. Będę w pobliżu.

Zostaliśmy sami. Spojrzałem łakomie na zaciągnięte płócienne zasłony.

– Myślisz, że jesteś na to gotów, John?

– Tak sądzę.

– Więc wyjrzyj na zewnątrz i siadaj. Mamy parę spraw do omówienia.

Uchyliłem materiał i zobaczyłem plac otoczony budynkami. Niebo zakrywały chmury, ciężkie jak góry śmieci. Nie znalazłem niczego, co byłoby warto oglądać, ale i tak chciałem opuścić tę norę. Pamiętałem, że to wojskowy szpital, i że niedawno przyszyła jesień.

Usiadłem naprzeciw Meyera.

– Paskudny widok? – zapytał.

– Raczej tak.

– Nie możemy przedłużać tej rozmowy. Rządowi i armii zależy, żebyś jak najszybciej dotarł do miasta i wykonał misję. Wysłaliśmy tam kilku agentów, a potem dwa plutony zmotoryzowanej piechoty. Wrócił tylko jeden kapral, który zwariował od pola magnetycznego kurtyny.

– A reszta?

– Nic o nich nie wiemy. Kurtyna otacza szczelnie cały teren, niczym mur długi na kilkadziesiąt kilometrów. Nic się przez nią nie przecisnie bez pozwolenia pani burmistrz. Negocjowaliśmy z nią, kiedy raczyła zadzwonić, ale bez większych sukcesów. Nie podała żadnych informacji o losie żołnierzy. Od pewnego czasu z wewnątrz nie docierają sygnały radiowe, ani informacje od mieszkańców, a nad miastem unosi się gęsty opar, odbijający wszystko jak lustro.

Pułkownik mówił spokojnie, ale jego policzki drżały z tamowanej wściekłości.

– Na czym polega moja misja?

– Plan minimum to znaleźć naszych ludzi i zorientować się w sytuacji. Jeśli ci się uda, możesz zabić tę sukę, Mary Engels. Możesz też spróbować podejść do portalu i uszkodzić go. Potem dostaniesz szczegółowe instrukcje, większość masz wdrukowaną w pamięć. Chciałbym, żebyś nie dał się złapać, wrócił tutaj i opowiedział nam o wszystkim, co widziałeś.

– Rozumiem.

– Podejmiesz się tego?

– W tym celu zostałem wybudzony, panie pułkowniku. Jeśli chodzi o strach czy rozterki moralne, nie musi się pan martwić.

– Doskonale. – Meyer uściśnął mi rękę, miał na dłoniach skórzane rękawiczki. – Jesteś naszym planem A. Mamy jeszcze plan B, który zakłada zbombardowanie portalu, ale nie chcemy mnożyć strat w ludności cywilnej. Dobre Miasto liczy prawie milion mieszkańców i cholera wie, ilu

uchodźców. Zabijemy mnóstwo ludzi. Możesz to powtórzyć pani burmistrz, zanim skręcisz jej kark.

– Myśli pan, że mnie tam wpuszczą?

– Wpuszczają wielu cywilów, ale nikogo nie wypuszczają. Masz zresztą ciało i tożsamość człowieka, który jest zameldowany w Dystrykcie Dziesiątym. John Grass zginął trzy miesiące temu w wypadku samochodowym w Rammie. W samą porę, że się tak wyrażę. A teraz przejdźmy do technicznej strony zagadnienia.

Rozmowa z pułkownikiem trwała około dwóch godzin. Zjedliśmy razem śniadanie i wypaliliśmy kilka papierosów. Nie wiedziałem, że potrafię palić. Nie znałem też pewnych faktów, o których wspominał Meyer. Kiedy skończyliśmy, byłem skłonny przyznać, że moje istnienie ma sens. I chciałem jechać jak najszybciej do Dobrego Miasta.

* * *

Powtórka z wdrukowanego szkolenia: topografia, najważniejsze cele, identyfikacja agentów i zaginionych żołnierzy, posługiwanie się bronią, skąpa wiedza na temat uchodźców, moja skradziona tożsamość, położenie schowków w samochodzie i montaż materiałów wybuchowych. To wszystko zajęło kilka godzin, w trakcie których syntetyczny mózg usiłował nadążyć za własną pamięcią.

Z trzech żołnierzy, którzy mnie szkolili, najbliższy był mi chyba sierżant Borges. Zawdzięczał to entuzjazmowi, z jakim mówił o zabijaniu wroga, i psychopatycznym ingrediencjom. To znaczy, domieszkom osobowości – w myślach ugryzłem się w język. Pozostali wykonywali zadanie z lekkim dystansem. Być może dlatego, że ich mundury oblepiało coś w rodzaju foliowych skafandrów.

– Nie możemy cię niczym zarazić, John – wyjaśnił doktor Salt na końcowej odprawie. – Musisz być zdrowy jak koń, to podstawa misji.

– Ale ja nie mogę zachorować, doktorze.

– To nie jest pewne na sto procent. Musimy uważać. Każdemu agentowi, który normalnie przygotowywany jest do służby, wycina się na przykład wyrostek robaczkowy. Ty nie masz go – zawahał się przez chwilę – od urodzenia.

- A czy mam, doktorze, organy wewnętrzne?
- Masz ich odpowiedniki. Masz sztuczną krew. Jesteś dziełem sztuki w świecie medycznego rzemiosła. Niezwykle trudno odróżnić cię od przeciętnego śmiertelnika. Trzeba dokładnie wiedzieć, gdzie szukać.
- A teraz najważniejsze – wtrącił pułkownik Meyer. – Możesz jeść, pić, wydalać, a nawet spać i pieprzyć się. Ale to, co cię napędza, to nie metabolizm organizmu. Twoje serce jest w rzeczywistości ogniwem, które wystarcza na siedem do dziesięciu dni funkcjonowania. Dlatego po tygodniu musisz tutaj wrócić, żebyśmy mogli cię z powrotem naładować. Pamiętaj, że kiedy śpisz, bateria zużywa się wolniej.

Spojrzałem na niego z ciekawością. Zaskoczył mnie, naprawdę mnie zaskoczył.

– Chce mi pan powiedzieć, pułkowniku, że stworzyliście od podstaw sztucznego człowieka, a nie potrafiliście zrobić ogniwa, które wytrzyma więcej niż tydzień? Przecież to niedorzeczne.

– Nie będę uwłaczał twojej inteligencji, John. To coś w rodzaju zabezpieczenia, żebyś nie przeszedł na ich stronę. Sądzymy, że każdy normalny człowiek może zarazić się w Dobrym Mieście szaleństwem. Niektórzy określają to „opętaniem zakaźnym” lub „czernią”, terminologia nie jest najważniejsza. Twój mózg został zabezpieczony przed epidemią i, teoretycznie, nie wytworzy wadliwych połączeń. Ale zawsze pozostaje margines niepewności.

Pomyślałem, chyba po raz pierwszy, że pułkownik Meyer się myli. Terminologia ma znaczenie, jeśli słowo tkwi wystarczająco blisko desygnatu. Zараżenie szaleństwem to coś innego niż opętanie. Różnica jest równie istotna, jak oddzielenie życia od śmierci. Chociaż, żeby ją dostrzec, trzeba dokładnie wiedzieć, gdzie szukać.

* * *

Przygotowania skończyły się po zmroku. Wyszedłem z pułkownikiem i sierżantem Borgesem na plac, mijając kilka osób z cywilnego personelu. Przed bocznym wejściem stał niebieski Plymouth Barracuda, którym jeździł nieboszczyk Grass. Mało popularne i kurewsko drogie auto. Odpicowali je po wypadku albo wystrasnęli skądś drugi zabytkowy egzemplarz. W obu

przypadkach byłem pod wrażeniem. Skórzana tapicerka, białe zegary z czerwonymi wskazówkami, wstawki z drewna, automat.

– I jak? – zapytał Meyer. – Podoba się auto, żołnierzu?

– Mam nadzieję, że będę potrafił nim jeździć.

– Jest w bardzo dobrym stanie. – Pułkownik pogłaskał wymytą i nawoskowaną maskę auta. – Kluczyki są w środku. Tu masz telefon. Włącz tryb głośnomówiący, będziemy utrzymywać kontakt do ostatniego posterunku na przedmieściach. Potem jesteś zdany na siebie.

Meyer i Borges, ubrani po cywilnemu, wsiedli do niewielkiego SUV-a i ruszyli za mną. Znałem drogę do Dobrego Miasta, chociaż była to kradziona wiedza. Silnik barracudy masował plecy przyspieszeniem i mruczał jak kot. Reflektory oświetlały pustą szosę. Tylko ogrzewanie nie chciało pracować normalnie, albo wrócił do mnie chłód szpitalnej sali. Pułkownik odzywał się kilka razy, udzielał ostatnich wskazówek.

Po godzinie zabudowa zagęściła się. Minęliśmy pierwszy posterunek, kilka minut później drugi. Na obu otwierano zapory i przepuszczano nas bez pytania. Wojskowe transportery, betonowe krzyżaki i drut kolczasty przekonywały dobitnie, że armia nie konfabuluje. W oknach mijanych domów panowała ciemność. Wszystkich mieszkańców wysiedlono, albo uciekli sami przed imigrantami z Piekła i zarazą.

Dojechaliśmy do ostatniego posterunku. Wielkie tablice z trupimi czaszkami ostrzegały przed niebezpieczeństwem i kategorycznie zabraniały wstępu. Do kurtyny pozostały dwa kilometry. Zatrzymałem samochód.

– Jeśli poczujesz się źle, wracaj. Jeśli zostaniesz zdekonspirowany, wracaj tym bardziej. Wszystko, czego się dowiesz, może mieć znaczenie. Nie ryzykuj niepotrzebnie, John – powiedział na pożegnanie pułkownik.

Wyłączyłem telefon i przejechałem przez posterunek. Rozglądałem się uważnie, szukając czegoś na kształt wysokiego muru. Pulsującego blaskiem pola siłowego. Metalicznego oparu. Właśnie zdałem sobie sprawę, że nikt nie powiedział mi właściwie, jak wygląda zaporą. A ja nie potrafiłem jej dostrzec, pewnie z powodu mroku.

* * *

Uliczne lampy nie świeciły się, wygaszono neony i ledowe ramy przydrożnych billboardów. W oddali zobaczyłem rząd czerwonych świateł, posterunek graniczny wroga. Migwały do mnie miarowo, dokładnie co cztery sekundy. Przekroczyłem niewidzialną granicę.

Dotarłem do zwykłego szlabanu, kilku pick-upów i dużej grupy ubranych na czarno mężczyzn. Straż miejska Dobrego Miasta budziła większy respekt niż roznosiciele mandatów za złe parkowanie i nielegalny handel ziemniakami. Wysoki strażnik poprosił grzecznie o prawo jazdy i dokumenty samochodu. Odszedł na bok, stukając ciężkimi butami.

– Przepuścili pana bez problemów, panie Grass? – zapytał dowódca.

– Musiałem czekać kilka godzin, zanim ktoś na górze podjął decyzję. Kazali mi wrócić do punktu dowodzenia, pięćdziesiąt kilometrów stąd, i dopiero wtedy łaskawie wydali zgodę – powiedziałem zgodnie z instrukcją.

– Tak, zawsze tak robią. – Pokiwał głową wartownik. – Skąd pan wraca, jeśli można wiedzieć?

– Byłem przez półtora roku w Republice Rammy. Jestem socjologiem, pracowałem naukowo w Seegardzie. Chciałem wrócić wcześniej, ale mówiono mi, że to niemożliwe z powodu kwarantanny.

– I nie bał się pan? Na pewno rozpowszechniają różne bzdury na nasz temat.

– To, co się tutaj dzieje, jest dla mnie interesujące zawodowo – wyrecytowałem. – Poza tym, tu jest mój dom. Bardzo chciałem wrócić.

– Oczywiście, oto pana dokumenty. Ponieważ Służba Bezpieczeństwa odcięła nasze miasto od źródeł informacji, proszę zgłosić się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin do Ratusza. To rutynowa rozmowa, żeby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja na zewnątrz. Tu ma pan przepustkę. Życzę spokojnego wieczoru.

Skinął mi na pożegnanie. A ja nadal nie dostrzegałem zapory. Postanowiłem, że odwiedzę granicę za dnia, a póki co, skręciłem na obwodnicę, na której panował duży ruch. Był poniedziałek, ludzie wracali z biurowców w Śródmieściu do sypialnych dzielnic na obrzeżach. Wszystko wyglądało zwyczajnie, na zjazdach tworzyły się korki, kolorowe reklamy wisiały w powietrzu.

Około dwudziestej zaparkowałem przed domem. Niewielki budynek z ciemnej cegły, pośród wielu podobnych. Dystrykt Dziesiąty był przystanią

klasy średniej, urzędników, nauczycieli, pracowników korporacji niższego szczebla. Z trudem otworzyłem drzwi, za którymi piętrzyła się korespondencja i prenumerowane magazyny z ostatnich sześciu miesięcy. Ostatni raz zajrzałem tu na urodziny, ponad pół roku temu.

Wciągnąłem do płuc zapach stęchlizny i nie zapalając światła, rzuciłem się na sofę w salonie. Było chłodno, bo grzejniki przykręciłem mocno przed wyjazdem. Czy też, mówiąc precyzyjnie, John Grass przykręcił je z wrodzonej oszczędności.

Postanowiłem, że obudzę się o piątej trzydzieści. Nie musiałem nastawiać alarmu. Zamknąłem oczy i zasnąłem praktycznie od razu, żeby oszczędzać baterie. Śniło mi się Piekło zbudowane z rozpalonych klocków. Zestaw liczył dokładnie sekstylion elementów. Widziałem napis na tekturowym pudełku: 10^{36} sztuk.

Dzień drugi

Spuściłem żółtą wodę z kranu i zaparzyłem herbatę. Przespacerowałem się po domu, by obejrzeć wszystkie kąty kawalerskiego mieszkania. Nie wyglądało imponująco: w rogu sypialni zwisała odklejona tapeta, na suficie łazienki wyrósł grzyb. W szafach znajdowałem rzeczy, które ktoś bardziej elegancki ofiarowałby pewnie bezdomnym. Zabytkowy samochód i taki syf wokół siebie. Byłeś cholernym dziwakiem, panie Grass.

Wziąłem kąpiel i owinąłem się ręcznikiem w palmy. Przetarłem ręką wielkie zaporowane lustro. Tatuaż na plecach zauważyłem przypadkiem: krzywe odbicie w chromowanej kabinie prysznic. Moim oczom ukazał się anioł, szeroko rozpościerający skrzydła. Pomyślałem, że to żart inżynierów medycznych, może nawet wymyślony przez samego Salta. Niczego mi nie powiedział, sukinsyn.

Wróciłem do salonu. Ułożyłem korespondencję na stole i zacząłem przeglądać gazety. „Miesięcznik Socjologiczny” nie przydał się do niczego. Wydawano go w stolicy, więc najświeższy numer pochodził sprzed ponad dwóch miesięcy, zanim powstała kurtyna. Ciekawsze były miejscowe tytuły: „Świat Polityki” i „Nowy Horyzont”. Kartkowałem je szybko

w poszukiwaniu informacji, umiejętność szybkiego czytania okazała się przydatna. W numerach z sierpnia na wszystkich okładkach widniały zdjęcia ognistej kuli. Portal wyglądał jak olbrzymi bąbel albo nabrzmiały wrzód, który za chwilę ma pęknąć.

W obu pismach zamieszczono pierwsze reportaże o uchodźcach i wywiady z władzami miasta. Wszędzie znajdowałem słowa poparcia dla akcji humanitarnej:

Musimy powiedzieć sobie jasno, że nie jest ważne, skąd przybywają ci ludzie. Mamy nadzieję, że to, czym naprawdę jest Piekło, wyjaśnią wkrótce nasi naukowcy. Zakładamy, że to równoległy wszechświat, który miał znacznie mniej szczęścia od naszego. Obowiązkiem każdego mieszkańca Dobrego Miasta jest otworzyć szeroko ramiona i okazać gościnność ofiarom wojny. Mamy szansę przejść do historii jako ludzie wielkich serc.

To fragment wypowiedzi rektora Państwowej Akademii Technicznej. Kilka stron dalej obszerny artykuł zatytułowany „Witajcie Potępieni”:

Organizacje humanitarne i władze miasta od dnia wybuchu robią wszystko, by zapewnić uchodźcom schronienie i właściwą opiekę medyczną. Potrzebujemy jednak pomocy społeczeństwa, wsparcia finansowego i rzeczowego, a przede wszystkim zrozumienia. Jeśli nawet ta zaskakująca sytuacja będzie oznaczać dla nas przejściowe trudności, pokonamy je wspólnym wysiłkiem. Wygoda i święty spokój nie mogą być najważniejsze. Muszę przyznać, że wdzięczność, którą widać w oczach przybyszów, jest dla nas największą nagrodą.

Przerwałem lekturę. Dyrektorka fundacji „Pomoc dla Potępionych” pisała bardzo zajmująco, ale rozległ się dzwonek u drzwi. Wyjrzałem przez wizjer. Na schodach stała otyła kobieta z łaciatym psem. Sąsiadka z ulicy, pani Kerstin Lahm.

– Dzień dobry! Wrócił pan. Strasznie dawno pana nie widziałam – zaczęła w drzwiach. – Zobaczyłam samochód przed domem i pomyślałam, że zapytam, co słychać. Mogę wejść na chwilę? Taka piękna pogoda dzisiaj,

proszę pana, że człowiek chce pospacerować trochę i pooddychać powietrzem.

Propozycja rozmowy wydawała się bardzo kusząca. Pani Lahm mogła powiedzieć mi więcej niż tuzin artykułów w gazetach. Ale wiedziałem też, że jest bystra na swój tępy sposób i może nabrać podejrzeń. Spławiłem ją pod pozorem robienia porządków po podróży. Nie dałem się namówić na ciasto i „nie wyznałem w zaufaniu”, dlatego wróciłem. Powiedziałem jedynie, że od rana boli mnie głowa.

– To ja panu przyniosę lekarstwo, tylko odprowadzę Maxa. Wie pan, jak to jest: starszy człowiek ma w domu całą aptekę.

– Bardzo pani dziękuję, ale naprawdę nie trzeba. Mam jeszcze kilka tabletek. Obiecuję, że niedługo panią odwiedzę.

Z ulgą zamknąłem drzwi. Musiałem unikać jej za wszelką cenę, przynajmniej do momentu, kiedy lepiej poznam sytuację. Bo gdyby dzisiaj poprosiła o herbatę, nie wiedziałbym nawet, gdzie stoi cukier.

* * *

Telewizja i łącze Synetu nie działały. Pstrykałem pilotem, kilka razy zmieniałem gniazdo, resetowałem odbiornik, wszystko bez skutku. Musiałem wrócić do gazet, żeby się czegoś dowiedzieć. Dałem sobie czas do południa.

Znalazłem wypowiedź proboszcza niedalekiej Parafii św. Jana:

Ci ludzie potrzebują pomocy i trzeba jej im udzielić. To nasz chrześcijański obowiązek, a nawet niewątpliwy zaszczyt. Ale musimy zbadać jednocześnie, kto lub co stoi za powstaniem portalu. Jeśli przyjąć na chwilę, że w Dystrykcie Trzecim w wyniku eksperymentu naprawdę otworzono bramę Piekła, nie zapominajmy, że uciekinierzy odbywali tam karę za grzechy. W takim wypadku ich zasady moralne i zachowania mogą być trudne do przewidzenia.

Ye-jin Son, piękna wiceburmistrz, w tym samym numerze „Nowego Horyzontu” przekonywała czytelników do polityki imigracyjnej władz:

Pani burmistrz i cała Rada Miasta, wszyscy jesteśmy głęboko przekonani, że portal stanowi dla nas ogromną szansę rozwoju. Jak zapewne zauważyli już państwo, wśród uchodźców znajdują się osoby różnych narodowości i ras, wyznań i światopoglądów. Oznacza to, że nasze homogeniczne i – w pewnym sensie – ubogie społeczeństwo będzie mogło czerpać garściami z bogactwa kulturowego i wiedzy gości. Musimy jednak stworzyć im odpowiednie warunki do życia i zadbać o szybką asymilację.

W pierwszym rzędzie stawiamy na naukę języka, a służby zatrudnienia pracują nad programem szkoleń zawodowych i pomocy socjalnej. Chciałabym poinformować z nieskrywaną dumą, że rada powierzyła mi funkcję Komisarza ds. Integracji. Wierzę, że nasze wysiłki zaowocują w najbliższym czasie przywróceniem spokoju w Dobrym Mieście, ożywią koniunkturę i dadzą nam przewagę nad innymi regionami Slavii. Z tego powodu nakłady na integrację można uznać za znakomitą inwestycję.

Tydzień później ukazał się anonimowy wywiad z prezesem „jednego z największych zakładów produkcyjnych” w Dobrym Mieście. Prawdopodobnie chodziło o lokalny oddział Elias Electronics wytwarzający między innymi żarówki LED i reflektory dla wojska. Redaktor naczelny pisma, Damien Savalas, wypytywał swojego rozmówcę o nowe technologie, które pojawiły się wraz z uchodźcami.

DS: Czy to prawda, że pracują państwo nad wykorzystaniem jasnogłazu do produkcji energooszczędnego oświetlenia?

NN: Nie mogę w tej chwili zdradzić szczegółów, ale ten minerał rzeczywiście wydaje się doskonałym źródłem światła. Jasnogłaz zawiera m. in. duże ilości trytu, który rozpadając się, wydziela promieniowanie świetlne. Okres połowicznego rozpadu tego izotopu wynosi ponad dwanaście lat. Nie mamy na razie pojęcia, w jaki sposób znalazł się wewnątrz skał.

DS: Co pan sądzi o bezpieczeństwie takiego rozwiązania? Czy imigrantom konfiskowane są wszystkie znalezione przy nich rzeczy?

NN: Jeśli chodzi o Procedurę Przyjęcia, proszę pytać odpowiednie służby i urzędników Ratusza. Natomiast nasze badania prowadzimy w dwóch kierunkach: chodzi o zbadanie właściwości chemicznych i fizycznych jasnogłazu, jak również potwierdzenie, że jego bliskie sąsiedztwo nie działa negatywnie na organizmy żywe.

DS: Zapewne słyszał pan o wpływie „jasnych kamieni” na urządzenia elektroniczne znajdujące się w pobliżu? Szczególnie na dyski pamięci?

NN: Nic mi o tym nie wiadomo. Myślę, że to zwykłe plotki, które rozpowszechnia nasza konkurencja. Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że substancja ta jest bezpieczna, a promieniowanie beta sięga kilku milimetrów od powierzchni minerału. Proszę zwrócić uwagę, że jasnogłaz w żaden sposób nie zaszkodził uchodźcom ani personelowi obozu.

** * **

W południe wyszedłem z mieszkania. Minąłem całodobowy supermarket przy ulicy Albatrosa i wszedłem do restauracji rammańskiej sieci Jack Donald. Mój organizm wysyłał od godziny sygnały głodu, więc wziąłem dwa hamburgery, napój mineralny i opiekane ziemniaki. Usiadłem przy długiej ladzie pod ścianą.

Brodaty facet, medytujący nad kubkiem herbaty, spojrzał łakomie na mojego Monster Jacka. Bez słowa podsunąłem mu kanapkę i zacząłem jeść drugą.

– Dzięki! – mruknął brodacz z pełnymi ustami.

Wgryzł się w nadmuchaną bułkę z wołowiną jak bezpieczny pies.

– Od dawna nie jadłeś?

– Od wczoraj, od południa. Kurde, aż mnie skręca! Wyżebrałem dzisiaj tylko na herbatę. Ludzie nie chcą już niczego dawać, wszystko idzie dla obcych.

– Masz tu pieniądze. Kup sobie coś i porozmawiaj ze mną chwilę. Wczoraj wróciłem do miasta i muszę dowiedzieć się, o co chodzi.

– Nie chcę panu ubliżyć, bo jest pan miłym człowiekiem, ale tylko głupiec wróciłby tutaj z własnej woli. – Pokiwał głową i stanął w kolejce.

Pierwsza rzecz, której się od niego dowiedziałem, to pogorszenie sytuacji bezdomnych. Po otwarciu portalu część uchodźców rozpełzła się po mieście, pomimo działań władz, a może nawet – spekulował brodac – za ich cichym przyzwoleniem. Ciągłe znajdowano egzotycznych ludzi pod mostami, w opuszczonych norach i noclegowniach. Niektórzy byli owinięci czymś w rodzaju płóciennych bandaży, inni zachowywali się jak szaleńcy. Ale wszyscy wypełniali niszę, w której dotąd żyli ubodzy mieszkańcy miasta. Walczyli z nimi o pożywienie i dach nad głową. Coś mi tu jednak nie pasowało.

– Jesteś pewien, że imigranci pojawili się masowo na ulicach? Jak wielu z nich widziałeś osobiście, przyjacielu?

– Osobiście tylko dwóch, w opuszczonej hucie szkła. Udało mi się uciec przed nimi. Ale ludzie gadają różne rzeczy, można się tego nasłuchać w kolejce po zupę i w miejskich łaźniach. Gdyby pan widział, jak się wszyscy zaczęli bać o życie!

– Uchodźcy z Piekła atakują was?

– No tak, ciągle kogoś napadają. Zabierają nawet brudne szmaty. Jednemu gościowi, na którego wołaliśmy Ramzes, ukradli ubranie i wrzucili go nago do wody. Facet utonął w kanałku.

– Skąd wiadomo, że to oni?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Pewnie ktoś ich widział.

– I co jeszcze mówią ludzie?

– Mówią, że tym ich szaleństwem można się zarazić. To jest coś strasznego, jakby cię opętał zły duch. Rzuca tobą o ściany i mówisz w dziwnym języku. Bo jak się dotknie obcego, to zło przesiąka na ciebie. Podobno krew i pot przenoszą zarazę, robią się ciemne plamy i zaczynasz wariować.

– Znasz kogoś, kto się zaraził w ten sposób?

– Dwóch kolegów złomiarzy pozabijało się nożami w ten piątek. Wcześniej spotkali uchodźcę na wysypisku śmieci.

– Byli chorzy?

– No, chyba tak! Wyli okropnie i rzucali się na ziemię. A potem, przysięgam panu, pozarzynali się jak świnie.

– Nie brali czegoś? Może na mieście pojawiły się nowe narkotyki?

– Ja tam nie wiem, niczego nie biorę! – Spojrzał mi uważnie w oczy. – Pan mi chyba za bardzo nie wierzy? Ale wystarczy pożyć tutaj kilka dni, żeby się przekonać. Miesiąc temu w Dystrykcie Dziewiątym znaleziono ciało kobiety, prawie same kości, jelita i skórę. Trup leżał obgryziony w krzakach, nawet skalp mu zerwali z czaszki. Policja nie napisała o tym w gazetach, a Synet, wie pan, jest pod kontrolą. Ludzie mówią, że na obrzeżach dzieje się coraz więcej takich rzeczy.

Muszę przyznać, że przypadek kanibalizmu zainteresował mnie szczególnie. Jeśli problem pojawił się kilka tygodni temu i nie został nagłośniony, miałem dobry przykład cenzurowania informacji. Można to tłumaczyć troską o zachowanie spokoju, można tłumaczyć zwykłym strachem urzędników. Była też duża szansa, że rewelacje bezdomnego okażą się nieprawdziwe. Kiedy sobie podjadł, zaczął gadać coraz bardziej bez sensu.

Po godzinie wyszedłem z restauracji.

* * *

Zadzwoiłem z budki telefonicznej przy placu Nordgarden do sekretariatu Ratusza. Zapisałem się na jutro, na dziesiątą rano do urzędnika o nazwisku Morten Jenak. Prosiłem o spotkanie z panią burmistrz albo wiceburmistrz, ale zostałem umówiony z jakąś płotką. Jenak pracował zapewne od wtorku do piątku, od ósmej do szesnastej, oraz w poniedziałki, od dziewiętej trzydzieści do siedemnastej trzydzieści. Harował ciężko ku chwale Ratusza.

Całe popołudnie załatwiałem różne sprawy. Robiłem wszystko, co w moim przekonaniu powinien robić człowiek, który wrócił z podróży. Udałem się po zakupy spożywcze, zaniósłem rzeczy do pralni, dowiedziałem się, jak uruchomić miejski Synet, ponieważ komercyjny nie działał. Skoczyłem do galerii handlowej po kilka narzędzi, zamówiłem technika do telewizora, a potem kupiłem garnitur, podróżną torbę, półbuty oraz dresy i plecak. Około siedemnastej pojechałem na stację paliw zatankować plymoutha.

Cały dzień obserwowałem ludzi i podpytywałem delikatnie o uchodźców, objawy zarazy, ataki na mieszkańców, zachowanie policji. Ale obywatele Dobrego Miasta reagowali raczej nieufnie. Twierdzili

zazwyczaj, że nie dzieje się nic szczególnego, a władze i policja mają wszystko pod kontrolą. Wydawali się bardziej zaniepokojeni rozmową ze mną niż przejęci swoim losem. Jeśli na coś narzekali, to na blokadę miasta, którą ich zdaniem nałożył rząd i Służba Bezpieczeństwa. Podobno w telewizji bez przerwy wałkowano ten temat. Tak właśnie powiedziała mi kobieta, u której kupowałem buty.

Dopiero, gdy zjawiłem się na stacji paliw Ciril, spotkałem kogoś bardziej skorego do rozmowy. Staruszek był zachwycony moim samochodem i długo wypytywał o szczegóły. Przygotowano mnie na taką okoliczność. Miałem wdrukowaną moc i pojemność silnika, przyspieszenie do setki i moment obrotowy, średnie spalanie w mieście i poza miastem, wymiary samochodu, rozstaw osi, informacje o zastosowanych ulepszeniach, historię marki oraz tego konkretnego egzemplarza, a nawet jego aktualną cenę rynkową i liczbę takich aut zarejestrowanych w kraju.

– No, co pan powie! – komentował każdą wiadomość pracownik stacji. – Piękna maszyna, bardzo piękna.

– Widzi pan, prawdę mówiąc, nie stać mnie na jej utrzymanie. Już dawniej było ciężko, ale teraz, przy blokadzie, kompletnie nie mam pieniędzy. Moje biuro zamknęli dwa miesiące temu inie wiadomo, kiedy wznowimy pracę.

– U mojej córki było tak samo – powiedział dziadek. – Sto osób poszło na bezpłatny urlop. Na szczęście już ich wezwali z powrotem. Gdyby nie rurociąg, to pewnie byśmy dawno nie mieli paliwa. A wszystko przez ten przeklęty portal, psia jego mać!

– Dokładnie, wszystko przez portal. – Skinąłem głową. – Aż się człowiek boi ruszyć z domu. A w gazetach tak słodko gadają, jakby nic się nie stało.

Mężczyzna aż pobladł z gniewu.

– Panie! Mój bratanek pracuje w policji. Niby nie wolno im niczego mówić, władze zakazały, ale w kilku miejscach, w takim Lesie Cejlońskim na przykład, znajdują ludzkie zwłoki objedzone do kości przez tych drani. To jest straszne, proszę pana, to jest jakieś przeklęte bydło. Nigdy nie myślałem, że dożyję takich czasów.

Trząśł się jeszcze, kiedy skończyłem tankować.

Wracałemz potwierdzeniem ważnej informacji. Z dużym prawdopodobieństwem mogłem już założyć, że uchodźcy dopuszczają się

kanibalizmu. Przeciętny obywatel Dobrego Miasta nie chciał jednak o niczym wiedzieć. Ludzie prawie obrażali się, kiedy pytałem ich wprost, czy czują się zagrożeni. Zaklejali sobie uszy i oczy miękką jak aksamit, sześciokolorową plasteliną. I odchodzili w pośpiechu w swoją stronę.

* * *

Wieczorem wprowadziłem barracudę do ciasnego garażu. Korzystając z instrukcji, wymontowałem z auta wszystkie części karabinu wyborowego Heckler kaliber 7,52 mm oraz pistoletu zaver 9 mm, amunicję i materiały wybuchowe. Trochę zajęła mi zabawa z tapicerką, zderzakami i podwoziem, ale po dwóch godzinach cały sprzęt miałem odpakowany z folii ochronnych, przesmarowany, złożony i powtórnie rozłożony. Zawinałem go szczelnie i ukryłem pod paleniskiem nieużywanego, pokrytego sadzą kominka.

Dzięki uprzejmości technika z pobliskiego sklepu RTV mogłem oglądać dwa kanały telewizji. Oba nadawały lokalnie, ponieważ – zgodnie z komunikatem zamieszczonym na planszach – kanały centralne i satelitarne zagłuszała kurtyna. Zacząłem rozmyślać, jak to możliwe, że pułkownik Meyer widział opar i metaliczną blokadę nad miastem, a dzisiaj świeciło piękne słońce. Przed oczami przemknęła mi pani Lahm spacerująca z psem i błękitne niebo w południe. Ugrzęzłem w samym środku monstrialnej blagi.

Z programu informacyjnego na kanale EKO1 dowiedziałem się, że oprócz jasnogłazu przy uchodźcach znajdowano również woreczki z tak zwaną „tłustą ziemią”, czyli flogistonem, oraz pojemniki z „piaskiem dusz”. Obie substancje zostały uznane za niebezpieczne i były konfiskowane przybyszom przez policję. Niewielki kawałek flogistonu potrafił płonąć przez długie godziny, a jego całkowite ugaszenie było bardzo trudne. „Piasek dusz” działał natomiast na zmysł równowagi. Po otwarciu fiolki i rozsypaniu piasku na ziemię zwykli ludzie dostawali zawrotów głowy. Obcy natomiast wydawali się zaskakująco odporni na działanie wydzielanych oparów.

Redaktor prowadzący program podkreślił, że jedynie na początku exodusu niewielka ilość tych „egzotycznych materiałów” przedostała się

przez kordon bezpieczeństwa, ale prawie natychmiast została odebrana uchodźcom w obozie. Policja dysponowała psami, które potrafiły wytropić nawet gram flogistonu zawinięty szczelnie w folię. Podobnie było z „piaskiem dusz”, dlatego obecnie należało skupić się na ich potencjalnym zastosowaniu w przemyśle. Analogicznie do jasnogłazu i innych substancji, które mogą w przyszłości pojawić się wraz z uchodźcami.

Podawano też, że liczba uciekinierów przedostających się przez portal drastycznie maleje i od dwóch tygodni jest to zaledwie kilka osób w ciągu doby – wobec kilkudziesięciu tuż po wybuchu w Instytucie Capgrasa. Ogółem liczbę uchodźców z Piekła szacowano na osiemdziesiąt osiem tysięcy, co stanowiło dziewięć i pół procenta wyjściowej populacji Dobrego Miasta.

Po wiadomościach wieczornych zobaczyłem powtórkę z sobotniego marszu Ruchu Pomocy Imigrantom. Mnóstwo kobiet i mężczyzn, kolorowe flagi i wielkie transparenty: „Nie róbmy Piekła z ich życia”, „Damned welcome” i „Wystarczy miejsca dla wszystkich”. Grupa chuliganów, jak nazwano ich na pasku informacyjnym, obrzuciła kolumnę kamieniami i psimi kupami w torebkach. Napastnicy wyciągnęli odchody z pojemników w parku. Krzyczeli coś i machali rękami, a kominiarki, szaliki i kaptury zasłaniały twarze. Zaczęły się przepychanki, więc policja wkroczyła do akcji, używając pałek. Uczestnicy pokojowej demonstracji RPI wystraszyli skądś kije i zrobiło się mniej pokojowo.

Bojówka organizacji Czyste Miasto zaatakowała przed chwilą czoło pochodu mieszkańców, którzy przyszli na plac Ewolucji wyrazić solidarność z uchodźcami – mówił rozgorączkowanym głosem reporter. – Młodzi mężczyźni, wznoszący narodowe hasła, zakłócili porządek i zaczęli dewastować pobliskie witryny sklepowe, dlatego do akcji wkroczyły oddziały prewencji. Widzicie państwo za mną sznur policjantów i opancerzony samochód z armatką wodną, która prawdopodobnie za chwilę zostanie użyta.

Przełączyłem telewizor na DM Chanel, gdzie trwała rozmowa z Marko Rawicem, członkiem rady miasta. Radny zapewniał, że mieszkańcom nie zabraknie podstawowych produktów w czasie blokady. Wiele razy

przewijała się nazwa firmy chemicznej Orion, koncernu Elias Electronics oraz kompanii spożywczej Food Art, wytwórcy syntetycznej żywności. Dobre Miasto szczyliło się nie tylko największymi zakładami tego typu w Slavii, ale też jednymi z największych na świecie. Radny przekonywał wyborców o wyjątkowo korzystnej sytuacji i zachęcał do dalszego wysiłku.

O dwudziestej drugiej postanowiłem wyłączyć świadomość.

Dzień trzeci

Wyruszyłem do centrum o dziewiątej, żeby nie spóźnić się na umówione spotkanie. Tym razem zrezygnowałem z samochodu. Chciałem przejechać się komunikacją miejską i posłuchać przypadkowych rozmów. Większość ludzi wlepiła wzrok w elektroniczne urządzenia i nie zwracała uwagi na towarzyszy podróży, nawet jeśli jechali gdzieś razem. To istotnie utrudniało obserwację.

Poranny ścisk był o tej porze mniejszy, więc kiedy dojechałem autobusem do zewnętrznego ringu metra, przespacerowałem się po przystanku Huelle i wsiadłem na końcu składu. Szedłem powoli przez kolejne wagony w kierunku czoła pociągu i szukałem czegoś niezwykłego, co przykułoby moją uwagę. Zatrzymałem się na chwilę, by posłuchać nastolatków, którzy wspomnieli coś o uchodźcach. Jeden z licealistów śmiał się ze znanego vlogera, który za nazwanie imigrantów „zdechlakami z piekła rodem” dostał wysoką karę grzywny. Chwilę później młodzież wysiadła na przystanku Altendorf Wieża Ciśnień, więc poprawiłem krawat i poszedłem dalej.

Szczerze mówiąc, liczyłem na spotkanie w metrze samych imigrantów. Chciałem porozmawiać z nimi, a przynajmniej zobaczyć, jak zachowują się w stosunku do mieszkańców. Poszczyliło mi się dopiero na kilka minut przed stacją docelową. Do mojego wagonu wsiadła grupa dziwnie ubranych osób –trójka kobiet i czwórka mężczyzn, różniących się wiekiem i kolorem skóry. Rozmawiali ze sobą głośno w gardłowym nibirskim języku. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie natknąłem się na tę nazwę. Ludzie

nazywają go błędnie językiem „sumeryjskim” i, co najważniejsze, znają tylko w zapisie graficznym.

Notowałem uważnie w pamięci: dwie stare Murzynki, jedna biała kobieta z piegami na twarzy, Azjata, kilkunastoletni Arab i dwóch białych mężczyzn – jeden z blond zarostem, może trzydziestoletni, drugi wysoki, ostrzyżony na krótko czterdziestolatek. Wszyscy ubrani w kolorowy mix dresów, wełnianych szalików, spodni dżinsowych i płóciennych kurtek. Wyglądali jak bezdomni, albo jak artyści wypuszczeni z cyrku. Ale byli czysti i pewni siebie, a ja wiedziałem, że to uchodźcy, poznałem to od razu, zanim zaczęli rozmawiać.

Otaczało ich coś nieuchwytnego, woń obcości, delikatny zapach śmierci. Miałem wrażenie, że wtoczyli ją do przedziału, chociaż pasażerowie nie reagowali. Tylko dwoje starszków odsunęło się od nich, bo starzy ludzie wyraźniej czują śmierć. Drzwi zamknęły się bezszelestnie, zapiszczał sygnał odjazdu. Ruszyliśmy dalej, a ja nie mogłem oderwać wzroku od kobiety, prawie albinoski z rudymi włosami, i od chłopaka o arabskich rysach. Oni również przyglądali mi się niespokojnie, jakby chcieli podejść bliżej albo, wręcz przeciwnie, uciec z tego wagonu.

Chwilę później dotarłem do celu. Wsiadłem na przystanku Aqua Virale, a uchodźcy pojechali dalej. Zauważyłem, że z pociągu wyskoczył chudy człowieczek, który wsiadał razem z nimi na poprzedniej stacji. Drobnym mężczyzną w szarym garniturze i przybrudzonym płaszczu towarzyszył mi, kiedy jechałem ruchomymi schodami. Widziałem też jego odbicie w sklepowych wystawach, gdy maszerowałem w kierunku ratusza. Szliśmy tak sobie w odległości kilku metrów, a kiedy przyspieszałem, człowieczek mocniej przebierał nogami. Wreszcie skręciłem w kierunku kolumnady okalającej budynek, wszedłem na schody, a on poszedł dalej i zniknął za rogiem.

* * *

Przedarłem się przez rejestrację i stanąłem przed gabinetem na pierwszym piętrze. Tabliczka obok drzwi informowała, że pracuje tutaj dr Morten Jenak, Naczelnik Wydziału Informacji. A zatem nie umówiono mnie

z szeregowym urzędnikiem, co mogło być źródłem kłopotów, ale również ważnych obserwacji. Nacisnąłem klamkę.

– Proszę wejść. Witam serdecznie! – Naczelnik okazał się energicznym mężczyzną z łysą głową, przypominającą Księżyc. – Cieszę się bardzo, że jest pan lojalnym obywatelem i przyszedł do nas tak szybko. Pana wiedza może okazać się bezcenna. Proszę siadać. – Wskazał krzesło przy okrągłym stoliku. – Czego się pan napije? Może herbaty z imbirem i cytrusami?

– Z prawdziwą przyjemnością. – Wszedłem w rolę gościa wytwornego salonu, który w istocie był zwykłym pokojem. – Ma pan prawdziwe specjały dla gości.

– Tylko w miarę naszych skromnych możliwości, panie Grass. Zdaje pan sobie sprawę, że cierpimy tu pewne niedostatki, chociaż staramy się je pokryć pomysłowością i zaangażowaniem.

Wyczarował skądś porcelanowy dzbanek i filiżanki. Usiadł przy stoliku, nalał herbaty i wpatrzył się we mnie z uprzejmym oczekiwaniem. Zastanawiałem się, kto wyjdzie bogatszy z tej rozmowy, kto wyciągnie więcej informacji.

Musiałem zacząć, więc sumiennie opowiedziałem mu całą historię, którą technicy medyczni wyryli w moim mózgu. Mówiłem o pracy w Republice Rammy, o tęsknocie za krajem i planach powrotu do Dobrego Miasta, oraz o podjęciu natychmiastowej decyzji, kiedy dotarły do mnie pierwsze informacje o portalu. Mówiłem o dezorientacji moich kolegów i próbach sondowania mnie, co zrobią władze Slavii, a w szczególności władze Okręgu Południowego i pani burmistrz Engels. Wspomniałem o dyskusji wśród rammańskich polityków i zwykłych obywateli. Wszyscy byli zgodni co do tego, że uchodźcom należy pomóc. Nikt nie wiedział natomiast, jak to zrobić.

– Jak ocenili decyzję pani burmistrz o przyjęciu wszystkich imigrantów?
– zapytał szczerze zaciekawiony Jenak.

– Mówili, że jest niezwykle odważna i solidaryzowali się z działaniami naszych władz. Większość ludzi, z którymi miałem do czynienia, twierdziła, że pomimo strachu postąpiłaby tak samo. Wie pan, jak ważne są obecnie hasła sprawiedliwości społecznej i walki z dyskryminacją.

– Kiedy ktoś się „solidaryzuje”, tak naprawdę jest szczęśliwy, że problem nie dotyczy jego kraju czy miasta – zauważył naczelnik.

Wtrąciłem kilka słów o rzekomych kłopotach z moim powrotem do Dobrego Miasta i doszedłem do kwestii, która najbardziej interesowała urzędnika, czyli reakcji rządu oraz prezydenta Slavii na zaistniałą sytuację. Wiadomo było, że początkowo głowa państwa popierała działania lokalnych władz. Kiedy jednak do pałacu prezydenckiego dotarły informacje o potencjalnej katastrofie humanitarnej i zagrożeniu epidemią, zapadła decyzja o wysłaniu do miasta żołnierzy. Rozpoczęły się też naciski na Mary Engels, by umożliwiła armii zniszczenie portalu.

Naczelnik uznał za kpinę, że wywodzący się z socjaldemokratycznego środowiska rząd dał się tak łatwo zastraszyć prawicowej mniejszości. Nazwał politykę stolicy nieczułą i oderwaną od ludzkich potrzeb, i wskazał – dla kontrastu – na pozytywną reakcję innych krajów, które starały się pomóc, przysyłając pomoc humanitarną. Najbardziej niedorzeczne było jednak dla Mortena Jenaka twierdzenie, jakoby pole siłowe nazywane „kurtyną” zostało uruchomione na polecenie pani burmistrz. Postępowanie władz w Rapidzie i dowódców Służby Bezpieczeństwa określił jako perfidne.

– Odwrócili sytuację i oskarżyli nas o coś, co zrobili sami! – Pieklił się urzędnik. – Ciekawe, co mielibyśmy zyskać na odcięciu się od świata i wzięciu na barki całego problemu z uchodźcami?

– Komentatorzy twierdzą, że chodzi o nowe technologie i surowce, którymi miejscowi potentaci przemysłowi i instytuty badawcze nie chcą się podzielić. Inna sprawa to napływ taniej siły roboczej, której brakuje w całym kraju. – Wziąłem głęboki wdech. – Ale najpoważniejszy zarzut pochodzi niejako z drugiej strony i dotyczy poczytalności pani burmistrz oraz Rady Miasta. W obozie rzekomo panuje infekcja, której objawy są podobne do opętania. Czy to prawda?

Morten Jenak machnął tylko ręką.

– Czy Służba Bezpieczeństwa rozmawiała z panem, zanim pozwolono panu jechać? – zapytał niespodziewanie.

– Tak – odpowiedziałem zgodnie z instrukcją. – Przesłuchiwali mnie przez kilka godzin i kazali poinformować władze miasta, że jeśli nie otworzą granic dla inspektorów z zewnątrz i będą atakować wysłane oddziały, Dobre Miasto zostanie zbombardowane. Żądają natychmiastowego wznowienia kontaktu i wypuszczenia więzionych tu obywateli.

– Niewiarygodne. – Jenak objął głowę dłońmi i zastygł na chwilę. – Nigdy nie przypuszczałem, że dojdzie do czegoś takiego. Będę musiał jak najszybciej powiadomić panią burmistrz. Jeśli ich groźby są realne, możemy mieć do czynienia z bezprecedensowym bestialstwem. A wszystko dlatego, że Dobre Miasto zawsze starało się o autonomię i rywalizowało z Rapidem. I właśnie teraz mamy okazję uzyskać przewagę w tym wyścigu.

– Nie potrafię wyjaśnić panu pobudek, którymi kieruje się rząd, ponieważ ich nie znam. Oficjalne stanowisko wyraża troskę o los całego kraju. Zdaniem premiera Gorkiego pani Engels straciła panowanie nad sytuacją i próbuje to ukryć, wprowadzając blokadę informacyjną.

– Niewiarygodne! – powtórzył naczelnik. – A pan, panie Grass? Co pan sądzi jako naukowiec o tej sytuacji? Czy pana zdaniem zamknięcie portalu byłoby słuszne? Czy skazując na śmierć dziesiątki tysięcy uchodźców, moglibyśmy patrzeć w lustro spokojnie i bez obrzydzenia?

Spojrzałem na niego poważnie, panowałem w pełni nad mimiką twarzy.

– Mam zbyt mało danych, żeby to ocenić, panie naczelniku. Ale jeśli nawet część doniesień o zagrożeniach związanych z uchodźcami jest prawdą, musiałbym postawić na szali dobro dziewięciuset tysięcy mieszkańców Dobrego Miasta i osiemdziesięciu tysięcy uciekinierów z portalu. Rozumie pan, że w tej sytuacji trudno mi poprzeć politykę Ratusza?

Zapadła niezręczna cisza.

– Proszę wyjść! – Morten Jenak niespodziewanie poderwał się z krzesła. – Jest pan takim samym potworem jak Gorki i cała reszta.

– Ale dlaczego? – Nie musiałem nawet udawać zaskoczenia. – Miałem wrażenie, że ta rozmowa jest bardzo rzeczowa i możemy ją spokojnie kontynuować.

– Myślę, że wyraziłem się jasno. Spełnił pan już swój obowiązek.

– Ja też mam do pana kilka pytań, które nie dają mi spokoju – powiedziałem, wstając niechętnie. – Jak wielu uciekinierów wydostało się poza policyjny kordon? Czy miasto kontroluje handel flogistonem, i czy to prawda, że odnotowano krwawe ataki imigrantów na rdzennych mieszkańców?

Oczy Jenaka zwięzły się niebezpiecznie.

– Proszę opuścić natychmiast ten pokój, albo każę pana aresztować. Jakiś powód zawsze się znajdzie, panie Grass.

Wyszedłem i zamknąłem drzwi. Jak mogłem najdelikatniej.

Ktoś mógłby uznać, że nie dowiedziałem się niczego z tej rozmowy. Poniosłem sromotną porażkę. Ale ja poznałem przeciwnika, zobaczyłem jak pracują kółka mechanizmu pod cienką powłoką ze skóry i mięsa. Prawie dotknąłem nakręconej sprężyny, która poruszała panią burmistrz, radnymi urzędnikami Dobrego Miasta. I wiedziałem, że ta sprężyna może z łatwością obciąć komuś głowę.

* * *

Po wyjściu z Ratusza zamierzałem pojechać w okolice Dystryktu Dwunastego, żeby przekonać się osobiście, jak wygląda sytuacja. Dotarcie do obozu uchodźców oraz obejrzenie portalu było żelazną częścią mojej misji. Właśnie podnosiłem rękę, żeby skinąć na białą taksówkę, gdy po drugiej stronie ulicy dostrzegłem chudego człowieczka.

Musiał na mnie czekać. Siedział na ławce pod stuletnim kasztanowcem. Upłynęła godzina, odkąd zniknąłem mu z oczu, a on nadal sterczał pod budynkiem. Ruszyłem więc z powrotem w kierunku stacji metra, a chuda postać podreptała za mną. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to słabość tajnych służb Dobrego Miasta. Jeśli wysyłasz za kimś swojego agenta, nie powinieneś myśleć, że twój cel jest niewidomy i upośledzony umysłowo.

Nie poruszałem się szybko, leniwie zszedłem na peron i wsiadając do przedziału, upewniłem się dwa razy, że śledzący mnie mężczyzna zdążył. Podróżował w kolejnym wagonie. Miałem trochę czasu na dokładne obmyślenie trasy i miejsca ataku. Sięgnąłem do wspomnień prawdziwego Johna Grassa i zanim dotarłem do Huelle, wiedziałem już, co robić. Plan zakładał, że mój natrętny towarzysz okaże się konsekwentny do bólu.

Przesiedliśmy się do autobusu, który jechał bezpośrednio pod mój dom. Wsiadłem dwa przystanki wcześniej, na ulicy Marbel, przy której znajdowała się myjnia i dyskont spożywczy, a trochę dalej kilka opustoszałych kamienic oraz nieczynny skład budowlany. Śledzący mnie „agent” ruszył bezsensownie za mną. Kiedy mijałem ostatnią kamienicę, skręciłem w podwórko i zacząłem się za murem oddzielającym trawnik od zrujnowanych garaży. Usłyszałem kroki i naprężyłem wszystkie mięśnie.

Uderzenie było tylko formalnością.

Człowieczek okazał się kruchy i lekki jak piórko, ważył może z pięćdziesiąt kilogramów. Upadł na ziemię i chyba zemdlał od razu, bo leżał nieruchomo. Przygniotłem go swoim cielskiem, a potem odchyliłem głowę i przyjrzałem się pooranej ospą twarzy, pożółkłym wąsom nad wąskimi wargami i rzadkim włosom, okalającym łysinę na czubku głowy. Facet wyglądał paskudnie, jakby chorował latami na ciężką chorobę. Można było poczuć obrzydzenie, dotykając go. Ale ja sięgnąłem dłonią za kołnierz jego płaszcza i w miejscu, gdzie szyja łączy się z czaszką, w ciepłym zagłębieniu wymacałem coś w rodzaju mięsistej wypustki. Aż wstrząsnął mną dreszcz. Przywra, pomyślałem. Pierdolona przywra!

Użyłem wdrukowanej wiedzy. Ludzie Meyera i Salta znali błoniastego pasożyta, przyciągniętego z Piekła przez uchodźców. Zaszyli w mojej pamięci jego wygląd i sposób działania. Być może natknęli się na podobny przypadek, zanim kurtyna otoczyła miasto. Trudno stwierdzić, skąd czerpali tak dokładne dane. Na szczęście przekazali mi sposób, w jaki można było pozbyć się tego świństwa.

Pociągnąłem za wypustkę z całej siły i przyssawki zaczęły puszczać. Wyglądało to zapewne, jakbym zrywał człowiekowi skalp, ale pod drżącą powłoką znajdowała się prawdziwa, oblepiona śluzem skóra. Soki przywry podrażniły ją i wytrawiły owłosienie, nie spowodowały jednak zakażenia. Nie myślałem o ryzyku zabiegu, tylko szarpałem coraz mocniej. Pasożyt wił się w dłoni, próbował przylgnąć do swojej ofiary, ale nie puszczałem i ciągnąłem z całej siły, aż dotarłem do twarzy.

Tu należało postępować ostrożniej, aby nie uszkodzić oczu, pokrytych bardzo cienką błoną, a następnie wyciągnąć powoli z przełyku długą rurkę, którą przywra się odżywiała. Jej ścianki oblepiały niewidocznie wargi, zęby i podniebienie, pokrywały wszystko z wyjątkiem języka. I teraz, kiedy wyciągałem wijącą się nitkę z przełyku, ofiarą wstrząsnęły torsje. Zwymiotowała żółcią.

Rzuciłem przywrę – pomarszczoną groteskowo twarz – na ziemię i przywaliłem ją połówką cegły. Nie zamierzała się poddać, próbowała niezdarnie odpełznąć, więc sięgnąłem po deskę, z której wystawało kilka zardzewiałych gwoździ, i zacząłem walić bez opamiętania, aż białe ścierwo

znieruchomiało w trawie. Dla pewności przywaliłem ją gruzem, aż w miejscu, gdzie leżała, powstał spory kopczyk.

Potem wróciłem do ofiary, która nadal była nieprzytomna. Chudy człowieczek okazał się dziewczyną, agentką Służby Bezpieczeństwa. Nazywała się Anna Hart i była jednym z najlepszych zwiadowców; wysłano ją do Dobrego Miasta tuż po pojawieniu się portalu. Rozpoznałem ją od razu, pomimo śluzu na twarzy, zapadniętych policzków oraz braku włosów i brwi. Rozpoznałbym każdego agenta, którego pokazał mi Meyer.

Teraz musiałem się nią zająć.

* * *

Sprowadzenie agentki Hart do domu zajęło mi pół godziny. Dotarłem pieszo do plymoutha, wróciłem na ulicę Marbel, ułożyłem dziewczynę na tylnym siedzeniu i zawiozłem do swojego garażu. Chwilę później leżała w sypialni, z wstrzykniętymi dożylnie dopalaczami z samochodowej apteczki. Pierwsze kilka godzin po zdjęciu przywry decydowało o wszystkim. Najgorsze były halucynacje, kiedy mózg uwalniał się spod władzy pasożyta.

Musiałem siedzieć przy niej cały czas, bo podrywała się do góry i próbowała krzyczeć przez sen. Wtedy zasłaniałem jej twarz dłonią. Ciągle miała torsję, a z ust ciekło coś jakby biała woda. Oczyszczała się z wydzielin przywry i cierpiała strasznie. Po godzinie wystąpiła wysoka gorączka, po kolejnej temperatura ciała spadła niebezpiecznie. Ale późnym popołudniem wiedziałem już, że z tego wyjdzie. Zaczęła oddychać miarowo, a na policzki wypełzły nieśmiałe kolory.

Pogodziłem się z faktem, że tego dnia nigdzie nie pojadę. Trzymanie straży przy Annie nie oznaczało jednak, że marnowałem czas. Dalej przeglądałem gazety i zerkalem na oba kanały TV. Wszedłem też do sieci, którą mógłbym nazwać raczej Intranetem niż Synetem. Udało mi się znaleźć pierwsze filmy pokazujące uchodźców. Była to seria wywiadów zrobionych przez vlogerów z imigrantami czekającymi w kolejce na placu Rothschilda. To tutaj znajdowała się tak zwana „giełda pracy”, gdzie służby miejskie przewoziły z obozu chętnych do podjęcia zatrudnienia.

Panował ścisk. Kamera trzęsła się niemiłosiernie, a głos czasem zanikał w ogólnej wrzawie, ale dało się oglądać te relacje. Wydawały się naturalne, nie wyreżyserowane przez Ratusz, chociaż były też denerwująco krótkie – modne wrzuty, nie przekraczające kilku minut. To odpowiedź vlogerów na problemy z koncentracją widzów. Nikt nie oczekiwał w sieci, że ktoś skupi się najednym temacie na przykład przez kwadrans.

– *Hej! Powie pani kilka słów dla kanału Nico Nocq?* – wołał młody chłopak do kobiety z kolorową chustą na głowie. – *Rozumie mnie pani?*

– *Mówi trochę po rammańsku* – odpowiedziała kobieta. – *Niezbyt dobrze, widzi.*

– *To świetnie, to wystarczy.* – Roześmiał się chłopak i przeszedł na rammański. – *Cieszy się pani, że jest w Dobrym Mieście?*

– *Tak, cieszy się bardzo. Tam u nas straszny wojna.*

– *A czy wy tam naprawdę macie demony?!*

– *Nie rozumie panu...*

– *No, czy macie tam, wie pani, prawdziwe demony? Takie diabły, które jedzą ludzi?*

– *A, tak. Mamy diabeł. Tak ich właśnie nazywają. Piekło.*

– *A co pani chce tutaj robić?*

– *Chce pracować. Obojętna praca.*

Mnóstwo tego typu pogawędek, które nic nie wyjaśniały. Oglądałem je, jedna za drugą, mając wrażenie, że pomiędzy pytającymi a odpowiadającymi wyrasta niewidzialna kurtyna. Vlogerzy robili to ewidentnie „dla zgrywu”, czasem nawet specjalnie zadawali trudne pytania ludziom, którzy ledwie potrafili się przedstawić. Ludziom, w których oczach widziałem dzikość i chęć ucieczki.

Statystyka sprawiła, że w tyglu języków i ras trafił się również Slavianin. Mężczyzna w sile wieku, z kanciastą twarzą i szerokimi ramionami. Nie pochodził z Dobrego Miasta, ale znał je doskonale „sprzed lat”, jak powiedział. Nie wydawał się zagubiony jak inni. Patrzył na dziewczynę, która podsunęła mu mikrofon, z autentyczną pogardą.

- *I po co pani to robi, moja droga?*
- *Nie wie pan? Żeby moi widzowie mieli potem o czym rozmawiać na forum, szerowali filmy i popierali w sieci mój kanał.*
- *To nie ma dla mnie żadnego sensu.*
- *Ależ to nie musi mieć sensu. Chodzi o to, żeby przeżyć coś ekscytującego.*
- *Myślę, że jesteście martwi, moja droga. Wy już wszyscy nie żyjecie.*

Odszedł w kierunku kolejki, a dziewczyna została na wizji z głupim uśmiechem na ustach. Potem zaczepiła następną osobę. Potem jeszcze jedną. Gdzieś, przy stanowisku z ofertami pracy, wybuchła przepychanka, którą było widać w tle, ale nikt tam nie pobiegł i nie kręcił z ręki gorącego materiału.

Cierpliwie obejrzałem kilkadziesiąt podobnych filmików. Miałem wrażenie, że uchodźcy niechętnie opowiadali o miejscu, z którego przybyli. Jakby próbowali wymazać je z pamięci, albo nie umieli znaleźć odpowiednich słów. Wokół „giełdy pracy” kręciło się więcej mężczyzn niż kobiet. W takich miejscach najłatwiej trafić na budowę i do innych zajęć fizycznych. Dziwiło mnie, że z osiemdziesięciu tysięcy przywieziono tu zaledwie dwieście, może trzysta osób. Ktoś wspomniał mimochodem, że w obozie nie było wielu chętnych, którzy na dodatek znaliby slawiński lub rammański.

Siedziałem potem przy Annie i słuchałem jej gorącego oddechu. Napoiłem ją kilka razy i zmieniłem pościel, kiedy zsiadała się przez sen. Tym razem pozwoliłem sobie jedynie na drzemkę. Musiałem być czujny na wypadek, gdyby stan agentki się pogorszył. Była dla mnie najcenniejszym źródłem informacji. Spędziła tutaj ponad dwa miesiące.

Dzień czwarty

Odzyskała przytomność o trzeciej nad ranem. Rzuciła się niespokojnie na łóżku, więc zapaliłem światło i pozwoliłem, żeby wczepiła się w moje ramię, owinęła kołdrą i na chwilę zmieniła w dziecko. Próbowiła coś

mówić, ale podrażnione gardło chrypiało, szeptało tylko niewyraźnie, zamiast wydawać czyste dźwięki. Każda głoska musiała ją boleć, ale mimo wszystko nie rezygnowała.

– Byłam szczelnie... Twarz oklejona przywrą... I wtedy nie widzisz normalnie... Nie możesz niczego zrozumieć... A przecież czujesz, że umierasz... Wiesz, kim jesteś albo może byłeś... I zżera cię przerażenie... Tak bardzo się bałam, tak bardzo... Chcę ci podziękować... Byłam pewna, że nigdy nie wrócę.

– Spokojnie, teraz odpoczywaj. – Przypomniałem sobie gest i objąłem ją delikatnie. – Dobrze, że poszłaś za mną, i że domyśliłem się, o co chodzi. Nazywam się John Grass i jestem agentem jak ty. Jesteś tu bezpieczna, ale musisz nabrać sił i nie dać się wytropić. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Pokiwała głową i zatrzęsa się. Miałem wrażenie, że jeśli zostawię ją na chwilę samą, rozpadnie się na kawałki, w pościeli znajdę tylko kupkę wiórków. Albo gorzej, wstanie przerażona i zacznie mnie szukać. Narobi wrzasku, ściągnie nam na głowę policję lub trafi w ręce pani Lahm. Nie wyszła jeszcze z szoku i nie myślała normalnie, chociaż była twarda, doskonale wyszkolona. Musiałem wbijać Annie do głowy najprostsze rzeczy.

Podąłem jej lek nasenny, napisałem na kartce kilka słów i poczekałem, aż zaśnie. Instrukcja była jasna: *Czekaj na mnie, nie otwieraj drzwi i z nikim nie rozmawiaj! Nie pokazuj się w oknie, nie wychodź z domu, pij dużo płynów.* Potem zasnąłem na kwadrans, żeby kawałki pamięci wskoczyły na właściwe miejsce w mózgu. Przygotowałem pistolet i ekwipunek na drogę.

* * *

Wyjechałem z domu, zanim wstał świt. Kierowałem się na południe, ale nie obwodnicą i szosą na Rapid, tylko mniejszymi ulicami. Jechałem przez śpiące osiedla i przemysłowe kwartały, pełne magazynów, zapomnianych garaży i ogrodzonych siatką parkingów. Po pół godzinie dotarłem do strefy oznaczonej żółtymi tablicami. Napisy informowały, że zbliżam się do granicy miasta, którą tutaj nazywano Polem Śmierci. Dowiedziałem się,

że podejście do kurtyny na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt metrów grozi kalectwem. Dotknięcie jej powoduje porażenie i natychmiastową śmierć.

Zaparkowałem przy betonowej barykadzie i ruszyłem pieszo w stronę Pola. Okolica była wyludniona, latarnie nie świeciły się, gdzieś, z daleka dobiegało tylko szczekanie psa. Usiadłem przy znaku „granica bezpieczeństwa” i czekałem, aż wstanie słońce. Jego promienie zaróżowiły niebo, a potem moim oczom ukazała się wysoka na kilkadziesiąt metrów ściana wody. Tak to wyglądało: ultracienki, rozplaszczony strumień, za którym widać było dalszy ciąg ulicy. Substancja przelewała się powoli, sunąc równoległe do powierzchni ziemi.

Pomyślałem o misji i skalkulowałem ryzyko. Patrzyłem na zagadkowe zjawisko i na szarą kamienicę, w którą wnikała część kurtyny. Nie rozcięła cegieł, nie uszkodziła nawet tynku. Tylko po frontowej ścianie od czasu do czasu spływały cienkie strumyki.

W końcu podjąłem decyzję. Szedłem w stronę granicy, wyciągając przed siebie obie ręce; szedłem na sztywnych nogach, tak się chyba mówi. I utrzymywałem kierunek siłą woli. Moje ciało próbowało uciec, chociaż umysł nie czuł lęku. Byłem spokojny, zapatrzony w rozmazaną powierzchnię. Jednak ciało walczyło do końca. Ostatnie kroki zrobiłem z takim wysiłkiem, jakby ktoś przyczepił mi do pleców zbyt krótką linę.

Zagryzłem zęby i dotknąłem kurtyny.

Moje dłonie nie zmoczyły się nawet, kiedy w nią wniknęły. Właściwie nic się nie stało, nie poraził mnie prąd i nie przecięło pole siłowe. Sekundę później byłem już po drugiej stronie. Stałem tam chwilę, zrobiłem kilka kroków i wróciłem do Dobrego Miasta. Uspokoilem oddech, który trochę przyspieszył. Nie przerwałem misji w głupi sposób, a ucieczka okazała się znacznie łatwiejsza, niż sądził pułkownik Meyer.

Kurtyna była nieszkodliwa. Przynajmniej dla sztucznych organizmów.

* * *

Przed siódmą stawiłem się na placu Ewolucji, pod siedzibą fundacji „Pomoc dla Potępionych”. Młodzi wolontariusze schodzili się w odstępie kilku minut, a prawie każdy z nich przed wejściem wyrzucał papiery

do kosza. Kiedy odsunęli rolety i otworzyli drzwi na oścież, wszedłem do sporego, gustownie urządzonego biura. Ośmioro aktywistów piło kawę, przygotowując się do kolejnego dnia zbierania darów albo organizowania mieszkań dla uchodźców. Krótko mówiąc, do czynienia dobra.

Podszedłem do pierwszej dziewczyny i zaproponowałem, że mogę przewozić transporty żywności i leków do obozu. Odesłała mnie do chudzielca dwa biurka dalej. Na ścianie za chłopakiem wisiał plakat z uśmiechniętym brodatym mężczyzną, przypalającym ogromne cygaro.

– Jaki ma pan samochód? – zapytał chłopak.

– Dostawczy huawei, duża ładowność. Podwyższony i przedłużony.

– To dobrze, nawet bardzo dobrze. Mógłbym go zobaczyć?

– Stoi w tej chwili w warsztacie, będę go miał za godzinę – skłamałem. – Od kiedy mógłbym zacząć pracę?

– Myślę, że od jutra, pod warunkiem, że samochód jest w dobrym stanie.

– Proszę się o to nie martwić. O której mam przyjechać?

– Możemy się umówić na dwunastą. Damy panu magnetyczne banery fundacji do przyczepienia na samochód i zapakujemy transport odzieży. Pojedzie pan z dwiema koleżankami na ulicę Indiry w Dystrykcie Dwunastym, Brama D.

Chłopak spisał moje dane i dokładnie wypytał, dlaczego chcę pomagać ludziom, którzy uciekli z portalu. Czy brałem udział w podobnych akcjach? Jak reaguję na inność? Co myślę o Potępionych? Mówiłem o solidarności z ofiarami przemocy. O niezwykle ważnej roli, jaką uchodźcy mogą odegrać w rozwoju naszego miasta. Powoływałem się na słowa wiceburmistrz Ye-jin Son oraz autorytetów, których wypowiedzi czytałem w gazetach.

Zrobiłem wrażenie na wolontariuszu, bo ostatecznie zapomniał o wypełnieniu rubryki z numerem rejestracyjnym samochodu. A ja pożegnałem się i wyszedłem z biura, żeby znaleźć auto chociaż trochę pasujące do opisu, który mu podałem.

* * *

Wyciągnąłem z kosza na śmieci jedną ze zgniecionych kartek. Rozprostowałem ją po chwili i zacząłem czytać. Wyglądała jak amatorskie

ogłoszenie, które ludzie umieszczają na tablicach informacyjnych, barierkach przy skrzyżowaniu i ścianach przystanków, wydrukowane na taniej drukarce lub powielone na ksero. Z wielkim grubym nagłówkiem: *Demony nadchodzą!!!*

Strońcie od uchodźców z Pieła! Albowiem nie przybyli sami! Oceany czerni w nich mieszkają. I przynoszą śmierć i wieczne potępienie!!! Demony wysłały ich do nas, żeby szpiegować i niszczyć. Oni mają przygotować Ziemię dla plugawych panów! A groźniejsze jeszcze ich zwierzęta: Przywry, Niszczyciele i Węże. Zjedzą wasze ciała i dusze, zabiorą wam dzieci i domy. Ratujcie się, mili bracia w Bogu Jedynym!!!

Nie było podpisu, tylko zamazana ilustracja, czarny kleks na dole kartki. Aktywiści musieli każdego ranka patrolować ulice i zrywać podobne „ogłoszenia”, które ktoś rozklejał w nocy na mieście. Wkładali w to wiele trudu, starali się zrobić wszystko, by uspokoić nastroje wśród mieszkańców. I nie dopuścić do głosu szalonych proroków, którzy mówili prawdę, przynajmniej o przywrach. Schowałem kartkę do kieszeni i ruszyłem dalej.

Plac Ewolucji był ogromny, o wiele większy niż we wspomnieniach Grassa. Pośrodku stały dwie majestatyczne wieże zegarowe o kwadratowym przekroju i spiczastych dachach. Na wschodniej zegar odliczał czas normalnie, a na zachodniej wskazówki cofały się. W południe i o północy, kiedy oba zegary wskazywały godzinę dwunastą, rozlegało się bicie dzwonów. Pamiętałem, że lepiej wtedy nie stać pomiędzy wieżami, bo można stracić słuch.

Białe kilkupiętrowe kamienice, ustawione w prostokącie, pyszniły się ozdobnymi elewacjami i arkadami. Przed kawiarniami i restauracjami stały stoliki i krzesła, wśród których krążyli kelnerzy. Wszystkie ogródki były zadaszone i wyposażone w gazowe ogrzewacze. I chociaż pora roku, ani dzień tygodnia nie sprzyjały przesiadywaniu w takich miejscach, wielu gości jadło śniadanie na mieście. Mieszkańcy starali się spędzać miło czas, nie mając pewności, co będzie jutro. Byłem ciekaw, ilu turystów zostało uwieczonych za delikatną kurtyną.

Przebiegałem plac, by dotrzeć do północnego skraju, otoczonego wysokim metalowym płotem i czymś w rodzaju rusztowania, na którym rozwieszono

szare płótno. Konstrukcji tej strzegli wartownicy, pojazdy opancerzone i dodatkowa linia betonowych zasieków. W tym miejscu plac Ewolucji łączył się z ulicą Dedala, na rogu której stał Instytut Capgrasa. Rusztowanie zasłaniało skutecznie rumowisko i samą kulę portalu. Obserwując wielkie płachty płótna, miałem wrażenie, że przebija przez nie pomarańczowa łuna.

Pośrodku ogrodzenia znajdowała się potężna brama, którą wyprowadzano nowe grupy uchodźców. Prowadziła do niej wąska droga pomiędzy zasiekami. Dojazdu do wrót strzegł ciężki transporter, który zgodnie z opisem w gazetach odjeżdżał tylko na czas „relokacji”. Musiałem sprawdzić, czy uciekinierzy gromadzeni są w okolicy portalu i przewożeni regularnie do obozu. Czy też dzieje się to częściej, po każdym przejściu.

Usiadłem w ogródku pobliskiej kawiarni i zamówiłem czarną kawę z croissantami. Kelner, młody chłopak z rzadkim zarostem, przeprosił za brak kawy, która wyczerpała się kilka tygodni temu. Zaproponował herbatę i odszedł zrealizować zamówienie, a ja patrzyłem dalej na żołnierzy z lokalnej jednostki, którzy spacerowali wzdłuż ogrodzenia. Zacząłem badać wzrokiem okoliczne kamienice o lśniących czerwonych dachach. Typowałem miejsce, z którego miałbym najlepszy widok.

Kelner przyniósł zamówiony posiłek i jeszcze raz przeprosił za dziury w menu. Próbowałem pytać o sąsiedztwo portalu, ale nie był skory do rozmowy. Para nastolatków, siedzących dwa stoliki dalej, podniosła wzrok. Szczególnie czarnowłosa dziewczyna przyglądała mi się uważnie, więc dałem spokój i całkowicie pochłonęło mnie gryzienie ciasta i furkot gołębi spłoszonych przez dzieci. Zaczął siąpić drobny deszcz, a z głośnika pod dachem popłynęły dźwięki utworu *The Portrait*. Zrobiło się melancholijnie i spokojnie, jakbyśmy nie siedzieli wcale w pobliżu bramy do Pieła.

* * *

Zabytkowe centra dużych miast mają wspólną cechę: mieszkają w nich biedni ludzie, a z kanalizacji wydobywają się przykre wyziewy. Wszedłem w bramę najwyższej kamienicy i nacisnąłem mosiężną klamkę. Nie było tu domofonu, ani elektronicznego zamka; dostałem się do środka bez trudu. Wąskie strome schody, wydeptane przez dziesięciolecia, prowadziły kilka

pięter w górę. Śmierdziało kapustą i pleśnią, a zza odrapanych drzwi dochodziły podniesione głosy, płacz dzieci i jazgot telewizorów. Mniej więcej w połowie drogi, na półpiętrze minąłem nieprzytomnego mężczyznę, który oparł głowę o donicę z zielskiem. Obok turlała się pusta butelka po winie.

Na samej górze znalazłem wejście na poddasze. Wygryzione drzwi z dykty ktoś zamknął przezornie na skobel i tanią kłódkę, ale wystarczyło mocniej kopnąć, by śruby puściły, robiąc dziurę w słabym materiale. Zapachniało praniem i gołębiami. Mieszkańcy przerobili poddasze kamienicy na suszarnię. Wszędzie wisiały nylonowe linki, z których zwisały prześcieradła, powłoczki na pościel i bielizna. W kilku miejscach stały drewniane filary podtrzymujące strop i otynkowane byle jak kominy.

Podszedłem do brudnego okna i otworzyłem je na oścież. Z tej perspektywy plac wydawał się jeszcze większy, za to wieże zegarowe nieco straciły na wyglądzie. Wyciągnąłem z plecaka lornetkę i przyjrzałem się miejscu, w którym stał kiedyś instytut. Zza płóciennej zasłony widać było tylko pomarańczową ognistą aurę oraz osmalone ściany okolicznych budynków. Ratusz dobrze ocenił wysokość konstrukcji; musiałbym wejść na sam dach, żeby zobaczyć chociaż część portalu. Trzeba będzie znaleźć inny sposób, dotrzeć bliżej miejsca katastrofy.

Wyciągnąłem aparat z dużym zoomem i nagrałem krótki film. Pakowałem właśnie rzeczy do plecaka, kiedy usłyszałem szmer dochodzący z końca pomieszczenia. Odłożyłem wszystko i zastygłem. Szmer rozległ się ponownie. Z futerału na kostce wysunąłem delikatnie nóż. Przedzierałem się przez kolejne warstwy prania, starając się stąpać bezgłośnie. Ale drewniana podłoga skrzypiała, w każdej chwili mogłem spodziewać się ataku. Odgarnąłem kolejną poplamioną płachtę i wtedy ich zobaczyłem.

Siedzieli w najciemniejszym kącie, za jednym z kominów. Byli chudzi, poranieni i odziani w łachmany. Młodszy mężczyzna opierał głowę na ramieniu starszego, a ten gładził go delikatnie po włosach.

– *Ba-úš* – powiedział starzec po nibirsku i spojrzał mi w oczy.

– Nie obchodzi mnie, że on umiera. Skąd się tutaj wzięłeś?

– *Hé-mu-ù-zu!* Obyś doświadczył tego w swoich życiach.

– Nie marnuj mojego czasu. – Chwyciłem go za ubranie i podniosłem do góry jak kukłę. Pozbawiony oparcia chłopak osunął się bezwładnie

na podłogę. – Powiesz mi wszystko o przejściu, rozumiesz? Natychmiast! Co jest po drugiej stronie portalu?

Starzec wyszczerzył zęby w nienawistnym uśmiechu. Z jego ust buchnął odór.

– *Salmu* – wysyczał. – Ty weźmie czerń.

– Nie, *šeš*, ja nie mogę się zarazić waszym szaleństwem. Możesz grozić ludziom, ale ja nie jestem człowiekiem.

Rzuciłem nim o ścianę, tuż obok sterty starych blach, które pozostały po remoncie dachu. Miałem wrażenie, że uchodźca skurczył się w sobie. Zastygł jak karaluch. Poczulem dreszcz, który przebiegł mu po plecach, jakby nagle przeraził się śmiertelnie. Widocznie zrozumiał, kim jestem.

– *Lalartu mu-ĝen* – wyszeptał chłopak na podłodze. – *Gi ennuĝ-e...*

– Jakie więzienie, do cholery?

– *Ze lalartu-ta!* – krzyknął w odpowiedzi starzec.

– Jesteś obłąkany i zaraz umrzesz. – Pokazałem mu nóż. – Jeśli nie zaczniesz mówić, wrócisz dokładnie tam, skąd przyszedłeś. To będzie ekspresowa ekstradycja.

Ale dla uchodźcy wizja powrotu do Piekła okazała się bardziej pociągająca niż moje przesłuchanie. Może nie wierzył, że znowu tam trafi? A może, jak każda istota, uciekał przed najbliższym zagrożeniem, nie myśląc o tym, co zdarzy się dalej.

Chwycił kawałek blachy i ostrym kantem poderznął sobie gardło. Krew chlusnęła na ścianę, na deski podłogi i na leżącego u jego stóp chłopaka. Patrzyłem na drgające ciało i słuchałem rżenia męczyzny, nie wierząc do końca, że to zrobił. W jego świecie groźby i ból musiały być czymś powszednim. Zapewne wiele ryzykował, by przedostać się przez portal do naszego świata, a mimo wszystko wybrał śmierć.

Wycofałem się przez zwisające żagle pościeli, zabrałem swój plecak i uchyliłem drzwi na klatkę. Ktoś zbiegał po schodach, robiąc przy tym straszliwie dużo hałasu. Zapewne jakiś dzieciak. Naciągnąłem mocno wełnianą czapkę i ruszyłem w dół, w ślad za nim. Pijak dalej leżał na półpiętrze, ale wokół niego pojawiła się kałuża moczu. Wdepnąłem w nią czubkiem buta. To wszystko przez pośpiech i zdychające ogniwo w moim sercu. Musiałem załatwić samochód na jutro i wrócić do siebie, porozmawiać z Anną.

* * *

Około południa podjechałem pod dom białym huawei, który wypożyczyłem z komisju, dając w zastaw swojego plymoutha. Anna siedziała w fotelu, patrząc tępo w telewizor. Ledwie zareagowała na moje przyjście, ale była w znacznie lepszym stanie niż wczoraj. Lepszym nawet niż kilka godzin temu. Powiedziała „cześć” zmęczonym głosem, który od biedy uznałem za normalny.

Podgrzewając zupełną kupioną po drodze, opowiadałem jej o wizycie w fundacji i o tym, z jakim trudem znalazłem odpowiedni samochód. Musiałem odwiedzić kilka komisjów na obrzeżach miasta, żeby zdobyć to paskudne auto. A rozmowa z kierownikiem placu nie należała do łatwych. Miałem wrażenie, że mi nie dowierza. Nic dziwnego, bo kto przy zdrowych zmysłach oddaje barracudę w zamian za takiego strucla? Tylko szaleniec, albo oszust. Dlatego dzwonił przy mnie do urzędu miasta i potwierdzał dane samochodu. Przez chwilę rozważałem nawet, czy nie skrócić mu karku.

Kiedy dziewczyna skończyła posiłek i odpoczęła trochę, wypytałem ją, jak spędziła ostatnie godziny. Nie była rozmowna, odpowiadała półsłówkami. Że nic się nie działo, że zgodnie z instrukcją piła dużo wody, i że ciągle, kiedy się porusza, traci równowagę i upada. To wszystko brzmiało jak puszczone z taśmy. Jakby przywra wytrawiła jej mózg i zostawiła pustą skorupę.

– Musisz się skupić, Anno – powiedziałem, uderzając ją lekko w twarz.

– Co ty robisz?! – Chwyciła się za policzek.

– Nie mamy czasu, agentko Hart, musimy się spieszyć. W bazie zafundowali mi coś w rodzaju bezpiecznika, żeby wrócić do nich po tygodniu. Jeśli nie zdążę, prawdopodobnie trafi mnie szlag. – Uśmiechnąłem się do niej. – Nie chcesz chyba targać mojego cielska do szafy?

Chciała koniecznie wiedzieć, na czym polega zabezpieczenie, i kim właściwie jestem, jak trafiłem do Służby Bezpieczeństwa. Ale to mogliśmy wyjaśnić sobie później. Najważniejsze rzeczy nosiła w pamięci. Musiałem zebrać jak najwięcej informacji na wypadek, gdyby nie udało się jej opuścić miasta.

Usiadłem obok, przyciszyłem telewizor i wziąłem ją za rękę. Była wilgotna i zimna w dotyku. Cała energia organizmu skupiała się na pracy mózgu i innych organów wewnętrznych. Nie starczało jej na ogrzewanie peryferii ciała. Zapytałem najpierw o kurtynę, o niebezpieczeństwo, przed którym ostrzegały tabliczki. Niewiele wiedziała na jej temat. Oglądała reportaże w telewizji, gdzie pokazywano szczątki osób spalonych na granicy. Na początku ludzie próbowali uciekać, teraz już nie próbują.

– Byłem tam rano – rzuciłem od niechcenia. – Przeszedłem na drugą stronę.

– To niemożliwe, John – pierwszy raz wypowiedziała moje imię. – Widziałam nagranie człowieka, który wbiegł w kurtynę i dosłownie został rozerwany. Mogę ci pokazać w Synecie.

– Istnieje coś takiego jak efekty specjalne.

– Rozmawiałam z ludźmi, którzy byli wtedy na miejscu.

– Nie będziemy się o to spierać. Moje ciało zostało zmodyfikowane i może zachowywać się inaczej niż ludzkie. – Spojrzałem jej głęboko w oczy. – Spróbujmy teraz wrócić do początku. Jak to się stało, że złapałaś przywrę?

Dziewczyna zadrżała ze strachu.

* * *

Agentka Hart trafiła do Dobrego Miasta na ochotnika, tuż po powstaniu bariery. Przyjechała pod przykrywką pomocy humanitarnej, jako wolontariuszka z Remarku. Wtedy jeszcze do zamkniętej strefy ciągnęły konwoje. Ludzie łudzili się, że wrócą niebawem, skoro udawało im się wjechać. Kurtyna nie mogła przecież istnieć wiecznie. Czuli zapach do niesienia pomocy, a media podsycaly ciekawość.

Zadaniem Anny była obserwacja i przekazywanie informacji na zewnątrz. Kiedy zorientowała się, że to niemożliwe, skupiła się na pierwszej części zadania. Mieszkała w „oazie wolontariuszy” w Dystrykcie Jedenastym, kwadrans drogi od obozu dla uchodźców. Każdego dnia widziała konwoje, które jechały z Dystryktu Trzeciego do bram getta. Widziała protesty okolicznych mieszkańców i krwawą akcję policji. Przez miasto przetoczyła się fala demonstracji, ale zwolenników

niesienia pomocy było znacznie więcej niż przeciwników. „Damned welcome” i „Jesteśmy z Wami”, wszędzie wisiały banery.

Jeździła do Śródmieścia załatwiać różne sprawy i podczas jednego z wyjazdów stała się świadkiem masakry. Widziała śmierć żołnierzy, którzy przypuścili szturm na portal. Służby Specjalne nie doceniły przeciwnika. Miejscowe oddziały otworzyły do nich ogień, a napastnicy, którym udało się podejść do ognistej kuli, spłonęli żywcem. Strzały z granatników nie wyrządziły żadnej krzywdy przejściu. Dosłownie kilka minut po ataku wypadli stamtąd kolejni uciekinierzy.

Wtedy Anna postanowiła, że spróbuje dowiedzieć się więcej. Tkwiła już ponad miesiąc w oazie, a do jej zadań należało sortowanie ubrań, załatwianie spraw w urzędach i kwestowanie na ulicach. Miała za mało kontaktu z uchodźcami. Do obozu wpuszczano najczęściej miejscowych wolontariuszy, nadzorowanych przez Ratusz. Zgłosiła się więc do lotnej brygady, która krążyła po mieście i odbierała sygnały o podejrzanych osobach. Ich celem było również pomaganie uchodźcom na placu Rothschilda podczas „giełdy pracy”.

Znała kilka języków, więc tłumaczyła z remarskiego, rammańskiego i gottańskiego na slawiński. Pokazywała ludziom, jak wypełniać dokumenty. Jej uwagę zwrócił poziom agresji wśród uciekinierów. Potrafili wszcząć bójkę o najdrobniejsze rzeczy, nawet o zabrany przez kogoś długopis. A podczas jednej z akcji w noclegowni ciemnoskóry przybysz pogryzł dotkliwie kolegę z zespołu. Potem zwymiotował czymś czarnym i zaczął demolować samochód. Interweniowała policja, a wolontariuszom zakazano mówić o incydencie.

– Może to dziwne, John, ale do tej chwili nie wiedziałam, że jest tak źle. Nie czułam się bezpiecznie, ale sadza w jego ustach, to było coś ohydneho.

– Zakryła twarz dłońmi. – To przerosło wszystko, czego się mogłam spodziewać.

– Nie myślałaś wtedy o ucieczce?

– Wyszkolono mnie, żeby zawsze wypełnić zadanie. Musiałam za wszelką cenę nawiązać kontakt z uchodźcami i przesłuchać ich bez świadków.

Wróciła więc do poprzednich zajęć i zaczęła krążyć po mieście w poszukiwaniu dzikich obozowisk. Oficjalnie ten problem nie istniał. Niektórzy wolontariusze i bezdomni wspominali jednak, że w pobliżu

kurtyny można spotkać uciekinierów z portalu. Byli to ludzie, którzy trafili do Dobrego Miasta na samym początku, kiedy panował spory chaos. Czasem też kilku osobom udało się zbiec z getta. Koczowali w opuszczonych domach albo na terenach rekreacyjnych. Uchodźcy z legalnymi przepustkami nosili elektroniczne bransoletki. Mówiono, że są na podsłuchu, więc agentka szukała nielegalnych.

Podczas jednej z takich wypraw trafiła na ciało mężczyzny leżące w parku. Kiedy nachyliła się, by sprawdzić, czy żyje, coś ją zaatakowało i zaczęło dusić. To ostatnie wspomnienie, które zachowała, reszta rozpuściła się w gorączce wywołanej przez przywrę. Na samą myśl o niej Anna dostawała nudności ze strachu. Nie wyobrażała sobie nawet, że można tak cierpieć. Nie miała też pojęcia, jak przetrwała ostatnie tygodnie.

Rozmawialiśmy do wieczora, z kilkoma przerwami, podczas których drzemała w fotelu. Czułem, że wszystko będzie dobrze, jej stan się wyraźnie poprawiał. Ale długa opowieść i wspomnienia wyczerpały dziewczynę. Ciemność za oknem skleiała jej oczy.

– Skąd wiedziałeś, jak usunąć przywrę? – zapytała sennym głosem.

– Zostałem odpowiednio przeszkolony – odpowiedziałem krótko. – Mówiłem ci, nie jestem zwykłym zwiadowcą.

– To dobrze – powiedziała, kładąc się do łóżka. – To bardzo dobrze.

Zanim zasnąłem w fotelu, słuchałem jej spokojnego oddechu. Na ekranie wyciszonego telewizora sunął pasek z informacją, że w niedzielę o dwunastej w południe Mary Engels wygłosi przemówienie do mieszkańców. To miało być ważne przemówienie, na które wszyscy czekali. I ostatni występ pani burmistrz, pomyślałem.

Dzień piąty

Anna spojrzała na mnie znad kubka gorącej kawy i stwierdziła, że chce jechać. Nie zostanie dłużej w domu, bo czuje się świetnie. Uderzyła w stół, aż zadźwięczała łyżeczka leżąca na spodku. Taka odpowiadała mi bardziej, ale nadal miałem wątpliwości, czy naprawdę odzyskała siły i mogę na niej polegać.

– Jeśli zabiorę cię ze sobą, będziesz musiała coś zrobić. Wsiądziesz na ulicy Muska i pójdziesz do hotelu De Wilde naprzeciwko Ratusza. Wynajmiesz pokój na trzecim piętrze, od strony ulicy. Zapłacisz z góry za dwie doby.

– Po co?

– Powiem ci później, nie musisz teraz wiedzieć. To tylko zwiększa ryzyko.

– John, to jest nie fair. – Pokręciła głową. – Myślisz, że jestem tutaj, żeby wykonywać twoje rozkazy? Mam swoje własne.

– To nie są rozkazy, agentko Hart. Potrzebuję twojej pomocy.

Najważniejsze, że Anna nie zgubiła dokumentów. Nie miałem pojęcia, jak to się stało, bo przez kilka tygodni żyła jak zombie, ale właściwie nie obchodziło mnie to. Dzięki karcie ID mogła pójść do hotelu i zarejestrować się jako gość. Przekazałem jej dokładne instrukcje, na co ma zwrócić uwagę i jak wybrać wnętrze. Potrzebowaliśmy koniecznie dużego biurka albo stołu, więc w grę wchodził tylko dwuosobowy apartament.

Znałem pokoje w De Wilde. Kiedy John Grass pracował jeszcze w Dobrym Mieście, w hotelu urządzano konferencje dla śmietanki ludzi nauki i biznesu. Odpowiednie rozpoznanie rynku było podstawą przy wdrażaniu nowych produktów. Apartamenty, które zajmowali prezesi korporacji, należały do najdroższych, ale nasze fundusze wystarczały na wynajęcie któregoś z nich na dwa dni.

Zrobiliśmy wspólnie dokładną listę zakupów: ubrania, buty, torebka i peruka. Zapisałem wymiary, kolory i nazwy sklepów, gdzie miałem się udać. Pojechałem do domu handlowego w Dystrykcie Dziewiątym i spędziłem tam około półtorej godziny, ale wróciłem ze wszystkim, czego potrzebowała. Niektóre rzeczy okazały się trochę za luźne, a peruka w ciemniejszym odcieniu, ale zasadniczo wykonałem zadanie. W ciemnych rajstopach, bawełnianej sukience i grafitowym płaszczu, oraz w peruce, która przykrywała poranioną głowę, Anna wyglądała elegancko.

Stała przed lustrem i uśmiechała się do siebie, kiedy naciągałem dresy i sportową kurtkę. Do plecaka wrzuciłem zavera i tłumik, dałem jej pieniądze wyciągnięte ze skrytki i zarządziłem wymarsz. Zbliżało się południe, najwyższy czas, by ruszyć do centrum. Kiedy wyszliśmy na ulicę, zauważyłem panią Lahm. Zmierzała z psem dokładnie w naszą stronę, więc

nie mogliśmy jej zignorować. Anna komentowała właśnie stan lakieru na naszym nowym samochodzie, gdy usłyszałem za sobą wołanie kobiety.

– Dzień dobry!

– Dzień dobry, pani Kerstin. Miło znowu panią widzieć.

– Co się z panem działo, John? Bardzo dawno pana nie widziałam, a obiecywał pan, że odwiedzi starą sąsiadkę. No, ale teraz już wszystko rozumiem. – Uśmiechnęła się szeroko. – Kiedy mężczyzna ma w domu taki skarb, może zapomnieć o obietnicach składanych staruszce. Jak masz na imię, kochanie?

– Alicja – skłamała dziewczyna.

– Bardzo ładnie, jak moja siostrzenica, która mieszka w Rapidzie. Naprawdę piękne imię i bardzo do ciebie pasuje.

– Dziękuję. I życzę pani miłego dnia! – Anna uwolniła się od sąsiadki, wsiadając do samochodu i głośno zatraskując drzwi, a ja rozłożyłem ręce.

– Niestety, musimy już jechać. Ale obiecuję pani, że niedługo zajrzę.

Pani Lahm przewiercała mnie wzrokiem.

– Muszę powiedzieć, że bardzo się pan zmienił po powrocie. Dosłownie, nie poznaję pana, John. Nie odwiedził mnie pan. I pozbył się swojego ukochanego auta, tak? A zawsze pan powtarzał, że nie wsiądzie do żadnego innego.

– Stan wyższej konieczności, proszę pani. Dzisiejsze czasy są trudne.

– No tak, samochód, to jeszcze rozumiem, ale kobieta? I w dodatku, taka ładna. – Stara pokręciła głową. – Nigdy nie interesowały pana kobiety. Nie widziałam tu żadnej przez tyle lat. Pomyślałam nawet, że jest pan, jakby to powiedzieć, inny.

– Mam nadzieję, że to miłe zaskoczenie. – Ukłoniłem się lekko. – Do widzenia! Naprawdę, musimy już jechać.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Bardzo to wszystko dziwne!

Wskoczyłem do szoferki i spojrzałem na dziewczynę. Uruchomiłem silnik, obserwując sąsiadkę w bocznym lusterku. Upewniłem się, że wraca do domu i ruszyłem wolno. Skręciliśmy w prawo, w pierwszą przecnicę i stanęliśmy na poboczu.

– Muszę iść, zapomniałem czegoś – powiedziałem, zakładając plecak.

– Powodzenia – wyszeptała Anna.

* * *

Na tyłach domów na naszej ulicy królowały gęste zarośla, porastające brzeg płytkiego kanału. Większość działek oddzielona była od krzewów i chwastów drewnianym ogrodzeniem z gotowych elementów. Firma budująca osiedle uznała, że tak będzie zaciszniej i zwiększy to poczucie bezpieczeństwa. Dziękowałem jej za to w duchu.

Przemknąłem chyłkiem wzdłuż kilku posesji, minąłem swoją działkę i po chwili dotarłem do podwórka pani Lahm. Przez kilkanaście lat drewniane ogrodzenie wypaczyło się i niektóre segmenty oddaliły się od pozostałych. Wykorzystałem jedną ze szczelin, szarpnąłem za słupek i precyzyjnie się na posesję. Znałem ten dom prawie tak dobrze, jak własny. John lubił tu przesiadywać i robić ze staruszką grilla w ciepłe dni. Miał doprawdy zaskakujące upodobania, jeśli chodzi o spędzanie wolnego czasu.

Zakradłem się do tylnych drzwi i nasłuchiwałem przez kilka sekund. Sąsiadka włączyła telewizor i prawdopodobnie poszła do kuchni przygotować obiad. Czułem w ustach smak pieczonej kaczki, którą często serwowała prawdziwemu Grassowi. Wyjąłem pistolet, nakręciłem tłumik i wszedłem do środka. Kiedy odbezpieczałem broń, Max zaczął szczekać i ruszył pędem z frontowego holu w moją stronę. Strzeliłem mu w oko, kiedy szykował się do powitalnego skoku. Zapiszczał tylko i uderzył w starą komodę.

– Max? – zawołała kobieta.

Poszedłem w stronę głośno.

– Max?! Co się stało, kochanie? – powtórzyła.

Tak, jak sądziłem, krzątała się w kuchni. Hałas z telewizora zagłuszył moje kroki. Kiedy stanąłem w drzwiach, pani Lahm podskoczyła ze strachu. Potem na jej twarzy odmalowała się ulga i zagościł uśmiech. Aż wreszcie dostrzegła pistolet i blade oczy staruszki rozszerzyły się z przerażenia. Cofnęła się o pół kroku, oparła o drewnianą szafkę i wyciągnęła drżące ręce.

Wycelowałem w jej stronę.

– John, co ty robisz?! Ja nie chciałam...

Strzeliłem dwa razy w klatkę piersiową. Upadła jak kłoda, ściągając z blatu ścierkę, na której leżało kilka sztuków. Narobiły niezłego hałasu. Pozbierałem je i odłożyłem na miejsce. Wyłączyłem telewizor w salonie.

Drzwi do piwnicy znajdowały się pod schodami na piętro. Przeciągnąłem panią Lahm do czarnego otworu i zepchnąłem w dół, nie sprawdzając, jak daleko upadła. Poszedłem po zwłoki psa i cisnąłem je w ślad za nią. Z łazienki wziąłem kolorowy ręcznik, żeby zetrzeć plamy krwi z podłogi. Nie było ich wiele, ale mogły zaalarmować kogoś wścibskiego i przyspieszyć znalezisko. Zatrzasnąłem piwnicę, sprawdziłem frontowe drzwi i wycofałem się na tyły domu. Wyjście do ogrodu zamknąłem kluczami właścicielki, schowałem je pod stertą drewna i odetchnąłem głęboko. Całość zajęła mi kilka minut.

Wróciłem do samochodu tą samą drogą, którą tu przyszedłem, i od razu ruszyliśmy przed siebie. Anna była spokojna, ale nie odzywała się do mnie. Rozumiałem to i również uparcie milczałem. Układałem w głowie plan działania. Musiałem pilnować zegara i zjawić się na czas pod biurem fundacji.

* * *

Zaparkowałem w pobliżu Ratusza. Anna powtórzyła szybko instrukcje i życzyła mi szczęścia. Patrzyłem, jak przechodzi przez ulicę, idzie zatłoczonym chodnikiem i znika w półokrągłych drzwiach hotelu. Ruszyłem do znajdującego w sieci warsztatu lakierniczego przy ulicy Barbera. W bramie natknąłem się na właściciela, niskiego jegomościa w chabrowym kombinezonie.

– Panie, mowy nie ma, żebyśmy zrobili to dzisiaj. A pan chce od ręki? – Spojrzał na mnie jak na uchodźcę z portalu. – Te wszystkie auta na placu czekają w kolejce, widzi pan. Najwcześniej w przyszłym tygodniu!

– Chce pan dożyć przyszłego tygodnia? – zapytałem, wciskając mu w rękę zwitek banknotów. – Nie przyjmuję odmowy.

Rozchyliłem plecak, pokazując broń. Coś zmieniło się w jego postawie. Znacznie większe napięcie mięśni szkieletowych.

– Trzeba zamalować rdzę i zadrapania. Pół godziny roboty z szybkoschnącym lakierem. Zgłoszę się po niego o jedenastej trzydzieści.

I dostanie pan drugie tyle, jeśli to dobrze zrobicie. – Dodałem na pożegnanie.

Miałem niejasne poczucie, że puściły mi nerwy. Pokazy siły nie prowadzą do niczego dobrego. Zabicie pani Lahm odbiło się rykoszetem w mojej głowie, dlatego musiałem odetchnąć, spacerując po brzydkich ulicach. Odkryłem, że zgrzytam zębami. Rozluźniłem szczękę. Wyrównałem oddech i krok.

W kieszeni zadzwonił telefon, tani model na kartę. Annie kupiłem identyczny.

– Jest w porządku – powiedziała dziewczyna. – Dostałam pokój na trzecim piętrze z widokiem na ulicę. Sprawdziłam wyjście awaryjne, jest otwarte. Prowadzi na tyły budynku. Za niewielkim murem masz podwórko kamienicy i wyjście na aleję Słoneczną. Numer domu dwanaście.

– Dziękuję ci, świetnie się spisałaś. Jak ci poszły sprawy meldunkowe?

– Mam remarskie papiery i mówiłam z remarskim akcentem, dlatego nie zdziwili się, że płacę gotówką. Mają turystów z Remarku za nieokrzesanych wieśniaków.

– A meble?

– Jest dębowe biurko o długości około dwóch metrów. Bardzo solidny mebel. Czy możesz mi wreszcie powiedzieć, co chcesz zrobić?

– Do zobaczenia wieczorem. – Rozłączyłem się i zawróciłem.

Kilka razy minąłem warsztat, zanim zdecydowałem się wejść; nie dostrzegłem nic podejrzanego. Mój huawei stał na ulicy, upiększony szybkim makijażem. Prezentował się znacznie lepiej. Dla pewności zajrzałem na pakę, obszedłem go dookoła i pokiwałem głową z uznaniem. Jak spod ziemi wyrósł przy mnie właściciel.

Dałem mu kilka stów i bez słowa wskoczyłem do szoferki. Sprawdzałem w bocznych lusterkach, czy nikt mnie nie śledzi. Dwa razy przystanąłem na chwilę i zajechałem na stację benzynową. Wszystko wyglądało normalnie, musiałem zaufać instynktowi. Właściciele małych warsztatów naprawiają trefne samochody, nie płacą podatków i zatrudniają ludzi na czarno. Nie po drodze im z policją. Ale każdy może spanikować, nawet ktoś taki, jak on.

Wytarłem dokładnie pistolet i założyłem rękawiczki. Wyrzuciłem go do wody, przejeżdżając obok zarośniętego kanału. Nie przekraczałem

dozwolonej prędkości i wysłuchałem z uwagą prognozy pogody. Byłem gotów na podróż do Piekła.

* * *

Godzinę później dyszałem z symulowanego zmęczenia. Usiadłem za kółkiem i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Chudy młodzieniec klepnął w bok samochodu.

– Dobra, możecie jechać. – Uśmiechnął się do dziewczyny, która wyglądała przez okno. – Uważaj na siebie, Julia.

Pomachała mu na pożegnanie i ruszyliśmy, zapakowani pod sam sufit kartonami z odzieżą. Byłem pewien, że załadunek nigdy się nie skończy. Do obozu miały trafić tony obuwia i ubrań, ale zdaniem pracowników fundacji stanowiło to kroplę w morzu potrzeb. Siedząca pośrodku pani Brandt kartkowała dokumentację transportu, cmokając z dezaprobatą nad połową kwitów. Śmierdziało perfumami i jej piżmowym potem.

Jechaliśmy w stronę obwodnicy, oklejeni banerami, na których ludzie wychodzili ze słonecznej kuli. Artystyczne przedstawienie portalu miało przyciągać uwagę i budzić pozytywne skojarzenia. Pani Brandt była jednak w paskudnym nastroju.

– Dlaczego mamy tak mało kłapek kąpielowych?

– Tylko tyle udało się pozyskać od darczyńcy – wyjaśniła Julia.

– Siedemdziesiąt dwie pary?! Przecież ci biedacy nie powinni chodzić boso w miejskiej łaźni, bo nabawią się grzybiczy. Ludzie są naprawdę skąpi.

Słuchałem podobnych dialogów. Dziewczyna broniła producentów, którzy działali w zamkniętej strefie. Nie mieli dostępu do potrzebnych materiałów, a mimo wszystko przekazywali część towaru organizacjom charytatywnym. Wszystko wyglądało inaczej z perspektywy starszej pasażerki. Ludzie byli podli i za bardzo pochłonięci zarabianiem pieniędzy, by okazać serce innym. Uspakajali swoje sumienie „czymkolwiek”. Ten spór, że się tak wyrażę, miał czysto akademicki charakter.

Minęliśmy bazę wolontariuszy, o której wspomniała agentka Hart, i stanęliśmy przed bramą D. Getto otaczał trzymetrowy mur zwieńczony kłębami drutu kolczastego. W okolicy wjazdu kręciło się kilkudziesięciu policjantów, ochroniarzy i żołnierzy z długą bronią. Transporter

opancerzony przycupnął jak nosorożec. Nie pasowało to do naszych banerów i przywodziło na myśl raczej walki w okupowanym mieście.

Kontrola trwała kilka minut. Krótkie spojrzenie w dokumenty, potem na tył samochodu, i strażnicy otworzyli metalowe wrota. Zdziwiłem się, że nie towarzyszy nam żaden pojazd, ale szybko dostałem odpowiedź. Uchodźcy nie tolerowali na swoim terenie uzbrojonych oddziałów, a Ratusz nie chciał ich prowokować.

– Mają własną milicję i sami pilnują porządku – powiedziała pani Brandt, mając na myśli starego jeepa, który pojawił się z boku; przejechaliśmy razem kilka kilometrów.

Im bardziej zagłębialiśmy się w blokowiska Dystryktu Dwunastego, tym bardziej miałem wrażenie, że nikt, a zwłaszcza Mary Engels, nie kontroluje tego terenu. Ta część miasta nigdy nie była obiektem westchnień turystów i nie pozowała do folderów reklamowych. Ale widok spalonych wraków, powybijanych okien w sklepach i mieszkaniach oraz kręcących się wszędzie grupki mężczyzn naprawdę mnie zaskoczył.

Co jakiś czas mijaliśmy starszych ludzi, siedzących na ławkach, albo parę pchającą przed sobą wózek. Dzieciaki szalały na placu zabaw, bardzo rzadki widok w tym miejscu. Wskazałem na nie palcem, robiąc zdziwioną minę.

– Tak, wśród uchodźców jest bardzo niewiele dzieci – potwierdziła Julia.
– Albo droga ucieczki jest tak trudna, albo dorośli stanowią w Piekle zdecydowaną większość. Co ciekawe, staruszków też rejestrujemy niewielu.

– I całe szczęście, bo kto by ich utrzymał na dłuższą metę? – zachnęła się pani Brandt. – Ci ludzie będą pracować kiedyś na nasze świadczenia.

Powiedziała to z taką mocą, jakby naprawdę wierzyła w te słowa. Podjechaliśmy pod budynek szkoły, gdzie zebrał się spory tłum. Mieszkańcy getta zniszczyliby pewnie nasz samochód, gdyby nie strażnicy, którzy okładali ich kijami. Na uzbrojonego mężczyznę mówi się po nibirsku *telal*, co oznacza „wojownik”.

* * *

W szkole znajdowała się placówka fundacji, w której zatrudniano wyłącznie uchodźców. Pod okiem pani Brandt i Julii przenosili kartony, a miejscowe władze skrupulatnie notowały, co znajduje się w każdym z nich. Trzej mężczyźni, stojący wysoko w hierarchii, przypominali egipskich kapłanów. Golili głowy i nosili białe długie szaty, mające się nijak do królujących tutaj dresów, grubych swetrów i kurtek z demobilu.

Uwaga wszystkich skupiła się chwilowo na transporcie, dlatego niezauważony odszedłem na bok. Miałem około godziny, zanim skończy się rozładunek darów. Okrążyłem szkołę i zniknąłem w kolorowym tłumie, kłębowisku ludzi wszystkich ras, spieszących do fundacji lub zajętych swoimi sprawami.

Na głównej alei handlowano jedzeniem i drobiazgami z rozłożonych na chodnikach koców. Słyszałem brzęk rowerowych dzwonek, nawoływania kupców, miarowe uderzenia bębnow i jazgot piszczałek. Zgarbieni mężczyźni pchali wózki z nieokreśloną zawartością, a nad tym wszystkim powiewały kolorowe latawce. Nie miałem pojęcia, skąd się tutaj wzięły. Żeby poruszać się szybciej, skręciłem w boczną uliczkę, gdzie tłok wydawał się mniejszy. Otoczyły mnie stare czynszowe kamienice.

W oknach, podparte na poduszkach, tkwiły znudzone kobiety. Jedne obserwowały przechodniów, inne rozmawiały, a właściwie przekrzykiwały się w rozmaitych językach. Tu i ówdzie wisały sznury z praniem, bulgotały kotły z zupą na benzynowych palnikach, ktoś grzebał wytrwale w stercie śmieci. Mężczyźni siedzieli przy plastikowych stołach, grając w karty, albo popijając piwo. W sportowym stroju nie różniłem się od tego towarzystwa, dlatego nikt mnie nie zaczepiał.

Sytuacja uległa zmianie, kiedy oddaliłem się bardziej od szkoły. Instynkt prowadził mnie do najstarszej części dzielnicy, na ulicę Dorianą. Czułem niemal fizyczne przyciąganie. Tu, wśród opuszczonych zabudowań, gromadziły się grupki młodzieży. Nabuzowani chłopcy, biali, czarni i żółci, odprowadzali mnie wzrokiem, a jedna z band, słuchająca radia, krzyczała coś w moją stronę. Czterech osiłków ruszyło moim śladem, gdy skręciłem w stronę osiedlowych garaży. Szczerze mówiąc, liczyłem na takie spotkanie.

Oparłem się o ścianę budynku i patrzyłem, jak podchodzą z uśmiechem na twarzy. Złym uśmiechem drapieżnika, który wytropił ofiarę. Najmłodszy, chcąc popisać się przed kolegami, zbliżył się i splunął mi pod

nogi. Pozostali stanęli kilka metrów za nim. Okrążyli mnie jak wilki, wyglądali zabawnie.

– A ty co, zgubiłeś się? – zapytał chłopak po gottańsku. – Może ci pomóc?

Obróciłem go, zanim skończył mówić. Chwyciłem za szczękę i skręciłem mu kark. Rozległo się głośne chrupnięcie i łomot upadającego ciała. Reszta zamarła, jakby poraził ich piorun. Gdyby się dobrze przyjrzeć, można było dostrzec dym wypływający z ust i nosa. Przypadkiem przepaliłem im mózgi.

– Jednego odesłałem z powrotem – powiedziałem, wskazując na zwłoki.
– A teraz chcę, żebyście wskazali mi miejsce, gdzie lęgną się te ćwierćinteligentne kurwy. Mam na myśli przywry i inne zwierzęta.

Wszyscy padli na kolana. Najwyższy podniósł głowę i krzyknął piskliwie.

– Wybacz, *ensi*! Nie poznaliśmy cię!

– Mam ochotę nadepnąć na twój łeb i wgnieść go w piach – wycodziłem przez zęby. – Lepiej, żebyś wiedział, dokąd powinienem iść.

– Tam, *ensi*, w podziemnym garażu pod sklepem – zawołał drugi chłopak.

– Tam je znajdziesz, namiestniku. Tylko nie rób nam krzywdy.

Coś zmieniło się we mnie; przez wdrukowaną pamięć przedarły się cienie wspomnień. Pełne cierpienia i lęku, ale również dumy i poczucia władzy. Ci młodociani bandyci, mówiący do mnie *ensi*, wywołali wewnętrzną gorączkę. Nie chciałem ich zabijać, poczułem wyraźnie, że są mi bliscy. Moje ręce powędrowały same w ich stronę. Dotknąłem po kolei opuszczonych głów, wywołując delikatne mrowienie.

Nie bronili się nawet, kiedy odbierałem im pamięć. Podążyli wolno, niczym żywe trupy, tam, skąd niedawno przybyli. Ciało chłopaka ukryłem za wysoką kupą gruzu i poszedłem dalej. Patrzyłem na odrapaną elewację sklepu, zastanawiając się, jaką siłą naukowcy wszczepili jeszcze w moje ciało, do czego jestem zdolny. Szóstym zmysłem odbierałem już obecność drapieznika.

* * *

Stare supermarkety są jak opuszczone kościoły. Pustka wypełniona ciszą.

Na pierwszym poziomie garażu nie znalazłem niczego, poza zniszczonymi samochodami i śmieciami z przewróconych kubłów. Żeby dostać się niżej, obszedłem pogięte sklepowe wózki. Na schodach leżały ludzkie szczątki, obgryzione w kilku miejscach i poszarpane tak, że nie dało się rozpoznać płci ofiary. Dzikie psy albo dzicy mieszkańcy posilali się tutaj niedawno.

Na następnym poziomie poczułem chłód i znajomy odór. Uderzył w nozdrza jak sygnał alarmowy. Trudno go nazwać i porównać z czymkolwiek. Może z palącymi się włosami i nutą anyżu, ale nie jest to właściwe porównanie. Wiedziałem już, że trafiłem dobrze. Mała przywra przemknęła po ścianie i znikła za filarem w pasy. Chłód stawał się coraz wyraźniejszy, a w kącie garażu przelewała się ciemność.

Ludzie z okolicznych domów, a może z całego getta, składali tu ofiary drapieżnikom hodowanym przez demony. Kilka trupów leżało w głębi pomieszczenia, a ich ciała i ubrania rozpuszczały się. Dostrzegłem tłuste krople wiszące w powietrzu, przyciągane przez środek czerni. Z tych kawałków formowała się głowa, wykrzywiona maska *alala* o twarzy starego dziecka. Głowa niszczyciela puchła i gęstniała na wysokości mojej twarzy. Na razie miał zamknięte oczy i obnażał tylko czarne dziąsła. Upiorne niemowlę, pokurczona lalka. Gdyby się obudził, spojrzalbym prosto w otchłań. Podniosłem z posadzki metalowy pręt i wziąłem potężny zamach. Zrobiłem krok w jego kierunku.

Wyczuł moją obecność, bo otworzył czarne usta i wydał z siebie długi pisk. Pękały od niego bębunki i zwykły człowiek upadłby na ziemię z krwawiącymi uszami. Od razu straciłby przytomność. Ja zacisnąłem zęby, zrobiłem jeszcze krok i wbiłem zardzewiałe żelazo prosto w rozdziawioną paszczę. Wtedy rozchylił powieki, a skóra na mojej twarzy zamarzła, zmieniłem się w rzeźbę. Cały świat zadygotał z zimna. *Alal* zapadł się nagle i skonał, zwracając mi wolność. Zawiesina z rozpuszczonych trupów chlusnęła na podłogę.

Zakręciło mi się w głowie. Znalazłem drogę powrotną na zewnątrz i jakimś cudem trafiłem do szkoły. Musiałem odczekać kilka minut, zanim systemy naprawcze połączyły mnie w środku. Kiedy pracownicy fundacji wsiadły do szoferki, odzyskałem władzę w rękach. Wyjeżdżaliśmy z getta w milczeniu, nie licząc narzekań pani Brandt.

Wysadziłem kobiety w Śródmieściu i udałem się do domu. Nikt nie znalazł jeszcze trupa Kerstin Lahm, jej drzwi nie ozdabiała policyjna taśma. Wszedłem do swojego mieszkania, odbiłem się od ściany i upadłem na sofę w salonie. Zdążyłem wysłać Annie wiadomość, że wróciłem z getta, z bardzo dalekiej podróży. I zamarłem na kilka godzin. W moich snach portal pęczniał niczym łeb *alala* i pochłaniał po kawałku cały świat.

Dzień szósty

Odzyskałem przytomność kilka minut po północy. Dalej czułem chłód, jak po przebudzeniu w szpitalnej sali. Niszczyciel pożarł znaczną część energii, albo ogniwo w moim sercu wyczerpywało się naturalnie. Nie mogłem po prostu wstać i zacząć działać. Zasnąłem na godzinę, odczekałem chwilę po przebudzeniu.

Wyciągnąłem ze skrytki plastik i elementy zapalnika, podzieliłem masę na dwie nierówne części i uformowałem z niej podłużne kształty. Wsunąłem oba wałki do papierowych tub, które znalazłem w gabinecie Grassa. Rozłożyłem elektronikę na stole i zlutowałem kable z zapalnikiem. W obu bombach zamontowałem odbiorniki radiowe firmy Void Works. Czułe i niezawodne.

Potem przyszła kolej na dodatkowe elementy: maskowanie, metalowe śruby i gwoździe, które przyniosłem z garażu. Zapakowałem większą bombę w pudełko, wypełniłem je śmiercionośnym śmieciem i owinąłem taśmą. Całość wsunąłem do starej koszuli i zawiązałem rękawy. Z materiału wystawał tylko krótki fragment anteny.

Mniejszy ładunek nie wymagał takich zabiegów. Wystarczyło przygotować odpowiednie mocowanie, aby w razie potrzeby dał się przyczepić do metalu. Służył do tego kawałek magnesu przytwierdzony taśmą. Zakleiliśmy oba końce tuby, wypróbowałem magnes, używając drzwi lodówki, i skończyłem pierwszy etap pracy.

Przyszła kolej na karabin Hecklera. Sprawdziłem zamek, wyczyściłem lunetę, napełniłem magazynek nabojami. Pociski błyszczały w świetle lampy. Kilkucentymetrowe łuski dawały dużą prędkość początkową, a miękkie czubki spłaszczwały się, rozrywając organy wewnętrzne.

Wystarczyło trafić w korpus, nie musiałem celować w głowę. Stuprocentowa skuteczność, pełen komfort strzelca.

Wszedłem do miejskiego Intranetu i włączyłem podgląd ulicy Muska. Prześledziłem okolicę Ratusza, kawałek po kawałku. Nie znalazłem lepszego miejsca od tego, które wytypowałem poprzedniego dnia. Na stronie administracji wisiała data przemówienia pani burmistrz. Oficjalna informacja potwierdzała niedzielne południe; w agendzie znalazło się również wystąpienie Mortena Jenaka i wiceburmistrz Ye-jin Son.

Rozłożyłem karabin i zapakowałem wszystko do podróźnej torby na kółkach. Wziąłem prysznic, założyłem koszulę i nowy garnitur. Przesiedziałem w fotelu do ósmej, szlifując w myślach ostatnie szczegóły. Zabrałem torbę i plecak, i pojechałem na tyły hotelu De Wilde. O ósmej czterdzieści pięć stanąłem przed wejściem i wmieszałem się w grupę dziennikarzy w hotelowym lobby. Anna odebrała mnie na dole, nikt nie zwrócił na nas uwagi.

* * *

Przytuliła się do mnie w windzie. Zrobiła to naprawdę, a nie po to, by stworzyć pozory. Przywra wyssała z niej odwagę. Czuła się zagubiona, siedząc samotnie w hotelu.

- Wyglądasz dobrze w garniturze, John – stwierdziła w pokoju.
 - Dziękuję, agentko Hart.
 - Opowiedz mi teraz wszystko. Martwiłam się, czy wrócisz z getta. Nie wiedziałam, co mam robić dalej. Mówiłam ci, że ukrywanie prawdy jest nie fair.
 - Cała sytuacja z uchodźcami jest nie fair – powiedziałem, idąc do łazienki; zastanawiałem się, czy wytrzyma stres inie popełni błędu.
- Zmieniłem ubranie, odwiesiłem garnitur do szafy i przysunąłem biurko do okna, bokiem do parapetu. Przykryłem blat cienkim kocem. Położyłem się na brzuchu i spojrzałem w kierunku Ratusza. Widok na główne wejście był prawie idealny.

– Jutro o dwunastej zastrzelę Mary Engels i jej najbliższych współpracowników. Publiczne konferencje odbywają się na tych schodach.

– Wskazałem budynek. – Będiesz wtedy czekać na mnie w samochodzie na alei Słonecznej.

– John, ty naprawdę chcesz to zrobić.– Spojrzała mi głęboko w oczy. – Myślisz, że zdołamy uciec z tego kotła?

– To bardzo prawdopodobne.

Nadszedł czas, by powiedzieć jej o najważniejszych rzeczach.

* * *

Nie wspomniałem o swoim pochodzeniu i inżynierach medycznych. Tego Anna nie musiała wiedzieć, wystarczyła oficjalna historia. Zacząłem od kontroli na granicy, ulicznych obserwacji i rozmów z mieszkańcami. Opisałem wizytę u Naczelnika Wydziału Informacji. Powiedziałem nawet o przeglądzie gazet, Intranetu i telewizji oraz o cenzurze danych dotyczących przestępstw. Zabójstwa i kanibalizm nie wydawały się wcale rzadkością.

Trzeba przyznać, że dziewczyna potrafiła słuchać i zadawała krótkie pytania. Interesowały ją detale i schemat działania. Dyskutowaliśmy na temat pochodzenia kurtyny. Próbowaliśmy też zrozumieć, dlaczego władze miasta nie wyłapują uciekinierów w bardziej zorganizowany sposób. Obóz robił duże wrażenie, a do jego pilnowania skierowano połowę sił porządkowych. Ale setki, a może tysiące uciekinierów poza Dystryktem Dwunastym oficjalnie nie stanowiły problemu. Interesowały się nimi co najwyżej organizacje humanitarne i lokalne posterunki policji.

Przeszliśmy do mojej próby nagrania portalu i spotkania z uchodźcami na strychu kamienicy. Ktoś najwyraźniej im pomagał. Nie wierzyłem, by mieszkańcy nie zauważyli obecności intruzów. A przecież znajdowali się dwa kroki od miejsca wybuchu, tuż pod nosem funkcjonariuszy pilnujących ruin Instytutu Capgrasa.

– Przypadki szaleństwa, o których mówił facet w barze, i stan ludzi znalezionych na poddaszu są bardziej niż niepokojące – stwierdziłem. – Wielu przybyszów z portalu może być zarażonych czernią. Mam wrażenie, że tylko od ich kaprysu zależy, czy epidemia rozniesie się dalej.

– Jak myślisz, dlaczego ten starszy mężczyzna się zabił? – zapytała Anna.

– Przeraziła go perspektywa, że zostanie schwytany i trafi do obozu – odpowiedziałem ostrożnie. – Wziął mnie za kogoś w rodzaju hycla. A jego umierający syn nazwał mnie upiorem i mówił wprost o powrocie do więzienia.

– To dziwne.

– Zastanawiam się nad tym od tamtego spotkania. – Pokiwałem głową. – Perspektywa aresztowania była dla nich nieznośna. Woleli umrzeć, niż trafić w miejsce, które kojarzy się z Piekłem.

– Jesteś pewien, że nazwał cię upiorem?

– Chłopak powiedział wyraźnie: *lalartu mu-ĝen*, co oznacza „upiór przyszedł”. A starzec krzyczał do mnie: *ze lalartu-ta*, czyli dosłownie „ty z demona” albo „z ducha”. Podejrzewam, że słowo to oznacza też groźnego człowieka.

– Opowiedz mi o wyprawie do getta – poprosiła.

Nie chciałem mówić o zabitym bandycie i o spotkaniu z *alalem*. Nie potrafiłem przewidzieć jej reakcji. Skupiłem się więc na opisie zniszczeń oraz miejsca, w którym uchodźcy oddawali cześć demonom. Powiedziałem, że składają ofiary z ludzi, a władze Dobrego Miasta nie mają bladego pojęcia, co naprawdę dzieje się w obozie.

– Ja też nie wiedziałam – agentka wydawała się wstrząśnięta – a byłam tam tyle razy! Pozyskałam nawet dwóch informatorów. Dowiedziałam się, jak wygląda hierarchia władzy w getcie: sprawują ją kapłani i dowódcy milicji. Uchodźcy opowiadali mi o Piekłe, ale robili to bardzo niechętnie. To jakby ogromne więzienie, którym zarządzają demony. Nie rozwijali tego wątku i nie było takich pieniędzy, którymi mogłabym ich skusić. Ale o kulcie i ofiarach nie wspomnieli słowem.

– Pułkownik Meyer rozważał zbombardowanie obozu. I może się okazać, że to jedyne słuszne rozwiązanie.

– To byłoby ludobójstwo na niespotykaną skalę. Zginą dziesiątki tysięcy, a nie jesteśmy nawet w stanie wojny. I przyjęliśmy tych ludzi pod swój dach.

– Sęk w tym, że nie wiemy, czy to naprawdę są ludzie.

Naszą rozmowę przerwała informacja o pożarze szalejącym za murami getta.

* * *

Z nieoficjalnych doniesień wynika, że dzisiaj około godziny dziesiątej w Dystrykcie Dwunastym wybuchł pożar, który objął kilkanaście budynków, w tym zamknięty supermarket sieci Revo przy ulicy Dorigana. Policja i Straż Pożarna podejrzewają podpalenie, które może być efektem porachunków grup przestępczych, działających na terenie obozu dla uchodźców. Prawdopodobnie płoną zapasy flogistonu przechowywanego w nielegalnym magazynie.

Reporter stał przed bramą getta, a jego wymuszkana twarz wyrażała głębokie niezrozumienie sytuacji. Równie dobrze mógłby komentować tragiczny pomór bydlą w południowej Rammie.

W rejon zagrożenia wysłano dwadzieścia załóg Straży Pożarnej, eskortowanych przez Policję i oddziały paramilitarne. Konwój natknął się na barykadę na ulicy SETI i został zaatakowany przez agresywne bojówki, wspierane przez miejscową milicję. Doszło do wymiany ognia, w wyniku której zginęło dwóch policjantów, a trzynastu zostało rannych. Straty po stronie uchodźców nie są znane, jednak w wyniku walk służby ratunkowe wycofały się z obozu. Akcja została przerwana.

Władze miasta powołały przed chwilą sztab kryzysowy, pracujący nad rozwiązaniem problemu. Wiceburmistrz Ye-jin Son poinformowała, że w ciągu najbliższej godziny do Dystryktu Dwunastego zostaną skierowani policyjni negocjatorzy, których zadaniem będzie skłonienie mieszkańców do współpracy. Równocześnie rozpoczęto gaszenie pożaru z powietrza. Nad nami krąży właśnie helikopter koordynujący działania specjalistycznych samolotów Straży Pożarnej. O dalszych postępach akcji będziemy informować na bieżąco.

Dla wiadomości DM Channel mówił dla państwa Lukas Field.

– Zaczęło się – powiedziała Anna. – Nie mogą zamieść tego pod dywan.

– Nie mogą. Wiele osób było zaangażowanych w akcję, zginęli policjanci, a łunę z płonących budynków będzie widać wieczorem w promieniu wielu kilometrów. Płomień flogistonu ma charakterystyczną, lekko niebieskawą barwę.

– Ale nie musieli podawać informacji o ataku na konwój. Do tej pory zawsze zamieszczali wzmianki o nieokreślonych „zajściach” w obozie.

– Może to nadgorliwość konkretnego reportera? I tak później to przedstawią w inny sposób. Na koniec okaże się, że policjanci sprowokowali zamieszki, a strzelał ktoś niezrównoważony, od którego odcina się cała społeczność.

Pomyślałem, że ostatnie przemówienie Mary Engels będzie bardzo interesujące, i że wysłucham go przed pociągnięciem za spust. Każda informacja może przydać się wojskowym analitykom. Na podstawie mojego raportu Służba Bezpieczeństwa podejmie decyzję. Meyer podkreślał to kilkakrotnie.

Postanowiłem, że po zamachu pojedziemy w kierunku kurtyny. Zmuszę Annę do przejścia na drugą stronę, i jeśli się uda, dziewczyna przekaze wszystkie informacje, a ja spróbuję zniszczyć portal. Na wszelki wypadek zostawię krótki raport w okolicy przystanku Huelle, w miejscu ustalonym wcześniej z pułkownikiem. Jeśli kurtyna zabije agentkę, opuszczę miasto i przekażę raport osobiście.

* * *

Wczesnym popołudniem Anna zamówiła do pokoju obiad. Wyraźnie zależało jej, żeby upłynął w miłej atmosferze, naradzała się telefonicznie w kwestii menu. Kiedy obsługa hotelowa wchodziła ze skrzypiącym wózkiem, schowałem się w łazience. Zakładałem, z dość wysokim prawdopodobieństwem, że nie wiedzą o moim istnieniu.

Rozmawialiśmy o wielu rzeczach, popijając wino. Dowiedziałem się między innymi, że na specjalnie spreparowanej karcie ID dziewczyna przechowuje listę zarejestrowanych uchodźców. Ściągnęła ją z serwera Ratusza, do którego włamała się już kilka dni po przyjeździe. Lista pochodziła sprzed dwóch miesięcy, ale i tak zawierała około pięćdziesięciu

tysięcy nazwisk. Nie udało się ustalić tożsamości wszystkich uciekinierów; nadawano im wtedy „nazwiska techniczne”.

Anna pokazała zdjęcia i filmy zrobione na terenie obozu oraz na ulicach miasta. Wyświetlała je na ekranie telewizora, dodając do niektórych krótkie komentarze. Musiała mi zaufać, skoro dzieliła się efektami swojej pracy. Miała talent do zbierania informacji i, gdyby nie atak przywry, materiałów byłoby znacznie więcej.

W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że zachowuję się inaczej. Usiadła na łóżku tak blisko, że ocierała się o mój bok przy każdym ruchu. Uśmiechała się, miała lekko zarumienione policzki i rozszerzone źrenice, gdy patrzyła mi oczy. Nie zdjęła z siebie sukienki i peruki, które założyła do obiadu. Kiedy rozpoznałem schemat, postanowiłem pomóc jej pozbyć się stresu. Pocałowałem ją w usta i delikatnie przewróciłem na plecy.

Ściągnąłem z niej bieliznę, rozpiąłem spodnie i wywołałem wzwód. Wszedłem głęboko, uderzając biodrami w pośladki. Natychmiast otoczyła mnie nogami i zaczęliśmy kopulować, przetaczając się po satynowej pościeli. Słuchałem jej oddechu, wychwytywałem wszystkie oznaki, żeby mieć pewność, że osiągnie orgazm. Pod koniec ruchom frykcyjnym należy nadać odpowiednie tempo. Pamiętałem o tym. Zanim wygięła się w łuk z głośnym jękiem, zdrapała ze mnie t-shirt. Skończyłem chwilę później i opadłem ciężko na kołdrę.

Anna oddychała szybko i gładziła mnie po nagiej piersi. Wyszeptała, że było jej dobrze i potrzebowała tego właśnie teraz. Milczeliśmy dłuższą chwilę. Gdy dostrzegła fragment tatuażu, odwróciłem się do niej plecami. Czuję, jak wodzi palcem po skomplikowanym wzorze, roślinach, zwierzętach i ludziach, splecionych w kształt anioła. Jego biała twarz miała dwa srebrne lustra zamiast oczu.

– Widziałam już takie tatuaże – powiedziała dziewczyna. – Teraz rozumiem, dlaczego starzec nazwał cię upiorem, John.

– Powiedz mi. – Gwałtownie usiadłem na łóżku.

– Wszyscy kapłani, którzy rządzą gettem, i niektórzy z dowódców milicji mają taki wzór na plecach. Niemal sami mężczyźni. Pozostali uchodźcy traktują ich z zabobonnym lękiem, ponieważ są kimś w rodzaju zarządców. Informatorzy twierdzili, że ci ludzie zostali namaszczeni w Piekło. Demony dały im władzę, której nie stracili po tej stronie.

– A więc dlatego medycy Salta wymalowali mi to coś na plecach – powiedziałem bardziej do siebie niż do niej.

– Nie, John, ten rysunek wygląda na autentyczny. Jest tylko bogatszy niż inne – stwierdziła drżącym głosem. – Mężczyzna na strychu kamienicy nie mógł go zobaczyć, ale zareagował na twoją aurę. Oni rozpoznają zarządców, kiedy się do nich zbliżą. Ich obecność wywołuje chęć ucieczki lub uległość. – Okryła się kołdrą pod brodę. – Nie mogę w to uwierzyć.

– O czym ty mówisz? – Sięgnąłem do jej torby po kartę ID. – Zaraz to sprawdzimy. Przeszukamy twoją listę uchodźców.

* * *

Podłączyłem kartę do telewizora i wpisałem frazę „John Grass”. Wyszukiwarka nie znalazła żadnego wyniku. To było logiczne, bo w przeciwnym wypadku zostałbym aresztowany natychmiast po przekroczeniu granicy. Tłumaczyłem Annie, że inżynierowie medyczni odwzorowali rysunek, żeby zabezpieczyć mnie w getcie. To musiało temu służyć, nie wykonaliby takiej pracy na darmo. Ale nie przekonałem dziewczyny.

Zapytała, czy kiedy miałem kontakt z uchodźcami, zachowywali się normalnie. Czy ktoś, oprócz tych biedaków na poddaszu, nie przejawiał strachu w mojej obecności? Przypomniałem sobie parę uciekinierów w wagoniku metra i ich rosnący niepokój. A na deser, gdybym odczuwał niedosyt, miałem jeszcze trzech chłopaków w getcie, leżących na ziemi i zwracających się do mnie *ensi*, czyli „namiestniku”.

Zaprzeciżyłem bez wysiłku. Ale przez głowę przebiegła mi myśl, że odebrałem im pamięć, nie mocami syntetycznego człowieka, tylko władzą, którą otrzymałem od demonów. To dlatego tak bardzo przyciągał mnie zniszczony supermarket, i dlatego czułem absolutną pewność, że nie zarażę się szaleństwem. Jako *ensi* mogłem dostrzec przywrę na twarzy agentki i przetrwać spotkanie z niszczycielem.

Tak naprawdę, nie miałem pojęcia, kim jestem.

– Anno, mamy zadanie do wykonania – powiedziałem spokojnie. – Proszę cię teraz, żebyś się ubrała i zniosła ten pakunek do pojemnika na odzież, który znajduje się na skwerze, naprzeciwko Ratusza.

Wyjąłem większą bombę, owiniętą w błękitną koszulę, i położyłem na biurku. Miała rozmiar pudełka na buty i nie wyglądała groźnie. Agentka nie zapytała, co jest w środku. Poprosiła tylko, żebym się odwrócił, naciągnęła sukienkę i ostrożnie ujęła bombę w obie dłonie. Zauważyłem wahanie na twarzy.

– Bez obaw. Jest niewrażliwa na wstrząsy.

– Kogo chcesz zabić w ten sposób?

– To nasza przepustka na zewnątrz. Wybuch wywoła panikę w tłumie zgromadzonym przed budynkiem i nikt nie zwróci uwagi na okno. A jeśli nawet, nie dostanie się do hotelu.

Dziewczyna wyszła bez słowa. Słyszałem tylko, jak przywołuje windę i zjeżdża na parter. Mechanizm dźwigu pracował odrobinę za głośno jak na czterogwiazdkowy hotel. Ale De Wilde miał już swoje lata i odpowiednią renomę.

Patrzyłem potem przez okno na drobną postać z błękitnym zawiniątkiem, która idzie wolno w kierunku pojemnika, otwiera ciężką klapę i wkłada ładunek do środka. Miała szansę, by uciec ode mnie albo zawiadomić władze, ale nie wykorzystała jej. Wróciła po kilku minutach i usiadła w fotelu z nieobecny wyrazem twarzy. Poczulem chłód, który znowu zżerał mnie od środka. Teraz to ja musiałem jej zaufać.

Powiedziałem, że nie spałem całą noc, przygotowując się do zamachu. Potrzebowałem kilku godzin snu i jej czujności na wypadek, gdyby ktoś postanowił tu zajrzeć. Bez wahania podniosła słuchawkę i odwołała jutrzejszy *room service*. Powiedziała, że będzie pracować do późna, a potem zamierza się wyspać. Wywiesiła odpowiednią plakietkę na drzwiach. Zadbła o to, żebym spokojnie zanurzył się w nicość. Zgasłem z uczuciem ulgi.

* * *

Obudziło mnie światło. Ciężkie zasłony były zaciągnięte, ale Anna włączyła wszystkie lampy w pokoju. Siedziała nieruchomo w skórzanym fotelu, trzymając w dłoniach mój karabin. Złożony Heckler, z nakręconym tłumikiem, gotowy do strzału. Dobra broń. Nie zamontowała jedynie lunety, ale nie potrzebowała jej. Dzieliło nas zaledwie kilka metrów.

Wycelowała w moją stronę, kiedy uniosłem się na łóżku. Usiadłem powoli, bez gwałtownych ruchów i spojrzałem jej w twarz. Szukałem czegoś, co pozwoli mi przejąć kontrolę. Zmierzyłem wzrokiem wszystkie odległości. Spojrzałem na zegarek, dochodziła dwudziesta. Byłem ciekaw, ile godzin czekała, aż się zbudzę. Mogła trochę zeszywnieć od siedzenia w tej samej pozycji.

– Co chcesz zrobić? – zapytałem.

– Myślałam o tym bardzo długo – powiedziała zachrypniętym głosem. – Nie mogę ci pozwolić, żebyś zdetonował bombę. Zabijesz mnóstwo niewinnych osób tylko po to, żebyśmy mogli uciec. To jest nieludzkie, John.

– Być może nie jestem człowiekiem. – Uśmiechnąłem się do niej. – Misja jest najważniejsza, Anno. Jeśli teraz nas złapią, przepadną wszystkie informacje, które zebraliśmy. Twoje poświęcenie i ból zadany przez przywrę tracą sens.

– Nie dbam o to. – Uniosła wyżej lufę karabinu. – Masakrowanie niewinnych cywili nie jest moją misją. Jestem zwiadowcą, nie mordercą. Zgodziłam się na zabicie staruszki, bo mogła wydać nas w ręce policji. I rozumiem, że dostałeś rozkaz, by wykonać wyrok na władzach miasta. Ale nie mogę dopuścić do takiej masakry.

– Jeżeli tego nie zrobię, dojdzie do prewencyjnego ataku. Zginą dziesiątki a może setki tysięcy, rozmawialiśmy już o tym.

– Nie wierzę ci, John.

– Portal i wszystko, co się z niego wydostaje, jest śmiertelnym zagrożeniem dla całej ludzkości – kontynuowałem niezrażony. – Nie wiesz, co widziałem w getcie. Mimo całej swojej wiedzy, nie rozumiesz sytuacji. Jeśli nie zmusimy Dobrego Miasta do szybkiej kapitulacji, dojdzie do tragedii, o jakiej ci się nie śniło.

– Musimy znaleźć inny sposób! Wydostaniemy się stąd po cichu, przekazemy raport Meyerowi, a potem wrócisz i zabijesz Mary Engels. Zrobisz to, co będziesz musiał. A ja wrócę razem z tobą.

– Nie ma innego sposobu. – Mówiłem do niej, przesuwając dłonią po nogawce spodni, aż dotarła do noża na kostce. – Rozważyłem rano wszystkie opcje. Inne warianty są obciążone większym ryzykiem porażki.

– Wymyślę coś, daj mi tylko trochę czasu.

– Przykro mi, Anno.

Gwałtowny zamach i świst. Rzuciłem nożem, gdy na moment opuściła lufę karabinu. Ostrze wbiło się w pierś, ugrzęzło w okolicy serca. Nie zdążyła wystrzelić. Nie zdążyła krzyknąć. Upuściła broń na podłogę i chwyciła się za ranę, wokół której wykwitła plama krwi. Poruszyła bezgłośnie ustami i miękko opadła na fotel. Podbiegłem do niej i przeniosłem ciało do wanny, żeby nie zaplamić całego pokoju. Ktoś z obsługi mógł tu jednak wejść.

Sprawdziłem, czy karabin jest cały, zamocowałem lunetę i schowałem broń pod łóżkiem. Czułem bezbrzeżne zmęczenie. Miałem przed sobą całą noc, by napisać raport, zdrzemnąć się i przemyśleć kroki po ucieczce z hotelu. Chłód nie opuszczał mnie ani na chwilę, musiałem do niego przywyknąć. I nie myśleć o tym, kim jestem.

Teraz, gdy zabrakło Anny, nie miało to żadnego znaczenia.

Dzień siódmy

W porannym programie EKO1 spiker odczytał wiadomość z ostatniej chwili: *Szanowni Państwo, ze względu na pogłębiający się kryzys w Dystrykcie Dwunastym dzisiejsze spotkanie władz miasta z mieszkańcami odbędzie się wcześniej niż zaplanowano. Zgodnie z informacją przekazaną właśnie przez Ratusz, konferencja rozpocznie się o godzinie dziesiątej.*

Minęła ósma, miałem jeszcze sporo czasu na przygotowania.

Raport spoczywał bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni marynarki. Ubrałem się w garnitur, żeby w chwili ucieczki budzić większe zaufanie. Pokonanie murku na tyłach hotelu nie powinno stanowić problemu. Na wszelki wypadek zszedłem schodami na parter i przyjrzałem się wyjściu ewakuacyjnemu oraz zapleczu De Wilde. Nacisnąłem poziomą listwę na drzwiach, ustąpiły delikatnie. Jeśli nawet ich otwarcie uruchomi alarm, zniknie on w ogólnym zamieszaniu.

Wróciłem do pokoju, by obserwować przygotowania przed Ratuszem. Obsługa techniczna ustawiła na podeście, mniej więcej w połowie schodów, prezydialny stół, przykryty granatowym suknem. Pojawiły się za nim rzędy krzeseł, zainstalowano mikrofony, głośniki i telebim po prawej stronie. Na dole i z boku rozkładały się ekipy telewizyjne. Podejrzewałem, że

również najbardziej znani vlogerzy. Strefa mediów została wydzielona metalowymi barierkami; za ogrodzeniem powoli zbierali się ludzie.

Na razie przystawali na chwilę. Przyglądali się pracom techników, obsadzaniu w stojakach flag Slavii i Dobrego Miasta, i tym podobnym czynnościom. Potem całe rodziny przemieszczały się dalej, aby pójść do pobliskiego centrum handlowego albo do lodziarni Violina. Ale z upływem czasu tłum gęstniał i rozlewał się, zwłaszcza, gdy na ekranie wyświetlono informację, że przemówienie – zgodnie z porannym komunikatem – rozpocznie się punktualnie o dziesiątej. Ktoś krzyczał głośno, ale nie rozumiałem słów.

O dziewiątej pięćdziesiąt uchyliłem okno, przyciągnąłem biurko do parapetu i przykryłem je kocem. Wydobyłem spod łóżka karabin, położyłem się wygodnie i odsłoniłem lunetę. Pierwsza przymiarka. Odrobinę zwiększyłem szparę w oknie i przesunąłem mebel o kilka centymetrów, aby mieć lepszy przegląd sytuacji. Przez okular widziałem wyraźnie cały stół i miejsca siedzące.

Zająłem pozycję. W zasięgu ręki leżał detonator i telewizyjny pilot. Zapadłem w odrętwienie i czekałem cierpliwie, obserwując gęstniejący tłum. Policja odgrodziła część ulicy Muska gęstym kordonem. Patrole krążyły wśród ściśniętych ludzi. Na schodach pojawiły się pierwsze osoby, łoża honorowa zapełniała się.

Z bocznego wejścia wychynął Morten Jenak i zajął miejsce w pierwszym rzędzie. Tuż obok usiadła wiceburmistrz Ye-jin Son, dalej szef policji, Kurt Semen, naczelnik wydziału ludności, Laura Piaci oraz skarbnik Ratusza, Luis Kalt. Zidentyfikowałem ich na podstawie wdrukowanych obrazów, każdemu poświęcając krótkie spojrzenie lunety.

Krzesło po lewej stronie Jenaka pozostało puste. Dalej siedzieli członkowie Rady Miasta: Marko Rawic, Elisa Novis, Georg Anselen i przewodnicząca Rady, a zarazem członek zarządu firmy FoodArt, Roberta Nemi. Na trzy minuty przed planowanym rozpoczęciem spotkania nadal nie widziałem Mary Engels. Krzesło pośrodku czekało.

Rozległo się pukanie do drzwi.

* * *

Zamarłem. Pukanie powtórzyło się.

– Pani Hart, obsługa hotelu. Ze względów bezpieczeństwa prosimy o zamknięcie okna do końca konferencji. To standardowa procedura.

Przykleiłem się do ściany w rogu pokoju i wycelowałem broń w stronę głosu.

– Halo, jest tam pani? – Usłyszałem piknięcie karty przykładanej do czytnika. – Przepraszam za kłopot, ale muszę wejść i zamknąć okno.

Drzwi uchyliły się do połowy. Mężczyzna w brązowej koszuli wszedł do środka, zrobił kilka kroków i stanął jak wryty, widząc przestawione biurko. Potem spojrział w moją stronę. Strzeliłem mu pierś, a siła pocisku rzuciła ciałem na zasłane łóżko.

Natychmiast zatrzasnąłem drzwi, włączyłem cicho telewizor i zająłem pozycję. Przy mikrofonie stała już wiceburmistrz i zaczynała przemówienie. Tłum zgromadzony przed budynkiem buczał i gwizdał, atmosfera była napięta. Ktoś wyciągnął transparent. W stronę schodów poleciały butelki z wodą, co natychmiast spowodowało reakcję policji. Ludzie zafalowali lekko w tym miejscu.

Szanowni państwo, proszę o spokój. Bardzo proszę o spokój! – powtarzała Ye-jin Son. – Pani burmistrz nie mogła stawić się na dzisiejszej konferencji z powodu złego stanu zdrowia. Zapewniam państwa, że spotka się z wami tak szybko, jak to możliwe. Pozwólcie mi opowiedzieć o działaniach związanych z pożarem w obozie dla uchodźców. Z radością chcę was zawiadomić, że zamieszki ustały, a akcja gaśnicza jest kontynuowana...

Musiałem działać natychmiast. Wycelowałem dokładnie.

Trafiłem ją w splot słoneczny. Kobieta runęła do tyłu, wprost na Mortena Jenaka. Następny pocisk rozwalił mu czoło. Przesunąłem lunetę na komendanta policji, który jako pierwszy poderwał się do góry. Dostał w okolicę serca. Teraz musiałem podjąć decyzję. Oddałem strzał do przewodniczącej Rady Miasta, która próbowała ukryć się za stołem. Kula rozerwała jej policzek. Potem chybiłem, strzelając do Marko Rawica. Trafiłem kogoś w drugim rzędzie. Poprawka okazała się celna i uciekający radny dostał w prawą łopatkę. Nie miałem czasu na więcej.

Wziąłem do ręki detonator i odbezpieczyłem go. Wyciągnąłem antenę. Potem nacisnąłem biały guzik na skrzynce. Potężna eksplozja rozerwała kontener na ubrania, siejąc żelastwem wśród zgromadzonych ludzi. W tym miejscu w tłumie powstała wielka wyrwa, a ciała kładły się, jak wysokie trawy przygięte wichurą. Na dole zapanował istny Armagedon. Usłyszałem wrzask, a ludzie tratowali się nawzajem. Zawyły samochodowe alarmy.

Wybiegłem na korytarz. Dwa pokoje dalej ktoś uchylił drzwi. Uderzyłem mężczyznę pięścią w twarz i pognałem przed siebie w kierunku schodów ewakuacyjnych. Biegłem szybko, chwytając się poręczy, a moje nogi unosiły się w powietrzu na zakrętach. Brałem po dwa stopnie. Przy drzwiach na dole zobaczyłem pracownika ochrony, który próbował je zamknąć. Dźgnąłem go nożem w brzuch i wybiegłem na zewnątrz. Pognałem między zaparkowanymi autami i jednym susem pokonałem dwumetrowy mur.

Zeskoczyłem na blaszany dach komórki. Na podwórku grupka dzieci przerwała grę w piłkę i patrzyła z rozdziawionymi buziami w stronę hotelu. Starszy mężczyzna przy trzepaku na mój widok odłożył butelkę piwa na ziemię.

– Panie, co się stało? – zapytał, a papieros zadrżał w kąciku jego ust.

– Ktoś zaatakował Ratusz! – krzyknąłem. – Wybuchła bomba. Uciekajcie stąd!

Pobiegłem do bramy i w jasnym prześwicie zobaczyłem pędzący na sygnale radiowóz. Nie zatrzymał się, pojechał dalej w kierunku miejsca ataku. Kiedy znalazłem się na ulicy, zwolniłem kroku, przeszedłem kilkadziesiąt metrów do oklejonego banerami huawei. Wskoczyłem do szoferki, ściągnąłem marynarkę i założyłem czapkę z logo fundacji. Silnik odpalił za drugim razem. Skręciłem w pierwszą ulicę w lewo, aby jak najbardziej oddalić się od hotelu. Po kilku minutach zacząłem wierzyć, że mi się udało.

* * *

Podjechałem do niewielkiej stacji wymiany butli gazowych. Zaaferowany chłopak w ogrodniczkach wybiegł na plac, mocno gestykułując.

– Słyszał pan, co się stało?

– Co takiego? – Nadałem twarzy wyraz zdziwienia.

– Zamach! – krzyknął podekscytowany sprzedawca. – Zamach przed Ratuszem. Idzie na obu kanałach na żywo. Chce pan zobaczyć?

Poprosiłem o sprzedaż trzydziestu pełnych butli. Musiałem zawieźć je szybko do obozu, bo uchodźcy w Dystrykcie Dwunastym uszkodzili gazociąg. Chłopak nie do końca rozumiał, co do niego mówię. Nie musiałem rozwijać opowieści. Zaciągnął mnie do małej kanciapy, żeby pokazać dantejskie sceny rozgrywające się na ulicy Muska. Obejrzałem uprzejmie kawałek transmisji, zapłaciłem mu i odjechałem. Bardzo starałem się nie spieszyć.

Jadąc na plac Ewolucji, nadłożyłem drogi, żeby zahaczyć o stację metra Huelle. Niedaleko podziemnego przejścia stał zabytkowy dom z zapuszczonym ogrodem. Podobno nikt tam nie mieszkał od lat, ale na furtce wisiała nadal rdzewiejąca skrzynka na listy. Wrzuciłem do niej raport w wodoodpornej kopercie. Zrobiłem już prawie wszystko.

Wyjąłem ze skrytki w szoferce mniejszą bombę i zajrzałem na tył samochodu. Przyczepiłem ładunek do jednej z butli gazowych, odbezpieczyłem go i dokładnie zamknąłem drzwi. Wybrałem mało uczęszczaną drogę, prowadzącą w stronę centrum, i około jedenastej znalazłem się na obrzeżach Dystryktu Trzeciego. Minęło mnie co najmniej trzydzieści radiowozów, zastępów straży pożarnej i karet pogotowia. Wszystkie wyły, robiąc niezłe zamieszanie na drodze. Ale posuwałem się do przodu.

Dotarłem do znaku zakazu. Żadne pojazdy, z wyjątkiem służb miejskich, nie miały wstępu na plac Ewolucji. Stałem przy wylocie jednej z ulic, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Większa część oddziału pilnującego metalowej bramy została wezwana na pomoc do Ratusza. Dostępu do portalu broniło tylko kilku ludzi. Ostatni wojskowy samochód śmignął obok mnie, kiedy zegar na wschodniej wieży wskazywał kwadrans po jedenastej.

Musiałem zużyć resztę energii, spłonąć całkiem podczas ucieczki, bo uderzyła we mnie fala wściekłego zimna. Szczekałem zębami, a moje ręce drżały, kiedy przykładałem lornetkę do oczu. Trudno było skupić się na obrazie. Cieszyłem się, że słabość przyszła teraz, a nie godzinę wcześniej. Ale żeby skończyć misję, musiałem wytrzymać jeszcze trochę.

* * *

Zauważyłem brak transportera. Nie zastawiał już wjazdu do strefy wokół instytutu. Jediną przeszkodą były ciężkie wrota oraz pięciu albo sześciu strażników. Pomyślałem, że mogę spróbować. Rozpędzę się samochodem i uderzę z całej siły w bramę, która może nie jest tak solidna, na jaką wygląda. Ale żołnierze otworzą ogień, kalkulowałem w myślach. Nawet, jeśli kula ominie szoferkę, trafi pewnie w jedną z butli i wybuch nastąpi za wcześnie. Znajdowałem się w patowej sytuacji, potrzebowałem pomocy.

Na dodatek zamarłem na kość. Trząsałem się cały, prawie wyłem z chłodu. Wielki mróz mnie wchłaniał. Jego lodowate szpony w moim sercu. Strumyki białej lawy, tak kurewsko zimne, że wypalały tatuaż na plecach. Rozpadałem się, konałem o krok od celu. Musiałem się szybko ogrzać. Natychmiast iść na polowanie.

Jak lunatyk wytoczyłem się z szoferki i wszedłem w boczną uliczkę. Plac otaczały stare zaułki i podwórka, gdzie mieszkała jeszcze większa biedota, niż we frontowych kamienicach. Szedłem, potykając się o własne nogi i wciągając w nozdrza tłuste wiązanki zapachów. Na tyłach taniej piwiarni wyczułem ostrą woń uryny. Świeżą woń. Barczysty mężczyzna, pijany w sztok mimo wczesnej pory, właśnie zapinał rozporek.

Był sam.

Resztką sił podbiegłem do niego i skoczyłem na szerokie plecy. Przewróciliśmy się razem, grzmotnęliśmy o plastikowe kubły na śmieci, z których wysypały się odpadki. Musiał wytrzeźwieć ze strachu, bo zaczął szarpać się niespodziewanie mocno, kiedy wgryzałem się w kark. Słodycz mięsa i krwi była niewypowiedziana.

– Zajebię cię, kurwo – dyszał pod moim ciężarem. – Zajebię!

– Milcz, wieprzu – powiedziałem ustami czerwonymi od jego posoki.

Próbował strącić mnie z pleców, ale z każdym kęsem ciepłego mięsa odyskiwałem siły, a on słabł coraz bardziej. Wcisnąłem jego twarz w błotnistą ziemię i udusiłem sukinsyna. Mogłem żreć bez opamiętania i robiłbym to pewnie – objadał trupa z tłuszczu i mięśni, aż do żywej kości – gdyby nie wrzask, który rozległ się z któregoś z okien.

– O, Boże przenajświętszy! Tam, Kosma, tam popatrz!

Czmychnąłem przez ciemny prześwit pomiędzy kamienicami i wpełzłem pod wrak samochodu. Zardzewiały ford, pamiętający jeszcze czasy, gdy samochody naprawiali mechanicy a nie elektrycy, stał na nóżkach z cegieł. Pod nim walały się śmieci i zeschnięte liście, które zapędził tu wiatr. Zagrzebałem się w śmierdzącym posłaniu i poczułem ulgę. Krew krążyła szybciej, obmywając wnętrze miłym ciepłem. Zapadłem w głęboki sen.

* * *

Było już ciemno, kiedy otworzyłem oczy. Usłyszałem kroki nad sobą. Ktoś podszedł do samochodu i zajrzał do mojej kryjówki.

– *Ensi*? Namiestniku, słyszysz mnie?

– Słyszę, *šeš*. Jak mnie znalazłeś?

– Dzieci wyczuły twoją aurę, panie. Usłyszały wołanie o pomoc, ale czekałem do nocy. Mieszkamy tutaj, nieopodal, w opuszczonej piwnicy.– Zakasłał i splunął flegmą. – Dobrzy ludzie pozwalają nam żyć.

– Zabierz mnie stąd.

– Chodź ze mną, *ensi*. Zaprowadzę cię w bezpieczne miejsce, żebyś mógł się obmyć. Dla nas to zaszczyt, panie. Dzieci mówią, że ty jesteś *lugal*.

Sam dźwięk tego słowa porażał jak prąd. Wypelzając spod starego samochodu, znów poczułem dreszcze. Lecz tym razem inne, dreszcze podniecenia. Z mojej pamięci opadł kawałek zasłony, gęstej jak smoła ze świętego miasta Nippur.

Lugal znaczy „wielki człowiek”, pierwszy spośród namiestników. Przypomniałem sobie, że byłem kimś więcej, niż tylko sztucznym człowiekiem. Wyprowadziłem braci z niewoli, aby samemu stać się niewolnikiem w nowym świecie. Pierwszy przekroczyłem portal. Schwymano mnie, torturowano i smażono mi mózg. Wdrukowano fałszywe słowa, kłamliwe obrazy. A ja pozwalałem na wszystko wiedząc, że we właściwym czasie użyję tej wiedzy do własnych celów. Zamknę wrota Piekła przed demonami w ciężkich skafandrach i ich zwierzętami chorymi z nienawiści.

Po wejściu do piwnicy znalazłem osobny kąt i ściągnąłem śmierdzące ubranie. Umyłem się wodą i mydłem w dużej misce, a człowiek, który mnie znalazł, Gottańczyk o imieniu Jens, donosił wrzątek w blaszanym czajniku. Miał żonę i troje dzieci, ale bał się obrazić mnie ich obecnością. Nie naciskałem więc, nie chciałem nadużywać gościny.

Przebrany w świeże rzeczy, podziękowałem za pomoc. Upadł na kolana i próbował całować mnie po rękach, ale nie pozwoliłem na to. Powiedziałem mu, że to, co wkrótce zrobię, może być trudne do zrozumienia. Zniszczę portal, który tworzyliśmy z takim trudem. Ale od tego, czy mi się powiedzie, zależy życie wszystkich ludzi po tej stronie.

– Czy jesteś gotów za to zginąć, šeš? – zapytałem.

– Tak panie. – Skinął głową. – Pozwól mi tylko się pożegnać.

– Czekam na ciebie na zewnątrz.

* * *

Przygotowałem z Jensem dwa koktajle mołotowa. Znaleźliśmy butelki po piwie, napełniliśmy je olejem i benzyną ściągniętą z huawei, i zatkaliśmy owiniętymi w folię tamponami, które ofiarowała nam żona. Poczekaliśmy, aż tampony wciągną substancję zapalającą. Granaty były gotowe.

Wręczyłem mężczyźnie zapalniczkę i poinstruowałem, w jaki sposób ma zaatakować posterunek. Po drodze zebrał w siatkę kilka kamieni i odprysków cegieł, a potem ruszył zaułkami, by okrążyć plac Ewolucji i wyjść z drugiej strony, w pobliżu ogrodzenia. Wyglądałem zza rogu, czekając na umówiony znak latarką. Po kilku minutach zobaczyłem błysnięcie w ciemnościach, w okolicy kawiarni, gdzie siedziałem dwa dni wcześniej.

Od tej pory mieliśmy dziesięć minut na przygotowanie. Jens miał znaleźć jakiś murek lub skryć się za kamienną fontanną. Potrzebował miejsca, które da mu schronienie, ale pozwoli dorzucić ładunki do pozycji strażników. Ja uruchomiłem stoper i wsiałem do szoferki. Wyjąłem ze schowka detonator i odbezpieczyłem go. Lampki kontrolne zaświeciły się, więc spokojnie włączyłem silnik. Opuściłem okna, żeby lepiej słyszeć, co dzieje się na zewnątrz. Nieliczni przechodnie nie zwracali na mnie

uwagi. Od Gottańczyka wiedziałem, że do pogryzionego trupa nie wezwano policji; taki zwyczaj wśród prawidłowych ludzi. Spokój na placu Ewolucji wydawał się nienaturalny.

Spojrzałem na zegarek i bez włączania świateł podjechałem do wylotu ulicy. Żołnierze nie powinni mnie zauważyć, a ja obserwowałem ich przez lornetkę. O umówionej godzinie rozległ się łomot kamieni o blachy ogrodzenia. Któryś ze strażników musiał zostać trafiony, bo zaklął głośno. Wokół bramy wszczął się nerwowy ruch.

– Ty jebany skurwysynu! Żartów ci się zachciało? – wrzeszczał jeden z żołnierzy w ciemność. – Zaraz tego pożałujesz.

– Pierdol się! – odkrzyknął Jens po slawińsku.

Zobaczyłem, że kuca za marmurową ławką, kiedy odpalał lont granatu. Płomień oświetlił to miejsce, zwracając uwagę strażników. Wszyscy przesunęli się w prawo i wycelowali broń. A wtedy w ich kierunku poleciał ognisty ładunek i rozbił się na betonowej zaporze. Ochlapał dwóch żołnierzy płonąca substancją. Rozległo się nieludzkie wycie. Jeden ugasił ją po chwili, ale drugi stanął cały w płomieniach. Machając rękami, ruszył na ślepo w stronę zegarowych wież.

Wrzuciłem bieg. Jens podpalił drugi lont. W jego stronę poleciał grad pocisków, ale marmurowa ławka dawała umiarkowaną osłonę. Żołnierze opuścili pozycje i zaczęli biec. Zamachowiec cisnął butelkę w sam środek oddziału, podpalając kolejnego wartownika. Broń zaterkotała na całego. Mój towarzysz skulił się za przeszkodą i rozmyślał pewnie, w którą stronę uciec. Nadeszła moja kolej.

Dodałem gazu. Zmieniłem bieg na wyższy, potem jeszcze raz. Z wyciem silnika, zbliżałem się do bramy. Plac miał kilkaset metrów długości, potrzebowalem kilkunastu sekund, żeby znaleźć się u celu. Żołnierze stanęli na chwilę. Zaskoczył ich obrót sytuacji, dlatego oddali do mnie pierwsze strzały, kiedy pokonałem już połowę drogi. Skurczyłem się w fotelu, wystawiając tylko czubek głowy ponad dolną krawędź szyby. Pociski zadudniły w bok samochodu. Zacisnąłem zęby, czekając aż rozlegnie się wybuch.

A potem poczułem łupnięcie, usłyszałem chrzęst pogiętej blachy i znalazłem się po drugiej stronie ogrodzenia, u wylotu ulicy Dedala. Podniosłem głowę i spojrzałem prosto w twarz ognistego portalu. Kula światła przelewała się majestatycznie nad metalową rampą.

* * *

W mojej głowie rozblęskło wspomnienie:

Czarne niebo usiane gwiazdami, obce niebo daleko od Słońca. Wryte w powietrzu tunele, którymi płyną roztopieni ludzie. Gejzery gorącego złota, jasne krople spadające na lodową skorupę planety. Ciężkie wraży, pracujące bez wytchnienia, by wydobyć dusze z wnętrza ziemi. I kroczący wolno pośród ludzkiej ciżby, zbierającej płynny metal gołymi rękami, strażnicy w białych i czarnych skafandrach.

Wiatr z północy rozwiewa opary, przynosząc zapach tłącego się mięsa. Nieposłuszni i mało gorliwi stają się karmą dla zwierząt. Przeżuwani i wypluwani, w postaci szarej papki trafiają do zbiorników na ciała. Wyłażą stamtąd dziesiątki zmian później, skowycząc z zimna i fantomowych bólów, i próbują ogrzać się przy blasku złota. Umierają i wracają. Deptani, rozcierani na miazgę, rozpuszczani w żołądkach wielkich bąbli, aż zastygną w żółtą galaretę. Zmiana za zmianą, tysiące zmian przechodzących w eony.

Czas biegnie tam inaczej, marszczy się i zapętdla. Czas tutaj stanął i ruszył ponownie.

Ocknąłem się gwałtownie, zadrzałem na całym ciele. Otworzyłem oczy tak szeroko, jakbym chciał wypluć przez nie ohydne obrazy. Rozejrzałem się dokładnie, by ocenić sytuację. Straciłem kilka cennych sekund, od których mogło zależeć tak wiele.

U podnóża rampy znajdował się krótki podjazd, który prowadził do mostu z kratownicy. Koniec rampy prawie dotykał portalu. Pod kulą zamontowano duży podest, na którym lądowali uciekinierzy z Piekła. Z relacji w gazetach wiedziałem, że na początku, zanim wzniesiono budowlę, upadek z kilku metrów często kończył się dla nich kalectwem. Bolesnie witali lepszy świat.

Na widok pękającej bramy i mojego samochodu grupka uchodźców, czekających na transport, rozpierzchnęła się z krzykiem. Trzej strażnicy również rzucili się do ucieczki, pozostawiając broń i elektryczne pałki. Wszyscy pędzili w kierunku ocalałego fragmentu instytutu, aby tam poszukać schronienia. Martwiłem się tylko, czy rampa, przeznaczona dla ludzi, jest wystarczająco szeroka i wytrzymała, bym mógł po niej przejechać.

Z tyłu rozległy się strzały. Dodałem gazu i ruszyłem na spotkanie portalu. Wjechałem na pochylnię, a potem na metalowy most i poczułem ulgę. Moja misja dobiegała końca. Zostało tylko kilka metrów. Chwyciłem w dłoń skrzynkę detonatora i położyłem palec na przycisku. Przód samochodu roztopił się w ognistej kuli. Po chwili otoczyły mnie płomienie. Poczułem zapach śmierci wydzielany przez skafandry demonów i wstrząsnęły mną torsje.

Nacisnąłem guzik, myśląc o tym, że pokrzyżowałem im wszystkie plany. Myśląc o tym, że jestem *lugalem*, który kocha ludzi. Że ochronię to cholerne miasto przed zrównaniem z ziemią, i że mogę wreszcie odpocząć po długiej podróży.

A potem poszedłem do Piekła.

5 czerwca 2016 r.

*Utwór ten dedykuję mojej mamie,
która dziś odeszła na zawsze
i już dowiedziała się, co znajduje się
po drugiej stronie.*

Marek Oramus

PRZEDMURZE

Nie było żadnego spektakularnego wydarzenia, które by pozwoliło określić datę rozpoczęcia inwazji. Jak to możliwe, że nikt nie dostrzegł nadlatujących z kosmosu statków ani nie świadcował ich lądowaniu? A jednak jakimś cudem Obcy znaleźli się na Ziemi, i to od razu w wielkiej liczbie.

Najsampierw pojawili się w miastach, a potem i gdzie indziej, tak że widziało się ich po kilku na poboczach dróg, w pobliżu skrzyżowań i w innych miejscach, gdzie poznikali ludzie. Byli humanoidami, wzrostu dorosłego człowieka, ale trafiali się i mniejsi. Jedni byli wysocy i chudzi, drudzy mali i pękaci, a najmniejsi, których było najwięcej, okazali się dziećmi, o czym wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy. Wszyscy mieli zakryte oblicza, tak że spoglądali na świat spoza zasłon; tłumaczyliśmy sobie, że to ich skafandry, mające chronić przed toksyczną ziemską atmosferą. Z biegiem czasu niektórzy zrzucili hełmy i ukazali twarze – dość odrażające, ale z grubsza podobne do ludzkich. Uwolnili również od skafandrów dzieci, a w pełnych zbrojach pozostawili tylko swoje kobiety, jak je nazwaliśmy, bo to one wydawały na świat potomstwo. Nie używam słowa rodziły, bo nikt nie wiedział, jak to przebiegało, choć nieraz robiły to publicznie, nie przejmując się niczyją obecnością. Kucaly na ziemi, rozpościerały wokół siebie płachty materiału, który je spowijał, tworząc rodzaj jednoosobowego namiotu, po czym kiwając się to w przód, to w tył i na boki produkowały pakunek o długości mniej więcej pół metra. Zawsze otaczała je przy tym obstawa, dwóch albo trzech dorosłych plus dzieciarnia. Jeden z typów odbierał pakunek, zaglądał do środka i oddawał jak zbędny przedmiot, a matka chowała go z powrotem pomiędzy płachty materiału, kiwała się jeszcze przez pewien czas, w końcu likwidowała namiot i wraz z grupką odchodziła do swoich spraw. Odbywało się to przy całkowitym milczeniu z ich strony. Zostawała w tym miejscu mokra plama i woń jakby nafty, ale pomieszanej z jakąś spalenizną – trudno to określić. Cały ten proceder miał według ludzkich miar coś niestosownego w swojej ostentacji. Nawet gdy odbywał się pośrodku tłumu, ludzie ewakuowali się stamtąd jak najszybciej, jakby nie chcieli mieć z tym nic wspólnego.

Tak więc inwazji nie było, pomimo że była. Pamięć o początkowych zdarzeniach zatarta się, nikt już nie wie, czy to się śniło, czy ktoś opowiedział bajkę. Może gdyby od razu doszło do wojny i przelewu krwi, ludziom kojarzyłaby się wyraźna granica: to było wtedy i wtedy. A tak jedna rzeczywistość przeszła płynnie w następną, co z tego, że tak drastycznie odmienną.

Członkowie Okręgowego Koła Miłośników Literatury Papierowej przy Miejskim Domu Kultury zeszli się na cotygodniowym zebraniu. Nikt z nich nie liczył mniej niż 60 wiosen.

– Skąd to wytrzasnęliście? – odezwał się Józek Rembieńko, obszukując kieszenie bezrękawnika. – Nie widział kto mojego Positivum? Mózg mi słabo chodzi, jak nie...

– Mózg ci słabo chodzi od zwapnień i złożeń – przerwał mu Ancyk. Nikt nie wiedział, jak ma na imię. – Trzeba wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy.

– Najpierw by trzeba przyjąć, że w ogóle miałeś mózg, a nie jechałeś na odruchach – wyzłośliwił się Zenek Krajc. – Przyszło stamtąd co zwykle. Złapali to w ulotkach dla wojska, ktoś to doczepił po tamtej stronie. Oryginał był po francusku.

– Jasne – Rembieńko nie przestawał się oklepywać w nadziei, że znajdzie ulubiony specyfik. – Musieli to uznać za ważne... skoro od razu przetłumaczyli. Ile tego jest?

– No jest trochę. Kilkanaście tysięcy.

– Znaków?

– Nie, hektarów.

Rembieńko kiwnął głową.

– Myślicie, że warto to traktować poważnie? Ilu mamy żołnierzy władających francuskim?

– Moim zdaniem to fałszywka – orzekła Gaździna, czyli Janka Dobosz, którą im wtrynęła centrala. Zgodzili się na nią, bo była pracowita – zawsze wszystko miała przeczytane, a czasem i przemyślane. – Mało prawdopodobne, żeby ktoś to podpiął niezależnie. Przecież nie ci, którzy

wysyłają te namiętne wezwania: porzucajcie swą wiarę, przechodźcie pod sztandar proroka.

– Ja bym tego nie wykluczał – odezwał się z kąta Engelbert Grajek ze Śląska. – Co dzień idzie stamtąd tyle juchy... Może wcale nie angażują do tego ludzi.

– I ktoś chytrze z boku podpiąłby to jako załącznik? – Dzikie Wino Hej Dziewczyno już chyba napił się tej swojej malinówki czy innej wiśniówki. – Po co? Jakie głębokodupne treści są tu zawarte? Ja ich w każdym razie nie widzę. Poza tym automatyczny cenzor Kara Mustafy zaraz by wykrył i skasował taki materiał.

– Niekoniecznie. Cenzor nastawiony jest na słowa kluczowe. Jak ich nie widzi, uznaje tekst za neutralny i puszcza.

– Wtedy łapią go nasze serwery i blokują jak leci. Potem wyselekcjonowane perełki trafiają do nas – przeciągnął się Ancyk. – Poszedłby który po piwo. Noga mnie tak napier... – urwał i spojrzał w stronę Gaździny.

– A co tam panie na froncie? – zainteresował się Krajc. – Ktoś coś wie?

– Nie masz radia? – zapytał Ancyk.

– Mam, ale nie słucham. Indoktrynacja maluczkich mnie nie pociąga.

Przez moment panowało milczenie.

– Strzelały EM-ki. Kilka razy – powiedział z niechęcią Rembiello.

EM-ki, czyli działa elektromagnetyczne albo railguny, Polska kupiła od Amerykanów. Tylko dwa, z powodu wysokiej ceny, ale na 500 czy 700 kilometrów frontu na razie to wystarczało. Strzelały rzadko, ale skutecznie, rozbijając obiekty i uzbrojenie Kara Mustafy na odległość do 400 kilometrów. Mając dzięki czasowi wykupionemu na satelitach US Army dobre rozpoznanie można było trzymać Mustafę w szachu. Muslimy szarpali się początkowo, usiłując podtoczyć to czy tamto, ale w końcu dali spokój i ograniczyli się do konwencjonalnej artylerii, która ostrzeliwała głównie były tereny niemieckie, te, które nie weszły w skład kalifatu. Rembiello widział na filmie działa EM w akcji: kawały furkoczącego żelastwa nadlatywały znikąd, rozwalając w drobiazgi czołgi, haubice, pociągi czy całe okręty. Nie było przed nimi ratunku.

– Dlaczego muslimy nie mają własnych EM? – debatował Ancyk. – Jasne, Ameryka im nie sprzeda. Ale mogli chyba coś zmontować własnym sumptem? Czego im brakuje? Prądu? Stali?

– Pomyślunku – rzekł Rembiello. – Historycznie odwykli od tego, że coś robią sami. Wszystko kupowali za ropę, a tu nagle embargo.

– Wyrzutnię może by nawet potrafili zestroić – powiedział Grajek. – Mają jednak problemy z łożem.

– Z czym?

– Tak się nazywają szyny, po których rozpędza się pocisk. Siły i prędkości są tak wielkie, że co parę salw trzeba je wymieniać.

– No to co? – zdziwił się Ancyk. – Wymienia się i po krzyku.

– Takie wymienianie zmniejsza szybkostrzelność. Jak automat kieruje ostrzałem, to czasem potrzebuje paru pocisków, żeby coś zdziałać. Szyny nie mogą zawieść w takim momencie. Muslimy nie mają materiałów... też są objęte embargiem. No i potrzebni są ludzie, którzy się na tym znają.

– Ludzi można kupić.

– Pewnie, że można. Ale podczas wojny sprawa robi się gardłowa. Co z tego, że masz pieniądze, skoro ścigają cię za zdradę albo i zbrodnie wojenne.

– Nie mogą przycisnąć swoich Francuzów albo Niemców? – zastanowił się Dzikie Wino. – Ja bym tak zrobił. Na całym obszarze Francji, Niemiec i północnych Włoch nie znajdzie się tylu fachowców, żeby złożyć z nich ekipę? Nie chce mi się w to wierzyć.

– Jak jest tak jest, coś im wyraźnie przeszkadza. Suro najwyraźniej nie idą w parze z inwencją konstruktorską – podsumował Grajek.

– Wiadomo skąd strzelano?

– Chyba spod Gorzowa. EM-ki zmieniają pozycję, ale nie za bardzo mogą się oddalić od elektrowni. Są jak pies na sznurku. W środku miasta też nie mogą się kamuflować, bo byle nalot, którego nie udałoby się powstrzymać, skazywałby tysiące ludzi na zagładę. Już i tak ludziska narzekają.

– Co chcesz, wojna...

– Panowie – Janka Dobosz wzięła sprawy w swoje ręce. – Wracamy do tematu.

Nazwano ich ewokami.

Przez rok czy dwa ewoki nikomu specjalnie nie przeszkadzali, gnieździł się po śmietnikach, w starych zaułkach i ruinach. Czym się żywili, nikt nie wie. Zauważono tylko, że w pobliżu miejsc ich bytowania drastycznie spadło pogłowie psów i kotów – na psy byli szczególnie zawzięci – a także zwierząt polnych. Czasem spotykało się ich w krzakach, a nawet w lasach, jak leżeli wokół żaru wygasłego ogniska, coś opiekając na kijach. Omijano ich jak nie lubiany, ale konieczny element krajobrazu.

Wyroili się pewnej wiosny, masowo i zdecydowanie. W miastach zajmowali pustostany, dawno nie remontowane, rozsypujące się kamienice, rozlatujące się baraki po budowach, stare, dawno nieczynne fabryki. Chodzili gromadami po głównych ulicach, tamując ruch. Granice państwowe dla nich nie istniały; forsowali je kupami zdeterminowanej czerni. Powstrzymani w jednym miejscu, natychmiast kierowali się gdzie indziej. Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień stali się problemem ogólnoplanetarnym. Byli plemieniem śródlądowym, co nie znaczy, że bali się wody: gdy trzeba było zrobić desant gdzieś, gdzie ich jeszcze nie widziano, pakowali się do skleconych własnym sumptem szalup, na koślawe tratwy, na zlepione z toreb i pęcherzy plastikowych pontony i płynęli zaciekle. Ci, dla których nie starczyło miejsca na jednostkach tej floty, pakowali się do wody wpław, uczepieni burt prowizorycznych pływaków. Rybom nie podobały się ich migracje, protestowały wypływając brzuchami do góry. Na nic się to zdało, ewoki błyskawicznie pożerali rybnie truchła i parli dalej. Całkiem możliwe, że stosowali jakąś sprytną metodę rybołówstwa, którą człowiek w swej głupocie i nieuwadze przegapił.

– Przeludnienie – zaśmiewał się mój dziadek, kiedy jeszcze żył. – Pomyśleć, że był czas, kiedy przejmowaliśmy się przeludnieniem.

Po dwóch czy trzech latach byli dosłownie wszędzie. Władze jak to władze – zastygły w bezmiernym zdumieniu, że ktoś śmie w tej sytuacji coś od nich wymagać. Inicjatywy oddolne z reguły źle się kończyły: jakaś rodzina z Idaho, która odmówiła im wejścia na farmę i z lekka przerzedziła ich szeregi używając strzelb i trutki na szczury, zniknęła z powierzchni ziemi jak zdmuchnięta. Nie tylko nikt nie wiedział, co się z nią stało, ale nawet nie próbował się dowiedzieć. W wielkich miastach pojawiły się całe dzielnice ewockich slumsów, gdzie policja praktycznie

bała się wchodzić. Ci, co się na to odważyli, przeważnie już nie wracali. Zapał kolegów oraz następców, próbujących podążyć ich śladem, szybko malał.

Stopniowo ewoki przenikali coraz głębiej w tkanki miasta – bo zdecydowanie preferowali krajobraz zurbanizowany. Mieszkańcy cofali się pod ich naporem, porzucając dotychczasowe sadyby i uciekając jak przed dżumą. W niektórych miastach, jak Nowy Jork, Berlin czy Kalkuta w ciągu dekady czy półtorej stali się większością. Władze domyślały się, że coś z tym należałoby zrobić, ale nie wiedziały, co. Gra na zwłokę de facto oznaczała oddawanie przybyszom coraz większych obszarów planety.

Krążyło na ich temat coraz więcej legend miejskich, począwszy od tej, że weszli w komitywę ze szczurami. Przede wszystkim włączyli je do swego menu. Jakoż istotnie wysyp szczurów w wielkich aglomeracjach zanikł i coraz trudniej było napotkać egzemplarz tego pocziwego zwierzaka, bezpodstawnie uznanego kiedyś za gatunek inteligentny. Nie widać było, żeby coś produkowali – oprócz samych siebie. Z biegiem czasu jednak zajęli się budownictwem. Wznosili niewysokie budowle w kształcie głowy byka, z krętymi rogami odchodzącymi na wszystkie strony świata. W jaki sposób je spajali, czym wynosili budulec na wysokości – nie widziało się przecież żadnych dźwigów – tego nikt nie wiedział. Korzystali rzecz jasna z tego, co mieli pod ręką: z gruzu, starych cegieł, elementów porzuconych przez człowieka, ze śmieci, wśród których poczesne miejsce zajmował plastik. Czasem widywało się grupki, a nawet duże grupy ewoków, jak dźwigały zdobyczne rury albo siatki, jak z mrówczym uporem przemieszczały się z tym ładunkiem. Wszystko mogło się im przydać, od dziurawych wiader po wraki samochodów czy szczątki łodzi zakopane w mule rzeczonym, które ku podziwowi ludzkich obserwatorów szybko i sprawnie rozbierali.

– Nie ma im co przeszkadzać – mówił z zafrasowaniem ten i ów. – Niech zrobią trochę porządku.

Ich strategia architektoniczna była prosta: wynajdywali opuszczony budynek, rozbierali go do szkieletu, wzmacniali gdzie trzeba dolepiając bryły materii, które trzymały się im tylko znanym sposobem – dopiero po tych wstępnych zabiegach oblepiali szkielet ciemnym rojowiskiem. Nikt się tu nie lenił, nie wychodził na papierosa, nie przerywał pracy

na pogaduchy. Nie było też widać żadnego kierownictwa, jakby każdy z góry wiedział, czego ma dokonać na swoim froncie robót. Ściany rosły błyskawicznie, choć nikt nie dowoził betonu, nie tarasował ulic dojazdowych, niczego nie rozkopywał. Wścibstwo obserwatorów ustępowało po paru dniach, kiedy ściany były gotowe i kompletnie zasłaniały widok. Próbowano podglądać ewoków z helikopterów, na zdjęciach widać było okrągłe elementy, przypominające bebecchy wielkiego młyna, albo jakieś ślimacznice, jakby zjeżdżalnie prowadzące w głąb – póki dach nie zakrył i tego widoku.

Co się tyczy pór roku, suche lato wydawało się ich żywiołem. Jesienne pluchy, porywiste wiatry powodowały spadek ich aktywności, ale nie do zera. W zimie, jeśli była mroźna, nie pokazywali się wcale, chyba że mieliśmy do czynienia z parodiami zim, tak często oglądanymi ostatnio. Za to z wiosną i byle cieplejszym powiewem wyłazili z każdej szpary i energicznie brali się do pracy, przy czym gołym okiem było widać, że znów jest ich więcej.

– Rozmnażają się na byle kupie gnoju – pogadywano z bezsilną niechęcią.

– Mają pod spodem całe podziemne miasta – snuto niczym nie poparte przypuszczenia. – Jest ich tam sto razy tyle co na powierzchni.

– Na każdego z nas przypada ich pięciu albo ośmiu. Gdyby chcieli, pożarliby nas żywcem.

General Zapora wyglądał tak jak się nazywał: szeroki, zwalisty, przyczajony za biurkiem jak na szańcu. Raz po raz popatrywał nieufnie, jakby nie mógł dociec, skąd się znalazł w tym miejscu.

– Nie jestem dobrego zdania o tym utworze. Ma jakiś tytuł?

– „Ecoutez moi”.

– Słuchajcie? To brzmi jak reklama radiowęzła. Coś wiadomo o autorze?

– Nic. Nie podpisał się nawet pseudonimem. Z oczywistych względów.

Na własne potrzeby nazwaliśmy go Gallem Anonimem.

– Ładnie. I ty, Józek, na podstawie tak kruchych przesłanek decydujesz się na tak radykalny krok?

– „Ecoutez moi” nie ma tu nic do rzeczy. Planowaliśmy to z twoimi ludźmi mniej więcej od półtora roku. Mam po tamtej stronie bratanicę. Jak jeszcze było luźniej, dostałem od niej kilka listów, w których pisze, że pragnie wrócić z Paryża na łono rodziny w Polsce.

– Widziałeś ją chociaż? Rozmawiałeś?

– Raz czy dwa, przez telefon. No i mam zdjęcie, jak była młoda. Teraz pewnie bym jej łatwo nie rozpoznał.

– No właśnie. W dodatku odzianej w te ich kwefy czy inne czadory. Moim zdaniem szanse na wyciągnięcie jej są żadne.

Józef Rembieńło poruszył się w krześle nerwowo.

– Ale nie zerowe. Ktoś stamtąd przechodzi od czasu do czasu. Myślisz, że wyłącznie agenci?

Zapora wzruszył ramionami, ale jednocześnie zmienił pozycję, więc nie było wiadomo, co naprawdę myśli.

– Tak czy owak wystąpiłem na piśmie o repatriację i po półtora roku wymiany korespondencji otrzymałem zgodę. Po wpłaceniu pieniędzy mam jechać odebrać ją i przywieźć tutaj. Kobietom nie wolno tam podróżować samotnie.

– Dziwne to wszystko. Widziałem papiery arabskie... tłumaczenia... ale nie bardzo chce mi się wierzyć, żeby to przebiegło tak, jak sobie to ułożyłeś. Gdzieś musi być pułapka.

– Nie dowiemy się tego siedząc tu na miejscu – powiedział Rembieńło.

– Mogą na przykład podstawić ci obcą kobietę, upozowaną z grubsza na twoją krewną. Jak ją rozpoznasz? Rozbierzesz z burki? Jest wojna – westchnął i papiery na biurku zafalowały. – Wyjazd do Paryża przestał być miłą turystyką. Oczywiście przyznamy ci status dyplomatyczny...

– Dzięki, ale co to zmieni?

– Nic. Jak będą chcieli uciąć ci głowę krzywym mieczem, to utną. Ale gdybyś na przykład przepadł jak kamień w wodę, będziemy mogli cię szukać. Gdyby cię ukatrupili, wyślemy protest.

– Dużo mi to pomoże.

– Przecież mówię, że nic. Lepiej więc by było, żebyś stąd nie wychylał nosa. Nie musisz pomagać procesom historycznym.

– Chcesz powiedzieć, że armia radzi sobie wyśmienie i lepiej im nie psuć szyków? A może uchodźcy zasilili ją liczebnie?

Generał znowu zrobił unik całym ciałem, jakby spodziewał się szrapneli.

– Od kiedy wprowadziliśmy zasadę, że mężczyzn kierujemy na przeszkolenie wojskowe, a potem na front, napływ uchodźców zmalał do paru procent. Po roku ten, kto przeżyje, zyskuje prawo do osiedlenia. Część dezerceruje do Kalifatu, ale tego nie sposób uniknąć.

– Wierzysz, że Kalifat chce władzy nad światem?

– Masz wątpliwości? „Und morgen die ganze Welt” to już dewiza nie tylko Hitlera... Kara Mustafa przyjął ją za swoją. Głosili to od wieków po meczetach, potem w telewizjach, tylko nam nie chciało się słuchać. Ani wierzyć, że to na poważnie. Ale taktykę stosują przedziwną: coś podtaczają, my im to rozwalamy, za chwilę powtarzają to samo w innym sektorze. Znowu rozbijamy i tak w kółko. Nic z tego nie rozumiem. Przecież to nie ma grama sensu.

– Co na to Niemcy wschodni?

– Na tym ogryzku, który im pozostał, Niemcy biją się znakomicie. W ruinach Berlina dali pokaz bezprzykładnego męstwa. Niewiele mają czasu na myślenie. Jeszcze lepiej dają czału Rosjanie.

– Przecież oficjalnie nie wpuszczamy Rosjan.

– Nie da się nie wpuszczać – westchnął, a kartki znowu przesunęły się na białe. – Jeśli Kara Mustafa ruszyłby na wschód pełnym impetem, po paru dniach byłby w Warszawie. Bez Rosji tego nie wygramy. Do wszystkich zaczyna to docierać.

– Rosjanie łatwo wchodzi do Polski i opornie z niej wychodzą – zauważył Rembięło.

– Toteż nie trzymamy ich w Polsce, tylko na pasie niemieckim. Zgodziliśmy się dla próby na ograniczony kontyngent i są to oddziały rozproszone. Biją się za nasze pieniądze, zaopatrzenie dla nich idzie przez nas, więc teoretycznie mamy nad tym kontrolę. Muslimy boją się ich jak ognia.

– Sypniesz szczegółami?

– Mają tam trochę kobiet... z którymi się dupczą, rzecz jasna, ale te kobiety nie mają skrupułów, żeby zadźgać jeńca albo obedrzeć go ze skóry. Nie mają nic przeciwko, żeby to filmować. Potem przesyłają nagranie muslimom jako motyw na zastanowienie. Dla Kara Mustafy śmierć z ręki kobiety to największa hańba. Trupy islamistów fotografują ze świńskimi ryjami albo zdechłymi psami w objęciach. Robią z tego ulotki, papierowe, nie żadna elektronika – i rozsypują po stronie wroga.

– I to działa?

– Jeszcze jak. Ludzie Kara Mustafy nie chcą walczyć na ruskich odcinkach. Mustafa wysłała na nich swoich Francuzów i Niemców, ale ci masowo dezercerują. Arabów wypycha się za podpadziochę. Ruskie odcinki są dla nich tym, czym za drugiej wojny front wschodni dla hitlerowców.

– Takie zagrania ze świńskimi łbami... nie łamią przypadkiem jakichś konwencji? – zaciekawiał się Rembiełło.

– Wszystkie. Ale ruskie mają to gdzieś. My wciąż wykazujemy resztki przyzwoitości, bo łudzimy się, że do ostateczności jeszcze nie doszło. Oni wiedzą, że ze zwarcia wyjdzie cało ten, kto będzie bardziej bezwzględny. O żadnym miłosierdziu ani innych tego typu luksusach nie może być mowy.

– Kara Mustafa tak długo stoi bez sukcesów – rzekł Rembiełło – że moim zdaniem coś przygotowuje.

– A, to więcej niż pewne. My rzucić się na nich nie możemy, bo nawet gdybyśmy ich pobili, co jest dość wątpliwe, to wyszlibyśmy z tego słabi jak woda. Byle kto by nas najeżdżał, tak byśmy robili bokami.

– Znowu nadstawiamy łba za Europę.

– No tak. Przez wieki mówiło się, że jesteśmy przedmurzem chrześcijaństwa, oddzielamy cywilizowaną Europę od hord barbarzyńców czy innowierców ze wschodu. Teraz wszystko się przekreśliło: barbarzyńcy znaleźli się na zachodzie. Znowu jesteśmy przedmurzem, ale w drugą stronę. Dobra strona tego to łuski, które wreszcie niektórym opadły. Jesteś wierzący?

Rembiełło kiwnął głową. – I praktykujący.

– Nie byłoby tego wszystkiego – wywodził generał – gdyby Europa nie pozbyła się Boga. Nie przepędziła go na cztery wiatry. Te puste kościoły w Holandii i Francji, przerabiane najpierw na tancbudy, potem na burdele, na końcu na meczety. To masowe przyjmowanie uchodźców... nie brakowało wśród nich ludzi godnych współczucia, ale to oni stanowili las, w którym kryły się szare wilki. To ustępowanie na każdym kroku, żeby nie urazić przypadkiem uczuć islamisty, bo się islamista obrazi i sobie pójdzie. A z uczuciami chrześcijanina można było wyprawiać co się chciało. W Londynie i Mediolanie nie wolno było stawiać szopek bożonarodzeniowych, bo Mustafa odczuwał dyskomfort na ich widok. I tak

oto, centymetr po centymetrze, zachodnia Europa kładła głowę w obrożę. Kalifat na ziemiach Francji, Niemiec i północnych Włoch był stosowną nagrodą za te starania.

– Literatura od dawna przestrzegała – wtrącił Rembiello – ale nikt nie słuchał. Taki Raspail i jego „Obóz świętych”. Albo „Uległość” Houellebecqa. Albo Chesterton i jego „Latająca gospoda”. I inni, których nie zliczę.

– Groch o ścianę – sapnął głucho Zapora. – Najgorsze, że żadne względy humanitarne nie miały tu nic do rzeczy. Niemcom szło wyłącznie o gasterbeiterów, najpierw ze wschodniej Anatolii, a potem z Syrii i skąd tylko się dało. Na tym się przejechali. Okazało się, że zamiast żerować na ich pracy, musieli im płacić zasiłki. No, ale dość gardłowania o tym, co wszyscy dziś wiedzą. – Przeciągnął się aż chrupnęły kości. – W sprawie twojego wyjazdu, jeśli do niego dojdzie, udzielimy ci wszelkiej możliwej pomocy. Masz coś jeszcze?

– Lewiatan – rzekł Rembiello i podrapał się po brodzie z zakłopotaniem. – Mityczny potwór, który się odrodził i podobno grasuje po dzielnicach Paryża. Słyszałeś o nim? Kara Mustafa go wypuścił.

Stan, że ewoki i ludzie egzystowali obok siebie w miarę bezkonfliktowo, nie mógł trwać wiecznie. Na sadyby ewoków ruszyły buldożery, a tam, gdzie dojazd był trudny, zaangażowano artylerię. Helikoptery sprawdziły się już wcześniej – zrzucano z nich bomby. Co prawda fazę militarną konfliktu winny poprzedzić rokowania, ale z tym był problem, bo żadnego kontaktu z ewokami nigdzie nie nawiązano.

Bezsprzecznie byli obdarzeni inteligencją, mieli także język, bo porozumiewali się akustycznie. Pośpieszne dźwięki, jakie wydawali, przypominały pękające im w wargach sprężyny. Ktoś nagrał ich mowę i próbował analizować, ale bez rezultatu. Wydało się wtedy, że większość ich wypowiedzi znajduje się w paśmie ultradźwięków; wysokie, niesłyszane przez człowieka piski wyjaśniały zainteresowanie ewokami ze strony psów i zarazem niechęć ewoków do szczekających przyjaciół człowieka.

Faza konfliktu, gdy już się rozpoczęła, zdawała się nie mieć końca. Jakby runęły tamy powstrzymujące dotąd odrazę i nienawiść wobec przybyszów. Pociski i bomby likwidowały ich skutecznie, ale i miastom nie wychodziło to na zdrowie. Z ruin budowli, gdzie rozkładały się ewockie trupy, rozchodził się tak straszliwy odór, że mieszkać w pobliżu zwyczajnie się nie dało. Gdy wiatr obrał niekorzystny kierunek, ludziska dusili się od woni, której żaden opis nie przedstawi. Trzeba było nieraz wielu tygodni, aby wywietrzyć miasta w stopniu umożliwiającym oddychanie.

W ruinach, jak wskazywali pełni poświęcenia obserwatorzy, nadal coś się działo, jakby ktoś tam wciąż egzystował. Kamery łazików pokazywały od spodu jakieś monstrualne wstęgi, podobne do rozjazdów na wiaduktach autostrady, poszarpane kleksami wybuchów. Potem coś niespodziewanie spadało na łazik czy szkodziło mu w inny sposób i transmisja ulegała zerwaniu. Nie lepiej radziły sobie wyprawy złożone ze zdeterminowanych i dobrze wyekwipowanych śmiałków. Straceńcy ci przeważnie nie wracali, a ci, którym udało się wyrwać, opowiadali niestworzone rzeczy i widać było, że ich umysły nie działają jak trzeba.

Rzecz jasna ewoki nie godziły się z entuzjazmem na rolę mięsa armatniego. Własnej broni niby nie mieli, ale co jakiś czas do miast wdzierali się osobnicy w długich płaszczach, jakimś cudem przedostawali się w miejsca wypełnione ciżbą ludzką, po czym wybuchali kładąc pokotem setki obywateli. Taki był ich odwet. Skończyło się na tym, że kto widział ewoka, ten prażył do niego ze wszystkiego co miał pod ręką – broń miał prawie każdy, a ćwiczenia strzeleckie traktowano jako patriotyczny obowiązek. Z resztek zamachowców, jakie zbierano do badań, wynikało, że nie mieli przytroczonych żadnych ładunków wybuchowych, gdyż sami byli chodzącymi bombami, tak jakby ktoś po tamtej stronie celowo wyhodował mutację przeznaczoną do siania w ten sposób zagłady.

Wtedy też dopiero pojawiły się pierwsze próby zrozumienia, z kim mamy do czynienia. Uznano ich za przybyszy z kosmosu, bo mieli inne DNA, inne płyny ustrojowe, a także odmienną florę bakteryjną. Na tej florze skupili się badacze, zamierzając wyhodować złośliwego wirusa, który by ich niszczył. Czy jednak ewoki okazały się odporne, czy też wirusy za mało pomysłowe, dość że ta metoda nie przyniosła

spodziewanych rezultatów. Możliwe też, że ewoccy intelektualiści przeczytali wcześniej powieść „Wojna światów” i zagrożenie ze strony ziemskich drobnoustrojów było im znane.

Spośród interpretacji zjawiska wyróżniała się jedna: że za owadzim w typie organizacji społeczeństwem kryją się dotychczas nierozpoznani Sternicy. Mieliby oni posługiwać się ewokami na podobnej zasadzie jak królowa ula swoimi robotnicami. W stosownym czasie Sternicy mieli objawić się światu, lecz chwila ta jeszcze nie nadeszła. Chyba nie zabiegali o popularność, bo lansowanie po Instagramach było im z gruntu obce. Krytycy tej koncepcji wskazywali, że skoro nikt nie widział żadnych Sterników, to ich po prostu nie ma. Ale myśl o ukrytych za ewokami macherach była solidnie niepokojąca i nie pozwalała spokojnie spać w nocy.

Faza otwartego konfliktu przyniosła jedną korzyść: ewoki poznikali z miast, częściej widziano ich na polach, a i to natychmiast zapadali w jakieś bruzdy. Bez litości polowali na nich myśliwi z największymi wrogami ewoków, czyli psami. Innej zwierzyny łownej raczej się nie widziało – poznikała, jakby jej nigdy nie było.

– Z pewnością możesz sobie wyobrazić – powiedział generał – że nie czytam tekstów tego rodzaju. Nic poza raportami. Nie mam na to czasu. Ponieważ nalegałeś, tym razem zrobiłem wyjątek. – Wziął z biurka jedną z kartek. – Te wyciągi są do powietrza... muszę się dowiedzieć, co za ofiara mi je robi. Ale to nie przesądza o wartości informacyjnej Galla Anonima. Twoim zdaniem jest ona wysoka? We wszystko mamy wierzyć?

Rembięło poruszył się w krześle.

– Nie chciałbym wydać ci się fanatykiem – zaczął – ale od pewnego czasu narasta we mnie przekonanie, że w literaturze wszystko już zostało opisane. Każda sytuacja, jaka może przydarzyć się człowiekowi i każda wypowiedź. Nie ma dialogu, który by nie został wcześniej wygłoszony na kartach jakiejś powieści. Są tam również odpowiedzi na wszystkie pytania i wątpliwości, jakie mogą nurtować człowieka. Na problemy, które stanęły i które jeszcze staną. Trzeba tylko odnaleźć odpowiednie miejsce. – Zdał sobie sprawę, że przeholował. – Zapewne jest to pogląd skrajny...

– Pytam o wartość informacyjną tekstu Galla Anonima – przerwał mu Zapora.

– Tego dziś nikt nie wie. Potraktujmy to jak sygnał, że coś dzieje się po tamtej stronie. Macie przecież dostęp do satelitów, które mogą spojrzeć z góry. Słyszałem, że satelita na wysokiej orbicie jest w stanie odczytać nazwę producenta na pudełku zapalek, upuszczonym na chodnik. Smok jest większy od pudełka zapalek.

– Mam wydać dyspozycję, żeby szukali smoka?

– Boisz się ośmieszyć? Niech więc poszukają dziwnych fenomenów na wielkich placach Paryża... czy jak on się w tej chwili nazywa. A nuż coś wypatrzą. Może Amerykanie coś wiedzą?

– Po to się pisze taką literaturę? Żeby przekazać wiadomość w zakamuflowany sposób?

Rembiełło zastanowił się.

– Może kiedyś tak było. Teraz, kiedy nikt nic nie czyta, taka forma wydaje się archaiczna. Może dlatego Gall Anonim ją wybrał i jako bajka z aluzjami przeszła przez kordony postawione przez Kara Mustafę?

– A jeśli satelity nic nie wypatrzą?

– Zawsze istnieje takie ryzyko. Decyduj, czy jesteśmy w sytuacji, że opłaca się je podjąć.

Zadzwoił telefon. Zapora omiółł niechętnym wzrokiem mrugające światełka. Żył nabrzmiały mu na skroni, kiedy słuchał.

– Pewien jesteś? – wykrzyczał w słuchawkę. Odłożył ją i spojrzał na Rembiełłę. – Wczoraj wieczorem ktoś zdetonował bombę podczas zebrania waszej sekcji – powiedział. – Pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć we własne słowa. – Wszyscy zginęli.

Czas coś powiedzieć na temat ewoków w kontekście całej planety. Niby działali w rozproszeniu, a jednak istniała między nimi komunikacja i koordynacja. Jak w pewnym rejonie geograficznym ewoki wymyślili coś nowego, prędzej czy później pojawiało się to gdzie indziej.

Ostatnim z takich wynalazków stały się smoki, powołane do życia wiele lat po inwazji, gdy ewoki dobrze już okrzepli w ziemskich warunkach i wydawali się nie do zwalczania. Ich smoki nie były bardzo

podobne do pierwowzorów z bajek, ale jakieś cechy wspólne z nimi miały. Przede wszystkim ich potworność stała na wysokim poziomie. Nikt z ludzi nie widział ich na żywo, a nawet na zdjęciach czy obrazkach, bo ewoki wykazywali niechęć do sztuki figuratywnej. Wieści o smokach, lewiatanach czy innych monstrach rozchodziły się jak dawniej legendy o Yeti: że wielkie, groźne, żarłoczne, niepokonane; że gdy je rozsierdzić, pustoszą całe dzielnice. Także postępują w poszukiwaniu żeru. Nie wiadomo, czy ziały ogniem, ale wydaje się to możliwe. Domyślano się, że ewoki powołali je do życia, aby trzymać w ryzach dotychczasowych władców planety, czyli ludzi. Jak się będziecie stawiać, to je na was napuścimy. Kto wie, czy upatrywali w nich wunderwaffe, która ostatecznie rozstrzygnie kwestię panowania nad planetą. Trudna do przewyciężenia okazała się smocza indywidualność i niechęć do posłuchu. Nie chciały uznać nad sobą nikogo i nikomu służyć i w tym tkwił szkopuł.

Wieści o tym dochodziły do ludzkich uszu wielodrogowo. Ewoki sami dopuszczali do kontrolowanych przecieków, czasem pojawiali się przekupnie, oferując nagrane na płytkę film, z reguły podłej jakości. Rzadziej słyszało się o wystawionych na sprzedaż artefaktach, jak łuski ze smoczego cielska albo ukruszony smoczy ząb względnie potworny pazur wyrwany bestii przez maszynę, która z nią walczyła. Po dokładniejszych oględzinach okazywało się, że wszystko to to falsyfikaty, nawet nie bardzo zręczne. Co do wieści, rozsiewali je ludzie, którzy kooperowali z ewokami albo wręcz się im wysługiwali. Powiadano, że władze tolerują takie indywidualia, siedzące okrakiem na barykadzie, bo mają wśród nich wtyczki, ale mało kto wiedział, jak było naprawdę.

Szczególnych rozmiarów potwór miał się znajdować w mieście żelaznej wieży, które wraz z resztą tej krainy znalazło się pod całkowitą jurysdykcją ewoków. Ludzie pozostali na tych terenach musieli się podporządkować ewockim zarządzeniom. Za to, że ich tolerowano płacili haracz albo dostarczali niezbędne ewokom materiały. Raz był to miód, innym razem azbest, wszystko w gigantycznych ilościach. Jak to przerabiali i na co, trudno orzec. Możliwe, że miód był przez jakiś czas dodatkiem do menu smoka, ale azbest? Zresztą smok, o którym mówimy, nie jadł byle czego. Jak inni przedstawiciele swego gatunku był ogromnie

mięsożerny i chcąc utrzymać z nim dobre stosunki trzeba go było karmić białym mięsem. Białe mięso przedkładał nade wszystko. Rezydował zaś na jednym z wielkich placów, przystosowanych do jego skromnych potrzeb. Nie straszny mu był deszcz ani śnieg, mało go wzruszały huragany, nawet lekki mróz naszych sparszywiałych zim znosił bez szemrania. Wtajemniczeni powiadali, że ewoki zdołali go okiełznać i przykuć do muru, a potem bali się przywrócić mu wolność z obawy przed zemstą. Z biegiem czasu zaakceptował swój niegodny pozazdroszczenia status – albo jako osobnik długowieczny czekał na okazję, aby uciec. Przeważnie spał, ożywiał się tylko w porach karmienia: wtedy wstawał, rozkładał skrzydła, rozdziawiał paszczę – dla zgromadzonych na drugim końcu placu obserwatorów był to zapierający dech w piersiach widok. Kto miał odważne serce i potrafił stawić czoło tej uosobionej grozie, miał co wspominać do końca życia. Większość obserwatorów była ewokami, ale z czasem wyznaczono też mały sektor dla ludzi. Bilet na to widowisko kosztował krocie. Nie wolno było utrwalać w żaden sposób smoczego wizerunku, a kto by ten zakaz przekroczył, ten migiem lądował na wybiegu dla smoka. Tak że naprawdę niewiele było wiadomo zarówno o nim samym, jak i o imprezach z jego szlachetnym udziałem.

Czy podobnie było w innych miejscach na Ziemi? Trudno dociec. Smoki ewockie były jedną ze spraw, gdzie nasza cywilizacja, nawykła do potoków informacji chlustających zewsząd, musiała obejść się smakiem.

Drugie spotkanie, a także kolejne, odbywały się poza gabinetem generała. Oprócz Rembiełły brali w nich udział major Bałdyga i kapitan Sielski. Rembiełło słabo ich odróżniał, bo przeważnie miał do czynienia z głosami, dobiegającymi doń zza pleców.

– Coś znaleźliśmy – pochwalił się Bałdyga. – Występowanie smoków zostało potwierdzone. Wcześniej na Placu Concorde urzędował mały smok, który wkrótce zdechł i został splukany do Sekwany. Po krótkiej przerwie zastąpiono go większym, który jak zobaczymy prosperuje w najlepsze. – Kilkomina skokami kadru wywołał widok placu z wysokości. – Tu – pokazał

światlistą strzałką – mamy Sekwanę, a raczej to, co z niej zostało. Po drugiej stronie rezyduje potwór. To ta niekonkretna plama... tak go widać z kosmosu.

Obrazem szarpnęło ze trzy razy, ale zbliżenie niewiele dało. Rembiełło chyba naprawdę spodziewał się piłokształtnego grzebienia, ogona i łusek, bo poczuł się rozczarowany.

– Rusza się to? – zainteresował się generał. Prawie natychmiast obraz zaczął płynąć; plama oznaczająca smoka przesuwawała się z boku na bok w nader ograniczonym zakresie.

– Muszę powiedzieć, że spodziewałem się więcej – podsumował po pewnym czasie Zapora. – Nie widać nawet pazurów.

– Bo ich nie ma, niestety – rzekł Bałdyga. – Mianem smoka określamy fenomen nie mający z nim wiele wspólnego. Nie jest to zwierzę ani żadna... – zawahał się – formacja zwarta w tym sensie, że ma konkretny kształt, głowę, nogi, gdzieś się kieruje, coś robi. Przemieszcza się raczej na krótkich dystansach, jakby badał... badało otoczenie. Wysunie się w bok, poleży tam czy postoi, cofa się i nieruchomieje na wiele godzin, jakby chciało przemyśleć to, czego się dowiedziało.

– Więc czym jest jeśli nie smokiem? – zaciekawiał się generał.

– Tego nie wiemy, ani my, ani Amerykanie. Są rzecz jasna pewne pomysły...

– Dawaj.

– Najlepszy moim zdaniem to ten, że mamy do czynienia z plazmą organiczną o częściowo wykształconych zmysłach. Plazma ta wykazuje w ograniczonym zakresie tropizmy czy taksje, mówiąc językiem biologicznym. Nie wygląda to na jakieś zaawansowane stadium. Ona dopiero się uczy.

– Skąd taki wniosek?

– Jest bardzo ostrożna. Niczego nie podejmuje pochopnie. Przypomina ślepa amebę macającą nibynóżkami wokół siebie.

– Porusza się tylko po placu? – spytał Rembiełło. – Z tyłu są chyba jakieś budynki. Nie kieruje się tam?

– Plac został przez Kara Mustafę mocno przebudowany... że tak się wyrażę. Zniknął obelisk, który tam był na centralnym miejscu. Obydwie fontanny pozostały, ale nie ma w nich wody. Figury oczywiście zrabano. Nastąpiła szalona dewastacja właściwie wszystkiego.

Przez parę chwil Bałdyga manipulował obrazem, chcąc uzyskać powiększenie interesującego fragmentu.

– Tu kiedyś rzeczywiście były zabudowania – pokazał. – Zburzono je. Na krańcu placu postawiono ten mur... jego końce zachodzą łukowato z obu stron. Potwór rezyduje wewnątrz tak utworzonego półpierścienia. Nie próbuje forsować muru... ale z tyłu widać coś jakby umocnienia.

– Szacowano wielkość potwora? Wagę? – drążył Rembiello.

– Widziałem gdzieś takie wyliczenia. Sześć do ośmiu ton, jak sędzę.

– Nie ma w tym filmie żadnej akcji? – zniecierpliwiał się generał.

Obraz przeskoczył; zobaczyli ikrę ludzką wlewającą się z jednego końca placu. Cała długość placu oddzielała ją od potwora.

– Pora karmienia.

Spod winogron ludzkich, dobrze już nabrzmiąłych, jęły się toczyć w stronę potwora wózki czy też platformy zastawione kwadratowymi pojemnikami. Co zawierały, Rembiello nie mógł dostrzec. Biała kreska drogi do potwora rozszczepiała się na dwoje, jak gdyby to były tory. Obraz znowu przeskoczył.

– Zaczyna pożerać – zauważył radośnie major.

Wózki dojechały do cielska i stanęły. Przez moment nic się nie działo. Potem cielsko napięło się i z szybkością, o którą nikt by go nie posądzał, pochłonęło przesyłkę, po prostu nakrywając ją sobą. Gwałtowne skurcze, które przeszły przez bryłę plazmy, połączone były ze zmianą dotychczasowego burego koloru na bardziej eleganckie oranże i czerwienie.

– Faza tęczowania – powiedział Bałdyga.

Pożywianie się musiało być dla Lewiatana ważnym przeżyciem. Gdy jego paszcza zamknęła się nad wózkami, gdy ustały namiętne skurcze, ubarwienie zmieniło się na uroczystą purpurę. Wydawało się nawet, że potwór mży mglistą poświatą z ukontentowania.

– Teraz dość długo nic istotnego się nie zdarzy – informował Bałdyga. – Po godzinie czy dwóch tłum podejdzie bliżej... będzie wtedy padał deszcz, nie wiadomo właściwie, co wtedy ma miejsce, zdjęcia są niewyraźne.

– Dobrze, zawsze to coś. Teraz kolega Sielski.

Kapitan zaczął energicznym głosem, jakby miał za pazuchą lepsze rewelacje, ale na razie niczego nie pokazywał.

– Widzieliśmy olbrzymiego żółwia sfotografowanego z wysokości 30 tysięcy kilometrów. Pora na zbliżenia. Zawdzięczamy je dronom

polskiej produkcji, które przedostały się aż tak daleko. Czy wszyscy mamy certyfikat? – zatroskał się nagle.

– Ja mam – powiedział generał. – Niech pana o to głowa nie boli.

– W takim razie kontynuujemy. Drony dalekodystansowe puszczamy, gdy mamy dużą odległość do pokonania i dysponujemy masą czasu. Wypuszczamy je jak najbliżej wrogiego terytorium, łączność utrzymujemy via satelita. Dron taki ma wielkość szpaka, stosuje kamuflaż ornitologiczny, w razie niebezpieczeństwa chowa się i czeka w ukryciu nawet kilka dni. Energię czerpie ze słońca, więc w pochmurne dni odpoczywa i przesyła dane. Dysponuje trzmielami od pięciu do ośmiu, więc musi ich używać oszczędnie.

– Do rzeczy, Sielski – napomniał generał. – To nie seminarium z budowy dronów.

– Słucham, panie generale. Krótko mówiąc jednemu z dronów udało się przesłać parę zdjęć Lewiatana z bliska, zanim dopadły go antydrony Kara Mustafy i zmusiły do włączenia programu autodestrukcji. Oto te zdjęcia.

W przeciwieństwie do satelitarnych zdjęcia z drona były znakomitej jakości. Lewiatan wyglądał na nich jak żywy. Od przodu przypominał monstrualny kielich kwiatu albo paszczę mogącą pochłonąć słońca. Od obrzeży paszczy szły w głąb spiralne linie, zbiegające się w gardzieli, jakby wskazując ofierze jej przeznaczenie. Rzęski na obrzeżach paszczy, każda po pół metra długości, poruszały się nerwowo. Poza paszczą niewiele było widać, ale oczu ani nozdrzy to stworzenie z pewnością nie miało.

– No, to rozumiem – ucieszył się Zapora. – Niezły przyjemniaczek.

– Kryptonim Głębokie Gardło – zażartował Bałdyga.

– Sojusznicy nazwali to Kwiatem Lotosu – sprostował Sielski.

Rembiellę zastanowiło coś innego.

– Kiedy robiono zdjęcia?

– Te z satelity pochodzą sprzed miesiąca. Te z drona są późniejsze o trzy tygodnie.

– Wydaje mi się, że Lewiatan rośnie albo ewoluuje. I to dość szybko.

– To oczywiste – rzekł z niezadowoleniem Sielski, bo chciał to przedstawić jako jeden z wniosków. – Tu paszcza podniesiona bardziej do góry, jakby ryczał. Zdjęcia były robione z powietrza, od strony Sekwany. Tu widać dość wyraźnie, jak Lewiatan pożywia się z apetytem. A tu różowy

deszcz. Uczestnicy imprezy rozmazują go sobie po organizmach. Już się nie boją, bo potwór się nasycił.

– Co to jest? Jakiś rytuał?

– Nie wiadomo. Deszcz powstaje prawdopodobnie z wydaliny Lewiatana po poprzednim posiłku. Wyrzuca je na znaczną, jak widzimy, odległość. Faza trawienia jest najmniej ciekawa: paszcza się zamyka, cielsko nieruchomieje, od czasu do czasu wykazuje falowe ruchy jak u węża trawiącego zdobyczą. To było ostatnie zdjęcie. Zaraz potem komunikacja z dronem uległa zerwaniu.

– Zupełnie nie rozumiem, jak można by tego użyć jako broni – zastanowił się generał. – Zrzucić z samolotów, żeby pożerało żołnierzy?

– Zastrzelić go chyba byłoby trudno – zaryzykował opinii Rembieńko.

– Sojusznicy są zdania, że Kara Mustafa próbował stworzyć broń nowego typu, ale mu się średnio udało. Coś jednak wytworzył, może sam nie wie co. Teraz został z problemem, z którym nie wie co począć – podsumował Sielski.

Przenieśmy się teraz czarodziejskim sposobem w pewne miejsce, w którym zebrało się czworo młodych ludzi płci obojga. Jeden z nich mówił do reszty towarzystwa:

– Cząstki elementarne, jak już na nie zeszło, nie zderzają się tak jak kule bilardowe. Gdy kula uderza w kulę, obie odskakują w różne strony. W przypadku cząstek, rozpędzonych w akceleratorze do wielkich prędkości, bliskich prędkości światła, znikają one całkowicie, a zamiast nich sypią się w różne strony odpadki, na pierwszy rzut oka nie mające z nimi nic wspólnego. To tak, jakbyśmy zderzyli ze sobą dwie piłki futbolowe, które po kolizji zamieniają się w grad przeróżnych piłek rozlatujących się gdzie popadnie. Są tam piłki do handballa i koszykówki, a nawet do gry w rugby, a pomiędzy nimi przelatuje sporo drobnicy w rodzaju piłek tenisowych, do palanta i nawet do pingponga.

– Czy piłki do siatkówki plażowej także tam są? – zainteresowała się jedna z dziewczyn.

– Tak, one także. Może nie za każdym razem, ale pokazują się. Zdarzają się nawet takie, że nie wiadomo, w co by można nimi zagrać.

– Coś taki zadowolony? – zapytał jeden z chłopaków. – Nie bardzo widzę związek między tymi piłkami a tematem naszej debaty. Miałeś przedstawić koncepcję unieszkodliwienia smoka, a na razie nic takiego nie widzimy.

– Właśnie – poparli go pozostali.

– Myślałem, że rozumiecie, ale macie, jak widzę, podejście wybitnie ciekawostkowe. W takim razie zapomnijcie o kulach czy piłkach, a wyobraźcie sobie budziki. Takie starego typu, z mechanicznym werkiem i wskazówkami. Rozpędzamy je jak przedtem w akceleratorze i zderzamy z wiązką budzików, która nadlatuje z naprzeciwka. Co się wtedy stanie?

– No... budziki rozlecą się na kawałki. Kółka zębate polecą w jedną stronę, sprężyny w drugą, a wskazówki i cyferblaty jeszcze gdzie indziej.

– Bardzo to wszystko ciekawe – nie wytrzymała druga z dziewczyn – tylko ja wciąż nie wiem, jaki to ma związek z naszymi baranami, do których obyśmy wrócili jak najprędzej.

– Taki – zdenerwował się młody człowiek – że trzeba rzucić w smoka budzikiem. Kółka, z których składa się jego werk, wnikną w strukturę smoczego cielska i spotkają się z jego kółkami. Zderzą się z nimi, że tak powiem. Wejdą z nimi w konflikt. W efekcie dojdzie do destrukcji smoczego jestestwa i rozpadu od wewnątrz. Z kółek naszego budzika też nic nie zostanie.

– Jakie to proste! Że też samiśmy na to nie wpadli! I każdy budzik się do tego nadaje?

– Nie każdy. Przede wszystkim trzeba go rzucić z właściwą prędkością i pod właściwym kątem.

– To jakieś brednie! – emocjonował się ten z chłopaków, który przyjął na siebie rolę sceptyka. – Nawet gdyby umieścić w tym budziku dynamit, to smok nic nie ucierpi. Jak wiecie próbowali go nawet kroić. Za każdym razem zrastał się bez śladu.

– A gdybym powiedział tak: kółka w naszym budziku muszą być bardzo małe. Tak małe, że nawet złożony z nich budzik będzie niewidoczny gołym okiem?

– A po co strzelać tym budzikiem w smoka? Wystarczy mu go podać w paszy. Smok jest żarłoczny, pożre wszystko. Jeszcze podziękuję.

– Widzisz sposób doprowadzenia mu paszy w ten sposób? Taki bez ryzykowania życiem?

– Na razie nie.

– Ja też nie widzę. Lepiej zajmijmy się czym innym.

Zainteresowali się więc sobą i tym sposobem zebranie konspiracyjne przekształciło się w męsko-damskie spotkanie towarzyskie z seksem, figurami, zmianami partnerów i co tam jeszcze sobie można wyobrazić. Jak to w weselszej części naszej ukochanej krainy.

Rembiełło i Dzikie Wino Hej Dziewczyno siedzieli na ławeczce, popatrując markotnie po parku. Dwie ławki dalej po przeciwnej stronie rozsiedli się agenci Zapory. Rembiełło postawiłby na to wszystkie pieniądze.

– Więc mówisz, że co się z tobą działo? – zapytał udając roztargnienie.

– Zapiłem – powtórzył Dzikie Wino. – Wszyscy jesteśmy alkoholikami, ale niektórzy zostają za to wynagrodzeni. Gdyby nie wódka, leżałbym tam z innymi.

– Ludzie Zapory ci uwierzyli?

– Chyba nie.

– No widzisz. A czemuś potem nie dawał znaku życia przez całe sześć dni? Prowadziłeś śledztwo?

– Ty mnie chyba bierzesz za jakiegoś pieprzonego Kondora – zachnął się Dzikie Wino. – Chowałem się po różnych zakamarkach, żeby ocalić życie.

– W pensjonacie nie dawali alkoholu, więc myśli miał rozbiegane. Ręce mu się trzęsły.

– Zdajesz sobie sprawę, że ten co ocalał jest pierwszym podejrzanym?

– Jasne. We wszystkich książkach tak jest. A ty? – przeszedł do ataku Dzikie Wino. – Ciebie też nie było na zebraniu.

– Ja mam alibi. Wezwał mnie Zapora.

Pomilczeli przypatrując się wiewiórkom biegającym po alejce. Jedna przycupnęła przed nimi, podnosząc pyszczek. Rembiełło sięgnął do kieszeni, ale nic nie znalazł.

– Oczywiście sekcja mogła wylecieć w powietrze przypadkowo. Ktoś się pomylił. Jakiś szaleniec podłożył dynamit, bo lubi fajerwerki.

– Nie sądzę. Ale jeśli ktoś chciał zlikwidować sekcję, to Zapora słusznie nas tu zamknął. Jeśli ktoś chciał nas wysłać w komplecie do nieba, to chyba podejrzewał, że wiemy coś ciekawego.

Dziki Wino pokiwał głową na znak, że zgadza się z takim postawieniem sprawy.

– Co by to musiało być, żeby zdecydowali się na takie środki? Z powieści szpiegowskich wynika jasno, że kiedy nie udaje się posprzątać czysto, to tamta strona musi być w determinacji.

– Moim zdaniem coś było we francuskim tekście. Sądzieli, żeśmy to wyczytali. I zrozumieli. Pomylili się, bo my dalej gównu wiemy. – Dziki Wino podniósł kamień i cisnął ze złością w krzaki. – Królestwo za flaszkę zimnego piwa – wysyczał.

– Im to powiedz – kiwnął głową w stronę agentów Rembiełło. – Ale jak nie wiemy, to możemy się jeszcze dowiedzieć. To wciąż jeszcze tam jest. – Westchnął. – Ludzie Zapory przestali się wyrażać o tym z przekąsem. Posłuchaj. Kara Mustafa stworzył potwora, który jest straszny, ale nie bardzo nadaje się do przerobienia na broń. Dlaczego więc jest taki groźny? Dlatego – odpowiedział sam sobie – że to jest twór nano. Co prawda nie w takim sensie, jak wyobrażał sobie Drexler – miniaturowe szczoteczki w krwioobiegu do czyszczenia złogów emerytom albo mali murarze wznoszący domy i szkoły – ale nano biologiczne. Każdy z nas jest nanofabryką. Procesy na poziomie cząsteczkowym utrzymują nas przy życiu.

– Nie za wiele czytałem na ten temat – przyznał Dziki Wino.

– Kto potrafi wywołać nano jednego rodzaju, ten za chwilę zrobi nano bojowe. Takie do rozpylania z samolotów. Odpowiednik gazów bojowych z pierwszej wojny. Skoro tak, smoki Kara Mustafy – bo będą z pewnością następne – trzeba jak najszybciej unieszkodliwić, podtykając temu z Placu Concorde antynano, które zrobi z nim porządek. A z resztek smoka rozniesie się na cały Paryż. Gdyby było naprawdę sprytnie pomyślane, rozwali też jako pokrewne to, z którym eksperymentują.

– Mamy takie antynano?

– Nie mamy, o ile wiem. Jak możemy mieć? Może Amerykanie mają. Są jeszcze inne kwestie – podrapał się po zmierzwionych włosach. – Nie pojmuję, po co derwisze pchają się do jego odchodów i wyziewów... co chcą w ten sposób osiągnąć?

– Może nieśmiertelność – rzucił lekko Dziki Wino. – Przecież potwór wraz z deszczem rozsiewa swoje nano, które przenika do ich organizmów jak chce.

Rembiello aż się cofnął na oparciu ławki.

– Tyś powiedział – chlasnął się ręką w kolano. – To pasuje jak ulał.

– Jeśli ma coś wspólnego z rzeczywistością – studził jego entuzjazm Dzikie Wino. Ale i jemu oczy podejrzenie zabłyśły. – Wystarczy dostać się pomiędzy derwiszów, dać się skropić deszczem i pobrać to nano... Pestka. Może już ktoś to zrobił. Tylko jak potem zaaplikować smokowi antidotum?

– To jeszcze prostsze. Słyszałeś pewnie legendę o smoku wawelskim... francuski autor zapewne jej nie znał, więc bredził o budziku. Ale małym... małym jak nano!

– Znowu pasuje – zgodził się Dzikie Wino. – Czyżbyśmy coś znaleźli? – Zaczerpnął powietrza i ryknął na cały park: – Piwa!!!

– Służę uprzejmie – agent wyciągnął w jego stronę oszronioną butelkę. Nawet nie zauważyli, kiedy do nich podszedł.

A więc umowa stoi: rzucamy w smoka budzikiem. W tym celu należy podejść jak najbliżej i wsadzić mu budzik do paszczy. Wtedy będzie się miało pewność. Nie da się tego zrobić na wyciągniętym kij, bo taki kij musiałby mierzyć dziesiątki metrów. Kto wyobrażał sobie, że to prosta operacja, ten oczywiście się myli. Podejście na bliską odległość do smoka wymaga nie tylko wielkiej odwagi, silnej ręki i celnego oka, lecz prawdopodobnie ofiary z życia. Śmiałek, który będzie chciał unieszkodliwić smoka celnym rzutem, będzie zmuszony zanurzyć się w obłok wyziewów, który otacza bestię. Podejrzewamy nie bez podstaw, że mogą być one jadowite. Powiecie na to: cóż prostszego jak przebrać się w skafander nurka albo kosmonauty, podejść bardzo blisko i zrobić swoje. Niestety, są to mrzonki. Spróbujcie rzucać do celu odziani w skafander nurka. A jak w takim skafandrze uciekać? Niestety, pomysł ze skafandrem chyba nie uda się zastosować.

Jeżeli więc porównać położenie rycerza wyprawiającego się na smoka w zbroi, na koniu i z kopia w rękę, z położeniem kogoś ruszającego nań z budzikiem, to od razu widać, jak małe szanse ma ten drugi. To nawet nie zamachowiec; to heros, który musi wyrzec się świata w imię zadania, którego się podejmie. Czy znajdziemy kogoś nieustraszonego do tego stopnia?

Trzy miesiące później Józef Rembiełło wchodził na pokład samolotu do Zurychu. Względy patriotyczne zadecydowały, że wybrał samolot LOT-u. Towarzyszył mu na lotnisko tylko jeden człowiek, Dzikie Wino Hej Dziewczyno, przynajmniej oficjalnie. Obaj robili tęgie miny do nie wiadomo jakiej gry.

– Kosmonauta numer dwa odprowadza kosmonautę numer jeden na start w bardzo niebezpieczną misję – dowcipkował Dzikie Wino. Spojrzał na zegarek. – Czas chyba łyknąć specyfik.

Rembiełło z udręką sięgnął do torby, wyjął bidon i wychłęptał do końca jego zawartość. W torbie miał drugi taki sam, tylko pełny.

– Ohydztwo – powiedział. – Jeżeli to działa tak jak smakuje, to niech Bóg ma nas w swojej opiece.

– Masz tu książkę na drogę – Dzikie Wino wepchnął mu podniszczony egzemplarz. – Wziąłem z pensjonatu.

Odebrał od Rembiełły pusty bidon, pieczołowicie zakręcił uważając, żeby nie dotknąć mokrych miejsc, po czym schował do plastikowego worka. Całość umieścił w kieszeni płaszcza.

– Drugą butlę musisz opróżnić w samolocie. Potem możesz mieć trudności... z połykaniem.

– Tak, wiem.

Myślał o tym, gdy już wystartowali. Razem z nim leciało ledwie kilkunastu podróżnych, którzy rozmawiali przyciszonymi głosami albo starali się czytać. Stewardessa przeszła proponując coś do picia.

– Dzięki, mam własne. Tu jest zezwolenie.

Ledwo rzuciła okiem na papier. – Tak, dziękuję. Wiemy o panu.

Żeby uciec myślami od tego, co go czekało, otworzył książkę. „W pustyni i w puszczy”. Boże, ile lat nie widział tych zdań! Tych rozdziałów. Kiedyś dawno ta książka prawie otwierała jego życie; traf chciał, że była z nim i teraz, kiedy miało się ku końcowi.

Tak go wciągnęła lektura, że prawie zapomniał o Bożym świecie. Ktoś przechodząc dotknął jego ramienia.

– Musi pan przyjąć specyfik – powiedział i poszedł dalej.

Rembiełło posłusznie napił się z bidonu. Aż nim wstrząsnęło.

Lecieli dostojnie ponad chmurami, tak jakby żadnej wojny nie było. Wszyscy podpisali kartę neutralności Szwajcarii i trzymali swoje samoloty z dala od wytyczonych pasażerskich korytarzy.

Przed lądowaniem w Zurychu dopił resztkę cieczy z bidonu i zjadł to, co mu przygotowano. W torbie miał jeszcze kilka kanapek, ale zostawił je na później. Człowiek, który przypomniał mu o specyfiku, odebrał pusty bidon i równie skrupulatnie jak Dzikie Wino zapakował go w folię. Po tej czynności natychmiast przepadł bez słowa. Rembiellę ogarnęło poczucie pustki; od tej pory był skazany tylko na siebie.

Kontrola Szwajcarów przebiegła bezboleśnie, chociaż zajrzeli do kanapek i przewertowali książkę. Szczegółowo zbadali dokumenty. Rembiello odniósł wrażenie, że urzędnicy patrzą na niego z ciekawością, ale i ze współczuciem.

Wyglądając przez okno zauważył, że duża część zabudowań lotniska jest wyłączona z ruchu. Nie paliły się tam światła, nie kołowały maszyny, nie kręcili się ludzie. Tylko zwaliste kontury budynków czerniły się w mroku. Wojna, wytłumaczył sobie Rembiello. Ludzie nie podróżują tyle co dawniej.

W samolocie linii Emirates oprócz niego było ledwie kilku białych Europejczyków, większość pasażerów stanowili Arabowie. Prawie wyłącznie mężczyźni w galabijach i kefijach w biało-czerwoną pepitkę, mówili głośno i z wielką pewnością siebie. Nieliczne kobiety Rembiello identyfikował po nikabach, których kratki kojarzyły mu się z konfesjonalem. Nikt go nie zaczepiał, kazano mu tylko przesiąść się parę miejsc do przodu, bo tak sobie życzył jakiś szejik czy imam.

W menu były tylko posiłki halal, więc podziękował za poczęstunek. Napił się wody z butelki i to musiało wystarczyć. Dalej czytał książkę, a potem próbował zasnąć. Chyba mu się udało, bo stewardessa, odziana jak wszystkie w nikab, obudziła go informując po francusku, że zbliżają się do Paryża. Wymieniła jednak jego nową, arabską nazwę, co było pierwszym znakiem, że wkraczają do innej rzeczywistości.

Odprawa celna i paszportowa przeciągała się w nieskończoność, ale Rembiello, zapchnięty na koniec kolejki, był na to przygotowany. W hotelu zarezerwowano mu pokój, nie miało znaczenia, kiedy tam dotrze. I kiedy stał w jasnym holu – tu chyba niewiele się zmieniło – z walizką w jednej i paszportem w drugiej ręce, podeszli doń dwaj arabscy cywile.

– Monsieur Rebiello? – zabrzmiało to niemal jak Rapallo. Nie zdążył nawet potwierdzić. – Pójdzie pan z nami. Jest pan aresztowany.

Czy znajdzie się taki śmiałek?

Wbrew przewidywaniom Rembiełło nie został wtrącony do lochu, gdzie przez całą noc musiałby oganiać się od szczurów. Wieziono go przez ciemny, odmieniony Paryż, jakże kontrastujący z tym, który zapamiętał. Po drodze mignęła katedra Notre Dame z minaretami dorobionymi na narożnikach. W końcu samochód zatrzymał się na niepozornej ulicy pod niepozornym budynkiem. Kazano mu iść przodem i wywieziono windą na szóste piętro. Ludzie, którzy go zatrzymali, otwarli jakieś drzwi; w środku był stół, krzesła, tapczan. Brak telewizora czy choćby radia. Mała łazienka na prawo.

– Niech pan wypocznie. Jutro przyjmie pana wysoki urzędnik, który rozpatrzy pańską sprawę.

– Jestem więźniem? – zapytał Rembiełło.

– Ależ skądże. Jak pan może tak myśleć? Raczej gościem... choć na noc będę musiał pana zamknąć. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę nacisnąć dzwonek w ścianie. – Pokazał staromodny przycisk, którym kiedyś przywoływano tu służbę.

Wobec takiego dictum Rembiełło nie miał więcej pytań. Poszukał w bagażach pidzamy, umył się i poszedł do łóżka. Pościel była czysta i chłodna.

Po namyśle wstał, zjadł kanapki, a potem do północy czytał „W pustyni i w puszczy”. W końcu zgasił światło i zasnął. Nie śniło mu się nic.

Zaraz z rana zgrzytnął klucz w zamku, a do pokoju zajrzał agent. Złożył na krzesle części garderoby Rembiełły – jakim cudem wszedł w ich posiadanie? – i odwiesił do szafy jego płaszcz. Buty, które trzymał w drugiej ręce, ułożył równo pod ścianą.

– Odświeżyliśmy pana ubranie – zakomunikował. – Dostanie pan teraz śniadanie. Za godzinę przyjmie pana effendi.

Drugi z agentów w milczeniu postawił tacę z produktami. Dymiła tam filiżanka herbaty, były dwa kawałki płaskiego chleba, w miseczkach jakby ser, oliwki i chyba pasta z bakłazana. Osobno miseczka z jakimiś ziarnami.

– Mięso poszło na Plac Concorde – skwitował Rembiełło po polsku.

Na wszelki wypadek znowu nie tknął pożywienia. Herbata smakowała normalnie – chyba nic do niej nie dodali – ale i tak poczuł falę mdłości.

Zaprowadzono go do wielkiego gabinetu o ścianach obłożonych książkami. Okna zostały przerobione na model ze szpicem u góry, a ich obrys podkreślały roślinne motywy zdobnicze. Na widok Rembięły mężczyzna w galabiji przerwał spacer i podniósł głowę. Skórę miał zbyt jasną jak na Araba.

– Nazywam się al Asari, zostałem wyznaczony jako sędzia, który ma rozstrzygać w pańskiej sprawie. Jaki jest cel pańskiej wizyty w Kalifacie?

– Taki sam, jaki deklarowałem w podaniu o wizę. Chciałbym spotkać się z krewną, która zamierza wrócić do Polski. Moim celem jest zabrać ją z powrotem do ojczyzny.

– Przybywa pan więc jak Giaur, aby uprowadzić Leilę.

– Niezupełnie. Giaur walczył mieczem – ja nie mam miecza. Skoro władze Kalifatu dały Lilianie zgodę na powrót, porównanie mnie do Giaura nie ma sensu.

– Po zbadaniu sprawy okazało się, że pańska kuzynka zmieniła zdanie. Podoba się jej w Paryżu, chce być dobrą muzułmanką i wychować dzieci na muzułmanów. Obawiam się, że tym samym pańska wizyta stała się bezprzedmiotowa.

– Wolałbym to usłyszeć od niej samej.

– Niestety, musi panu wystarczyć moje zapewnienie.

– Będę się odwoływał.

– To zawsze panu wolno. – Założył ręce do tyłu i przeszedł przed Rembięłą tam i z powrotem. – Mam informacje, że prawdziwy cel pańskiego przybycia ma inny charakter. Szpiegowski.

– I cóż mógłbym tu szpiegować? – zachnął się Rembięło. – Zupełnie się na tym nie znam. Z wykształcenia jestem nauczycielem, z zamiłowania literaturoznawcą... życie upłynęło mi wśród książek.

– Tak jak mnie – uśmiechnął się al Asari. – Miło spotkać kogoś o podobnych zainteresowaniach. Literatura jest wielkim labiryntem, wszystko w niej zostało zapisane. Nawet nasza rozmowa ma gdzieś swoje miejsce.

– Wielka Biblioteka Babel – powiedział Rembięło.

– Tak. Ciekawie byłoby podyskutować na ten temat... zostaliśmy jednak obsadzeni w rolach, które to uniemożliwiają. Co pan wie o Placu Concorde?

– Tyle co każdy turysta. Bywałem na nim w czasach Republiki.

– Cóż więc miał znaczyć pański komentarz, że całe mięso poszło na Plac Concorde? Jak pan widzi, nagraliśmy te słowa, a tłumacz od razu nam je przełożył jak należy. Więc?

– Musiało nastąpić jakieś przekłamanie.

– Nie nastąpiło żadne przekłamanie. Szpiegiem jest nie tylko ten, kto wykrada tajemnice, ale i ten, co uzyskał dostęp do wiedzy reglamentowanej i chce się dowiedzieć jeszcze więcej.

– Wiem o Lewiatanie – zagrał *va banque* Rembiełło.

– Skąd?

– Od znajomego ze sfer rządowych. Połowa amerykańskich satelitów śledzi, co tam się dzieje. Pewne wieści przeciekają i do nas.

– Zdaje pan sobie sprawę, że tym wyznaniem podpisuje na siebie wyrok? Nie może pan opuścić Paryża, bez względu na to, ile pan wie i skąd pan czerpał swą wiedzę.

– Mam status dyplomatyczny, ambasada się o mnie upomni.

– W to akurat nie wątpię. – Znowu przedefilował przed Rembiełłą tam i z powrotem. – Coś panu zaproponuję... my też potrzebujemy dociekliwych ludzi, którzy potrafią dodać dwa do dwóch. Gdyby pan popracował dla nas, potrafilibyśmy pana sownie wynagrodzić. Oczywiście musiałyby pan przejść na islam.

– Mówi pan serio?

– Jak najbardziej. Czy wyglądam na żartownisia?

– Odpowiem nie wprost, *effendi*. W książce, którą właśnie czytam, ma miejsce następująca scena. Dwoje europejskich dzieci trafia w ręce Mahdiego, przywódcy powstania przeciwko Anglikom. Jest XIX wiek, Sudan, Omdurman, Chartum, Afryka ledwo tknięta stopą białego człowieka. Dzieci zostały porwane przez Arabów dla okupu. Dziewczynka jest mała, ale chłopiec to prawie mężczyzna. Staje przed obliczem Mahdiego, który proponuje mu to samo co ty mnie – przejście na islam.

– I co odpowiada chłopiec?

– Odpowiada: proroku, przyjmując twoją propozycję postąpiłbym jak tchórz i człowiek podły. Czy zależy ci, aby twoją wiarę wyznawali tchórze

i ludzie podli?

– Ja zareagowałem Mahdi?

– Kto ma uszy zamknięte na głos Boży, ten jest tylko drewnem na opał. Na twoją propozycję, effendi, odpowiem więc tak, jak ten chłopak: jestem chrześcijaninem jak mój ojciec. – Westchnął, jakby pozbył się wielkiego brzemienia. – Sam mówiłeś, effendi, że wszystko już zostało napisane. Teraz to co napisane my przeżywamy jako rzeczywistość.

– Źle pan wybrał, choć panu pewnie wydaje się inaczej. Niech pan pomyśli o przyszłości. Czeka nas wkrótce wielka wojna... przy której to, co świat widział dotychczas, okaże się zabawą. Do tej pory byliśmy cierpliwi... ale nasza cierpliwość się wyczerpała. Czy nie lepiej opowiedzieć się za porządkiem, który nastąpi nieodwołalnie... zanim pod przymusem opowiedzą się za nim wszyscy?

– Wasze niedoczekanie – rzekł twardo Rembiełło. – Najlepszym antidotum na fundamentalizm religijny jednego typu jest fundamentalizm religijny innego typu. Europa przegrała, bo wyrzekła się swojego fundamentalizmu i została z pustymi rękami. Nie miała się do czego odwołać w potrzebie. To nie wy ją zdobyliście, to ona popełniła samobójstwo. Na szczęście pozostali przejrzeni na oczy i nikt dziś nie ma wątpliwości, jak się sprawy mają. Mogę powiedzieć tyle: chcecie wojny – będziecie ją mieli, ale nikt wam nie poda zwycięstwa na tacy.

– Wystarczy – powiedział al Asri. Dwukrotnie klasnął w dłonie i do gabinetu wpadli jego agenci.

– Myliłeś się nazywając mnie szpiegiem! – wykrzyczał Rembiełło szarpiąc się w ich objęciach. – Jestem żołnierzem!

Załadowano go na bagażową toyotę z naczepą; agenci trzymali go wprawdzie, ale nie bardzo mocno, pewni, że nigdzie im nie umknie. Wjechali w Champs-Elysees, jeśli go wzrok nie mylił, bo zaiste trudno je było rozpoznać w tym zgwałconym, ogłuszonym i oślepionym mieście. Tłum po obu stronach w miarę jazdy stopniowo gęstniał. Wygrazali mu pięściami, obrzucali wyzwiskami; aby ich jeszcze bardziej rozjątrzyć, wyjął książkę z kieszeni i udawał, że czyta. Jak hrabia d'Elbeuf, pomyślał. Na Placu Concorde tłum jeszcze zgęstniał, ale toyota roztrąciła go na boki – wydostali się na wolną przestrzeń. Podniósł głowę i oniemiał.

Po obelisku z Luxoru nie zostało śladu. Obie fontanny, Fontanna Mórz i Fontanna Rzek, także zostały skasowane. Na miejscu tej pierwszej

wznosiła się dziwaczna konstrukcja z drewna i stali, ozdobiona na szczycie jakby ogromną łyżką. Łazili pod nią jacyś ludzie. W przestrzeni placu majaczyła szkarłatna plama, pulsująca agresywnie – dopiero po chwili Rembiełło zrozumiał, że patrzy na Lewiatana. Miał teraz wielkość sześciopiętrowej kamienicy i dobywał z siebie przeciągły ryk, którym prawie zagłuszał wycie tłumu. Ryk Lewiatana nie cichł ani na chwilę, jakby wydobywał się z maszyny.

– To jakiś surrealizm – wymamrotał Rembiełło. Poczł się słabo, byłby upadł, ale z tyłu podtrzymali go agenci. Zmęczenie, strach, huk i harmider na placu odebrały mu siły – zdawało mu się, że to co widzi i przeżywa, nabiera cech nierzeczywistych, że porusza się w malignie, z której pora się obudzić.

Wąskimi drewnianymi schodkami wyprowadzono go na pomost maszyny. Tam operator kazał mu zdjąć płaszcz, marynarkę, spodnie i buty, a następnie pchnął go na wagę. Rembiełło zamknął z pieczołowitością książkę i założył zakładkę miejsce, gdzie skończył czytać. Oprawca odebrał ją od niego i ze śmiechem odrzucił za siebie.

– Dziewięćdziesiąt dwa i pół! – wrzasnął do pomocnika po polsku.

Tamten nastawił coś na skali, a po chwili przejął Rembiełkę w swoje krzepkie łapy.

– Nie szarp się, kruszynko, bo dziaknę w baniak – pouczył go bez gniewu.

– Jaki wykwinłny – odgryzł się skazaniec. – Rób swoją parszywą robotę i nie podnoś głosu.

– O, rodak – ucieszył się tamten. – Rzadki gość w naszych skromnych progach. Chcesz truciznę, kruszynko? Rodakowi oddam za darmo. Mniej będziesz cierpiał.

– Mam to gdzieś – odezwał się niegrzecznie Rembiełło.

Rozkrzyżowali go na łyżce i zaczepiali jakieś klamry. Potem wszyscy jak na dane hasło odstepili od niego. Ryk potwora podniósł się o ton, a tłum ryczał na wyścigi wraz z nim. Rembiełło zapatrzył się w niebo, wypogodzone i jak na ironię uroczyście lazurowe. Potem przeniósł wzrok na własną rękę w okowach, wystawioną bladą powierzchnią ku słońcu.

– Białe mięso – wybełkotał. Ogarnął go spazm urywanego śmiechu.

W tym momencie katapulta stęknęła, klamry opadły, a Rembiełło poleciał przez świszczące powietrze ku swemu ostatecznemu

przeznaczeniu.

październik 2016

ZSTĘPNIAK

czyli ćwierć wieku przy antologiach

Jak napisałem we wstępie, dawno nie zebrałem tomu z polską fantastyką. Myślę że teraz było to znacznie trudniejsze niż kiedyś, gdy zaczynałem wybierać opowiadania do antologii. Pomyślałem, że warto przypomnieć czytelnikom i sobie dzieje tych blisko trzydziestu antologii, które udało mi się w ostatnim ćwierćwieczu zrealizować.

W 1989 roku dopiero powstawały prywatne wydawnictwa. W państwowych wszystko wyglądało peerelowsko – redakcje językowe bądź tematyczne, kłopot z dewizami na zakupy praw, kłopot z papierem, na wydanie książki czekało się latami. Trzy to była norma. Istniała też cenzura. Jak mogłem, to ją omijałem, bo dotychczasowe moje kontakty z tą instytucją – wynikające z działalności studenckiej – nie były przyjemne. Rok 1989 był rokiem przełomu. W czerwcu podobno zrzuciliśmy kajdany komunizmu. Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk został rozwiązany w 1990 roku, cenzura prewencyjna przestała istnieć. Jesienią 89 mówiło się już o tym głośno, zaczęły ukazywać się książki, które za PRLu były zakazane, a GUKPiW w ich wydanie się nie wtrącał. Mnie i innym wydawało się, że teraz to już można pisać o wszystkim. I tak narodził się pomysł wydania antologii *Wizje alternatywne*.

Spotkałem na jednym z licznych wówczas konwentów Andrzeja Bałakirewa, pracownika Białostockich Zakładów Graficznych, poligrafa, który pragnął uruchomić, częściowo przy BZGrafie, wydawnictwo Arax. Oficynę prywatną, ale współpracującą i korzystającą z możliwości swoich zakładów. Andrzej był luźno związany z białostockim fandomem, przyjaźnił się z Ryszardem Fiejtkiem, znanym polskim ufologiem, tłumaczem fantastyki. Współpracował z nim Wiktor Bukato, redaktor z wydawnictw Alfa, znany tłumacz i działacz fandomu. Chcieli wydawać fantastykę zachodnią i polską. Moje spotkanie z Bałakirewem, jesienią 1989 roku pokazało, że rozumiemy się bez słów. Ja rzuciłem pomysł

zrobienia polskiej antologii bez cenzury, i zwrócenia się do autorów o napisanie do niej oryginalnych opowiadań. Bałakirew obiecał to szybko wydać, nakład ustaliliśmy na 20 tysięcy. Ja miałem zająć się kontaktami z pisarzami, redakcją i wyborem tekstów. Miałem w tym względzie wolną rękę, a kontakty z Bałakirewem były odtąd dość częste – bywaliśmy u siebie w domach, mieliśmy wspólną pasję – spływy kajakowe. W sumie, on był jedną z osób, które namówiły mnie na rzucenie pracy w budżetówce i zajęcie się działalnością gospodarczą – sprzedażą hurtową i wysyłkową książek. Tak powstało w 1990 roku „Verbum”.

Nigdy nie ukrywałem, że wzorowałem się na pomysłe Harlana Ellisona i jego *Niebezpiecznych wizjach*, najsłynniejszej bodaj w dziejach antologii science fiction, do której polskiego wydania doprowadziłem w dwanaście lat później. Zaproponowałem wybranym polskim autorom w listach – to była era przed Internetem – wzięcie udziału w przedsięwzięciu, jakiego nigdy w polskiej SF nie było. Napisania opowiadania, które nie musiało się oglądać na przewencję cenzury, mogło być zaangażowane społecznie, nie było też ograniczeń tematycznych. Chciałem po prostu dobrych tekstów. Uważałem – zresztą słusznie – że każdy pisarz ma w głowie jeden lub kilka pomysłów, których realizację odkłada na specjalną okazję. Taką specjalną okazją miała być moja antologia.

Wymiana listów trwała kilka miesięcy, termin nadsyłania opowiadań to były wakacje 1990 roku, a ja obiecywałem, że już jesienią książka będzie dostępna w księgarniach. Ostatecznie dostałem maszynopisy tylko od części pisarzy – nie było wtedy plików komputerowych, pierwsze *Wizje alternatywne* to była wciąż stara dobra maszyna do pisania, poprawki na marginesach, akceptowanie zmian w nowych czystopisach, skład zecerski itp. Uczyłem się wówczas wszystkiego, każda rzecz była dla mnie nowa. Rozmowa z pisarzem, współpraca z korektą, skład, druk. Od 89 stale współpracowałem z miesięcznikiem „Nowa Fantastyka”, wielu rzeczy nauczyłem się od Marka Oramusa, Lecha Jęczmyka, Macieja Makowskiego. Okładkę przygotował mój przyjaciel, Wojtek Łapiński.

Przyszło jedenaście opowiadań i dwa fragmenty powieści, nad którymi właśnie autorzy pracowali. Uznałem za dobry pomysł, by je w antologii pomieścić – w trakcie moich ówczesnych dość częstych spotkań ze Stefanem Otcetenem, z którym się mocno zaprzyjaźniłem, dyskutowaliśmy o jego powieści, serii antologii, które przygotował dla Alf

(*Polska nowela fantastyczna*, tomy 3-6). Stefan twierdził, że dobra powieść sci fi zawsze zawiera jakiś fragment, który może funkcjonować jako zamknięte opowiadanie. Tak do antologii trafiły „Quietus i chrześcijanie” Jacka Inglota – rzecz zapowiadająca najlepszą powieść wrocławianina i „Duch Czasu” Mirosława Piotra Jabłońskiego, wówczas i dzisiaj powieść absolutnie niepowtarzalną w polskiej fantastyce. Moja współpraca z krakowskim autorem trwa do dziś, czego dowodem opowiadanie zamieszczone w *Przedmurzu*.

Były opowiadania Krzyśka Kochańskiego, Ryszarda Głowackiego, Marka Hemerlinga, Romka Pawlaka, dwa Eugeniusza Dębskiego. Z nich zamilkli twórczo Hemerling i Głowacki, Pawlak poszedł w prozę dla dzieci, pozostała dwójka nadal u mnie publikuje.

Było opowiadanie „Śmierć Szczurołapa” Jarosława Grzędowicza, który wówczas miał inne plany życiowe niż zostanie pełnoetatowym pisarzem. W pierwszych moich antologiach publikował dość regularnie i można nawet powiedzieć, że tylko w nich, bo do pisania trzeba było go usilnie namawiać. Było opowiadanie Andrzeja Zimniaka – dzisiaj wydają jego Dzieła wszystkie, a zebrało się tego już na sześć tomów. Rafał Ziemkiewicz przysłał kapitalną, socjologizującą „Szośę na Zaleszczyki” – to dzisiaj absolutny kanon polskiej SF. Podobnie „Muzykanci” Andrzeja Sapkowskiego, pierwsza wycieczka ASa na ścieżki nie wiedźminowe. Z Sapkowskim prowadziłem wówczas korespondencję w sprawie Polconu, który organizowałem w 1990 roku, pisarz miał na nim przyjemność pierwszy raz zetknąć się z fandomem. Nie spodziewałem się już od niego tekstu, przyszedł na kilka godzin przed moim wyjazdem do Białegostoku z gotowym maszynopisem książki. I zakochałem się w „Muzykantach” od pierwszego akapitu.

Antologia ukazała się w październiku, została dostrzeżona nie tylko przez branżowe czasopisma, opowiadanie Sapkowskiego otrzymało ważną nagrodę mainstreamową, im. Natalii Gall. Jeszcze przed samym wydaniem, na łamy książki próbował się dostać jeden z pominiętych młodych pisarzy, a że znał wydawcę, to chciał przepchnąć swój tekst tylnymi drzwiami. Bez rezultatu, Bałakirew okazał się lojalny wobec mnie. To pokazuje, jak ten tom był oczekiwany. Pierwszy raz zetknąłem się też z blurbem, który jest osobną dziedziną w sztuce wydawania książek. Jako człek podchodzący do reklamy jak do jeża, jestem przeciwny przesadnemu zachwalaniu dzieła,

nadużywaniu słów: „najlepszy”, „jedyne”, „wspaniałe” itp. Budzą we mnie, jako czytelniku, natychmiastową czujność. Uważam, że odbiorcę trzeba rzetelnie poinformować o treści, zachęcić, ale nadużywanie tzw. pozytywnych przymiotników wywoła efekt odwrotny od zamierzonego, czytelnik nie da się nabrać. W *Wizjach alternatywnych* tę dziedzinę zostawiono specjom z drukarni, potem pokpiwano sobie z reklamowanych w blurbie nowych tematów. I słusznie – nowe tematy to w fantastyce były w czasach Herberta George’a Wellsa.

Na konwentach wciąż spotykałem się autorami, rozmawialiśmy o odbiorze antologii i padła propozycja zrobienia kolejnego tomu. Nie planowałem cyklu *Wizji alternatywnych*, rzuciłem wtedy pomysł antologii tematycznej. Wydawało mi się, że wzrasta zainteresowanie polskich fantastów tematyką religijną. Opowiadania Ziemkiewicza, Dębskiego, Ingłota czy Jabłońskiego już w *Wizjach...* tę tematykę poruszało. Na Nordconie pisarze przyklasnęli, obiecywali opowiadania. Sapkowski był najgłośniejszy, rzucił tytuł – *Czarna msza*. Ostatecznie opowiadania nie przysłał, podobnie jak kilku innych „antyklerykałów”, ale tytuł pozostał. Zwróciłem się do większej liczby autorów niż za pierwszym razem, co dało dobry efekt. Wyszła antologia wcale nie antyklerykalna, jak zapowiadali sami autorzy. Z pierwszego tomu pozostali Ziemkiewicz (kolejne świetne opowiadanie), Jarek Grzędowicz (kapitałny dwugłos z Jackiem Piekara – niespotykana dotąd w naszej fantastyce dyskusja prozą), Jabłoński, Dębski i Ingłot. Pojawił się w antologii Jacek Dukaj, wspomniany Piekara (który jako jedyny wciąż antyklerykalizm w swojej prozie pielęgnuje), Andrzej Drzewiński, Jacek Sobota, Tadeusz Oszubski, Grzegorz Drukarczyk.

Czarną mszę opublikował w 1992 roku Dom Wydawniczy Rebis, wielkim orędownikiem jej wydania był Tadeusz Zysk. Na okładkę wybrano fragment obrazu Hieronima Boscha „Kuszenie św. Antoniego”.

Tadeusz Zysk (wydawnictwo w 1994 roku podzieliło się na Rebis i Zysk i S-ka) nadal był żywo zainteresowany wydaniem kolejnej polskiej antologii, ale nie reglamentowanej tematycznie, więc przystąpiłem praktycznie od razu do pracy. Okazała się to najtrudniejsza i najdłużej opracowywana z moich antologii, bo lata 1993-1995 to był czas zapaści rynku wydawniczego (wysypali się wówczas główni gracze hurtowi, drastycznie spadły nakłady, a wzrosły ceny książek), odwrotu od polskiej literatury w ogóle, nie tylko fantastyki. Po pierwszym momencie

zachłyśnięcia się wolnością i wolnej kapitalistycznej amerykanki nastąpiła zapaść i twórczy marazm.

Autorzy wyrażali chęć uczestniczenia w antologii, ale mijały miesiące, a za pióra nie łapali, wielu wręcz zawiesiło pisanie na kołku. Wydawało się, że pisanie i wydawanie polskiej fantastyki to nie jest sposób na życie i biznes. Odmieniło tę sytuację, a przede wszystkim sposób myślenia o polskiej fantastyce wydawnictwo Supernowa i Andrzej Sapkowski. W 1994 ukazał się pierwszy tom sagi wiedźmińskiej, wydawca sięgnął po utwory Ziemkiewicza, Oramusa, Dębskiego, Dukaja, Żerdzińskiego, Huberatha. Książki ASa zaczęła czytać krytyka głównego nurtu. Karma zaczęła się odwracać. Promotorem polskiej fantastyki przestał być już tylko miesięcznik „Nowa Fantastyka”, w którym co prawda autorzy Nowej debiutowali, ale to wydawcy książkowi zaczęli kreować rynek.

Wizje alternatywne 2 Zysk i S-ka wydało w 1996 roku. Cztery lata pracy dało bardzo dobry zbiór, wszystkie teksty dobrze pamiętam do dziś. Aż dwa znakomite opowiadania napisał Jacek Dukaj: „IACTE” i „Ziemie Chrystusa”. Mirosław Jabłoński dał wyśmienity fragment swojej powieści *Elektryczne banany*, wtórował mu Andrzej Drzewiński „Ósmym dniem stworzenia”. Ostatnie swoje opowiadanie do moich antologii dał Ziemkiewicz, jego interesowała już wówczas publicystyka polityczna. Ale w miejsce opuszczone przez mistrzów na łamy antologii weszli kapitalni Maciej Żerdziński z „Naskórkiem Boga” (moim zdaniem jedno z najlepszych opowiadań w polskiej fantastyce w ogóle) i Marek Huberath.

Po tej antologii, ze względu na niepewną sytuację na rynku, na trzy lata zaprzestałem współpracy z autorami. Pisałem recenzje do NF, comiesięczne felietony o rynku wydawniczym, rozwijałem księgarnię wysyłkową, obserwowałem rynek. Dużo rzeczy działo się w mojej księgarni Verbum 2 – w 1994 zacząłem organizować pierwsze zloty klientów księgarni – zwane były Poligonem V2, który był skrótem od nazwy księgarni i nie ma nic wspólnego z nazistowską wunderwaffe. W obecny Międzynarodowy Festiwal Fantastyki owe zloty przemieniły się w 1998 roku wraz z przeniesieniem imprezy na zamek nidzicki. W 1994 założyłem kwartalnik SFinks, a od niego, rok później, powstała nagroda o tej samej nazwie. SFinks, z przerwami, ukazuje się do dzisiaj, aży w nim znaleźli jako publicyści przyjaciele z łamów „Nowej Fantastyki” czy „Fenixa”. Naturalną kolejną rzeczą było założenie przy księgarni wydawnictwa.

Nastąpiło to przy okazji reorganizacji firmy, która przyjęła w 1999 roku nazwę Solaris.

Jeszcze w tym roku zacząłem organizować wydanie *Wizji alternatywnych 3*, które ostatecznie ukazały się nakładem Solaris w 2001 roku. Dużą część zbioru zajęły dwie mikropowieści: „Aquerre o świcie” Jacka Dukaja i „Pieśń Adoriona” Wojciech Szydy. Oprócz tego w skład antologii weszły opowiadania Kochańskiego, Inglota, Dębskiego, Jabłońskiego, a debiutowali – jeśli tak można napisać o starych mistrzach – Marek Oramus i Jerzy Grundkowski.

Antologia ta, a wydawaliśmy wówczas trochę polskiej fantastyki i rozpoczęliśmy przekłady z amerykańskiej i rosyjskiej SF, dobrze się sprzedała, miała niezłe recenzje (mam tu na myśli recenzje w czasopiśmie papierowych, Internet wciąż w tej kwestii raczkował), więc zaraz zabrałem się za pracę nad następnym tomem, który ukazał się już rok później.

Wizje alternatywne 4 wyszły w roku 2002, jednocześnie z polską edycją antologii mojego duchowego mentora, Harlana Ellisona – *Niebezpiecznymi wizjami*. Po raz ostatni w *Wizjach* pojawiła się wówczas proza Jacka Dukaja, była to krótka powieść „Córka łupieżcy” – autor wiązał się wówczas z Wydawnictwem Literackim. Tak krótki czas pomiędzy antologiami był możliwy dlatego, że *Wizje alternatywne* miały już wyrobioną markę wśród autorów, dużo łatwiej szło namawianie ich do napisania opowiadania specjalnie do zbioru, pojawiła się też grupa ciekawych, nowych pisarzy.

Tom był gruby, 600 stron, z czego poza powieścią Dukaja ukazały się mikropowieści Kochańskiego i Mai Lidii Kossakowskiej (moim zdaniem „Zwierciadło” to jej najlepszy utwór). Wrócił do serii Jarek Grzędowicz z „Klubem Absolutnej Karty Kredytowej”, po raz pierwszy pojawili się w niej Iza Szolc, Andrzej Ziemiański, Marcin Wolski, nie zawiódł Wojtek Szyda. Okładkę przygotował Marcin Trojanowski – jeden z grafików młodego pokolenia, których prace pokazywałem na wystawach festiwalu nidzickiego. Te wernisaże, organizowane często dużym nakładem kosztów i czasu, dawały możliwość wykreowania nowych twarzy w grafice użytkowej, książkowej. Tu pojawili się z wystawami Dariusz Jasiczak (Zysk i S-ka, Solaris), Tomek Maroński (Solaris, Rebis, Nasza Księgarnia, Supernowa, Drageus, nagrody w USA), Maciej Garbacz (okładka do tomu piątego WA i *Rakietowych szlaków*), Grzegorz Kmin (okładka do tomu

szóstego), czy malarze symboliści – Wojtek Siudmak, Tomek Sętowski, Maja Borowicz (okładka *Przedmurza*) i wielu innych.

Wydawnictwo Solaris rozkręcało się, książki zaczęły się ukazywać w kilku seriach, nie miałem już tyle czasu co wcześniej. Na kolejny tom trzeba było czekać do 2004 roku. *Wizje alternatywne 5* pokazały ciekawą i generacyjną zmianę w polskiej fantastyce, aczkolwiek wciąż łączyłem młodych z doświadczonymi. Do Kochańskiego, Wolskiego, Grzędowicza (kolejne świetne opowiadanie Jarka, „Buran wieje z tamtej strony” – to był jego ostatni tekst dla mnie, przeszedł bowiem na zawodowstwo i pisanie powieści), Inglota, Szolc czy Szydy i Ziemiańskiego doszli Łukasz Orbitowski, Sebastian Uznański, Andrzej Pilipiuk, Joanna Kułakowska. Dość równy jakościowo tom ukazał się w chwili, gdy kryzys rynku i niechęć do polskiej fantastyki poszły w zapomnienie, wydawały się złym snem.

Przez lata polscy fantaści zabiegali o uwagę i uznanie krytyki głównego nurtu. To dzięki temu można było wejść na literackie salony, pokazać się w telewizji, co przekładało się z kolei na nakłady i sprzedaż. O uznanie wielkich nazwisk z literackiego panteonu krytyki zabiegali równocześnie młodzi krytycy. Wychowani na Kinie Nowej Przygody, komiksie, fantastyce zaczęli o ulubionych gatunkach pisać i mówić. Pojawiło się pojęcie popkultury, które objęło też gry komputerowe, różne nisze kulturowe, a że te zjawiska miały – co rzecz zrozumiała – znacznie większe grono odbiorców od mainstreamu, to i media zaczęły na nie zwracać większą uwagę. I tak fantastyka, trochę bocznymi drzwiami, ale weszła na salony. Czytelnik polski zdawał się być przemęczony przekładami literatury, chciał czegoś swojskiego. Okazało się, że mamy wielu świetnych pisarzy literatury obyczajowej, kryminalnej. Także fantastyki czy horroru. Rozpoczął się prawdziwy boom na polską SF i fantasy. Pojawiły się wyspecjalizowane w polskiej fantastyce wydawnictwa, zmalało znaczenie czasopism – kreowaniem kierunków i trendów zajęły się oficyny. To sytuacja znana z rynków zachodnich – duża podaż książek – maleje znaczenie czasopism.

W takiej właśnie radosnej atmosferze, w 2007 roku ukazał się ostatni tom *Wizji alternatywnych*, wolumin szósty. Szykując go wiedziałem od razu, że będzie ostatnim z serii. Autorzy przestali być zainteresowani pisaniem opowiadań – pomysły mieli, ale terminy wydawnicze i umowy

zmuszały ich do pisania powieści i cykli powieściowych. Na rynku pojawiło się dużo innych antologii. Robionych chaotycznie, trochę bez pomysłu albo na bazie tłumaczonych gotowców z zachodu. Wyczułem, że kończy się koniunktura na polskie opowiadanie, zastąpi je, jak na Zachodzie – powieść, a najlepiej serial powieściowy. I nie myliłem się. Nastąpił wysyp nowych nazwisk, nie było miesiąca bez czyjegoś debiutu w fantastyce. Zauważyłem to w swoim statystycznym artykule w „NF” Konrad Lewandowski, wskazując że polska fantastyka stała się wulkanem, z którego wypłynęła szeroką rzeką lawa z pisarzami. I jest to zjawisko zupełnie nieporównywalne do tego, co działo się w innych gatunkach literackich, przecież równie dynamicznie się rozwijających. *Wizje alternatywne 6* trochę pokazywały to zjawisko – po latach pojawił się znowu Zimniak, nagle „obudził się” Marek Baraniecki, nie zawiedli Szyda, Kochański, Orbitowski, Szolc, Kossakowska czy Kułakowska. Ale pojawili się debiutanci w tej antologii – Jerzy Rzymowski, Iwona Michałowska, Piotr Witold Lech, Maciej Guzek.

Na dziesięć lat zająłem się wydawaniem przekładów. Wśród nich było miejsce na antologie z opowiadaniem, które są sercem literatury, najpiękniejszą z form. Tu nawiązałem współpracę z Lechem Jęczmykiem, legendarnym polskim redaktorem i tłumaczem. Chciałem robić serię współczesnych opowiadań SF, ale potrzebowałem nośnego tytułu, który w pamięci czytelników kojarzył się z dobrymi utworami. Lech przyklasnął pomysłowi reaktywacji *Kroków w nieznanie*, co nastąpiło w 2005 roku. Redaktorami kolejnych tomów byli Konrad Walewski i od 2008 Mirek Obarski. Ja w tym czasie zajął się przywracaniem dobrego imienia rosyjskiej fantastyce. Jeździłem na konwenty do Rosji i na Ukrainę, zbierałem opowiadania, czytałem, słuchałem, rozmawiałem z nowym pokoleniem rosyjskojęzycznych fantastów. Polscy wydawcy bowiem, po 1989 roku niemal zupełnie odwrócili się od rosyjskiej, wielkiej przecież literatury. Wydawano klasykę, Dostojewskiego, Tołstoja, Bułhakowa, ale o fantastach zapomniano. Zajęliśmy się w Solaris przypomnieniem Bułyczowa i wydawaniem nowej wschodniej fantastyki. Zrobiłem antologie – *Wilczą krew* i *Zombi Lenina* (obie w 2003). Paweł Laudański, znawca fantastyki ze wschodu, przygotował trzy tomy *Klasyki rosyjskiej SF*, a wspólnie uzyskaliśmy zgodę Andrzeja Sapkowskiego i namówiliśmy rosyjskich i ukraińskich pisarzy na napisanie opowiadań wiedźmińskich.

Antologia *Opowieści ze świata wiedźmina* ukazała się w 2013 roku, a dwa lata później w Rosji, zyskując miano najlepszej antologii roku.

Boom na fantastykę spowodował niebywały rozwój imprez fandomowych, które w szybkim czasie zamieniły się na dobrze zorganizowane, popkulturowe targi. Można na nich spotkać ulubionych pisarzy, kupić książki, gry, tekstylia i gadżety, pograć, poprzebierać w ulubione postaci. Na takich imprezach zorientowałem się, że wiedza młodych fanów o korzeniach jest wprost znikoma. Wielu nie słyszało o Lemie, Dicku, Żelaznym, Le Guin, ale za to słuchali o nich jak marynarze Kolumba opowieści o nieznanym lądach.

Pomyślałem więc o wydaniu kanonu science fiction, setki opowiadań, które nawet analfabetę zarażą miłością do fantastyki. Tu znowu przyszedł z pomocą i swoją ogromną wiedzą Lech Jęczmyk. Wspólnie opracowaliśmy plan pięciu, a ostatecznie siedmiu tomów *Rakietowych szlaków*. Znalazły się w nich 102 opowiadania i krótkie powieści, absolutny kanon światowej SF, tomy ukazywały się w latach 2010-2012.

Poznałem w trakcie tej pracy mnóstwo pisarzy, często już sędziwych, lub ich spadkobierców, spotykałem się z wielką życzliwością, ale i czasem trzeba było długo drażnić temat. Gdy zamykały się drzwi, pozostawało okno. Albo komin. Innym razem kontakty były rzeczowe i bardzo krótkie. Można by kiedyś zebrać księgę anegdot z tych spotkań pomiędzy fantastami.

Przygotowanie siedmiu tomów antologii to był czas przekopywania się przez tonę literatury, książek, plików, maszynopisów. Ja mam dość starodawny sposób pracy – kreślę ołówkiem na maszynopisach, od razu robiąc uwagi i poprawki (niestety, na książkach też – zawodowe zboczenie). Maszynopisy drukuję często na wykorzystanych już maszynopisach, więc czasem tylko po nagłówkach można się dowiedzieć, co to za tekst.

To bogactwo tekstów, z których wiele nie mogło zmieścić się w *Rakietowych szlakach*, skłoniło mnie do dalszego wydawania antologii z amerykańską klasyką SF. W sumie tekstów wystarczyło na dziesięć tomów, wydanych pomiędzy 2013 a 2016 rokiem, a było to bardzo przyjemne zajęcie.

A potem przyszedł czas na powrót na stare śmieci, do dobrej polskiej fantastyki. Bo to jest jej czas. Coś się kończy, coś się zaczyna. Czas na *Przedmurze*. Mam nadzieję, że zbiór Wam się podobał.

Wojtek Sedeńko
25 października 2016, Olsztyn